


— IMPERIUM WILKA —



SPRAWIEDLIWOŚĆ
KRÓLÓW

RICHARD SWAN

Richard Swan

SPRAWIEDLIWOŚĆ KRÓLÓW

Przełożyła Gabriela Jakubowska

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2023

Tytuł oryginału: *The Justice of Kings*

Copyright © 2022 by Richard Swan

Copyright for the Polish translation © 2023 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Alicja Laskowska, Bartosz Szpojda

Mapa: Tim Paul

Ilustracja na okładce: Martina Fačková

Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński

ISBN 978-83-67793-73-5

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

Pl. Konstytucji 5/10

00-657 Warszawa

www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:

Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91

05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 733 50 10

www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Rozdział I. Wiedźma z Rill
Rozdział II. Pogański ogień
Rozdział III. Dolina Galen's
Rozdział IV. Lord Bauer
Rozdział V. Niechciane wieści
Rozdział VI. Kupiecka gwarancja
Rozdział VII. Pogoń o północy
Rozdział VIII. Zimne powietrze, gorące słowa
Rozdział IX. Powrót do Rill
Rozdział X. Strażnica Morska
Rozdział XI. Powrót do śledztwa
Rozdział XII. Konfrontacja na drodze Hauner
Rozdział XIII. Mimo uszu
Rozdział XIV. Ostatni wieczór pokoju
Rozdział XV. Graves
Rozdział XVI. Rozmowa z umarłym
Rozdział XVII. Niebezpieczna obietnica
Rozdział XVIII. Mroczna straż
Rozdział XIX. Głębiej w króliczej norze
Rozdział XX. Dary Kultaara
Rozdział XXI. Więźniarki
Rozdział XXII. Skradzione życie
Rozdział XXIII. Przygotowania do procesu
Rozdział XXIV. Lwy i bracia
Rozdział XXV. Wyrównanie szans
Rozdział XXVI. Zapałka przy loncie
Rozdział XXVII. Smak bitwy
Rozdział XXVIII. W ślad za lady Bauer
Rozdział XXIX. Rachunek rzeźnika
Rozdział XXX. Wyjazd z Vale
Epilog. Cesarska sprawiedliwość
Podziękowania
O autorze
Mapy

I

Wiedźma z Rill

„Strzeż się idioty, fanatyka i tyrana; każdy z nich przywdziewa szaty ignorancji”.

*Cytat z Sovańskiego kodeksu karnego: Porad dla praktykujących
Caterhausera*

Dziwna jest myśl, że koniec Imperium Wilka, tak jak śmierć i zniszczenie, które mu towarzyszyły, miały swoje korzenie w niewielkiej wiosce Rill. Kiedy się do niej zbliżaliśmy, nie tylko brnęliśmy z trudem przez deszczową, zimną wieś ponad trzydzieści kilometrów na wschód od Tolsburskich Rubieży... zbliżaliśmy się do urwiska Wielkiego Pochyłu, którego strome i zdradzieckie zbocze opadało przed nami niczym szklista obsydianowa ściana.

Rill. Jak je opisać? Miejsce narodzin naszego nieszczęścia to zbyt banalne. Ze względu na odosobnienie wioska była typowa dla Północnych Ziem Tolsburga. Pierścień dwudziestu budynków ze ścianami z obrzuconej gliną wikliny i dachami krytymi strzechą otaczał duży plac ze zrytego błota i słomy. Dwór wyróżniał się jedynie swoim rozmiarem, dwukrotnie większym od największej chaty, lecz na tym różnice się kończyły. Był równie zniszczony, jak i reszta z nich. Zajazd przechylał się na jedną stronę, a zwierzęta i wieśniacy chaotycznie poruszali się po wspólnej przestrzeni. Jedną z korzyści panującego zima było to, że smród nie był tak wielki, lecz Vonvalt i tak trzymał przy nosie chusteczkę pełną suszonej lawendy. Potrafił być grymaśny.

Powinam być w dobrym nastroju. Rill było pierwszą wioską, na którą się natknęliśmy od czasu, gdy opuściliśmy cesarski fort na granicy Jägelandu, i oznaczało początek ciągnących się półokręgiem siedlisk, które kończyły się twierdzą Hauner w Strażnicy Morskiej, osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód. Nasz przyjazd tutaj oznaczał również, że zaledwie kilka tygodni dzieliło

nas od ponownego skrętu na południe i ukończenia wschodniej połowy naszego objazdu... a to znów oznaczało lepszą pogodę, większe miasta i coś zbliżonego do cywilizacji.

Zamiast tego dręczył mnie niepokój. Całą moją uwagę przyciągał ogromny stary las, otaczający wioskę i rozciągający się na ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na północ i zachód od nas, aż po samo wybrzeże. Stanowił on dom – według plotek, którymi karmiono nas przez całą drogę – starej wiedźmy draedów.

– Myślisz, że tam jest? – zapytał siedzący obok mnie patrion Bartholomew Claver.

On i trzy inne osoby dołączyli do naszej wyprawy. Claver był nemańskim kapłanem, który narzucił nam się na granicy Jägelandu. Rzekomo, by chronić nas przed bandytami, chociaż Północne Ziemie były nikczemnie odludne, a on, według własnych relacji, wszędzie podróżował sam.

– Kto? – zapytałam.

Claver uśmiechnął się zimno.

– Wiedźma – powiedział.

– Nie – odpowiedziałam szorstko.

Claver mnie irytował, podobnie jak pozostałych. Nasze wędrowne życie było wystarczająco uciążliwe, a jego nieustanne wypytywanie przez ostatnie kilka tygodni o każdy aspekt praktyk i mocy Vonvalta wymęczyło nas do cna.

– A ja tak.

Odwróciłam się. Dubine Bressinger, pomocnik Vonvalta, zbliżał się do nas, pogryzając cebulę. Mrugnął do mnie, kiedy jego koń przekłusował obok. Za nim jechał nasz pracodawca, sir Konrad Vonvalt, a na samym końcu szedł osioł, bez szacunku nazwany Księciem Brondsey, ciągnąc wóz załadowany ekwipunkiem.

Przybyliśmy do Rill z tego samego powodu, dla którego podróżowaliśmy do innych miejsc: by się upewnić, że sprawiedliwość cesarza jest wymierzana, i to nawet tutaj, na skraju Imperium Sovańskiego. Mimo wszystkich swoich wad Sowanie bardzo wierzyli w sprawiedliwość dla wszystkich i wysyłali cesarskich magistratów, takich jak Vonvalt, by objeżdżali odległe wioski i miasta cesarstwa jako wędrowne sądy.

– Szukam sir Otmara Frosta! – usłyszałam wołanie Vonvalta gdzieś z tyłu naszej małej karawany.

Bressinger już zeskoczył na ziemię i właśnie wydawał polecenie jakiemuś chłopcu, by zajęto się naszymi końmi.

Jeden z wieśniaków bez słowa wskazał palcem dwór. Vonvalt mruknął coś i zsiadł z konia, a ja i patrion Claver poszliśmy w jego ślady. Błoto pod moimi stopami było twarde jak skała.

– Heleno! – zawołał do mnie Vonvalt. – Rejestr.

Skinęłam głową i wydobyłam rejestr z wozu. Było to ciężkie tomisko obłożone grubą, wzmocnioną żelazem skórą i zabezpieczone metalowym zatrzaskiem. Będzie używane do rejestrowania wszelkich prawnych sporów, jakie się pojawiają, oraz osądów Vonvalta. Kiedy już się zapełni, zostanie wysłane do Biblioteki Prawa w odległej części Sovy, gdzie urzędnicy przejrzą wyroki i upewnią się, że konsekwentnie stosuje się powszechne prawo.

Przyniosłam rejestr Vonvaltowi, który pełnym irytacji machnięciem kazał dalej mi go trzymać, po czym całą czwórką ruszyliśmy w stronę dworu. Teraz już widziałam, że nad drzwiami wisi godło heraldyczne: niebieska tarcza z głową dzika zatkniętą na złamanej lancy. Poza tym dwór niczym się nie wyróżniał i w niczym nie przypominał bezładnie rozsianych miejskich domów czy wiejskich fortec imperialnej arystokracji Sovy.

Odzianą w rękawicę pięścią Vonvalt załomotał w drzwi. Te otworzyły się szybko, a w progu stanęła pokojówka, rok, może dwa lata młodsza ode mnie. Wyglądała na przerażoną.

– Jestem Sędzia sir Konrad Vonvalt z Cesarskiego Magistratu – powiedział Vonvalt z nienaturalnym dla siebie sovańskim akcentem. Jego rdzenna modulacja z Jägelandu naznaczała go jako karierowicza, niezależnie od sprawowanego urzędu, i bardzo go zawstydziała.

Pokojówka dygnęła niezdarnie.

– Ja...

– Kto to?! – zawołał ze środka sir Otmar Frost.

Za progiem panowała ciemność, a dochodzący z wnętrza zapach przypominał palące się drewno i żywy inwentarz.

Dostrzegłam, jak Vonvalt z roztargnieniem sięga po chusteczkę z lawendą.

– Sędzia sir Konrad Vonvalt z Cesarskiego Magistratu – ogłosił, już nieco zniecierpliwiony.

– Na krwawą wiarę – mruknął sir Otmar. Chwilę później pojawił się w drzwiach i bezceremonialnie odepchnął pokojówkę. – Wejdz, mój panie. Zejdźcie z tego ziąbu i ogrzejcie się przy ogniu.

Weszliśmy. Wnętrze domostwa pokrywał brud. Na jednym końcu pokoju stało łożo przykryte futrami i wełnianymi kocami, a także rzeczami osobistymi żony Otmara. Pośrodku pomieszczenia znajdowało się otwarte palenisko otoczone zwęglonymi i zabloconymi pledami, które również butwiały z powodu deszczu wpadającego przez otwarty dymnik. W drugim końcu pokoju ustawiono długi stół na kozłach i siedzenia dla dziesięciu osób, a obok były drzwi wiodące do osobnej kuchni. Ściany wyłożono spleśniałymi tapetami, wyblakłymi i osmalonymi do tego stopnia, że miejscami wydawały się czarne, a na podłodze

piętrzyły się dywaniki i skóry. Dwa wielkie, przypominające wilki psy ogrzewały się przy ognisku.

– Powiedziano mi, że Sędzia zmierza na północ, wzdłuż Tolsburskich Rubieży – oświadczył sir Otmar.

Był wyraźnie przejęty. Jako tolski rycerz i lord został zaliczony do rangi imperialnej arystokracji – co określano mianem „Wyniesienia”, stosowanego jako rozliczenie, które wszyscy otrzymywali w zamian za wstąpienie do Legionów – jednak dalece odbiegał od napuszonych i wypudrowanych lordów Sovy. Był starcem odzianym w niechlujną tunikę z przypiętym herbem i spodnie z samodziału. Twarz miał brudną od sadzy i zniekaną, otoczoną białymi włosami i siwą brodą. Na czole miał widoczne wgłębienie, prawdopodobnie po czasach Wojny Imperialnej, gdy dwadzieścia pięć lat wcześniej armie sovańskie zwasalizowały Tolsburg. Vonvalt i Bressinger również nosili blizny upamiętniające ekspansję cesarstwa.

– Ostatnio był tu Sędzia August? – zapytał Vonvalt.

Sir Otmar kiwnął głową.

– Tak. Dawno temu. Niegdyś widywaliśmy Sędziego kilka razy w roku. Proszę, usiądźcie. Podać strawę, piwo? Wino? Właśnie miałem zasiadać do posiłku.

– Tak, dziękuję – odparł Vonvalt, siadając przy stole. Podążyliśmy za nim. – Mój poprzednik zostawił dziennik?

– Tak, tak – powiedział sir Otmar, po czym ponownie odesłał pokojówkę.

Po chwili usłyszałam odgłosy gorączkowego przeszukiwania kufra.

– Jakies problemy na północy?

Sir Otmar pokręcił głową.

– Nie. Między nami i morzem jest wąski pas Zachodnich Ziem Haunersheimu. Może piętnaście do trzydziestu kilometrów, wystarczy, by powstrzymać najazd. Chociaż ośmielę się twierdzić, że o tej porze roku morze jest zbyt wzburzone, by skusić ludzi północy do ataku.

– Racja – przyznał Vonvalt.

Widziałam, że zirytowała go myśl, że zapomniał o geografii. Mimo to każdemu można wybaczyć okazjonalne przeoczenie. Imperium, teraz pięćdziesięcioletnie, bardzo szybko wchłonęło tak wiele nacji, że kartografowie latami tworzyli nowe mapy.

– Zakładam też, że Strażnica Morska została przebudowana – dodał.

– Tak, dzięki Autunowi. Nowy mur obronny, nowy garnizon i wystarczająco dużo pieniędzy i zapasów żywności, by zapewnić codzienne racje na sezon walk. Cotygodniowe w zimie, z rozkazu margrabiego.

Autun. Dwugłowy Wilk. Istniała szansa, że uzna to określenie jako niepochlebne. Był to jeden z tych dziwnych pseudonimów w Imperium Sovańskim, którego pokonani używali, by okazać albo szacunek, albo obrazę. W każdym razie Vonvalt je zignorował.

– Ten człowiek ma reputację – powiedział.

– Margrabia Westenholtz? – wtrącił kapłan Claver. – To dobry człowiek. Bardzo bogobojny. Ludzie północy to bezbożnicy, którzy wiernie trzymają się nauk draedów. – Wzruszył ramionami. – Nie powinieneś po nich płakać, Sędzio.

Vonvalt uśmiechnął się słabo.

– Nie oplakuję martwych najeźdźców z północy, patrynie – odparł spokojnie.

Claver był młody, zbyt młody, by dzierżyć autorytet kapłana. Przez ten krótki czas, jaki spędziliśmy razem, wszyscy zapalaliśmy do niego ogromną niechęcią. Był nadgorliwy i nudny, szybko wpadał w gniew i wydawał osądy. Cały czas rozprawiał o swojej misji – rekrutowaniu Templariuszy z Południowego Pogranicza – i kontaktach, jakie miał wśród lordów. Bressinger generalnie odmawiał z nim wszelkiej rozmowy, jednak Vonvalt, z czysto zawodowej uprzejmości, całymi tygodniami dawał się w nią wciągać.

Sir Otmar odchrząknął. Miał właśnie popełnić błąd i wdać się w dyskusję z Claverem, gdy podano strawę i zamiast tego zaczął jeść. Był to obfity, prosty posiłek z mięsa, gęstego sosu i grubych pająd chleba, lecz w tych okolicznościach rzadko kiedy głodowaliśmy. Władza i autorytet Vonvalta z reguły budziły w naszych gospodarzach przejaw hojności.

– Mówiłeś, że ostatni Sędzia przybył tutaj dawno temu? – zapytał Vonvalt.

– Tak – odparł sir Otmar.

– Od tamtej pory śledziłeś cesarskie statuty?

Sir Otmar energicznie skinął głową, ale na pewno kłamał. W tych najdalej położonych wioskach i miastach, odległych od Sovy o całe miesiące podróży, nawet najszybszym transportem, rzadko kiedy stosowano cesarskie prawo. To wielki wstyd. Wojna Imperialna przyniosła śmierć i niedolę tysiącom ludzi, jednak system wspólnego prawa był jednym z niewielu klejnotów, jakie wyłoniły się z pozostałego po niej gówna.

– To dobrze. W takim razie nie powinienem mieć dużo pracy. Poza zbadaniem lasu – powiedział Vonvalt.

Sir Otmar wyglądał na zdezorientowanego ostatnią uwagą. Vonvalt dopił piwo.

– Po drodze tutaj wiele razy opowiadano nam o wiedźmie, która mieszka w lesie na północ od Rill. Nie sądzę, byś cokolwiek o tym wiedział?

Sir Otmar dla zwłoki pociągnął łyk wina, po czym ostentacyjnie wydłubał coś spomiędzy zębów.

– O niczym takim nie słyszałem, panie. Nie.

Vonvalt z zamyśleniem pokiwał głową.

– *Kim ona jest?*

Bressinger zaklął po grozodańsku. Sir Otmar i ja niemal wyskoczyliśmy ze skóry, a stół i każdy element zastawy i sztućców zadrżał, gdy w blat uderzyły trzy pary kolan. Czary i kielichy się przewróciły. Sir Otmar z szeroko otwartymi oczami chwycił się za serce, poruszając ustami, by wyrzucić z siebie słowa, których zażądał Vonvalt.

Głos Cesarza – tajemnicza moc Sędziego, pozwalająca mu zakląć kogoś, by mówił prawdę. Miała swoje ograniczenia: na przykład nie działała na innych Sędziów, a osoba czujna, obdarzona silną wolą, potrafiła ją udaremnić. Jednakże sir Otmar był słaby i potulny, i niezbyt dobrze obeznany w sposobach działania Zakonu. Moc uderzyła w niego niczym grzmot i wywróciła jego umysł na nice.

– Kapłanką... członkinią draedy – wykrztusił sir Otmar. Na twarzy mężczyzny pojawiło się przerażenie, gdy jego usta wbrew woli udzieliły odpowiedzi.

– *Czy pochodzi z Rill?* – pytał dalej Vonvalt.

– Tak!

– *Czy są tu inni praktykujący draedyzm?*

Sir Otmar poruszył się niespokojnie na krześle, po czym szybko chwycił się stołu, by odzyskać równowagę.

– Wielu... mieszkańców wioski.

– Sir Konradzie – mruknął Bressinger.

Z lekkim grymasem przyglądał się sir Otmarowi. Ja zaś dostrzegłam, że Claver pławił się męką gospodarza.

– W porządku, sir Otmarze – powiedział Vonvalt. – Już dobrze. Uspokój się. Proszę, napij się trochę piwa. Nie będę cię dłużej naciskał.

Siedzieliśmy w milczeniu, gdy sir Otmar drżącą dłonią wezwał przerażoną służącą i świszczącym szeptem nakazał przynieść ale. Dziewczyna wyszła i wróciła chwilę później, by podać mu kielich. Sir Otmar osuszył go chciwie.

– Praktykowanie draedyzmu jest nielegalne – zauważył Vonvalt.

Sir Otmar spojrział na swój talerz. Na jego twarzy malowała się mieszanina gniewu, przerażenia i wstydu, bardzo typowa u tych, którzy odczuli działanie Głosu.

– Prawa są nowe. Religia stara – odparł ochryple.

– Prawa są obecne od dwóch i pół dekady.

– Religia jest obecna od dwóch i pół tysiąclecia – rzucił ostro sir Otmar.

Zapadła niezręczna cisza.

– Czy w Rill znajdziemy kogoś, kto nie jest praktykującym członkiem draedyzmu? – zapytał Vonvalt.

Sir Otmar uważnie przyjrzał się swojemu napojowi.

– Trudno powiedzieć – mruknął w końcu.

– Sędzio. – W głosie Clavera słychać było odrazę. – W najlepszym wypadku będą musieli się jej wyrzec. Oficjalną religią Imperium jest święte wyznanie Nemy. – Zmierzył starego barona wzrokiem i splunął. – Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy by splonęli.

– Tutejsi mieszkańcy to dobrzy ludzie – powiedział sir Otmar. – Dobrzy i posłuszni prawu. Pracują na roli i płacą dziesięcinę. Nigdy nie byliśmy ciężarem dla Autuna.

Vonvalt spojrział z irytacją na Clavera.

– Z całym szacunkiem, sir Otmarze, jeśli ci ludzie praktykują draedyzm, to z definicji nie mogą być posłuszni prawu. Przykro mi to mówić, ale patryon Claver ma rację... przynajmniej w części. Będą musieli się jej wyrzec. Posiadasz listę praktykujących?

– Nie.

Polana w ognisku trzasnęły, zadymiły i pękły, a piwo i wino kapało przez szczeliny w stołowych deskach.

– Zarzuty są pomniejsze – powiedział Vonvalt. – Karą będzie niewielka grzywna, powiedzmy pens od głowy, jeśli wyprą się wiary. Jako ich lord możesz nawet uiścić ją w ich imieniu. Macie ołtarz któregoś z cesarskich bogów? Nemy? Savara?

– Nie. – Sir Otmar wręcz wypluł to słowo. Coraz trudniej było ignorować fakt, że sam był praktykującym draedem.

– Oficjalną religią Imperium Sovańskiego jest wyznanie Nemy. Chronione w świętych pismach oraz prawie świeckim, jak i kanonicznym. Ale te wyznania są też porównywalne. Księga Lorna to zasadniczo draedyzm, tak? Posiada takie same przypowieści i nakłada takie same święte dni. Moglibyście ją bez problemu przysposobić.

To prawda, Księga Lorna była podobna do draedyzmu. Lecz to dlatego, że Księga Lorna *była* draedyjska. Religia sovańska charakteryzowała się niewiarygodną elastycznością i zamiast zastępować wiele praktyk religijnych, jakie napotkała podczas Wojny Imperialnej, po prostu wchłonęła je, tak jak fale pochłaniają wyspę. Właśnie dlatego wyznanie Nemy było jednocześnie najszerzej uprawianą i najmniej szanowaną religią w całym znanym świecie.

Spojrzałam na Clavera. Na jego twarzy malował się szok wywołany zastosowaniem tak prostego uniku przez Vonvalta. Oczywiście Vonvalt nie był

większym wyznawcą Nemy niż sir Otmar. Podobnie jak w przypadku starego barona, narzucono mu religię. Ale poszedł do świątyni i wdrożył się w ruch, tak jak i większość arystokracji. Z drugiej strony Claver był wystarczająco młody, by nie znać innej religii. Był prawdziwie wierzący. Tacy ludzie również bywali przydatni, jednak zazwyczaj ich brak elastyczności sprawiał, że stawali się niebezpieczni.

– Cesarstwo wymaga, byście praktykowali nauki wyznania Nemy. Prawo nie zezwala na nic innego – powiedział Vonvalt.

– A jeśli odmówię?

Vonvalt wstał.

– Jeśli odmówisz, będziesz heretykiem. Jeśli odmówisz mi, będziesz zaprzysięgłym heretykiem. Ale nie zrobisz czegoś tak głupiego i marnotrawnego.

– A jaka jest kara za taką herezję? – zapytał sir Otmar, chociaż znał już odpowiedź.

– Zostaniesz spalony – odezwał się Claver. W jego głosie brzmiała okrutna radość.

– Nikt nie zostanie spalony – powiedział z irytacją Vonvalt. – Ponieważ nikt nie jest zaprzysięgłym heretykiem. Jeszcze.

Popatrzyłam na Vonvalta, a potem na sir Otmara. Rozumiałam postawę sir Otmara. Miał rację, mówiąc, że draedyzm jest nieszkodliwy, a także nie szanując wyznania Nemy i uznając je za bezwartościowe. Co więcej, był starym człowiekiem, którego pouczano i straszono śmiercią. Jednak faktem jest, że Imperium Sovańskie panowało nad Tolsburskimi Rubieżami. To ich prawo tam stosowano, a było to prawo stanowcze i wymierzone sprawiedliwie. Niemal wszyscy funkcjonowali zgodnie z nim, więc dlaczego on by nie mógł?

Sir Otmar nieznacznie zwiesił ramiona.

– Na Górze Gablera stoi stara wieża obserwacyjna. To kilka godzin jazdy na północny wschód stąd. Draedzi spotykają się w tym miejscu, by oddawać się modłom. Tam odnajdziesz swoją wiedźmę.

Vonvalt zamilkł na chwilę. Pociągnął solidny łyk piwa, po czym uważnie odstawił kielich.

– Dziękuję – powiedział i wstał. – Udamy się tam teraz, kiedy została nam jeszcze godzina lub dwie dziennego światła.

II

Pogański ogień

„Próżni i samochwalczy nowicjusze powinni zostać wydalenii z Zakonu przy pierwszej okazji. Bycie Sędzią oznacza cierpliwe i rygorystyczne wymierzanie prawa. Opowieści o walce na miecze i konnych pościgach, chociaż będące luźno oparte na faktach, mają być ukracane i uznane za plotkę”.

Mistrz Karl Rothsinger

Po kilku minutach ponownie staliśmy już na zimnie i deszczu, a chłopiec stajenny poszedł po nasze konie. Później ruszyliśmy w stronę gasnącego słońca. Owinęłam się woskowanym płaszczem, starając się ochronić ubranie przed zamoczeniem, ale ani Bressingerowi, ani Vonvaltowi deszcz najwyraźniej nie przeszkadzał. Claver, przemoczony i zgarbiony w siodle, wyglądał dość żałośnie, a mimo to wyraźnie rozkoszował się perspektywą nastraszenia pogan.

Pomimo informacji od sir Otmara nie dotarliśmy do Góry Gablera. Zamiast tego Vonvalt powiódł nas bezpośrednio do lasu, wzdłuż starej, na wpół zarośniętej paprociami drogi łowczych.

– Sir Konradzie? – zapytałam.

Mój głos zabrzmiał słabo i arystokratycznie, za co nienawidziłam się w tej chwili. Pomimo lat ciężkich wypraw złagodniałam. Nie było już śladu po dzikiej uchodźczynie wychowanej na ulicach Muldau. Zmieniałam się w jedną ze szlachcianek, którymi tak długo pogardzałam.

Odwrócił się. Czarna broda, którą nosił w zimne miesiące roku, lśniła od deszczu.

– O co chodzi? – zapytał. Jego koń, wielki guelaski rumak bojowy o imieniu Vincenzo, zatrzymał się gwałtownie.

– Czy Góra Gablera nie leży na północnym wschodzie? Ten kierunek wskazuje na północny zachód.

Vonvalt skinął głową.

– Wiem – powiedział.

– Starzec kłamał – wyjaśnił Bressinger. – I wysłał nas w złą stronę.

– Bez wątpienia po to, byśmy wpadli w zasadzkę – prychnął Claver.

– Och, nie sądzę – powiedział spokojnie Vonvalt. – Wybrał to zamiast morderstwa. Nie miał czasu – i z pewnością odwagi – by zorganizować coś takiego. Nie. – Wskazał stare, pokryte mchem drzewa. – Wiedźma z Rill jest w tych lasach.

Poruszaliśmy się dalej w głąb tego jęczącego, ciągnącego się setki kilometrów lasu. Resztki dziennego światła już dawno zgasły. Zadrżałam, gdy zimno przeniknęło przez przemoczone ubranie i wysssało ostatek ciepła z moich kości. Rozpaczliwie pragnęłam ognia lub innego ciepła – albo, co ważniejsze, światła – kiedy moje nieme modlitwy zostały wysłuchane. Jakies czterysta metrów przed nami dostrzegłam pomarańczowy blask.

Gdzieś z przodu Vonvalt i Bressinger rozmawiali przyciszonymi głosami, dlatego zawołałam do Clavera:

– Widziałeś to światło?!

– Widziałem – odpowiedział i prychnął. – Pogański ogień. Draedów zawsze przyciągał jego zwodniczy wpływ. Tańczą wokół niego niczym szaleńcy. To nikczemna praktyka.

Kiedy podjechaliśmy bliżej, zobaczyłam płasające wokół płomieni postaci. Vonvalt nie zrobił nic, by ukryć swoją obecność ani by podejść ich w jakiś subtelny sposób. Zamiast tego celowo jechał dalej. Teraz już widziałam, że płonący na niewielkiej polanie ogień otaczało jakichś piętnastu, może dwudziestu wieśniaków. W pobliżu ogniska znajdował się kamienny ołtarz, mieszczący się pod baldachimem z gałęzi pobliskiego drzewa. Za ołtarzem stała wiedźma, starsza kobieta z prymitywną drewnianą maską na twarzy, odziana w zszargane szaty. Stała w takim bezruchu, że w pierwszych sekundach pomyślałam, że to posąg.

– Madame wiedźmo! – zawołał Vonvalt do kobiety. – Bądź uprzejma zdjąć maskę.

Mroźne nocne powietrze przeszył krzyk. Poganie odwrócili się do nas, a na ich twarzach pojawił się szok. Jakikolwiek rytuał się przed chwilą odbywał, właśnie nastąpił jego nagły i dramatyczny koniec.

Sądziłam, że wiedźma sprzeciwi się Vonvaltowi, lecz ona podniosła ręce do drewnianej maski, zdjęła ją i ostrożnie odłożyła na ołtarz. Niemal spodziewałam się, że kryją się pod nią rysy potwora, a przynajmniej kogoś groteskowo

zniekształconego, lecz z ulgą, a jednocześnie rozczarowaniem, przekonałam się, że była to zwyczajna twarz staruszki. Kobieta przyjrzała się nam obojętnie. I właśnie w tej chwili bierności Claver zdecydował się wystąpić ze swoimi religijnymi poglądami.

– Bezczęście wyznanie Nemy! – wybuchnął.

Wcześniej nikt nie zwracał uwagi na świętego męża, ale teraz miał jej aż nadmiar.

Vonvalt gwałtownie odwrócił się w siodle, a na jego twarzy malowała się wściekłość.

– Wystarczy, patryonie – rzucił szorstko.

– Sędzio Vonvalcie, ci ludzie to heretycy! – ciągnął Claver szczerze zdumiony, po czym zawołał z gniewem: – Jawni odstępcy od wiary! Spójrzcie na ten pogański nonsens! Ten kultowy rytuał! To kpina z praw Sovy!

– Ja, i tylko ja, zdecyduję o tym, co jest kpina z praw Sovy – powiedział Vonvalt. Jego głos był równie zimny jak nocne powietrze. – Bądź uprzejmy zamilknąć, inaczej każę Bressingerowi zabrać cię z powrotem do Rill. –

Ponownie odwrócił się do wieśniaków i wskazał ogień. – Wszyscy wiecie, że uprawianie draedyzmu jest nielegalne – powiedział. – Prawo jasno o tym stanowi.

– Jak nas znalazłeś? – zapytała kobieta.

Jej rezerwa zmieniła się w opór, który dodał odwagi jej ludziom. Patrzyłam, jak ich postawa powoli zmienia się z gotowych do ucieczki na gotowych do walki.

– Dziś jest wigilia miesiąca Gossa – powiedział Vonvalt i wskazał przerwę w chmurach, gdzie widniał wąski sierp księżyca.

– Nie uznajemy cesarskiego kalendarza – powiedziała wiedźma.

– Ale Księga Lorna wymaga, by ta... – Vonvalt wskazał ogień – ...ceremonia nastąpiła w wigilię Gossa, tak? Płonie ogień Culvara, a w jego świetle i ciepłe Oszust zostaje wygnany.

– Używasz imion obcych bogów. Świętych Autuna. Księga Lorna jest atrapą Księgi Draeda. I to marną.

– Ale rytuał jest identyczny – zauważył Vonvalt, jakby miał w jednej chwili ją nawrócić. Wzruszył ramionami. – W każdym razie tak was odnalazłem.

Znaleźli się w martwym punkcie. Stara kobieta nie złamie się – nie mogła się złamać – i nie porzuci swojej wiary tylko dlatego, że Vonvalt oznajmił jej, że to, co robi, jest nielegalne. Wiedziała, że to nielegalne. Vonvalt był oczywiście związany przysięgą i prawem, by ją oskarżyć, ale sam również nie chciał tego robić.

– Sir Otmar już zgodził się zapłacić za was grzywnę – powiedział w końcu. – Po prostu wyrzeknijcie się draedyzmu, a zostawię was wszystkich w pokoju. Nikt nie musi dzisiaj ginąć.

– Otmar nigdy by się nie wyparł swojej wiary! – rzuciła ostro kobieta.

– Swoimi słowami tylko go pogrążasz! Jest draedem! – wybuchnął Claver.

– Zamilcz! – nakazał mu Vonvalt.

– Cała ta wioska powinna zostać spalona na popiół, a wszyscy ci heretycy razem z nią!

– Na krew Nemy, człowieku, zamknij się! – krzyknął Vonvalt. – Dubine, zabierz go stąd!

– Z przyjemnością, panie – powiedział Bressinger i zawrócił konia, dużego gniadego wierzchowca o imieniu Gaerwyn.

– Wykonuję pracę Bogini! – zawołał Claver. – Nie dotykaj mnie! Dopilnuję, by dokonano się tu zadanie Nemy!

Bressinger zatrzymał się obok kapłana i wyrwał mu wodze z rąk, po czym poprowadził konie z powrotem na drogę łowców. Po części spodziewałam się, że Claver zsiądzie z konia i wróci w środek sporu, jednak w starciu ze zdecydowaną obojętnością Bressingera kapłan zamilkł.

Vonvalt odwrócił się do kobiety.

– Jesteś żoną sir Otmara – powiedział.

– Lady Karol Frost.

– Moja pani, czy jesteś świadoma konsekwencji... tych konsekwencji, których zastosowanie nakazuje mi prawo... jeśli nie zgodzisz się wyrzec draedyzmu?

– Tak, jestem.

– I skążesz się na śmierć?

– Tak.

– Tych ludzi również pošlesz na śmierć?

– Każdy mężczyzna i każda kobieta podejmują własne decyzje.

Vonvalt westchnął zirytowany. Otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, i nagle stało się coś niewiarygodnego: drewniana maska uniosła się z ołtarza i zawisała w powietrzu.

Krzyknęłam, a wieśniacy gwałtownie zaczerpnęli tchu. Maską, topornie wyciosaną, lewitowała niecałe dwa metry nad ołtarzem. Zawisała w bezruchu, z wyraźną wrogością przyglądając się wydarzeniom, a blask ogniska tańczył na jej powierzchni.

Wszyscy zamarli. Przez kilka sekund nie mogłam oddychać. Dawni pogańscy bogowie, wściekli z powodu cesarskiego zakłócania, byli tutaj, na polanie. Nagle

poczułam potworne zawroty głowy. Mordercy, złodzieje i gwałciciele... Vonvalt radził sobie z nimi wszystkimi. Z furją żywiołów... nie.

Vonvalt wyciągnął z pochwy krótki miecz, a jego ostrze zalśniło w nocnym powietrzu. Lady Frost wrzasnęła, gdyż – pomimo pewności siebie i nieugiętej wiary w starych bogów – nawet ją przerażał zimny błysk stali.

Natychmiast trzech barczyści, najbliżej stojący wieśniacy rzucili się do przodu, krzyząc coś w dawnym draedyjskim języku. Wyciągnęli ręce, gorączkowo starając się chwycić Vonvalta za nogę i ściągnąć go z konia.

– Niech was szlag, cofnijcie się! – rzucił Vonvalt, bardziej zirytowany niż wściekły.

Vincento stanął dęba, wywijając kopytami w powietrzu. Wielki czarny rumak trafił kopytem prosto w klatkę piersiową jednego z mężczyzn, a siła uderzenia wystarczyła, by złamać mu mostek i odrzucić go do tyłu. Vonvalt zamachnął się mieczem i drugi poganin stracił rękę poniżej łokcia. Idiota wrzasnął i z wytrzeszczonymi oczami upadł na plecy, ściskając tryskający krwią kikut.

Trzeci draeda wyglądał, jakby dogłębnie myślał nad swoim nierozważnym działaniem, kiedy z boku natarł na niego koń Bressingera. Mężczyzna upadł pod kopyta wierzchowca, oszołomiony i pobity, lecz nadal żywy.

– *Natychmiast przestańcie!* – ryknął Vonvalt. Tym razem użył odrobiny Głosu Cesarza i zamieszanie wnet ustało.

Lady Frost została przy ołtarzu. Trzej wieśniacy, którzy zaatakowali Vonvalta, leżeli na ziemi, jęcząc i szlochając z bólu. Bressinger zdążył już zsiąść z konia i teraz w szorstki i pozbawiony współczucia sposób opatrywał tego, który stracił rękę. Pozostali draedzi stali w luźnej, przerażonej grupie. Byłam też świadoma, że nieco dalej patrimon Claver obserwuje wszystko z miejsca, w którym pozostawił go Bressinger. Po dłuższej chwili kapłan zawrócił konia i ruszył do Rill. Z całego serca chciałabym powiedzieć, że to był ostatni raz, kiedy widzieliśmy tego człowieka.

Vonvalt powiódł wzrokiem po zgromadzonych, a na jego twarzy malowało się niezadowolenie. Dał lekki sygnał wierzchowcowi, podjechał do ołtarza i tam się zatrzymał, w następnej chwili szerokim łukiem machnął mieczem. Maska opadła, odbiła się od starej skały i bezceremonialnie wylądowała w błocie.

– Nić – powiedział Vonvalt. – Czarna nić przyczepiona do ukrytego koła. – Wsunął miecz do pochwy.

Czar prysł. Wszelkie intrygi, jakich zamierzali użyć wieśniacy w imię religijnego uniesienia, rozwiały się razem z iluzją.

Lady Frost wyglądała na załamana. Zaczęła płakać. Nie współczułam jej. To, że z premedytacją zaplanowała ten spektakl i zamierzała odegrać go podczas uroczystości, było niegodziwe.

– Wracajcie do domów – powiedział Vonvalt do zebranych pogan. – Każda obecna tu osoba przyjdzie do mnie i wyrzeknie się wiary albo, na bogów, wielu z was czeka stryczek.

Podczas ucieczki wieśniacy wpadali na siebie i się przewracali. Po chwili zniknęli w ciemnym i zimnym lesie.

– Co z nim, Dubine?! – zawołał Vonvalt.

Bressinger wzruszył ramionami.

– Z pomocą przyzwoitego chirurga przeżyje.

Vonvalt spojrział na lady Karol.

– Zapewnisz temu człowiekowi opiekę – nakazał. – Jeśli umrze, winą obarczę ciebie.

Kobieta skinęła głową, po czym przeniosła wzrok z rannego na Vonvalta.

Sędzia westchnął i pokręcił głową, po czym zawrócił Vincenta, by zwrócić się do mnie, i z roztargnieniem poklepał konia po szyi.

– Heleno, wracamy do Rill – powiedział cicho. – Chcę się przygotować do jutrzejszego sądu. To będzie długi dzień.

* * *

Następnego ranka wstaliśmy wcześniej. Dzień ponownie był szary i zimny, i zaczęłam się zastanawiać, czy słońce kiedykolwiek zagłąda do Rill.

Wyładowaliśmy pakunki z wozu Księcia Brondsey: rejestry, księgi statutowe, pióra i kałamarze, świeże zwoje pergaminu, składany stół na kozłach, skórzany fotel Vonvalta, świeży воск i pieczęcie, godło Imperium Sovańskiego wielkości tarczy, zamocowane na półtorametrowej żerdzi, i różne nakazy służbowe, z którymi ludzie musieli się zapoznać. Rozwiesiliśmy je na środku głównego placu.

Wioska powoli budziła się wraz ze słońcem, a zimne powietrze wypełnił zapach gotowanych na ogniu potraw. Dla większości wieśniaków śniadanie będzie się składało z owsianki doprawionej tym, co znajdzie się pod ręką, oraz kufła piwa, chociaż od strony dworu Frostów dochodził aromat smażonego bekonu. Vonvalt, Bressinger i ja zjedliśmy w zajeździe zaledwie kilka zimnych kromek i zaczynało burczeć mi w brzuchu.

– Nasz przyjaciel kapłan już wyjechał? – zapytał Vonvalt, siadając w fotelu.

Zajęłam miejsce obok niego. Jako asystentka miałam zapisywać wszystko, co zostało powiedziane w trakcie obrad.

– Tak – odparł Bressinger siedzący z jego prawej strony. – W nocy, lecz dopiero po tym, jak zrobił mi wykład.

– Dziękuję, że mnie nie budziłeś.

– Nie jest zadowolony ze sposobu, w jaki radzisz sobie z draedami.

– To nie jego sprawa, żeby miał być z tego zadowolony.

Bressinger spojrział z wyrzutem na Vonvalta.

– Jego zainteresowanie tym tematem było nienaturalne.

– Jego zainteresowanie wszystkimi moimi sprawami było nienaturalne od chwili, kiedy tylko do nas dołączył. Cieszę się, że mamy go z głowy. Jedyne, co mnie irytuje, to to, że nie opuścił nas wcześniej. Najwyraźniej jednak może podróżować sam.

– Nie sądzisz, że to dziwne? – zapytał Bressinger.

– Oczywiście, że tak uważam. Ale on w ogóle jest dziwny. – Vonvalt wzruszył ramionami. – Zdaje się, że do Strażnicy Morskiej przybędzie przed nami? Żeby przekonać margrabię i jego ludzi, by porzucili swoje życie na Granicy?

– Chyba tak.

– To głupiec, Dubine. Przestań o nim myśleć.

– Niebezpieczny głupiec.

– W rzeczy samej.

– I posiadający potężnych przyjaciół, jeśli wierzyć w to, co mówił.

– Jeśli wierzyć w to, co mówił – powtórzył Vonvalt.

Chciał powiedzieć coś jeszcze, lecz do stołu podszedł pierwszy petent – wieśniak w średnim wieku, w samodzielnym ubraniu i wełnianej czapce. Powłócząc nogami, zbliżył się do Vonvalta, onieśmielony naszym tymczasowym sądem, chociaż według mnie stanowisko wyglądało raczej niechlujnie.

– Ja... uhm – zaczął, po czym zerwał z głowy czapkę. – Za pozwoleniem, mój panie, chciałbym, uhm... – Pochylił się nisko. Vonvalt, z nieskończoną cierpliwością, jako że teraz pełnił oficjalne obowiązki, również uprzejmie się do niego nachylił. – Chciałbym, uhm... wyrzec się wiary?

Vonvalt z powagą skinął głową.

– Przyjmuję twoją deklarację. – Otworzył jeden z ciężkich rejestrów i zaczął pisać. Zanotował nazwisko mężczyzny, a na marginesie wysokość grzywny: jeden pens, który zostanie pobrany od sir Otmara. – Czy masz jakieś zażalenia do cesarza?

Mężczyzna energicznie zaprzeczył.

– Nie, mój panie, żadnych.

Vonvalt ponownie kiwnął głową.

– W takim razie to wszystko.

Z pozostałymi mieszkańcami wioski poszło podobnie. Jeden po drugim ci, których widzieliśmy w lesie, jak i kilku innych, podchodziło do nas i po cichu wyrzekało się wiary. To była jedyna sprawa tego dnia. Zazwyczaj musieliśmy

radzić sobie z wieloma różnymi przypadkami, szczególnie że od czasu przyjazdu ostatniego Sędziego minęło wiele lat. Zawsze były sprawy o kradzież i napaść, ale i poważniejsze przestępstwa – morderstwa, gwałty czy zdrada. Ale w ten zimny i deszczowy dzień w Rill było tylko wyparcie się wiary przez pogan.

W porze lunchu Vonvalt zamknął rejestry i posłał mnie do zajazdu po trochę chleba, sera i piwa dla siebie i Bressingera. Kiedy wróciłam, ze zdumieniem zobaczyłam przed stołem lorda i lady Frost. Sir Otmar trzymał w dłoni sakiewkę pełną monet. Przyspieszyłam kroku i dotarłam do nich w samą porę, by usłyszeć ostatni zarzut, jaki postawił im Vonvalt: namawianie do bluźnierstwa.

– Nie jesteście winni tego oskarżenia – powiedziała lady Frost w ten lekceważący sposób, którego używali wszyscy arystokraci, nawet ci pomniejsi. – Płacimy grzywnę tylko po to, by ochronić ludzi.

Usiadłam na swoim miejscu i z furią zaczęłam zapisywać jej słowa.

Vonvalt wziął pieniądze od sir Otmara i przekazał Bressingerowi, który zaczął je przeliczać.

– Zanotuję, by kolejny Sędzia, który zawita w Rill, dopilnował postawienia tu ołtarza Nemy. W jakimś widocznym miejscu – powiedział Vonvalt surowym tonem.

– A jak właściwie mamy to zrobić? – zapytała lady Frost.

Vonvalt wskazał głową las.

– W lesie jest mnóstwo jeleni. Wyślijcie dzisiaj myśliwego. Zatrzymajcie czaszkę. Niech poświęci ją kapłan. Urządźcie ołtarz w stylu imperialnym. To bardzo proste.

Bressinger skończył liczyć monety.

– Jest tu pięć marek, jeśli nawet nie szeląg – powiedział cicho.

Vonvalt spojrział na Frostów. Nastąpiła długa chwila milczenia.

– Grzywna wynosiła pensa od bluźniercy – powiedział w końcu. – Czy może wolicie, bym do rejestru dodał również wpis o próbie przekupstwa?

Sir Otmar poczerwieniał na twarzy i szybko chwycił garść monet. Jego żona trzepnęła go ostro w ramię.

– Głupiec – rzuciła i odeszła.

Kiedy już znalazła się poza zasięgiem słuchu, a odpowiednia kwota została odłożona do naszego kufra, Vonvalt zwrócił się do lorda:

– Sir Otmarze, lubię myśleć, że jestem sprawiedliwym człowiekiem. Imperium zapewnia mi dużą dozę dyskrecji w załatwianiu spraw takich jak ta. – Zamilkł na chwilę, szukając odpowiednich słów. – Mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że ta sytuacja mogła potoczyć się zupełnie inaczej. Inny Sędzia w inny dzień... – Pozwolił słowom zawisnąć w powietrzu.

Sir Otmar, który miał zaledwie połowę odwagi swojej żony, pokornie skinął głową.

– Wiem, panie. Mam u ciebie dług.

Vonvalt zbył go machnięciem ręki.

– Nie jestem głupcem, sir Otmarze. Doskonale wiem, co się stanie, kiedy opuszczę to miejsce. Mówię panu teraz, że musicie być ostrożniejsi.

– Doceniam twoją szczerłość, panie – odparł sir Otmar i pokłonił się.

W milczeniu patrzyliśmy, jak odchodzi. Po chwili, kiedy było już jasne, że to koniec wszystkich spraw tego dnia, Vonvalt zatrasnął rejestr.

– Mam przeczucie co do tego miejsca – powiedział. – I to naprawdę złe.

III

Dolina Galen's

„W przypadku morderstwa należy upewnić się co do słuszności skazania, zanim wyrok – to jest egzekucja – zostanie wykonany. Odebranie życia to surowa kara; odebranie drugiego w ramach rekompensaty jest dwa razy gorsze”.

Cytat z *Sovańskiego kodeksu karnego: Porad dla praktykujących*
Caterhausera

Jeździec odnalazł nas kilka kilometrów za Galen's Vale, dużym i bogatym miastem kupieckim na Południowych Ziemiach Haunersheimu – krainy leżącej na południowy wschód od mojego rodzimego Tolsburga. Rill było już odległym wspomnieniem – o kilkaset kilometrów, dwie garści miasteczek i półtora miesiąca podróży stąd.

Powietrze tutaj było zimniejsze i bardziej suche niż w cieniu Tolsburskich Rubieży, pełne wirujących płatków śniegu. Bressinger starał się podnieść nas na duchu starą jägelandzką piosenką ludową, której musiał nauczyć się od Vonvalta, jednak nie mogłam do niego dołączyć, gdyż nie znałam słów – nie śpiewał ani po starosaksańsku, który był powszechnym dialektem Imperium, ani po tolsku, w moim ojczystym języku. Vonvalt również nie śpiewał – w długich podróżach zwykł milczeć. Ze zwieszonymi ramionami siedział w siodle na czele naszej grupy.

Jeźdźcem był młody chłopak ze straży miejskiej, muskularny i arogancko pewny siebie. Natychmiast uświadomiłam sobie mój niechlujny wygląd – skulona pod woskowanym płaszczem i śmierdząca niczym sam Książę Brondsay.

Jak się okazało, niepotrzebnie się przejmowałam; nawet na mnie nie spojrzął.

– Lord Sauter powiedział, że drogą z Hauner nadjeżdża Sędzia! – zawołał do Vonvalta. Miał na sobie kolczugę i kolczy kaptur, który otaczał zaróżowioną z zimna twarz. Głowę chronił stalowy hełm. Jego tunika była niebieska, z elementami musztardowej żółci, ozdobiona herbem Doliny Galena.

– Sędzia sir Konrad Vonvalt – odparł Vonvalt, już wyprostowany. – To mój pomocnik, Dubine Bressinger, i moja sekretarz, Helena Sedanka.

Strażnik dotknął hełmu. Wyglądał na przygnębionego.

– Panowie. Panienko. – Moje serce na moment przyśpieszyło, kiedy spojrział mi w oczy. – Przybyliście w samą porę. Miało miejsce morderstwo, niecałe dwa dni temu. To żona lorda Bauera. Pół miasta ogarnęła wściekłość.

– A co z drugą połową? – mruknął do mnie Bressinger.

– Zamilcz – rzucił do niego Vonvalt, po czym ponownie odwrócił się do młodzieńca. – To rzadki przypadek, by mordowano żonę lorda.

– W Dolinie o niczym podobnym wcześniej nie słyszano, panie. Nie ma też ani śladu motywu.

– To nie był lord Bauer? – zapytał Vonvalt.

Pytanie było zasadne – zazwyczaj sprawcą był mąż.

– Z tego, co wiem, lord jest poza podejrzeniami.

– Rozumiem – powiedział Vonvalt, pocierając brodę. – To dziwne.

– Tak, panie, bardzo dziwne. Kiedy z Bramy Veldelin zobaczyliśmy waszą karawanę, lord Sauter nakazał mi natychmiast eskortować was do miasta.

Vonvalt odwrócił się do mnie i szybkim spojrzeniem objął mój opłakany stan. Księżę Brondsey prychnął i zaryczał za mną, drżąc z zimna.

– Pojadę przed tobą – powiedział do strażnika, po czym odwrócił się do Bressingera. – Dubine, zabierz Helenę do miasta. Dopilnuj, by konie stanęły w stajni, i zorganizuj nam kwatery.

– Tak, panie.

– Gdzie jest ciało lady Bauer? – zapytał strażnika Vonvalt.

– W domu lekarza, pana Maquerinka. To on zajmuje się oficjalnymi sprawami medycznymi.

– Najpierw obejrzę ciało, zanim zgnije za bardzo, by cokolwiek można było wydedukować.

– Jak sobie życzysz, panie.

Odjechali galopem. Patrzyłam, jak się od nas oddalają.

Bressinger zawrócił konia i podjechał do mnie. Musiał chyba czytać mi w myślach, bo powiedział:

– Taki chłopak to dla ciebie nic dobrego, Heleno.

Poczułam, jak na twarz wypływa mi rumieniec.

– O czym ty mówisz? – zapytałam ostro.

Bressinger uśmiechnął się znacząco.

– Lepiej ruszajmy, zanim pogoda się pogorszy. Pamiętasz, czego cię nauczyłem o obserwacji chmur?

Skinęłam głową w stronę ciemnych, nisko zawieszonych na wschodzie chmur.

– Śnieg – powiedziałam posepnie.

– Chodź. I tym razem przyłącz się do mnie w śpiewaniu.

– Nie znam jägeńskiego – powiedziałam.

Bressinger zatrzymał się z tak jawnym dramatyzmem, że nie mogłam się nie roześmiać.

– Na krew Nemy, Heleno, jesteś głucha jak pień. To nie był jägeński, tylko dialekt Grozodan. Mam nadzieję, że nie mylisz kraju moich narodzin z ojczyzną naszego szanownego mistrza.

– Nie – odparłam ze śmiechem. – Przynajmniej nie przy takim pedziowatym imieniu jak Dubine. – Celowo wypowiedziałam je tak, jak wymawiał je Vonvalt: *Du-ban*, a nie w sposób, w jaki wypowiadali je wszyscy poza ojczystą Grozodą Bressingera: *Du-bine*.

– Utnę ci język, jeśli to nie robi ci różnicy – powiedział. – A teraz uważnie się wsłuchaj albo kolejne kilka kilometrów będzie naprawdę bardzo długie.

* * *

Przybyliśmy do miasta w południe, przejeżdżając przez wychodzącą na południe Bramę Veldelin. Galen's Vale leżało w Haunersheim, chociaż na przestrzeni burzliwych wieków tak Tolsburg, jak i Guelich starały się je przejąć. Miasto było produktem swojej lokalizacji, zarówno pod względem geograficznym, jak i politycznym. Guelich, bądź co bądź, było królestwem księcia Gordana Kzosica, trzeciego syna cesarza, i każde miasto w odległości pozwalającej na bezpośredni atak królewski funkcjonowało jednocześnie jako forteca i tymczasowy pałac.

Było to duże, otoczone murami miasto, zbudowane na zboczach Tolsburskich Rubieży i podzielone na pół przez rzekę Gale. Otaczające je wzgórza, długie i płytkie połacie zieleni, były żyzne i dobrze uprawiane, i produkowały wystarczająco dużo kapusty, grochu, fasoli, cebuli i ziemniaków, by wykarmić miasto i wygenerować dodatkową ilość na handel – chociaż nie to było głównym źródłem jego bogactwa. Rzeka Gale była głęboka i szeroka i, chociaż naokoło, docierała aż do samej Sovy. To sprawiło, że Galen's Vale stało się dużym centrum handlu i generowało wystarczająco wysokie wpływy z podatków od przychodu, by zapewnić miastu straż, dobrze utrzymane i patrolowane drogi oraz

dużą świątynię Nemy, Bogini Matki (będącą niegdyś świątynią Iroxa, pogańskiego boga bydła) wraz z imponującym, przypominającym fortecę klasztorem, który dominował na położonym nieco dalej wzgórzu.

Ulice tętniły obecnością handlarzy, rzemieślników, strażników, zwyczajnych ludzi oraz lordów i dam. Ruszyliśmy przez tłum, anonimowi pomimo tego, że górowaliśmy nad nimi na koniach. Zauważyłam, że ziemia była w większości wyłożona brukiem, chociaż nadal pokryta błotem, a na drogach zamontowano kryty rynsztok – jedno z lepszych sovańskich zapożyczeń, które jednak musiało dopiero dotrzeć do rubieży Imperium. Na szczęście zimno, podobnie jak w Rill, pomogło ograniczyć zapach do minimum, chociaż znajomy odór dymu drzewnego, szczyń, odpadków i gówna nadal unosił się w powietrzu.

Miejskie budynki stanowiły prawdziwy przekrój architektoniczny, od krytych strzechą chat, aż po wysokie domy z cegły i bali. Całe tuziny świątyń wzniesiono z dużych bloków żółtawego kamienia, na którym było widać ślady wieloletniego palenia drewnem i zdobienia prostackimi wizerunkami bożków. Na ich stopniach leżały rozrzucone kwiaty i różne drobne przedmioty, chociaż większość z nich wdeptano w błoto. Żebracy zawodzili na zimnie, w równym stopniu nie otrzymując jałmużny, jak i schronienia sanktuarium.

Ze względu na swoje stanowisko Vonvalt miał prawo do zamieszkania u najstarszego członka rady miejskiej. Zazwyczaj był to burmistrz lub lokalny sędzia pokoju, lecz często był to też najwyższy rangą kapłan lub jakiś inny lord czy rycerz. Bez wyraźnych instrukcji, gdzie ma się udać z ekwipunkiem, Bressinger zdecydował się na dom burmistrza Sautera, który okazał się dużym ceglanym budynkiem z atrakcyjnym drewnianym wykończeniem.

– Myślę, że to wystarczy – powiedział szorstko, gdy zatrzymaliśmy konie przed żelazną bramą.

Oboje zsiadliśmy z koni, po czym Bressinger podszedł do stojącego przy niej strażnika.

– Tak? – zapytał żołnierz tonem pasującym do jego roli. Był ubrany w taką samą zbroję i tunikę, co strażnik, którego wcześniej spotkaliśmy.

– Nazywam się Dubine Bressinger – przedstawił się Dubine. – A to Helena Sedanka. Jesteśmy pracownikami i pomocnikami Sędziego sir Konrada Vonvalta. – Bressinger pokazał mężczyźnie cesarską pieczęć.

– Ach tak, panie – odparł strażnik i pokłonił się. – Powiedziano nam, by się was spodziewać. Zaraz przyślę stajennego, by zajął się waszymi końmi i mułem. Czy macie się dobrze?

– Tak, bardzo dziękuję. Szukamy domu miejskiego lekarza – powiedział Bressinger.

– Jest tu więcej niż jeden, chociaż przypuszczam, że chodzi o dom pana Maquerinka – odpowiedział strażnik, po czym wskazał kierunek, z którego przyszliśmy. – Na Aptecznej. Dwie ulice dalej, po prawej. Bez problemu zobaczycie szyld.

– Dziękujemy – powiedział Bressinger.

Stajenny, brudny chłopak przeniknięty zapachem łąjna, odprowadził nasze zwierzęta.

– Lord Sauter powiedział, by po przyjeździe zapewnić wam jadło! – zawołał za nami niepewnie strażnik. – Nie poczęstujecie się posiłkiem lub winem?

– Później, dziękujemy – odpowiedział Bressinger.

Poczułam, jak zalewa mnie rozczarowanie. Żołądek miałam pusty jak złupiony spichlerz.

– Jak wolicie – odrzekł strażnik, a my ruszyliśmy na obolałych od jazdy konnej nogach, by znaleźć miejsce, do którego udał się Vonvalt.

* * *

Lekarz wiódł wygodne życie na ulicy Aptecznej, w otoczeniu innych medyków, golibrodów-chirurgów i astronomów. Droga została tutaj również wybrukowana, lecz w przeciwieństwie do dróg kupieckich, które odchodziły od głównego placu, była pozbawiona kolein. Dom pana Maquerinka wyróżniał się dużym drewnianym szyldem ozdobionym niebieską gwiazdą, będącą powszechnym cesarskim znakiem wskazującym na licencjonowanego lekarza. Bressinger przepchnął się do pokoju od ulicy, w którym unosił się ciężki zapach krwi i śmierci. Przez szklane okna na tyłach domu dochodziły odgłosy świni plądrujących odpadki lekarza.

– Dubine?! – zawołał Vonvalt z niższego poziomu.

Oboje odwróciliśmy się w prawo i dostrzegliśmy kręcone schody wiodące do wnętrza rezydencji.

– Panie – odpowiedział równie głośno Bressinger.

– Zejdź na dół.

Posłusznie zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy się w dużym pomieszczeniu, które ciągnęło się na całej długości domu. W rzędzie stały obok siebie poplamione kozły, a kolejne stoły stały złożone pod ścianą. Świece – z wosku, nie z łoju – płonęły, wydając zapach ziół, kompletnie bezsilny wobec duszącego odoru rozkładu. Vonvalt i lekarz stali na końcu pomieszczenia, przy jedynym rozłożonym stole, przy czym Sędzia przyciskał do nosa chusteczkę z lawendą.

– Pan Maquerink właśnie mi wyjaśniał, jak znaleziono ciało – powiedział Vonvalt, gdy podeszliśmy.

– Tak, cóż... chłopak Toma Bevitta znalazł ją przy ujściu Bramy Segamunda, zaplątaną w podwodny korzeń – powiedział lekarz. Był to zgarbiony starzec o siwych włosach i wąsach, i można było odnieść wrażenie, że lata pomagania innym wyssały z niego całą życiową siłę. Wyglądał niczym wychudzony żebrak, zupełnie inaczej od innych medyków i aptekarzy, których do tej pory spotkałam. – To samo w sobie jest cudem; prąd w tamtym miejscu jest bardzo silny. Niewiele rzeczy, które wpadną do rzeki, można ponownie zobaczyć.

– Komu o tym powiedział? – zapytał Vonvalt.

– Nie musiał nikomu mówić. Jego wrzask obudził połowę wschodniej dzielnicy. Strażnicy miejscy wyłowili ją, a potem przynieśli tutaj.

– I nikt nie dotykał ciała?

– Nikt, milordzie. Poza mną oczywiście, ale zrobiłem to tylko po to, by ją ułożyć. – Wskazał na zmarłą. – I by przyjrzeć się ranie.

Kierowana chorobliwą ciekawością spojrzałam na miejsce, które pokazywał. Nie żeby widok zwłok mnie mierzził; bądź co bądź byłam jedną z sierot Wojny Imperialnej, dobrze obeznaną z widokiem trupów. Chociaż Tolsburg został zwasalizowany przez Sovań jeszcze przed moim urodzeniem, dopiero kiedy miałam jakieś dziesięć lat efekty wojny – braki żywności, wewnętrzne spory, ostatecznie powstanie – ucichły na tyle, by można było zacząć coś, co przypominało normalne życie. W tych wczesnych latach mojego życia dookoła było mnóstwo śmierci i wojen, i działo się tak nie tylko w Tolsburgu. W ciągu niecałych dwudziestu lat mojego życia trzy duże państwa – królestwo Venlandu oraz księstwa Denholtz i Kòvosk – zostały ujarzmione przez sowańskie legiony. Co do rodzimego Jägelandu Vonvalta, leżącego na zachód od Tolsburga, i ojczystej Grozody Bressingera na południu, obie krainy zostały wchłonięte trzydzieści lat przed tym, jak stali się młodzieńcami. Podobnie jak pierwsze terytoria sowańskie – Sova, księstwo Kzosic, Estre i Guelich – było to największe Imperium, jakie kiedykolwiek powstało, z niemal stu milionami poddanych żyjących pod czujnym okiem Dwugłowego Wilka.

Leżąca na stole kobieta miała prawdopodobnie czterdzieści kilka lat, szarą skórę i była odziana w zieloną suknię z kosztownymi złotymi lamówkami. Woda, z której ją wyłowiono, nie była dla niej łaskawa, ale pomimo braku doświadczenia widziałam, że nie utonęła.

– To był potężny cios – zauważył Bressinger. – I nie zadano go ostrą krawędzią.

– Ma pan dobre oko do zwłok – powiedział lekarz.

Dostrzegłam, jak Bressinger i Vonvalt wymienili szybkie spojrzenia.

– Całkiem dobre – odparł ponuro Vonvalt.

Przez kilka chwil staliśmy w milczeniu.

– Kto jest tu szeryfem? – zapytał w końcu Vonvalt.

– Sir Radomir Dragić – odpowiedział medyk.

– Wie już o tym? – zapytał Sędzia.

– Oczywiście – zapewnił go lekarz. – Wie o tym całe Galen’s Vale. Lord Bauer jest znanym człowiekiem; jego żona była bardzo lubiana.

– Lord Bauer też jest taki popularny?

Lekarz się zawahał.

– Jest znany – powtórzył w końcu.

– A jaką reputację ma szeryf?

– To skuteczny stróż prawa, chociaż tak skwaszonego człowieka nigdy nie chcielibyście spotkać. I na dodatek pijak.

– Nie spotkałem jeszcze skutecznego stróża prawa, który by nim nie był – zauważył Vonvalt, po czym pochylił się nad zwłokami. Dostrzegłam, że nie zbliżył się na tyle, by zarazić się ospą. Wiadomo było, że zwłoki wyzwalają szkodliwe gazy, tak samo jak ogień emituje dym.

– Pojedynczy cios w skroń – mruknął. – Zadany z dość dużą siłą.

– Tak, milordzie – potwierdził lekarz. – Zabójczy cios, to pewne. Proszę spojrzeć, jak skóra rozerwała się i rozeszła, a czaszka pękła. To kij lub inne tępe narzędzie, trzymane przez nader silne ramię.

– Skąd pan wie, że nie było to ostrze? – zapytał Vonvalt.

Na to pytanie z pewnością znał odpowiedź. Po prostu testował starego medyka.

Pan Maquerink palcem wskazał ranę.

– Ostrze miecza przecięłoby czaszkę równie skutecznie jak skórę, a nacięcie byłoby równe. To było uderzenie jakby o blok granitu. Można to poznać po wzorze pęknięć na kości i po sposobie, w jaki skóra rozerwała się, a nie została przecięta.

– Ma pan doświadczenie z takimi ranami?

– Trudno będzie panu znaleźć innego medyka w Galen’s Vale, który dzięki Wojnie Imperialnej miałby podobne doświadczenie z pierwszej ręki.

Vonvalt skinął głową. Wszyscy patrzeliśmy na zwłoki, jakby wystarczająco długie wpatrywanie się w nie sprawiło, że ujawnią wszystkie swoje sekrety. Jasne jednak było, że więcej nie odgadniemy. Lady Bauer otrzymała potężny cios, od którego prawdopodobnie zginęła na miejscu. Jako że Vonvalt miał rangę najwyższego strażnika prawa, to w jego gestii leżało prowadzenie śledztwa według Sovańskiego Prawa Powszechnego.

– Czy ciało nosi jakieś inne ślady? – zapytał cicho Vonvalt.

– Żadnych, milordzie – odparł medyk, po czym ponownie wskazał ranę. – *Ve sama horivic.*

Tylko to, co widać. Słowa, które wypowiedział, były w wysokim saskim, języku klas rządzących, lecz zwrot ten był wystarczająco powszechny, by nikt z nas nie potrzebował tłumaczenia.

– W takim razie to morderstwo – powiedział Vonvalt.

– Tak – potwierdził cicho stojący obok Bressinger.

Pan Maquerink niespokojnie spojrzał na Vonvalta. Kiedy się odezwał, jego głos był pełen obaw.

– Czy użyje pan na niej... swoich mocy? Słyszałem, że niektórzy z cesarskich magistratów potrafią rozmawiać ze zmarłymi.

Vonvalt przyjrzał się zwłokom i pokręcił głową.

– Nie – powiedział i smutnym wzrokiem powiódł po ciele lady Bauer. – Ciało za bardzo się już rozłożyło. Zbyt długo jest martwa. – Zamyślił się na moment. – Cofnijcie się – mruknął w końcu i wszyscy natychmiast posłuchaliśmy. Wyciągnął rękę w stronę głowy lady Bauer i rozłożył palce, a na jego twarzy pojawił się wyraz nieznacznej bólesci, gdy rozważał szanse udanego seansu. Po kilku sekundach opuścił dłoń. – Nie, nie. Nawet nie będę próbował.

– Kto wie, jakiego rodzaju stworzenia mają ją teraz w swoich szponach – mruknął Bressinger.

Vonvalt spojrzał na niego ostro.

– Zważaj na język. O czymś takim nie można tak sobie paplać.

Pan Maquerink i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia, lecz zanim cokolwiek więcej zostało powiedziane, Vonvalt rzekł:

– Dziękuję, panie Maquerink. – Cofnął się kilka kroków. – Skończyłem. Może pan przygotować ciało do namaszczenia i pochówku.

– Tak, milordzie.

– Spisze pan raport? By udokumentować swoje spostrzeżenia.

– Tak, milordzie.

– Bardzo dobrze. Dubine, gdzie nasze kwatery?

– W domu burmistrza, panie.

Vonvalt odwrócił się do lekarza.

– Prześle mi pan tam swój raport?

– Jak pan sobie życzy.

Vonvalt po raz ostatni spojrzał na zwłoki i przyglądał im się dłuższą chwilę.

– W porządku. Zostawimy już pana.

Opuściliśmy dom medyka i wyszliśmy na ulicę Apteczną. Kiedy przebywaliśmy w środku nad miasto napłynęły chmury, jakby ściągnął je nad nas nasz wspólny nastrój. Formowały szare, nisko zawieszony sklepienie, okrywając miasto pełnym niepokoju zmrokiem.

– Chciałbym spotkać się z sir Radomirem – powiedział Vonvalt, patrząc na niebo, po czym dodał niezbyt przekonująco: – Pozostało jeszcze sporo dnia.

– Ręczę, że jest w strażnicy miejskiej – powiedział Bressinger. – Mijaliśmy ją przy wjeździe do miasta, w pobliżu bramy Veldelin.

– Pamiętam – odparł Vonvalt, kiwając z roztargnieniem głową. – Tędy więc. Dotrzymuj kroku, Heleno!

Vonvalt szedł szybko. Był to jeden z jego nawyków. Ze względu na swoje moce, rzucającą się w oczy posturę i symbole służbowe, zwykle zwracał na siebie uwagę. Poddani cesarza byli przesądni i niemal zawsze, dokądkolwiek byśmy się udali, podążał za nami tłum. Niektórzy szukali takiej sprawiedliwości, której Vonvalt nie mógł im dać; inni pragnęli, by przekazał im swoje moce, żeby mogli porozmawiać ze zmarłymi bliskimi. Większość jednak przyciągała jego dominacja. Vonvalt emanował aurą z innego świata, na którą jedni byli bardziej podatni niż inni. Ci ludzie często tworzyli zbieraninę podążającą za nami niczym dziwki za armią. Normalnie trzymali się w odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków, wlokąc się za nami w różnych stadiach niepokoju i katatonii. Gdybyśmy spędzili w budynku więcej czasu, moglibyśmy się spodziewać na progu różnych drobiazgów pozostawionych tam jako podarunek: kwiatów, świec, posążków bożków. Vonvalt dawno już do tego przywykł; tak naprawdę to nie byłam pewna, czy w ogóle je jeszcze zauważał. Mnie jednak, nawet po dwóch latach, nadal to zawstydzało.

Mieliśmy szczęście, że Galen's Vale było miastem kupieckim i że lordowie, jak i dobrze sytuowani ludzie interesu, poruszali się po ulicach przystrojeni we wszelkie symbole swego bogactwa. To oznaczało, że Vonvalt mniej rzucał się w oczy. Mimo to szliśmy nader zdecydowanie.

Strażnica mieściła się w południowej dzielnicy. Galen's Vale, jak większość miast w Imperium, zostało podzielone według tradycyjnych wytycznych i dlatego siedziba straży miejskiej znajdowała się na tej samej ulicy, co sąd i więzienie. Był to dwupiętrowy budynek wykończony starym czarnym drewnem i posiadający od frontu ekstrawagancką liczbę okratowanych okien, a na dachu dwa duże kominy, które wyrzucały czarny dym na zimne powietrze. Z drugiej strony ulicy mieściło się więzienie, obecnie puste, ze względu na Zimową Amnestię.

Minęliśmy wynędzniałego i jakby przygnębitego strażnika przy drzwiach i weszliśmy do środka. Vonvalt natychmiast podszedł do biurka dyżurnego, wyrywając znużonego sierżanta z zamyślenia.

– Jestem Sędzia sir Konrad Vonvalt z Cesarskiego Magistratu – przedstawił się.

– C-cesarski Sędzia? – wyjąkał sierżant, dotykając czoła. Mięśnie na jego szczęce przez chwilę napinały się, gdy przetrwał te słowa w milczeniu. – Słyszałem plotki, ale w nie nie uwierzyłem. Od lat nie było tutaj magistrata. Przyjechał pan starą drogą Hauner?

Vonvalt odchrząknął.

– Chciałbym rozmawiać z sir Radomirem.

– T-tak, oczywiście – odparł sierżant. – Wyślę po niego jednego ze strażników.

– Nie ma takiej potrzeby – zapewnił go Vonvalt. – Jest na piętrze?

Sierżant głośno przełknął ślinę.

– Na najwyższym, milordzie. – Wyglądał na zawstydzonego. – On... nie jest człowiekiem, który dobrze reaguje, gdy mu się przeszkadza. Może będzie lepiej, jeśli pana zapowiem.

Vonvalt uśmiechnął się lekko.

– Proszę się nie martwić, sierżancie – powiedział. – Nie będzie miał nic przeciwko temu, że mu przeszkodzę.

Weszliśmy po trzeszczących schodach. Drogę oświetlały tuziny świec – niektóre woskowe, jednak większość zrobiono z łożu. Biorąc pod uwagę, że miałam na sobie wełniane ubranie i gruby płaszcz, wkrótce zaczęłam się pocić. Komnaty sir Radomira znajdowały się na najwyższej kondygnacji i były łatwe do znalezienia dzięki prostej, napisanej po saxańsku tabliczce: *Szeryf*. Vonvalt mocno w nią zastukał.

– Powiedziałem, żeby mi nie przeszkadzać! – zawołał ktoś ostro ze środka.

– W imieniu cesarza otwierać drzwi – powiedział Vonvalt głośno.

– Na krew Nemy – dobiegł mnie zduszony głos, po czym rozległo się szuranie.

Po chwili ktoś odsunął zasuwę i otworzył drzwi. W jednej chwili buchnęło na nas przepojone oparami alkoholu i ciepła z kominka powietrze.

– To pan musi być tym Sędzią, o którym tyle słyszeliśmy – prychnął kpiąco sir Radomir.

Był wysokim mężczyzną, takim jak Vonvalt, o surowych rysach i siwiejących włosach. Jego wychudzoną twarz znaczyło czerwone jak wino znamię. Był ubrany w białe bryczesy i niebiesko-żółty kaftan, a do paska miał przytroczony sztylet.

– To ja – odpowiedział Vonvalt z wymalowanym na twarzy niesmakiem.

– Widzę, że lord Sauter pośpiesznie ściągnął pana do miasta.

– Owszem.

Na moment zapadło milczenie.

– Jestem zajęтым człowiekiem, Sędzio – rzucił ze zniecierpliwieniem sir Radomir.

– W takim razie dobrze się składa, że nie wymagam od pana poświęcenia zbyt wiele czasu.

Ponownie nastała cisza. Sir Radomir miał w tym wypadku ręce równie związane jak każdy, kto spierał się z cesarskim Sędzią... ale jak w wielu innych razach nie musiało mu się to wcale podobać. I, jak wszyscy inni, był świadomy mocy Vonvalta. Nawet w tak metropolitalnym mieście jak Galen's Vale trudno było wznieść się ponad stare opowieści i głupie plotki, które podążały za Sędziami, dokądkolwiek się nie udali.

– Kim jest ta dwójka? – zapytał sir Radomir, wskazując brodą w naszą stronę.

– To mój pomocnik, Dubine Bressinger, i sekretarz, Helena Sedanka.

– Grozodańczyk i Tolka. – Szeryf ponownie prychnął.

– I cóż z tego? – zapytał ostro Vonvalt.

Sir Radomir uderzył kciukiem w swoją pierś.

– Przez dwa lata walczyłem z Tolami na Rubieżach.

Vonvalt zrobił małe przedstawienie, rzucając mi powolne spojrzenie i wracając wzrokiem do szeryfa.

– Moja sekretarz jeszcze się nie urodziła, kiedy Wojna Imperialna dotarła do Muldau, sir Radomirze. Czy może ma pan w zwyczaju straszyć dziewiętnastoletnie dziewczyny?

Szeryf wzruszył ramionami, nie odpowiadając na przytyk.

– Sir Radomirze – wycedził Vonvalt przez zęby. – Zdaję sobie sprawę, że moja obecność w Galen's Vale może nie być mile widziana. Ale jestem tu, żeby dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość, czego z pewnością pan również chce.

Sir Radomir westchnął teatralnie, po czym ociągał się jeszcze, nim w końcu odpowiedział:

– W takim razie chyba lepiej, żeby pan wszedł... zanim przez was ucieknie stąd całe ciepło.

Weszliśmy za mężczyzną do komnaty. Pokój był zaskakująco dobrze urządony, z wyglądającymi na kosztowne meblami, dużym, tylko nieznacznie zapleśniałym dywanem i okutym w żelazo kominkiem, w którym płonął intensywny ogień. Wystrój nie pasował do szeryfa, który miał raczej niskie pochodzenie. Zaczęłam się zastanawiać, jaka była jego historia i w jaki sposób został szlachcicem.

W panującym w komnacie ciepłe zdjęliśmy płaszcze i usiedliśmy przy biurku, naprzeciw samego sir Radomira.

– Lord Sauter znalazł się w kłopotliwym położeniu, jeśli chodzi o śmierć lady Bauer. – Mężczyzna wskazał cynowe kufle przed nami, chociaż na biurku stało wino. – Napijcie się piwa?

– Nie, dziękujemy – odparł Vonvalt. – Czy lord Sauter był blisko z Bauerami?

– Lord Sauter jest blisko z każdym, kto zapewni mu bogactwo – odparł szeryf, chociaż wyglądał, jakby od razu pożałował swojej szczerości. – To by wyjaśniało, dlaczego potrafił spędzać każdą chwilę z lady Bauer. Była kiepskim towarzystwem, to pewne. – Ponownie westchnął, po czym podniósł kielich i upił łyk wina. – Powiem coś panu bez ogródek, Sędzio.

– Obawiam się, że już pan to robi – odparł Vonvalt.

– Kiedyś była piękną kobietą. Potem straciła syna, który umarł na ospę, i córkę, która poszła do klasztoru, i się zmieniła. Jej charakter się zmienił. Stała się melancholijna i zaczęła łatwo wpadać w gniew. Teraz, kiedy nie żyje, ludzie będą mówić o niej miłe rzeczy, ale, na Neme... to była zgorzkniała kobieta.

Bressinger poruszył się niespokojnie.

– Utrata dziecka to okrutne przeżycie – powiedział szybko Vonvalt. – Można by twierdzić, że najokrutniejsze z możliwych. Nie może pan jej o to winić.

– Wiem o tym – odparł lekceważąco sir Radomir. – Ale to coś innego. Nie wiem. Wydawało się, że chodziło o coś więcej. Była wręcz pochłonięta, ale nie tylko przez żal.

– Co ma pan na myśli?

Szeryf zamyślił się na moment.

– Nie. Nie wiem. Może pan to nazwać przecuciem. Nigdy nie dotarłem do prawdy. I prawdopodobnie nie dotrę, skoro lady już nie żyje. – Westchnął głęboko. – Nie jest dobrze, kiedy dama zostaje zamordowana... i zdaję sobie sprawę, że to twierdzenie, którego pan raczej od nikogo nie usłyszysz.

Vonvalt przechylił głowę.

– Rozumiem, o co panu chodzi.

– Połowa miasta się burzy. Oczywiście zwykli ludzie umierają albo są zabijani dość często – to normalne w miejscach takich jak to. Ale żona lorda... te wieści dotrą do barona Naumova w Roundstone, jeśli już nie dotarły. Być może nawet dalej. Jeśli przekroczą granicę Guelan i dotrą do uszu księcia, znajdziemy się w nie lada kłopotach. Ostatnie, czego pragnę, to królewski nos węszący w naszym mieście. Sama Nema wie, że mamy już wystarczająco dużo świń na ulicy Apteicznej.

– Lepiej niech pan zważa na język – powiedział ostro Vonvalt, lecz szeryf tylko machnął ręką. Vonvalt zacisnął usta. – Co jeszcze pan wie? Rozmawiał pan z lordem Bauerem?

Sir Radomir spojrział na niego cierpko.

– Sędzio, już dziesięć lat pilnuję porządku w Galen’s Vale. Oczywiście, że rozmawiałem z lordem Bauerem.

– I co powiedział?

Sir Radomir ponownie upił duży łyk wina, a gdy odstawił kielich, jego usta załśniły w blasku ognia.

– Jest przeświadczony, że za zbrodnię odpowiada jego konkurent w interesach.

– Doprawdy?

– Tak.

– Wymienił nazwisko tego człowieka?

– Tak.

Vonvalt odchrząknął, jak czynił to, kiedy starał się zapanować nad gniewem.

– Sir Radomirze, pomogę panu w tej sprawie.

– Sędzio, cesarz już ma odpowiednią osobę na miejscu, w dolinie, zdolną poprowadzić to śledztwo. Tą osobą jestem ja.

– Mogłem się domyślić.

– Nie podoba mi się to wygryzanie ze stanowiska.

– Niech pan nie przesadza. Nikt pana nie „wygryza ze stanowiska” – powiedział Vonvalt. – Prawo Powszechne pozwala mi przejąć dochodzenie. To kwestia jurysdykcji, a nie akt oskarżenia wobec pańskich umiejętności.

– Nadal mi się to nie podoba.

– Rzadko komu się podoba, sir Radomirze. Proszę czerpać pocieszenie z faktu, tak jak wszyscy inni przed panem, że nie ma pan w tej sprawie nic do powiedzenia. Jeśli pan sobie życzy, mogę przedstawić panu moje upoważnienia.

Sir Radomir skrzywił się. Jeszcze nigdy nie widziałam, by stróż prawa był tak niezadowolony, że musi odstąpić swoją sprawę. Wielu z nich cieszyło się, że zdejmowaliśmy z nich ciężar dochodzenia, które w licznych przypadkach okazywało się niewdzięczne, a w końcu bezowocne.

– Chciałbym, żeby ściśle mi pan pomagał – powiedział Vonvalt. – Wyraźnie jest pan człowiekiem, który szczeni się swoją pracą. Nie chcę robić sobie z pana wroga.

– Podzieli się pan zasługami, jeśli znajdziemy sprawcę?

– I wezmę na siebie pełną odpowiedzialność, jeśli śledztwo się nie powiedzie.

– To rzadko spotykane ustępstwo.

– Nie jestem próżny, sir Radomirze. Interesuje mnie jedynie wymierzenie sprawiedliwości.

Zaskoczony szeryf przyjrzał się Vonvaltowi.

- Zobaczymy.
- Zdradzi mi pan nazwisko tego człowieka, szeryfie. Drugi raz nie poproszę.
- Zoran Vogt – powiedział sir Radomir. – Rywal w interesach Bauera. Tych dwóch łączy długa historia. Są jak kłócące się ze sobą dzieci.
- Jakaś kryminalna historia?
- W przeszłości podejrzewałem ich obu o nieczne uczynki, ale nie byłem w stanie niczego udowodnić. Wielu wykorzystuje to miasto do zakazanego handlu. Rzeka płynie do samej Sovy.
- Współpracują ze sobą?
- Najwidoczniej, chociaż nie powiedziałby pan tego po sposobie, w jaki się zachowują. Ci nowi lordowie... wszyscy są do siebie podobni. „Książęta handlu”, jak nazywają ich ludzie. Oni lub ich ojcowie wynieśli korzyści z Wojny Imperialnej, po drodze dorabiając się szlachectwa. Teraz uważają, że prawo ich nie dotyczy.
- *De jura nietra iznia* – mruknął Vonvalt w wysokim saxańskim.
- „Nikt nie stoi ponad prawem” – przetłumaczył sir Radomir. – Chce mi pan zaimponować znajomością dworskiego języka, sir Konradzie?
- *Dość!* – rzucił Vonvalt, a jego głos poniósł się po komnacie niczym grzmot.
- Spojrzałam na niego ostro. Użył Głosu Cesarza albo przynajmniej jego śladu. Bressinger wyglądał na zaniepokojonego. Sir Radomir wyraźnie zbladł, a jego jabłko Adama poruszało się przez chwilę, gdy próbował coś powiedzieć. Szeroko otwartymi oczami rozejrzał się po pokoju, wyraźnie przerażony, że utracił zdolność mowy. Wyglądał jak człowiek, który właśnie zdał sobie sprawę, że tonie.
- Na krew Nemy, Sędzio – wychrypiał po dłuższej chwili. Z roztargnieniem przyłożył rękę do serca, a drugą przytrzymał się stołu, gdy prostował się na krześle. – To naprawdę potężna moc.
- I taka, której rzadko kiedy jestem zmuszony użyć – odparł Vonvalt stalowym głosem. – Jestem zmęczony, sir Radomirze, i mam szczerze dość pańskiej bezczelności. Dałem panu tyle swobody, ile tylko mogłem, zważywszy na to, że jest pan człowiekiem, dla którego najwyższą wartością jest sprawiedliwość. Nie będę jednak dalej znosił pańskiego braku szacunku. Powiedziałem, że przybyłem tu, by pomóc. Zamordowano kobietę, i to damę. Radziłbym o tym pamiętać. Nie jestem pańskim wrogiem.
- Sir Radomir przez chwilę dochodził do siebie, co wymagało wypicia kolejnych kilku dużych łyków wina. Dolał trunku do kielicha i odstawił go na bok.
- Co jeszcze chciałby pan wiedzieć? – zapytał nieco bardziej chrapliwym głosem.

– Proszę mi opowiedzieć o Bauerze i Vogcie. Wspomniał pan, że łączy ich jakaś wspólna historia?

Sir Radomir kiwnął głową.

– Kilka lat temu Vogt wniósł do nas skargę. Zarzucał w niej, że lord Bauer celowo dopuścił się sabotażu i zniszczenia dużego transportu zboża, który wysłał w dół rzeki. Vogt zakupił zboże na kredyt i to zdarzenie pogorszyło jego sytuację i pozycję.

– Nadrobił straty?

– Tak. Ale uważa, że poza znaczną ilością pieniędzy, ten incydent kosztował go tytuł szlachecki – prychnął sir Radomir. – I w tej kwestii może mieć rację.

Vonvalt zastanawiał się przez chwilę.

– Ale mówi pan, że ta skarga ma już kilka lat?

– Incydent z transportem zboża nastąpił z pewnością ponad dwa lata temu. Z uwagi na cesarskie rozporządzenie trzymamy rejestry takich zdarzeń. Mogę kazać przynieść je z archiwum.

– To by było bardzo pomocne, dziękuję.

– Poza tym lordowi Bauerowi nie przychodzi na myśl nikt, kto mógłby chcieć śmierci jego żony.

– Być może poza samym lordem Bauerem – powiedział Vonvalt. –

Z doświadczenia wiem, że w przypadku morderstw popełnianych na kobietach winny jest przeważnie mąż.

– Tak, ja również tego doświadczyłem. Przestrzegłem lorda Bauera, że nie jest poza moimi podejrzeniami. Ale choć bardzo nie lubię tego człowieka, instynkt podpowiada mi, że nie popełnił tego morderstwa.

– Nie? – zapytał Vonvalt.

– Jak już powiedziałem, Sędzio, pilnuję w Dolinie porządku – a przynajmniej czegoś, co go przypomina – już od dziesięciu lat. Przedtem byłem strażnikiem w Perry Ford, a także żołnierzem. – Skinął głową w stronę Bressingera. – Pan i pański pomocnik... walczyliście w Wojnie Imperialnej?

– Tak – odpowiedział Vonvalt.

– W takim razie wie pan, co robi z człowiekiem zabijanie. Jak zmienia ludzki umysł. Nie można beznamytnie zabić drugiej osoby, nawet jeśli chodzi o wroga. Lord Bauer może i ma ponure oblicze, ale nie jest mordercą. To nie w jego stylu.

– Rozumiem – powiedział Vonvalt.

Pomimo trudnego wstępu i wzajemnej niechęci, widziałam, że zaczął szanować sir Radomira.

– Oczywiście nie mam pańskich mocy – powiedział szeryf.

– Nie, ale uważam, że zawodowy instynkt czasami jest nawet bardziej niż wystarczający – odrzekł Vonvalt. – Czy lady Bauer miała jakichś wrogów,

o których panu wiadomo? Czy miała romans? A może natknęła się na jakąś informację, której nie powinna była poznać?

Sir Radomir wzruszył ramionami.

– Jeśli tak było, to przez moje biurko nie przeszła na ten temat żadna notatka. Kazałem moim ludziom nadstawiać ucha, ale... – Ponownie wzruszył ramionami. – Przyznam się panu, Sędzio, że nie jestem w tej kwestii pomocny. Nie znajduję tu żadnego wyjaśnienia. A to cholernie mi dokucza.

– Potrafię to sobie wyobrazić – powiedział z roztargnieniem Vonvalt. Widziałam, że ta sprawa już zaczyna mu doskwierać. Po chwili wstał z krzesła. – Na dzisiaj to wszystko. Dziękuję za pański czas, szeryfie.

Sir Radomir również się podniósł.

– Żaden problem. Mam nadzieję, że wkrótce rzucimy na tę sprawę nieco światła. W całej swojej karierze strażnika prawa nie natknąłem się jeszcze na taki przypadek. Nawet w Perry Ford nie zabijano żon lordów.

– W Sowie to również rzadkość, szeryfie – odparł Vonvalt. – Ale kiedy coś takiego już się zdarzy, człowiek nie zdąży dwa razy odetchnąć, a sprawca już zostaje złapany. – Wyjrzał za okno, na zapadającą szybko ciemność, po czym ponownie spojrzął na sir Radomira. – Minęły dwa dni od morderstwa lady Bauer, a nie widać nic, oprócz rozkładających się zwłok. Jeśli mamy dotrzeć do sedna tej sprawy, musimy działać szybko.

IV

Lord Bauer

„Jedynie Sędzia potrafi zauroczyć człowieka, by zaczął mówić, kiedy nie jest to jego zamysłem”.

Cytat z *Podstaw sowańskiego prawa cywilnego* Caterhausera

Opuściliśmy strażnicę i udaliśmy się do rezydencji lorda Sautera. Chmury w końcu rozerwały się i w powietrzu zaczął wirować śnieg. Byłam wdzięczna za bogactwo miasta i wyłożone brukiem ulice; przedzieranie się przez błotnistą pluchę w zimnych i przemoczonych butach to kiepska sprawa.

– To twardy człowiek – powiedział do Vonvalta Bressinger.

Vonvalt chrząknął.

– Nie obeszło mnie jego zachowanie i to, że jest pijakiem – powiedział. – Ale mówi konkretnie. I to się liczy.

Szliśmy szybko w panującym zimnie. Podczas minionej godziny rynek został zamknięty i ulice niemal opustoszały, jedynie dziwny strażnik leniwie przechadzał się po bruku. Zatrzymał nas, uznając za obcych, po czym rozpoznał w Vonvalcie Sędziego. Zanim dotarliśmy do domu lorda Sautera, zaczął zapadać już zmrok i rozległo się bicie miejskich dzwonów, sygnalizując początek godziny policyjnej i zamknięcie na noc bram miasta.

– Sir Konradzie – powiedział strażnik, zrywając się na nogi, gdy zbliżyliśmy się do rezydencji. Dom był otoczony płotem z kutego żelaza, a jedyne przejście, jakie do niego prowadziło, stanowiła duża brama. Po obu jej stronach stały dwie ceglane kolumny. – Lord Sauter przesyła pozdrowienia; został wezwany w pilnej sprawie i nie może wam dzisiaj towarzyszyć. Wydał jednak polecenie, by zajęto się wami w tym czasie.

– Bardzo dobrze – odparł Vonvalt, gdy przeszliśmy przez bramę.

Widziałam, że w głębi ducha ucieszył się; myśl o uprzejmej rozmowie – albo, co gorsza, jałowej dyskusji – która miałyby się toczyć przez kolejne kilka godzin, nie była zbyt pociągająca. Dla Vonvalta było to męczące, ale mnie, asystentce mającej siedzieć w milczeniu, ale nadal udawać zainteresowanie, coś takiego wydawało się śmiertelnie nudne.

Poprowadzono nas przez duże wejściowe drzwi i skierowano do hallu. Wnętrze domu było równie imponujące jak jego elewacja. Resztki światła wpadały przez witrażowe okna, rzucając na podłogę kolorowe plamy niczym migoczący przez pryzmat klejnotów płomień. Panowało tu niemal przytłaczające gorąco, które sugerowało płonący w wielu pokojowych kominkach ogień. Ściany pokrywały grube tapety, a na podłogach leżały dywany. Meble wyglądały na kosztowne; w rzeczy samej, sądząc po ich stylu, niektóre wyraźnie sprowadzono z obcych krajów. Był to dom opływający w ostentacyjne bogactwo.

Służba wskazała nam pokoje na najwyższym piętrze. Vonvaltowi przydzielono dużą sypialnię z podwójnym widokiem, mieszczącą się w narożniku budynku. Jedno z okien wychodziło na płynącą w oddali rzekę, podczas gdy drugie na szeroką ulicę rzemieślniczą. Jednak niewiele było przez nie widać. Padał gęsty śnieg, a miejskie lampy pochłonęła ciemność.

Bressingerowi i mnie wskazano wspólny pokój, który od komnaty Vonvalta oddzielało jeszcze jedno zamknięte pomieszczenie. Z rozczarowaniem zauważyłam tylko jedno łóżko, chociaż nie byłam zbytnio zaskoczona; Bressinger i ja już w przeszłości dzieliliśmy pościelenie i chociaż go lubiłam, musiałam przyznać, że podczas snu był głośny i okropnie się wiercił. Na szczęście niedługo po naszym przyjeździe poszedł na dziwki.

Nie mogłam się doczekać gorącego posiłku i tego, by przyłożyć głowę do poduszki, ale wkrótce po tym, jak rozłożyliśmy się w pokojach, Vonvalt zaproponował, bym dołączyła do niego w jego komnacie. Ponownie zalała mnie fala rozczarowania. W ostatnim roku byłam coraz bardziej zmęczona naszym życiem w ciągłej podróży i straciłam iluzję co do mojej praktyki jako asystentki Sędziego. Nie byłam w nastroju na jedną z naszych naukowych sesji.

– Usiądź, Heleno – powiedział, gdy weszłam do jego pokoju, wskazując wygodnie wyglądający fotel.

Vonvalt zdjął już płaszcz i kurtkę i teraz miał na sobie tylko koszulę i bryczesy. Siedział rozluźniony na ławie przy oknie, paląc fajkę. Wiedziałam, że nakazał już przygotowanie dla siebie kąpieli późnym wieczorem. Korzystał z każdej możliwości, by się wykapać.

– Co o tym myślisz? – zapytał.

– O czym? – odpowiedziałam pytaniem. Byłam w zbyt kiepskim nastroju, by maskować zuchwałość.

Przez jego twarz przemknęła irytacja.

– Ogólnie o wszystkim – powiedział. – O sir Radomirze. Lordzie i lady Bauer. Dokonałaś już jakichś wstępnych spostrzeżeń?

Już chciałam westchnąć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymałam. Vonvalt był cierpliwym człowiekiem, ale wzdychanie – to była bezczelność. Nawet w tak podłym nastroju potrafiłam to ocenić. Mimo to, podobnie jak w przypadku wielu poprzednich sesji, istniało mnóstwo przesłanek, które świadczyły, że ta dyskusja będzie długa i nudna. Nie było tu żadnego precedensu, żadnej struktury, za którą można by podążać; sesje różniły się tylko długością i treścią. Czasami były to lekcje, podczas których Vonvalt siadał i edukował mnie w tematach takich jak prawodawstwo, historia i Wojna Imperialna (choć na szczęście nigdy nie matematyka, w której nie był zbyt dobry). Innym razem starał się zaangażować mnie w debatę, w której niezmiennie mnie miażdżył, przez co na koniec płonęłam z gniewu i urazy. Czasami jednak po prostu ze sobą rozmawialiśmy. Bądź co bądź Vonvalt był człowiekiem i bywało, że nachodziła go chęć na towarzystwo.

Moja niechęć do tych sesji wynikała, jak sądzę, z dwóch przyczyn. Pierwszą było to, że zaczynałam tracić zainteresowanie jego praktyką. Według mnie była to w większości harówka. Podróż po peryferiach Imperium ujawniła szeroki wachlarz przestępstw, jednak ogromna większość z nich była bez znaczenia lub niskiego szczebla. Wszystkim, co poważniejsze lub bardziej ekscytujące, Vonvalt zwykł zajmować się zupełnie sam, zważywszy na mój brak doświadczenia i relatywnie młody wiek. Ja natomiast, jak każda młoda i impertynencka kobieta, nie cierpiałam takiego podejścia.

Z drugiej przyczyny zdałam sobie sprawę o wiele później i był to strach, że rozczaruję Vonvalta. Uratował mnie od okropnej egzystencji na ulicach Muldau i zawdzięczałam mu wszystko, w tym również życie. Ponieważ było jasne, że chciał mnie ukształtować na własne podobieństwo, bym pewnego dnia mogła wstąpić do Zakonu, czułam się zobowiązana odpłacić za tę wiarę sumiennością i pracowitością. Kiedy zaczęłam rozważać myśl, że go zawiodłam, poczułam się niegodna i zareagowałam niechęcią, co z kolei doprowadziło do jeszcze większej urazy.

Wspomnienie o tym, jak się wtedy czułam i zachowywałam, przepełniło mnie wstydem, ale – oczywiście – byłam tylko dziewczyną. Młodzi i niedoświadczeni muszą mieć trochę swobody.

– Sądzę, że lord Bauer zabił swoją żonę – powiedziałam z lekceważeniem. – To, co szeryf mówi o Vogcie, że jest w jakiś sposób za to odpowiedzialny, to tylko jego przypuszczenia.

– Nie wierzysz w instynkt sir Radomira?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie oceniam wysoko niczego, co powiedział. Ten facet to fanatyk. Słyszałeś, jak się wyrażał o mnie i Bressingerze.

Vonvalt zbył moje słowa machnięciem ręki, jakby były dymem z fajki.

– Większość ludzi nie ufa swoim najbliższym sąsiadom, a co dopiero ludziom z obcego kraju. Jako Hauner, sir Radomir jest symbolem zwyczajnych Sovan. Nasza tolerancja na inne kultury i wyznania stanowi wyjątek, a nie regułę... przynajmniej tak daleko, jak teraz jesteśmy od Sovy.

– Ale to nie znaczy, że mamy to akceptować.

Pogardliwe nazwanie mnie Tolką zirytowało mnie bardziej, niż zdawałam sobie z tego sprawę. Vonvalt, odnosząc się do mnie jako wyjątku, był o wiele za hojny w swoim osądzie. Został wcielony do Legionów i zabił własnych pobratymców, Jägelandczyków, Grozodan, a zapewne i niejednego Tola, nim Zakon przyjął go jako nowicjusza, a mimo to nie pozwolił, by cokolwiek z tego przesłoniło mu osąd. Dla niego wszyscy byli Sovanami, ponieważ wszyscy podlegali powszechnemu prawu. Ja, chociaż nasza praca pozbawiła mnie pewnej dozy nietolerancji, nadal – jak każdy Tol – nie lubiłam Haunerów, takich jak sir Radomir czy – Nemo, dopomóż – Jägelandczyków, jak Vonvalt. Bądź co bądź Jägeland, Haunersheim i Tolsburg rzucały się sobie do gardeł przez stulecia, nim Autun przejął władzę. Nienawiść wobec siebie nawzajem była czymś normalnym. Trudno nie ubrudzić się błotem, kiedy się w nim siedzi.

– Nie twierdzę, że to akceptowalne, tylko że to typowe – odparł Vonvalt. – Czyżbyś twierdziła, że jesteś ponad to? Zwiedziliśmy kawałek – i naprawdę mam na myśli kawałek – tego Imperium, Heleno, ale na świecie istnieje o wiele więcej rzeczy niż podboje Sovy. A co z ludźmi o innym kolorze i strukturze skóry? Widziałem statki handlowe na rzece Treba przepełnione ludźmi o skórze czarnej jak smoła. Kasarzy na południu to ludzie-wilki. Spójrz na strażnika cesarza, on jest Kasarem. – Pociągnął dym z fajki. – I wszystko, co znajduje się pomiędzy. Przyznaję, że twoje podróżowanie zapewniło ci wgląd w istnienie innych ludzi, ale wszyscy oni są do siebie podobni – mniej lub bardziej – i zachowują się podobnie, pomimo dzielących ich różnic.

– Dubine jest ciemnoskóry – powiedziałam. – I jestem z nim blisko.

– Dubine jest Grozodaninem – prychnął Vonvalt. – W młodości za dużo czasu spędził na słońcu. Nie ma ciemnej skóry... nie w takim sensie, o jakim myślisz. Jakbyś się czuła w towarzystwie człowieka z Pogranicza?

– Wcale by mi to nie przeszkadzało.

– No tak – mruknął Vonvalt. – Chodzi o to, że nie powinniśmy przyjmować, że fanatyzm sir Radomira przesłania jego instynkt w kwestii lorda Bauera. Mimo że marnie świadczy o jego charakterze.

– A co, jeśli podejrzany był cudzoziemcem? – zapytałam.

Vonvalt myślał przez chwilę.

– To nie ma znaczenia. Magistrat mówi jasno: prawo należy stosować równo wobec wszystkich na terenie Imperium, a każdy, kto pochodzi spoza jego granic, wszelako dobrowolnie poddaje się jego jurysdykcji. – Uciekł się do cytatu, jak zawsze, kiedy nie czuł się zbyt pewnie. W gruncie rzeczy byłam przekonana, że się mylił. Pytanie tylko, czy był naiwny, czy tylko takiego udawał, żeby wciągnąć mnie w dyskusję.

– Ale zgadzasz się, że to, co Magistrat nakazuje w rozporządzeniu, że powinno się wydarzyć, i to, co dzieje się w praktyce, to często dwie różne rzeczy?

Ponownie pociągnął z fajki.

– Naturalnie, Heleno – odparł. Musiał się ze mną zgodzić, gdyż prawda tkwiąca w tym, co powiedziałam, była bezsporna. – Właśnie to jest sens naszego istnienia.

Zazgrzytałam zębami. Jeszcze rok temu w takiej sytuacji bym się poddała. Ton Vonvalta miał sprawić, bym poczuła się głupio, i był często stosowaną sztuczką stróżów prawa. Wiedziałam jednak, w dużej mierze dzięki jego naukom, że zaledwie zrobił unik w tej kwestii.

– Nie mówię o celu istnienia Sędziów – powiedziałam stanowczo. – Mówię o stosowaniu przepisów sovańskiego prawa. Stróż prawa może sądzić cudzoziemca – a w gruncie rzeczy każdego, kogo osobiście nie lubi – surowiej, niż pozwala na to prawo, ze względu na jego wygląd zewnętrzny.

– I właśnie to jest cel prawa powszechnego i precedensu. Właśnie dlatego zapisujemy wszystkie nasze odkrycia i dlatego odsyłamy rejestry do Biblioteki Prawa, by urzędnicy sprawdzili, czy prawo stosuje się jednakowo.

– To proces, który zajmuje miesiące, a czasami nawet i lata! – zawołałam. – To małe pocieszenie dla kogoś, kto stracił głowę za popełnienie przestępstwa, które tydzień później może nie wymagać takiej kary!

Vonvalt jedynie wzruszył ramionami.

– Jedną z wielkich zalet powszechnego prawa jest to, że z czasem może się zmieniać, by nadal mieścić się w ramach społecznych zwyczajów. Wymień lepszy system. Z pewnością prawa panujące w Tolsburgu były najbardziej niechlujną kolekcją przepisów, jaka kiedykolwiek istniała.

Poczułam, jak moja chęć kontynuowania dyskusji powoli zanika. Nie miałam pojęcia o prawie panującym w Tolsburgu, jako że stało się nieaktualne, a Vonvalt miał odpowiedź na wszystko, nawet, jak się okazało, na najbardziej niezaprzeczone z twierdzeń.

– Nie wiem – powiedziałam ze znużeniem.

Sesja zaczęła się rozmową, a potem przeszła w dyskusję na temat etyki prawa. Vonvalt najwyraźniej był w jednym ze swoich dziwnych i wojowniczych nastrojów, których często bywałam pierwszą ofiarą.

Vonvalt westchnął, a z jego ust buchnął obłok fajkowego dymu. Było jasne, że ta sesja również jemu nie dała satysfakcji.

– Chciałbym, żebyś rano przyniosła rejestry miejskie spisywane od czasu wizyty ostatniego Sędziego. Podejrzewam, że była to Resi August, bo zdaje się, że podążamy jej śladami, jakkolwiek stare się wydają. Potem weźmiesz zapiski od sir Radomira na temat skargi wniesionej przez pana Vogta przeciwko lordowi Bauerowi. Przynieś je i nakaz też służbie, by wstawili tutaj większy stół. Wtedy możesz zacząć się z nimi zapoznawać.

– W porządku – powiedziałam, niezdolna odmówić, lecz nadal pałając niechęcią.

Vonvalt przyglądał mi się przez chwilę.

– Idę wziąć kąpiel. Zobaczymy się na dole, przy kolacji.

– Nie jestem głodna – wymamrotałam, wyraźnie mijając się z prawdą.

Zamilkł na moment.

– W takim razie dobranoc – powiedział, nie wnikając w powód mojego rozgoryczenia, po czym zgasił fajkę.

Wstałam z fotela i wyszłam zadowolona, że uwolniłam się od jego towarzystwa. Weszłam do pokoju, który przydzielono mi i Bressingerowi, i rzuciłam się na łóżko. Leżałam tak przez chwilę, aż zyskałam pewność, że Vonvalt zszedł na dół, po czym rozebrałam się, wsunęłam pod kołdrę i zgasłam lampę.

* * *

Wstaliśmy wraz ze słońcem, co oznaczało, że mogliśmy poleżeć w łóżku dłużej w czasie tych ciemnych zimowych miesięcy. Po wielu tygodniach w drodze, krótkich pobytach w przygodnych zajazdach lub naprędce zorganizowanych obozowiskach, przeraźliwie niskich temperaturach i w nieustannym strachu przed atakiem dzikich zwierząt lub rabunkiem, luksusowe łóżko w pokoju gościnnym lorda Sautera było miłą odmianą. Służba również wstała wcześniej rano i rozpałała w kominkach; ciepło z niższych pięter zdążyło już wypełnić moją sypialnię i sprawiło, że odrzucenie kołdry było o wiele łatwiejsze.

Bressinger wrócił niedługo po tym, jak się obudziłam, cuchnąc piwem. Przyglądałam mu się, gdy rozbijał się po pokoju. Był przystojnym mężczyzną, to nie ulegało wątpliwości – nawet bardziej przystojny od Vonvalta, którego

naturalnie opadające kąciki ust sprawiały, że jego twarz zmieniała się w maskę ciągłego niezadowolenia. Obaj mężczyźni mieli ciemne włosy, chociaż te Bressingera – które nosił ściągnięte w kucyk – były ciemniejsze, podobnie jak oczy i skóra. Jego najbardziej charakterystyczną cechą były wąsy, których za bardzo nie lubiłam i które nie były powszechnie spotykane poza Grozodą i być może też częścią Venlandu. Bressinger był też bardziej umięśniony i lepiej się ubierał... chociaż to nie do końca było sprawiedliwym porównaniem, jako że Vonvalt przez większość dnia musiał nosić swoje oficjalne szaty Magistratu.

Co do zachowania, Bressinger miał jakby dwie osobowości. Jednego dnia potrafił być pełen energii, flirtując z miejscowymi kobietami, tocząc werbalne pojedynki z Vonvaltem i zanudzając nas grozodańskimi piosenkami i ludowymi opowieściami, a następnego stawał się melancholijny, spędzając czas w posępnym milczeniu i wdając się w bójki w przydrożnych zajazdach. Wiem, że podczas Wojny Imperialnej walczył wraz z Vonvaltem i z wielkim talentem władał mieczem, chociaż na tym etapie nie miałam pojęcia, w jakich okolicznościach się spotkali ani jak Bressinger został pracownikiem Vonvalta.

Jedno natomiast było pewne: Bressinger zawzięcie chronił swojego pana i nie zawahałby się zainterweniować, gdyby uznał, że jestem nieuprzejma lub bezczelna.

Patrzyłam, jak porusza się po pokoju... jakby kierowała nim jakaś magiczna siła, a nie własna wola. Nie wiedziałam, co porabiał podczas tych długich nocy. Z pewnością goszczenie w łózkach miejscowych prostytutek było ich częścią... ale tylko częścią. Wiedziałam, że dużo pił i czasami wracał z zaczerwienionymi oczami, jakby wiele godzin spędził, oplakując kogoś. Po tym, jak wyglądał i jak mnie ignorował, poznałam, że lepiej będzie, jeśli przez jakiś czas będę go unikać. Ubrałam się i zesłam na dół, po czym nałożyłam płaszcz, wyszłam na mroźne poranne powietrze i ruszyłam w dół ulicy. Przy bramie zobaczyłam stertę drobiazgów, kwiatów i świec, razem z dziwnie napisaną wiadomością, której Vonvalt nigdy nie przeczytał. Większość podarków przykrywał śnieg, inne jednak wystawały nad jego powierzchnię niczym kości żołnierza na polu walki. W odległym końcu ulicy dostrzegłam też kilku włóczędów, lecz siarczysty mróz i obecność strażników trzymała ich na dystans.

Wyszłam na ulicę i zatrzymałam się. Strażnik miejski – ten sam, który dzień wcześniej eskortował Vonvalta do Galen's Vale – siedł naprzeciwko mnie, wzdłuż bramy do posiadłości burmistrza. Kiedy mnie zobaczył, również przystanął.

– Dzień dobry – powiedział, a na zimnym powietrzu z jego ust dobiegła się para. Podobnie jak ja miał grubą płaszcz, który narzucił na zbroję, a jego zaczerwienione policzki zdradzały, że jest tu już od jakiegoś czasu.

Moje serce zatrzepotało. Z całą pewnością był atrakcyjny, z szerokimi ramionami i kwadratową szczęką z kompletem całkiem przyzwoitych zębów. Jako sierota dorastająca na ulicach i w przytułkach Muldau wiodłam ciężkie życie z dnia na dzień, które zahartowało moją duszę. Jednak dwa lata spędzone przy wybrednym sposobie bycia Vonvalta i jego ojcowsko-cesarskiej opiece ponownie mnie złagodziły, przez co odzyskałam odrobinę niewinności. Gdyby ten strażnik zbliżył się do mnie dwa lata temu, szybko bym się z nim rozprawiła, i to w bardzo niewybrednych słowach. Teraz poczułam, jak moje policzki oblewają się rumieńcem.

– Dzień dobry – odpowiedziałam.

– Jak się nazywasz?

– Helena Sedanka – odparłam niepewna, co mam zrobić z rękami. W końcu złączyłam je przed sobą. – A ty?

– Jestem Matas – powiedział i od razu dodał: – Aker. Ze straży miejskiej.

Jakby to nie było oczywiste. Mimo to chciał mi zaimponować i stanął tak, by jego miecz – wyglądający na kosztowny oręż w porządnej skórzanej pochwie – do mnie przywarł. Teraz uśmiecham się na myśl, że to rzeczywiście mi zaimponowało. Byłam po prostu głupią dziewczyną, oczarowaną młodym żołnierzem.

Staliśmy w niezręcznym milczeniu. Ja, która często warczałam i docinałam Bressingerowi i Vonvaltowi, dwóm weteranom Wojny Imperialnej i cesarskim agentom, nie potrafiłam znaleźć słów, by odezwać się do prowincjonalnego żołnierza.

– Dokąd idziesz? – zapytał. Musiał być rok lub dwa starszy ode mnie.

– Zmierzam do sądu i strażnicy – powiedziałam. – W sprawach służbowych.

– Co za przyjemny zbieg okoliczności – odparł Matas. – Ja również idę do strażnicy. Właśnie skończyłem patrol. Może mógłbym pójść z tobą?

– Rób, co chcesz – odpowiedziałam. Moje słowa zabrzmiały ostro, chociaż nie miałam takiego zamiaru.

Ruszyliśmy razem przez śnieg. Ulice były ciche, lecz ci, którzy odważyli się wczesnym rankiem wyjść, przystawali i lekko kłaniali się Matasowi.

– Jesteś tu znany – mruknęłam.

Uśmiechnął się, a uśmiech miał piękny.

– Dajemy się tu zauważyć – powiedział. – Straż jest dobrze dofinansowana w Galen's Vale. To nam pozwala na organizowanie regularnych patroli miasta. Lord Sauter uważa, że bezpieczne miasto to dobrze prosperujące miasto.

– Jak długo już służysz w straży?

Widziałam, że moje pytanie go nie ucieszyło.

– Niezbyt długo – odpowiedział w końcu. – Sześć miesięcy. Widzisz, trzeba być w odpowiednim wieku, by dołączyć do strażników.

Skręciliśmy za targowiskiem, na którym handlarze i podróżni stawiali swoje stoiska.

– A ty czym się zajmujesz? – zapytał. – Widziałem cię wczoraj. Pracujesz z Sędzią?

– Jestem jego asystentką – odpowiedziałam.

– Nie jesteś szczęśliwa?

Mój głos musiał mnie zdradzić. Podniosłam na niego wzrok.

– Nie, jestem – powiedziałam. – To dobra praca i otwiera dla mnie wiele drzwi. Sir Konrad widzi też we mnie Sędziego.

– Nie słyszałam o kobiecie, która pracowałaby jako Sędzia.

– Jest ich dość sporo – powiedziałam. – W kwestiach prawnych Autun nie widzi różnicy pomiędzy kobietami i mężczyznami. „Wszyscy mogą być osądzeni, więc wszyscy mogą i sądzić” – zacytowałam starego prawnika. Był to jeden z ulubionych cytatów Vonvalta.

– Jesteś więc wykształcona – powiedział Matas, chociaż nie było dla mnie jasne, czy to go onieśmieliło, czy nie. Z doświadczenia wiedziałam, że często tak było, w szczególności w przypadku mężczyzn. – Byłaś tam? W Sovie?

– Nie – odparłam szybko. – To znaczy jeszcze nie. W końcu tam dotrzemy, ale dopiero za kilka miesięcy.

– Jak długo już podróżujecie?

– Prawie dwa lata.

– Błogosławiona Nemo! To żadne życie.

Wzruszyłam ramionami, czując dziwną potrzebę, by zaprzeczyć.

– Można się do niego przyzwyczaić. Poza tym nasza funkcja jest naprawdę ważna.

– W to nie wątpię. Ale czy to cię nie męczy? Nieposiadanie domu, do którego można wrócić?

Poruszyłam się niespokojnie. Nie lubiłam dzielić się przeszłością z nieznajomymi, a w szczególności z tymi, którzy mi się podobali.

– Przez długi czas nie miałam domu – powiedziałam.

– To wielka szkoda – odparł Matas.

– A ty? – zapytałam szybko. – Całe życie mieszkasz w Galen's Vale?

Skinął głową.

– Moja matka zmarła na ospę, kiedy byłem dzieckiem, ale nadal mieszkam z ojcem. Został ranny, walcząc z Tolami na Rubieżach, i od tego czasu nie może poruszać nogami.

– Przykro mi – powiedziałam z powagą. Nie poddam się, jak w przypadku sir Radomira. Jeśli Matas miał problem z moim pochodzeniem, będę się z nim spierać, czy mi się podobał, czy nie.

– Rozumiem, że jesteś Tolką, tak? – zapytał bez złości. – Sedanka to nazwisko z Rubieży.

– Tak, jestem – odparłam. – Czemu pytasz? Przeszkadza ci to? Kiedy Wojna Imperialna dotarła do Muldau, nie było mnie jeszcze na świecie.

– Nie, nie przeszkadza – odparł pośpiesznie Matas. – Nie mam do nich żadnych pretensji. Poza tym teraz i tak wszyscy jesteśmy Autunami. Z pewnością to jedyne, co zawsze wiedziałem.

Uspokoiliłam się i posłałam mu zmieszany, nieszczerzy uśmiech. Byłam na siebie zła; Matas był przyjaźnie nastawionym młodzieńcem, a ja okazałam się dziwnym i kiepskim towarzystwem.

Skręciliśmy w ulicę wiodącą do Bramy Veldelin. Sąd znajdował się jedną czwartą drogi przed nami – bogato zdobiony budynek najeżony wieżyczkami o stożkowych dachach z szarymi dachówkami, udekorowany wilgotnymi, sovańskimi chorągiewkami. Strażnica stała dalej, tuż przy miejskim więzieniu.

– Co sądzisz o morderstwie lady Bauer? – zapytałam, gdy zbliżyliśmy się do sądu, świadoma, że nasz wspólny czas dobiega końca.

Matas wzruszył ramionami.

– To z pewnością śmiertelnie poważna sprawa – powiedział. – Normalnie w przypadku morderstwa za żadne skarby nie da się powstrzymać mieszkańców od wskazywania winnego i w rezultacie mamy listę podejrzanych długą jak moja ręka. – Zamilkł na chwilę. – Teraz jest inaczej. Nie mamy nikogo. Sir Radomir zawzięcie twierdzi, że lord Bauer tego nie zrobił, jakkolwiek nieprzyjemny jest z niego człowiek. Nikt inny nic nie widział ani niczego nie słyszał. Przeszukaliśmy południową dzielnicę i nie znaleźliśmy śladu po nagłym wzbogaceniu się kogokolwiek, co mogłoby wskazywać na nieudany rabunek. I nikt nie strzepił języka, nawet na temat własnych przemyśleń, jeśli wiesz, o co mi chodzi. To tak, jakby lady po prostu zniknęła. Gdyby nie to pęknięcie na jej czasce... – mówiąc to, stuknął palcem w bok hełmu – ...wszyscy pomyśleliby, że źle postawiła stopę, przechodząc przez rzekę, i utonęła. Gale jest głęboka i ma zdradziecki prąd. Gdyby nie ten korzeń, chłopak Toma Bevitta nigdy by jej nie zobaczył.

Zadrżałam na myśl o zwłokach lady Bauer bezwładnie przewracających się pod wodą i miotanych przez prądy.

Matas westchnął.

– To wszystko jest mi obce. Sir Radomir ma jednak własne teorie.

– Podejrzewa kogoś konkretnego? – naciskałam dalej.

– Nie wiem – powiedział. – Na Neme, już i tak powiedziałem za dużo. Nie wolno nam o tym mówić. Poza tym nie miałem z tym zbyt dużo do czynienia. Sir Radomir ma grupę strażników, którzy specjalizują się w zadawaniu pytań, zgodnie z rozporządzeniami Sovy.

– Rozumiem.

Dotarliśmy do sądu i zatrzymaliśmy się przed jego imponującą bramą. Nad jej skrzydłami duży kamienny posąg dwugłowego wilka patrzył złowieszczo na przechodniów, a jeszcze wyżej na ścianie wyryto w wysokim saxańskim: „*De Jura Nietra Iznia*” – „*Nikt nie stoi ponad prawem*”.

– Mówiłaś, że chcesz zabrać rejestry również ze strażnicy?

– Tak – odparłam.

– Może mógłbym ci w tym pomóc?

Wiedziałam, że jeśli będę dłużej z nim flirtować, przegapię rozmowę Vonvalta z lordem Bauerem, którą zaplanował na ten rano. Nie chciałam marnować więcej czasu na tę sprawę.

– Nie trzeba, dziękuję – odparłam z żalem. – Zebranie ich pójdzie szybko.

Wyglądał na rozczarowanego.

– Do ponownego spotkania, Heleno. – Jego odniesienie do przyszłości mnie zachwyciło.

– Do zobaczenia – powiedziałam, również pragnąc go jeszcze zobaczyć.

W jednej chwili się rozpromienił.

– Zatrzymaliście się w rezydencji lorda Sautera?

– Tak, ale nie mam zbyt dużo wolnego czasu – powiedziałam. – Może mogłabym przesłać wiadomość do strażnicy, kiedy będę miała chwilę?

Kiwnął głową.

– To może się udać.

Staliśmy skrępowani na śniegu.

– Bywaj więc – powiedziałam w końcu, niezręcznie bawiąc się obrzeżem płaszcza.

Dotknął krawędzi hełmu.

– Bywaj – odparł i ruszył dalej.

Nie wiem, czy się obejrzał; zdążyłam już wejść do sądu.

* * *

Nie dałam rady zabrać z sądu zapisków o przestępstwach, gdyż były zgromadzone w zbyt wielu tomach, udało mi się jednak wziąć rejestr kryminalny od dyżurnego sierżanta w strażnicy. Szybko wróciłam tą samą drogą, którą przyszedłam, mijając ulice zapełniające się z minuty na minutę wynędzniałymi

ludźmi. Przeszłam przez targowisko i zatrzymałam się, by sprawdzić czas na dużym zegarze na wieży, starając się przy tym zignorować zwłoki zamrożonych żebraków przy dzwonnicy. Dochodziła dziewiąta.

Przyśpieszyłam kroku i znalazłam się przy domu lorda Sautera w samą porę, by dostrzec Vonvalta i Bressingera zmierzających ścieżką do bramy rezydencji. Obaj byli odziani w imponujące stroje, które podkreślały ich funkcje cesarskich urzędników, w tym w oficjalne, wykończone futrem płaszcze.

– Zwolnij, Heleno, poślizgniesz się na lodzie! – zawołał z irytacją Bressinger. Podejrzywałam, że cierpiał na potężny ból głowy.

– Sir Konradzie – powiedziałam.

Zatrzymał się natychmiast.

– Tak?

Powiedziałam mu o tym, że nie zdołałam zabrać zapisków z sądu, jednak wyraźnie go to nie poruszyło.

– Nie mam czasu się tym teraz zajmować – rzucił. – Miałem nadzieję, że wykazesz się pewną inicjatywą, Heleno. Powinnaś zacząć przeglądać je już w archiwum.

– Wybacz – wymamrotałam. – Bardzo chciałam towarzyszyć ci w rozmowie z lordem Bauerem.

Vonvalt złagodniał. Nie mógł być zły, że okazuję zainteresowanie naszą pracą; ale też uwierzył – prawidłowo – że bardziej interesowało mnie patrzenie, jak lord wije się podczas przesłuchania, niż mozolne przeszukiwanie akt, tak jak to on niegdyś musiał robić. Mimo to czasami mi dogadzał, a ja szybko to wykorzystywałam.

Bressinger patrzył na nas zmrużonymi oczami.

– W takim razie przydadaj się na coś – mruknął Vonvalt. – Połóż ten rejestr w mojej komnacie i weź swój dziennik obecności. Jednak będziemy mieć notatkę z wywiadu – dodał do Bressingera.

– Dziękuję – powiedziałam z uśmiechem i pośpiesznie ruszyłam wykonać polecenie. Kiedy wróciłam, przekonałam się, że żaden z nich na mnie nie zaczekał, i w efekcie musiałam pytać licznych strażników i przechodniów o drogę. Dogoniłam ich obu przy bramie lorda Bauera.

Lord Bauer mieszkał w dużym domu, podobnym z wyglądu do rezydencji lorda Sautera, z tym że z obu stron stykał się z innymi budynkami. Takich budowli było około dwudziestu, zaledwie ulicę bądź dwie od portu, gdzie na lekkim wietrze kołysał się i skrzypiał las masztów. Vonvalt mocno zastukał w drzwi odzianą w skórzaną rękawicę pięścią. Chwilę później otworzyły się i powitała nas młoda służąca o zaczerwienionych oczach i w żałobnym stroju. Zza jej pleców buchnęło w nas ciepłe od ognia kominka powietrze.

– Jestem Sędzia sir Konrad Vonvalt – powiedział Vonvalt łagodnie. – Przyszedłem zobaczyć się z lordem Bauerem. Nie byłem umówiony. Czy mogłabyś go sprowadzić i wskazać nam drogę do pokoju dziennego?

Służąca w oszołomieniu jedynie skinęła głową, jak wiele osób w zderzeniu z ucieleśnieniem cesarskiej władzy. Weszliśmy do środka, a dziewczyna bez słowa skierowała nas do pokoju na prawo od hallu. Wystrój był podobny do domu lorda Sautera, zarówno kosztowny, jak i gustowny.

Czekaliśmy dłuższą chwilę. Moje serce biło mocno z podekscytowania. Słyszałam stłumione głosy, gdyż dźwięk niósł się nawet w luksusowych rezydencjach. Ich ton dowodził, że lord Bauer nie był szczęśliwy z powodu tej nagłej wizyty, ale – jak wszyscy inni – nie miał wyjścia i musiał się z nami spotkać. Po chwili usłyszeliśmy, jak schodzi po schodach.

– Sir Konradzie – powiedział lord, stając w drzwiach salonu.

– Lordzie Bauer – odpowiedział Vonvalt, stając obok nas. – Dziękuję, że mnie pan przyjął.

– Ależ nie ma o czym mówić – powiedział Bauer.

Był mężczyzną przeciętnym niemal pod każdym względem – budowy ciała, wzrostu, koloru włosów czy rysów twarzy; niemal nic nie odróżniało go od innych sovańskich poddanych. Jego skóra miała zdrowy różowy odcień ludzi dobrze odżywionych i miał może nieco więcej ciała niż inni, chociaż bez nadwagi. Nosił modnie przyciętą ciemną brodę, którą – jak słyszałam – lubił cesarz. Jego strój był zdecydowanie kosztowny.

Wyglądał również na kogoś, kto jest pogrążony w smutku.

– Przykro mi było usłyszeć o pańskiej stracie – powiedział Vonvalt, gdy usiedliśmy.

– Dziękuję – odparł Bauer i odchrząknął. – Nie do końca się z tym pogodziłem.

– To widać – zgodził się Vonvalt. – Czegoś takiego nie można się spodziewać.

– Czy mogę wam cokolwiek zaoferować?

– Wodę, jeśli macie. Jeśli nie, piwo – powiedział Vonvalt.

– Dla was trojga?

– Tak, dziękuję. To jest Dubine Bressinger, mój pomocnik. A to Helena Sedanka, moja asystentka.

– To ogromne tomisko – powiedział Bauer, wskazując głową leżący na moich kolanach rejestr. Był to rzeczywiście duży tom, jedyny, jaki trzymałam. Właśnie dzięki takim starym rejestrům i moim prywatnym notatkom jestem w stanie wskazać szczegóły rozmów, które liczą nawet dziesiątki lat.

– Helena będzie notowała przebieg naszego spotkania – powiedział Vonvalt.

Zapadło krępujące milczenie.

– Sędzio, już rozmawiałem z szeryfem.

– A teraz porozmawia pan ze mną – odparł Vonvalt.

– Jak pan sobie życzy. – Bauer westchnął.

Chwilę później weszła służąca z trzema kufkami piwa.

– Sir, nie pije pan? – zapytał Vonvalt.

– Mój żołądek tego nie toleruje – odpowiedział Bauer. – Mogę zapytać, dlaczego pan przyszedł, sir Konradzie? Sądziłem, że zadaniem Sędziego jest przeglądanie zapisków sądowych i rozstrzyganie drobnych skarg mieszkańców.

Vonvalt uśmiechnął się lekko.

– Jestem reprezentantem cesarza – powiedział. – Moja jurysdykcja nie zna granic poza tymi, które narzuca same prawo. Morderstwo leży w obszarze moich działań.

Bauer wyglądał na zaniepokojonego.

– Nie chciałem pana obrazić, sir Konradzie.

– I bardzo dobrze.

Bauer odchrząknął.

– Czyli bada pan sprawę morderstwa mojej żony?

Vonvalt skinął głową.

– Z pomocą sir Radomira.

– Ten człowiek mnie podejrzewa – powiedział Bauer z jadem w głosie. – Jest tak podłym stróżem prawa, jak to tylko możliwe.

Vonvalt ściągnął brwi.

– Dlaczego pan uważa, że sir Radomir pana podejrzewa?

– Ten człowiek już od dawna coś do mnie ma. W przeszłości oskarżał mnie już o niezliczone przestępstwa.

– Czy kiedykolwiek postawił panu jakieś zarzuty?

– Nie – nadąsał się Bauer. – Jednak nie dlatego, że nie chciał. Spotkał go pan?

– Owszem.

– Bez wątpienia próbował pana wrogo do mnie nastawić.

– Nie zrobił nic takiego – odparł Vonvalt. – Sir Radomir jest stróżem prawa, który prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa pana żony. Dobrze by było, gdyby okazał mu pan trochę szacunku.

– Nie uczynię czegoś takiego! – rzucił Bauer, lecz zaraz się zmitygował. Wyglądał, jakby nagle oklapł, niczym przebita sztyletem sakwa z wodą. – Przepraszam Sędzio. Nie jestem sobą.

Na chwilę zapadło milczenie.

– To bez znaczenia – powiedział w końcu Vonvalt.

Lord Bauer spojrział na niego z ukosa.

– Słyszałem, że Sędziowie mają pewne umiejętności. Czy to prawda, że potraficie tylko ostrym głosem zmusić człowieka, by się przyznał?

Vonvalt zamarł na chwilę.

– Tak, mam pewne umiejętności – odparł. – Nie używam ich jednak przy byle okazji.

– Słyszałem też, że potraficie rozmawiać ze zmarłymi – powiedział cicho lord Bauer.

Powietrze nagle wydało się gęstsze i cięższe. Zadrżałam. Vonvalt w przeszłości wiele razy przeprowadzał już nekromantyczne seanse, jednak proces ten był zatrważający i wymagał ogromnych umiejętności i mnóstwa energii.

– Być może powinniśmy zacząć od początku – powiedział Vonvalt. – Opowie mi pan, co się przydarzyło pańskiej żonie.

– Tak – powiedział lord Bauer. – Moja droga żona... – Zamilkł. Przez krótką chwilę miałam wrażenie, że się popłacze, ale szybko się opanował. – Natalija zaginęła trzy noce temu. Poszła na ulicę Krawiecką, by obejrzeć nowe bele tkanin z Grozody. Jakieś zielone aksamity, jak sądzę. Ten kolor jest teraz bardzo modny. – Odetchnął głęboko. Byłam wdzięczna za te pauzy, jako że dawały moim palcom i nadgarstkwowi nieco odpoczynku od pośpiesznego kreślenia piórem. – Nigdy nie wróciła. Potem dowiedziałem się, że jakiś młody chłopak zauważył jej ciało w Gale.

Vonvalt wyglądał na zamyślonego.

– Była z kimś? Przed swoim zaginięciem?

– Ze służącą, Haną. – Kiwnął głową w stronę drzwi, wyraźnie wskazując dziewczynę, która wpuściła nas do domu i podała napoje. – Były ze sobą blisko – powiedział. – Bliżej, niż powinny być pani i jej służka.

– Zakładam, że w krytycznym czasie Hany nie było przy lady Bauer? – zapytał Vonvalt.

Lord Bauer wyglądał na niezadowolonego.

– Z dziewczyny i tak nie byłoby żadnego pożytku – powiedział Bauer. – Natalija kazała jej wrócić do domu, by przygotować wszystko na mój powrót. Przez większość popołudnia byłem na przystani, co może poświadczyć dobry tuzin ludzi.

– Rozumiem.

– Hana pozostawiła moją żonę na ulicy Krawieckiej. Nic nie widziała... jeśli jej wierzyć.

– Podejrzewa ją pan?

Lord Bauer wzruszył ramionami.

– Słyszałem tylko, że Natalija ją odesłała. Być może była to część pułapki.
– Rozumiem, że ją pan przesłuchał? – zapytał Vonvalt z nutą niesmaku w głosie.

– Tak, przesłuchałem. Jej wersja jest niezmienna, pomimo lania.

Pomyślałam o dziewczynie, która nas obsługiwała. Wyglądała na kilka lat młodszą ode mnie. Zrobiło mi się jej żal. Młoda służąca zapewne czuła się jak zaszczuta, będąc więźniem okoliczności, w jakich się znalazła. Wątpiłam, by wiele ją łączyło z rodziną. Jeśli lord Bauer zatrzyma ją na służbie, z niemal całą pewnością nawiąże z nią stosunki seksualne... zakładając, że już tego nie zrobił. A kiedy ją w końcu wyrzuci, zostanie zmuszona do korzystania z łaski miejskich przytułków. Nawet jeśli te w Galen's Vale były lepsze od innych, na które się do tej pory natknęłam, wciąż była to żalosna egzystencja.

– Zna pan nazwę ostatniego sklepu, w którym widziano lady Bauer? – zapytał Vonvalt.

– Nie. Sir Radomir będzie to wiedział. On i jego ludzie badali wczoraj rano tę sprawę... gdyby jeszcze wynikło z tego coś dobrego.

Vonvalt zamilkł na moment.

– Sir Radomir powiedział mi, że podejrzewa pan swojego rywala w interesach, pana Vogta, o zamordowanie żony. Co pan o tym powie?

Lord Bauer wyglądał na zawstydzonego.

– Przez ostatnie kilka dni wypowiadałem się pod wpływem emocji – powiedział ostrożnie. – Pan Vogt i ja od dawna jesteśmy rywalami w interesach. Kiedyś nawet oskarżył mnie o zniszczenie transportu jego zboża.

– Tak słyszałem.

– Pochopnie go oskarżyłem. Obawiam się, że powiedziałem to bez zastanowienia.

Vonvalt ściągnął brwi.

– Mimo to musiał być powód, przez który tak ochoczo rzucił pan to oskarżenie? Sir Radomir powiedział, że był pan co do tego całkiem pewny.

– Z całą szczerością, Sędzio, tylko on przyszedł mi do głowy. W rozpaczę chwytalem się czegokolwiek, co miało sens. Nie mam wrogów. Konkurencja tutaj, w Dolinie, jest silna, ale nie na tyle, by chwytac się tak odrażajacych srodkow. Jesteśmy ludźmi interesu, a nie zwierzętami.

– Nadal jednak wydaje mi się dziwne, że w ogóle pan o nim pomyślał, skoro nie był z tym w żaden sposób powiązany.

– Sędzio, przysięgam... to był tylko bełkot człowieka pogrążonego w smutku. Nic się za tym nie kryje.

– Sądzę, że przy najbliższej okazji porozmawiamy również z panem Vogtem – powiedział Vonvalt.

- Jak pan sobie życzy – odparł posępnym głosem Bauer.
- A jeśli na razie wykluczmy jego i jego ludzi, naprawdę nie przychodzi panu do głowy nikt, kto chciałby zrobić coś takiego? – zapytał Vonvalt.
- Nikt – odpowiedział Bauer.
- W takim razie może podejrzewa pan coś innego? Rabunek?
- Skąd mam wiedzieć? Wiem jedynie, że umarła.
- Vonvalt zaśmiał się z niedowierzaniem.
- To doprawdy niezwykle, mój lordzie, że żona wysokiego szlachcica może zostać zamordowana w tak brutalny sposób i nie pozostanie po tym żaden ślad. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem, mimo wszystkich lat, które spędziłem, pełniąc rolę Cesarskiego Magistrata.
- Bauer bezradnie wzruszył ramionami.
- Nie mam pojęcia, co jeszcze mogę panu powiedzieć.
- Hmm – mruknął Vonvalt i zamilkł na długą chwilę. – A inne sfery pańskiego życia? Jest pan handlowcem, tak? Kupcem?
- Zgadza się.
- Jaka jest dokładna dziedzina pańskich interesów?
- Zawieram umowy o transport. Zapewniam gwarancję przewozu w zamian za opłatę.
- Zapewnia pan gwarancję? W jaki sposób? – zapytał Vonvalt.
- Pokrywam koszt transportu, jeśli ten zostanie zniszczony.
- To wygląda na przedsięwzięcie obarczone dużym ryzykiem.
- Lord Bauer pokręcił głową.
- Wcale nie, jeśli ma się do tego głowę.
- Właśnie widzę – rzucił oschle Vonvalt, znacząco się rozglądając. – I w pańskich interesach nie zaszła żadna zasadnicza zmiana? Czy ma pan u kogoś długi?
- Nie, nie mam.
- No dobrze – powiedział Vonvalt. – Zanim wyjdę, może mógłby mi pan opowiedzieć o swoich działaniach w mieście? Sir Radomir powiedział, że pełni pan obowiązki w ratuszu?
- Tak – odpowiedział ostrożnie lord Bauer. – Ale są raczej niewiele znaczące.
- Doprawdy?
- Bauer poruszył się na siedzeniu.
- Wykonuję oficjalne obowiązki. Jako osoba zaufana pomagam zorganizować pewne działania charytatywne z podatków dochodowych miasta. Pomagam również świątyni zbierać jałmużnę dla biednych. Poza tym są jeszcze pomniejsze rzeczy.
- Nic, co by mogło się nie udać?

- Z pewnością nic takiego nie przychodzi mi do głowy.
- A pańska rodzina? Czy lady Bauer zostawiła po sobie dzieci? Nie widzę tu innych osób.
- Miałem syna, ale kilka lat temu zmarł na ospę. Mam również córkę. Bardzo źle przyjęła śmierć brata i uciekła do klasztoru, by wstąpić do zakonu. Nie widziałem jej już od bardzo dawna. Nie mieliśmy innych dzieci, które przeżyłyby więcej niż wiek niemowlęcy.
- Bardzo mi przykro z powodu pańskiego syna – powiedział szczerze Vonvalt. – Utrata dziecka to okrutny los.
- A jeszcze okrutniejsza jest utrata i dziecka, i żony – odparł lord Bauer z tak nagłą i ogromną melancholią, że mimowolnie zrobiło mi się go żal. – Dziękuję panu za dobre słowo.
- Oczywiście. Cóż, myślę, że na razie na tym skończymy. Jeśli przyjdzie panu do głowy coś jeszcze, mieszkamy u lorda Sautera. W międzyczasie będziemy kontynuować nasze śledztwo.
- Jestem wdzięczny za pana pomoc, sir Konradzie.
- W takim razie do kolejnego spotkania.
- Żegnajcie.

* * *

Po drodze do wyjścia Vonvalt nakazał mi porozmawiać z dziewczyną, Haną. Wymknęłam się, gdy Vonvalt i Dubine wkładali płaszcze i zajmowali lorda Bauera, i znalazłam ją w kuchni. Wystraszyła się, kiedy nagle się tam pojawiłam.

- Ty jesteś Hana? – zapytałam cicho.
- Tak, panienko – odpowiedziała, skłaniając głowę i dygając przede mną.
- Nie zwracaj uwagi na takie rzeczy – powiedziałam szybko, nie cierpiąc tego, jak cesarsko zabrzmiałam. – Mój pan ma dla ciebie wiadomość. Bardzo martwi się o twoje dobro, kiedy jesteś sama w tym domu. Lord Bauer wygląda na okrutnego człowieka.

Hana nie odpowiedziała, jedynie zaczęła wykręcać w dłoniach sukienkę.

- Będziemy w Galen's Vale przez kilka tygodni – powiedziałam. – Sir Konrad mówi, że musisz nam powiedzieć, jeśli lord Bauer dopuszcza się jakichkolwiek niechcianych awansów wobec ciebie lub w inny sposób źle cię traktuje. Zgodnie z sovańskim prawem przestępstwem jest zmuszanie kobiety do kontaktów cielesnych wbrew jej woli.

Poczerwieniała na twarzy, lecz nadal się nie odezwała. Wątpiłam w to, że cokolwiek powie.

– Cóż, przekazałam wiadomość – powiedziałam. – Jeszcze jedno. Gdzie po raz ostatni widziałaś się z lady Bauer? Lord Bauer twierdzi, że rozdzieliliście się, zanim została porwana.

Hana skinęła głową, a jej oczy ponownie wypełniły się łzami.

– Odesłała mnie, bym przygotowała dom – powiedziała. – Rozpaliła w kominkach, zaczęła przygotowywać obiad i tym podobne. Zostawiłam ją na ulicy Krawieckiej. Tam widziałam ją po raz ostatni.

– Jesteś pewna? Nie dostrzegłaś nic, co wzbudziłoby twoje podejrzenia? Na przykład... nikt cię nie śledził?

– Nic, przysięgam na Neme. – Łzy spłynęły jej po policzkach. Z całych sił starała się nie podnosić głosu.

Wyciągnęłam rękę i w siostrzanym geście położyłam na jej ramieniu. Dostrzegłam, że lekko drgnęła.

– Już dobrze – zwróciłam się do niej. – Wszystko w porządku. Muszę już iść, ale pamiętaj o tym, co ci mówiłam, dobrze?

Skinęła głową, zaciekle wycierając z twarzy łzy.

– No dobrze – rzuciłam. Potem z ciężkim sercem wyszłam i dołączyłam przy drzwiach do Vonvalta i Bressingera.

– Chodź – powiedział do mnie Vonvalt, gdy do środka wpadło zimne powietrze. – Wracajmy.

Na zewnątrz kilka osób upuściło kwiaty przed bramą do domu Bauera, po czym wszyscy uciekli bocznymi uliczkami. W oddali dzwon w świątyni wybił godzinę.

– Jasna cholera – mruknął Bressinger, kiedy byliśmy już poza zasięgiem czyichkolwiek uszu. – Po części dziś rano miałem nadzieję, że załatwimy sprawę. Naprawdę uważałem, że mógł to zrobić. Nie chciałeś po prostu uderzyć w niego Głosem?

Vonvalt pokręcił głową.

– Nie – powiedział z nutą wyrzutu. – Jeszcze nie, w żadnym razie. Jesteś lepiej od większości obeznany z jego ograniczeniami. Lord Bauer może i tego nie zrobił, ale sir Radomir ma rację: w tym człowieku jest coś podejrzanego. Użycie na nim głosu teraz, bez posiadania lepszych informacji, byłoby bardzo szkodliwe. Słyszałeś, jak wypytywał mnie o moce. Nie tylko pilnowałby swojego umysłu, ale i w przyszłości miałby się na baczności.

– Hmm – mruknął Bressinger. – Nie sądzę, bym kiedykolwiek to zrozumiał.

– Cierpliwości, Dubine – rzekł Vonvalt. – Wkrótce przyjdzie na to czas. Najpierw nieco szerzej zarzucimy naszą sieć.

Niechciane wieści

„Prawo służy czujnym”.

Sovańska maksyma prawna

Był już późny ranek, kiedy opuściliśmy dom lorda Bauera i skierowaliśmy się do pobliskiej karczmy na wczesny lunch. Było tam w miarę czysto i – wzięwszy pod uwagę, że był środek dnia roboczego – w większości pusto. Mimo to, kiedy weszliśmy, głowy nielicznych obecnych odwróciły się w naszą stronę.

Większą część karczmy wypełniały drewniane ławy, lecz w rogu stało kilka osobnych stolików oddzielonych parawanem. Właśnie do jednego z nich poprowadził nas Vonvalt, z dala od ciekawskich uszu. Usiedliśmy, a już po kilku sekundach podszedł do nas karczmarz.

– Czcigodni lordowie – powiedział z lekką niepewnością w głosie, gdyż jasne było, że przynajmniej Vonvalt był szlachcicem. – Jest nieco wcześniej na lunch, ale może mogę zaproponować zimne przekąski? Dwa pensy za całą waszą trójkę.

– Tak, dziękujemy – odparł Vonvalt. – Do tego piwo.

Gospodarz odszedł.

– No dobrze – westchnął Vonvalt. – Zastanówmy się, co wiemy. Po raz ostatni widziano lady Bauer, gdy oglądała grozodańskie aksamity na ulicy Krawieckiej. O miejscu jej pobytu tego wieczoru może zaświadczyć służąca Hana. Heleno, czy dziewczyna powiedziała cokolwiek, co przeczyłoby słowom lorda Bauera?

Pokręciłam głową.

– Powinniśmy porozmawiać ze sklepikarzem – powiedział Bressinger.

– Tak, właśnie do tego zmierzałem – zgodził się Vonvalt. – To jedna ze spraw. Chciałbym również przyjrzeć się aktywnościom lorda Bauera. Nie wiem,

jakie odnieśliście wrażenie, ale ten człowiek coś ukrywa. Ta sprawa z Zoranem Vogtem jest bardzo dziwna. Oskarża go, a jednocześnie się tego wypiera.

– Nie mam też pojęcia, co miał na myśli, mówiąc o gwarancji przewozu towaru – dodał Bressinger.

– Nie – zgodził się z nim Vonvalt. – Przypomina mi to coś w rodzaju zakładów. Lord Bauer obstawia, że ładunek zostanie bezpiecznie dostarczony, i zatrzymuje pieniądze, które płaci mu klient. Chcę dowiedzieć się więcej o tym modelu biznesu. Wygląda na dobrą okazję do nadużyć. Mogło się zdarzyć, że lord Bauer zadarł z kimś, nawet o tym nie wiedząc.

– Helena i ja możemy popytać na nabrzeżu. Jeśli lord Bauer na czymś takim zarabia, można mieć pewność, że będą też inni.

– Dobrze – powiedział Vonvalt. – I czy zauważyliście, jak bardzo niechętnie wypowiadał się o tym, jakie są jego obowiązki? Jako radnego?

– Powiedział, że pomagał w zbieraniu jałmużny i innych akcjach charytatywnych.

– Ale powiedział też coś jeszcze – odparł Vonvalt, pocierając brodę. – Heleno, co to było?

Wyjęłam notatnik z sakwy i odnalazłam właściwą stronę. Zmrużyłam oczy i zaczęłam odczytywać własne pośpieszne pismo.

– „Działania charytatywne... mąż zaufania... jałmużna przy świątyni... inne pomniejsze rzeczy” – powiedziałam.

– Właśnie to – powiedział Vonvalt, kiwając głową. – „Inne pomniejsze rzeczy”. Ciekawe, co to za rzeczy?

– Być może były zbyt banalne, by o nich wspominać? – zaryzykowałam przypuszczenie.

Trudno ocenić, czy moje komentarze były mile widziane podczas takich rozmów. Czasami Vonvalt żywo zachęcał mnie i Bressingera, by się w nich udzielać; innymi razy oczekiwał, że będę milczeć i chłonać tyle, ile tylko zdołam.

– Albo był zaskoczony pytaniem i nie chciał, by cokolwiek mu się wymknęło.

– Lord Sauter będzie wiedział – powiedziałam.

– Tak – odparł Vonvalt. – Oczywiście. Dobrze, Heleno. – Muszę przyznać, że takie niewielkie, szczerze komplementy sprawiały, że pękałam z dumy. – Zapytamy dzisiaj lorda Sautera, jakie według niego są obowiązki lorda Bauera. Poza tym i tak chciałbym z nim pomówić.

Zamilkliśmy, gdy karczmarz wrócił z ale i talerzami posypanej cynamonem szynki. Przyniósł też kiszoną kapustę i ciepły, doprawiony przyprawami sos serowy, który można było dostać w całym Imperium. Było to zdecydowanie

więcej, niż nam zaoferował; w międzyczasie mężczyzna zapewne dowiedział się, kim jesteśmy. Chciwie sięgnęliśmy po jedzenie.

– To dziwne, że córka lorda wstąpiła do zakonu – powiedział po chwili Vonvalt. – To ciężki byt dla kogoś, kto miał przed sobą perspektywę życia pełnego przywilejów.

– Hmm – odparł Bressinger. – Już się nad tym zastanawiałem.

– Ten klasztor wyglądał na zamożny – powiedziałam, przypominając sobie kamienne mury i wieże wybudowane na wzgórzach nad Galen's Vale. – Być może panują tam mniej surowe warunki niż w innych.

– Zgadza się – powiedział Bressinger, kiwając głową. – Nemańskie wyznanie utuczyło już wielu mnichów.

– Mów ciszej, człowieku – rzucił Vonvalt. – Jesteś reprezentantem Korony.

Bressinger uśmiechnął się i mrugnął do mnie. Nigdy nie byłam religijna i nie żywiłam szacunku do wyznania. Bressinger z pewnością też go nie miał. Jednak skoro była to religia obowiązująca w państwie, a Vonvalt był przedstawicielem tegoż państwa, nie mógł być widziany w sytuacji, kiedy okazywano jej brak poważania... podobnie my, jako jego podwładni.

– Lord Bauer powiedział, że jego syn zmarł – powiedział Bressinger po chwili jedzenia. – Na ospę, i to było przyczyną wstąpienia dziewczyny do zakonu. – Wzruszył ramionami. – Rozpacz dziwnie wpływa na człowieka.

– Być może – zgodził się Vonvalt. – A być może poza śmiercią chłopca istnieje inny powód, dla którego to zrobiła. Lord Bauer sam powiedział, że to było jej życzenie. A młodzi w dzisiejszych czasach wydają się nienaturalnie pobożni... Spójrzcie tylko na Clavera. Chłopak ma zaledwie dwadzieścia pięć lat, a już jest księdzem.

– Księdzem z dobrymi powiązaniem – dodał Bressinger.

Vonvalt machnął ręką.

– Nie chcę rozmawiać o tym głupku. Mój nastrój i tak jest wystarczająco kwaśny. – Wyglądał na zafrasowanego. – Chociaż teraz, kiedy już o tym wspomnieliśmy, rzeczywiście wydaje się to nieco dziwne. Mam na myśli dziewczynę.

– To może być nic ważnego – rzucił Bressinger, wzruszając ramionami.

– Rzeczywiście – zgodził się Vonvalt, błędząc gdzieś myślami. Odwrócił się do mnie. – Może mogłabyś zapytać o to młodzieńca, z którym byłaś dzisiaj rano. Tego strażnika.

Poczerwieniałam na twarzy.

– Nie działo się nic niestosownego – powiedziałam gwałtownie.

Vonvalt i Bressinger spojrzeli po sobie, a ich znaczące półuśmiešky sprawiły, że poczułam się jak głupie dziewczętko. W jednej chwili stałam się dawną

Heleną-ulicznicą: defensywną, wybuchową i skorą do walki.

– Nie sugerowałem niczego innego – powiedział Vonvalt.

Przez chwilę nie ważyłam się mu odpowiedzieć. Zamiast tego jak dziecko bawiłam się jedzeniem na talerzu, czekając, aż mój gniew minie. Nauczenie się kontroli nad temperamentem zajęło mi dużo czasu... i wymagało nieskończonej cierpliwości Vonvalta.

– Nie znam go zbyt dobrze – powiedziałam z wymuszonym spokojem. – Możliwe, że nasze ścieżki już się nie przetną.

– Cóż, jesteśmy tu w oficjalnej sprawie, a taki młodzieniec jak on, członek straży miejskiej, z pewnością będzie wiedział, co w trawie piszczy – odparł Vonvalt. – Dobrze by było, gdybyś z nim porozmawiała. Sprawdziła, czy słyszał jakieś plotki o dziewczynie Bauerów. Muszą być rówieśnikami.

– Czy to polecenie? – zapytałam ostro, lecz natychmiast tego pożałowałam. Bressinger wyglądał na rozdrażnionego.

– A mam je wydać? – zapytał Vonvalt.

Na zmianę nabijałam na widelec i przesuwalam szynkę po talerzu.

– Nie – odpowiedziałam. – Istnieję tylko po to, by służyć.

– Ale mnie nabrałaś – mruknął Vonvalt i roześmiał się cicho, widząc moją irytację.

Dostrzegłam, jak mrugnął do Bressingera, nim wrócił do jedzenia, lecz wtedy naszą uwagę przyciągnęły drzwi do karczmy, które ktoś otworzył z trzaskiem.

– Co znów? – mruknął Bressinger.

Młodzieniec w progu wyraźnie był posłańcem, i to w liberii jednej z agencji, która miała nadzwyczajne zdolności do odnajdywania ludzi. Mężczyzna dostrzegł nas w rogu izby i natychmiast skierował się w naszą stronę.

– Spokojnie – powiedział cicho Vonvalt, gdy Bressinger zaczął wstawać, po czym odwrócił się do młodzieńca. – Mnie szukasz?

– Proszę o wybaczenie, milordzie Sędzio; przepraszam, że przeszkadzam ci w lunchu. Mam dla pana pilny list. – Wyciągnął nieoznakowaną i zapieczętowaną kopertę.

Nie rozpoznałam symbolu na woskowej pieczęci, jednak po kolorze i wstążce poznałam, że była to wiadomość od innego cesarskiego oficjela... być może innego Sędziego.

Vonvalt ściągnął brwi i przyjął list. Nieobce mu były nieznane wiadomości, ale z pewnością żadnej się teraz nie spodziewał.

– Dziękuję – powiedział do posłańca, który natychmiast wyszedł, po czym złamał pieczęć i szybko przeczytał treść listu.

– O co chodzi? – zapytałam, nie mogąc się powstrzymać.

Vonvalt przez chwilę nie odpowiadał. Na powrót złożył list i schował do kieszeni. Na jego twarzy pojawiło się zmartwienie.

– Wygląda na to, że sytuacja zmieniła się na gorsze.

– W sprawie Bauera? – zapytał Bressinger.

– Nie – odparł Vonvalt. – W kwestii spraw państwowych. – Rozejrzał się, ale nie było nikogo w zasięgu słuchu. Mimo to, kiedy się odezwał, mówił ściszym głosem: – List napisała Sędzia August. Przebywa w Guelich, które jest bliżej, niż przypuszczałem. Wygląda na to, że moje... traktowanie patryona Clavera w Rill wywołało większe zamieszanie, niż można by się spodziewać.

– „Niż można by się spodziewać”! – powtórzył szorstko Bressinger. – Wiedziałeś, jakie powiązania polityczne ma ten człowiek. Nema wie, ile razy sam ci o tym mówił.

Zirytowany Vonvalt zacisnął zęby.

– Sędzia August pisze, że Claver ma sojusznika w osobie margrabiego Westenholza. Najwyraźniej są dobrymi przyjaciółmi.

Westenholtz był bardzo wpływowym człowiekiem, lordem Strażnicy Morskiej i znanym agitatorom politycznym. Wiele tygodni wcześniej zawitaliśmy w Strażnicy, jako że była najbardziej wysuniętym na północ punktem na naszej trasie, jednak margrabia był nieobecny i nasz pobyt w twierdzy trwał bardzo krótko.

– Wieści podróżują szybko – powiedziałam. – Strażnica Morska i Guelich raczej nie leżą blisko siebie.

– August potrafi porozumiewać się z naturą. To jedna z jej mocy. Podejrzewam, że jeden czy dwa jej ptaki już od jakiegoś czasu latały na północy – powiedział Vonvalt i na chwilę zamilkł. – Bardzo interesuje się polityczną kondycją Zakonu.

– Ty też powinieneś – rzucił Bressinger.

Spodziewałam się, że dostanie za to reprimendę, lecz Vonvalt jedynie spojrział na niego z irytacją.

– I co z tego? – zapytałam w końcu. – Niech Westenholtz pije sobie wodę morską. Ty jesteś Sędzią.

– Westenholtz ma wpływ na Patrycjusza Mlyanar w Sovie – odparł Vonvalt ponuro. – A oni mają wpływ na Templariuszy Savaran.

Rozpoznałam obie nazwy i żadna z nich nie wróżyła nic dobrego. Patrycjusze Mlyanar byli potężną frakcją arystokratów, którzy historycznie sprzeciwili się dynastii Haugenatów i której najnowszymi członkami zostali wnukowie cesarza Kzosica IV. Templariusze Savaran tworzyli zaś wojskowy odłam ortodoksyjnych wyznawców Nemy, którzy przez sporadyczne krucjaty zdobyli nowe ziemie Imperium na południu – Granicę. Obie frakcje łączyły wielowiekowa tradycja,

pieniądze i posiadłości ziemskie, i razem cieszyły się czymś w rodzaju odrodzenia jako te, które dzierżą polityczny ster.

– Wygląda na to, że patryon Claver był zajęty wysuwaniem spraw Savaranów o wiele dłużej, niż mówił nam w Rill, usilnie nakłaniając różnych lordów w całym Imperium, by podzielili się dochodami z ziem, synami i córkami na kolejną krucjatę na południe. August obawia się, że ta jednak może szybko zmienić się w krucjatę ku północy.

– Czyli co, twierdzi, że Templariusze ruszą na Sovę? – zapytałam. – Dlaczego?

Vonvalt wzruszył ramionami.

– Zbrojne rebelie nie są Sowie obce – powiedział. – Mlyanarowie to żądni władzy agitatorzy, a kiedy tacy zawierają sojusz ze zbrojnymi fanatykami, nie trzeba zbyt wiele zgłębiać historii Sovy, by się dowiedzieć, jakie są tego konsekwencje.

Cmoknęłam cicho.

– Narobiłeś sobie więcej wrogów, niż chciałeś.

Vonvalt teraz mi rzucił zirytowane spojrzenie.

– Raczej.

– *Nyiza* – zaklął Bressinger po grozodańsku, po czym wzruszył ramionami. – To co, że duma Clavera nieco ucierpiała? Nema wie, że tego potrzebował. Jak mówi Helena: jesteś Sędzią. Co niby zrobi? Wystąpi przeciw tobie w formie jakiejś żalostnej zemsty? Wystąpienie przeciw tobie byłoby wystąpieniem przeciwko samemu cesarzowi.

– Tyle że... – powiedział Vonvalt, a ja nagle poczułam ucisk w żołądku. Autorytet Vonvalta zawsze był czymś pewnym i niosącym pocieszenie. Jednak usłyszeć od niego, że miał jakieś ograniczenia, było czymś niepokojącym. – Tyle że wygląda na to, że Magistrat może tracić poparcie cesarza. Nie jest tajemnicą, że Nemanie od kilku już lat agitowali, by pozbawić nas mocy. Niech mnie, nawet Claver nieustannie o tym gadał. Mistrz Kadlec był na tyle głupi, że rozpowszechnił wieść, że w zamian Zakon ma być pozostawiony w spokoju. Cesarz nie przyjął dobrze jego kapitulacji.

Przez chwilę siedziałam w pełnym zdumienia milczeniu.

– Cesarz nie może zrobić sobie wrogów jednocześnie z Mlyanarów i Zakonu – mruknął Bressinger. – To dwie z trzech domen cesarskich, z których on jest tą trzecią. Inaczej nie będzie miał sojuszników.

– W rzeczy samej – odparł Vonvalt i westchnął. – Z listu jasno wynika, że Sędzia August się martwi, co naprawdę nie dziwi. Już od dawna z zazdrością patrzy się na potęgę Zakonu. Zawsze uważałem, że połączenie odpowiednich okoliczności stłumi jego wpływ, a wraz z nim wyższość powszechnego prawa.

Cesarz może nie być najprzyjemniejszą z osób, ale od dawna ufa swoim magistratom, że będą stosować prawo. Człowiek taki jak Westenholtz u władzy, a nie daj boże wyznawca Nemy, będzie końcem Autuna.

– Ale jesteśmy od tego daleko, tak? – zapytał z nadzieją Bressinger.

– Zobaczymy – odparł Vonvalt nie do końca przekonany. Westchnął i odchylił się na oparciu krzesła, jako że przez całą rozmowę nieco się pochylał. Kiedy się odezwał, mówił już normalnym tonem. – W każdym razie teraz i tak nie można z tym nic zrobić. Chodźcie, wróćmy do naszych obowiązków. Im szybciej skończymy sprawę tutaj, w Vale, tym szybciej będziemy mogli zająć się tymi większej wagi.

VI

Kupiecka gwarancja

„Niewiele rzeczy można zagwarantować z większą pewnością niż niezwykle wynalazki, które ludzie stworzą, by wydobyć pieniądze z absolutnie niczego”.

Filozof i prawnik Francis Gerecht

Szybko dokończyliśmy lunch i z rozstaliśmy się przed wejściem do karczmy. Po otrzymaniu listu od Sędzi August przepełniała mnie ogromna ciekawość, lecz szybciej utoczyłabym krwi z kamienia, niż wyciągnęła coś więcej z Vonvalta. Na razie nie musiałam się niczym martwić; już niedługo zacznę błagać bogów, w których nie wierzyłam, o jakiegokolwiek wieści... lub cokolwiek innego.

Vonvalt chciał wyruszyć do sądu i przedstawić się tam, nim minie zbyt dużo czasu, gdyż już groził mu zarzut, że chce obrazić to miejsce. A skoro mistrz był tak bardzo zajęty, Bressinger zdecydował, że oboje pójdziemy na nabrzeże.

Ruszyliśmy zimnymi, pokrytymi pluchą ulicami w stronę lasu masztów, które widziałam wcześniej. Powietrze wypełniały krzyki marynarzy i pracowników portowych, a ulice tętniły kupieckim ruchem. Było też wielu strażników miejskich i konstabli, którzy czujnie obserwowali klejnot w koronie miasta.

Okrążyliśmy duży magazyn z drewnianych bali, za którym mieścił się port. Nie był to największy port, jaki kiedykolwiek widziałam – ten honor należał do cesarskiego portu morskiego w Strażnicy Morskiej – ale z pewnością panował tu największy ruch. Na wodzie unosiło się mnóstwo kupieckich statków – kog i nowszych karraków, z których niektóre były wysokie niczym trzypiętrowe domy. Trzeszczały i skrzypiały na falach, uwiązane na napuchniętych wodą linach. Wiele statków miało bandery Autuna, ale było też mnóstwo z flagami egzotycznych krajów, o których niewiele wiedziałam.

Wody zatoki Gale były równie brunatne i nieprzyjemne, jak rzeka, która do niej wpadała, i wyglądało na to, że jest ona ujściem dla miejskich ścieków. Podczas gdy w porcie w Strażnicy unosił się silny zapach morza, tutaj, pomimo zimna, woda śmierdziała odchodami. Ruszyliśmy nabrzeżem, uważając, by schodzić z drogi robotnikom, którzy rozładowywali i na nowo załadowywali statki.

Nieco dalej znajdowało się kilka barów wychodzących na port i weszliśmy do pierwszego, który napotkaliśmy. Wnętrze w niczym nie przypominało karczmy, w której właśnie jedliśmy. Podłogę pokrywały plecione z sitowia i śmierdzące stęchłym piwem maty, a jedyną dużą izbę wypełniały długie składane stoły z taniego drewna. Bar wypełniał tłum, a kilka znękanych kobiet, znosząc niekończące się fizyczne i słowne zaczepki, przemieszczało się po nim z tacami pełnymi brunatnego piwa.

– Madam – zwrócił się Bressinger do przechodzącej obok barmanki. Jego grozodański akcent i wygląd wyraźnie wyróżniał się wśród Haunerów.

– Tak? – zapytała, przyglądając mu się od góry do dołu. Zapewne zastanawiała się, o ile może kazać mu przepłacić, biorąc pod uwagę jego elegancki strój.

– Chciałbym porozmawiać z kimś, kto oferuje gwarancję transportu – powiedział Bressinger i wyjął z sakiewki srebrny szeląg. – Dyskretnie.

Kobieta sięgnęła po monetę, lecz Bressinger zrezygnownie cofnął rękę.

– Zapłacę, kiedy już z nim porozmawiam.

Kobieta wyglądała na zawiedzioną.

– Stolik z tyłu – powiedziała. – Właśnie tam zawiera się umowy. – Zmrużonymi oczami spojrzała w tamtą stronę, ignorując nawoływania klientów, po czym wskazała na siedzącego na końcu mężczyznę. – Wiem, że pan Lorentz zajmuje się czymś w rodzaju tego, o czym pan wspomniał. Jednak nie znam szczegółów.

– Dziękuję – powiedział Bressinger i pomimo swoich wcześniejszych słów wręczył jej monetę.

Podeszliśmy do mężczyzny, którego nam wskazała. Pił sam, przeglądając jakieś dokumenty. Spojrzałam po innych osobach przy stole i dostrzegłam, że wszyscy siedzą podobnie, po jednej jego stronie. Jakaś para prowadziła rozmowę z kapitanami statków, a z tyłu, przy ścianie, stało kilku uzbrojonych, potężnie zbudowanych mężczyzn, którzy przyglądali się nam nieufnie.

– Pan Lorentz? – zapytał Bressinger.

– Tak? – odpowiedział mężczyzna wystarczająco uprzejmie. Miał śniadą cerę Grozodan i nosił kosztowną tunikę w czerwono-żółtych barwach. Za rondo kapelusza zatknięte miał pióro egzotycznego ptaka, którego nazwy nie znałam.

Przez minutę czy dwie obaj rozmawiali po grozodańsku, trajkocząc i śmiejąc się, jakby znali się całe życie, aż w końcu Bressinger wyciągnął list uwierzytelniający.

– Jestem przedstawicielem korony – powiedział ze względu na mnie po starosaksańsku. – Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Lorentz przyjrzał się listowi.

– Reputacja pańskiego mistrza pana wyprzedza – odpowiedział również w saxańskim. – Zapewniam, że mój interes jest uczciwy, a wszystkie podatki zapłacone. Może pan to sprawdzić w sądowych księgach.

Usiedliśmy z Bressingerem.

– Nie przyszedłem tutaj w tej sprawie – odparł Bressinger. – Ani też nie jestem tu w sprawie biznesowej. Chciałbym, żeby mi pan coś wyjaśnił w taki sposób, jakbym był laikiem.

Lorentz uniósł brew.

– Postaram się, jak tylko mogę. Jestem lojalnym poddanym korony.

Zauważyłam, że dyskretnie odesłał uzbrojonych mężczyzn.

– Nikomu nie może pan mówić o tej rozmowie – ostrzegł Bressinger.

Lorentz skłonił głowę.

– Rankiem rozmawialiśmy z lordem Bauerem – powiedział Bressinger cicho. – Mówił o naturze swojego biznesu. Gwarancja transportu w zamian za opłatę.

– To dość częsta praktyka w innych częściach świata – powiedział Lorentz. – Nie ma w tym nic nielegalnego.

– Nie interesują mnie kwestie jej legalności – rzucił Bressinger z niecierpliwością. – Chciałbym zrozumieć, jak to działa.

– Jak pan sobie życzy – odparł Lorentz. Rozejrzał się po stole, chwycił szklanekę i kufel, po czym postawił naczynia przed sobą. – Proszę sobie wyobrazić, że mam przewieźć ładunek materiału z Leindau do Venland. Jak mógłbym to zrobić?

– Nie jestem kupcem – powiedział szorstko Bressinger. – Nie interesuje mnie geografia Imperium.

– Właśnie widzę – odpowiedział srogo Lorentz, a ja zdusiłam uśmiech. – Mógłbym wysłać go obok miasta Lothgar, przez Stepy Gvòroda, a później w stronę Jadeitowego Morza. Mógłbym puścić go rzeką Treba za miastem Hasse i księstwem Kòvosk. Gdyby ładunek był naprawdę duży, musiałbym wysłać go za Denholtz, na południe od Grozody, a potem w górę, w stronę Morza Gralla. Trzy zupełnie odmienne trasy, z których każda prezentuje różne zagrożenia. Mieszkańcy Północy, piraci, rozbijanie się na niespokojnych wodach, sztormy na morzach, osiadanie na mieliźnie... rozumie pan.

– Tak – odparł Bressinger.

– Wiele statków żegluje bez żadnych problemów, ale niektórym się one zdarzają. Dlatego każdy rejs, w który wyrusza statek, może być jego ostatnim.

– Jasne.

– Weźmy nasz ładunek materiałów z Leindau. Ich zakup kosztował kupca dwadzieścia koron.

Otworzyłam szeroko oczy. Dwadzieścia koron za bele tekstyliów! To niewiarygodna suma. Nic dziwnego, że nowa klasa kupiecka była w stanie budować sobie miejskie domy z drewna i cegły, z oszklonymi oknami i wieloma kominkami.

– Jeśli statek zatonie, kupiec traci tę sumę – powiedział Bressinger. – Tyle rozumiem.

– Oczywiście – potwierdził Lorentz. – Dlatego, w celu... zminimalizowania tej straty kupiec opłaca człowieka, który zagwarantuje bezpieczny transport ładunku.

– Płaci mu dwadzieścia koron? – zapytał Bressinger.

– Nie! – Lorentz roześmiał się. – W ten sposób po prostu mógłby zaakceptować ryzyko, że statek zatonie. A w każdym razie straciłby dwadzieścia koron. Nie, zamiast tego płaci proporcjonalnie mniejszą kwotę, która jest wyliczona przez rozważenie wszelkich zagrożeń: pory roku, trasy, rodzaju ładunku, stanu statku, tego, czy są na nim uzbrojeni ludzie, i tak dalej.

– Czyli sir Konrad miał rację, to coś podobnego do hazardu.

– Tak, jeśli to jest coś, z czym Sędzia to połączył, to zbyt się nie myli. Gwarant zakłada, że statek dotrze do punktu docelowego nienaruszony, i dlatego zatrzymuje zapłaconą kwotę. Kupiec, zakładając, że tamten dotrzyma warunków umowy – nie może na przykład zboczyć z wyznaczonej trasy – ma spokojną głowę, gdyż jeśli nawet statek zaginie, będzie mógł domagać się zwrotu wartości ładunku od gwaranta. Czasami gwarant wysyła na pokład szpiega lub dwóch, by się upewnić, że na statku panują odpowiednie warunki do przewozu. Znam również całe siatki podstawionych pasażerów, którzy chętnie podjęliby się tej pracy.

– Rozumiem – powiedział Bressinger. – Dla mnie wygląda to na płacenie za nic.

Lorentz mrugnął do niego.

– Tak ci się wydaje, przyjacielu, bo w większości przypadków tak jest. Jednak to komercyjna umowa, jak wiele innych, zawarta między dwoma przedsiębiorcami, którzy mają oczy i uszy szeroko otwarte. Tak jak powiedziałem: nie ma w tym nic nielegalnego.

– I właśnie taką praktykę prowadzi lord Bauer?

– Tak. Nie jest jedynym, który oferuje tutaj tę usługę, ale wiem, że dorobił się na niej sporej fortuny.

Zauważyłam, że jeden z pozostałych kupców przy stole, siedzący w zasięgu słuchu pomimo naszej cichej rozmowy, zaczął zwracać na nas uwagę. Lekko poklepałam Bressingera w udo.

– Wiem – mruknął do mnie, po czym zwrócił do Lorentza: – Dziękuję za poświęcony czas, panie Lorentz. Nie będę dłużej odciągał pana od interesów.

Kupiec skłonił głowę.

– Z przyjemnością pomagam cesarzowi, kiedy tylko mogę.

Wyszliśmy z baru. Nawet zimne powietrze nabrzeża, z jego obrzydliwą wonią, było przyjemniejsze od ohydnej atmosfery panującej wewnątrz. Szybko wróciliśmy tą samą drogą, którą wcześniej przyszedliśmy, zatrzymując się tylko po to, by Bressinger mógł uzyskać wskazówki od jakiegoś przechodnia, jak trafić na ulicę Krawiecką.

– Co o tym sądzisz? – zapytał mnie, gdy brodziliśmy w plusze.

– Wydaje mi się, że to ma sens – odpowiedziałam. – Sir Konrad już wcześniej, w Sowie, opowiadał o skomplikowanych projektach bankowych.

– Zgadza się – przyznał Bressinger. – Wygląda na to, że tam, gdzie do zarobienia są pieniądze, ludzie wymyślą na to jakiś plan. – Minęliśmy dwóch odzianych w liberie strażników, gdy na jego twarzy pojawiła się drwina. – Pewnie nie możesz się doczekać, by znów zobaczyć swojego kawalera?

– To nie jest mój kawaler! – rzuciłam ostro, świadoma, że właśnie taką reakcję chciał u mnie wywołać.

– Owszem, jeszcze nie – odparł. – Widziałem, jak tamtego dnia na niego patrzyłaś. Mówiłem ci, że ktoś taki jak on jest poniżej twojej pozycji. Jesteś teraz na służbie u cesarza.

– Wolałabym nie być – mruknęłam.

Bressinger zatrzymał się gwałtownie i odwrócił, by spojrzeć mi w twarz.

– Uważaj na to, co mówisz! – syknął. – Głupia dziewczka.

Byłam kompletnie zaskoczona; Bressinger często bywał opryskliwy, lecz rzadko kiedy jego nastrój zmieniał się tak gwałtownie i ostro. Chyba sam był tym zaskoczony, gdyż na jego twarzy szybko pojawił się żal. Uspokoił się nieco.

– Nie możesz sobie pozwolić, by mówić takie rzeczy – powiedział poniekąd obłudnie. – Nie, kiedy jesteśmy tak blisko Guelich.

– Krytykowanie cesarza nie jest zbrodnią – powiedziałam.

– Tak, ale równie dobrze mogłoby nią być – odparł. – Wiesz, jaką ma reputację.

– Mhm – mruknęłam.

Bressinger wyprostował się i rozejrzał.

– Jesteśmy jego reprezentantami – powiedział. – Nie możesz mówić takich rzeczy, szczególnie publicznie. Poza tym, Heleno, jakby poczuł się sir Konrad, gdyby usłyszał, jak mówisz coś takiego?

To oczywiście był główny powód, dla którego tak bardzo się rozzłościł. Bressinger nie dbał o to, czy obraziłam cesarza – Nema wie, jak często sam to robił.

Westchnęłam, a moja zgryźliwość nieco ostygła.

– Wiem – powiedziałam. Poczułam się nędznie i pewnie było to po mnie widać, gdyż Bressinger podszedł do mnie i położył mi dłonie na ramionach.

– Wiem, o czym myślisz, dziewczyno – powiedział. – Jesteś młoda i niespokojna, i otrzymałaś wychowanie, z którego byłby dumny sam książę Kasivar Piekielny. Ale nie pozwól, by twoje impulsywne działanie doprowadziło cię do zguby. Pod kierunkiem sir Konrada czeka cię dostatnie i pełne przywilejów życie.

– A co, jeśli nie kocham tej pracy? – zapytałam. Słowa same wyrwały mi się z ust, a emocje zaczęły wylewać się ze mnie niczym źle uwarzone piwo. Poczułam nagłą chęć, by wybuchnąć płaczem z gniewu, frustracji i wstydu.

Bressinger nie zdołał ukryć zaniepokojenia, które go ogarnęło. Biorąc pod uwagę bliskość, jaka nas łączyła przez ostatnie dwa lata, musiałyby być ślepy, głuchy i głupi, by nie zauważyć, że mój nastrój zmienił się w ostatnich kilku miesiącach.

– Ale odnalazłaś się w niej jak ryba w wodzie – powiedział. – Pomyśl o tym, jak zaczynałaś. – Rozejrzył się, jakby starając wychwycić z otaczającego nas zimnego powietrza odpowiednie słowa. – Nie powinienem ci tego mówić, ale sir Konrad nieustannie cię przy mnie chwala. Jest z ciebie tak dumny, jak z ulubionej córki.

Nie chciałam tego słyszeć. Nie mówił mi nic, czego już bym nie była świadoma. Doskonale wiedziałam, jak widział mnie Vonvalt i co do mnie czuł. Te uczucia – ta duma, ojcowska miłość, ta potrzeba, by obserwować mój rozwój i to, jak staję się coraz lepsza – były powodem, dla których ogarniała mnie taka udreka. Już teraz widziałam więcej Imperium niż większość jego mieszkańców. Dostrzegałam nędzę, w jakiej żyli ludzie. Do diabła, sama przez dwa lata mieszkałam w Muldau, w zimnie, niepewności i strachu. Bressinger miał rację; musiałam jedynie robić to, co robiłam do tej pory, a w końcu zostaną wysłana do Zakonu, by dokończyć szkolenie i sama zostanę Sędzią.

Mimo to nie widziałam tego w ten sposób. Stanie na straży prawa było dla mnie przeważnie harówką. Miałam skończyć jako nieugięta postać, jak Vonvalt, udreńczony swoją nekromancją, zmuszony radzić sobie z ludźmi takimi jak sir Radomir i patryon Claver, budzący postrach u prostych ludzi. Było coś smutnego

w tym wędrownym życiu, pozbawionym miłości dobrej kobiety i miejsca, które mógłby nazwać domem. Im dłużej byłam na nie wystawiona, tym bardziej chciałam się od niego uwolnić. Vonvalt mógł być zamożny i uprzywilejowany, ale żadna z tych rzeczy go nie uszczęśliwiała.

– Daj spokój, Heleno – powiedział Bressinger, starając się określić źródło mojej zgryzoty jak człowiek, który zarzuca wędkę nad mętym stawem. – Mężczyźni w Sowie nie są tacy jak ci z prowincji. O Autunie można powiedzieć wiele, ale traktują tam kobiety jak równe sobie. Znajdziesz tam wielu odpowiednich kawalerów. Mężczyznę, który będzie cię motywował i szanował.

– Dobrze, Dubine – powiedziałam, czując się urażona i nieszczęśliwa. Chętnie zakończyłabym tę rozmowę.

– Nie poszłaś z nim do łóżka? – zapytał nagle.

– Na Neme! – zakląłam. – Niby kiedy? Jesteśmy w Vale jakieś pięć minut! – Bressinger patrzył na mnie nieprzeniknionym wzrokiem. Westchnęłam. – Nie, nie poszłam, a nawet gdyby, to nie twój interes!

– Cóż, dopilnuj, by to się nie stało – powiedział szorstko Bressinger nieporuszony moją reakcją. – Jeśli zrobi ci dziecko, sir Konrad będzie zmuszony znaleźć innego asystenta, bez względu na to, jak bardzo byś chciała zostać.

Odwrócił się i ponownie ruszył w stronę ulicy Krawieckiej, za co w głębi duszy byłam wdzięczna. Gdyby został, powiedziałabym coś, co usunęłoby mnie ze służby u Vonvalta równie skutecznie jak ciąża.

* * *

Znaleźliśmy właściwy sklep już przy trzeciej próbie. Miejsce to tętniło głosami krawców, szwaczek i wszelkiego rodzaju handlarzy tekstyliami. Właściciel był pretensjonalnym mężczyzną w okularach, który wyraźnie ubił dobry interes na grozodańskich aksamitach, gdyż teraz głośno się targował. W sklepie było tyle żon bogatych kupców i ich dziewczek służących, ile w portowym barze klientów.

Mężczyzna był zabiegany, nasze cesarskie upoważnienia nie robiły na nim żadnego wrażenia i spędziliśmy aż za dużo czasu, usiłując uzyskać od niego jakieś odpowiedzi. Człowiek ten już został przesłuchany przez ludzi sir Radomira i był w stanie przyznać tylko, że lady Bauer była w jego sklepie razem z Haną, że oglądały aksamity i że lady Bauer kazała Hanie wyjść, zanim sama opuściła sklep.

Zanim ponownie wyszliśmy na ulicę Krawiecką, było późne popołudnie. Słońce wisiało już na tyle nisko, by przesłoniły je Tolsburskie Rubieże, a część

pluchy na ulicach ponownie zaczęła zamarzać. Co gorsza, nad miasto ponownie napłynęły chmury, a w powietrzu zaczął wirować niesiony silnym wiatrem śnieg.

Pośpiesznie wróciliśmy do rezydencji lorda Sautera. Vonvalt już był w środku. Miałam nadzieję, że zdołamy spędzić trochę czasu na dalszym omówieniu listu Sędzi August, lecz usłyszałam nie tylko jego głos, ale i innego mężczyzny, co znaczyło, że lord Sauter prawdopodobnie wrócił. Zdjęliśmy z Bressingerem płaszcze. Dubine odpiął także miecz, po czym jeden ze służących poprowadził nas do salonu – pokoju wypełnionego przyjemnym ciepłem i kosztownym wyposażeniem.

– Ach – powiedział Vonvalt, gdy stanęliśmy w drzwiach.

Moja twarz zaczęła mrowić, gdy ciepło pobudziło w niej krew.

– Witajcie w moim domu – rzucił tęgi, łysy mężczyzna, który nie mógł być nikim innym, jak burmistrzem. – Sir Konrad opowiedział mi o was. Wy musicie być Dubinem i Heleną.

Ukloniliśmy się.

– Panie – powiedział Bressinger.

– Siadajcie – zaprosił nas Sauter.

Wyglądał na przyjaznego człowieka, a nie surowego, czego się spodziewałam. Natychmiast też domyśliłam się, dlaczego ludzie tacy jak sir Radomir za nim nie przepadali. Pomijając jego dobry nastrój, miał maniery człowieka nieustannie zdenerwowanego i łatwo było go sobie wyobrazić otoczonego potężnymi kupcami, z których każdy usiłował sprawić, by poddał się ich woli.

Usiedliśmy i zaraz przyniesiono jadło i picie. Zobaczyłam, że Vonvalt pił wino, i dlatego razem z Bressingerem również uprzejmie je przyjęliśmy. Było gorące i dobrze przyprawione. Protokół zmusił mnie, bym pomimo burczenia w brzuchu odmówiła poczęstunku, gdyż ani Sauter, ani Vonvalt nie jedli.

– Mieliśmy właśnie omawiać sprawę zabójstwa lady Bauer – powiedział Vonvalt i z Bressingerem zdaliśmy sobie sprawę, że ominęły nas jedynie zbędne uprzejmości.

– Tak, tak – zgodził się lord Sauter, wykręcając pulchne dłonie. – To okropna sprawa. Całe Vale jest zszokowane. I nie ma ani jednego podejrzanego.

– Słusznie tak szybko skierował pan na nią moją uwagę – powiedział Vonvalt, upijając łyk wina. – Chociaż zaimponowała mi gorliwość, z jaką szeryf Radomir podchodzi do pilnowania prawa.

Na dźwięk imienia szeryfa kąciki ust lorda Sautera opadły.

– Gorliwość to właściwe słowo – odparł i niespokojnie poruszył się na fotelu.

– Mówiąc szczerze, Sędzio, bardzo ucieszyły mnie wieści o pańskim przyjeździe. Pańska reputacja jako człowieka mądrego i przyzwoitego pana

wyprzedza. Sir Radomir otrzymał tytuł szlachecki ze względu na swoją pozycję, ale ma trudny i nieprzyjemny charakter.

– To jasne, że się nie przyjaźnicie.

Lord Sauter westchnął.

– Prawda wygląda tak, że sir Radomir zachowuje swoją pozycję tylko ze względu na mój patronat. Nie żeby o tym wiedział. Jest skutecznym stróżem prawa... dla niektórych aż nazbyt skutecznym, jeśli rozumiecie, co mam na myśli.

Vonvalt nieco pochylił głowę.

– Nie jest moim przyjacielem, to pewne, ale czasami dla wspólnego dobra wznosimy się ponad takie rzeczy. Przystępność ciągnie się za pieniędzmi niczym ogon za psem, a Galen's Vale ma ich mnóstwo. Utrzymanie porządku w mieście takim jak to wymaga ludzi posiadających charakter.

Vonvalt był pod wrażeniem.

– Taka postawa jest naprawdę godna podziwu – powiedział. – Nie spotkałem wielu ludzi, którzy postąpiliby tak samo. Próżność aż nazbyt często przytłacza zdrowy rozsądek.

Sauter był zadowolony z komplementu, jednak przyjął go, jedynie wzruszając ramionami.

– Wojna Imperialna zrodziła wielu bandytów, sir Konradzie. Bandytów, którym później nadano tytuł szlachecki. Tyle że posiadanie szlachectwa nie czyni kogoś szlachetnym.

Vonvalt uśmiechnął się ze smutkiem.

– Wcześniej słyszałem już o Galen's Vale, ale nie zawsze miało reputację głównego ośrodka handlowego.

– Nie, jest nim od jakichś dziesięciu lat, od czasu wybudowania nowej przystani. Ma to związek z głębokością rzeki Gale. Nowe karraki są wspaniałe i potrafią zmieścić wiele ton ładunku, ale do żeglugi wymagają głębokiej wody. Gale jest wystarczająco głęboka, by umożliwić im dostęp do miejsc, do których nie doprowadzą ich inne rzeki, i wpływa mniej więcej do samej Sovy. Ilość pieniędzy, jaką przynosi, jest oszałamiająca. Zanim zostałem burmistrzem Vale, nigdy nie widziałem złotej korony. Teraz karraki z ładunkiem wielu tysięcy koron wpływają do naszego portu każdego tygodnia. Nawet przy bardzo niskiej opłacie akcyzowej skarbiec jest praktycznie przepełniony.

– Przeznaczacie te pieniądze na użyteczność publiczną?

Sauter skinął głową.

– Jesteśmy zdolni utrzymywać mury i wszystkie forty w dobrym stanie i płacimy pokaźne sumy na straż i uzbrojenie. Widział pan nasz sąd?

– Owszem. To nowy budynek, i to w nowogotyckim sovańskim stylu. Musiał kosztować małą fortunę.

– Tak, ale zapłata poszła z jego własnych dochodów. Praktyka prawa kupieckiego dosłownie tutaj kwitnie.

– Miło to słyszeć. To, co zobaczyłem, nie dało mi żadnych powodów do obaw... a moi współpracownicy mogą zaświadczyć, jak rzadko to mówię.

– To naprawdę wielka pochwała – powiedział Bressinger i wszyscy się roześmialiśmy.

– Pomijając sprawę lady Bauer, śmiem twierdzić, że nie miałbym tutaj dużo pracy – powiedział Vonvalt i ponury nastrój powrócił równie gwałtownie, jak ogień zgaszony mokrym kocem.

– Owszem – powiedział lord Sauter. – To był ogromny szok. W Vale zdarzają się morderstwa, podobnie jak w każdym mieście, ale żona lorda... to niesłychane.

– W rzeczy samej – zgodził się Vonvalt. – Dzisiaj rano rozmawiałem już z lordem Bauerem i zaczęliśmy prowadzić dochodzenie wraz z zespołem sir Radomira. Takie sprawy należy zbadać szybko, jeśli ma istnieć nadzieja na sprawiedliwe zakończenie.

– Ma pan jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógł się tego dopuścić? – zapytał z nadzieją Sauter.

– Nie – odparł Vonvalt. – Ale jestem pewien, że robimy postępy. Jak pan rozumie, prowadzenie dochodzenia w rozsądny sposób wymaga ode mnie, bym pewne rzeczy zachował dla siebie.

– Oczywiście, oczywiście – odparł Sauter. – A pańskie... umiejętności pomogą w śledztwie?

– Pomogą, jeśli zajdzie konieczność ich użycia.

Sauter przez chwilę poruszał ustami.

– Pan Maquerink powiedział, że nie użył pan na niej nekromancji?

– Nie, nie użyłem – odpowiedział Vonvalt. Starał się zachować cierpliwość. – Okoliczności były dalekie od idealnych. Obawiam się, że choć to bardzo potężne narzędzie, musi zostać spełnionych wiele czynników, bym go użył.

– N-na przykład jakich?

Vonvalt zacisnął usta.

– Wszystko zależy od tego, czy dana osoba jest do mnie przychylnie nastawiona, czy została zabita precyzyjnym ciosem i stosunkowo niedawno, i czy jej głowa jest nienaruszona... W takim przypadku mogę rozmawiać z nią mniej więcej w taki sposób, jak teraz z panem.

Sauter nie zdołał powstrzymać dreszczu.

– A jeśli te czynniki nie są spełnione?

– Ależ, lordzie Sauter, tak przyjemnie spędzamy wieczór. Nie chciałbym go psuć – powiedział Vonvalt łagodnie.

– W takim razie jakie jeszcze ma pan moce? – zapytał Sauter.

Takie pytanie było niewiarygodnie wulgarne, lecz Vonvalt wyczuł w mężczyźnie sojusznika i był w nastroju, by sprawić mu przyjemność.

– Mam tylko dwie, a ta druga to Głos Cesarza. Większość Sędziów posiada energię, by utrzymać tylko kilka umiejętności. Nawet Mistrz Kadlec posiada trzy, o których wiem. Nekromancja jest najrzadziej spotykana i dlatego praktykuje ją najmniejsza liczba Sędziów. Ale jak już powiedziałem wcześniej, potęga cesarskiego autorytetu i waga powszechnego prawa w większości spraw wystarczą.

– Ale nie w tej?

– Zobaczymy.

Sauter ponownie poruszył się na krześle.

– To oczywiście mogło być przypadkowe zabójstwo – powiedział, najwyraźniej szukając pocieszenia. – Rabunek, który się nie udał.

– Rzeczywiście – przyznał Vonvalt. – Takie rzeczy dość często się zdarzają. A przy okazji... byłbym bardzo wdzięczny, gdyby udostępnił pan mojej asystentce listę radnych i opis ich obowiązków w ratuszu, tych ważniejszych i pomniejszych.

Sauter lekko wytrzeszczył oczy.

– Czy któryś z radnych znajduje się w kręgu podejrzeń?

Vonvalt zbył go machnięciem.

– Nie, wymagam tego jako przedstawiciel magistratu w ramach moich zwyczajnych i nigdy niekończących się obowiązków.

Sauter z ulgą przyjął to kłamstwo.

– Jak pan sobie życzy. Takie informacje trzymam w gabinecie. Z przyjemnością wykonam dla pana kopię.

– Byłbym bardzo wdzięczny – powiedział Vonvalt.

– Naturalnie moje biuro jest do pańskiej dyspozycji.

– Wiem – odparł Vonvalt i spojrzął za okno. Ostatnie promienie słońca zbladły, a niebem ponownie zawładnęła ciemność. Śnieg cicho stukał o szybę. – Robi się późno. Zająłem już wystarczająco dużo pańskiego czasu – powiedział do Sautera i wstał.

– Nie szkodzi, sir Konradzie – odparł szybko burmistrz i również wstał. – Jest wam wygodnie? Macie wszystko, co trzeba?

– Jak najbardziej – odpowiedział Vonvalt. – Jeśli się pan zgodzi, sir, zjem dzisiaj w mojej komnacie. Muszę dopilnować pewnych obowiązków, których

wypełnienie potrwa jeszcze kilka godzin. Czy może pan kazać przynieść świeże świece?

– Oczywiście.

– Dla mojej asystentki również – dodał Vonvalt, na co ogarnęło mnie rozczarowanie, chociaż po części się tego spodziewałam. Wiedziałam, że będzie chciał, bym przejrzała rejestr, który zabrałam z budynku sądu, lecz miałam nadzieję, że jednak zrobi to sam.

Sauter skinął głową.

– Bardzo dobrze. Teraz się już pożegnam – powiedział Vonvalt.

– Dobranoc – odparł Sauter, po czym z Bressingerem również się pożegnaliśmy i ruszyliśmy po schodach, by spędzić nocne godziny na czytaniu.

VII

Pogoń o północy

„Próba targnięcia się na życie przedstawiciela państwa jest próbą targnięcia się na samo państwo. Wszystko, co ingeruje w prawe i zwyczajowe prowadzenie cywilizacji, winno być usunięte bez chwili wahania”.

Sędzia Johann Keita

Przebudziłam się nagle późno w nocy. Moje oczy były suche i zmęczone od czytania, które rozpoczęłam kilka godzin wcześniej.

Rozejrzałam się po komnacie. Zorientowanie się w otoczeniu zawsze zajmowało mi kilka sekund. Przez ostatnie dwa lata zatrzymywaliśmy się w tylu miejscach, że przywykłam już do chwilowego braku orientacji po przebudzeniu... w stopniu, w jakim można się do niej przyzwyczaić.

Spałam wyjątkowo głęboko i nieco dłużej niż zazwyczaj. Na zewnątrz nadal było ciemno. Nie potrafiłam określić, która jest godzina, ale dostrzegłam słaby poblask księżyca oświetlający tynk przy zasłonach.

Po tym, w jaki sposób poruszyło się łóżko, i po dochodzącym spod kołdry zapachu wieczornego łajdactwa poznałam, że Bressinger wrócił. Małym cudem było, że mnie przy tym nie obudził. Odwróciłam się, by mu się przyjrzeć – nabrałam zwyczaju sprawdzać, czy nie był chory, zarówno dla jego bezpieczeństwa, jak i własnego – i ku swojemu zaskoczeniu dostrzegłam, że ma otwarte oczy i wpatruje się w sufit.

– Dubine? – wyszeptałam.

Jego ciało było ciepłe i chociaż wyglądał niczym wyciosany z kamienia, instynktownie wiedziałam, że nie był martwy... chociaż sama Nema wie, jak bardzo przypominał zwłoki. Mimo to nie poruszył się. Po kilku chwilach mojego upartego wpatrywania się nieznacznie pokręcił głową.

Nie podobała mi się jego wskazówka.

– Dubine? – powiedziałam ponownie. Ponownie pokręcił głową, tym razem bardziej energicznie. Nie miałam pojęcia, o co mu chodziło.

– Dubine! – syknęłam, na co poruszył się lekko.

– Zamknij się, dziewczyno i nie ruszaj się, w imię Nemy! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Dosłownie zagotowałam się z furii. Przewróciłam się na bok i uniosłam na łokciu, by spojrzeć mu w twarz.

– Nie mów do mnie... – zaczęłam, kiedy ku mojemu ogromnemu zdumieniu Bressinger odwrócił się, niczym przestraszony kot i pchnął mnie obiema rękami.

Spadłam z łóżka i uderzyłam o drewnianą podłogę z gracją upuszczonego worka z łąnem.

– Co, na Kasivara, jest z tobą nie tak?! – krzyknęłam.

Byłam tak wściekła, że już chciałam rzucić się na niego z pięściami, gdy zobaczyłam, że coś było ode mnie szybsze. Bressinger miotał się na łóżku, jakby opętał go diabeł. Zaciskał na czymś lewą dłoń i przez dłuższą chwilę wydawało mi się, że to pasek od spodni. Dopiero, kiedy sturlał się przez drugą krawędź łóżka i przycisnął głowę tej rzeczy do ściany, uświadomiłam sobie, że to wąż.

Poczułam, jak zalewa mnie fala nudności. Zadrżałam na samą myśl o tym, że gad był ze mną w jednym pokoju, a co dopiero w łóżku.

– Skąd to się tu, u diabła, wzięło? – zapytałam bez tchu, a serce biło mi tak mocno, że miałam wrażenie, że za moment wyskoczy mi z piersi.

Bressinger zignorował mnie. Chwycił swój miecz i otworzył drzwi do pokoju z taką siłą, że klamka uderzyła o ścianę, pozostawiając na niej ślad.

– Dub... Dokąd idziesz?! – zawołałam, ale on mnie zignorował i dalej biegł korytarzem.

Szybko okrążyłam łóżko i rzuciłam się za nim.

– Poczekaj! – zawołałam, rozpaczliwie nie chcąc pozostać sama w pokoju.

Bressinger nie zaczekał. Dotarł do drzwi komnaty Vonvalta, pchnął je ramieniem na oścież i zamachnął się mieczem – mieczem o grozodańskim ostrzu – tak płynnie, że usłyszałam w powietrzu świst.

– Tam! Przy kufrze! – usłyszałam krzyk Vonvalta.

Weszłam do jego sypialni i zobaczyłam, jak w nocnym odzieniu stoi na ławie przy oknie, przywierając do krat, jakby zaraz miał wyważyć okno i wypaść na zewnątrz, zabijając się równie skutecznie jak po ugryzieniu węża. Na wpół zwinięte u stóp mahoniowego kufra stworzenie miało może nieco ponad pół metra długości i niemal niedostrzegalne w nocnym świetle, charakterystyczne znaki na skórze. Gdyby Bressinger nie zadziałał tak gorączkowo i zdecydowanie, pomyślałabym, że jest nieszkodliwe.

Bressinger nie tracił czasu. Jednym ciosem rozplątał głowę gada, zabijając go na miejscu, lecz to nie powstrzymało go, by dla pewności zadać mu jeszcze kilka ciosów. W końcu podniósł wzrok na Vonvalta.

– Ukąsił cię? – zapytał i zrobił krok w jego stronę. – Mów! Szybko!

Jego pierś unosiła się w gwałtownym oddechu, a wzrok miał przepełniony niepokojem. Bressinger rzadko kiedy ulegał panice; teraz wyglądał na wpół oszalałego.

– O co chodzi? – zapytałam, patrząc na obu mężczyzn i truchło gada. – Czy jest jadowity? Ukąsił cię?

– Nie – powiedział Vonvalt, schodząc z ławy. Widziałam, że jest nieco zażenowany swoją reakcją. – Nic mi nie jest. – Podeszedł do miejsca, w którym leżał martwy wąż, i kucnął przed nim.

– To żmija grozodańska – powiedział Bressinger chrapliwie. Końcem miecza uniósł lekko zwłoki stworzenia, odsłaniając na jego brzuchu pasiasty wzór. Reszta ciała miała barwę burego, niczym niewyróżniającego się brązu. – W naszym pokoju też była jedna.

– Czyli są jadowite? – zapytałam.

– Zabójcze – warknął Bressinger. – Na krew Nemy, zaledwie zadrapanie jej zębami jadowymi potrafi w niecałą godzinę zabić dorosłego człowieka.

– To gatunek wędrowny? – zapytał Vonvalt, po czym otworzył kufer i wyjął własny miecz o krótkim ostrzu.

Bressinger wyglądał na zdeorientowanego.

– O czym ty mówisz? – wykrztusił.

Vonvalt ruszył w stronę drzwi.

– Nie sądzę, by było prawdopodobne, że te dwa osobniki same tu przywędrowały. – Skinął głową w stronę okna swojej sypialni. – Chodźcie. Jeśli się pośpieszymy, może złapiemy tego, kto je tu przywiózł.

Bez zastanowienia podążyliśmy za nim i szybko ruszyliśmy przez dom lorda Sautera. Hałasy obudziły większą część domowników, lecz Vonvalt na swój uprzejmy, acz władczy sposób nakazał wszystkim powrócić do ich pokoi. Kilka chwil później znaleźliśmy się na mroźnym powietrzu Galen's Vale, a przy każdym oddechu z naszych ust dobywał się obłok pary. W pośpiechu żadne z nas nie pomyślało o tym, by nałożyć na siebie cokolwiek, co chociaż przypominałoby odpowiedni strój, i jedynie adrenalina powstrzymywała mnie od drżenia.

– Cholera – zaklął Bressinger. – Spójrzcie. – Wskazał na coś.

Podążyłam wzrokiem za jego palcem i dostrzegłam ciemną postać leżącą wśród roślin w ogrodzie przed domem. Nawet w marnym świetle było widać, że to zwłoki. Zbroja i uniform świadczyły, że mężczyzna należał do straży

miejskiej, a ciemne plamy na bruku w pobliżu bramy świadczyły o jego gwałtownej śmierci. Wróciłam myślami do człowieka, który powitał nas, gdy po raz pierwszy stanęliśmy przed domem lorda Sautera: przyjaznego i uprzejmego, dbającego o nasze dobre przyjęcie. Fakt, że spotkał go koniec tylko dlatego, że stał na drodze między napastnikiem i nami, napełnił mnie nagłą melancholią, i to w sposób, w jaki nie zrobiła tego śmierć innych osób, nawet tych mi bliższych.

– Krew nadal paruje – stwierdził Bressinger.

– Nie mógł zginąć dalej niż pięć minut temu – powiedział Vonvalt.

– To mnóstwo czasu na ucieczkę.

– Nie – mruknął Vonvalt, kręcąc głową. – Będzie chciał się przekonać, czy mu się powiodło.

Podniosłam wzrok na domy w sąsiedztwie rezydencji lorda Sautera. Podobnie jak budynek, z którego właśnie wyszliśmy, były duże i kosztowne, a ich konstrukcje z drewna i cegieł sięgały trzy, a nawet cztery piętra w stronę nocnego nieba. Wszystkie tonęły w ciemności, niczym skulone sylwetki śpiących olbrzymów.

Czas, który spędziłam w Muldau, sprawił, że zaczęłam patrzeć na otoczenie okiem artysty i moją uwagę natychmiast zwróciły niepasujące do siebie wysokości dachów. Biorąc pod uwagę mocne pnącza bluszczu porastające fronty domów oraz wystające parapet okien i rynny, wspięcie się na wyższe partie domu dla lepszego punktu obserwacyjnego nie wymagałoby wielkiego wysiłku. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jak bardzo byliśmy bezbronni.

– Powinniśmy się ukryć – powiedziałam z niepokojem, czując coraz większe zimno, gdy emocje nieco opadły.

Jak zwykle Vonvalt mnie uprzedził.

– Widzę go – mruknął, podnosząc wzrok do miejsca, w którym jakieś czterdzieści pięć metrów od nas łączyły się dwa kryte strzechą dachy, różniące się o wysokość całego piętra.

Prostą linię łączenia budowli przerywał nikły zarys czegoś, co przypominało głowę i bark. W jednej chwili wyobraziłam sobie mężczyznę, który obserwował nas z łukiem w dłoni.

– Nie ma szans, byśmy go złapali – powiedział Bressinger.

– Nie może zostać tam na zawsze – odparł Vonvalt.

– Jaki mamy plan?

– Pobiegnę w jego stronę – powiedział Vonvalt. – Zbliżę się na tyle, by znalazł się w zasięgu mojego Głosu.

– Zamierzasz kazać mu skoczyć z dachu i się zabić? – zapytał Bressinger.

Spojrzałam na niego zszokowana. Nawet Vonvalt, który na wiele pozwalał Dubine'owi, popatrzył na niego z wyrzutem.

– To byłoby morderstwo – powiedział.

– Jak go złapiesz, i tak go powieszisz – rzucił Bressinger, broniąc się.

– Nagle naszło cię na żarty – powiedział Vonvalt. – Zachowaj je na później. Zamierzam sprowadzić go na dół bez uszkodzeń. Chcę wiedzieć, kto go nasłał.

– Jaki masz więc plan? – zapytał ponownie Bressinger.

Vonvalt skrzywił się.

– Postaram się zmusić go do ucieczki. Nie ma szans na dotarcie do którejkolwiek z miejskich bram, nie podczas godziny policyjnej. Zakładam, że skieruje się w stronę Gale. Możemy to przyśpieszyć, ale na naszych warunkach.

Bressinger kilka razy odetchnął głęboko, jakby przed meczem piłki ręcznej na sovańskiej arenie.

– No to do dzieła, zanim zamarzniemy tu na śmierć – powiedział.

– Heleno zostań tutaj – powiedział Vonvalt, odwracając się do mnie. – Przykucnij za tą kolumną, do czasu, aż będzie bezpiecznie i będziesz mogła wyjść. Nie ma sensu, żebyśmy wszyscy lekkomyślnie narażali się na śmierć.

Po części miałam nadzieję, że wyśle mnie z powrotem do domu, ale nie ze strachu. Mimo że bardzo chciałam być częścią pościgu, to tak naprawdę kosztowałam z zimna. W odpowiedzi jedynie skinęłam głową.

– Musimy działać szybko – powiedział Vonvalt.

– Dobrze – mruknął Bessinger.

– W porządku, to ruszamy.

Patrzyłam, jak obaj mężczyźni rzucili się przez bramę i pognali ulicą w stronę tajemniczej sylwetki niczym para uciekających więźniów. W każdej chwili spodziewałam się, że któryś z nich padnie na ziemię ze strzałą w piersi, lecz postać się nie poruszyła. Widząc to, ściągnęłam brwi. Złapałam się zimnej, na wpół zamarzniętej kolumny przy bramie i w słabym księżycowym świetle zmrużonymi oczami próbowałam dokładniej przyjrzeć się sylwetce.

Wtedy usłyszałam Głos Cesarza.

Nawet w miejscu, w którym się znajdowałam, wyczuwałam jego moc. Moja czaszka zdawała się lekko wibrować, a w uszach rozbrzmiało mi nikłe dzwonięcie, jakby ktoś uderzył w kamerton i przyłożył go do nich. Było to najmocniejsze uderzenie, jakiego Vonvalt kiedykolwiek użył... a mimo to sylwetka się nie poruszyła.

Obróciłam się gwałtownie. Na prawo ode mnie, w głębi ulicy, zakapturzona i odziana w pelerynę postać wyłoniła się z cienia. Nagle ogarnął mnie dziwny paraliż. Sylwetka poruszała się tak lekko, że przez kilka chwil, wpatrując się w ciemną ulicę, nie byłam do końca pewna, czy to człowiek. Wtedy postać dobyteła spod płaszcza bardzo ludzką broń – kuszę – i wtedy iluzja prysła.

– Sir Konradzie! – krzyknęłam z całych sił.

On i Bressinger odwrócili się gwałtownie. Strzała świsnęła w nocnym powietrzu, lecz coś – prawdopodobnie mój krzyk – rozproszyło zabójcę i grot jedynie podziurawił nocne ubranie Vonvalta.

Na kilka sekund wszyscy zamarli, aż nagle zaczęli się poruszać, jakby sterowani przez władcę marionetek. Zabójca, widząc, że jego jedyna okazja przepadła, odwrócił się na pięcie i zaczął uciekać. Vonvalt, Bressinger i ja rzuciliśmy się za nim.

Z perspektywy czasu ta nocna pogoń ciemnymi ulicami Galen's Vale mogła zakończyć się katastrofą, gdyż żadne z nas nie znało rozkładu miasta ani też nie miało na sobie żadnej zbroi. Gdyby zabójca zachował przytomność umysłu, uświadomiłby sobie, że przewaga jest nadal po jego stronie. Być może był zaskoczony albo nie chciał znaleźć się w zasięgu Głosu Vonvalta. Jakikolwiek był tego powód, uciekał jak szalony, a jego rozsądek topniał niczym masło na rozgrzanej patelni.

Cała nasza trójka wyglądała absurdalnie, gdy pędziliśmy po zmrożonym bruku, a nasze koszule nocne powiewały wokół nas jak prześcieradła. Przyznaję, że kiedy minęło już bezpośrednie zagrożenie, poczułam ekscytację całym zdarzeniem; przypomniało mi moje dzieciństwo, kiedy uchylałam się przed tolskimi strażnikami, zaciskając brudną dłoń na gorącej bułce lub sakiewce pełnej monet.

Vonvalt miał rację co do swojego przewidywania; jego niedoszły morderca, tak kreatywny w kwestii odwrócenia naszej uwagi, uciekał niewiarygodną trasą przez obskurną wschodnią dzielnicę, w stronę rzeki Gale. Tutaj, pomimo zimna, powietrze było nasycone smrodem palonego torfu i odpadków oraz potwornym oleistym i rybim odorem, który dusił wszystko swoimi tłustymi oparami. Przypominał mi on zapach, którym śmierdział Vonvalt po tym, jak pił olej z rybiej wątroby – miksturę, która według niego miała wzmacniać, a była jedynie najbardziej odstrasającym towarzysko lekiem, jaki kiedykolwiek istniał.

– Zatrzymaj się! – zawołał Vonvalt chociaż nie miał energii, zasięgu ani wystarczająco spokojnego oddechu, by móc użyć Głosu Cesarza.

Mężczyzna nie posłuchał. W gruncie rzeczy nie mógł się zatrzymać. W ślepych pośpiechu źle ocenił brzeg rzeki. Tam, gdzie ziemia nie była pokryta białawą warstwą lodu, błoto pozostało niezwykle śliskie i teraz napastnik ześlizgnął się ze stromego zbocza i głową naprzód wpadł do lodowatej rzeki.

– Cholera – mruknął Bressinger z przerażeniem, zakładając, że Vonvalt poprosi go, by podjął próbę ratunku.

Kiedy jednak całą trójką dobiegliśmy do rzeki, po mężczyźnie nie został żaden ślad; jedynie kilka połamanych kawałków cienkiego lodu i spieniona woda w czarnym jak smoła otworze.

– Gdzie, na Kesivara, on się podział? – wykrztusiłam ze świstem, gdyż gardło paliło mnie od lodowatego powietrza.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Staliśmy nieruchomo, parując niczym konie wyścigowe po trzech okrążeniach toru, poszukując jakiegokolwiek śladu zabójcy. Nic jednak nie dostrzeżliśmy. Rzeka pochłonęła swoją ofiarę.

– Nie potrafił pływać? – zapytałam. Zdumiało mnie, że ktoś może wskoczyć do wody i tak po prostu zniknąć, nie wypływając na powierzchnię choćby raz.

Vonvalt posępnie pokręcił głową, jednak to Bressinger się odezwał.

– Zimno wypchnie całe powietrze z jego płuc. – Splunął na ziemię, po czym wygiął plecy i skrzywił się, gdy kręgosłup strzyknął mu kilka razy. – Na cycki Nemy, nie potrzebowałam tego.

– Nie rozumiem – powiedziałam. – Nie mógł po prostu wstrzymać oddechu?

Bressinger pokręcił głową.

– To niemożliwe – odparł. – Sama pomyśl: jak wchodzisz do zimnej kąpieli?

Wzruszyłam ramionami.

– Z ogromną niechęcią? – podsunęłam.

– To też – przytaknął. – A nawet wtedy czasami zdarza się, że nabierasz powietrza. – Ponownie wskazał głową ciemne wody rzeki, które pochłonęły zabójcę równie nieodwracalnie, jak bagno. – Kiedy tak nagle zanurzasz całe ciało, mimowolnie bierzesz ogromny łyk wody. A bez powietrza w płucach pójdziesz na dno jak kamień. – Jeszcze raz splunął i zaczął wyginać ciało. – Teraz porwały go prądy. Ta rzeka jest zdradziecka pod wszelkimi względami.

– Na krew bogów, chłopie, zamknij się – mruknął Vonvalt.

Podniosłam na niego wzrok, ale nie patrzył na mnie, lecz niczym zauroczony wpatrywał się w dziurę w lodzie.

– Sir Konradzie? – zapytałam cicho.

Po dłuższej chwili westchnął.

– Dubine ma rację – powiedział i kilka razy odchrząknął. Podobnie jak Bressingerowi i mnie, tak i jemu zimne powietrze źle wpłynęło na gardło, lecz w przeciwieństwie do nas on używał jeszcze Głosu Cesarza.

Staliśmy tam jeszcze kilka minut, lecz zaraz ponownie poczuliśmy atakujący nas mróz. Za naszymi plecami pojawili się nocni strażnicy, przyciągnięci hałasem i bez wątpienia wysłani na pomoc przez lorda Sautera. Emocje już ostygły, a mój nastrój momentalnie się pogorszył, na myśl o tym, że czeka nas noc pełna długich wyjaśnień i składania oficjalnych zeznań.

Vonvalt wziął głęboki oddech, po czym powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Wracajcie do łóżka, oboje – powiedział. – Ja się tym zajmę.

* * *

Kiedy z Bressingerem wróciliśmy do rezydencji lorda Sautera, cały dom był pogrążony chaosie i chociaż Vonvalt chciał wyświadczyć nam przysługę, puszczając nas, w rzeczywistości musieliśmy przyjąć na siebie główny ciężar przesłuchania w wykonaniu samego lorda. Sauter wydawał się zirytowany zamieszaniem, ale wyczułam, że rozdrażnienie było tylko pozorem i miało zamaskować ogromne zażenowanie faktem, że o mały włos w jego własnym domu doszłoby do zabójstwa cesarskiego Sędziego. W gruncie rzeczy nie można było go nie podejrzewać o osobiste zaangażowanie w tę sprawę, chociaż nie wyglądał na kogoś w tym typie. Rano Vonvalt zasypał go serią pytań, mogłam więc wybaczyć mu jego nieuprzejmość.

Bressinger uparł się, by zachować truchło obu węży, mówiąc mi, że w każdej aptece dostanie za nie sporą sumę, podobnie jak w Grozodzie. Zdziwiająco było to, że coś tak jadowitego mogło posiadać jakiejkolwiek właściwości lecznicze, lecz Dubine zapewnił mnie, że jad przyjmowany w minimalnych dawkach nie tylko stanowił skuteczną antytoksynę, ale miał też cały wachlarz innych medycznych właściwości, w zależności od tego, jak i z czym go zmieszano. Nakazał jednej ze służących przynieść z kuchni słój z octem, po czym postawił to potworne trofeum na szafce przy naszym łóżku. Pozwoliłam mu na to tylko pod warunkiem, że dokładnie przeszuka sypialnię pod kątem obecności innych węży... ale oczywiście nic nie znalazł.

Zanim w domostwie zapanowały cisza i spokój, niebo zasnuło się chmurami i ponownie zaczął padać śnieg. Po Vonvalcie nadal nie było śladu, lecz zakładałam, że ktoś użył mu płaszcza. Jak się później okazało, wrócił do strażnicy i zobaczyliśmy go dopiero późnym rankiem następnego dnia.

Pomimo gorączkowych nocnych wydarzeń Bressinger potrafił zasypiać absurdalnie szybko i nie minęło dużo czasu, gdy zaczął chrapać. Ja jednak nie zmrzyłam oka do chwili, gdy niebo zaczęło szarzeć na horyzoncie. Mimowolnie raz po raz przypominałam sobie wszystko, co się stało. Ktoś usiłował nas zabić. Gdyby nie kilka szczęśliwych przypadków, moje życie – a przynajmniej to, jakie znam – mogło się zakończyć. Od tamtej pory coś takiego przytrafiło mi się już tyle razy, że trudno mi było określić pierwsze załamanie emocji, lecz przypominam sobie, że leżąc wtedy w ciemności nocy, czułam głęboki niepokój. Nie miałam pojęcia, jakie zło zagnieździło się w Galen's Vale, lecz jeśli ktoś usiłował zabić cesarskiego Sędziego, to znaczyło, że jego korzenie sięgały głębiej i dotyczyły nie tylko tylko morderstwa żony miejscowego lorda. To, oczywiście, było prawdziwym powodem mojego strachu – że ktoś w ogóle usiłował zabić cesarskiego Sędziego. To było nie do pomyślenia; nawet wściekli,

skazani ludzie nie odważyli się wystąpić przeciwko Vonvaltowi. Granice wielu rzeczy, które przyjmowałam za bezwarunkowe, zostały teraz poddawane próbie. Jak niby mogłam zasnąć, gdy niszczone fundamenty mojego poglądu na świat?

Kiedy w końcu zapadłam w sen, był on niespokojny i nie przyniósł mi wytchnienia. Rzucałam się na łóżku, jakby w gorączce, i pomimo pełnego coraz większej irytacji szturchania Bressingera minęło dużo czasu, nim zapadłam w coś zbliżonego do głębokiej drzemki.

Miasto budziło się do kolejnego roboczego dnia, kiedy moje ciało poddało się i ogarnęła mnie nieświadomość.

Śniło mi się, że tonę.

* * *

Kolejny dzień był okropny. Głośny stukot na ulicy obudził mnie i Bressingera, i na wpół jeszcze śpiący podbiegliśmy do okna, by rozsunąć zasłony. Światło, szare i nijakie – chociaż nadal na tyle ostre, by oślepić – uderzyło we mnie z ogromną siłą i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że pozwolono mi spać do późnego ranka. Na ulicy, przed ogrodem lorda Sautera, stała grupa miejskich strażników, a kolejna, pozbawiona mieczy i zbroi, znajdowała się na dachu budynku, na którym w nocy widzieliśmy zarys postaci.

– Jasna cholera – powiedział Bressinger, wskazując rzecz, która wywoływała ten głośny stukot.

Strażnicy rozstąpili się i zobaczyłam, że to prymitywna drewniana konstrukcja podobna do stracha na wróble, przyrodziana w brudny płaszcz.

Rozejrzałam się po leżącym niżej ogrodzie, lecz oczywiście zwłoki strażnika już zabrano i zapewne złożono na jednym ze stołów w kostnicy pana Maquerinka. Lekarze rzadko kiedy mieli dużo pracy, kiedy Vonvalt pojawiał się w mieście, jednak w Galen's Vale rozkręciliby świetny interes.

Zaczęłam się zastanawiać, jak sir Radomir przyjął te wieści; współpracę jego i Vonvalta dzieliły od rozpadu tylko jedno lub dwa niepowodzenia i chociaż obydwaj darzyli się pełnym niechęci szacunkiem, szeryf nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który lekko by przyjął śmierć jednego ze swoich ludzi.

Ubraliśmy się pośpiesznie. Vonvalta nie było w jego sypialni, wyszliśmy więc z rezydencji, by rozpytać się wśród stojących na zewnątrz mężczyzn. Powiedzieli nam, że Vonvalt większą część nocy spędził z sir Radomirem i że teraz przebywa we wschodniej dzielnicy. Ruszyliśmy tą samą drogą, co poprzedniego wieczoru, otuleni pelerynami i z głowami pochylonymi na zimnym wietrze, który niósł ze sobą śnieg z deszczem.

Vonvalt stał na brzegu Gale z grupą żałośnie wyglądających strażników, a jego włosy były mokre. W którymś momencie musiał wrócić do domu burmistrza, gdyż był ubrany w swoje najlepsze cesarskie odzienie, chociaż buty i brzeg peleryny miał unurzane w śmierdzącym błocie. Nawet z daleka wyglądał mizernie, a jego twarz była blada, zmęczona i ściągnięta. Vonvalt nie funkcjonował dobrze bez porządnej dawki snu i wiedziałam, że większość dnia będę starała się go unikać.

Kiedy z Bressingerem podeszliśmy bliżej, zobaczyliśmy grupę rybaków w woderach i wzmocnionych ćwiekami butach, próbujących wyciągnąć z wody niewielką jednoosobową łódkę – ewidentny środek transportu naszego zabójcy. Jeden ze strażników robił, co mógł, by pozbyć się gapiów, którzy zebrali się pomimo złej pogody, lecz plotki o drugim morderstwie najwyraźniej już się rozeszły.

– Ufam, że oboje wypoczęliście? – zapytał Vonvalt, gdy znaleźliśmy się w zasięgu jego głosu, nie spuszczać wzroku z łódki.

– Tak – odparł Bressinger. – Widzieliśmy atrapę z dachu.

– Hmm – mruknął Vonvalt. – Podły fortel.

– Prawie cię załatwił – rzucił Bressinger, wskazując głową jego żebra, gdzie belt przebił nocną koszulę.

– Jakbym potrzebował przypomnienia – powiedział Vonvalt. Jego nastrój był jeszcze bardziej ponury, niż się spodziewałam. Wskazał łódkę. – Miejmy nadzieję, że chociaż z tego coś będzie. Miejscowi eksperci powiedzieli mi... – zmarszczył nos i spojrzał w stronę ciekawskich mieszczan – ...że nie ma żadnych szans na znalezienie ciała.

– To, że rzeka wyrzuciła ciało lady Bauer, to istny cud – powiedział Bressinger.

Spojrzałam na niego zaskoczona, jak źle ocenił nastrój naszego mistrza. A może nie obchodziło go to. W każdym razie Vonvalt nie zdążył odpowiedzieć.

– Milordzie! – zawołał jeden z mężczyzn przy łódce. Rozmowa z Vonvaltem, kiedy reprezentował swoje oficjalne stanowisko, była w najlepszym razie onieśmielającym doświadczeniem, lecz dla wszystkich było jasne, że Sędzia nie jest w dobrym humorze. – Nic tu nie ma. Może pan sam sprawdzić.

Vonvalt spojrzał na łódkę, jakby była przeklęta.

– Nie – mruknął, po czym odwrócił się na pięcie i tupiąc, ruszył z powrotem do domu burmistrza.

* * *

Bressinger i ja przez resztę dnia mieliśmy wolne. Vonvalt wrócił do łóżka na kilka godzin, po czym ponownie udał się do strażnicy. Ponieważ zwłoki strażnika niczego nie ujawniły, Vonvalt zezwolił na wydanie ich wdowie, a po południu udał się na pogrzeb nieszczęśnika. Czułam się po części odpowiedzialna za tę śmierć i miałam wcale niemałe wyrzuty sumienia, że nie uczestniczyliśmy w pochówku, chociaż ani Bressinger, ani ja nie zostaliśmy zaproszeni. Vonvalt później wyznał mi, że była to uroczystość pełna napięcia i on sam nie był tam mile widziany.

Bressinger udał się do apteki sprzedać truchła węży, a potem na wizytę do kolejnych barów. Ja natomiast, czując w dużej mierze zagubienie i apatię, wykorzystałam ten czas na długą kąpiel. Miałam nadzieję się zrelaksować, lecz skończyło się na tym, że przez kilka godzin rozmyślałam nad tym, co się wydarzyło.

Vonvalt wrócił wieczorem i razem zjedliśmy kolację w jadalni. Zatopiony w myślach obojętnie dziobał jedzenie widelcem i nie dał się wciągnąć w rozmowę – nie żeby było za bardzo o czym rozmawiać. Po jakichkolwiek dowodach nie został nawet ślad i mogliśmy się tylko domyślać, że te wydarzenia miały związek z morderstwem lady Bauer, chociaż nie można było zakładać tego na pewno.

Sądzę, że, podobnie jak ja, był bardziej zszokowany znaczeniem usiłowania zabójstwa niż samą jego próbą. Wiem, że Vonvalt miał silne przekonanie, że jego pozycja jako jednego z czołowych cesarskich Sędziów znacznie odsuwała od niego ryzyko morderstwa. Nie chodziło tu o strach – jego odwaga była niezaprzeczalna – lecz inteligentni ludzie mieli zwyczaj rozpamiętywać różne rzeczy, a Vonvalt był inteligentny. Nie potrafił oddzielić próby targnięcia się na jego życie od próby targnięcia się na wyższość powszechnego prawa, przy czym ogromnie trudno było mu tolerować to drugie, szczególnie kiedy pomyśli się, jak sam doszedł do tej wiary. W końcu łatwo było zapomnieć, że osobiście widział cywilizacyjne efekty stosowania sowańskiego prawa. Jego ojciec objął we władanie Wyżyny i Vonvalta wcielono do Legionów. Ruszył na wojnę ze swoimi rodakami. Zarówno on, jak i jego ojciec musieli uwierzyć, że sowańskie obywatelstwo i wszystko, co ono reprezentowało, było ostateczne. Jak inaczej można było usprawiedliwić horror Wojny Imperialnej? Vonvalt przyjął sowański system z gorliwością nowo nawróconego i chociaż nie był głupcem, wiedziałam, że konsekwencją jego młodych lat – jako że miał ich zaledwie piętnaście, kiedy ruszył na wojnę – było to, że istota jego światopoglądu była łagodniejsza i bardziej bezbronna, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Nie mieliśmy wyboru i na razie musieliśmy odłożyć tę kwestię na bok. Wniosek, jaki wyciągnęliśmy w tej sprawie, nie dawał żadnej satysfakcji i po

zdawkowym posiłku i wymianie zaledwie kilku zdań rozeszliśmy się do pokojów. Miałam nadzieję, że Bressinger wysłucha mnie ze zrozumieniem po powrocie tego wieczoru, lecz ku mojemu zaskoczeniu zbył moje obawy.

– Nie pozwól, żeby za bardzo cię to pochłonęło, Heleno – powiedział, gdy oboje położyliśmy się do łóżka. – Do rana dojdzie do siebie.

– Nie martwisz się o niego?

– Nie, a on nie byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że ty się martwisz. Potrzeba czegoś więcej niż nocna burda, by wstrząsnąć naszym mistrzem. – Prychnął. – To trochę śmieszne, prawda? Burda? Nie władam saxańskim tak biegle, jak ty.

– Mówisz w nim wystarczająco dobrze... przynajmniej, kiedy jesteś trzeźwy.

– Prowokujesz mnie – zadrwił. – Uważaj... następnym razem mogę pozwolić żmii cię dopaść.

– A tak w ogóle, to ile dostałeś za truchła?

Niemal natychmiast jego nastrój zmienił się w melancholijny.

– To bez znaczenia – mruknął. – Wszystko i tak już przegrałem i przepiłem.

Zamilkłam na chwilę, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

– Dziękuję – powiedziałam w końcu. – Za uratowanie mi życia.

Machnął ręką.

– Nie myśl o tym. Wiesz, że nie pozwoliłbym, by cokolwiek ci się stało, Heleno. Prędzej bym sam umarł. – Zamilkł, po czym westchnął głęboko. – Nema wie, że prędzej bym sam umarł – powtórzył cicho.

Odwrócił się ode mnie i nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zgasił lampę. Przez kilka chwil leżałam o szerokość dłoni od jego ramienia, niepewna, co zrobić, po czym – kiedy się nie poruszył – również się od niego odwróciłam i po chwili zapadłam w głęboki sen.

VIII

Zimne powietrze, gorące słowa

„Śpiesz się z działaniem, żałuj w odpowiednim czasie”.

Stare sovańskie przysłowie

Następnego ranka obudziło mnie bicie kościelnych dzwonów. Pomimo wysiłków służby lorda Sautera, by rozpaść w licznych kominkach, nadal było mi zimno i z niechęcią myślałam o opuszczeniu ciepłego łóżka. Bressinger jednak wstał ochoczo i rozsunął zasłony, odsłaniając ponownie szare niebo i pokrywającą miasto grubą warstwę śniegu.

– Chodź, Heleno – powiedział szorstko.

Zazdrościłam mu łatwości, z jaką otrząsał się ze snu. Była to cecha, którą przez lata wyrobił w sobie jako żołnierz. Po melancholii z poprzedniej nocy nie został nawet ślad. Rzeczywiście, cała ta sprawa z węzami wydawała się już odległa niczym na wpół zapamiętany sen.

Bressinger zebrał swoje rzeczy i wyszedł przebrać się do pomieszczenia obok, a ja wykorzystałam te kilka minut samotności, by się przebudzić. Potem szybko przywdziałam pończochy, bluzę i spódnicę, a na to kurtkę, ze względu na ziąb. Vonvalt kupił mi je w ramach zaliczki i dlatego wszystkie były z trwałego i dobrej jakości materiału. W pierwszych miesiącach, które spędziliśmy razem, byłam po prostu wdzięczna, że nie mieszkam już na ulicy, i z radością chwyciłam wszystko, co mi dawał. Teraz mój gust się poprawił. Bardziej interesowałam się cesarską modą, gdzie ubrania były dopasowane do sylwetki i bardziej kobiece niż te na prowincji... a nawet skandaliczne, w zależności, dokąd się pojechało. Sowanie zrezygnowali też z nakryć głowy dla kobiet, będących w większości fanaberią sprzed wieku, i teraz sama fryzura stała się modą. Większość kobiet wręcz niewolniczo naśladowała fryzury wpływowych dam, lecz ja rzadko kiedy robiłam coś więcej poza zwiąaniem włosów w kucyk.

Wysłałam z komnaty i na korytarzu wpadłam na Bressingera. Był ubrany w koszulę, tunikę i pończochy, a czarne, długie do ramion włosy związał w kucyk. Razem zeszliliśmy na dół i spotkaliśmy się z Vonvaltem w jadalni, gdzie czekało na nas obfite śniadanie: chleb, jajka i przyprawiana szynka oraz placek ze stekiem i piwem, który został z poprzedniego wieczoru. Vonvalt popijał piwo i czytał leżący tuż obok niego tom na temat sovańskiego prawodawstwa.

– Lord Sauter jeszcze nie wstał? – spytał Bressinger, gdy usiedliśmy.

– Już wyszedł – odparł Vonvalt, nie odrywając wzroku od książki. – Ma obowiązki w klasztorze w związku z nadchodzącym Festiwalem Zimowym. – Było jasne, że nie był w najlepszym nastroju, bez wątpienia wywołanym próbą targnięcia się na jego życie lub listem od Sędzi August.

– Kiedy wypada w tym roku? – zapytałam swobodnym tonem.

Festiwal Zimowy był doroczną imprezą, która zazwyczaj – ale nie zawsze – zbiegała się z przesileniem zimowym i była obchodzona przez dwa tygodnie jednego z zimowych miesięcy.

– W drugiej połowie Rusy – odpowiedział Vonvalt. Uszczknął nieco śniadania, po czym wrócił do lektury. Po kolejnych kilku minutach niezręczniejszy odwrócił się do mnie. – Powiedz mi, Heleno: czego dowiedziałaś się z zapisków w strażnicy?

Zeszłego wieczoru nie rozmawialiśmy o moich odkryciach. Vonvalt, pochłonięty wieściami od Sędzi August i swoimi własnymi badaniami prawnymi, kazał mi przygotować notatki do dyskusji na dzisiaj rano. Biorąc pod uwagę, że ktoś próbował nas zabić, sądziłam, że nasza rozmowa na temat procedur i prowadzenia zapisów, choć nieunikniona, przynajmniej się opóźni. Powinnam być mądrzejsza.

– Zapiski były dobrze prowadzone – odpowiedziałam, starając skupić się na zadaniu. – Pełne i właściwie przechowywane. Zawierały datę złożenia skargi, szczegółowe dane pana Vogta oraz kilka akapitów opisu zaistniałej sytuacji. Każdy wpis był opatrzony datą i podpisem strażnika, który go umieścił.

Bressinger mruknął, wyraźnie był pod wrażeniem. Vonvalt chrząknął, po czym obrał ugotowane jajko i roztarł je na posmarowanym grubą warstwą masła chlebie.

– W dużej mierze były zgodne ze słowami sir Radomira – kontynuowałam. – Pan Vogt transportował sto ton grubego ziarna do Kòvoska. Miało być paszą dla zwierząt w Legionach. Był też pewien nacisk, by ziarno dostarczyć szybko. Pan Vogt zakupił ziarno na kredyt, korzystając z funduszy banku Guelan. Miał otrzymać duży zysk przy jego sprzedaży, nawet po spłaceniu kwoty dla banku. Najwyraźniej z powodu kwestii celnych transport został przetrzymany w Księstwie Kzosic, gdzie dowiedziano się, że pan Vogt nie otrzymał

odpowiedniego zezwolenia na import z cesarskiego urzędu celnego. Pan Vogt stanowczo twierdził, że takie zezwolenie załatwił. Jednak, by sprawy jeszcze bardziej skomplikować, okazało się, że ziarno zepsuło się po drodze i nie nadawało się do użytku. Kiedy Vogt próbował wystąpić o wypłatę gwarancji za spleśniałe ziarno, Bauer odmówił, twierdząc, że brak posiadania przez Vogta ważnego zezwolenia na import automatycznie unieważnił kontrakt. Vogt był przekonany, że Bauer w jakiś sposób załatwił z celnikami, żeby zatrzymali statek, by w ten sposób mógł się wykręcić od wypłacenia gwarancji.

– Ale skąd Bauer mógł o tym wiedzieć? – zapytał Vonvalt.

– Kupiec, z którym rozmawialiśmy wczoraj, powiedział, że powszechną praktyką jest wysyłanie przez gwaranta szpiegów lub nawet całych siatek podstawionych pasażerów, którzy mieliby na oku poręczony ładunek. Być może Bauer dostał informację o zepsuciu się ziarna i miał czas, by zawiadomić współników w Księstwie Kzosic?

Vonvalt westchnął i pomasaował się po brodzie.

– Ta przekłeta praktyka – powiedział i odwrócił się do Bressingera. – Twoje śledztwo było udane?

Bressinger pochylił głowę.

– Tak.

– Opowiedz mi o tym, jak to działa. Mam już pewien ogląd, ale wytłumacz mi to po swojemu.

Bressinger powtórzył naszą rozmowę z kupcem, Lorentzem, z poprzedniego popołudnia. Kiedy skończył mówić, Vonvalt pokiwał głową.

– W takim razie to coś podobnego do hazardu. A na ile znam prawo handlowe, dostrzegam szeroki zakres możliwości, jakie pozbawiony skrupułów człowiek mógłby wykorzystać, by wykręcić się od obowiązku wypłacenia gwarancji za zniszczony ładunek. – Zamyślił się na chwilę. – Zastanawia mnie, dlaczego Vogt nie naciskał w tej sprawie? Prawo handlowe tutaj jest dobrze opracowane. Opłaciłoby mu się pozwać lorda Bauera. – Ponownie się zadumał. – Będziemy musieli znaleźć sposób, by bardziej zgłębić praktykę stosowaną przez Bauera. Chcę się uzbroić w tak dużą wiedzę, jaką tylko mogę, zanim użyję na nim Głosu.

– Czyli go podejrzewasz? – zapytałam.

Vonvalt pokręcił głową.

– Zgadzam się z sir Radomirem; Bauer nie wygląda na człowieka, który dopuścił się morderstwa, a szczególnie na własnej żonie. Ale coś ukrywa. Za bardzo się śpieszył, by oskarżyć Vogta, i zbyt szybko te oskarżenia wycofał. Cokolwiek się stanie, będziemy musieli porozmawiać również z Vogtem.

Dubine, dowiedz się, gdzie on przebywa. Jeśli jest w mieście, odwiedzę go po południu. Przyśpieszmy trochę bieg spraw.

– Dobrze, panie – powiedział Bressinger.

– Heleno, czy to wszystko, co widniało w rejestrze ze strażnicy?

– Większość – odparłam.

– Co jeszcze znalazłaś?

– Że pan Vogt domagał się śledztwa w tej sprawie.

– I wszczęto je? Czy poinstruowano odpowiednio strażników?

– Według zapisów w rejestrze, dwa tygodnie później sprawę oznaczono jako zamkniętą. Pan Vogt wycofał skargę.

Vonvalt ponownie pomasaował brodę.

– To kłopotliwe – powiedział w końcu. – A jego skarga wpłynęła dwa lata temu?

– Coś koło tego – odparłam.

– Ależ, Heleno! Co ci mówiłem o precyzji w zajmowaniu się kwestiami prawnymi? – rzucił nagle Vonvalt tak gwałtownie, że aż wzdrygnęliśmy się z Bressingerem.

– Na krew Nemy – mruknął Bressinger, podnosząc jajko, które upuścił.

– Dwa lata i trzy miesiące – powiedziałam ponuro. – Dokładna data jest zapisana w rejestrze.

Vonvalt klasnął językiem.

– Bardzo dziwne. Nie wyobrażam sobie, dlaczego śledztwo miałoby być z własnej woli zakończone, szczególnie że dotyczyło ładunku przeznaczonego dla Legionów. Czy jest jakakolwiek wskazówka, że transport pozyskano z innego miejsca? Czy, na przykład, Bauer osobiście wypełnił kontrakt?

Pokręciłam głową.

– Nie ma nic więcej.

– W takim razie będziemy musieli nadal prowadzić dochodzenie. Jeszcze raz porozmawiam z sir Radomirem. Miejmy nadzieję, że konstabl, który przyjął skargę, nadal żyje i można się z nim skontaktować. O cokolwiek chodzi w morderstwie lady Bauer, jestem przekonany, że Vogt i jej mąż mają z tym coś wspólnego.

– Jak sobie życzysz – powiedział Bressinger.

Przez kilka minut jedliśmy w ciszy, pozostawiając Vonvalta jego lekturze i myślom. Wiedzieliśmy z Bressingerem, że rzadko kiedy dobrym pomysłem było przerywanie tych chwil milczenia, a już tym bardziej trywialną rozmową. W końcu Vonvalt odwrócił się do mnie.

– Porozmawiasz dzisiaj ze strażnikiem, tym młodzieńcem, którego poznałaś. Jak się nazywa?

– Matas – powiedziała, czując przyływ różnych emocji. – Matas Aker. – Staralam się nie okazywać irytacji, która mnie ogarnęła. Przez ostatnie dwa dni obaj z lubością drażnili się ze mną w tej kwestii, przez co teraz aż się jeżyłam.

– Zapytaj go dzisiaj o córkę Bauerów, tę w klasztorze. Jeśli nie będzie go na służbie, poszukaj go w domu. Będzie coś o tym wiedział, jestem tego pewien. Są w podobnym wieku, a on jest wystarczająco młody, by dobrze znać miejscowe plotki.

Poczułam wypływający na policzki rumieniec. Nie mogłam się powstrzymać.

– Nie chcę tego robić – powiedziała pełnym niechęci głosem.

Vonvalt odłożył sztucce, a jego twarz wykrzywiła irytacja.

– Może i tak, ale płacę ci stawkę należną urzędnikom magistratu, co czyni cię oficjalnym przedstawicielem Cesarskiego Sądu... nie żebyś się zachowywała, jak na takiego przystało, z tym twoim narzekaniem.

Skuliłam się, jakby podniósł na mnie rękę.

– Nie jestem szpiegiem – odgryzłam się.

Dostrzegłam szeroko otwarte oczy Bressingera. Kiedy Vonvalt się odezwał, zrobił to z ogromną powściągliwością.

– Zrobisz, co ci każę, i porozmawiasz z chłopakiem.

– To podstępne działanie – powiedziała. – Wykorzystujesz mnie.

Vonvalt zacisnął pięść.

– Nie obchodzi mnie, czy się w nim zadurzyłaś, czy nie. Rób, co ci każę, dziewczyno, i dowiedz się, co on wie. Jesteś nedorzeczna.

Poczułam, jak zalewa mnie wściekłość. Ostatnie nici mojej samokontroli pękły.

– Jesteś o niego zazdrosny!

– Och, Heleno – powiedział Vonvalt z pełnym zmęczenia i rozczarowania gniewem, po czym wskazał na drzwi. – Zejdź mi z cholernych oczu!

– Panie... – zaczął Bressinger, zaskoczony gwałtownym obrotem rozmowy, lecz nie zdołał dokończyć.

– Na krew Nemy, człowieku! – krzyknął Vonvalt, uderzając pięścią w stół i ponownie pokazując drzwi. – Idź i się na coś przydaj!

* * *

Wyszłam z pokoju, gotując się z gniewu. Przeszłam przez hall i z wściekłością naciągnęłam buty, ale z pośpiechu zapomniałam o płaszczu. Zamiast tego wyszłam na zimne poranne powietrze, kopnięciami rozrzucając wszelkie upominki i ofiary pozostawione dla Vonvalta, po czym ruszyłam w głąb ulicy.

Kiedy teraz o tym piszę, wydaje mi się to po prostu niedorzeczne, ale wtedy naprawdę czułam, że to koniec wszystkiego. Od miesiący balansowałam nad przepaścią i w końcu pokonałam jej krawędź. Mogłabym zostać w Galen's Vale przez jakiś czas i żyć z zarobionych podczas asystury pieniędzy. A potem... Kto wie? Mogłabym robić, cokolwiek bym zechciała. Cały świat kusił.

Szybkim krokiem pokonałam większą część drogi do strażnicy, aż w końcu zwolniłam, by wyrównać oddech. Nierozważne brnięcie przez błotnistą pluchę znaczyło, że brzeg mojej spódnicy się zabrudził i będzie wymagał czyszczenia, a zwalniając tempo do zwykłego spaceru stopniowo zaczęłam czuć ziąb. Będę musiała kupić nowy płaszcz i zapłacić pracze za czyszczenie spódnicy, a to już dwa niespodziewane wydatki, które pojawiły się w ciągu zaledwie kilku minut. Realizm życia pozbawionego patronatu Vonvalta już zaczynał się przede mną rysować, lecz z furją zgmiotłam go pod lawiną słusznego gniewu. Dla tego człowieka byłam zwyczajnym pionkiem, którego używał, by manipulować uczuciami innych. Była to linia, której zdecydowałam, że nie przekroczę.

Oczywiście, że byłam niedorzeczna. Vonvalt miał rację: mój gniew zrodził się z zauroczenia. Wstydziłam się, że tak szybko zadurzyłam się w młodzieńcu i wyraźnie wypierałam się własnych uczuć. Poza tym sovańskie obyczaje, przynajmniej na poziomie arystokracji, piętnowały takowe uczucia jako wulgarne i coś, co należało zatrzymać dla siebie. Przynajmniej zarówno Vonvalt, jak i Bressinger nie byli z urodzenia obywatelami Imperium i poznali uciechy prowincjonalnych zwyczajów, zanim przyjęli srogą postawę Autuna.

Odnalezienie Matasa zajęło mi dużo czasu. Sierżant na dyżurze skierował mnie do przedbramia Segamunda, fortyfikacji strzegącej wschodniej dzielnicy. Pamiętałam ją jako miejsce, w którym znaleziono ciało lady Bauer, leżące na najdalszym skraju tamtych okolic. Było to wyraźnie biedne sąsiedztwo. Przechodząc przez ostatnią wyłożoną brukiem ulicę przed wejściem do dzielnicy, widziałam, że cały dystrykt przeznaczono na magazyny, kwatery biedaków oraz siedziby podejrzanych lub nietypowych branż, takich jak garbarnie czy odlewnie. Tutaj rzeka płynęła szeroka i głęboka, z brzegami oddalonymi od siebie o trzysta metrów, które można było pokonać jedynie łodzią. Teraz mocno już doskwierał mi mróz. Przynajmniej miałam wystarczająco przytomny umysł, by włożyć buty, gdyż ziemię pokryła gruba warstwa na wpół zamrożonego błota.

Ruszyłam zgodnie z biegiem rzeki. Nie było tu żadnego nabrzeża, a śmierzące zbocza pokrywały śmieci i odchody. Szczury, świnie i lisy swobodnie grzebały w tym wszystkim, nie zwracając najmniejszej uwagi na obecnych obok ludzi. Było tu obecnych kilku konstabli lub strażników, a moje porządne ubrania świadczyły o tym, że jestem tu obca i stanowią doskonały cel

dla rabusiów, być może podobnie jak lady Bauer. Mimo to nie czułam się tak bezbronna, na jaką wyglądałam. Dorastanie w Muldau dało mi przewagę, której nie zdołały stopić nawet dwa lata w roli cesarskiej asystentki.

Dostrzegłam zarys przedbramia Segamunda – dwóch kamiennych wież przy brzegu Gale. Między nimi zobaczyłam dwie ogromne bramy z żelaznych krat, zardzewiałych i oślizgłych z upływem lat. Obie były podniesione i wyglądały, jakby stan ten trwał już od dawna. Na szczycie murów odziani w liberie strażnicy chodzili w ramach patrolu lub gromadzili się przy płonących koksownikach.

Dotarłam do Bramy Segamunda i poprosiłam o widzenie z Matasem, a wtedy strażnik poprowadził mnie schodami na mur. Tam, nad wszystkimi budynkami i magazynami, zimny wiatr hulał przez blanki, przez co natychmiast zaczęłam się trząść.

– Helena? – doszedł mnie znajomy głos.

Obejrzałam się i dostrzegłam stojącego przy koksowniku Matasa. Był odziany w obszytą futrem pelerynę.

– Matas! – zawołałam i usłyszałam, jak inni strażnicy zaczynają z niego żartować. Jego rozgniewany wzrok jedynie jeszcze bardziej ich do tego zachęcił.

– Na Neme, musisz przeraźliwie marznąć – powiedział, rozpinając pelerynę. Nie protestowałam, kiedy mnie nią owinął. Śmierdziała dymem, lecz było zbyt zimno, by się tym przejmować. Za naszymi plecami pozostali strażnicy nie przestawali gwizdać. – Chodź – powiedział, przewracając oczami, po czym skinął głową w stronę wieży. – Tam jest ogień. Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Z zakłopotaniem podążyłam za nim. Nasze niebaczne zachowanie według wszelkich znanych konwenansów było ze wszech miar niestosowne; szczęście, że widziała nas jedynie grupa strażników, którzy w mieli w nosie, czy było to właściwe, czy nie.

W wieży było zdecydowanie cieplej. Był to kwadratowy, czterokondygnacyjny budynek, którego wnętrze podzielono na liczne pokoje poprzedzielane tanimi ścianami ze wzmocnionego drewnianymi belkami tynku. Pierwszy pokój, do którego weszliśmy, był prosty i wyposażony w zaledwie kilka rozkładanych stołów i zamontowaną na ścianie, dużą drewnianą tarczę z godłem Vale.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał Matas, ściągając z głowy hełm i zsuwając kolczy kaptur. Przeciągnął dłonią po włosach, zażenowany tym, że pod hełmem przykłały tak bardzo, że wyglądały, jakby ktoś je namalował.

Bezwiednie bawiłam się brzegiem peleryny.

– Cieszę się, że cię znów widzę – powiedziałam.

Odchrząknął.

– Ja również.

Uśmiechnęłam się, a serce mocniej забиło mi w piersi.

– Poróżniłam się z sir Konradem – powiedziałam, lecz nie czułam się dobrze, zwierając się komuś w ten sposób.

– Co to znaczy? Na Neme, nie jesteś chyba zbiegiem, prawda? – W jego głosie nagle pojawiło się tak komiczne rozczarowanie, że nie mogłam się nie roześmiać.

– Nie! – odparłam.

– W takim razie o co chodzi? – zapytał z zakłopotaniem.

Opowiedziałam mu, co się stało. Powtarzając gorącą dyskusję, jaka rozgorzała między mną a Vonvaltem, poczułam, że na nowo budzi się we mnie gniew, jednak to zmartwione spojrzenie Matasa doprowadziło mnie do łez.

– Hej, no już – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu. Pomimo płaczu poczułam, jak w odpowiedzi na jego dotyk moje ciało przeszył dreszcz. – Nie ma potrzeby płakać. To tylko sprzeczka. Ja cały czas spieram się z sierżantami. – Wzruszył ramionami. – Sędzia sprawił na mnie wrażenie przyzwoitego człowieka. Nie będzie żywił do ciebie urazy.

– Nie rozumiesz – powiedziałam, kiedy już się opanowałam. – Ja nie chcę być urzędniczką. Sama presja tej funkcji sprawia, że mózg mi się gotuje. Sir Konrad dał mi tak wiele, mam u niego ogromny dług, ale... przeraża mnie myśl, że nie jestem osobą, którą chciałby, żebym była. Jest najbardziej inteligentnym i najmądrzejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek poznałam. A ja jestem nikiem, zaledwie szczurem z rysztocka na ulicach Muldau. Kiedy mnie przygarnął, ledwie potrafiłam czytać. A teraz mówię w trzech językach. Noszę świetnego gatunku stroje. Mężczyźni wysokiej rangi i urodzenia potwornie się mnie boją, kiedy się dowiadują, że jestem przedstawicielką korony. A ja... mam wrażenie, że nie wiem, kim się stałam. Zmieniłam się w kompletnie inną osobę i to mnie przeraża.

Matas nie miał pojęcia, co powiedzieć. Oczywiście, że nie miał... bo kto inny mógłby to wiedzieć poza samym Vonvaltem? Nie chciałam wyrzucić z siebie aż tyle, ale nie mogłam się opanować, nieważne, jak bardzo byłam przez to bezbronna. Bressinger nie chciał wysłuchiwać moich żałości. Już i tak uważał mnie za niewdzięczną. Nie miałam też innych przyjaciół, gdyż przejeżdżaliśmy przez kolejne miasta niczym jadło przechodzące przez gardziel. Matas był pierwszym, którego interesowało to, co miałam do powiedzenia, bez względu na to, jak głupio wyglądałam.

I wtedy mnie pocałował.

Nie spodziewałam się tego. Jeszcze nigdy nikt mnie nie całował. Czas, jaki spędziłam w Muldau, był trudny i romans był ostatnią rzeczą, o której myślałam. Potem zaś spotkałam Vonvalta i Bressingera, i każdą następną chwilę spędziłam w podróży, zaprowadzając cesarską sprawiedliwość lub ucząc się. Nie miałam na to ani czasu, ani żadnej sposobności.

Odpowiedziałam pocałunkiem, a przynajmniej tym, co myślałam, że nim jest. Nie miałam pojęcia, co powinnam robić. Sądzę, że Matas również. Jednak nie miało znaczenia, jak mało mieliśmy doświadczenia; to było ekscytujące. Miałam wrażenie, że moje ciało zaraz wybuchnie.

Odsunęliśmy się od siebie. Cieszyłam się, że moja twarz była już zaczerwieniona od mrozu, jako że wściekle się zarumieniłam. Matas roześmiał się, a ja zaraz do niego dołączyłam. Myślę, że ponownie byśmy się pocałowali, gdyby dochodzące zza cienkiej ściany głosy nie przypomniały nam, jak blisko byliśmy przyłapania.

– Jeszcze nikt mnie nie całował – powiedziałam.

– Mnie również – przyznał Matas. – Ale nie sądziłem, że po raz pierwszy będę się całował z tak piękną dziewczyną.

Uśmiechnęłam się. Nie mogłam się powstrzymać. Czułam się jakby ktoś sporządził wyciąg z podekscytowania, który właśnie wypiałam.

Jednakże, choć bardzo chciałam po prostu cieszyć się i zatracić w tej chwili, już czułam ogarniający mnie niepokój. Był jak drzazga pod paznokciem. Co ja takiego robiłam? Nie mogłam tak po prostu odejść od Vonvalta. Naprawdę myślałam, że go nigdy więcej nie zobaczę? Że będę tygodniami unikać jego i Bressingera, gdy będą kończyć prowadzenie sprawy, a potem wieść zwyczajne życie w Vale? Musiałam przynajmniej z nim porozmawiać – i to szczerze – o tym, jak naprawdę się czułam. Teraz, kiedy przypływ emocji już minął i miałam więcej czasu na zastanowienie, zaczęłam żałować moich nierozważnych słów i tak gwałtownego wyjścia.

Moje zaniepokojenie musiało być wyraźnie widoczne, bo Matas zapytał:

– Czy coś się stało? – Nagle ogarnął go smutek. – Nie jesteś szczęśliwa?

– Jestem zachwycona – odpowiedziałam. – Naprawdę. – Westchnęłam i rozejrzałam się po niemal pustym pokoju. – Ale jestem rozdarta, Matasie, tak bardzo rozdarta. Nie wiem, co robić. I powinnam ci powiedzieć, że przyszedłam tu pod pewnym pretekstem... a raczej: powinnam przyjść. Sir Konrad przysłał mnie, bym zadała ci kilka pytań odnośnie do sprawy Bauerów. Odmówiłam mu. Właśnie to doprowadziło do naszej kłótni. – Zaśmiałam się cynicznie i potoczyłam ręką dookoła. – A i tak tutaj jestem.

– Czego sir Konrad chce się ode mnie dowiedzieć? – zapytał Matas nagle zaalarmowany. – Nie przyłożyłem do tego ręki!

– Nie, nie – powiedziałam szybko i odważyłam się położyć dłoń na jego piersi. Jego tunika była zimna, gdyż kolczuga wchłonęła całe ciepło ciała. – Chodzi o córkę lorda Bauera, tę w klasztorze. Uważa, że będziesz coś o niej wiedział.

– Wiem tylko tyle, co inni – odpowiedział, nadal zdezorientowany. – Nie mam na jej temat jakiejś szczególnej wiedzy.

– Myślę, że właśnie o to mu chodzi. O tę miejscową wiedzę.

Matas wzruszył ramionami.

– Mogę ci powiedzieć wszystko, co wiem, ale... – Ściągnął brwi. – Heleno, myślałem, że chcesz odejść ze służby u Sędziego?

Ponownie westchnęłam. Sama nie wiedziałam, czego chcę.

– Bez względu na to, co zrobię, będę musiała z nim porozmawiać – powiedziałam. – Może da się udobruchać, jeśli wrócę z czymś przydatnym.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

– Wiesz, znalazłoby się tu dla ciebie miejsce – powiedział Matas, bawiąc się swoimi rękawicami. – Wiem, że dopiero się poznaliśmy, ale czuję... – Zamilkł zażenowany.

– Tak, ja również to czuję – powiedziałam.

Kiedy teraz o tym myślę, wiem, że to było głupie i nader dramatyczne. Zabawne, jak szybko się w sobie zakochaliśmy. To jedna z tych rzeczy, które potrafią tylko młodzi. Sądzę jednak, że wyrzuciłabym mojej młodszej sobie i jemu krzywdę, gdybym tak po prostu zignorowała swoje uczucia i uznała je za zwykłe zauroczenie. To, że napłynęły tak szybko, nie znaczy, że były mniej prawdziwe. Niekiedy muszę się zmusić, by o tym pamiętać.

– Powiesz mi, co wiesz? – zapytałam. – Obiecuję, że wkrótce przyjdę ponownie się z tobą spotkać. Tak szybko, jak tylko będę mogła.

– Oczywiście. Ale nie ma tego dużo. Nazywa się Sanja Bauer. Z tego, co pamiętam, nie ma w niej nic szczególnego. Nigdy z nią nie rozmawiałem, chociaż dość często widywałem ją na mieście. Jest prawdopodobnie w naszym wieku.

– Lord Bauer powiedział, że poczuła powołanie, by przywdziać habit.

Matas wzruszył ramionami.

– Wiem, że jest w klasztorze. Nigdy tak naprawdę o tym nie myślałem, ale rzeczywiście to stało się jakoś tak nagle. I z tego, co wiem, nigdy nie opuściła jego murów.

Ściągnęłam brwi.

– Ale klasztor znajduje się niecałe półtora kilometra stąd – powiedziałam. – W wyznaniu Nemy nie ma nic, co zakazywałoby ludziom wyjście zza murów, prawda?

Matas pokręcił głową.

– Nie, zakonnice cały czas tutaj przychodzą. Większość Neman przybędzie na Festiwal Zimowy, z takiego czy innego powodu. Widać, jak krzątają się w pobliżu świątyni. I tak jak nakazuje tradycja o tej porze roku, przynoszą dary i jałmużnę do przytułków i sierocińców. Powinni również na zimę przygarnąć żebraków, jednak sądząc po ilości zamrożonych ciał przy świątyni, nie zrobili tego – dodał gorzko.

Nieświadomie pokiwałam głową. Przypomniałam sobie, jak w Muldau byłam po drugiej stronie tych charytatywnych imprez. Mnisi i zakonnice schodzili z klasztorów i rozdawali nam jedzenie i odzież. Niektórzy z nich byli głęboko cnotliwi, lecz wielu zerowało na biednych i młodych. Nie pałałam miłością do sovańskiej religii, lecz żywo gardziłam hipokryzją, która dotykała jej najbardziej zagorzałych wyznawców.

– Ale Sanja nie przyszła? – zapytałam.

– Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, ale nie przypominam sobie, bym ją od jakiegoś czasu widział. Może nawet... od kilku lat?

– Jak ktokolwiek może mieć pewność, że nadal tam jest?

– Och, sądzę, że lord Bauer odwiedza ją od czasu do czasu. Zdaje się, że jest mu bardzo oddana. Nie jest niczym niezwykłym, że niektórzy przez całe swoje życie nie opuszczają murów klasztoru, szczególnie ci starzy i zniedołężniali. Jeśli chodzi o innych... cóż, religia robi z głową dziwne rzeczy.

Miałam właśnie się z nim zgodzić, kiedy uderzyła mnie pewna myśl.

– Powiedziałaś, że nie widziano jej od kilku lat?

– Cóż, ja jej nie widziałem – powiedział Matas. – To nie znaczy, że inni też nie.

– Ale powiedziałaś: od kilku lat.

– Tak.

– Dwóch?

Wzruszył ramionami.

– Może i tak być.

– Dwóch lat i trzech miesięcy?

– Na Neme, nie potrafię być tak dokładny!

– Pomyśl!

Wyglądał na zaskoczonego. Zamilkł na chwilę.

– Tak, powiedziałbym, że tak. Pamiętam, bo widziałem ją na Dożynkach. I nie pamiętam, bym od tamtej pory ją widział.

Myśli pędziły mi w głowie.

– Muszę porozmawiać z sir Konradem – powiedziałam.

– Heleno, czy wszystko w porządku? Co takiego właśnie powiedziałem?

– Przepraszam, muszę już iść. – Mówiąc to, usłyszałam na zewnątrz tętent końskich kopyt i wołanie strażnika, który zatrzymał jeźdźca. Ktoś odkrzyknął i wtedy rozpoznałam głos Bressingera.

– To Dubine – powiedziałam i szybko pocałowałam Matasa w policzek. – Wkrótce znów cię odwiedzę, obiecuję. – Po tych słowach wybiegłam.

– Ach – powiedział sierżant na mój widok. – Jakiś gentleman chce się z panienką zobaczyć.

– Heleno! – zawołał Bressinger. Siedział na grzbiecie Gaerwyna. Nie wyglądał na rozgniewanego, jak się spodziewałam. Zamiast tego sprawiał wrażenie dziwnie zaalarmowanego. – Szukałem cię przez dobrą godzinę!

– Muszę porozmawiać z sir Konradem – powiedziałam, pośpiesznie schodząc po schodach.

– Na zad Nemy, śmierdzisz jak ognisko – rzucił Bressinger, gdy do niego podeszłam. Miał ze sobą mój płaszcz i teraz głową wskazał pelerynę, którą miałam na sobie. – Lepiej oddaj to chłopakowi, zamarznie bez niej.

Szybko zdjęłam z siebie okrycie i wróciłam na schody, lecz dostrzegł mnie sierżant.

– Zaniosę mu ją – powiedział i mrugnął do mnie.

Wybąkałam podziękowania i szybko wróciłam do Bressingera.

– Chodź – powiedział, wciągając mnie na Gaerwyna.

– Co się stało? – zapytałam, wkładając płaszcz. – Wiem, że muszę porozmawiać z sir Konradem.

– Owszem, musisz – powiedział, ponaglając Gaerwyna do galopu. – Ale nie o swoim kochasiu. Pewne wydarzenia są ważniejsze.

– Dlaczego? Co się stało?

– Nadjechał podróżny, przywożąc kolejny list do sir Konrada. Wiadomość od sir Otmara Frosta z Rill.

– Co takiego napisał?

– Ostatnie słowa, jakie kiedykolwiek skreślił, Heleno. Został zamordowany.

IX

Powrót do Rill

„Złe wieści i dobre rady ignoruje się tak samo”.

Stare powiedzenie Magistratu

Nadal wyraźnie pamiętam drogę powrotną ze wschodniej dzielnicy. Od czasu schadzki mojej i Matasa serce nie przestawało mocno bić w mojej piersi; jednak jak wcześniej trzepotało z podekscytowania, tak teraz waliło z przerażenia... i tylko częściowo z powodu morderstwa sir Otmara.

Vonvalt i ja rzadko kiedy się kłóciliśmy. Sprzecaliśmy się i naskakiwaliśmy na siebie, jak to mają w zwyczaju ludzie, którzy spędzają ze sobą zbyt dużo czasu, jednak rzadko kiedy wymienialiśmy naprawdę zażarte słowa. Niełatwo wpadał w gniew i trzymał się sovańskich obyczajów, według których publiczne okazywanie uczuć było wulgarne. Kiedy wpadałam w złość, miał zwyczaj po prostu mnie ignorować albo odsyłać, dopóki mój gniew nie minął.

Dlatego widok prawdziwie wściekłego Vonvalta był przerażający. Pomimo zapewnień Bressingera, że będzie odwrotnie, oczekiwałam trudnej konfrontacji.

Gaerwyn poniósł nas przez dzielnicę w szybszym tempie, niż było to dozwolone w obrębie miasta. Śnieg jeszcze nie spadł, lecz chmury zebrały się już wysoko nad Vale, blokując słabe zimowe światło. Nie śpieszyło mi się, by zobaczyć Vonvalta, a gdy zbliżaliśmy się do rezydencji lorda Sauera, mój nastrój maksymalnie się pogorszył. Niektóre z ulicznych lamp w centrum miasta już zapalono, chociaż chodniki z minuty na minutę pustoszały, a mieszkańcy i kupcy ciągnęli do domów przegonieni przez ziąb i nadciągający śnieg.

– Zajmę się koniem – powiedział Bressinger, gdy przepuszczono nas przez bramę i zeskoczyłam na ziemię. – Sir Konrad jest w swojej komnacie. – Zamilkłam na chwilę. – Jeśli mogę dać ci radę... lepiej powiedz mu prawdę o swoich uczuciach. Sir Konrad potrzebuje, by jego ludzie byli obecni i skoncentrowani na

biejących problemach. Nie może sobie pozwolić na twoje rozkojarzenie, teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek.

Ruszyłam w stronę domu, jakbym zmierzała na szubienicę. Widziałam światło padające z okien pokoju Vonvalta na najwyższym piętrze. Weszłam do domu i zdjęłam płaszcz. Żaden sługa nie wyszedł mi na spotkanie. Powiesiłam płaszcz i zdjęłam buty, po czym ruszyłam po schodach.

– Heleno?! – usłyszałam wołanie Vonvalta. Próbowałam odgadnąć jego nastrój, lecz bez sukcesu.

– Tak?! – odkrzyknęłam, lecz mój głos zabrzmiał jak szept.

– Jestem u siebie. Chodź tu.

Przeszłam przez korytarz i weszłam do jego pokoju. Ponownie siedział na ławie przy oknie, znów jedynie w koszuli i bryczesach. Sypialnię wypełniał dym z fajki, a na stoliku przy kominku dostrzegłam i poczułam grzane wino. Płonące drewno trzaskało i iskrzyło.

– Dubine powiedział ci o sir Otmarze? – zapytał.

– Tak – odparłam.

– W takim razie wiesz, że sytuacja jest bardzo poważna.

– Tak.

– Dobrze. Wobec tego poświęćmy pięć minut, lecz nie więcej, na oczyszczenie atmosfery. Mam ważniejsze zmartwienia niż to, czy moja asystentka mnie lubi, czy nie.

Pomimo tych słów nie sprawiał wrażenia rozgniewanego. Wyglądał tylko groźnie.

– Jestem ci winna przeprosiny – powiedziałam nerwowo.

– Owszem – odparł. – Siadaj.

Posłuchałam.

– Poczęstuj się winem.

Nalałam wina do kielicha i upiłam spory łyk. To i płonący obok kominek szybko mnie rozgrzały.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Czekałam, aż pierwszy się odezwie, chociaż większość odrętwiającego mnie strachu już minęła.

– Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, Heleno, wzbudziłaś we mnie litość – powiedział, patrząc przez okno. – Byłaś odzianą w gałgany i używane rzeczy z zamku dziewczyną, żyjącą z jałmużny. Twój rodzice nie żyli. Ty i setki innych osób znaleźliście się pod kuratelą państwa. – Westchnął długo i głośno. – Ja, oczywiście, nie byłem sierotą, ale w młodym wieku straciłem matkę. Myślę, że już o tym wiesz. Zaraza nie zważa na pozycję; zabiera bogatych tak samo szybko jak żebraków. Cóż, z pewnością zabrała moją matkę. Mój ojciec po królewsku opłacił medyków, ale nic nie mogli zrobić. – Zaciągnął się dymem z fajki. –

Chodzi mi o to, Heleno, że wiem, jak to jest stracić rodzica w młodym wieku. I w tym starszym też. Było mi cię żal, ale dostrzegłem w tobie potencjał. Otaczał cię niczym aura. Miałaś przenikliwe, inteligentne spojrzenie. Po tym, jak się zachowywałaś – jak uliczny łobuz, chociaż dla zabicia czasu wykonywałaś w świątyni pewne prace – poznałem, że nie było to twoje naturalne zachowanie, lecz nabyte. Przywdziałaś je niczym płaszcz, by przetrwać. Wiedziałem, że możesz mi się przydać. Ze wszystkich żebraków, dziwek, łobuzów i kieszonkowych złodziei w tym okropnym mieście ty jedyna byłaś na tyle zuchwała, by spróbować obrabować mnie, cesarskiego Sędziego. Związałem cię umową. Nauczyłem sovańskich zwyczajów, cesarskiego prawa, prawodawstwa i nauk Magistratu. Nauczyłem cię języków i manier. Dałem ci wykształcenie, za które, dane swoim dzieciom, wielu lordów by zabiło. Ponadto ci płaciłem.

– Wiem, że byłam niewdzię... – zaczęłam, lecz podniósł dłoń, by mnie uciszyć.

– Heleno, nie jestem głupcem. Wiem, że panna taka jak ty nie pragnie zostać cesarskim magistratem. Wiem, że nasz styl życia nie sprzyja zawieraniu przyjaźni ani związków. Nie dziwi mnie, że zadurzyłaś się w tym młodzieńcu ze straży. Mówiąc szczerze, Heleno, zaskakuje mnie jedynie to, że zdarzyło się to dopiero teraz. Masz ile? Dziewiętnaście lat? Powszechnie dziewczęta już od trzech lat bywają zameżne. – Upił łyk wina. – Bardzo cię lubię Heleno... chociaż nie w sposób, jaki sugerowałaś wcześniej – dodał z typową dla siebie surowością, na co zaczerwieniłam się wściekle. – Ale nie będę zmuszał cię do kariery i życia, które cię nie interesują. To nie jest dobre ani dla ciebie, ani dla mnie. Dlatego mam propozycję.

Poruszyłam się nerwowo. Niczego takiego się nie spodziewałam. Oczekiwałam ostrych słów i szorstkiego zwolnienia. Jego spokojne podejście do mnie sprawiło, że poczułam się jeszcze gorzej. Już i tak w sobie wątpiłam i zastanawiałam się, czy naprawdę chcę zostać w Galen's Vale. Bądź co bądź, czy w końcu nie ogarnie mnie nuda? Czy nie lepiej mi będzie z Vonvaltem, dopóki nie dotrzemy do Sovy? Moje myśli w tej kwestii były tak poplątane, że miałam ochotę krzyczeć.

– Nasza sprawa tutaj szybko się rozwija. Albo znajdziemy mordercę lady Bauer w ciągu następnych kilku dni, albo nikt go nigdy nie znajdzie. W tym czasie będziesz pracowała pilnie i sumiennie. Dopilnuję, byś była zaangażowana w tę sprawę, jak to tylko możliwe. Na koniec sama zdecydujesz, czy będziesz chciała pozostać moją asystentką i uczennicą, czy może będziesz chciała tutaj zostać. Czy to według ciebie sprawiedliwe?

Tak. Było to tak całkowicie i obiektywnie sprawiedliwe, że się rozplakałam.

– Przepraszam – powiedziałam przez łzy. – Przepraszam za sposób, w jaki zachowywałam się przez ostatnie kilka dni. Nie panuję nad swoimi uczuciami. Jestem tak bardzo rozdarta. – Nie płakałam często przy Vonvalcie i teraz wyraźnie był skrepowany.

– Nie chcę cię zdenerwować, Heleno – powiedział. – Staram się znaleźć rozwiązanie, które będzie odpowiadało nam obojgu. Chodzi o to... chociaż bardzo chcę, żebyś pozostała moją uczennicą... że jeśli będziesz miała do mnie pretensje, twoja praca będzie marna i rozstaniemy się w nieuchronnie złych stosunkach. A żadne z nas tego nie chce, prawda?

– Nie – odpowiedziałam, gorączkowo wycierając oczy. – Nie, bardzo bym tego nie chciała.

– To dobrze. – Zgasił fajkę i wstał, po czym wziął do ręki leżący obok niego list i wyciągnął go w moją stronę.

Na samej górze strony dostrzegłam odcisk herbu sir Otmara – głowę dzika i złamaną lancę – a po chwiejnym piśmie poznałam, że wiadomość pisano w pośpiechu. Brązowe smugi, które mogły być tylko śladami zakrzepłej krwi, plamiły papier.

– Co się stało? – zapytałam, a moje dłonie zaczęły lekko drżeć.

– Pewien młodzieniec z Kolst natknął się na sir Otmara w strażnicy na Górze Gablera. Sir Otmar był poważnie ranny. Dał chłopcu swoją pieczęć i wystarczająco dużo pieniędzy, by starczyło mu na zmianę koni, i kazał mu mnie odnaleźć. – Vonvalt wskazał list. – Przeczytaj.

Ponownie spojrzałam na list. Wiadomość miała zaledwie trzy linijki, lecz udało mi się odczytać zaledwie kilka słów:

*Sir konrd
wszyscy w Rill wybici
KSIądz*

– Książę Piekiel – mruknęłam i podniosłam wzrok. – Claver.

– Chodź – powiedział Vonvalt. – Lord Sauter i sir Radomir na nas czekają. Mamy teraz pilniejszą sprawę.

* * *

Burmistrz, sir Radomir i Bressinger siedzieli w salonie. Dubine nadal miał na sobie odzież wierzchnią i ogrzewał się przed kominkiem. Kiedy weszliśmy z Vonvaltem, Sauter wstał.

– Otrzymał pan okropnie wieści, Sędzio – powiedział, wykręcając sobie dłoń.

– Rzadko zdarzają się dni, kiedy jest inaczej – odparł Vonvalt. – Siadajcie. Muszę mówić krótko.

Wszyscy zajęli miejsca. Vonvalt jednak nadal stał, jakbyśmy znajdowali się na sali sądowej.

– Na samym krancu Vandaharu, w wigilię Gossa, natknęliśmy się na niewielką wioskę w okolicach Tolsburga, Rill. Odkryliśmy tam szeroko wyznawany draedyzm.

Sir Radomir kiwnął głową.

– To na północy całkiem powszechne.

– W rzeczy samej – zgodził się Vonvalt. – Tamtejszym lordem był sir Otmar Frost. Nie był to człowiek zamożny, ale zrobił na mnie wrażenie przyzwoitego i takiego, któremu naprawdę leży na sercu dobrobyt jego podopiecznych. Nałożyłem na niego grzywnę za przymyknięcie oka na praktykowanie draedyzmu i nakazałem, by w jakimś znaczącym miejscu postawił ołtarz dla Nemy.

– Sprawiedliwy wyrok – mruknął lord Sauter.

Draedyzm w różnych miejscach miał różną reputację, lecz miasto takie jak Galen's Vale prawdopodobnie nie musiało zmagać się z pogańskimi buntownikami, jak w miasteczkach i wioskach na tolsburdzkiej granicy i dalej, na północnym zachodzie Haunersheimu.

Vonvalt westchnął. Widziałam, że obudził się w nim gniew.

– W tamtym czasie podróżowaliśmy z młodym fanatycznym nemańskim kapłanem. Nie zgadzał się ze mną w kwestii najlepszego sposobu na ukaranie mieszkańców wioski – chociaż nie miał żadnych podstaw do tego, by to robić – i rozstaliśmy się w złych stosunkach. Dowiedziałem się od znajomej, że ów kapłan zawiązał sojusz z margrabią Strażnicy. Teraz zaś otrzymałem list od samego sir Otmara, w którym napisał, że on, jak i wszyscy mieszkańcy wioski zostali wybici. Obawiam się, że po tym, jak nasze drogi się rozeszły, kapłan wykorzystał znajomość z margrabią, by wziąć sprawę w swoje ręce.

– Ale czy sprzeciwienie się wyrokowi Sędziego nie jest zdradą? – zapytał sir Radomir.

– Owszem, jest – odparł Vonvalt.

– Co pan w takim razie proponuje? – zapytał w końcu sir Radomir.

Vonvalt się wyprostował.

– Muszę się dowiedzieć, co się stało. Zgaduję, że ten kapłan, Claver, na południe od Strażnicy Morskiej zebrał oddział nowo przyjętych Templariuszy.

Sir Radomir powoli skinął głową.

– Ta forteca słynie z okrucieństwa.

– Ale to zamek należący do Imperium! – powiedział lord Sauter. – Są związani sovańskim prawem... i twoją decyzją jako Sędziego! Czyż nie?

Vonvalt wzruszył ramionami.

– Północ to dzikie i opustoszałe miejsce – powiedział. – Wiele miejsc jest równie niebezpiecznych jak Granica. Strażnica Morska jest celem regularnych ataków ludzi północy i pogan. Margrabia zapewne miał swój własny pogląd na to, jak zająć się miejscem takim jak Rill, szczególnie że jest pobożnym człowiekiem.

– Ale to nie leży w jego władzy – zauważył sir Radomir.

– Nie – powiedział Vonvalt. – Nie leży. I właśnie dlatego muszę rozpocząć pilne śledztwo.

– Ma pan na myśli opuszczenie Vale? – zapytał Sauter.

– Tak – potwierdził Vonvalt. – Spodziewam się, że nie będzie mnie do połowy Rusen. W tych okolicznościach czas jest bardzo nieodpowiedni, ale z przykrością stwierdzam, że ta sprawa przewyższa wagą dochodzenie w sprawie zabójstwa lady Bauer. Dubine zostanie jednak tutaj i będzie działał jako mój pełnomocnik. Będzie nadal pomagał sir Radomirowi.

Natychmiast spojrzałam na Bressingera, który krótkim skinieniem przyjął te niechciane wieści. Byłam pewna, że zaprotestuje później, na osobności, lecz robiąc to teraz, postąpiłby niestosownie.

– Nie ma sensu zwlekać do rana. Natychmiast wyruszę do Vasayi – powiedział Vonvalt. – Lordzie Sauter, miał pan sporządzić dla mnie listę członków rady miejskiej oraz ich obowiązków. Proszę dopilnować, by otrzymał ją Dubine.

– Oczywiście – odrzekł lord Sauter zdezorientowany i zaniepokojony. Było jasne, że ani on, ani sir Radomir nie chcą, by Vonvalt wyjechał.

– W takim razie pożegnam was... na jakiś czas – powiedział Vonvalt, ruszając do wyjścia z pełnym determinacji zdecydowaniem. – Dubine, Heleno, chodźcie ze mną.

To zakończyło dyskusję. Bressinger i ja wyszliśmy z salonu i ruszyliśmy za nim do jego komnaty. Vonvalt zamknął za nami drzwi.

– Panie, nie możesz... – zaczął Bressinger, tak jak przewidziałam, lecz Vonvalt go uciszył.

– Nie, Dubine. Nie będziesz mi towarzyszył. Potrzebuję cię tutaj. Pomimo najlepszych wysiłków sir Radomira obawiam się, że dochodzenie nie przyniesie efektów bez interwencji przedstawiciela Imperium. Przustudiuj listę, którą otrzymasz od lorda Sautera, a w szczególności obowiązki lorda Bauera. Kiedy już się dowiesz, na czym polegają, rozpytaj się... najbardziej o te, o których nie chciał nam powiedzieć.

– Panie – powiedział Bressinger posepnie.

Vonvalt zignorował jego ton, zbyt zajęty pakowaniem skórzanej sakwy. Miał zamiar podróżować z lekkim bagażem.

– Następnym ważnym punktem jest odnalezienie Zorana Vogta. To on jest kluczem, który otwiera kolejne drzwi. Szkoda, że nie będzie mnie tu, bym użył na nim Głosu Cesarza. Musisz sam wydobyć z niego jak najwięcej... za pomocą legalnych środków.

– Tak, panie – odparł Bressinger.

– Heleno, odkryłaś coś w kwestii córki Bauerów? Cokolwiek? – zapytał.

Podeksycytowanie, które czułam po rozmowie z Matasem, zostało tak zdławione przez kolejne wydarzenia, że kiedy odpowiedziałam, w moim głosie brzmiało więcej skrępowania niż entuzjazmu.

– Sanja Bauer – powiedziałam. – Tak się nazywa. Matas powiedział mi, że była normalną dziewczyną. Nie znał jej dobrze, ale często widywał ją na mieście. Nie przypominał sobie, żeby była jakoś szczególnie pobożna, i nie było nic, co miałyby ją skłonić do nagłego wstąpienia do klasztoru. – Zamilkłam, przypominając sobie wcześniejsze podeksycytowanie. Teraz nie mogłam go w sobie obudzić. – Najbardziej jednak interesujący jest tu czas, kiedy to zrobiła. Zdaje się, że zbiegła tam nieco ponad dwa lata temu.

Vonvalt zamarł.

– Mniej więcej w tym czasie, kiedy Zoran Vogt wniósł skargę przeciwko lordowi Bauerowi.

– Właśnie – powiedziałam.

Vonvalt potarł brodę.

– Na Nemeę, to interesujące.

– To może być zwykły zbieg okoliczności – zauważył Bressinger.

– Wiem – odparł Vonvalt z irytacją. – Czy dziewczyna kiedykolwiek opuściła klasztor?

Pokręciłam głową.

– Nie wydaje mi się. Nie sędzę, by ktokolwiek ją widział od tamtego czasu.

– To nie jest jeden z tych klasztorów, w którym ludzie zamykają się do końca życia, prawda? – zapytał Vonvalt.

– Nie, mnisi i zakonnice przybywają do miasta na obchody Festiwalu Zimowego.

– Widziałem ich – potwierdził Bressinger.

– Przyjrzyj się temu, Dubine, tylko dokładnie. Dowiedz się więcej o tym klasztorze i popytaj o Sanję Bauer. Prawdą jest, że niektórzy doznają przyływu naglej pobożności, jednak czas tych wydarzeń wydaje się czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności.

Bressinger kiwnął głową.

– Dobrze, zbadam to.

Vonvalt skinął głową. Wyciągnął rękę i obaj z Bressingerem uścisnęli sobie dłonie na sovański sposób.

– Wrócę najpóźniej do końca Rusen. Jeśli nie, to będzie znaczyło, że coś się stało. W każdym razie postaram się dać ci znać.

– A co ja mam robić? – zapytałam, na co obaj mężczyźni odwrócili się do mnie.

– Ależ, Heleno – powiedział Vonvalt. – Ty jedziesz ze mną.

* * *

Przemierzając północne tereny Imperium, mieliśmy za sobą mnóstwo zimnych nocy, lecz jazda z Galen's Vale do Vasayi była inna. Wiatr był jak istny podmuch lodu, który przecinał otwarte przestrzenie niczym kosa żniwiarza. Vincento mocno uderzał kopytami o drogę do Hauner, spryskując nas drobinkami błota.

Podstępny śnieg okrył nasze stare woskowane płaszcze i wniknął we włókna, tak że ziąb był niczym ciężar, który musieliśmy dźwigać na ramionach.

Mimo to jechaliśmy dalej, nierozważnie szybko, i bolały mnie palce, gdy trzymałam się Vonvalta. Moja twarz całkowicie odrętwiała. Wiatr i wilgoć sprawiły, że zaczęłam niekontrolowanie drżeć. Wiedziałam, że nie będę w stanie długo podróżować w ten sposób, lecz Vincento pędził dalej, nie zważając na ciemność, pustą drogę Hauner i czyhające na niej niebezpieczeństwa. Bądź co bądź był starym rumakiem bojowym.

Po kilku godzinach dotarliśmy do Vasayi, chociaż mieliśmy wrażenie, że podróż zajęła nam całą noc. Było to niewielkie, otoczone murami miasteczko, o połowę mniejsze od Galen's Vale. Zatrzymaliśmy się przy głównej bramie i zsiadliśmy z konia.

– Halo! – zawołał strażnik ze szczytu murów.

Był odziany w kolczugę i w padającym z pochodni blasku dostrzegłam, że ma na sobie barwy Imperium. Miasteczko za jego plecami było ciche i nieruchome w mrokach nocy.

– Potrzebujemy zmienić konia! – zawołał do niego Vonvalt. – Na dwa, najlepiej od razu gotowe do drogi.

– Oczywiście, panie – odparł strażnik.

Vonvalt wyciągnął swoją pieczęć i mężczyzna spojrzał na nią, mrużąc oczy.

– Poczekajcie – powiedział. – Zejdę na dół.

Czekaliśmy, a oddechy parowały nam z ust, gdy śnieg gęsto padał wokół nas. Zadrżałam, patrząc na poustawiane na blankach koksowniki.

W głównej bramie otworzyło się niewielkie okienko. Vonvalt podszedł bliżej i ponownie pokazał pieczęć.

– Sędzia... sir Konrad – powiedział strażnik, nagle onieśmielony. W salucie dotknął krawędzi hełmu, po czym dał znak komuś, kogo nie widzieliśmy.

Kilka chwil później ciężkie wrota zaczęły się ze zgrzytem otwierać.

Przeszliśmy przez bramę. Zaraz za nią zobaczyłam długą i solidną stajnię, w której stało dwadzieścia, może trzydzieści rumaków – każdy w świetnej kondycji, dobrze odżywiony i świetnie utrzymany, a wszystko to za pieniądze z cesarskiej kasy. Biorąc to pod uwagę, patrzyłam na jedno z ogniw bardzo długiego łańcucha: Cesarskiej Podmiany, biegnącej od Strażnicy Morskiej na początku drogi Hauner, aż po południowe krańce Grozody. Był to najszybszy sposób na przekazanie wiadomości z granicy Imperium do samej sali tronowej w Sovie.

Idea była genialnie prosta. Zamiast jednego konia, który miałby wieźć posłańca przez tysiąc kilometrów, dlaczego nie mieć stu koni, które wiozłyby go każdy przez dziesięć kilometrów? Sowanie od wieków mieli pewien system konnej podmiany; jedyne, co musieli zrobić, to rozszerzyć go na teren całego Imperium. Odległości się zwiększyły, lecz idea pozostała ta sama.

Szybko ruszyliśmy błotnistą ścieżką i weszliśmy do stajni. Młodzi stajenni z nocnej zmiany z zapuchniętymi ze zmęczenia oczami zdjęli sakwy z Vincenta i przenieśli je na dwa inne konie, którymi z Vonvaltem mieliśmy ruszyć na północ. Była to szybka i sprawna operacja, podczas której padło niewiele słów. Strażnik zaprowadził nas do szefa stajni, a ten się upewnił, że Vonvalt zna drogę na północ. Była prosta: wystarczyło jechać przed siebie drogą Hauner, do następnego punktu zmiany koni w Espie, jakieś piętnaście kilometrów dalej.

Zaledwie kilka minut później pożegnaliśmy się ze strażnikiem i szefem stajni i ruszyliśmy konno w drogę. Zwierzęta nie wymagały zbytniego kierowania; niemal spadłam z grzbietu swojego, kiedy koń ruszył mocnym galopem i popędziliśmy w wypełnioną śniegiem ciemność.

Podróż okazała się męcząca. Jechaliśmy w szybkim tempie przez jakieś piętnaście kilometrów, dopóki konie nie zaczęły się pienić, a ich boki spływać potem. Trwało to niemal godzinę. Następnie dotarliśmy do kolejnego punktu podmiany, przenieśliśmy bagaż na parę wypoczętych zwierząt i raz jeszcze zaczęliśmy cały proces. Nie było zbyt wiele do zrobienia, poza tym, by trzymać się na grzbiecie i starać nie myśleć o zimnie. Konie były dobrze wyszkolone i znały trasę. Nie musieliśmy nimi zbytnio kierować; droga Hauner była szeroka i dobrze utrzymana. Jej strategiczna waga oznaczała, że na lordów będących

właścicielami ziem, przez które przebiegała, nałożono surowy obowiązek utrzymywania jej w dobrym stanie. Jednak mroźna północna zima znaczyła, że pomimo ogromnych sum przeznaczanych na jej utrzymanie, jej fragmenty pokrywało błoto lub woda, a lód sprawił, że część bruku zaczęła pękać.

Nadszedł świt, a wraz z nim zwiększył się ruch. Ci, którzy często podróżowali tą trasą, wiedzieli, że muszą nasłuchiwać tętentu kopyt, i schodzili nam z drogi; ci, którzy o tym nie wiedzieli, często łądownali – a wraz z nimi ich bagaż – w błocie po obu stronach drogi. Vonvalt i ja nie byliśmy jedynymi, którzy korzystali z wymiennych koni, i zdarzało się, że przemknęliśmy obok kuriera, dygnitarza czy nawet innego Sędziego zmierzających w przeciwną stronę. To były jedyne przebłyski ekscytacji w tej inaczej monotonnej podróży. Dreszcz emocji na widok podekscytowania i zdumienia, kiedy mknęliśmy obok ludzi z okrzykiem „Z drogi!”, szybko minął. Wewnętrzne strony moich ud były porządnie obite i miałam wrażenie, że miednica pęknie mi od nieustannego uderzania w koński grzbiet. Wiatr wydał mój płaszcz niczym żagiel i każdy mięsień w moim ciele zaczął pulsować silnym bólem z wysiłku, by po prostu utrzymać się na koniu. Po kilku dniach i nocach ciągłej zmiany zwierząt oraz ciasnych, zimnych, pozbawionych luksusu kwater w niewielkich zajazdach, które znajdowały się w większości punktów podmiany, Vonvalt w końcu uświadomił sobie, że potrzebujemy przerwy.

Zatrzymaliśmy się w małej miejscowości bez murów obronnych o nazwie Josko. W trzy i pół dnia pokonaliśmy niemal trzysta pięćdziesiąt kilometrów i nim nasze konie, wlokąc się przez błoto, zbliżyły się do punktu podmiany na obrzeżach miasteczka, miałam wrażenie, że zwyobrażał mnie sam Kasivar. Po raz pierwszy nie wisały nad nami śnieżne chmury i mieliśmy nad głowami usiane gwiazdami granatowe wieczorne niebo. Para z naszych ust i pysków koni unosiła się w zimowym powietrzu. Moje ciało było odrętwiałe z zimna i sztywne niczym zwłoki.

– Mamy lepszy czas, niż oczekiwałem – powiedział szorstko Vonvalt.

Jego broda była długa i zmierzwiona, a szal, którym owinął się aż po nos, był oblodzony w miejscu, w którym mróz skryształizował jego oddech.

Ledwie byłam w stanie odpowiedzieć. Wymamrotałam coś, lecz mój koń wybrał sobie właśnie ten moment, by parsknąć.

– Musisz mówić głośniejsze, Heleno – rzekł Vonvalt, a w jego głosie usłyszałam uśmiech. – Brzmisz, jakbyś rżała.

Chociaż czułam się na wskroś nędznie, nie mogłam powstrzymać śmiechu. W gruncie rzeczy szybko stał się on histeryczny i wkrótce zdałam sobie sprawę, że płaczę, a mróz zaraz zamrozi łzy na mojej twarzy. Strażnik, który do nas

podszedł, wyglądał na zdumionego, że dwoje podróżnych, od stóp do głów pokrytych zamrażniętym błotem, może być tak hałaśliwie rozbawionych.

– Powiedziałem, że moja asystentka brzmi, jakby drżała – wyjaśnił Vonvalt, kiedy udało mu się już opanować.

Strażnik jedynie przewrócił oczami i chwycił za wodze.

– Już to słyszałem – powiedział i ruszyliśmy za nim do Josko.

* * *

Korzystaliśmy z podmian jeszcze dzień i noc, po czym zostawiliśmy konie w punkcie w Baquirze na granicy Tolsburga. Tam z lokalnej stajni wypożyczyliśmy parę stępaków, zjechaliśmy z drogi Hauner i ruszyliśmy na przełaj do Rill.

Tym razem zbliżaliśmy się do wioski od wschodu, jadąc w stronę Tolsburskich Rubieży, których szare zbocza i cyple majaczyły daleko na horyzoncie niczym gigantyczne zęby. Ziemia tutaj była pokryta wspaniałą śnieżną pierzyną, przez co wydawała się jeszcze bardziej wyblakła i nijaka niż poprzednio. Brnęliśmy przez pola nieskazitelnej bieli, mijaliśmy przypominające szkielety drzewa i przykryte śniegiem kamienne drogowskazy. Naszą jedyną pomocą w nawigacji było blade słońce próbujące przebić się przez zasłonę z chmur. Śnieg tłumił również wszelkie dźwięki; po naszej głośnej od tętentu kopyt podróży Cesarską Podmianą droga teraz wydawała się powolna i dziwnie cicha.

Jazda przez pola zajęła nam cały dzień. Konie zostawiały za sobą głębokie ślady i były wyraźnie niezadowolone z brnięcia przez sięgające im kolan zaspę. Samo powietrze było przeraźliwie zimne i powoli znów tańczył w nim śnieg. Oddechy nasze i zwierząt rozchodziły się w nim niczym mgłą. Pomimo wielu warstw odzieży mroźny wiatr znajdował przerwy w moim woskowanym płaszczu i wnikał pod niego niczym lodowe ostrze.

Było już popołudnie, kiedy dostrzegłam znajomy punkt orientacyjny – stary, opuszczony stołp na Górze Gablera. Ponieważ był oddalony od Rill zaledwie o ćwierć dnia drogi, a Vonvalt nie chciał pojawić się w wiosce po zmroku, skierowaliśmy się w jego stronę.

– Poza tym... – powiedział Vonvalt głosem dziwnie stłumionym przez śnieg.
– Ciało sir Otmara może wciąż tam być.

Ruszyliśmy kłusem do stołpu. Była to budowla o kształcie pojedynczej kolumny, zbudowana z szarego kamienia, o średnicy jakichś osiemnastu metrów. Łatwo było ją rozpoznać na tle opustoszałego krajobrazu, gdyż była tu jedyną rzeczą stworzoną przez człowieka. Stała niczym monolit, jakby nawiedzony

przez swoją izolację, i kiedy się do niej zbliżyliśmy, nagle ogarnęło mnie przerażenie. Jednak potrzebowaliśmy schronienia na noc, a tylko wieża była w stanie nam go udzielić.

Po godzinie dotarliśmy do jej pokrytej naroślami podstawy. Spojrzałam za siebie, na drogę, którą przybyliśmy, podążając wzrokiem po wyrytych przez konie tunelach. Nagle ogarnął mnie strach, że ktoś będzie w stanie nas wyśledzić, chociaż przez dziesiątki kilometrów nie było śladu drugiego człowieka. Zaczęłam się modlić, by śnieg spadł gęsto, zacierając za nami trop.

Żałowałam, że nie ma z nami Dubine'a.

– Tak, jego zwłoki są w środku – powiedział posępnie Vonvalt, wychodząc ze stołpu. Kiedy zobaczył moje przerażenie, dodał: – To nie jest straszny widok. Zimno zamroziło go na kość. Gdyby nie krew, mogłabyś pomyśleć, że śpi.

– Nie chcę tam wchodzić – powiedziałam. Nie wiem, dlaczego byłam tym tak zdenerwowana; wcześniej widziałam już mnóstwo ciał. Jednak z jakiegoś powodu nie mogłam otrząsnąć się ze złych przeczuc.

– Musimy – odparł Vonvalt i spojrzał na niebo. – Tracimy światło, a będziemy potrzebowali drewna do ognia. Chodź, Heleno, to tylko zwłoki; sama Nema wie, jak wiele ich widziałaś.

Z frustracją kopnęłam śnieg.

– Możesz go przenieść? – zapytałam płaczliwie.

Vonvalt spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Oczywiście – powiedział. – Myślałaś, że sam też chcę spędzić tu z nim noc?

Ogarnęła mnie tak ogromna ulga, że miałam ochotę się rozplakać.

– Nazbieram drewna – zaproponowałam szybko.

Był to ten sam las, w którym niecałe dwa kilometry stąd lady Frost wygłaszała swoje pogańskie kazania, i chociaż wydawał się mroczny i odpychający, było to lepsze niż przyglądanie się, jak Vonvalt wyciąga zmarłego na śnieg.

Vonvalt skinął głową i spojrzał na niebo.

– Pośpiesz się. Pamiętasz, czego szukać?

– Tak – odparłam zirytowana. – Przyniosę tyle, by wystarczyło na całą noc.

– Dobrze – zgodził się. – Zbadam ciało. Zawołaj, zanim po powrocie wejdiesz do środka. To bardzo ważne.

– W porządku – powiedziałam, zakładając, że będzie chciał dokonać toalety.

Dotarcie do lasu zajęło mi więcej czasu, niż zakładałam. Koń był zmarznięty, nie miał chęci do współpracy, wyraźnie chciał zostać w schronieniu przy wieży, i nie reagował na moje sygnały łydkami. Zwierzę nie podzielało mojego strachu

do przebywania w lesie po zmroku – ta myśl przerażała mnie jeszcze bardziej niż perspektywa nocowania w stołpie – lecz w końcu uległo mojemu poganianiu.

Zeskoczyłam z jego grzbietu na skraju lasu. Był ciemny, cichy, i wyglądał, jakby ciągnął się przez wiele kilometrów, przez co nagle doznałam wrażenia, że stoję na granicy znanego mi świata. Szybko, mówiąc coś do konia, by uspokoić nerwy, zebrałam spod śniegu kilka naręczy patyków, związałam je ze sobą, po czym przyczepiłam do siodła i ponownie wspięłam się na grzbiet zwierzęcia. Zanim ruszyłam w drogę powrotną, zapadł już zmierzch i zerwał się mocniejszy wiatr.

Dotarłam do stołpu i już byłam gotowa wejść do środka, byle tylko zejść z zimna, lecz nagle zamarłam. Przekrzywiłam głowę i zaczęłam nasłuchiwać. Słyszałam głos, ale nie Vonvalta... jednak nie widziałam żadnych oznak, by dołączył do nas ktoś jeszcze. Ślady, które zostawiliśmy, jadąc przez pola, już dawno zniknęły zasypane śniegiem.

Wyteżyłam słuch, myśląc, że być może pomyliłam głos z wiatrem wyjącym między rozpadającymi się blankami wieży. Jednak nie, zdecydowanie był to głos... i na pewno nie należał do Vonvalta.

Zeszłam z końskiego grzbietu i powoli podeszłam do drzwi, a każdy mój krok skrzypiał na świeżej warstwie białego puchu. Nagle ogarnęło mnie to samo złe przeczucie, co wcześniej, i moje nogi nagle zmieniły się w ołów. Kiedy wiatr ponownie przycichł, wyraźnie doszedł mnie głos Vonvalta, choć nie jego słowa.

Drugi z głosów należał do sir Otmara Frosta.

Poczułam tak gwałtowny dreszcz, że przez chwilę przestałam widzieć wyraźnie. Zalała mnie fala przerażenia i zachwiałam się, niezdolna uczynić kolejnego kroku. To tak, jakby moje stopy nagle przywarły do ziemi.

Vonvalt nie wykorzystywał często swojego daru nekromancji. Jak wspominałam już wcześniej, wiele go to kosztowało, a po wszystkim był zazwyczaj wyczerpany i wstrząśnięty. Jednak fakt, że nie korzystał z niego często, nie oznaczał, że nie korzystał z niego w ogóle. Było to potężne narzędzie śledcze, a właściwe słowa lub nazwisko padające z ust martwego człowieka często szybko rozwiązywały sprawę. Mimo to jak dotąd nie byłam świadkiem tego rytuału, co jeszcze bardziej podsycalo przepełniające mnie przerażenie.

Teraz wyraźnie już słyszałam głos sir Otmara. Był jakby lekko rozstrojony, lecz jego słowa były wyraźne i swobodne. Od czasu do czasu zaczynał mówić bez sensu, gdy na powierzchnię zaczynały wypływać jego dawne wspomnienia lub jego umysł starał się pojąć, co się z nim działo. Przez większość czasu mówił jednak całkiem trzeźwo.

To również było absolutnie nie do zniesienia. Było w tym coś tak mrocznego i nienaturalnego, że nie mogłam tego dłużej słuchać. Zamiast tego zakryłam uszy

rękami i zaczęłam krzyczeć.

* * *

Nie za bardzo pamiętam, co się stało później; następne, co pojawia się w mojej pamięci, to że obudziłam się przy trzaskającym ogniu w stołpie. Po sir Otmarze nie było śladu. Vonvalt siedział niedaleko mnie i palił fajkę.

– Przepraszam – powiedziałam, wyrywając go z transu.

Spojrzał na mnie, lecz jego wzrok daleki był od melancholii. Nie cierpiałam tego widoku. Nie cierpiałam widzieć go tak... znękanego. Tak omylnego. Tego wyrazu jego twarzy nigdy nie zapomnę.

– Sir Konradzie? – zapytałam. Jego wygląd zaczynał mnie przerażać.

– Tak – powiedział, potrząsając głową, jakby chciał otrząsnąć się ze wspomnień. – Tak. Przepraszam. To ja powinienem prosić cię o wybaczenie. Powinienem być powiedzieć ci o swoich intencjach. Sądziłem, że zbieranie drewna zajmie ci więcej czasu. Nie chciałem cię... niepokoić. Jednak przy zwłokach tak zamarzniętych jak te, niemal doskonale zachowanych, okazja była zbyt dobra, by ją zmarnować.

Nie odezwałam się. Pomimo ciepła ognia i osłony przed wiatrem nie potrafiłam pozbyć się z głowy głosu sir Otmara.

– To był Claver, tak jak sir Otmara napisał w swoim liście – powiedział Vonvalt cicho. Nie odpowiedziałam, lecz on nie odrywał wzroku od ognia. – Zostali spaleni. Wszyscy. Na sam koniec.

– Na bogów – mruknęłam, czując nagły przyływy mdłości.

Vonvalt ponownie zaciągnął się fajką.

– Postaraj się przespać, Heleno – powiedział. – Popilnuję ognia.

Chociaż w tej chwili sen był ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam, to jednak w którymś momencie tej długiej, zimnej nocy musiałam odpłynąć w nieświadomość, gdyż obudziłam się dopiero rano, gdy Vonvalt przypiekał chleb. Tak jak powiedział, dopilnował, by ogień nie zgasł przez noc, co wyjaśniało, jak mogłam ją całą przespać. Zbyt wiele razy w naszej podróży budziłam się tuż przed świtem, przy dogasającym ognisku, drząc gwałtownie z zimna, które przenikało mnie aż do kości.

Vonvalt zaś wyglądał, jakby nie spał ani przez chwilę.

– Proszę – powiedział, wyciągając rękę z tostem w moją stronę. – W sakwie za tobą jest trochę mięsa.

Zjedliśmy w milczeniu, po czym posprzątaaliśmy po sobie. Vonvalt nakazał mi zaczekać w środku i sam wyszedł na zewnątrz, rzekomo, by dokonać ablucji, chociaż w rzeczywistości chciał ukryć zwłoki sir Otmara, które – jak

podejrzewałam – znajdowały się niedaleko stołpu. Wrócił chwilę później, na swój powściągliwy sposób powiedział, bym „zadbała o swoją wygodę” – nie była to radosna perspektywa w taki ziąb – po czym, kiedy byliśmy już gotowi, wyruszyliśmy do Rill.

Tego ranka na krótko pojawiło się słońce, lecz zostało szybko przesłonięte przez chmury, a po godzinie podróży znaleźliśmy się pod ich nisko zawieszoną, szarą warstwą. Straszne wydarzenie z poprzedniego wieczoru już wydawało mi się odległym wspomnieniem, a w gruncie rzeczy wynikało z niego coś dobrego: nie doznaliśmy szoku, patrząc na Rill, z którego pozostały tylko zwęglone belki i popękane fundamenty.

Przyglądaliśmy się ruinom z obojętnością. Wziąwszy pod uwagę, że wioska spłonęła kilka tygodni wcześniej, śnieg grubą warstwą przykrył większość zgliszczy... oraz zwęglone kości nieszczęsnych draedów, którzy ją zamieszkiwali. Vonvalt przez godzinę kopał w białym puchu, zanim znalazł miejsce, gdzie Claver i jego ludzie ustawili pale, przy których zabito ludzi, po czym posepnie zaczął przeszukiwać szkielety. Wśród nich dostrzegłam żebra małego dziecka, przez co wybuchłam szlochem.

– Właśnie tutaj ich spalono – powiedział, wskazując na ziemię, na której stał. W jego głosie brzmiało zmęczenie. Okrytymi rękawicami dłońmi wskazał na stertę kości. – Są też ślady po ciosach mieczem. Widzisz te nacięcia?

Skinęłam głową, patrząc na miejsce, które wskazywał. Nadal jeszcze nie zsiadłam z konia, który obojętnie zaczął skubać zmarzniętą trawę. Vonvalt odłonił ją, rozkopując śnieg.

– Żołnierze noszą miecze – powiedział i wstał. Odwrócił się na północny wschód i mrużąc oczy, spojrział w dal, jakby już stąd mógł dostrzec majaczącą na horyzoncie Strażnicę Morską. – Ci ludzie nie mieli żadnych szans.

Vonvalt ociężale poruszał się między ruinami. Posiadłość sir Otmara, nieco solidniejsza od pozostałych domów, zachowała się nieco lepiej, chociaż dach został całkowicie strawiony przez ogień. Patrzyłam, jak Vonvalt wchodzi do środka i wychodzi kilka minut później. Popatrzył mi w oczy.

– Nie wchodź tam – powiedział.

Jedyne, co byłam w stanie zrobić, to skinąć głową.

Już dawno nie widziałam go tak wściekłego. Ruiny Rill reprezentowały coś więcej niż tylko okrutną i niepotrzebną zagładę spokojnej wioski. Reprezentowały początek upadku prymatu powszechnego prawa. Niegdyś byłoby nie do pomyślenia, nawet dla takiego fanatyka jak Claver, by sprzeciwić się osądowi Sędziego. Teraz sami kroczyliśmy przez dowód jego buntu. Pomimo wszystkiego – listu od Sędzi August, usiłowania jego zabójstwa, wiadomości od sir Otmara... i samego seansu z sir Otmarem – nadal uważam, że Vonvalt nie do

końca wierzył, iż autorytet Magistratu można było tak bezczelnie podważyć. Jego umysł stanowczo się temu sprzeciwiał. Dla niego nadrzędność prawa była niepodważalnym faktem.

W końcu wrócił do swojego konia. Minęło już południe i zakładałam, że – zważywszy na porę – ponownie zatrzymamy się w stołpie. Dlatego poczułam zaskoczenie, kiedy godzinę później minęliśmy starą fortyfikację i ruszyliśmy przez bezkresne pola.

Odchrząknęłam świadoma szybko zbliżającego się zimowego zmroku.

– Dokąd jedziemy?

– Prosto do Strażnicy Morskiej – wycedził Vonvalt przez zaciśnięte zęby. – Nie dbam o pozycję tego człowieka. Margrabia Westenholtz za to zawiśnie.

Strażnica Morska

„Lordowie powinni być pełni strachu, kiedy pojawia się Sędzia, służalczości podczas jego pobytu i ulgi, kiedy wyjedzie”.

Stare powiedzenie Magistratu

Jakiś czas temu byliśmy już w Strażnicy Morskiej, jako że była najdalej położonym miejscem na naszej długiej trasie z Sovy. To jednak nie sprawiło, że drugi przyjazd zaparł mi dech w piersiach. Był to ostatni bastion Imperium, niczym wyciągnięty pazur Autuna. Za nim leżało już Morze Północne, wzburzone, zimne i szare, które oddzielało kontynent od królestw zuchwałych ludzi północy. Tak jak Granica na południu, północ cechowała pewna tajemniczość – straszne i odludne miejsce z ponurymi stepami i równie ponurymi ludźmi.

Strażnica Morska była ogromną fortecą, niegdyś siedzibą dawnych władców Hauneru, zanim Haunersheim pięćdziesiąt lat temu włączono do granic Imperium. Jej ściany, wieże i donżon wykonane były z tego samego miejscowego czarnego kamienia i słyszałam, jak wielu opisuje ją jako dom samego Kasivara. Był to właściwy opis. Całą budowlę zaprojektowano tak, by wzbudzała strach, a patrząc na wznoszące się na klifach wysokie czarne niczym obsydian mury, mogłam z całą pewnością powiedzieć, że projektantom udało się zrealizować ten zamysł.

Biorąc pod uwagę, jak często ludzie północy najeżdżali nadmorskie miasteczka i porty Haunersheimu, pomimo daleko rozciągającego się garnizonu, wielu ludzi zdecydowało się przeprowadzić i mieszkać w cieniu samej fortecy, tym samym sprzeciwiając się cesarskim rozporządzeniom, gdyż większość warownych budowli utrzymywała niemal kilometr wolnego terenu za zewnętrznym murem. Dlatego też, zmierzając w stronę głównej bramy,

przejeżdżaliśmy przez szybko rozwijające się miasteczko. Tutaj ludzie ledwie rzucali na nas okiem, przyzwyczajeni do widoku sozańskich oficjeli przyjeżdżających i odjeżdżających ze Strażnicy. Zamiast tego zajmowali się sobą, ze sztywnością wynikającą z nieustającego zima, wynędzniali od okrutnie surowych zim i ciągłego strachu przed atakiem. Śnieg tutaj zdeptano tak, że tworzył błotnistą maź, a powietrze było przesycone zapachem dymu z kuchennych palenisk i morskiej wody.

Gdy podjechaliśmy do bramy, mury groźnie nachylały się nad nami, strome niczym ściana klifu sięgająca dwanaście metrów w górę. Na ich szczycie dostrzegłam żołnierzy, którzy w cesarskich, czerwono-żółto-niebieskich liberjach patrolowali okolicę. W pogodny dzień musieli widzieć wszystko na odległość czterdziestu kilometrów. Nad ich głowami krzyczały mewy, szukające resztek ryb.

Przy bramie wyszli do nas strażnicy, którzy rozpoznali nas po naszej poprzedniej wizycie i pozwolili nam wjechać bez zbędnych opóźnień. Stajenni szybko zajęli się naszymi końmi, a dyżurujący sierżant na chwilę zszedł ze swojego stanowiska, by zapewnić pierwszą część oficjalnego powitania.

– Sędzio – powiedział z ukłonem.

Był to potężny człowiek, bez wątpienia silny, lecz z pewną nadwagą wynikającą z życia na zamkowym wikcie. Margrabia był surowym człowiekiem – przynajmniej taką miał reputację – lecz dobrze traktował swoich ludzi. Stacjonowanie w Strażnicy Morskiej i strzeżenie wybrzeża było nieprzyjemnym zadaniem, lecz, o ironio, budziło zainteresowanie najlepszych, zainteresowanych wojaczką lordów w Imperium. Bądź co bądź z arystokratycznego punktu widzenia była to prestiżowa pozycja – zamek był ogromny i dobrze wyposażony, a walka z najeźdźcą była wręcz gwarantowana. Wielu arystokratów przepychało się, by otrzymać tytuł margrabiego Strażnicy Morskiej, podobnie jak tytuły większych fortec Templariuszy na Granicy oraz na wschodnich krańcach Imperium na rzece Kova.

– Sierzancie – odparł Vonvalt. – Chciałbym natychmiast zobaczyć się z margrabią.

Sierżant ukłonił się nerwowo.

– Panie, mogę zaprowadzić cię do donżonu, ale nie mogę zagwarantować szybkiego spotkania z margrabią.

Podążyliśmy za sierżantem przez przedzamcze, które – dzięki swobodnej dystrybucji słomy – w większości nie było rozdeptane w śmierdzące błoto przez krążących żołnierzy i ich konie, po czym skierowaliśmy się przez drugą, mniejszą bramę na wewnętrzny dziedziniec. Ziemia tutaj była brukowana, a cały plac otaczały szerokie drewniane półpiętra zamku z chowanymi schodami, które

były jedyną drogą prowadzącą do donżonu. Pretensjonalności, którą dostrzegłam w innych warowniach i fortach Imperium – niektórych nawet większych od dużych wiejskich posiadłości z niewielkimi blankami – tutaj nie było.

Sierżant poprowadził nas schodami do głównego wejścia – niewielkich, zakończonych łukiem i wzmocnionych kratownicami drzwi. Po krótkiej rozmowie z innym strażnikiem weszliśmy do niskiego i brudnego korytarza, który poprowadził nas do przechowalni broni. Tutaj Vonvalt oddał swój miecz i sztylet skruszonemu strażnikowi, po czym weszliśmy do głównego hallu.

I tam pozostaliśmy.

Musieliśmy czekać niemal pół godziny, zanim pojawił się jeden z lokajów margrabiego – młody mężczyzna w kosztownym wełnianym odzieniu.

– Sir Konradzie, proszę mi wybaczyć – powiedział, kłaniając się nieszczerze nisko. – Lord Westenholtz jest obecnie zajęty ważnymi sprawami wojskowymi. Serdecznie cię wita i dopytuje, czy przyjmiesz jego gościń. Poinstruowano mnie, bym wskazał wam komnaty i zapewnił wiktuały... Czy to cię, panie, zadowala?

Vonvalt zacisnął zęby. Jego władza jako przedstawiciela cesarza była ogromna. Był ucieleśnieniem prawa Imperium. Widziałam, jak wchodził na wyjątkowo delikatnej natury spotkania wysoko postawionych sowańskich szlachciców, przerywał ważne rozprawy w sądzie, a nawet ślub. Jednak zawsze starał się nie wtrącać w sprawy wojskowe. Mimo że jego autorytet pozwalał mu wejść w sam środek narady wojskowej pomiędzy najwyższymi rangą generałami w kraju, słusznie uważał takie zachowanie za nierozsądne. Cesarski Magistrat już dawno temu przekonał się, że wtrącanie się do spraw armii cesarza oznaczało rzucenie się na samą władzę wykonawczą cesarskiego gabinetu.

Margrabia był zaiste świadomym tego człowiekiem i wiedział, że Vonvalt – chyba że byłby wyjątkowo nierozważny – nie będzie miał innego wyjścia i będzie zmuszony czekać. Było to zagranie, które miało pokazać władzę i które – zaserwowane w ten sposób – niezwykle obrażało Vonvalta.

– Rozumiem – powiedział w końcu Vonvalt. Głównie po to, by zawstydzić posłańca, który, prawdę mówiąc, potrzebował więcej dyscypliny w swoim życiu.

Przez kilka chwil staliśmy w milczeniu, a w końcu lokaj zapytał:

– Czy Sędzia chce, bym zaprowadził go do jego kwater?

Ponownie zapadła cisza. Lokaj poruszył się niespokojnie.

– Zdaje się, że będziesz musiał – odezwał się w końcu Vonvalt.

W niezręcznej atmosferze ruszyliśmy przez zamek. Lokaj szedł z wahaniem, jakby Vonvalt miał zadać mu cios w plecy. Donżon był dobrze wyposażony, z tapetami na ścianach, dywanami i kominkami, i chociaż od otworów strzelniczych dochodził przeciąg, panowało w nim ciepło. Bardziej nowoczesne

sovańskie fortece, z których większość leżała na wschodzie, na granicy prowincji Konfederacji Kovy, posiadały kanały pod drewnianymi podłogami, które sprawniej rozprowadzały gorące powietrze. Chociaż Autun miał wiele wad, pomysłowość nie była jedną z nich.

Przeznaczone dla nas komnaty okazały się luksusowymi apartamentami, które – w przeciwieństwie do fasady zamku – miały wszystko, co potrzeba. Podobnie jak w pozostałej części donżonu, ściany i podłogi pokrywały tapety i dywany, a przyzwoitej wielkości okna ze wzmocnionego kratami szkła zapewniały wspaniały widok na Morze Północne. Komnaty te nie mogły się bardziej różnić od naszego ubogiego noclegu w stołpie na Górze Gablera.

– Każ przynieść nam jedzenie i piwo – powiedział Vonvalt. – Wystarczająco wiele dla nas dwojga. Moja asystentka zje ze mną. Nie życzę sobie wywoływać ogólnego poruszenia dziś wieczorem.

Lokaj pokłonił się, niecierpliwie czekając chwili, kiedy będzie mógł odejść od kąśliwego gościa.

– Oczywiście, panie.

– I poinformuj margrabiego, że wzywam go do siebie w chwili, kiedy tylko zakończy swoje wojskowe sprawy. Upewnij się, że użyjesz dokładnie tych słów.

Lokaj, postawiony w beznadziejnej sytuacji, jedynie słabo kiwnął głową.

– Dobrze – powiedział Vonvalt. – Przekaż, by przyniesiono tutaj nasz bagaż. I dopilnuj, by wyprano nam ubrania.

– Panie.

– Możesz odejść – powiedział do niego Vonvalt. – I upewnij się jeszcze, że dokładnie wypełnisz moje instrukcje, inaczej każę cię wybatożyć razem z twoim panem.

* * *

Nie zjawił się żaden posłaniec. Przez cały wieczór Vonvalt pałał wściekłością i był beznadziejnym towarzyszem. Kiedy w końcu stało się jasne, że margrabia się z nami nie zobaczy, położyliśmy się spać.

Tej nocy śniłam o samotnej wieży stojącej na rozległym białym polu. Mimowolnie zbliżyłam się do niej, chociaż każdy krok wypełniał mnie przerażeniem. W chwili gdy przekroczyłam jej próg, obudziłam się w ślepej panice, przekonana, że słyszałam tuż przy uchu głos sir Otmara. Jednak obok mnie nikogo nie było. Do komnaty dobiegały tylko stukoty i inne odgłosy zamku, w którym nigdy nie panowała cisza.

Przez resztę nocy męczył mnie niespokojny sen i rzucałam się, jakby w gorączce. Obudziłam się przed świtem, z zaczerwienionymi oczami

i wyczerpana, po czym czekałam, aż słaby blask zimowego słońca rozświetli komnatę.

* * *

Rano ubraliśmy się i zjedliśmy śniadanie we wspólnej sali. Dzięki pozycji Vonvalta mogliśmy – czego od nas oczekiwano – zjeść przy głównym stole i tak właśnie zrobiliśmy, otoczeni przez rycerzy margrabiego. Niektórzy z nich byli zmarznięci, przemoknięci i pokryci błotem po nocy spędzonej na patrolowaniu terenów tak odległych, jak Enos – najbliższe miasteczko na zachodzie. Inni zaś byli wypoczęci i czysti, gotowi pokierować patrolami w dzień.

– Jest pan tu w oficjalnej sprawie, Sędzio? – zapytał jeden z rycerzy siedzących naprzeciwko Vonvalta. Jego tunika była w odcieniu tak głębokiego granatu, że wydawała się czarna, z herbem białej mewy margrabiego Westenholta na piersi. Pachniał morzem, a twarz miał spryskaną błotem.

– Coś w tym stylu – odparł Vonvalt bez humoru.

– Jeśli któryś z moich ludzi zrobił coś, co przyciągnęło twoją uwagę, panie, osobiście go za to powieszę, daję słowo. To miejsce, w którym panuje prawo i sprawiedliwość.

– Zgadza się – wtrącił inny rycerz. Dostrzegłam, że ma na szyi zawieszony na łańcuszku savański krzyż. – Jesteśmy w doborowym towarzystwie. W ostatnich tygodniach wysłaliśmy na południe dwa tuziny ludzi, by dołączyli do oddziału stacjonującego w Vasayi. A margrabia uznał, że może wysłać tam kolejnych trzydziestu.

– Nie widziałem tam żadnego oddziału – mruknął Vonvalt. – A nadjechaliśmy właśnie stamtąd, cesarską podmianą. Oczywiście przejeżdżaliśmy przez Vasayę późno w nocy, więc nic dziwnego, że nikogo nie dostrzegliśmy.

– Są tam, Sędzio – powiedział z przekonaniem rycerz. – Teraz już kilkuset ludzi z Północnych Ziem. Patrion Claver obiecał Patrycjuszom, że przesunie Granicę o sto pięćdziesiąt kilometrów.

Vonvalt uśmiechnął się nieznacznie. Byłam świadoma faktu, że jeden z rycerzy, którzy podpalili Rill, mógł właśnie siedzieć z nami przy stole.

– Miejmy nadzieję, że im się to uda – powiedział w końcu Vonvalt. Wydawał się wrogo nastawiony i pełen rezerwy, i pomimo wysiłków kilku innych rycerzy nie dał się wciągnąć w rozmowę. We dwójkę jedliśmy w milczeniu, podczas gdy rycerze śniadali hałaśliwie, a nocny patrol wymieniał się docinkami z tymi, którzy mieli pełnić wartę w ciągu dnia. Pomimo licznych zabezpieczeń, którymi dysponowałam, nie czułam się swobodnie. Żołnierze, cesarscy czy nie,

pochodzący z arystokracji lub nisko urodzeni, byli nieco tylko lepsi od bandytów i często różnili się od nich jedynie ubiorem.

Skończyliśmy posiłek i szykowaliśmy się do wyjścia. Wtedy mężczyzna, którego widziałam, gdy czaił się na uboczu, stanął nam na drodze. Przez jedną krótką chwilę myślałam, że to kolejny zabójca.

– Sir Konradzie? – zapytał.

– Tak?

– Lord Westenholtz pana oczekuje.

– Lepiej więc mnie do niego zaprowadź – odparł Vonvalt.

Posłaniec ukłonił się, zaskoczony tonem Vonvalta, i wyprowadził nas ze wspólnej sali, po czym ponownie poszliśmy przez zamek. Zaprowadzono nas na to samo piętro, na którym mieściły się nasze komnaty, lecz w innym narożniku donżonu, gdzie znajdował się prywatny apartament margrabiego.

Normalnie spotkalibyśmy się z margrabią w izbie na parterze. To właśnie tam powinien przyjmować petentów, wysłuchiwać skarg i administrować terenami, którymi Strażnica Morska zarządzała w imieniu Imperium. Fakt, że poprowadzono nas do prywatnych komnat margrabiego, był wiele mówiący. Wyraźnie nie chciał, by jego autorytet kwestionowano na oczach jego własnych ludzi. Z tego typu lordami, rezydującymi w ogromnych warowniach na krańcach Imperium, był problem. Z Sovą oddaloną o tysiące kilometrów margrabia cieszył się nienadzorowaną władzą nad swoim dominium. Vonvalt był wielce niemile widzianym gościem dla człowieka, który sam sobie był panem.

Poprowadzono nas do pokoju solarnego. Światło wpadało tutaj przez dwa ogromne okna wychodzące na leżącą niżej przystań. Las masztów, z których każdy należał do dalekomorskich karraków, kołysał się na wietrze, a bandery w barwach Imperium powiewały przy każdym podmuchu. Dalej zobaczyłam jeden z takich statków, który podrzucany na falach wpływał właśnie do cieśniny – na ogromnych wzburzonych wodach wydawał się mały niczym owad.

Gdy weszliśmy, margrabia stał za biurkiem, zwrócony do nas twarzą. Był to wysoki, zwyczajnie wyglądający mężczyzna o surowej, ogolonej twarzy i krótko ściętych włosach. Miał muskularną sylwetkę i szare, pozbawione życia oczy człowieka zaznajomionego ze śmiercią w każdej jej postaci. Nie okazał żadnej cieplejszej formy powitania, lecz jedynie krótko skinął głową. W obecnych okolicznościach było to niewiarygodnie obraźliwe. Na tunikę włożył brązową skórzaną kurtę, a bryczesy do kolan zasłaniały mu wysokie wojskowe oficerki. Na dłoniach miał rękawice, a na oparciu jego krzesła wisiał ciężki woskowany płaszcz.

– Widzę, że właśnie zamierzał pan wyjść – powiedział Vonvalt.

– W rzeczy samej – odparł Westenholz. – Od czasu do czasu lubię sam poprowadzić patrol. To łatwy sposób, by zyskać szacunek ludzi.

– A inaczej by pana nie szanowali? – zapytał Vonvalt. Wiedziała, że spotkanie będzie zgryźliwe, lecz Vonvalt zazwyczaj nie ulegał tak małostkowej mściwości.

Margrabia spokojnie przyjął przytyk.

– Szanują mnie wystarczająco – odparł z opanowaniem. – Sam pan jest wojskowym. Pańska reputacja pana wyprzedza. Wiem o pańskich bohaterских dokonaniach podczas Wojny Imperialnej.

– Nie zadaję sobie trudu, by często wspominać tamte czasy.

– Tak. Niektórzy są stworzeni bardziej do ksiąg niż na pole walki.

Przenosiłam wzrok z jednego na drugiego. Ta wymiana zdań nie zrobiła na mnie większego wrażenia, ale też nienawidziłam margrabiego. Skoro upierali się, by wymieniać się trywialnymi złośliwościami, to chciałam, żeby to Vonvalt wygrał.

– Imperia są budowane i utrzymywane dzięki słowom. Miecze są zaledwie poprzednikami pióra.

– Nie jestem wykształconym człowiekiem, Sędzio – odparł margrabia, wzruszając ramionami. – Nie ma sensu, by rzucał pan we mnie wyświechtanymi prawnymi frazesami. Proszę mi powiedzieć, co pana sprowadza do Strażnicy Morskiej... ponownie. Mówiono mi, że nie tak dawno był pan tutaj.

– Otrzymałem niepokojące doniesienia – powiedział Vonvalt.

– Ach tak? – zapytał margrabia. – Dotyczące tej fortecy?

– Tak.

– Nie słyszałem nic, co dałoby mi powód do niepokoju. Jako lord i władca tej warowni...

– *Starłeś z powierzchni ziemi wioskę Rill i zabiłeś jej mieszkańców!*

Głos Cesarza. Rozbrzmiał w pomieszczeniu niczym uderzenie grzmotu. Wszystkie świece zgasły. Odczułam go z pełną mocą jako coś nieuchwytnego, co zadawało potężny fizyczny cios. Był zdumiewający, jakby ktoś obuchem miecza uderzył w hełm z przyłbicą. Zmiażdżyłby człowieka o słabym umyśle, a u silnego wywołał potworny ból.

Margrabia Strażnicy stał nieporuszony.

– Niepotrzebnie stosuje pan na mnie swoje salonowe sztuczki; nie waham się do tego przyznać – powiedział.

Coś było nie tak. Vonvalt, ucieleśnienie samokontroli, był wyraźnie dezorientowany. Głos Cesarza nie był niezawodny, ale nie mieliśmy powodów sądzić, że margrabia będzie w stanie mu się oprzeć. Jedyne ci, którzy trenowali w Magistracie, powinni być do tego zdolni.

– Mam dać panu czas na zebranie myśli, Sędzio? – zapytał Westenholtz. – Wydaje się pan nieco niepewny.

– Na czyj rozkaz spalił pan tę wioskę? – zapytał gwałtownie Vonvalt.

– Na mój własny, oczywiście. Rill jest wioską, która podlega mojej odpowiedzialności. Jej mieszkańcy są moimi chłopami pańszczyźnianymi, a sir Otmar moim wasalem. A właściwie był – dodał.

Vonvalt zacisnął pięści.

– Nie zaprzecza pan sprzeciwienia się mojemu werdyktowi?

Margrabia wzruszył ramionami.

– Nabrałem przekonania, Sędzio, że pomylił się pan w swoim osądzie. Patrion Bartholomew Claver był na tyle dobry, że poinformował mnie o pańskim błędzie. Niech się pan tym jednak nie przejmuje, Sędzio, nawet członek Magistratu nie jest nieomylny.

– Jawnie przekroczył pan swoje uprawnienia – rzucił Vonvalt. – Sprzeciwienie się wyrokowi Sędziego jest zradą. Wytłumaczy się pan, zanim go oskarżę tu i teraz!

Westenholtz uśmiechnął się kpiąco.

– Zbyt długo nie był pan w Sovie, sir Konradzie. Pańska władza, jakakolwiek ona jest, może nie być tak niezachwiana, jak się panu wydaje.

Vonvalt przyjął to wyjątkowo spokojnie, lecz słowa margrabiego wstrząsnęły mną do głębi. To, co powiedział – szczególnie w świetle listu Sędzi August – było bez wątpienia prawdziwe. Od ostatniego pobytu Vonvalta w Sovie minęły już dwa lata. Kontakt z Magistratem utrzymywał jedynie przez urzędników, którzy przywozili mu pensję i zabierali jego rejestry do Biblioteki Prawa w celu ich sprawdzenia. W siedzibie Imperium dwa lata było jak wiek. W krótszym czasie włączano do niego całe prowincje.

– Co za brednie – rzucił Vonvalt. – I co niby powiedział panu Claver? Proszę, powiedz mi panie o naturze mojego „błędu”, o którym jakże skwapliwie ci doniósł.

– Powiedział, że wypuścił pan heretyków, zaledwie nakładając na nich grzywnę. Prawo jasno stanowi: ci, którzy praktykują draedyzm, mają spłonąć.

– Nikt się do niczego nie przyznał. Nie oskarżyłem też nikogo o herezję. Nie byłem związany prawem powszechnym i właściwie rozstrzygnąłem tę sprawę. – Prychnął gniewnie. – Strażnica Morska słynie z okrucieństwa, ale nie wiedziałem, że również z głupoty. Powie mi pan, co takiego było w obłąkanym bełkocie tego karierowicza, Clavera, że zdołał tak panem dyrygować? Nie zdawałem sobie sprawy, że najpotężniejszy margrabia na północy wysyła ludzi, by zmiotali z powierzchni ziemi jego własne wioski jedynie na podstawie herezji świętoszkowatego chłopca!

To trafiło w czuły punkt. Westenholtz wyprostował się, nagle płonąć furia.

– Rzucać takie zuchwalstwo w twarz lepszych od siebie! Ten, którego ojciec zajął Wyżyny, powinien być mądrzejszy i nie pouczać margrabiego Imperium. Śmie pan tu przychodzić, podważać zasadność moich działań i grozić mi oskarżeniem? Powinienem kazać pana wychłostać! Wynoś się pan ze Strażnicy i wracaj do swoich słabowitych panów w Sovie! Zobaczysz wtedy, że świat się bardzo zmienił. Zapamiętaj moje słowa! Imperium nie potrzebuje już takich starych, zrzędlivych pustelników!

Zapadła śmiertelna cisza. W tej chwili skuliłam się tak bardzo, że byłam już niemal przy drzwiach. Byłam tak nieważna, że nie wiem, czy margrabia w ogóle zauważał moją obecność. Pomyślałam, że to dobrze jednak, że zamek był funkcjonujący i zamkowym gościom zabierano broń do przechowania. W innym przypadku byłam pewna, że Vonvalt spróbowałby powalić margrabiego. I pewnie by mu się to udało. Pomimo zamiłowania do ksiąg Vonvalt spędził swoje młode lata w wojsku, a Westenholtz co do jednego miał rację: jego reputacja, jeśli chodzi o władanie mieczem, często go wyprzedzała. Widziałam również, jak mierzył się z Bressingerem i jakkolwiek byłam niedoświadczona w kwestiach militarnych, wiedziałam, że nie chciałabym stanąć na drodze świszczącej stali w jego rękę.

– Ta sprawa się jeszcze nie skończyła – powiedział Vonvalt.

– Och, uważam ją jak najbardziej za zamkniętą – sprzeciwił się margrabia, lecz Vonvalt zdążył już odwrócić się na pięcie i wypaść z pokoju. Osłupiała podążyłam za nim.

Kiedy znaleźliśmy się poza zasięgiem słuchu kogokolwiek z apartamentu Westenholtza, zapytałam:

– I co teraz zrobisz? Przyznał się do złamania prawa.

– Nie przejmuj się tym, Heleno. Dopilnuję, by ten człowiek zawisł – odparł z wściekłością Vonvalt.

Ruszyliśmy prosto do komnat. Nasze ubrania czekały rozłożone, po tym jak je wcześniej uprano i przez noc wysuszono.

– Przynajmniej jedno potrafią zrobić tu porządnie – rzucił Vonvalt i gwałtownie zaczął upychać rzeczy w sakwie.

– Zaaresztujesz go? – zapytałam z łomoczącym sercem.

Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem takiej kłótni. W bitwie na słowa Vonvalt zazwyczaj miażdżył swoich przeciwników. Trudno było mi patrzeć, jak ktoś go zwycięża.

– Tak, ale nie teraz. Te cholerne pomruki o Magistracie w Sovie. Przepychanki o władzę to w Zakonie nic nowego, ale żeby człowiek, nawet tak potężny jak Westenholtz, mówił w ten sposób o Sędzim – żeby miał taką

śmiałość – oznacza, że coś jest nie tak. Muszę dowiedzieć się o najnowszych zmianach, i to szybko. A nie mogę tego zrobić, kiedy tkwimy tutaj, na końcu jakiegoś zadupia!

– „Mędrzec uzbiera się w wiedzę, dopiero potem w miecz” – zacytowałam.

Vonvalt spojrział na mnie i uśmiechnął się.

– Kane. Nigdy wcześniej nie wypowiedziano prawdziwszych słów. Chodź, przygotuj się. A potem przygotuj akt oskarżenia z odroczonym nakazem egzekucji.

– Dla margrabiego? – spytałam, czując nagłą suchość w ustach.

– Tak – odparł Vonvalt.

Ręce mi drżały, gdy wyciągnęłam arkusz czystego pergaminu.

– Jakie są zarzuty?

Na jego twarzy nagle pojawił się mrok.

– Morderstwo.

XI

Powrót do śledztwa

„Nawet oczy sokoła nie wychwycą wszystkiego”.

Stare sowańskie przysłowie

Nie mieliśmy dużo czasu. Razem z Vonvaltem przedyskutowaliśmy brzmienie aktu oskarżenia. Wiedziałam, że niektóre z informacji, które mi podał, pochodziły od zwłok sir Otmara i na tę myśl zadrżałam, niezdolna ukryć przerażenia.

Spisałam wszystko szybko, lecz nie nierozważnie. Akt oskarżenia niekoniecznie był długim dokumentem, lecz musiał być przygotowany właściwie i szczegółowo, i sprostać wszelkim formalnym wymaganiom. Tak było w przypadku wszystkich aktów, jednak najbardziej pilnowano tego w tych dotyczących najpoważniejszych przestępstw... tym bardziej gdy stawiane były jednemu z najpotężniejszych lordów Imperium. Mówiono, że w obliczu sowańskiego systemu prawnego wszyscy są równi, podobnie jak w obliczu śmierci, jednak przy tylu innych kwestiach rzeczywistość często zadawała kłam tej zasadzie.

Przez dwa lata, które spędziłam z Vonvaltem, napisałam wiele aktów oskarżenia, ale teraz musiałam się z całej siły koncentrować, by opanować drżenie rąk. Serce dudniło mi w piersi, a krew tętniła niespokojnie, gdy pisałam następujące słowa:

Jego Najwaspanialsza Wysokość Cesarz Lothar Kzosic IV, reprezentowany przez Sędziego sir Konrada Vonvalta z Zakonu Cesarskiego Magistratu, niniejszym oskarża margrabiego Waldemara Westenholtza o morderstwo lub do takowego podżeganie, lub jego zlecenie, sir Otmara Frosta, lady Karol Frost i pozostałych mieszkańców

wioski Rill w prowincji Tolsburg, w dniu nieokreślonym, lecz przypadającym w miesiącu Gossa.

Na mocy tych oskarżeń i w obliczu grożącej za nie kary margrabia Waldemar Westenholtz zostanie osądzony w później wyznaczonym terminie, a w przypadku uznania go winnym nie zostanie mu okazana łaska, prócz tej, która leży w prerogatywie samego cesarza.

Czy nie wydaje się to dziwne, że w ogóle fatygowaliśmy się spisaniem aktu oskarżenia? Biorąc pod uwagę krwawe i pozbawione prawa czasy, jakie miały niedługo nadejść, myśl o postępowaniu zgodnym z przyjętym procesem prawnym zdaje się absurdalna. Rzeczywiście, technicznie rzecz biorąc, nawet wtedy Vonvalt miał pełnomocnictwo, by natychmiast zgładzić Westenholtza; bądź co bądź mężczyzna się przyznał. Istniało jednak wiele powodów, dla których nie mógł tego zrobić. Westenholtz był potężnym lordem, mającym poparcie Patrycjusza Mlyanar i lojalność Savaranów. Zakon coraz bardziej stawał się ciałem politycznym i chociaż Vonvalt był gorliwy w swoich działaniach, nie był głupcem. Fakt, że nie podobało mu się coraz większe uwikłanie Magistratu w cesarską dyplomację, nie oznaczało, że był gotów to ignorować. Zabicie Westenholtza byłoby niczym wrzucenie podpalonej zapałki do beczki z oliwą.

Poza praktycznością były też inne względy. Konwencja prawna wymagała, by lordowie byli sądzeni przez ławy przysięgłych. Rzeczywiście, wraz z powiększaniem się granic Imperium coraz więcej ludzi zjeżdżało do miast, by zamieszkać w odległości jednego dnia jazdy od budynku sądu i oczekiwano, że w końcu wszyscy będą osądzeni przez ławę przysięgłych, a rola cesarskiego Magistratu jako reprezentanta sądu osłabnie. To już się działo; nasz dwuletni objazd przebiegał głównie przez miejscowości w głębi kraju i dotyczył rozwiązywania sporów między wieśniakami, podczas gdy działalność prawnicza kwitła w większych miastach.

– Dobrze – powiedział Vonvalt po przeczytaniu aktu. Dokument był przesycony tajemniczą mocą i emanował niemal namacalnym autorytetem. Zastanawiałam się, jaką zawarto w niej magię. – Bardzo dobrze, Heleno. Twój charakter pisma jest doskonały, wyraźny i czytelny.

Nałożył na pergamin trochę wosku i odcisnął w nim swoją pieczęć, po czym zwinął arkusz i go schował.

Spakowaliśmy resztę naszych rzeczy, przywdzialiśmy podróżne ubrania i szybko opuściliśmy komnaty. Ruszyliśmy drogą przez przechowalnię broni, skąd Vonvalt odebrał swój miecz, po czym wyszliśmy na dziedziniec, na rześkie zimowe powietrze. Wtedy naszą uwagę przyciągnęła duża grupa żołnierzy,

z których każdy miał na sobie charakterystyczną czarną opończę z wyhaftowaną savarańską gwiazdą. Wśród nich znajdował się nemański kapłan w brudnym purpurowym habicie. Właśnie wygłaszał kazanie, a zebrani żołnierze wsłuchiwali się w każde jego słowo.

Vonvalt gestem wskazał mi, byśmy szli dalej, i dopiero kilka minut później, kiedy dotarliśmy do stajni, zdecydował się odezwać.

– To zapewne ci nowicjusze Templariuszy, o których mówił przy śniadaniu tamten rycerz – powiedział kwaśno. – Dzieło Clavera.

Zaledwie po kilku minutach wspięliśmy się na konie i pośpiesznie skierowaliśmy do bram twierdzy.

– Co zamierzasz zrobić z aktem? – zapytałam, gdy jechaliśmy przez miasteczko, a potężny gmach twierdzy zniknął w porannej mgle.

– Nadam go z Baquiru – odpowiedział Vonvalt. – Chcę znaleźć się poza zasięgiem ludzi margrabiego – i tych Templariuszy – zanim wyślemy mu powiadomienie.

– Myślisz, że wyśle za nami swoich ludzi? – zapytałam, czując przebiegający po plecach dreszcz.

Miałam wrażenie, że przez całe życie patrzyłam na świat przez cienką zasłonę, którą teraz nagle ktoś odsunął na bok. To zdumiewające, jak kruche potrafią być nawet tak wielkie instytucje; jak szybko porządek świata potrafi obrócić się w chaos.

Na twarzy Vonvalta malowała się powaga.

– To, co się tutaj wydarzyło, wykracza poza zwyczajną bezczelność – powiedział. – Margrabia czy nie, nigdy by tak do mnie nie mówił, gdyby nie był przekonany o swojej pozycji. Jeśli popierają go zarówno Patrycjusze, jak i Templariusze, musimy być ostrożni.

– Czy w takim razie wysłanie aktu nie będzie niebezpieczne? – zapytałam. Teraz, kiedy byliśmy poza zasięgiem słuchu mieszkańców wioski, mówiłam już głośniej. – Czy nie wzbudzi on jego gniewu?

– Jest i wzbudzi – odparł. – Stąd to opóźnienie. Akt oskarżenia z odłożoną datą egzekucji będzie zaledwie kawałkiem papieru, dopóki nie powiem, że jest inaczej. Ale nie chcę, żeby ten człowiek wyrzucił mnie ze swoich myśli tylko dlatego, że stracił mnie z oczu.

– Ale czy po prostu go nie spali? Albo nie porwie?

– Oczywiście, że może to zrobić. Nadal jednak go oskarżyłem. Sam akt jest zaledwie formalnością. Moje słowo jako Sędziego wystarczy.

– A co z Claverem? Jego też oskarżysz?

Vonvalt prychnął.

– Znajdziemy Clavera, zapamiętaj moje słowa – rzucił mrocznym głosem. – A akt oskarżenia będzie najmniejszym z jego problemów.

* * *

Następnego ranka dotarliśmy do Baquiru, skąd Vonvalt wysłał akt przez grupę kurierską, po czym zwróciliśmy konie i ponownie skorzystaliśmy z podmiany zwierząt.

Podróż powrotna drogą Hauner była równie szybka i gorączkowa, jak poprzednio, jednak na szczęście bez nieoczekiwanych zdarzeń. Tym razem, kiedy dotarliśmy do Vasayi i odebraliśmy wierzchowca Vonvalta, zobaczyliśmy duży oddział Templariuszy, o którym opowiadał nam rycerz. Setki namiotów rozstawiono niecały kilometr od miasta, a powietrze było przesycone zapachem gotowanego jada i odgłosami odległych ćwiczeń wojskowych.

Vonvalt przyglądał się im z pogardą, jakby samym wzrokiem mógł je wszystkie podpalić. To, co wydarzyło się w Rill, mocno go dotknęło i wyraźnie wzburzyło jego myśli. Przez dwa lata, od chwili gdy go poznałam, na palcach jednej ręki mogłam zliczyć przypadki, gdy widziałam go wściekłego. Teraz funkcjonował w stanie permanentnego gniewu.

Odbiliśmy od punktu orientacyjnego i ruszyliśmy główną drogą. Dotarcie do Galen's Vale zajęło nam większą część popołudnia i dopiero o zmroku dojechaliśmy do Bramy Veldelin. Dostrzegłam, że zdjęto już festiwalowe dekoracje, i dopiero wtedy dotarło do mnie, że wkroczyliśmy w miesiąc Ebbe i imperialny Nowy Rok. To znaczyło, że nie było nas trzynaście dni i zrozumiałam, że Vonvalt chce jak najszybciej zakończyć sprawę Bauerów, byśmy mogli wyjechać z Vale. Oczywiście do tej pory przepaść pomiędzy tym, co Vonvalt chciał, by się wydarzyło, a tym, co rzeczywiście nastąpiło, stała się ogromna i do końca jego życia jej brzegi się nie zbiegły.

Chociaż nie powiedziałam nic Vonvaltowi, wielce ucieszył mnie widok wilgotnych, pokrytych mchem murów miasta. Czułam się tak, jakbym wracała do domu. To wiele mówi o mojej naiwności w tamtym czasie, kiedy moją głowę przepełniały myśli o ponownym spotkaniu z Matasem, jakby naszych zalotów nie przerwały żadne ważne wydarzenia.

Wjechaliśmy do miasta, które powoli układało się do snu. Byłam wykończona, lecz ku mojemu ogromnemu rozczarowaniu, zamiast skierować się w stronę rezydencji lorda Sautera i czekających tam ciepłych łóżek, ruszyliśmy do strażnicy, do biura szeryfa. Ku naszemu zaskoczeniu zastaliśmy tam Bressingera i sir Radomira, którzy kilka minut wcześniej przypadkiem sami

skądś wrócili. Obaj nadal byli uzbrojeni i odziani w oponcze, a twarze mieli zaczerwienione z zimna.

– Sędzio – powiedział Radomir zaskoczony, gdy zobaczył w progu Vonvalta.
– Wróciłeś.

– Napiję się trochę – odparł Vonvalt wskazując wino w dłoni szeryfa. – Helena też.

– Co się stało? – zapytał Bressinger.

– Po tym, jak wyglądacie, wnioskuję, że nie otrzymałeś oczekiwanych przeprosin – powiedział szeryf, aż nazbyt hojnie nalewając gorącego wina do dwóch kielichów.

Z wdzięcznością przyjął jeden z nich, po czym zdjęliśmy wierzchnią odzież i usadowiliśmy się przed biurkiem sir Radomira.

– Nie – odparł Vonvalt i opowiedział im o wydarzeniach w Rill.

– Na Neme – zaklął Bressinger. – Z dnia na dzień sytuacja coraz bardziej się pogarsza.

– W rzeczy samej – westchnął Vonvalt. Dopił wino, na co sir Radomir uzupełnił jego kielich. – Westenholtza ani trochę nie obchodzi, że postąpił wbrew cesarzowi. Jeśli już, to raczej pławił się w swojej bezczelności. Najbardziej martwi mnie jego odporność na Głos Cesarza.

– A czym dokładnie jest ten Głos? – zapytał sir Radomir, przeskakując spojrzeniem między mężczyznami. – Jakąś sztuczką? Czy może pewnego rodzaju magią?

– To magia, bez żadnych wątpliwości – odparł Vonvalt. – Moc, która zaklina człowieka, by ujawnił swoje prawdziwe myśli. Jak mówiłem już wcześniej, nie działa w każdych okolicznościach ani na wszystkich ludzi... ale na niego powinna. Z tego, co wiem, lord Westenholtz nie odbył żadnego szkolenia ze strony Zakonu... Chociaż po przeczytaniu listu od Sędzi August nie jestem już tego taki pewny.

– Trzeba człowieka o wyjątkowym charakterze, by się mu oprzeć – zauważył sir Radomir. – Ja sam nie jestem owieczką, ale, na Neme, miałem wrażenie, że uderzył we mnie szarżujący byk.

– I jesteś pewien, że to Westenholtz nakazał zabicie mieszkańców wioski? – zapytał Bressinger.

Musiałam mocno się koncentrować, by zrozumieć jego słowa. Kiedy był zmęczony, jego grozodański akcent stawał się silniejszy.

– Sam mi to powiedział.

– Strażnica Morska zawsze była surowym miejscem – powiedział ponuro sir Radomir. – Ale rzadko się zdarza podnoszenie miecza na własnych poddanych. Margrabia musi być bardzo pobożnym człowiekiem.

– Aż do bólu – odparł Vonvalt. – Gwarantuję, że Claver powiedział to, co ten chciał usłyszeć, nim zdecydował się posłać oddziały na południe. – Westchnął. – Skoro o tym mowa, widzieliśmy tam też Templariuszy. Jakichś trzydziestu, z gwiazdami na piersiach. I jeszcze więcej w Vasayi. Tam były ich setki.

– Przeklęty los – mruknął sir Radomir. – W zeszłym tygodniu mieliśmy tutaj to samo. Nemańscy księża z Guelich wystąpili o wojaków na Granicę. Sauter powiedział, że puści każdego w służbie miasta, kto zechce pojechać. Wyjechało w sumie około stu. Dla biednych to prosty wybór.

– W takim razie będą czekać na ludzi margrabiego – powiedział Vonvalt. – Vasaya stanie się dla nich bazą wypadową.

– Właściwie to sędzę, że czekają na Clavera – odparł sir Radomir. – Ostatnie, co słyszałem, to to, że zbliżał się do Roundstone, daleko na wschodzie, by prosić o wsparcie barona Naumova. To kolejny z naszych lordów, który słynie z bogobojności. Jednak tę informację trudno nazwać świeżą.

– Jeśli Claver planuje udać się na południe z tymi Templariuszami, zatrzymam całą kompanię, dopóki się go z niej nie pozbędę, gwarantuję to wam – powiedział Vonvalt. – Na Neme, to głupie przedsięwzięcie.

Rozmowa zaczęła płynąć jakby obok mnie. Serce dudniło mi w piersi. Czy Matas wyjechał? Opuściłam miasto niemal dwa tygodnie temu, w środku nocy, bez jednego słowa. Czyżby pomyślał, że straciłam nim zainteresowanie i uciekłam?

– Tutaj, w Vale, nie słyszeliśmy nic o rzeczach, o których właśnie pan wspomniał – powiedział sir Radomir. – O Mlyanarach i innych, którzy wykonują różne posunięcia w Senacie.

– Nie – odparł Vonvalt. – Ale jesteśmy tu setki kilometrów od stolicy. Wieści roznoszą się powoli, szczególnie jeśli stojący u ich źródła tego właśnie chcą. – Milczał przez chwilę, zapalając fajkę. Wkrótce pokój wypełniły znajoma mgła i woń tytoniu. – A jak wasze postępy? – Wskazał sterty grubych, oprawionych w skórę rejestrów, które pojawiły się w biurze od czasu jego ostatniej wizyty. Tomiska były zakurzone, wytarte i pachniały wilgocią. – To coś nowego.

– W ostatnim tygodniu odkryliśmy kilka znaczących rzeczy – powiedział sir Radomir.

W jego głosie słychać było nie tyle zadowolenie, ile profesjonalną satysfakcję. Kiedy było już po wszystkim, przyszło mi do głowy, że nawet jeśli zagadka została rozwiązana, sir Radomir należał ludzi, którzy uważali, że zawiedli jako stróże prawa już w chwili śmierci lady Bauer.

– Ach tak?

– Lista radnych, o którą prosiłeś – powiedział Bressinger. – Burmistrz Sauter nam ją dostarczył.

– W końcu – warknął sir Radomir.

– Mhm – zgodził się z nim Bressinger. – Okazuje się, że lord Bauer może być bardziej zaangażowany w rządzenie Vale, niż chce ujawnić.

– Chodzi o te „pomniejsze obowiązki”, o których wspominał? – zapytał Vonvalt.

– O tak – odpowiedział z zadowoleniem sir Radomir. – Jest odpowiedzialny za księgi rachunkowe miasta. Wszystkie rachunki skarbowe Vale i wpływające z budżetu pieniądze.

Vonvalt szeroko otworzył oczy.

– No proszę – powiedział cicho.

– Właśnie – przytaknął sir Radomir. – Ma też pomoc. Szemranego człowieka, który zwie się Fenland Graves.

– To dziwne nazwisko – zauważył Vonvalt.

– Nie pochodzi z Vale – wyjaśnił sir Radomir.

– Rozumiem, że to Graves wykonuje całą pracę przy obsłudze rachunków? – zapytał Vonvalt i zaciągnął się fajką.

– Tak jest – przytaknął Bressinger. – Pod nadzorem...

– ...i kierunkiem...

– ...lorda Bauera.

– Lord Bauer kontroluje, dokąd trafiają miejskie pieniądze? – zapytał Vonvalt, unosząc brwi.

– Tak – potwierdził sir Radomir. – Ale jest coś jeszcze.

– Pamiętasz, jak Bauer mówił, że zajmuje się organizacją działań charytatywnych w mieście? – zapytał Bressinger.

– Tak, z wpływających podatków – potwierdził Vonvalt.

– Cóż... – Sir Radomir wskazał rejestry. – Znaleźliśmy dowód na regularne...

– ...i znaczące...

– ...wypłaty na rzecz klasztoru – dokończył sir Radomir. – Na Neme, trzeba było wielu nocy i zmęczonych oczu, by odkryć ten klejnot.

Vonvalt przez chwilę palił fajkę, po czym wyjął ją z ust i wypuścił z płuc dużą chmurę dymu.

– Istnieje jakieś powiązanie? – zapytał. Sam oczywiście natychmiast je dostrzegł, jednak nie chciał gasić zapалу szeryfa.

– Tak – powiedział sir Radomir. – Dzięki pracy Heleny jest ich teraz na pęczki. – Pomimo wyczerpania poczułam przypływ dumy. – Chodzi tu o czas. Zoran Vogt złożył skargę przeciwko Leberechtowi Bauerowi nieco ponad dwa lata temu. Potem ją wycofał. Niedługo później córka Bauera wstąpiła do klasztoru i od tamtej pory nie widziano jej w mieście. Lord Bauer stwierdził, że

nie pokazywała się z rozpaczy po zmarłym bracie, chociaż, nawet biorąc to pod uwagę, jej działanie wyglądało na nagłe i nieoczekiwane. – Wskazał leżące dookoła tuziny rejestrów. – Odkryliśmy, że od tamtej pory regularnie przekazywano do klasztoru duże sumy pieniędzy. Już rozumiecie?

Jako że sir Radomir patrzył na mnie, gdy skończył, to ja mu odpowiedziałam.

– Sanja Bauer jest zakładniczką. Lord Bauer jest szantażowany przez kogoś w klasztorze i płaci, by utrzymać ją przy życiu.

Sir Radomir kiwnął głową, a na jego twarzy pojawił się wyraz ponurej satysfakcji.

– Trzy dni temu złożyliśmy wizytę w klasztorze, ale zaczęli wciskać nam kit o tym, że dziewczyna jest chora, chociaż wiedzieli, że miejskie regulacje są bardzo rygorystyczne, jeśli chodzi o zarazę. Obiecaliśmy wrócić, kiedy poczuje się lepiej. To jednak tylko podsycą płomień podejrzeń.

– I wyjaśnia też, dlaczego Bauer tak szybko wycofał skargę – dodał Vonvalt.

– I dlaczego tak szybko odwołał swoje oskarżenie wobec Vogta po zabójstwie żony.

– Mówił w emocjach, bez namysłu, a potem przypomniał sobie, że na szali leży życie jego ukochanej córki.

– To jedyne wyjaśnienie, które tu pasuje. Jego żona zostaje zamordowana, obwinia za to Vogta – a mówię ci, Sędzio, ten człowiek był w tej kwestii kategoryczny – by potem, niemal jednym tchem, wycofać się ze swoich oskarżeń. Gwarantuję, że usłyszał kilka ostrych słów od pośrednika i został ustawiony do pionu.

Vonvalt przez chwilę nad tym myślał.

– Doskonała robota – powiedział w końcu. – Was obu. Właśnie coś takiego miałem nadzieję znaleźć.

– Nie odkrylibyśmy tego bez twoich wskazówek, panie – odparł sir Radomir w – jak miałam wrażenie – rzadkim dla siebie wyznaniu.

– Jedno mnie zastanawia – powiedziałam, przyciągając uwagę mężczyzn. – Po co wpisywać to do oficjalnych ksiąg? Chodzi mi o pieniądze na okup. Dlaczego ktoś miałby w ogóle zostawiać jakiś ślad?

– To sovańska natura prowadzenia rachunków – odpowiedział mi sir Radomir. – Wpływy i wydatki muszą się zgadzać. Bauer zarządza rachunkami, ale każdy dowolny lord może je sprawdzić. Nie może sobie pozwolić na pominięcie tych wpisów; może je jedynie ukryć i mieć nadzieję, że nikt nie będzie czuł potrzeby zbytnio przyglądać się liczbom. A w tym mieście złoto płynie równie szerokim strumieniem, jak woda. Założę się, że niewielu fatygowało się, by cokolwiek sprawdzać, kiedy ich kieszenie są jego pełne.

Vonvalt wstał, a na jego twarzy pojawiło się zadowolenie.

– To aż nazbyt wystarczy, by wykorzystać Głos Cesarza na maksymalnym poziomie. Dzisiaj wydobędę prawdę z Bauera i Vogta, i jest bardziej prawdopodobne niż mniej, że mózgi wypłyną im przez nosy. Gdzie oni są?

W jednej chwili miny obu mężczyzn zrzedły.

– To złe wieści – powiedział sir Radomir.

– Właśnie wróciliśmy z dwudniowej podróży na zachód, do cesarskiego fortu w Gormogon – powiedział Bressinger ze zmęczeniem i wykonał niewielki grozodański gest, dmuchając w palce, po czym rozkładając je, jakby były płatkami rozkwitającego kwiatu. – Bauer zniknął. Uciekł.

– A Vogta w ogóle tu nie było – dodał sir Radomir. – Według Gildii Kupieckiej jakiś czas temu wyruszył w misję handlową. Zapewne spieprzył w chwili, kiedy tylko przyjechaliście. Ta drobna plotka ma już kilka tygodni, ale nadal budzi mój gniew.

Vonvalt westchnął, nagle tracąc zapał, i ponownie usiadł.

– To... wielka szkoda – powiedział, starając się zapanować nad irytacją. – Miałem nadzieję z tym dzisiaj skończyć.

– Jak i my wszyscy, Sędzio – rzucił z wyrzutem sir Radomir.

Vonvalt podniósł na niego wzrok.

– Proszę nie brać tego do siebie, sir Radomirze. Nie krytykuję pana urzędu. Musimy zagrać takimi kartami, jakie nam dano.

– Graves, człowiek Bauera, ostatnio sam powrócił z jakiejś wyprawy, zapewne z Roundstone – powiedział Bressinger. – Nie mieliśmy jeszcze czasu, by go przesłuchać, ale może dostarczyć nam kilku informacji.

– To lepsze niż nic – odparł Vonvalt. – Chociaż, skoro Bauer i Vogt zniknęli, będziemy musieli być ostrożni, zbliżając się do niego. Prawdopodobnie został ostrzeżony.

– A jego umysł będzie przygotowany na Głos – dodał Bressinger.

– Zgadza się – mruknął Vonvalt. Rozmyślał nad tym przez chwilę, a myśli w jego głowie wirowały niczym trybiki w świątynnym zegarze. – W takim razie załóżmy, że córka Bauerów jest zakładniczką. To mówi nam dwie rzeczy: że Zoran Vogt jest rzeczywiście powiązany ze śmiercią lady Bauer, chociaż nie bezpośrednio, i że ktoś tam... – wskazał w kierunku klasztoru – ...również jest w nią zamieszany. Powiedz mi, szeryfie: czy są jakieś podejrzone osoby, które działają w obrębie miasta?

Sir Radomir wzruszył ramionami.

– Osobiście nic mi na ten temat nie wiadomo. Oczywiście otrzymujemy zwyczajowe skargi.

– Ach tak?

– Różnego rodzaju nadużycia. Mieszane środowisko domowe mężczyzn, kobiet i dzieci prowadzi do lubieżnych zachowań. Kilka lat temu powiesiliśmy pewnego mężczyznę za molestowanie. Do tego obcięliśmy mu kutasa. Niekoniecznie w tej kolejności.

– Ale nic według ciebie nie wskazuje na finansowe nieprawidłowości?

Sir Radomir ponownie wzruszył ramionami.

– Vale tonie w pieniądzach, Sędzio. Jest tutaj mnóstwo legalnych sposobów na popisanie się ekstrawagancją. Dlatego te nielegalne przypadki trudniej jest dostrzec. Jak już powiedziałem, dopiero po tym, jak Bressinger zauważył regularne wypłaty na rzecz klasztoru, zacząłem o tym myśleć. Jednak nawet wtedy mnie to nie zaniepokoiło, przynajmniej nie od razu. Lord Sauter jest bardzo hojny, jeśli chodzi o cele charytatywne. Gdyby Helena nie powiązała konkretnego czasu poszczególnych zdarzeń, mógłbym dwa razy się nad tym nie zastanowić.

Vonvalt pomasaował się po brodzie.

– Na co wydaje się pieniądze z podatków przeznaczone dla klasztoru?

– Na przytułek dla biednych. Naprawy świątyni i samego klasztoru. Jest tam dobrze wyposażona lecznica i hospicjum. Pensje misjonarzy na Granicy. Zbrojenie wszystkich tych nowych Templariuszy, biedaki jedne. Sądzę też, że trzymają zapasy żywności w kryptach pod klasztorem, na przykład na wypadek słabych zbiorów.

– Obawiam się, że będziemy musieli dokonać pewnych matematycznych wyliczeń – powiedział Vonvalt. – Trzeba sprawdzić, ile dokładnie pieniędzy jest tam wysyłanych. Biorąc pod uwagę duże sumy, jest mało prawdopodobne, by w to było zamieszanych tylko dwóch ludzi.

Sir Radomir upił spory łyk wina.

– Na Neme – warknął. – To ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba. Cholerny spisek.

– Jednak, podobnie jak w trójkątnej formacji kawalerii, szeryfie, na jego czele będzie stał zaledwie jeden człowiek – odparł Vonvalt. – Z pewnością lord Bauer pozostaje podejrzany, chociaż jego udział wydaje się jakby wbrew jego woli. A teraz mamy pewność co do Vogta. Ale musi być ktoś jeszcze... ktoś, kto działa z klasztoru. Z kim rozmawialiście, kiedy tam pojechaliście?

– Z kimś bez znaczenia. Dziwnym starym łajdakiem o imieniu Walter. Obenpatrion Fischer kieruje całym klasztorem, ale nie poświęcił nam zbyt dużo uwagi. Przez prawo kanoniczne są strasznie zapatrzeni w siebie – dodał. – Uważają, że są ponad to, jeśli chodzi o kontakty z kimś takim jak ja.

Vonvalt cmoknął.

– Za to zdecydowanie nie są ponad kontaktami ze mną. Jednak... – westchnął ze złością – ...będziemy musieli się zastanowić, jak obejść i tą trudną kwestię. To prawda, że prawo kanoniczne daje im nietykalność, jeśli chodzi o pewne aspekty mojego urzędu. Zalecana jest tu ostrożność. Zobaczymy, jak mi pójdzie z Gravesem.

Zapadła cisza i przez chwilę wszyscy siedzieliśmy w milczeniu. Odpowiedzi jeszcze nigdy nie były tak blisko, a jednocześnie tak bardzo poza naszym zasięgiem.

– Moment – powiedziałam nagle, na co mężczyźni spojrzeli na mnie pytająco. Zatopiłam się w rozmyślaniach, kolejny raz analizując czas poszczególnych zdarzeń. – Mówi się, że Sanja Bauer przywdziała habit z powodu śmierci brata. A kiedy rozmawialiśmy z lordem Bauerem, ten powiedział, że chłopiec zmarł na ospę.

– Tak – potwierdził sir Radomir.

– Cóż... a co, jeśli tak nie było? Co, jeśli coś innego było powodem jego śmierci?

– Masz na myśli to, że chłopiec mógł zostać zamordowany? – zapytał Vonvalt.

– Jeśli tak było, to zadałoby kłam zeznaniom lorda Bauera co do przyczyny zgonu jego syna – powiedziałam.

– I stanowiłoby dowód, że kłamał – dodał Vonvalt.

– I dodałoby kolejne morderstwo listy – uzupełnił sir Radomir. – To byłby dla nas przydatny argument.

– Na Neme, Heleno, to dobra myśl – powiedział Vonvalt. – Chłopak mógł zostać zabity. Ospa zniknęłaby wraz z rozkładem ciała, lecz, tak jak w przypadku zwłok lady Bauer, jego kości powiedziałyby nam, czy umarł od uderzenia. To byłby kolejny filar dla podparcia naszych teorii.

Bressinger był wyraźnie niezadowolony.

– To niezbyt szczęśliwa perspektywa – powiedział. – I z pewnością nic takiego, czym musielibyśmy już teraz się zajmować. Niech chłopak spoczywa w pokoju, bez względu na to, jak zginął.

Jednakże Vonvalt był zbyt skupiony, by zwracać teraz uwagę na kogokolwiek z nas.

– Mamy plan działania – powiedział, jakby Bressinger w ogóle się nie odezwał. – Znaleźć i przesłuchać Gravesa, i wysłać gończych, by znaleźli Vogta i Bauera.

– Zapewne są już daleko stąd – zauważył ponuro sir Radomir, po czym długo i głośno ziewnął. – Na Neme, ale jestem zmęczony. Bogowie tylko wiedzą, jak wy dwoje się trzymacie.

Nie trzeba mi było przypominać, jak bardzo byłam wyczerpana. Ziewnięcie sir Radomira pobudziło do ziewania i mnie, a zaraz potem Bressingera.

– Pomyślę, jak podejść klasztor – powiedział Vonvalt zirytowany zbiorowym pokazem zmęczenia. – To najwyraźniej tam jest siedlisko całego spisku. A w celu zmaksymalizowania naszego wpływu być może trzeba będzie skorzystać z pewnego rodzaju... podstępu. – Mówiąc to, spojrział na mnie. – Czy prawdopodobne jest, że ten człowiek, Graves, również ucieknie?

Sir Radomir pokręcił głową.

– Kazałem kilku strażnikom mieć oko na jego dom. – Stłumił kolejne ziewnięcie. – W każdym razie zaraz mamy zamknąć bramy miasta na czas godziny policyjnej. Facet zostanie tu do rana.

Vonvalt wstał, a my za nim.

– W porządku – powiedział. – W takim razie wszyscy do łóżek. Jutro zobaczymy, co Graves ma nam do powiedzenia.

XII

Konfrontacja na drodze Hauner

„Sędzia nigdy nie powinien stracić kontroli nad sytuacją. Nigdy nie powinien wchodzić do miejsca, jeśli nie zna lokalizacji wyjścia, jak i nie zadawać pytań, na które nie zna odpowiedzi”.

Mistrz Karl Rothsinger

Vonvalt obudził nas bladym świtem, bezceremonialnie waląc pięścią w drzwi naszej sypialni.

– Wstawać, oboje! Nie mamy czasu do stracenia! – zawołał, po czym usłyszeliśmy, jak jego kroki oddalają się w głąb korytarza i rozbrzmiewają na schodach.

– Na Neme – mruknął Bressinger, gramoląc się z łóżka. – Robię się na to za stary.

Rozsunął zasłony i w jednej chwili szare światło dnia zalało komnatę. Słońce widniało tuż nad horyzontem, a powietrze przepełniała zimna mżawka. Nastął kolejny ponury dzień w Vale, jednak taki, na który czekaliśmy ze zniecierpliwieniem. Jeśli przesłuchanie Gravesa okaże się owocne, do zmroku cała sprawa będzie mogła zostać zamknięta.

Z ogromnym trudem dźwignęłam się z łóżka. Moje nogi i plecy płonęły bólem po tygodniu jazdy na zimnie. Bressinger chwycił ubranie i wyszedł przebrać się do pomieszczenia obok, a ja włożyłam suknię i przeciągnęłam grzebieniem po włosach.

Spotkaliśmy się z Vonvaltem w jadalni. Służba lorda Sautera ponownie zastawiła stół sutym śniadaniem, nałapałam więc sobie sporą porcję ale i poczęstowałam się kawałkiem gorącego mięsnego placka.

– Nie będę się cackał z tym człowiekiem, Gravesem – powiedział Vonvalt z pełnymi ustami. – Pojedziemy do niego zaraz po śniadaniu.

– A co z klasztorem? – zapytał Bressinger. – Masz już jakiś plan działania?

Vonvalt pochylił głowę. Miał właśnie coś powiedzieć, kiedy głośnie walenie do drzwi przyciągnęło uwagę wszystkich. Po zwyczajnej, stłumionej wymianie zdań, trzaśnięciu drzwi i odgłosach zrzucanych butów, drzwi do hallu otworzyły się gwałtownie i stanął w nich zdenerwowany sir Radomir.

– Ten wasz człowiek, Claver – powiedział bez tchu. – Wrócił i porusza się na południe drogą Hauner, razem z grupą Templariuszy z Vasayi.

Vonvalt natychmiast wstał.

– Jak daleko stąd? – zapytał.

– Piętnaście, może dwadzieścia kilometrów na południe. Musieli minąć nas w nocy.

– Nasze konie!

– Już wydałem rozkaz, by je przygotować – powiedział sir Radomir.

Mówił do pleców Vonvalta, który w jednej chwili wypadł z pokoju.

Serce dudniło mi w piersi, gdy wszyscy ruszyliśmy za nim z rezydencji lorda Sautera, zatrzymując się tylko, by chwycić nasze płaszcze. Kilka minut później siedzieliśmy już na grzbietach koni i gnaliśmy ulicami Vale, a Vonvalt wykrzykiwał do zaskoczonych przechodniów, by zeszli z drogi. Za nami jechał sir Radomir z grupą miejskich strażników.

Wypadliśmy przez Bramę Veldelin i ruszyliśmy prosto na południe, w stronę drogi Hauner. Nasze konie rozpryskiwały błoto i trawę, uderzając kopytami w miękkoną przez deszcz darń. Poranna pogoda nie dawała śladu poprawy i nasze ubrania szybko przemokły. Po kilku minutach musieliśmy zwolnić do umiarkowanego galopu. Miałam wrażenie, że tempo jest zbyt powolne i sprzeczne z intuicją, lecz konie mogły cwałować zaledwie kilka kilometrów, nim się zmęczyły.

Po kilku godzinach jazdy dogoniliśmy grupę Clavera. Była to powolna karawana setek ludzi, koni i wozów. Wszyscy mieli na sobie czarne tuniki savarańskich Templariuszy z wydatnymi gwiazdami na piersiach. Niektórzy z nich byli lordami, siedzącymi na grzbietach kosztownych bojowych rumaków, a ich podwładni prowadzili konie i wozy wypakowane skrzyniami. Pozostali byli rycerzami. Niektórzy jechali wierzchem, dzierżąc lance i tarcze, jednak większość szła piechotą, niosąc zaledwie tobołki i miecze. Byli między nimi rozsiani odziani w purpurowe sutanny nemańscy kapłani, trzymający wywieszane na długich tyczkach wyznanie Nemy, przyozdobione proporcami lub mosiężnymi ornamentami.

Jechaliśmy równolegle do Hauner. Teren był trudniejszy, szczególnie dlatego, że deszcz zmienił pobocze w kleiste błoto, a podróżni chcieli uniknąć jadących

Templariuszy. Jednak i tak ta droga była szybsza niż przedzieranie się przez setki ludzi i ich ładunek.

Karawana ciągnęła się przez ponad półtora kilometra. Kiedy ją mijaliśmy, zaczęliśmy przyciągać uwagę. Żołnierze popatrywali na nas i milkli. Szepty i pomruki docierały do nas niczym łagodna bryza. Biorąc pod uwagę nasze doświadczenie z Westenholtzem i fakt, że część wojaków to zapewne jego poddani, nie czerpałam zbyt dużego pocieszenia z ochrony, jaką miała nam zapewniać pozycja Vonvalta.

Claver podróżował z nieszczerą skromnością i wyglądał zupełnie inaczej, niż kiedy jechał z nami wiele tygodni wcześniej. Szedł z ogoloną głową i boso, niczym pokutnik, a jego purpurowe szaty wyglądały na zszargane. Nie czytał Wyznania, nie napominał innych ani nie śpiewał; po prostu szedł w milczeniu, podczas gdy lordowie służalczo tłoczyli się, by być blisko niego. Byłam ciekawa, co się stało z jego koniem.

– Patronie! – zawołał Vonvalt, gdy do niego podjechaliśmy. – Zebrałeś całkiem sporą świtę.

Claver uśmiechnął się, jakby spodziewał się, że go dogonimy. Zastanowiłam się, czy celowo minęli Galen's Vale nocą, by uniknąć konfrontacji. Otaczający go mężczyźni spojrzeli na nas z niechęcią.

– Sir Konradzie – powiedział Claver, zawierając w tych dwóch słowach dużą dozę protekcjonalności.

Chociaż nie minęło dużo czasu, odkąd widzieliśmy go po raz ostatni, wydawał się starszy i dużo bardziej władczy. Nie był tak pobudzony i egzaltowany jak wcześniej. Przed nami stał człowiek o trudnych do uchwycenia cechach, które nabywa się jedynie przez protekcję bardzo wpływowych ludzi.

– Powiedz mi, patronie... czy w tym tłumie są ludzie, którzy wymordowali mieszkańców Rill? Oszczędziłoby mi mnóstwo czasu, gdybym mógł ich powiesić za jednym zamachem.

Musiałam z całej siły się powstrzymać, by nie otworzyć ze zdumienia ust. Spojrzałam na Bressingera, który zdołał zachować godną podziwu obojętność. Sir Radomirowi jednakże nie udało się ukryć zaskoczenia.

Claver ponownie wygiął usta w protekcjonalnym uśmiechu, a mężczyźni wokół niego żywo dali wyraz swojemu oburzeniu. Vonvalt przyjął to w sposób, w jaki klif przyjąłby uderzenie fali. Templariusze nie zrobili nic ponad publiczne wyrażenie afrontu i stało się jasne, że jakkolwiek polityczny przewrót nastąpił w Sovie, idea posunięcia się dalej i wyciągnięcia ostrza przeciwko Sędziemu nadal pozostawała tabu.

Gdyby tylko mogło tak zostać.

– Ta świta zmierza na południe, w stronę ziem niewierzących, by poprowadzić tam prawą krucjatę – odparł Claver, kiedy wrzawa ucichła. Mówił tak, jakby Vonvalt był dzieckiem, które tolerował z dobroduszną łagodnością. Wskazał nowo mianowanych Templariuszy. – Sam pan widzi, że noszą białą gwiazdę Savara, Boga Ojca. Ich poddania powszechnemu prawu już nie ma. Ich ciała są ruchomym majątkiem Kościoła. A tam nie ma pan żadnego autorytetu, sir Konradzie.

– Nikt nie stoi ponad prawem – powiedział Vonvalt. – Jeśli twoi sługusi są przekonani, że są poza zasięgiem mojego miecza, niech się przyznają. Zgodnie z twoimi własnymi słowami nie można ich skrzywdzić. Nazwij to testem wiary.

Nikt się nie odezwał. Karawana zatrzymała się przy Claverze i tłum ludzi zaczął powoli gromadzić się za nimi. Nigdy wcześniej nie czułam na sobie tak ogromnej uwagi.

Vonvalt odwrócił się do zebranych i podniósł głos.

– Kto tutaj przybył ze Srażnicy Morskiej? Kto z was podłożył ogień pod Rill? W imię cesarza Kzosica IV oskarżam was o morderstwo. Jeśli się przyznacie, stracie głowy tu i teraz. – Odwrócił się i wskazał Clavera. – Patrion Claver zapewnia, że jesteście ponad powszechnym prawem, i nie mogę nic takiego zrobić. Jeśli bardziej ufacie słowom kapłana niż moim, odezwiście się! Przyznajcie! Nie macie nic do stracenia!

Nigdy nie sądziłam, że na drodze Hauner, jednej z największych w Imperium, po której codziennie poruszało się tysiące ludzi, może zapanować taka cisza. W tej chwili mogliśmy jednak równie dobrze stać na cmentarzu. Przed nami stał tłum setek żołnierzy, pełnych szlachetnego zapału i bez wątplenia przepełnionych poczuciem niezwykłego, jakie towarzyszy byciu częścią tłumu, których zatrzymał jeden Sędzia. Nawet wyniosli lordowie ze swoimi kosztownymi zbrojami i mieczami nie mieli śmiałości się odezwać. Może i byli ludźmi Westenholtza, lecz nie dzielili niedbałej arogancji swojego pana.

– Ci ludzie powierzyli swoje życie Bogu Ojcu – powiedział Claver donośnie, a maska opadła mu z twarzy. W jego słowach dostrzegłam gniew i strach. – Są zdyscyplinowani. Nie zaangażują się w te głupie gierki.

Vonvalt go zignorował.

– Zaręczam, że jest tutaj człowiek, który dopuścił się tego czynu. Powtórzę jeszcze raz! W imię cesarza, oskarżam każdego, kto spalił mieszkańców Rill, o morderstwo! Niech każdy, kto nie zgadza się z zarzutami, wystąpi w swojej obronie!

– To nie jest morderstwo, jeśli są poganami! – zawołał ktoś z tłumu.

Serce załomotało mi w piersi. Miałam nadzieję, że nikt nie będzie na tyle głupi, by się odezwać. Vonvalt z pewnością wierzył, że żaden człowiek nie stał ponad prawem, ale nawet ja wiedziałam, że Claver miał rację – tutaj władzę miało prawo kanoniczne. Ci mężczyźni należeli do Kościoła. Była to jedna z nisz, która stawiała człowieka poza zasięgiem długiej ręki cesarza. Jednak taka nietykalność często wiązała się z uciążliwymi obowiązkami, jak na przykład wstąpienie do jednego z nemańskich zakonów wojskowych na niemałą liczbę lat, które nie były lekko oddawane.

– Kto to powiedział?! – zawołał Vonvalt. Widziałam malującą się na jego twarzy furię. Skrzydełka jego nosa poruszały się i oddychał gwałtownie z drżeniem. – Kto to powiedział?!

Nieco bardziej z tyłu tłum nieznacznie się rozstał. Jeden z rycerzy zeskoczył z konia i ruszył w naszą stronę. Był ciężkiej budowy i miał brzydką, okrutną twarz. Ze wszystkich typów ludzi, którzy wstąpili do savarańskich Templariuszy, wyglądał dla mnie na takiego, który po prostu lubił zabijać i nie znalazł lepszego legalnego sposobu, by to robić.

– Sir Konradzie, skończmy tę farsę! – zawołał Claver ze zniecierpliwieniem. – Nie może pan skrzywdzić tego człowieka. Podlega prawu kanonicznemu.

– *Jakie zbrodnie popełniłeś w Rill?* – zapytał mężczyznę Vonvalt.

Głos Cesarza. W jednej chwili jakby niebo rozdarł grzmot. Idiota zatoczył się, jakby właśnie ktoś uderzył go w nos. Od razu dostrzegłam, że był wyjątkowo podatny na Głos, bez najmniejszego treningu czy nawet rozumu, by jakkolwiek mu się oprzeć.

– Zgwałciłem jedną z kobiet, a potem spaliłem ją żywcem! P-próbowałem zabić też jej dzieci, ale uciekły! – wrzasnął mężczyzna.

Wśród zebranych poniosł się pełen przerażenia szmer. Łatwo było zakładać, że wszyscy byli tacy sami jak Claver – tłum w większości złych ludzi, tylko szukających okazji, by grabić i zabijać pod pretekstem prawości. Ale oczywiście wielu Templariuszy było pobożnych i przyzwoitych, choć wprowadzonych w błąd i nie chciało dotrzymywać towarzystwa gwałcicielowi i mordercy.

Ludzie wokół mężczyzny cofnęli się, gdy Vonvalt i Bressinger zsiadli z koni – pierwszy z wściekłością w sercu, drugi zaś z niechętnym poczuciem obowiązku.

– Sir Konradzie! – krzyknął Claver. – Ostrzegałem pana!

– Stul pysk! – rzucił sir Radomir.

Vonvalt wyciągnął miecz z pochwy. Nawet na chwilę nie zwolnił kroku. Rycerz przed nim zachwiał się, usłyszawszy Głos, lecz i tak obnażył ostrze.

– Przyznałeś się do zbrodni gwałtu i morderstwa – powiedział Vonvalt. – W imieniu jego Najwspanialszej Mości cesarza Kzosica IV, ja, sędzia sir Konrad

Vonvalt, uznaję cię za winnego i skazuję na śmierć przez ścięcie.

Bressinger szybkim krokiem podążył za Vonvaltem, z dłonią na rękojeści miecza. Rycerz przed nimi zatoczył się, ślizgając się na pokrytym błotem bruku drogi Hauner.

– Pomóżcie! – zawołał do towarzyszy, ci jednak cofnęli się jeszcze bardziej, jakby Vonvalt stanął w centrum jakiejś niewidzialnej bariery.

Niektórzy rozumieli, że zasługiwał na śmierć, nawet jeśli nie wierzyli w autorytet Vonvalta. Inni bali się po prostu, że zostaną ranni lub sami zginą, jeśli zainterweniują. Większość jednak nie wierzyła, że Claver miał rację co do ich nietykalności. Tak czy inaczej, wszyscy byli przerażeni. Żałowałam, że za pomocą tuszu i papieru nie mogłam uwiecznić wspaniałej postawy, jaką prezentował teraz Vonvalt. Był ucieleśnieniem władzy, pełnym gniewu bogiem, równie niepowstrzymanym, jak wschodzące słońce.

– Poczekaj! – zawołał rycerz. – Poczekaj!

Vonvalt nie poczekał. Rycerz rzucił się do przodu. Vonvalt z zaskakującą łatwością sparował jego cios i szybko odsunął się na bok. Machnął mieczem trzy razy: pierwszym ruchem odciął w nadgarstku dzierżącą miecz dłoń; drugim wyznaczył sobie czysty kąt do karku mężczyzny; trzecim zaś, najmocniejszym, odciął mu głowę. Wśród Templariuszy poniósł się szmer. Ciało rycerza przez kilka sekund utrzymywało się jeszcze w pionie, po czym bezwładnie zważyło się na ziemię, obryzgując krwią bruk.

Patrzyłam na to zdumiona. Spojrzałam na sir Radomira, który wyglądał na równie oszołomionego, jak ja. Zebrani dookoła ludzie wyraźnie cieszyli się z przedstawienia. Z perspektywy czasu tego właśnie należało się spodziewać. W ich wyobrażeniu właśnie tym był przedstawiciel Cesarskiego Magistratu: wcieloną śmiercią, szybką, zdecydowaną i sprawiedliwą. Nie widzieli jednak sędziego, którego znałam – pełnego niuansów, cierpliwości, powolnego i surowego stosowania prawa. Widzieli sir Konrada z opowieści i legend. Dla mnie był to przerażający pokaz nieostrożności.

Vonvalt wytarł i schował miecz.

– Czy ktokolwiek jeszcze chce się przyznać? – Zawrócił i ruszył na czoło karawany. – Patrynie... może chciałbyś się przyznać do podżegania do zabójstwa? W końcu to ty nakłoniłeś Westenholta do wysłania żołnierzy na południe?

Claver aż zbladł z wściekłości.

– Ty... – wykrztusił, wskazując drżącym palcem Vonvalta. Nagle roześmiał się gorzko i chrapliwie, jakby zaskoczył samego siebie. – Zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę, jak głupio się dzisiaj zachowałeś. Jak głupio

zachowywał się przez ostatni miesiąc. Jak nieustępliwe moce działają w Sowie, by pozbawić władzy ciebie i twój stary, pogański zakon.

– Powiedz to, kapłanie – rzucił Vonvalt. – Przyznaj się. Zobaczmy, czy twoi bogowie albo kanoniczne prawo obronią cię przed cesarskim Sędzią.

Claver prychnął i przez dłuższą chwilę przyglądał się Vonvaltowi.

– Jak na kogoś, kto tak chętnie wystawia wyroki śmierci, zakładam, że właściwym będzie, jeśli podpiszesz i własny.

Teraz to Vonvalt lekko się uśmiechnął.

– Nikt nie stoi ponad prawem – powiedział. – Nikt. Ani ty, ani Westenholtz, ani nikt inny. Nie obchodzą mnie twoje głupie sztuczki. Nie obchodzi mnie, czy ci ludzie to Templariusze. Nie obchodzi mnie, czy złożyli przysięgę Bogu Ojcu. Jeśli dopuścili się morderstwa, pozbawię ich głów.

Claver zrobił krok do przodu. Bressinger ruszył, by zastąpić mu drogę, lecz Vonvalt uniósł rękę.

– Użyj na mnie Głosu – syknął Claver. – Zrób to, tu i teraz. Zobaczmy, co się stanie.

Vonvalt pokręcił głową.

– Chcesz skłonić mnie, bym jeszcze bardziej cię zawstydził? Tak chętny jesteś umrzeć?

– Zrób to! – ryknął Claver.

Vonvalt wiedział, że Claver był prawdopodobnie tak samo odporny na Głos jak Westenholtz, dlatego zrobił coś, czego nikt – włączając mnie samą – się nie spodziewał.

– Sir Radomirze?! – zawołał przez ramię. – Proszę aresztować patryona Clavera.

Claver i wszyscy Templariusze już mieli wybuchnąć czymś, co bez żadnych wątpliwości byłoby wspaniałym pokazem wściekłości, kiedy nagle rozbrzmiał czyjś zdecydowany głos.

– Sir Konradzie!

Wszyscy się odwrócili. Od strony leżącego nieopodal zagajnika nadjeżdżała kobieta – wysoka, o władczym wyglądzie, odziana w woskowaną pelerynę i prowadząca stępującego konia. Jej włosy nosiły ślady siwizny, a rysy znaczyły wiek i lata odpowiedzialności. Na ubraniu miała symbole swojego urzędu, wyblakłe i wytarte, ale nadal wyraźnie rozpoznawalne.

– Sędzia lady August – odpowiedział Vonvalt, składając jej głęboki ukłon. Nawet jeśli zaskoczyło go jej nagłe pojawienie się, nie dał tego po sobie poznać.

– Już przesłuchałam patryona Clavera – powiedziała. Słyszac to, Claver sięgnął brwi, lecz się nie odezwał. – Oczywiście nie mogłeś o tym wiedzieć.

– Rozumiem – odparł Vonvalt po długiej ciszy.

– Chodź, mamy wiele do omówienia – powiedziała, kiwając głową w stronę Galen's Vale, po czym spojrzała na czoło wojennej czeredy. – Patrynie Claver, niech Bóg Ojciec sprzyja wam w podróży.

– Hmm – mruknął Claver. Rzucił Vonvaltowi jadowite spojrzenie, po czym ruszył dalej drogą Hauner. Wolał wykorzystać fałszywe stwierdzenie Sędzi August niż kontynuować pojedynek z Vonvaltem.

Tłum Templariuszy ruszył za nim, niczym gigantyczna bestia powoli budząca się z długiego snu, i skierował na południe.

XIII

Mimo uszu

„Niemożliwym jest przekonanie kogoś do powagi sytuacji, dopóki sposób na wyjście z niej już dawno nie minie. Ma to coś wspólnego z naturą człowieka i jego wrodzonym idiotyzmem. Bogowie, patrząc na nas, muszą z niedowierzaniem łapać się za głowy”.

Sędzia Sophia Juras

– Otrzymałeś mój list?

– Tak.

– W takim razie jesteś świadom, że to, co właśnie zrobiłeś, było bardzo nierozsądne.

– Oczywiście nie przesłuchiłaś Clavera.

– Oczywiście, że nie.

Siedzieliśmy w tawernie tuż przy drodze Hauner, kilka kilometrów na północ od miejsca, w którym Vonvalt skonfrontował się z Claverem. Był to ciasny, niezbyt duży przybytek, ciemny, pełen nisko zawieszonych przy suficie belek i nisz, w których spokojnie można było dobić prywatnych interesów. Właściciel, niski i dyskretny staruszek, znał Sędziego August dość dobrze, jako że przyniósł jej ulubiony napój oraz niedużą tacę przekąsek. Sir Radomir i jego ludzie wrócili do Vale, chętnie uwalniając się od państwowych spraw.

– Ten rycerz przyznał się do morderstwa – powiedział Vonvalt.

Widziałam, że już zaczął żałować tego, co zrobił. Pomiędzy prawem powszechnym i kanonicznym było wystarczająco dużo szarej strefy, by mógł się wybronić z oficjalnej reprimendy... gdyby taką otrzymał. Jednak w tym przypadku przekroczył granicę i dobrze o tym wiedział.

– Nie mówię o tym głupku – odparła August. Była siłą samej natury, piękna i potężna. Natychmiast poczułam, że ulegam jej wpływowi. – Tylko o groźeniu

Claverowi aresztem. Skoro otrzymałeś mój list, powinno być dla ciebie jasne, że to naprawdę kiepski pomysł.

– Z całym szacunkiem, Sędzio...

– Chrzańić to. Czy nie znamy się wystarczająco dobrze? Czy mówisz tak tylko ze względu na dziewczynę? – Kiwnęła głową w moją stronę, chociaż nawet na sekundę nie oderwała wzroku od Vonvalta.

Domyśliłam się – poprawnie, jak się później okaże – że tych dwoje łączyła romantyczna historia.

Vonvalt odchrząknął.

– W takim razie Resi. Twój list był dość zawoalowany.

– Na Kasivara Piekielnego – rzuciła August, przewracając oczami. – W tym liście przesłałam ci ostrzeżenie jasne niczym boje świetlne w Zatoce Kormondolt. Pisałam ci, że Claver uczynił z Westenholtza swojego sojusznika.

– Westenholtz to tylko człowiek.

August wbiła w niego wzrok.

– To najpotężniejszy człowiek w Imperium, być może poza samym cesarzem.

– Nie bądź śmieszna – prychnął Vonvalt. – Synowie cesarza zarządzają całymi księstwami. A Westenholtz ma zaledwie jedną twierdzę i kilkanaście kilometrów bagnisk pod swoim nadzorem.

– Konradzie – powiedziała August, a nagle i szczerą troską w jej głosie sprawiła, że był on tym bardziej alarmujący. – Kiedy ostatni raz byłeś w Sovie?

Vonvalt machnął ręką.

– Przynajmniej dwa lata temu.

– Ale otrzymywałeś nowe wiadomości?

– Tak, tyle, ile ich zdoła dotrzeć na północ.

August wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Vonvalta.

– Konradzie, w Zakonie są spore zawirowania. Być może mój list nie przekazał ci powagi sytuacji. Mistrz Kadlec jest niebezpiecznie blisko przekazania sekretów naszych mocy Mlyanarom. Mam powody sądzić, że już sprzedał niektóre z nich w zamian za spokojne życie. – Niemal wypluła ostatnie słowa. – Słyszałam w Roundstone plotki, że coraz większa grupa ludzi jest odporna na Głos, w tym Claver i Westenholtz.

Coś ścisnęło mnie w żołądku, a Vonvalt pochylił się przygnębiony.

– To prawda – mruknął. – Przynajmniej w przypadku Westenholtza. Sam go na nim zastosowałem. Facet nawet nie mrugnął.

August odchyliła się na krześle.

– W takim razie sytuacja jest poważniejsza, niż myślałam... i uważam, że jest naprawdę zła. Nie ma żadnych wątpliwości, że Claver również jest na niego odporny?

- Nie odważyłem się tego sprawdzić – powiedział Vonvalt. – Ale tak sądzę.
- Niech to szlag – zaklęła August.

Vonvalt zapalił fajkę, na co August wyciągnęła swoją i również zapaliła. Zaledwie w kilka sekund nieduża nisza, którą zajmowaliśmy, wypełniła się dymem.

– Powiedz mi, że przesadzasz – powiedział Vonvalt. – Nawet jeśli tylko trochę. Cesarz nie może siedzieć i nic nie robić, gdy Westenholtz i Mlyanarowie podlegają do rebelii. Dla niego działanie również przeciwko Zakonowi jest czystym szaleństwem.

– Cesarz i jego haugenaccy poplecznicy w Senacie zawsze byli dla Patrycjusza czymś więcej niż zwyczajnym przeciwnikiem. Ale teraz trzeba jeszcze brać pod uwagę Templariuszy. Historycznie zawsze byli kojarzeni z Mlyanarami, ale... cóż, zniszcz ich reputację.

– Wiem, że opuszczają kraj z wielkimi fanfarami, a potem w krótkim czasie tracą mnóstwo ludzi, ziemi i prestiżu – powiedział Vonvalt z pogardą. – Jeśli to masz na myśli.

– W rzeczy samej – odparła August posępnie. – Ale nie mają takiej potęgi, jak sto lat temu. Teraz wśród lordów zapanowała moda, by posyłać drugich lub trzecich synów do Templariuszy. Zamożni rycerze w zbrojach, z końmi. Rozważniej podchodzą do podbojów, a na zdobytych terenach stawiają zamki ufundowane z pieniędzy Mlyanarów. Fortece w Südenberg, Keraq i Zetlandii są zaiste wspaniałe.

– I wszystko to w imię Nemy?

– Rzekomo.

Vonvalt potarł twarz.

– Czy Templariusze angażują się w krucjaty? Jak mogą stanowić zagrożenie dla Sovy, skoro są uwikłani w prowadzenie wojny?

– I właśnie tutaj wkracza Claver – powiedziała August. – Spędził wiele miesięcy, podróżując po Imperium, podburzając do buntu i rekrutując kolejnych synów od lordów, którzy przejęli Pogórze i nadal boją się o swoje pozycje. Claver przedstawiał to jako demonstrację wiary i lojalności wobec Sovy i w rezultacie ludzie potykali się o własne nogi, by się do nich zapisać. Teraz jest aż nadmiar Templariuszy; o wiele więcej, niż potrzeba, by obsadzić fortece i stworzyć silną armię.

Vonvalt zmarszczył nos.

– Daj spokój, Resi. Legiony mają siłę dziesięciu tysięcy ludzi zahartowanych przez lata wojennych kampanii. Pokonają tłum świeżych Templariuszy, nawet jeśli tamtych będzie dziesięć razy więcej.

– Legiony rozpiechły się na cztery wiatry – odparła August. – Na moją wiarę, Konradzie, posłuchaj, co do ciebie mówię. Przynajmniej połowa z nich utknęła daleko na wschodzie, wzdłuż rzeki Kovy, walcząc z Konfederacją. Reszta jest rozsiana po całej Europie, stacjonując w garnizonach, pilnując pokoju, a nawet prowadząc kampanie. – Machnęła ręką. – Ale to inna sprawa.

Vonvalt westchnął.

– Mów dalej – powiedział.

Dostrzegłam, jak Bressinger spojrział na niego z ukosa. Vonvalt nie posiadał takiej wady jak upór, ale tego popołudnia mógłby oszukać wszystkich przy stole, że jest inaczej.

August na moment zacisnęła zęby.

– Claver należy do grupy ortodoksyjnych Neman, którzy wierzą, że moce Zakonu powinny być przeniesione na Kościół. Od lat naciskali na cesarza, by dopuścił ich do Wielkiej Łoży i pozwolił nauczyć się naszych metod. Claver jednak posunął się o krok dalej; twierdzi, że Templariusze powinni zdobyć nasze moce, by wykorzystywać je jako broń. Pomyśl, Konradzie... nie potrzeba zbyt wiele wysiłku, by przekreślić działanie Głosu Cesarza i użyć go, żeby człowiek, na przykład, odrzucił broń. A istnieją inne, starsze moce w kodeksach leżących w kryptach Mistrza, których Zakon nie wykorzystuje. Użycie tych mocy przez żołnierza byłoby czymś ponad wszelką miarę. Dla polityka to nie do pomyślenia. Nawet sam cesarz nie włada Głosem. Ludzie nigdy do końca nie ufali Zakonowi, ale przynajmniej wierzyli, że wykorzystamy moce jako siłę dobra. Do stania na straży powszechnego prawa dla korzyści wszystkich. Claver zaś chce przejąć te moce i wykorzystać je do zdobycia całego znanego świata w imię Nemy. A Westenholtz i reszta Patrycjusza z Mlyanar są gotowi mu w tym pomóc.

Zapadła cisza. Trudno było pojąć to, co August właśnie powiedziała. Na własne oczy widziałam porażkę, jaką było użycie Głosu na Westenholtzu, widziałam Clavera i jego Templariuszy maszerujących drogą Hauner, jak i tuziny innych rzeczy, które potwierdzały obawy August. Mimo to nawet wtedy trudno było uwierzyć, że coś o tak potencjalnie wielkiej wadze miało właśnie miejsce. August, pomimo swojej szczerości, sprawiała wrażenie szalonej. Teraz czuję ból na myśl, że w tamtym czasie nie potraktowaliśmy jej ostrzeżeń z wystarczającą powagą, że nie powierzyliśmy po prostu sprawy Bauerów sir Radomirowi i jego ludziom, a sami nie podążyliśmy na południe, do stolicy. Nawet wtedy mieliśmy trochę czasu, by coś zmienić.

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz – powiedział w końcu Vonvalt. – Prawo jest prawem. Jako zakon jesteśmy apolityczni. Przynajmniej w teorii.

August z ożywieniem machnęła fajką.

– Jeśli nie zainterweniujemy, Zakon zostanie zniszczony, włączony do Kościoła, a nasze moce razem z nim. Z czasem staliśmy się zbyt zadowoleni z siebie, zakładając, że wszyscy po prostu zaakceptują wyższość powszechnego prawa. Sędziowie stali się słabi. Wszyscy jesteśmy gromadą filozofów i prawników bardziej zainteresowanych pisaniem i sprzedawaniem ksiąg niż stosowaniem prawa. W niektórych miastach, w których byłam, nie widziano Sędziego od lat.

Vonvalt wyprostował się.

– Mam pewną sprawę do rozwiązania w Vale. Nie wyjadę stąd teraz. Nie, dopóki jej nie zakończę.

Jasne było, że Vonvalt nie do końca kupował opowieść August o nadchodzącej zagładzie, do czego przyznał mi się dopiero dużo później. Miał swoje powody, które z perspektywy czasu wyglądały na słabe. Bądź co bądź był weteranem Wojny Imperialnej. Na własne oczy widział, do czego są zdolne Legiony. Wiedział, podobnie jak my wszyscy, że Westenholtz i Claver byli niebezpiecznymi ludźmi uwikłanymi w takie czy inne polityczne machinacje. Jednak nigdy poważnie nie rozważał myśli, że ktokolwiek o zdrowym umyśle wystąpi przeciwko cesarzowi i odniesie sukces. Kzosic IV był okrutnym człowiekiem i genialnym strategiem. Wystarczyło popatrzeć na siedzące przy tym stole osoby, by dostrzec dowody jego sukcesu: Jägelandczyk, Grozodanin i Tolka, z których wszyscy byli cesarskimi poddanymi – a nawet więcej, cesarskimi przedstawicielami – gdy nasi królowie zginęli, a państwa stały się zaledwie księstwami, i to zaledwie w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. Jedyne August była rodowitą Sovanką.

– Bez względu na to wszystko... – powiedział Vonvalt, wskazując twarz August, jakby wszystko, co powiedziała, zawisło przed nią niczym chmura – ... wszyscy Patrycjusze, Templariusze i przedstawiciele Kościoła na świecie nie mogą odebrać nam siłą mocy. Potrzeba lat cierpliwej nauki, by biegle się nimi posługiwać. Nie martwi mnie to, że kilkoro ludzi nauczyło się przeciwstawiać Głosowi Cesarza. To najslabsza z naszych mocy i taka, której najłatwiej jest się oprzeć. Każdy z przyzwoitym wykształceniem i dobrą prezencją umysłu może udaremnić jego działanie, nie przechodząc żadnego szkolenia. Moc rozmawiania ze zmarłymi, ze zwierzętami, moc odczytywania ludzkich myśli... to są rzeczy, których opanowanie wymaga wielomiesięcznego, uważnego nauczania. Jedyne, co Mistrz Kadlec musi zrobić, to odmówić. Kiedy mistrzowie umrą, ta wiedza zniknie razem z nimi.

– Nauka trwa tak długo ze względu na długotrwałe nauczanie akademickie. Jeśli pozbyć się całego prawoznawstwa, skupiony człowiek mógłby z powodzeniem w krótkim czasie opanować wiele z naszych mocy. Poza tym

groźba tortur może skutecznie skłonić mistrzów do zmiany zdania. Albo, być może, pokusa szybkiego bogactwa lub haremu potulnych nastolatków? Daj spokój, Konradzie. To prawnicy, ale nie wszyscy muszą dzielić nasz zapał do stosowania prawa. Kiedy stawka jest tak wysoka, również są narażeni na korupcję. Sam Mistrz Kadlec zaczął już wyjawiać nasze tajemnice Nemanom, jednak jedno słowo szepnięte do ucha cesarza natychmiast powstrzymałoby pierwsze próby Patrycjuszy. Konradzie, to nie są wojownicy. Dni, kiedy objeżdżali granice Imperium, już dawno minęły. Nie będą bronili powszechnego prawa wszelkimi siłami.

Zapadła cisza. Vonvalt zamknął oczy i w roztargnieniu żuł końcówkę fajki. W końcu odetchnął głęboko.

– Po tym, jak zakończę już tutaj moją sprawę, z największym pośpiechem wyruszę do Sowy. Masz na to moje słowo. I do jakiegokolwiek stopnia będę w stanie przywrócić nadrzędność stosowania powszechnego prawa oraz pozycję Mistrza Kadleka i całego Zakonu, to również uczynię.

– Lepiej byś zrobił, gdybyś nakłonił go do pozbycia się Kadleka i sam przejął tę funkcję – mruknęła August, lecz kiedy Vonvalt zacisnął usta, przechyliła głowę. – Dziękuję ci, Konradzie. W takim razie modłę się, byś wkrótce zakończył tutaj swoją sprawę.

– Już niemal skończyłem. Jeszcze tylko kilka ruchów i ujmę przestępców.

– A potem ruszysz na południe?

– Po tym, jak ich osądzę.

August zacisnęła dłoń.

– To może potrwać kilka tygodni!

Vonvalt wzruszył ramionami.

– Nie jestem władny, by postąpić inaczej. Wiesz równie dobrze, jak ja, że Zakon wymaga, by sąd znajdował się w odległości jednego dnia jazdy. Oczekuje się, że jednodniowe procesy zastąpią całą naszą pracę, kiedy reszta Imperium zostanie ujarzmiona i ucywilizowana. I nie zajmie to „całych tygodni”, jesteś niedorzeczna.

August wbiła w niego wzrok.

– Konradzie, każdy dzień, który tutaj zamarudzisz, nasi wrogowie mogą wykorzystać na dalsze knucie.

– Resi, tym bredzeniem dyskredytujesz samą siebie – rzucił ostro Vonvalt. – Słyszałem, co mówiłaś, i powiedziałem ci, co zrobię. Niech to będzie koniec tej sprawy!

Widziałam, że zranił August, nie tylko służbowo, ale też osobiście. Pociągnęła długi łyk wina, po czym zgasiła fajkę i wstała.

– Wiesz, jesteś bardzo nieprzejednany, Konradzie – powiedziała. – Modłę się, byś tylko ty musiał cierpieć konsekwencje tego wszystkiego. – Po tych słowach bez zbędnej ceremonii opuściła tawernę.

Vonvalt przewrócił oczami i dopił piwo.

– Mówi, jakby niebo miało zwalić nam się na głowę – mruknął.

– Nie jest głupia – powiedział Bressinger. – Nie sądzisz, że być może wasza wspólna przeszłość przesłania ci właściwy osąd?

– W Imperium co roku wybucha pół tuzina rebelii – rzucił Vonvalt. – Ta upadnie jak wszystkie inne. Wydaje się ważniejsza tylko ze względu na to, że zostaliśmy w to bezpośrednio zaangażowani. Mamy tutaj ważną sprawę do skończenia. Dopiero wtedy się tym zajmę. Bardziej prawdopodobne jest, że za mniej niż pół miesiąca głowy Westenholtza i Clavera zostaną zatknięte na żerdziach przed pałacem, a zwłoki Templariuszy będą schły na dzikich łąkach pod Keraq.

Bressinger chrząknął.

– Mam nadzieję, że masz rację – powiedział.

Jednakże Vonvalt nie miał racji. Mylił się tak bardzo, jak to tylko możliwe.

XIV

Ostatni wieczór pokoju

„Nie był skutecznym Sędzią ten, kto nie miał serca z kamienia”.

Cytat z *Sovańskiego kodeksu karnego: Porad dla praktykujących*
Caterhausera

Konie nie miały siły na kolejną szybką jazdę i powrót do Vale zajął nam większą część popołudnia. Podróż spędziliśmy w milczeniu. Nim przejechaliśmy przez Bramę Veldelin, zaczął zapadać już zmrok, a mżawka przeszła w śnieg z deszczem.

Vonvalt odwrócił się do Bressingera, a jego czarna broda była zmierzwiona i lśniła od wody.

– Chodź ze mną – powiedział. – Jest pewna sprawa, którą muszę się dziś zająć. Graves będzie musiał poczekać jeszcze jeden dzień – dodał poirytowany. – Heleno, możesz robić, co zechcesz. Zobaczymy się o świcie.

Nie protestowałam, z zadowoleniem przyjmując możliwość uwolnienia się od jego towarzystwa. Mógł wypierać się rzeczy, które działy się wokół niego, ale ja się bałam. Wieczorne zwrócenie uwagi na coś innego było jak najbardziej mile widziane... i doskonale wiedziałam, na co ją skieruję.

Zawróciłam konia w stronę budynków straży, po czym w niknącym świetle pośpieszyłam zimnymi ulicami, na których strażnicy zapalali lampy i przeganiali żebraków. Według słów sierżanta Matas i jego ojciec mieszkali w zachodniej dzielnicy, którą zamieszkiwała również większa część obywateli o średnim poziomie zamożności. Domy tutaj nie przypominały chylących się szop jak tam, gdzie wyłowiono z Gale ciało lady Bauer, ale też daleko im było do luksusowych rezydencji kupców i klasy rządzącej, do których szybko przywykłam. Były to wysokie i proste budynki z pruskiego muru, ustawione przy sobie tak ciasno, że dzienne światło ledwie przeciskało się między dachami.

Matas zajmował mieszkanie na najwyższym piętrze jednej z kamienic. Weszłam po krzywych schodach i zapukałam do drzwi.

– Helena? – zapytał Matas, gdy otworzył drzwi. Dziwnie było go widzieć w prostym, samodzielnym ubraniu. – Jak... dlaczego tutaj jesteś?

Roześmiałam się, widząc jego zdumienie, i przyciągnęłam go do siebie. Trzymanie go w ramionach było nieprzyzwoicie znajome, lecz po dniu wypełnionym nieprzyjemnymi wydarzeniami czułam silną potrzebę pocieszenia. Sądzę, że nawet on był nieco zszokowany tym niestosownym okazaniem uczuć, ale i tak otoczył mnie ramionami i mocno przyciągnął do siebie.

– Na ogon Kasivara, gdzieś ty była? – zapytał. – Obawiałem się, że ty i Sędzia pojechaliście w dalszą drogę. Widziałem waszego pomocnika, jak objął się po strażnicy, ale nie był zainteresowany rozmową ze mną.

– Och, nie zwracaj uwagi na Dubine'a – powiedziałam lekceważąco, właściwie nieco zirytowana, że Bressinger nie powiedział Matasowi, dokąd wyruszyłam. – Pojechałam Cesarską Podmianą do Strażnicy Morskiej.

Matas wytrzeszczył oczy.

– Podmianą! Matko Boska! Zabiłbym za możliwość skorzystania z Podmiany. Czy to tak ekscytujące, jak mówią? Mknąć drogą Hauner z prędkością orła. Podobno przy dobrej pogodzie można dotrzeć nad morze w zaledwie tydzień.

– Jest dokładnie tak, jak powiedziałeś – odparłam. – Chociaż muszę przyznać, że na koniec dolna część moich pleców nie za bardzo mi za to dziękowała.

Matas zaklął. Zaczerwienił się, a gdy zrozumiałam, co się stało, ze zdumienia aż otworzyłam usta.

– Ty bestio! – rzuciłam, odpychając go żartobliwie. – Jesteś w obecności damy!

Udałam, że czuję się urażona, a on się roześmiał.

– Z radością je pomasuję – odparł.

Według sovańskich standardów coś takiego było wysoce nieprzyzwoite... chociaż w Muldau słyszałam gorsze rzeczy. W każdym razie miło było odpocząć od sztywnych zachowań i rzucić kilka niestosownych żartów do chłopaka, który mi się podobał.

Ponownie go trąciłam.

– Nie robi pan nic podobnego, sir – powiedziałam. – Cesarska przedstawicielka, którą jestem, nie może pozwolić, by... dolna część jej pleców była... – Nie byłam w stanie dokończyć.

Wybuchłam śmiechem, a on mi zawtórował. W następnej sekundzie zaczęliśmy się całować. Och, jakże boli mnie serce na wspomnienie tych

skradzionych chwil. Myśl o wyborach, których dokonałam, doprowadza mnie do szaleństwa. Jak różnie mogło się to wszystko potoczyć.

– Wejdz – powiedział Matas, wprowadzając mnie do środka. – Mój ojciec będzie zachwycony, mogąc cię poznać.

– A ja jego – odpowiedziałam.

Wewnątrz znajdowało się niewielkie pomieszczenie mieszkalne ze stołem i krzesłami oraz część kuchenna ze stojącymi na piecyku czajnikiem i rożnem. W niewielkim palenisku płonął ogień.

– Matas? Kto przyszedł? – zawołał ktoś z sąsiedniego pokoju.

– Ktoś do mnie, kogo chciałbym, żebyś poznał.

– Jeśli to znów ten cholerny chłopak Tiveków...

– Ojcie! – przerwał mu Matas pośpiesznie i uśmiechnął się przepaszająco. – To dziewczyna. Uważaj na to, co mówisz. Chciałbym, żebyś ją poznał. Ona również chce poznać ciebie, chociaż nie mam pojęcia dlaczego.

– Na Kasivara – mruknął mężczyzna.

Potem usłyszałam kolejne pomruki i stęknienia. W końcu w progu pojawił się mężczyzna na ciężkim wózku inwalidzkim.

– No, no... piękna jesteś – powiedział. – Panienska wybaczy, że nie wstanę. Jak się już pewnie panienska domyśliła, nie mogę.

Przyznaję, że jego wygląd mnie zaskoczył. Był podobny do Matasa i chociaż nie był stary, kalectwo wysało z niego całą młodość. Miał na sobie wiele warstw ubrania i domyśliłam się, że marznie – to wyjaśniało panujące w mieszkaniu niemal nieznośne gorąco. Nogi miał przykryte kocem. Dolną część twarzy mężczyzny pokrywała krótko przycięta broda, a jego sięgające ramion włosy były naznaczone siwizną. Do ubrania miał przyczepione zioła, które maskowały jego odór.

Pokłoniłam się mu na cesarski sposób.

– Bardzo miło mi cię poznać – powiedziałam. – Helena Sedanka.

– Hmm – odparł mężczyzna. – Masz cesarski głos i maniery, ale tolskie nazwisko.

Nie chciał być złośliwy, ale ton jego głosu mnie zelektryzował. Przypomniałam sobie słowa Matasa o tym, że jego ojciec odniósł obrażenia podczas walk na Rubieżach, więc, podobnie jak sir Radomir, zapewne żywił głęboką niechęć do wszystkich z Tolsburga.

– Helena nie miała nic wspólnego z Wojną Imperialną – powiedział szybko Matas. – Nie chcę żadnych nieprzyjemności.

– Eee tam. – Mężczyzna lekceważąco machnął ręką. Kiedy ponownie na mnie spojrzał, w jego oczach dostrzegłam błysk. – Już o to nie dbam – burknął,

choć nie do końca mu uwierzyłam. – Mam na imię Vartan. Bardzo miło mi panią poznać, panno Sedanka. Dołączy do nas pani przy kolacji?

– Z chęcią – odparłam.

– Matasio, Doroteja ma nam dzisiaj coś przynieść. Powiedz jej, że mamy gości. Być może będzie miała nieco kenny.

Kenna była nieoficjalną narodową potrawą sovańską, składającą się z wieprzowiny w pikantnym serowym sosie. Sądząc po wystroju mieszkania, była ekstrawagancją, na którą Akerowie nie mogli sobie pozwolić.

– Nie ma potrzeby zadawać sobie tyle trudu ze względu na mnie – powiedziałam pośpiesznie. – Naprawdę, zjem cokolwiek. W pracy przyzwyczajona jestem jeść cokolwiek, co tylko zostanie na koniec dnia. To ryzyko wpisane w zawód.

– Paniąkę się nami nie przejmuję – powiedział Vartan, gdy Matasio wyszedł.

– Doroteja z radością o nas dba. A czym tak w ogóle się panna zajmuje? To zdumiewające widzieć dziewczynę w twoim wieku i z takim wyglądem, która już musiałaby pracować.

– Jestem asystentką sądową – powiedziałam. – Pracuję dla sir Konrada. To Cesarzowski Sędzia.

Vartan był wyraźnie zaskoczony.

– Jesteś sovańską urzędniczką? Pracujesz dla Sędziego? – Zmiana w jego nastroju była natychmiastowa. Z wyniosłego i szorstkiego stał się nagle pełen szacunku i, jak mi się wydawało, nieco zaalarmowanego. – Czy to prawda, co mówią o mocach Sędziego? Czy paniąkę również je ma?

Uśmiechnęłam się, jak miałam nadzieję, uspokajająco.

– Sir Konrad oczywiście ma moce, ale ja zdecydowanie nie.

Reakcja Vartana na mnie i moją profesję była taka, z jaką zawsze się spotykałam, a której byłam coraz bardziej świadoma. Do czasu sprawy Bauerów i naszego pobytu w Galen's Vale byłam naiwna. Dopiero teraz zaczęłam to sobie uświadamiać: zwyczajni ludzie, nawet starsi i lepsi ode mnie, bali się nas. Bali się nie tylko mocy Vonvalta; bali się samego faktu, że byliśmy cesarskimi przedstawicielami. Dla większości Sovanie pozostawali najeźdźcami, nawet jeśli teraz byli już wszędzie. I chociaż zawsze uważałam siebie najpierw za Tolkę, a dopiero później za Sovankę, nigdy nie uważałam, że mogę być przedstawicielką Imperium, nie naprawdę... a właśnie tak inni mnie widzieli. Równie dobrze mogłam nosić cesarskie barwy i godło Imperium. Byliśmy ucieleśnieniem autorytetu samego cesarza, jakby unosił się nad nami i sterował naszymi kończynami za pomocą sznurków. I chociaż często słyszeliśmy pogłoski na temat jego okrucieństwa, o wiele więcej czasu zajęło mi pojęcie, że ludzie mogą uważać nas za równie okrutnych i lubieżnych, jak on. Gdybym tylko

mogła wyjaśnić im zaciekleść, z jaką Vonvalt przestrzegał i stosował powszechne prawo... Cenił je ponad wszystko inne.

– Słyszałem, że potrafia rozmawiać ze zmarłymi – powiedział nerwowo Vartan. Z niepokojem gniótł swój koc, nagle niezdolny spojrzeć mi w oczy. – To dla mnie nieco nienaturalne – burknął.

Dla mnie było to ze wszech miar nienaturalne. Nie chciałam znów myśleć o sir Otmarze.

– Większość z tego, co słyszą ludzie, to plotki – powiedziałam zadowolona, że właśnie w tej chwili wrócił Matas.

– Rzeczywiście miała trochę kenny – powiedział, gdy pomieszczenie wypełnił charakterystyczny aromat przyprawionego sera. – Jednak trzeba będzie ją podgrzać.

Twarz Vartana pojaśniała. Spojrzał na mnie, czekając na moją akceptację, na co odpowiedziałam mu zachęcającym uśmiechem. Jego ogólne zachowanie było dziwne, jakby okazywał opryskliwość pomieszaną ze służalczością. Wtedy dotarło do mnie, że jego kalectwo i przykucie do wózka inwalidzkiego pozbawiły go dużej części charakteru. Byłam w stanie wyobrazić go sobie jako szorstkiego i nieprzyjemnego mężczyznę; teraz był całkowicie na łasce swojego syna i tej Dorotei.

Rozmawialiśmy dla zabicia czasu, podczas gdy Matas krzątał się po aneksie kuchennym, przygotowując kenne i inne przekąski, które przygotowała kobieta. Były to podstawowe artykuły dostępne w okolicy: warzywa korzenne, ziemniaki, chleb i ser.

– Musi być dla pana ogromną pomocą – powiedziałam cicho, chociaż Matas z pewnością mnie usłyszał.

– Ten chłopak to święty – odparł Vartan. – Bez jego opieki dawno bym już umarł. Jednakże... – dodał nieco głośniejszym głosem – ...od dawna nie byłem w tak dobrej kondycji. Doroteja również się mną opiekuje. Cały czas staram się wykopać stąd chłopaka. Musi kroczyć własną ścieżką w życiu, a nie tkwić tutaj ze mną. Prawda, chłopaku? Cały czas próbuję się ciebie pozbyć, co?

– Rzeczywiście, próbujesz – powiedział Matas z uśmiechem, nalewając kenne do drewnianych misek.

– Jeśli mogę zapytać...

– Tol o głowę wyższy ode mnie – przerwał mi Vartan.

Matas usiadł z westchnieniem i przewrócił oczami.

– Facet za każdym razem jest wyższy – powiedział.

– Cholernie wysoki Tol – ciągnął Vartan, wczuwając się w opowieść. – Miał ogromną czarną brodę i długie czarne, sięgające bioder włosy.

– A palce jak kiełbasy i ramiona niczym dębowe pnie – wtrącił Matas.

– Chcesz sam opowiedzieć tę historię? – zapytał gwałtownie Vartan, machając w jego stronę nożem. – Mogę umieścić cię na twoim własnym wózku, wiesz? Pomyśl, jaką wtedy tworzylibyśmy parę! Kulając się po Vale!

– Prześcignąłbym cię – powiedział Matas.

Obaj wybuchnęli śmiechem, a ja razem z nimi.

– Owszem, ale ja mam więcej praktyki. – Vartan uderzył dłonią w drewniane koło. – Doczepiłbym tu kilka ostrzy i wkręciłbym je prosto w twoje szprychy!

Matas spojrział na mnie, sprawdzając, czy wszystko w porządku, ale ja byłam szczęśliwa, słuchając ich sprzeczki. Była urocza, szczerza i odświeżająca.

– W każdym razie... – powiedział Vartan z ustami pełnymi kenny. – Jestem na Rubieżach, a panuje Wojna Imperialna, tak? Jak każdy głupi młody haunerski chłopak z naszej prowincji, zostałem wciągnięty do Legionów. Maszerowaliśmy pod sztandarem margrabiego Neumanna... być może o nim słyszałaś?

Pokręciłam głową, a Matas powiedział:

– Oczywiście, że nie słyszała!

– Widzisz, to nie był dobry dowódca. Nie, nie tak... był w porządku na otwartej przestrzeni. Ale Rubieże są inne. Chodzi o pogodę, wiesz? Jest zmienna. W jednej minucie jest upalnie i słonecznie, a w następnej Bogini Matka sika na ciebie zimnym moczem.

Wybuchnęłam śmiechem, co uradowało Vartana, Matas zaś się zaczerwienił.

– No więc dzień był mglisty, a Neumann mówi, że musimy zdobyć jedno wzgórze; nawet nie pamiętam, jak się nazywało, po prostu była to duża sterta ziemi. Podobno na jego szczycie miał być drewniany fort, ale nigdy tak daleko nie dotarłem. Ruszyliśmy więc po zboczu, powoli w leżącym wszędzie błocie, kiedy nagle z mgły wyłonili się Tolowie. Na Neme, ależ byłem przerażony. Nie miałem miecza ani zbroi, jak niektórzy lordowie, tylko pałkę i podarty pancerz, który kupiłem za piosenkę. No. To pojawili się ci Tolowie, wszyscy rozebrani do pasa i podobnie pomalowani. Użyli czerwonej farby, by wyglądała jak krew. Niektórzy z chłopaków po prostu odwrócili się i uciekli. Żadna siła na niebie i ziemi nie zmusiłaby ich, by zostali. Ale ja pomyślałem: „Pieprzyć Kasivara” – wybacz mój sovański – po czym podbiegłem do najbliższego z nich i próbowałem uderzyć go pałką.

Na moment zamilkł. Opowiadał tę historię dość jowialnie, ale po tym, jak zbladł, poznałam, że chwila uderzenia, momentalny paraliż i świadomość, że zapewne zaraz umrze, nadal była w nim żywa, jak tamtego dnia.

– Musiał być pan niesamowicie odważny – powiedziałam, wypełniając ciszę. Wyciągnęłam rękę i potarłam wierzch jego dłoni, na co uśmiechnął się do mnie.

– Niech cię bogowie błogosławią – powiedział cicho, po czym nagle się rozpogodził. – Ty sama jesteś Tolką, nie żeby można było to poznać po twojej

mowie. Jaka jest twoja historia? Jak to się stało, że trafiłaś na służbę u Sędziego?

Nie było to coś, o czym lubiłam rozmawiać, szczególnie z obcymi. Jednak Vartan pozwolił sobie przy mnie na bezbronność, postanowiłam więc odpowiedzieć tym samym.

– Urodziłam się w Muldau – powiedziałam. – Tolsburg był już od pięciu czy sześciu lat sovańską prowincją, ale na Rubieżach nadal toczono mnóstwo walk. Wtedy, kiedy miałam jakieś trzy lata, doszło do powstania. Mojego ojca zabito. Przez kolejne kilka lat matka zapewniała mi bezpieczeństwo, ale sama również zginęła, kiedy ponownie napadnięto na Muldau. Po tym wyłądownałam w miejskim sierocińcu, a kiedy byłam już wystarczająco duża, w zakładzie pracy. – Wzruszyłam ramionami, lecz ta historia nadal budziła we mnie ból. – Przez ponad dziesięć lat wiodłam życie polegające tylko na tym, by przetrwać, zanim sir Konrad przyjechał do Muldau. Próbowałam go okraść, lecz on, zamiast mnie skazać, przyjął mnie na swoją uczennicę.

– Na Neme, ależ to był łut szczęścia! Miałaś farta, że nie odrąbał ci ręki!

– Tak – powiedziałam posępnie. – Właśnie to, niemal słowo w słowo, mi powiedział.

Vartan roześmiał się, a Matas zachichotał. Nawet ja się uśmiechnęłam. Jednak sporo przemilczałam. Lata ubóstwa, przytułków i przywiązania do pracy, brutalności i prób pozbawienia mnie dziewictwa. Historia mojej młodości nie jest przyjemna, a jej opowiadanie z pewnością zepsułoby nastrój nawet najlepszemu z przyjaciół.

– Przepraszam, nie chciałam psuć wieczoru – powiedziałam. – To nie jest miła opowieść.

Vartan wskazał na mnie nożem.

– Nie chcę tego słyszeć. Nie przy moim stole. Spójrz, gdzie byłaś... i spójrz, kim się stałaś. Nawet za tysiąc lat nie uwierzyłbym w tę historię, gdyby nie wyszła z twoich ust. Odniosłaś sukces. Jako przedstawicielka Korony dojdiesz w życiu naprawdę daleko. Brawo.

Muszę przyznać, że słowa Vartana ogrzały moją duszę. Szczerze mu podziękowałam i w końcu zaczęłam jeść kenę, która szybko stygła, lecz wciąż była pyszna.

Rozmawialiśmy do późna w nocy. Był to cudowny wieczór spędzony w dobrym i szczerym towarzystwie. Śmialiśmy się i żartowaliśmy bez zahamowań. Poczułam też, że zaczynam tracić mój sovański akcent i wpojone maniery, w miejsce których pojawił się mój wrodzony tolski ton. Nim wieczór dobiegł końca, policzki i brzuch bolały mnie od śmiechu i byłam całkowicie upojona myślą, że mogę być żoną Matasa i synową Vartana. Nie było to żadne

zaskoczenie, biorąc pod uwagę, że od lunchu, podczas którego usłyszałam rewelacje od August, pragnęłam takiego prostego i szczerego pocieszenia.

– Cóż, czas na spoczynek – powiedział Vartan.

Matas i ja trzymaliśmy się przy stole za ręce i było jasne, że zbliża się kluczowy moment. Vartan nie był sztywną przyzwoitką. Był prostym człowiekiem, który już dawno temu pozbył się niepotrzebnych formalności.

– Dobranoc – powiedział Matas.

– Dobranoc, Vartanie – powiedziałam z ciepłym uśmiechem. – Dziękuję ci za gościnę. Spędziłam cudowny wieczór.

Vartan pomachał mi z nikłym uśmiechem, po czym bez zbędnych ceremonii wjechał na wózku do swojego pokoju.

Kiedy przeszliśmy z Matasem do jego sypialni, ogarnęła mnie nerwowość. Chociaż wypiliśmy dużo piwa, byłam bardzo niedoświadczona.

– Ja nie... – zaczął cicho Matas. Nie powiedział nic więcej, ale wiedziałam, co miał na myśli. On też nie wiedział, co robić.

– Tak między nami, jestem pewna, że nam się uda – odparłam i oboje opadliśmy na łóżko, śmiejąc się ze wspólnego braku doświadczenia.

Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Początkowego bólu, a potem przyjemności. Po pierwszym razie nastąpiło kilka kolejnych. Byliśmy niewprawni i banalni, lecz przepelniał nas entuzjazm młodości. Pociliśmy się, podskakiwaliśmy, jęczeliśmy i chichotaliśmy przez pierwsze trzy rundy, nim skończyliśmy wykończeni, nadzy i zaplątani we wzajemne ciepło, aż zimne światło porannego słońca przedarło się przez chmury.

– Czy Sędziemu ciebie nie brakowało? – zapytał Matas, lekko pieszcząc palcami moje biodro.

– Nie wiem – odparłam.

Od jakiegoś czasu myślałam o Vonvalcie. Wtargnął w moje myśli w tej samej chwili, w której Matas wtargnął we mnie, przez co czułam się zdezorientowana i zła na siebie.

– Jaka jest natura waszego związku? – zapytał Matas.

– Co masz na myśli? – zapytałam zirytowana. – Osobiście się przekonałeś, że byłam nietknięta.

– O Bogini, nie – powiedział szybko Matas. – Nie w tym sensie. Nie chodziło mi o nic takiego. No wiesz, po prostu się zastanawiam. Spędziliście ze sobą w trasie całe lata. To człowiek, który ma... władzę. I środki.

– I jest dwa razy starszy ode mnie – powiedziałam, chociaż to, ponad wszystko inne, byłoby na prowincji uzależniane od osobistych preferencji. Nawet w Sowie powszechne były spore różnice wieku w związkach, szczególnie wśród szlachty. Czasami zaręczano dzieci już w dzieciństwie, by zapewnić

odpowiednie pochodzenie i sojusze między rodzinami. – Nigdy nie powiedział ani nie zrobił nic niewłaściwego. Jestem jego pracownicą, nie kochanką.

Czułam, że staję się defensywna i rozgniewana. Nigdy wcześniej nie rozmawiałam o moim związku z Vonvaltem. Nie było nikogo, z kim miałabym o tym dyskutować. Kiedy wziął mnie do siebie na służbę, zakładałam, że będzie oczekiwał w jej ramach jakichś usług seksualnych, zważywszy na to, że był zamożnym przedstawicielem Korony. Nie byłam z tego powodu szczęśliwa, ale mając dość przytułków Muldau, poddałam się tej myśli na rzecz dobrego życia. Potem mijały tygodnie, a później całe miesiące, a on nie oczekiwał ode mnie nic więcej, prócz ciężkiej pracy. Miałam siedemnaście lat, kiedy zaczął mnie uczyć, i według większości standardów byłam wtedy kobietą. Teraz skończyłam dziewiętnaście i ze wszech miar byłam przejrzała, jeśli chodzi o zamążpójście i urodzenie dzieci, a on wciąż nie ruszył mnie nawet palcem. Dziesiątki, a nawet setki razy byliśmy ze sobą sami, zarówno trzeźwi, jak i pijani. Bywały też przypadki, kiedy byliśmy zmuszeni dzielić łóżko, ale wtedy po prostu odwracał się do mnie plecami i zasypiał. Czasami zastanawiałam się nawet, czy nie był homoseksualistą, lecz któregoś razu, kiedy wypiliśmy z Bressingerem sporo wina, wymknęło mu się, że Vonvalt odwiedził wiele burdeli. Różniło ich jedynie to, że Vonvalt był o wiele bardziej wybredny i dyskretny względem własnych uciech, podczas gdy Bressinger gonił za wszystkim, co się ruszało.

Ze swojej strony doświadczyłam różnych, pełnych sprzeczności emocji w stosunku do Vonvalta, jakie młode dziewczyny zazwyczaj czują do starszych mężczyzn. Vonvalt był przystojny, potężny i tajemniczy, a każda z tych cech podkreślała kolejną. Był marzeniem wielu panien. Chociaż byłam naiwna względem władzy, jaką dzierżyłam jako przedstawicielka Korony, czułam zazdrość dziewcząt w Galen's Vale równie wyraźnie, jak buchający z ogniska żar. Jednakże z biegiem czasu poznałam jego wady, jego hipochondrię i drobiazgowość. Był melancholijny i małomówny, i jeśli pojawiała się okazja na pobyt w samotności, korzystał z niej.

Żeby wszystko skomplikować, były też inne rzeczy. Był moim pracodawcą, ale też obrońcą. Wiem, że zabijał ludzi, zarówno podczas Wojny Imperialnej, jak i pełniąc obowiązki Sędziego. Bez wahania zabiłby w mojej obronie. Pod tym względem był źródłem zarówno strachu, jak i pocieszenia. Dlatego też nasz związek był złożony i charakteryzowany przez chyba każdy możliwy aspekt, w jakim pojawiał się mężczyzna: ojca, wujka, brata, męża... każdy z wyjątkiem kochanka, co może było powodem, dla którego tak szybko pozwoliłam Matasowi wypełnić tę rolę w moim życiu.

Zdałam sobie sprawę, że od kilku długich chwil milczałam zatopiona w myślach. Czułam, że Matas szuka jakiegoś pocieszenia, którego mu niestety

nie dawałam. Odwróciłam się do niego i powiedziałam szczerze:

– Zakochałam się w tobie i chcę spędzić z tobą życie. Ale mam też inne obowiązki. Zawarliśmy z sir Konradem umowę. Będę pracować z nim do zakończenia sprawy Bauerów i dopiero później powiem mu o swojej decyzji.

– I zostaniesz? – zapytał Matas.

Pomimo wirujących w mojej głowie myśli i emocji poczułam wystarczającą pewność, by skinąć głową.

– Zostanę.

XV

Graves

„Dołączenie do Zakonu Cesarskiego Magistratu to surowe życie w poczuciu honoru i obowiązku. Żaden z nowo przyjętych nie powinien mieć złudzeń: to ciężkie chwile wypełnione trudnymi czynami”.

Sędzia Reginald de Berengar

Ekshumowali ciało chłopca. Zrobili to w nocy, pod osłoną ciemności. Vonvalt, Bressinger i sir Radomir poszli z kilkoma strażnikami na miejski cmentarz i działając z nakazu Sędziego, wydobyli kości syna Bauera. Potem zabrali je do doktora Maquerinka, lekarza, który dokonał autopsji lady Bauer, by je zbadał.

– Chłopak został zabity – powiedział mi Bressinger później tego ranka nad kubkiem piwa. Siedzieliśmy w pubie tuż przy ulicy Aptecznej. Vonvalt nadal rozmawiał z panem Maquerinkiem. Bressinger na tę chwilę stracił zainteresowanie śledztwem i szukał pocieszenia w najbliższej tawernie. – Otrzymał cios w głowę, tak samo jak jego matka.

– Co za cholerny biznes – powiedziałam.

Czułam się okropnie w związku z całą sprawą. To był mój pomysł i w tamtym czasie wydawał się dobry, lecz teraz, kiedy już to zrobili, dopadło mnie ogromne poczucie melancholii. Myśl o posępnych mężczyznach wyciągających z grobu kości małego dziecka sprawiała, że miałam ochotę się rozpłakać. Żałowałam, że wcześniej nie milczałam.

Bressinger pociągnął długi łyk piwa.

– Tak. – Wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, pijąc i słuchając zgiełku rozmów otaczających nas klientów.

– Jak minęła ci noc? Spędziłaś ją z tym chłopakiem, Akerem.

Tym razem się nie zarumieniłam, jedynie skinęłam głową.

– Tak. Kochamy się.

Bressinger wzruszył ramionami. Przyznaję, że zaskoczyła mnie jego nonszalancja.

– Tyle zgadłem. – Przyjął kolejny kufel piwa i kilkoma dużymi łykami wypił połowę. – W takim razie zostaniesz? Urodzisz mu dzieci tutaj, w Vale? Będziesz wiodła życie gospodyni domowej?

Nie obchodził mnie jego ton, a lekko szkliste oczy powiedziały mi, że zaczyna przez niego przemawiać piwo. Mimo to czułam jakby przymus, by wdać się z nim w dyskusję. Bądź co bądź, zdecydowałam się opuścić służbę u Vonvalta. Gdybym nie była na tyle pewna tej decyzji, by jej bronić, to nie byłaby ona dobra.

– Nasze życie będzie takie, jakie je sobie ułożymy – powiedziała szorstko. – Ale nie będę tylko siedzieć i pilnować dzieci.

– Heleno, nie jesteś w Sovie. Na prowincji kobiety są traktowane inaczej. Chłopak jest tobą zafascynowany, bo jesteś ładna i wypełniasz jego myśli. Ale jak wszyscy inni, jest produktem swojego wychowania. Bez względu na to, co teraz mówi, będzie oczekiwał, że wkrótce się ustatkujesz.

– Nie znasz go – powiedziała z gniewem.

– Znam takich jak on – odparł Bressinger nieporuszony moim tonem. – Jesteście młodzi i zakochaliście się w sobie. Ale nie będziesz w stanie znieść monotonii takiego życia, mieszkając w jednym miejscu. Walor nowości szybko minie, a kiedy tak się stanie, sir Konrada już dawno nie będzie.

– Będziemy podróżować – powiedziała buntowniczo.

– A skąd weźmiecie pieniądze? Nie doceniasz tego, ile zarabia sir Konrad. Nawet jego skromny styl życia wymaga sporych nakładów. Opłacanie każdego kwaterunku, każdego posiłku, stajni, przechowalni... Opłacanie nowych ubrań i pralni. Podróżowanie jest kosztowne, dziewczyno. Wynagrodzenie, jakie otrzymuje sir Konrad, zapewniłoby roczne wyżywienie rodziny z zachodniej dzielnicy.

– Wiem, ile płacą sir Konradowi – powiedziała gwałtownie. – Jestem jego asystentką.

– Tak, na razie.

– Nie chcesz, bym była szczęśliwa? – zapytał niemal płacziwie.

Bez względu na to, jak pewnie się czułam poprzedniej nocy, zdałam sobie sprawę, że argumenty Bressingera zaczynają do mnie przemawiać, wykopując na światło dzienne moje wątpliwości niczym zawodowy grabarz wykopujący grób.

– Dziewczyno, obudź się! – rzucił Bressinger, ściągając na nas spojrzenia siedzących obok klientów. – Popatrz na to, czym dysponują ludzie. Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście. Tylko twoja pensja zwróciłaby uwagę większości

provincjonalnych baronów. Sir Konrad nauczył cię języków, prawa, filozofii, praktyki sądowej... posiadasz wykształcenie szlachcianki. I jesteś w tym dobra, Heleno. Na Neme, masz talent równie wielki, jak pokłady węgla. – Mówił z pasją, lecz zaraz wpadł w bardziej posępny ton. – Masz też jego oko. Środki, by odnieść sukces. Kości chłopaka... to naprawdę chłodne myślenie.

– Nie cierpię tego, że o tym pomyślałam! – rzuciłam.

– Ale zobacz, co zrobiłaś! Zobacz, co dzięki temu osiągnęliśmy! Dzięki temu udowodniłaś, że Bauer jest kłamcą. Udowodniłaś to. Facet patrzył sir Konradowi w oczy i mówił, że jego syn umarł na ospę, a córka z rozpaczy przywdziała habit. Przedtem miało to jakąś fasadę wiarygodności. Teraz wiemy, że to kłamstwo. Nawet sir Konrad nie pomyślał o tym, by wykopać kości chłopca. – Bressinger przyjrzał mi się z dziwną mieszaniną zadowolenia i szacunku. – Jesteś do niego podobna na więcej sposobów, niż chciałabyś przyznać.

– Wcale nie jestem taka jak on! – zaprzeczyłam.

Dubine dopił resztę swojego piwa i przyjrzał mi się uważnie. Miałam dziwne wrażenie, że po raz pierwszy dynamika związku mojego i Bressingera się zmieniała. On tracił władzę, a ja ją zyskiwałam. Widział, jak przyswajałam lekcje Vonvalta, jego metody, jego sposób myślenia. Widział rozwijającego się Sędziego, a im bardziej się kształciłam, tym bardziej stawałam się dorosła. Nie byłam już ulicznicą z Muldau. Byłam kobietą, i to piękną i inteligentną. Myślę, że czuł się przy mnie zagrożony.

– Sir Konrad nigdy ci tego nie powie – powiedział trzeźwo. – Ale będzie załamany, jeśli od niego odejdziesz.

– Przestań – powiedziałam, kręcąc głową. Nie chciałam tego słyszeć. To było do głębi i frustrująco niesprawiedliwe. – Jak śmiesz mnie tak pouczać. To moje życie i zrobię z nim, co mi się podoba.

– Tak, zacząłem już oczekiwać od ciebie takiego zachowania.

– Dupek – rzuciłam, rumieniąc się od nagłego gniewu.

Bressinger prychnął, lecz to była jego jedyna reakcja; wydawał się nieco zgarbiony, jak poduszka, z której usunięto połowę pierza.

Wstałam i ruszyłam do drzwi, napędzana własnym gniewem. Odwróciłam się tylko raz. Bressinger wbił wzrok w stół i powoli podniósł rękę, zamawiając kolejne piwo. Poczulałam zniesmaczenie i wyszłam z pubu.

* * *

Udałam się za róg, do pana Maquerinka, mijając zdumionych wyznawców Vonvalta i ich głupie podarunki, i weszłam głównym wejściem. Ponownie usłyszałam dochodzący z piwnicy głos Sędziego. Zeszłam po schodach, czując

się jak intruz. Na dole powitał mnie znajomy obraz: Vonvalt i medyk pochylali się nad stołem, badając zwłoki.

– Heleno – powiedział Vonvalt z zaskakującą jowialnością. – Powinnaś być z siebie dumna. Posiadasz przenikliwy umysł śledczego.

Ugryzłam się w język. Kości na stole wywarły na mnie mniejsze wrażenie, niż się spodziewałam. Była to tylko smętna sterta, a każdy kawałek był niemal nie do odróżnienia od pozostałych. W gruncie rzeczy byłam zaskoczona, jak mało ich zostało. Mijało wiele lat, nim ciała w trumnach rozkładały się do końca, a nawet sobie nie wyobrażałam, że lord Bauer pochował syna bezpośrednio w ziemi.

Chciałam już powiedzieć Vonvaltowi, że szybciej zakończę naszą umowę, lecz nagle poczułam zaintrygowanie, niepowstrzymane niczym przyływ.

– To ciało zostało posypane wapnem – powiedziałam. Nagle poczułam potrzebę, by wykazać się mądrością i spostrzegawczością.

– Dokładnie o tym właśnie mówiliśmy – odparł Vonvalt.

– Imponująca dedukcja, panienko – dodał Maquerink. – Przechodziłaś szkolenie w tym zakresie?

– Nie formalne – odpowiedziałam, szybko wchodząc w temat mimo gorącego poczucia nienawiści do siebie. – Jak pan powiedział, to dedukcja. Lord Bauer niemal z całą pewnością pochował chłopca w trumnie. A skoro tak było, z ciała powinno pozostać o wiele więcej niż tylko ta żałosna sterta.

Trudno było określić słowami przepełniające mnie uczucia. Nawiązałam do wcześniejszej pochwały Vonvalta jako czegoś, co ogromnie sobie ceniłam, ale to było coś więcej – to uzależniało. Było jak słodki eliksir. A teraz, dzięki niechcianym pytaniom Matasa, zaczęłam patrzeć na Vonvalta również w nowym świetle, i to naprawdę niezdrowym. Był przystojny, władczy i uczony. W jego obecności Matas pojawiał się w moich myślach jako chłopiec, niedojrzały i śmieszny ze swoimi poglądami na miłość. Poczułam dziwną i nagłą potrzebę odcięcia się od niego.

Nienawidziłam się za te myśli, szczególnie przy zwłokach. Wiele to mówiło o przepełniającej mnie dezorientacji, gęstych emocjach, które do dziś wyraźnie pamiętam. To prawdziwy cud, że każdy wychodzi z wieku młodzieńczego przy chociaż odrobinę zdrowych zmysłach. Ja wciąż nie jestem przekonana, że mi się to udało.

– Nie mam cienia wątpliwości, że doszło tu do przestępstwa... i że lord Bauer o tym wiedział – powiedział Vonvalt z pełnym niesmaku prychnięciem. – Już ustaliłem z sir Radomirem wysłanie za nim uzbrojonych ludzi. Przy odrobinie szczęścia wkrótce zostanie pojmany.

– Co pan teraz zrobi? – zapytał medyk.

– Porozmawiam z asystentem Bauera. – Spojrzał na mnie. – Czy Dubine poszedł do pubu?

– Tak. Nie był w najlepszym stanie. – Nie czułam się źle, informując go o tym. Chciałam zranić go tak samo, jak on zranił mnie.

Ku mojemu zaskoczeniu i irytacji Vonvalt nie wyglądał na rozdrażnionego.

– Nie, zapewne nie był – powiedział. – Ostatnia noc była dla niego ciężka. – Ponownie odwrócił się do lekarza. – Jeszcze raz dziękuję panu za poświęcony czas. I przepraszam, że trzymałem pana tu przez większość nocy.

– Zawsze jestem gotów pomóc, kiedy tylko mogę – odparł wielkodusznie starzec, chociaż nie miałam wątpliwości, że zamknie zakład natychmiast, jak tylko wyjdziemy za próg.

Kiedy byliśmy już poza zasięgiem jego słuchu, zwróciłam się do Vonvalta.

– Co się przytrafiło Dubine’owi? – zapytałam otwarcie.

– Co masz na myśli? – odpowiedział Vonvalt.

– Dobrze wiesz – rzuciłam. – To ma coś wspólnego z dziećmi, to jasne. Kiedykolwiek rozmawiamy o śmierci dziecka albo jej formie jako części naszej pracy, staje się melancholijny i agresywny. Jest teraz w okropnym nastroju i pije do nieprzytomności... – Urwałam nagle, gdy dotarła do mnie oczywista myśl, która powinna przyjść mi do głowy już dawno temu. – Sir Konradzie... – zapytałam, w jednej chwili zapominając o gniewie. – Czy on stracił dziecko?

Vonvalt spojrzął na mnie z ukosa. Przez chwilę lustrował mnie wzrokiem. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała śmiertelna powaga.

– Nie powiesz mu, że z tobą o tym rozmawiałem. Nie pozwól mu się dowiedzieć, że wiesz, nawet gdybyś chciała jedynie okazać mu współczucie. Jeśli to zrobisz, dowiesz się, w jak naprawdę czarny nastrój potrafi wpaść Dubine.

– Dobrze – obiecałam.

– Mówię poważnie, Heleno. Nigdy nie możesz o tym wspomnieć.

– Nie wspomnę – odparłam, nagle sama wpadając w melancholię.

Vonvalt westchnął. Miałam wrażenie, że w jednej chwili postarzał się o dziesięć lat.

– Dubine nie stracił dziecka – rzekł cicho. – Stracił dwoje.

Mimowolnie zasłoniłam dłonią usta. Moją pierwszą reakcją było poczucie winy. Jak mogłam nie mieć pojęcia o czymś tak ważnym, co tyle wyjaśniało w kwestii zmiennego zachowania Bressingera?

– Jak? – zapytałam szeptem. Myśl, że Bressinger musiał znieść taki ból, sprawiła, że łzy w jednej chwili napłynęły mi do oczu.

– Podczas Wojny Imperialnej – odpowiedział Vonvalt. – Mieliśmy wtedy dziewiętnaście lat, tyle samo, ile ty masz teraz. On i ja byliśmy w tej samej

kompanii. Ale szczegóły nie są ważne. Walczyliśmy na południe od Denholtz, prawdziwie dzikich terenach, na których po dziś dzień wybuchają rebelie. W czasie, kiedy byliśmy tam zaangażowani, niewielka armia Venlandczyków ruszyła na zachód w stronę Grozody i pokonała cesarski garnizon w Annholt. Wycięli wszystkich w mieście w pień, w tym żonę Dubine'a i jego dwóch maleńkich synów. – Vonvalt zamilkł na moment. – Cóż, nie trzeba dużo, by wyobrazić sobie, co coś takiego robi z człowiekiem.

– Na Neme – powiedziałam. Po twarzy spłynęły mi łzy. – Nie miałam pojęcia.

– Nie, bo nie miałas o niczym wiedzieć. Dubine to twardy człowiek, ale codziennie dźwiga to brzemię. Wiele lat przyjaźni i cierpliwości trwało, nim doszedł do miejsca, w którym jest teraz, ale ten ból można tylko zdusić, nigdy wymazać. Musisz wybaczyć mu okazjonalne wybuchy.

– Oczywiście – odparłam, czując się kompletnie rozbita.

Vonvalt pokręcił głową i się wyprostował.

– Proszę. Chciałaś wiedzieć i teraz już wiesz. Nie pozwól Dubine'owi nieść również twojej rozpacz. Opanuj się. Mamy pracę do wykonania.

Otarłam policzki i oczy z łez.

– Tak – powiedziałam. – Oczywiście, zrobię to.

– W takim razie chodźmy – odparł Vonvalt. – Miejmy to już za sobą.

* * *

Ruszyliśmy w stronę miejskiego skarbcza – dwukondygnacyjnego budynku z drewna i cegieł wciśniętego pomiędzy ratusz i świątynię. Plac, przy którym stały te budynki – duża, wyłożona brukiem przestrzeń – z nakazu miejskich rozporządzeń był wolny od straganów, jednak dzisiaj jarmark, przybyły aż z Venland, sprzedawał dobra z Jadeitowego Morza i cały bazar aż pękał od handlarzy i klientów.

Przepchnęliśmy się przez tłum i podeszliśmy do budynku skarbcza. Z oczywistych powodów nie było to miejsce otwarte dla obcych i przy drzwiach zatrzymał nas strażnik.

– Jesteś człowiekiem sir Radomira? – zapytał Vonvalt.

Strażnik dotknął palcami hełmu.

– Tak, panie – odpowiedział.

Był to mężczyzna w wieku około trzydziestu lat, ze strąkowatymi włosami i twarzą naznaczoną bliznami po jakiejś przebytej w dzieciństwie chorobie. Podobnie jak u sir Radomira, osoba Vonvalta i autorytet, jaki reprezentował, nie zrobiły na nim wrażenia.

– Przyszedłem zobaczyć się z Fenlandem Gravesem. Jest może w środku? – zapytał Vonvalt.

Strażnik skinął głową i otworzył drzwi. Niemal zaraz za nimi znajdowały się drewniane schody.

– Jest. Proszę, zaprowadzę was. Będę jednak musiał zatrzymać wasz miecz, panie. Nie wolno wносить broni do skarbcza.

Vonvalt westchnął.

– Obawiam się, że w moim przypadku będzie musiał pan zrobić wyjątek – powiedział. – Chodźmy, mam pilną sprawę do załatwienia.

Strażnik zamarł na chwilę urażony.

– Jak tam chcecie – rzucił w końcu i ruszył po schodach na piętro.

– Obserwowaliście go? – zapytał Vonvalt.

– Tak – odparł krótko strażnik, nie zwalniając kroku.

– I nie zrobił nic niewłaściwego?

– Nic, co bym zobaczył. Ot, zwyczajne przyjścia i wyjścia.

– Powinieniem przesłuchać cię później co do kwestii, gdzie dokładnie był. Prowadzicie rejestr, zgodnie z instrukcjami sir Radomira?

– Tak – odrzekł mężczyzna nieco rozdrażniony.

Dotarliśmy na szczyt schodów, na przestronne półpiętro, którego podłoga została wyłożona czerwonym dywanem w zawily wzór.

– Pan Graves zajmuje się swoimi interesami tutaj. Proszę, będę wam towarzyszył. Wierzy w to, że go strzegę.

– Nie ma takiej potrzeby, dziękuję – odparł Vonvalt. – Może pan wrócić do stróżówki i podjąć się swoich obowiązków.

Strażnik zamarł, wyraźnie niepewny, co zrobić, po czym burknął coś i odwrócił się, by odejść.

– Dziwny jegomość – mruknął do mnie Vonvalt, kiedy mężczyzna znalazł się poza zasięgiem słuchu, po czym mocno zastukał do drzwi. – Panie Graves? Proszę otworzyć. Tu Sędzia sir Konrad Vonvalt.

– Wejść – padła krótka odpowiedź.

Vonvalt i ja wymieniliśmy spojrzenia. Vonvalt pchnął drzwi... i niemal upadł, gdy w tej samej chwili ktoś szarpnięciem otworzył je na oścież.

– Uważaj! – krzyknęłam.

Po prawej stronie stał mężczyzna w szatach straży miejskiej, gotów ściąć Vonvaltowi głowę. Bez zastanowienia rzuciłam się do przodu i z całym impetem uderzyłam go w żebra. Pozbawiony równowagi zatoczył się na bok, a jego miecz wbił się w ciemne, twarde biurko Gravesa.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął Vonvalt.

W komnacie znajdowało się trzech mężczyzn. Wszyscy byli uzbrojeni i odziani w zbroje, i wszyscy nosili żółto-niebieskie barwy straży miejskiej Galen's Vale. Każdy ścisnął w ręku ostrze. Znaczenie tego, co się tu działo, było oczywiste.

– Heleno, uciekaj! – zawołał do mnie Vonvalt z ponurą twarzą, po czym wyciągnął swój krótki miecz.

Przyznaję, że nie dawałam mu większych szans.

– Sir Konradzie! – krzyknęłam.

– Idź! Przyrowadź sir Radomira!

Odwróciłam się, jednak strażnik, który przyprowadził nas na piętro, blokował schody.

– Na co czekacie, głupki?! – zawołał do trzech mężczyzn w pokoju. – Zabijcie go!

Bezradnie patrzyłam, jak zaczynają zbliżać się do Vonvalta. Ten, który wcześniej już go zaatakował, ponownie na niego natarł, niewprawnie robiąc zamach mieczem. Vonvalt niemal od niechcienia kopnięciem wybił mu broń z ręki, po czym jednym zwinnym ciosem rozciął mu szczękę na pół. Mężczyzna zatoczył się z wytrzeszczonymi oczami i krwią buchającą ze wstrętnej rany. Odruchowo podniósł ręce, by chwycić się za dolną część twarzy, a wtedy Vonvalt szybko przebił mu serce mieczem.

– Na pieprzone cycki Nemy – warknął strażnik za moimi plecami i wyciągnął własną broń.

– Nie! – krzyknęłam.

Na bogów, nie byłam jakimś tam zwiędłym fiołkiem, ale myśl o ponownym ataku na żołnierza o połowę większego ode mnie pozbawiła mnie wszelkiej odwagi.

– *Rzućcie broń!* – zawołał Vonvalt.

Głos Cesarza. Szyby w oknie za biurkiem pękły, a obaj mężczyźni w pokoju się zachwiali. Krew buchnęła im z nosów i obaj z niedowierzaniem patrzyli, jak broń wypada im z rąk. Nawet ja byłam oszołomiona, a moja dziwna i beznadziejna potrzeba zaatakowania strażnika minęła.

Vonvalt podszedł do dwóch pozostałych mężczyzn. Byli teraz niczym nowo narodzone szczeniaki, bezbronni i zamroczeni. Podnieśli ręce, by odeprzeć wściekłe uderzenia Vonvalta, ale nic im to nie dało. Vonvalt uśmiercił jednego okropnym ciosem, wbijając miecz w jego usta z taką siłą, że ostrze wyszło z tyłu głowy. Drugi z napastników z płaczem opadł na kolana, lecz Vonvalt końcem miecza strącił mu hełm z głowy i rozplątał głowę od ciemienia aż po brodę. Z obrzydzeniem patrzyłam, jak jego mózg wysuwa się z rozłupanej czaszki, niczym ostryga z muszli.

– Za tobą! – próbowałam zawołać, pozbawiona tchu w efekcie Głosu i makabrycznego widowiska, jakiego właśnie byłam świadkiem.

Strażnik przed wejściem uniknął największego wpływu Głosu i teraz ruszył, by zaatakować Vonvalta od tyłu. Rzuciłam się do przodu, by zablokować mu drogę.

– Sir Konradzie! – krzyknęłam znów, ledwie świadoma tego, że Vonvalt odwrócił się gwałtownie.

Wtedy mężczyzna, zamachnął się w progu pod dziwnym kątem i rękojeścią miecza nieudolnie uderzył mnie w głowę. Do dziś pamiętam tamto uczucie: nagły, ostry ból, bezgłośna eksplozja w głowie i falujący obraz. Osunęłam się na podłogę, mgliście świadoma wołania Vonvalta. Chyba wykrzyknął moje imię.

W następnej chwili ponownie użył Głosu Cesarza i natychmiast straciłam przytomność, jakbym otrzymała kolejny cios.

* * *

Odzyskałam świadomość i pierwsze, co nad sobą zobaczyłam, to zaniepokojoną i zbryzganą krwią twarz Vonvalta, obok którego pochylał się o wiele spokojniejszy pan Maquerink.

– Powoli, dziewczyno – powiedział stary lekarz, wyczuwając moją dezorientację. – Jesteś bezpieczna.

Z wysiłkiem zaczęłam się podnosić. W moim zamroczeniu byłam przekonana, że strażnik nadal tam jest, gotów dokończyć dzieła.

– *Uspokój się* – powiedział Vonvalt.

Poczułam, jak uderza we mnie siła jego słów. Ogarnięty niepokojem przypadkowo użył Głosu Cesarza. Jednakże nie tyle mnie uspokoił, ile wyrwał z apatii równie skutecznie jak uderzenie w twarz.

Pan Maquerink spojrział z przyganą na Vonvalta, ten jednak nie przejął się krytyką medyka.

– Graves – wychrypiałam.

– Musi się napić – rzucił Vonvalt.

– Proszę, wypij to – powiedział pan Maquerink i wcisnął mi kufel w dłoń.

Podniosłam naczynie do ust i łąpczywie wypiałam coś, co okazało się piwem.

– Nie śmiem podać ci czegoś mocniejszego – dodał lekarz, widząc, jak marszczę nos na smak ale. – Nie jest rozsądnie odurzać mózg po tym, gdy otrzymał tak poważny cios.

– On chciał... – zaczęłam, lecz Maquerink mnie uciszył.

– Poczekaj kilka chwil, aż dojdiesz do siebie.

– Dubine ruszył w pościg za Gravesem – powiedział Vonvalt, by zaspokoić moją nagłą potrzebę informacji.

Oparłam się o wezglowie łóżka – jako że na szczęście leżałam w domu pana Maquerinka, a nie na jednym z tych okropnych stołów na zwłoki w piwnicy – i odetchnęłam głęboko. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę z tępego, pulsującego bólu w głowie, który z każdą sekundą narastał. Podniosłam rękę, by dotknąć bolącego miejsca, lecz medyk mnie powstrzymał.

– Na razie nie dotykaj – powiedział. – Nałożyłem maść. Przemyłem ranę i niedługo nałożę opatrunek.

– Czy to poważne?

– Zagoi się – odparł Maquerink. – Musiałem ją zszyć. Zostanie blizna, ale gdy włosy odrosną, to ją zasłonią.

Natychmiast podniosłam rękę, by dotknąć rany, i ku swojemu przerażeniu odkryłam, że prawa strona mojej głowy została wygolona. Co najdziwniejsze, to właśnie ten trywialny fakt przelał czarę mej goryczy. Nagle przytłoczona emocjami wybuchnęłam płaczem.

Vonvalt wyglądał na tak skrepowanego, jak mogłam się spodziewać, lecz pan Maquerink spojrział na mnie ze współczuciem.

– Przykro mi, panno Sedanka – powiedział. – Nie zrobiłbym tego, gdyby to nie było konieczne. Musiałem obejrzeć i oczyścić ranę, a włosy odrosną.

Chwilę trwało, nim się uspokoiłam. Lekarz zaoferował mi więcej picia – mocniejszego i smaczniejszego piwa – ale miał rację, początkowo mi go odmawiając. Alkohol sprawił, że niemal od razu zaczęło wirować mi w głowie i zaledwie po kilku łykach oddałam mu kufel. Medyk wyniósł go z pokoju; Vonvalt wyraźnie chciał porozmawiać ze mną na osobności.

– Gdzie teraz jest Graves? – zapytałam.

– Dubine i sir Radomir wzięli kilku ludzi i udali się za nim w pościg – odparł. – Ruszył na Wschód, w stronę Roundstone. Nie mam pojęcia, co chce tam uzyskać, jeśli to jego ostateczny cel. W każdym razie nie dotrze daleko. Nie ma go zaledwie pół dnia.

Nie miałam czasu mu odpowiedzieć. Czując nagłe mdłości, sięgnęłam po stojącą przy łóżku misę i zwróciłam całe piwo, które dopiero wypiałam.

– Lekarz! – zagrzmiął Vonvalt, na co w mgnieniu oka w pokoju pojawił się Maquerink.

Opróżniłam żołądek z resztek piwa i bezwładnie opadłam na łóżko.

– Co się z nią dzieje? – zapytał Vonvalt.

Medyk zignorował go. Przyłożył dłoń do mojego czoła i przyjrzał się ranie.

– Nie zasypiaj, dziewczyno – powiedział. – Po takim uderzeniu w głowę nie wolno ci zasnąć. Mózg walczy o to, by się zamknąć. Jeśli teraz zaśniesz, możesz

nie odzyskać przytomności. Kolejne kilka godzin będzie krytyczne, jeśli chodzi o twój powrót do zdrowia.

Nawet po usłyszeniu tak przerażających wieści, potrzeba, by zamknąć oczy, była wręcz obezwładniająca. Czułam się wyczerpana, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

– Heleno! Posłuchaj go – nakazał Vonvalt. W jego oczach widziałam strach.

– ...zmęczona – wykrztusiłam.

Pan Maquerink szybko podszedł do okna i otworzył je na oścież. Natychmiast do pokoju wtargnęło zimne powietrze, przynosząc ulgę mojemu rozpalonemu czołu.

– Musimy sprawić, by nie było jej wygodnie. Jej ciało pragnie braku świadomości, jednak to by było dla niej śmiertelnie niebezpieczne – ciągnął Maquerink. Odwrócił się do mnie. – Heleno, musisz wstać albo chociaż usiąść. Chodź, podejdź do okna.

Pozwoliłam im zaprowadzić się do otwartego okna. Zimne powietrze wdzierało się do pokoju niczym wodospad.

– Trzeba ją rozebrać – powiedział lekarz.

Poczułam, jak zdejmują ze mnie szaty, aż w końcu pozostałam jedynie w cienkiej koszuli. Wkrótce zaczęłam się trząść.

– To dobrze – powiedział Maquerink.

On i Vonvalt robili, co mogli, by na mnie nie patrzeć. Wedle sovańskich, jak i lokalnych zwyczajów, popełnialiśmy teraz szereg grzechów. Wystarczyłby jeden mocniejszy podmuch i odsłoniłoby mnie całą. Nawet ogarnięta zamroczeniem poczułam gdzieś z tyłu głowy ukłucie zażenowania.

Ich usilne starania, by powstrzymać mnie od snu, trwały jakiś czas i obejmowały traktowanie mnie zimnym powietrzem, zimną wodą i wymuszonymi spacerami po aptece. Była to najczystsza tortura, a moje ciało protestowało przy każdym kroku. Czułam się, jak pociągające nogami zwłoki, ledwie reagując na instrukcje lekarza. Zanim jednak zapadła ciemność i płatki śniegu zaczęły wpadać przez okna, poczułam się nieco bardziej przytomna, chociaż to była jedyna dobra rzecz, jaka z tego wyniknęła.

Vonvalt i lekarz zaprowadzili mnie do łóżka i kazali siedzieć. Czułam się przemarznięta do szpiku kości i wyczerpana od ciągłych dreszczy i od uderzenia w głowę.

Doktor Maquerink zbadał mnie dokładnie, porównując mój stan z różnymi gwiazdnymi i zodiakalnymi wykresami, i wykonując matematyczne obliczenia w oparciu o liczne wytyczne. Wypił również duży łyk mojego moczu, który określił jako dobry, chociaż o wiele za bardzo skoncentrowany, po czym dał mi kufel ale, tym razem do powolnego popijania. Wtedy dopiero wyjaśnił mi,

dlaczego zrobił to wszystko – przy czym Vonvalt, zatwardziały hipochondryk, kiwał głową przy każdym jego słowie – aż w końcu pozwolił mi odpocząć. Jedyną myślą, która nagle mnie uderzyła, było to, ile mój pobyt tutaj będzie Vonvalta kosztował. Lekarze kalibru doktora Maquerinka nie byli tani.

– Koszt – wymamrotałam, lecz Vonvalt szybko mnie uciszył.

– Odpoczywaj, Heleno. Nie wysilaj się. Przyjdę do ciebie jutro z samego rana.

Rozluźniłam się i z ulgą zapadłam w nieświadomość, której tak bardzo pragnęłam. Nie mogłam się doczekać nocy i długiego, głębokiego snu, a po przebudzeniu późnym rankiem być może ogromnego śniadania.

Zamiast tego ta noc okazała się jedną z najbardziej przerażających w moim życiu.

XVI

Rozmowa z umarłym

„Wyciągnięcie słów z ust umarłego to podła i niereligijna praktyka, która z pewnością nieodwracalnie zatruje duszę każdego, kto bierze w tym udział”.

Sir Kristopher Mayer

Obudziły mnie odgłosy zamieszania. Trzaskanie drzwi, tupot ciężkich butów, krzyki mężczyzn. Usiadłam na łóżku oszołomiona i zdezorientowana. Rana na mojej głowie pulsowała bólem. Nadal panowała noc – za oknem wciąż było ciemno, a jedyne światło pochodziło z bladych i kopcących ulicznych latarni.

Przez jedną okropną chwilę myślałam, że dom napadli bandyci, lecz nawet w głębokim zamroczeniu zdołałam w panującym hałasie rozróżnić głosy Bressingera i Vonvalta.

Drzwi do pokoju otworzyły się na oścież od kopnięcia ciężkim butem. Czterech mężczyzn szamotało się z piątym: Bressinger, Vonvalt, sir Radomir i jeszcze jeden uzbrojony i odziany w zbroję człowiek, którego nie rozpoznałam, a który miał na sobie barwy miasta. Nie przychodziło mi jednak do głowy, kim mógł być piąty z nich, dopóki nie został brutalnie rzucony na łóżko obok mnie.

To mógł być tylko Graves.

– Światło, szybko! – rzucił Vonvalt.

W drzwiach pojawiła się szоста osoba: pan Maquerink.

Wszyscy zachowywali się tak, jakby mnie tam nie było. Przez moment zastanawiałam się nawet, czy może nie umarłam gdzieś w nocy i teraz to mój duch im się przyglądał, przejrzysty i dla nich niewidzialny. Jednak strażnik miejski rzucił mi szybkie, ponure spojrzenie i wiedziałam, że mnie widzą. I ignorują.

Z pełną przerażenia fascynacją patrzyłam na ich działania, pomimo bólu w głowie starając się poskładać do kupy to, co się tu teraz działo. Dopiero, kiedy przyniesiono lampę i zapalono świece, dostrzegłam ciągnący się po podłodze długi ślad krwi oraz szkarłatną plamę znaczącą przód ubrania Gravesa i większą część ubrań trzymających go mężczyzn.

– Przytrzymaj go za nogę! – burknął Bressinger do sir Radomira.

Graves rzucał się na łóżku niczym wściekły pies. Słyszałam, jak oddech rzeźbił mu w płucach. Mężczyzna został przebity mieczem, tyle było dla mnie jasne. Widziałam jego ranę na żebrach i krew, która buchała z niej jak różowa, piana lawa.

Cała czwórka nadal walczyła z rzucającym się Gravesem. W panującym szaleństwie i ogarnięta paniką nagle zdałam sobie sprawę, że Vonvalt próbuje zadawać mu pytania. Sir Radomir, strażnik i Bressinger usiłowali zapanować nad rzucającym się mężczyzną, a Vonvalt przesłuchiwał go, jakby był w sali sądowej. Wtedy myślałam, że stracił rozum; nie pojmowałam, co próbował osiągnąć. Graves nie był w stanie robić czegokolwiek poza szarpaniem się. Jednakże po tym, co wydarzyło się później, zrozumiałam, dlaczego Vonvalt tak bardzo chciał się czegokolwiek dowiedzieć, nim mężczyzna umrze.

Wszystko poszło na marne. Nie wiem, ile czasu trwała agonía Gravesa. Większość ludzi od takiej rany zmarłaby w jednej chwili. W przypadku Gravesa miałam wrażenie, że ten moment nadszedł dopiero, gdy z jego ciała wypłynęła ostatnia kropla krwi.

A wtedy, po głębokim, chrapliwym oddechu zapadła cisza. Graves opadł bezwładnie na łóżko, puszczając mężczyzn, którzy jeszcze sekundę wcześniej walczyli, by utrzymać go na miejscu. Dostrzegłam, że jego skóra nabrała woskowego koloru.

Vonvalt odwrócił się z powagą na twarzy do Bressingera.

– Przynies moje rzeczy. Jak najszybciej – powiedział cicho.

Bressinger bez wahania wyszedł z pokoju.

– Co teraz? – zapytał sir Radomir.

– Spróbuję z nim porozmawiać – odparł Vonvalt.

Przez chwilę szeryf wyglądał na zdezorientowanego. Po chwili jednak zrozumiał.

– Na Neme – mruknął.

– Nie wezmę w tym udziału – powiedział strażnik. Odsunął się od zwłok, rzucając Vonvaltowi spojrzenie pełne strachu i wstrętu jednocześnie.

– W takim razie wynoś się! – rzucił sir Radomir.

– Ty lepiej również wyjdź – powiedział do niego Vonvalt, kiedy strażnik znalazł się już poza zasięgiem słuchu. – Stwierdzić, że to będzie nieprzyjemne,

byłoby ogromnym niedopowiedzeniem. – Poczulałam zaskoczenie, kiedy nagle popatrzył mi w oczy. W panującym zamieszaniu sama uznałam się za niewidzialną. – Ty też, Heleno. Nie jesteś na to gotowa.

– Nie – odparłam ku własnemu zaskoczeniu.

Nie mam pojęcia, co mnie opętało, że zdecydowałam się być świadkiem tego spektaklu. Oczywiście, że tego żałuję. Myślę, że wtedy wmówiłam sobie, że moim obowiązkiem było wzięcie w tym udziału. Nekromancja była praktyką integralną dla Zakonu Magistratu. Każdy Sędzia musiał się jej nauczyć, nawet jeśli tylko nieliczni z nich potrafili właściwie pokierować mocą. Gdybym, pomimo ciągłego niezdecydowania, została jedną z nich, od czegoś musiałam zacząć. Jednak analizując teraz tamtą sytuację, sądzę, że w większości była to po prostu chorobliwa fascynacja.

Jakikolwiek był powód, jedno jest pewne: gdybym tylko mogła usunąć całą wiedzę o tym i wymazać to wydarzenie ze swojej pamięci, z pewnością bym to zrobiła. Nawet przez chwilę nie myślałam, że sama będę to praktykować.

Vonvalt wzruszył ramionami.

– Jak chcesz – powiedział. – Pomóżcie mi przestawić łóżko.

Sir Radomir, pan Maquerink i ja odsunęliśmy posłanie, po czym Vonvalt i sir Radomir ściągnęli zwłoki Gravesa na podłogę.

– Cofnijcie się, proszę – powiedział Vonvalt.

Patrzyliśmy, jak skupił się na zwłokach, aż w końcu Bressinger wrócił, niosąc czarną skrzynkę, którą kojarzyłam z głębokim poczuciem strachu.

– Dzięki – mruknął Vonvalt.

– Chodź, Heleno – powiedział, podchodząc, by wyprowadzić mnie na zewnątrz.

– Nie – sprzeciwił się Vonvalt, po czym otworzył skrzynkę i wyciągnął z niej zawartość: kilka błyskotek i *Grimoire Necromantia*, opasłą księgę oprawioną w sztywną skórę i zamkniętą na metalowy zatrzask.

– Chyba nie oczekujesz, że będzie się temu przyglądać? – rzucił Bressinger z niedowierzaniem.

– Powiedziałem, żeby wyszła – powiedział Vonvalt. – Ale sama chce zostać.

– Heleno – zwrócił się do mnie Bressinger. Na jego twarzy widoczna była walka o opanowanie nad sobą, a także strach o mnie. – Nie jesteś gotowa.

Zanim zdołałam odpowiedzieć, Vonvalt opuścił dłoń na ramię Bressingera.

– Szybko. Nie mamy na to czasu.

Bressinger westchnął. Patrzyłam, jak Vonvalt założył srebrny naszyjnik, który, jak sądziłam, przedstawiał łańcuch Bogini Matki, Nemy. W rzeczywistości był to draedyjski bóg Oleni, którego Sovanie przejęli.

Bressinger i Vonvalt stanęli naprzeciwko siebie. Bressinger położył rękę na ramieniu Vonvalta i obaj przemówili w wysokim saxańskim:

– *Azshtre stovakato bratnaya to zi chovekna eyrsvet linata. Kogata govoria dumitenta boga mai ka, toi mozh daesevu rne vyr zemyatra nazivite.*

Światło świec zamigotało. Mglistość była świadoma wyjścia Maquerinka, który miał dość tajemnej sztuki, lecz sir Radomir pozostał, chociaż cofnął się do narożnika pokoju. Powietrze było przesycone nerwowością. Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem takiej ciszy.

Vonvalt odwrócił się od Bressingera, po czym zdjął zatrask z zamka i otworzył *Grimoire Necromantia*. Przerzucił kartki na właściwą stronę i usatysfakcjonowany stanął w nogach Gravesa.

– Kiedy zacznę, nikt nie może wyjść z pokoju – powiedział. – Wszyscy musicie pozostać w całkowitym bezruchu i ciszy. Bez względu na to, co się wydarzy, nie możecie się poruszyć. A nade wszystko nie dotykajcie mnie.

– Poczekaj – rzucił z kąta sir Radomir. Miał bladą twarz, a jego głos był ledwie słyszalny. – Zmieniłem zdanie.

– Wyjdz, byle szybko – powiedział Vonvalt.

Szeryf pośpiesznie opuścił pokój.

– Nie krzycz – zwrócił się do mnie Vonvalt. – Będiesz chciała to zrobić, ale nie wolno ci.

– Dobrze – wykrztusiłam.

Vonvalt skinął głową Bressingerowi, który odpowiedział podobnym gestem. W następnej chwili odwrócił się w stronę *Grimoire Necromantia* i wypowiedział krótką inkwizycję, której nie wolno mi teraz powtórzyć. Kiedy skończył, zamknął księgę i przekazał ją Bressingerowi. Ten schował ją do skrzynki. Następnie Dubine cofnął się o kilka kroków.

I czekał.

Patrzyłam na zwłoki Gravesa. Krew tętniła mi w uszach. Cisza była tak potężna, że aż ogłuszająca. Kilka minut trwało, nim zdałam sobie sprawę, że Vonvalt coś mówił. Robił to bardzo cicho i w języku, którego nie rozumiałam.

Wtedy Graves otworzył oczy.

Trudno mi wyrazić słowami uczucie szoku, odrazy i strachu, które mnie wtedy ogarnęły. Pamiętam, że obraz rozmazał mi się przed oczami, a żołądek ścisnął. To uczucie było podobne do stania na szczycie Wieży Świętego Veluriana w Świątyni Savara w Sovie, najwyższej budowli w Imperium. Patrząc w dół na odległą ziemię mimowolnie ogarnia człowieka poczucie ogromnego niepokoju; jest oszałamiające i przerażające, i sprawia wrażenie utraty równowagi.

Mój mózg wyraźnie sprzeciwiał się temu, co właśnie widziałam. Było to tak do głębi zatrważające, że zaczęłam łkać. Chciałam przestać patrzeć, ale ogarnęła mnie czysta niemoc. Oczy Gravesa były niczym czarne, głębokie i nieskończone sadzawki atramentu, które wysysały z pokoju wszelkie światło. Jego usta drgnęły. Słowa Vonvalta, wypowiedziane po cichu, lecz zdecydowanie w tym tajemniczym języku, zdawały się je rozchyłać, jakby ktoś pociągał za niewidzialną nić.

Całe ciało Gravesa zaczęło drgać i poruszać się niczym marionetka. To był groteskowy widok. Jego gwałtowne skurcze sprawiły, że z rany zaczęło wypływać jeszcze więcej krzepnącej już krwi. Po pokoju rozniósł się dźwięk pękających kości, który sprawił, że poczułam mdłości. W końcu mężczyzna otworzył usta i zaczął nimi poruszać, niczym topielec. W tej samej chwili wyczułam w pokoju obecność kogoś jeszcze. Czułam to z absolutną pewnością. Moją skórę pokryła gęsia skórka. Świece zamigotały i przygasły. Modliłam się do wszystkich bogów, jakich tylko znałam, by całkiem nie zgasły. Paliły się dalej, lecz światło, jakie dawały, było jakieś inne. Miałam wrażenie, że ono również było czarne.

Vonvalt przestał mruzczyć. Spojrzałam na niego. Jego oczy stały się szkliste.

– Pracujesz dla lorda Bauera – powiedział.

Zwłoki drgnęły.

– Lorda Bauera – odparł Graves.

Brzmiało to tak, jakby ktoś mówił z ustami pełnymi ziemi lub bagnistej wody. Głos był zgrzytliwy, bulgoczący i głęboki.

– W miejskim skarbcu – powiedział Vonvalt.

– Zieleń... i płótno na wietrze – wykrztusił Graves, po czym wymamrotał: – Skowronek w lecie... duża belka materiału. Morze. Widzę morze.

– Kto cię zabił? – zapytał Vonvalt.

– Kto mnie zabił? – odpowiedział Graves.

– Kto cię zabił? – naciskał dalej Vonvalt.

– Cholernie wielki Grozodanin, widzę go teraz – powiedział Graves w chwili zaskakującej trzeźwości.

Przelotnie napotkałam spojrzenie Bressingera, który podzielił ze mną wyraz niemego przerażenia. Zaciekawilo mnie, w ilu seansach wcześniej uczestniczył. Po rozmowie Vonvalta ze zwłokami sir Otmara w strażnicy na Górze Gablera wiedziałam, że samodzielnie potrafił dokonać odpowiedniego rytuału, i zaczęłam się zastanawiać, jaka była rola Bressingera w tym, który miał miejsce teraz.

– Pracujesz dla lorda Bauera – powtórzył Vonvalt.

Zapadła cisza. W końcu Graves powiedział:

– Ze wszystkich rzeczy, które zrobiłem, nigdy w całym moim życiu.

- Pomagałeś w prowadzeniu rachunków miasta.
- Ojciec Czasu to surowy klient.
- Słuchaj mnie! – rzucił nagle Vonvalt.
- Oszust mnie więzi – powiedział Graves.

Kiedy to mówił, dostrzegłam wypływającą z jego ust gęstą i ciemną ślinę. Czulałam, że targa mną szloch, lecz pamiętając o ostrzeżeniu Vonvalta, starałam się zdusić dźwięk.

- Pracowałeś dla lorda Bauera.
- W miejskim skarbcu – wybełkotał przeciągle Graves.
- Wypłacałeś klasztorowi pieniądze.
- To mroczne miejsce – odpowiedział Graves.
- Czy córka lorda Bauera jest zakładniczką w klasztorze?
- Wszyscy są tam zakładnikami.

Vonvalt powtórzył pytanie jeszcze trzy razy, nim otrzymał w miarę zrozumiałą odpowiedź.

- Jest gościem niebezpiecznego człowieka – powiedział Graves z westchnieniem. – Czuję wielki ból, Sędzio. Wypuść mnie i odejź.
- Jak się nazywa człowiek z klasztoru? Kto przetrzymuje Sanję Bauer?
- Klasztor... to mroczne miejsce – powiedział Graves. Teraz jego głos przypominał głos młodej panienki. – Moja jest czarna przyszłość.
- Wyjaw mi nazwisko tego człowieka.

Usta Gravesa otworzyły się i zamknęły, jak u duszącej się ryby.

- Oszust mnie więzi – wymamrotał w końcu. – Nazwisko człowieka, którego szukasz, to wodny myśliwy.
- Wyjaw mi nazwisko swojego pracodawcy w klasztorze.
- To mroczne miejsce.
- Nazwisko!
- Mroczne miejsce do mrocznych czynów. Ojcie Śmierci, zabierz mnie. Powiedziałem ci to nazwisko. Widzę Białą Łanię.

- Nie widzisz nic, prócz bagna.
- Widzę w pokoju dziewczynę. Kim jest?

Na te słowa zamarłam. Poczułam, jak przeszył mnie dreszcz. Z moich ust wyrwał się cichy jęk.

– Cisza! – rzucił gwałtownie Vonvalt. Niejasne jednak było, czy zwracał się do mnie, czy do Gravesa.

– Ja też ją słyszę. – Głos Gravesa przybrał inny ton. Przemawiał przez niego ktoś inny... a raczej coś innego. – Minęło sporo czasu, odkąd rozmawialiśmy. Kogo przyprowadziłeś mi na spotkanie, Sędzio?

- Straciłeś go – powiedział półgębkiem Bressinger. – Wracaj.

– Nie, nadal mam go przed sobą – odparł Vonvalt ze szklanym, nieobecny wzrokiem.

Szybko gubiłam wątek rozmowy.

– Daj mi tego człowieka – powiedział Graves.

– Nie odpowiedział na moje pytania – odrzekł Vonvalt.

– Słyszałeś go. Twoje śledztwo kończy się w klasztorze. Ale to już wiedziałeś. Uwolnij go.

– Chcę nazwiska.

– Dostałeś wystarczającą wskazówkę. Imię za imię. Dziewczyna w pokoju. Widzę ją.

Bressinger spojrział na mnie i kiwnął głową w stronę drzwi. Dawał mi znać, żebym wyszła, ale Vonvalt nakazał mi się nie ruszać i zachować milczenie. Bressingerowi powiedział to samo, tak dla jasności, lecz sytuacja najwyraźniej się zmieniła.

– Nic nie widzisz. Odpowiedz na pytanie.

– To bez znaczenia. Wkrótce się z nią spotkam... Nici czasu łączą się ze sobą. Widzę to. – Graves zarechotał i więcej brudnej brei wypłynęło z jego ust i spłynęło mu po wargach. – Twój pomocnik ma rację. Powinieneś odejść. Wracaj.

– Wyjdź – szepnął do mnie Bressinger.

Wstałam i szybko przeszłam obok Vonvalta. Koszula przylegała do mojego ciała i dopiero w tej chwili dotarło do mnie, że zmoczyłam się ze strachu.

– Dziewczyno! – rzucił ostro Graves.

Krzyknęłam i drgnęłam gwałtownie, przypadkowo dotykając Vonvalta.

Nagle nie znajdowałam się już w domu doktora Maquerinka. Stałam na bagnach z czarną wodą, otoczonych białą niczym kości trawą. Wokół mnie rosły nieliczne, powykrzywiane jak błyskawica i czarne jak obsydian drzewa. Na niebie białe chmury kłębiły się pod kalejdoskopem gwiazd i wirami kosmicznego pyłu. Kiedy się rozerwały, nad światem pojawił się ogromny, podobny do leja portal, przypominający oko potężnej burzy.

Stałam obok Vonvalta. Naprzeciwko niego stał Graves, do połowy łydek zanurzony w bagnistej wodzie. Były tam też inne rzeczy, inne obecności, które wyczuwałam tak wyraźnie, jakby stali przede mną prawdziwi ludzie.

– Nie powinno cię tu być – powiedział Vonvalt.

Odwróciłam się do niego i zobaczyłam, że jego oczy są białe jak marmurowe kulki.

– Dubine! – krzyknął.

Odwróciłam się ponownie i dostrzegłam sięgającego po mnie Gravesa. Otworzyłam usta do krzyku...

Wtedy ponownie znalazłam się w pokoju. Wstrząśnięta zatoczyłam się i usiadłam na podłodze. Podczas procesu wyciągania mnie z miejsca, w którym się znajdowałam, mój umysł, niczym kosa tnąca zboże, przecięła seria wizji: lady Karol Frost; dwugłowe szczenię wilka; samotna wieża w sadzie i mężczyzna przywiązany do stosu na dzikiej łące, z płomieniami lizącymi mu stopy.

Zamrugłam, gdy wizje zaczęły blednąć, i rozejrzałam się po pokoju. Świece płonęły jasnym blaskiem. Graves leżał nieruchomo, wpatrując się w sufit pustymi oczami. Z amuletu na szyi Vonvalta unosiła się cienka smuga dymu. Bressinger, jęcząc, kuczał niedaleko mnie. Vonvalt cofnął się o kilka kroków i ciężko usiadł na podłodze.

– Na mą wiarę – powiedział z bladą i ściągniętą twarzą.

– Przepraszam – wyjąkałam. – To był wypadek, przepraszam. – Znów zaczęłam płakać. Miałam wrażenie, że mój mózg został okaleczony. Żałowałam, że cokolwiek z tego zobaczyłam. Do dzisiaj tego żałuję.

Vonvalt podniósł na mnie wzrok. Nigdy wcześniej nie widziałam go tak wyczerpanego.

– Dwugłowy wilk – powiedział. – Autun. Widziałaś go?

Widziałam. Skinęłam głową.

– Lady Frost też?

Ponownie kiwnęłam głową.

– Co to znaczy? – zapytałam ochryple.

– Nie wiem – odparł Vonvalt niemal bezgłośnie. – Muszę odpocząć.

– Przepraszam – powiedziałam jeszcze raz. – Czy wszystko zepsułam?

Pokręcił głową.

– Już i tak go straciłem. Powinienem wcześniej wrócić.

– Wrócić skąd? Co to było za miejsce?

Vonvalt machnął drżącą ręką.

– Później, później. Muszę odpocząć. I może napić się czegoś mocnego. Dubine?

– Tak – wymamrotał Bressinger i się wyprostował.

On również był blady i wyczerpany. Wyszedł z pokoju, a po chwili usłyszeliśmy jego stłumiony głos, gdy rozmawiał z panem Maquerinkiem. Kilka minut później wrócił z karafką i kilkoma kubkami. Jeden wcisnął mi w dłoń, a drugi podał Vonvaltowi. Trzeci zostawił dla siebie. Do każdego z kubków hojnie nalał wina, po czym wypił swoje kilkoma dużymi łykami.

Zrobiłam to samo. Vonvalt swoje saczył.

– Porozmawiamy rano – powiedział. W jego głosie brzmiało wyczerpanie, jakby wyssało z niego życie.

– Nie chcę zostawać w tym pokoju – powiedziałam nagle. – Proszę, nie zmuszajcie mnie do tego.

– Chodź – powiedział Bressinger. – Wrócimy do lorda Sautera.

Pozwoliłam mu wyprowadzić się z pokoju. Doktor Maquerink stał w hallu. Widok tak głęboko zmartwionego uczonego był wielce niepokojący. Medyk bez słowa poprowadził nas do wyjścia i dał mi płaszcz. Wtedy Bressinger wyprowadził mnie na zimne, pełne śniegu powietrze Galen's Vale i ruszyliśmy w stronę domu burmistrza.

* * *

Przebudziłam się rano po pozbawionej snów nocy i zobaczyłam siedzącą w nogach mojego łóżka kobietę.

– Witam – powiedziałam.

– Dzień dobry, panienko – powiedziała nieznajoma. – Błagam o wybaczenie za to najście. Sędzia prosił, by pani pomóc. Na dole czeka przygotowana dla panienki kąpiel, a w jadalni podano już śniadanie.

– Tak – odparłam, czując ogromną dezorientację, jakbym znajdowała się w jakiejś ograniczonej przestrzeni. W zimnym świetle poranka wydarzenia z ostatniej nocy już wydawały się nierealne i odległe.

– W takim razie chodźmy – powiedziała.

Nie rozpoznawałam jej, ale prawdopodobnie należała do personelu lorda Sautera. Miała w sobie tę macierzyńską stateczność, którą posiadały wszystkie starsze służące. Poczułam, że od razu na to reaguję. Emanowała spokojem i opanowaniem w przerażającym i burzliwym czasie.

Poszłyśmy na dół, gdzie czekała na mnie gorąca, pachnąca lawendą kąpiel. Bez słowa rozebrała mnie z koszuli i pomogła mi wejść do wanny. W stanie, w jakim się znajdowałam, byłam posłuszna jak baranek. Woda była dla mnie trochę za gorąca, ale nie miałam nastroju, by jej odmawiać. Było tam nawet perfumowane mydło, którym kobieta zaczęła spieniać gąbkę, by w końcu zacząć szorować mi plecy.

– Rozmawiała pani dzisiaj z Sędzią? – zapytałam.

– Tak – odpowiedziała kobieta. Mocniej potarła gąbką moją skórę, na co mimowolnie się skrzywiłam.

– Nic mu nie było?

– Co panienka ma na myśli? – zapytała.

Dom wydawał się bardzo cichy. Normalnie na ulicy za oknem panowała wrzawa, lecz teraz całe miasto wydawało się zamarte w bezruchu.

– Czy miał może... Czy cokolwiek mu dolegało?

– Mówi panienka o przejściu?

Ściągnęłam brwi na tę dziwną odpowiedź, lecz moją uwagę przyciągnęła woda. Uświadomiłam sobie, że nie widzę nic od pępka w dół; woda była tak mętna, że wydawała się niemal czarna. Wynurzyłam z niej ręce i zobaczyłam w nich gałęzie, korzenie i fragmenty kości.

Gwałtownie podniosłam wzrok na kobietę. To była lady Karol Frost. Jej skóra była czarna i zwęglona. Pod pachą trzymała dwugłowe szczenię wilka. Dusila je.

– Nosisz teraz znak Oszusta – powiedziała przez popękane od żaru zęby i roześmiała się, słysząc mój wrzask.

XVII

Niebezpieczna obietnica

„Lepszym losem jest umrzeć w obronie prawa niż służyć reżimowi, który go nie przestrzega”.

Sir Rudolf Blix

– Teraz widzisz, dlaczego nie lubię tego robić.

Podniosłam się na łóżku, chwytając duże hausty powietrza. Pot zrosił moje czoło i przemoczył koszulę. Moim ciałem wstrząsały dreszcze, a zęby szczękały niczym kości w kubku do gry.

Koszmar zniknął niczym kamień wrzucony do stawu.

Vonvalt siedział w nogach mojego łóżka, paląc fajkę. W świetle świec jego policzki były zaróżowione od wina. Na zewnątrz wciąż panowała ciemność, a w powietrzu wirował śnieg, delikatnie uderzając w oszklone okno.

– Ile czasu minęło? – zapytałam. – Jak długo...?

– Jakąś godzinę – odparł Vonvalt. – Masz, napij się trochę.

Nalał mi wina do kubka, a ja je przyjąłam. Wypiłam całość jednym długim łykiem.

– Czy już się obudziłam? – zapytałam drżącym głosem. – Błagam, powiedz mi, że to rzeczywistość.

– To jest rzeczywistość – posłusznie powiedział Vonvalt.

– Co się stało? – zapytałam. – Jakim cudem Graves został ugodzony mieczem?

– Bressinger ścigał go drogą na wschód. Jego ucieczka była krótka i zorganizowana bez wyobraźni, niemal jak on sam. Zamiast się poddać, rzucił się na Dubine’a... i zapłacił za to życiem, jak zazwyczaj każdy, kto go zaatakuje. – Zaciągnął się dymem. – Opisz mi swój koszmar, teraz, dopóki jest jeszcze świeży.

Nie chciałam tego robić, ale i tak mu go opowiedziałam. Nie poruszył się, gdy dokładnie opisywałam, co zobaczyłam.

– Co to oznacza? – zapytałam.

Vonvalt przez chwilę milczał, paląc fajkę, po czym odrzekł:

– Nie wiem. Mam kilka pomysłów, które są jednak zbyt nieskładne, by się nimi dzielić.

– Co to było za miejsce? Te bagna?

– To zaświaty, Heleno, a przynajmniej pewna ich część. Są w Zakonie ludzie, którzy znają całe podanie ludowe, jednak ich wiedza nie jest szeroko rozpowszechniana. Właśnie jej najbardziej pożąda Claver i jego Kościół.

– Zaświaty istnieją? – wyjąkałam.

Vonvalt wzruszył ramionami.

– Coś istnieje – odparł. Brzmiał, jakby nadal był wyczerpany. – Nie rozumiem dokładnej natury tego miejsca. Ale zaświaty wydają się odpowiednim słowem.

– I przenosisz się tam, by przesłuchać zmarłych? Jak prawnik podczas procesu?

Skinął głową.

– W pewnym sensie.

– Czy coś poszło nie tak? O co mu chodziło, gdy mówił o Oszuście? Myślałam, że mówiłeś, że wszyscy bogowie Imperium to nonsens.

– To nie takie proste – powiedział Vonvalt. Wziął głęboki wdech i powoli, z westchnieniem wypuścił powietrze z płuc. – Są istoty, które istnieją w tamtej krainie. Duchy, demony, stare dusze... wielu snuło domysły, czym mogą być. Niektóre są nieszkodliwe. Inne są złośliwe. Czasami podczas przesłuchiwania zmarłego jedna z tych istot przerywa ten proces i wyrządza jakieś szkody. To przerażające, ale nigdy nie stanowi realnego zagrożenia. Nie mogą nas skrzywdzić... przynajmniej nie pod względem fizycznym. Oszust to imperialna nazwa starego draedyjskiego demona zwanego Aegraxes. Znany jest z tego, że pogrywa sobie z tymi, którzy zajmują się nekromancją. To nie pierwszy raz, kiedy nasze ścieżki się przecięły.

– Mówisz o tym tak, jakby to wszystko było prawdziwe! – powiedziałam ze łzami w oczach, rozpaczliwie potrzebując jakiegoś pocieszenia.

– Bo to jest prawdziwe, Heleno. Być może nie w sensie ciebie i mnie albo interesów Imperium. Ale tam jest, na zupełnie innym poziomie, w innym wymiarze, gdzie ziemskie prawa nie obowiązują.

Zadrżałam.

– I właśnie to stało się z Gravesem? – zapytałam głosem ochryplym z udręki.

– Ta istota zawładnęła nim jak jakiś pasożyt?

- Tak. To dobre porównanie.
- Wiele z tego, co powiedział, nie miało sensu.
- Nie. Ale nigdy by go nie miało, nie przy tak wielkim strachu i nienawiści, jakie zabrał ze sobą do grobu.

Usiadłam, rozmyślając przez chwilę, ponownie przywołując w myślach całe wydarzenie.

– Powiedział, że widzi mnie w pokoju. Miałam wrażenie, że to cię zaniepokoiło.

– Hmm – mruknął Vonvalt.

– Co to znaczyło? To coś złego?

Vonvalt zaciągnął się dymem z fajki i po chwili odpowiedział:

– Nie wiem. Nie powinien być do tego zdolny. Wezwanie działa tylko w jedną stronę, a z pewnością nie wypowiedziałem zaklęcia błędnie. To ja podróżuję do ich świata, a nie oni do mojego.

– Dlaczego zapytał o moje imię?

– W imieniu jest moc. – Zgasił fajkę.

Na zewnątrz słaby szary brzask zaczął rozjaśniać niebo i dotarło do mnie, że Vonvalt celowo został ze mną aż do świtu.

– Co powiedziałaś do Dubine’a, na samym końcu? Zanim nas stamtąd zabrałeś? – zapytałam głodna informacji, rozpaczliwie pragnąc jakiegokolwiek wyjaśnienia, które zracjonalizowałyby to, co widziałam. – Jaka była w tym jego rola? Nie potrzebowałeś go, gdy rozmawiałeś z sir Otmarem.

– Nie, nie potrzebowałem. Pamiętasz pewnie, co mówiłem lordowi Sauterowi. Sir Otmar był... przyjacielem, w pewien sposób. W chwili śmierci wysłał do mnie wiadomość. W przywołaniu go było mniejsze ryzyko. On pragnął pomocy i sprawiedliwości. Graves był wrogo nastawiony. W chwili śmierci jego umysł był w stanie zamętu, przepełniony negatywnymi emocjami. Taki umysł jest bezbronny wobec złowrogich bytów w zaświatach. Rolą Dubine’a było zapewnienie mi swego rodzaju drogowskazu, sygnału świetlnego, za którym mógłbym podążać, gdyby coś poszło nie tak... nie żeby były na to jakiegokolwiek szanse.

Miałam wrażenie, że kłamał, ale wzięwszy pod uwagę, że bardzo chciałam w to uwierzyć, uchwyciłam się tego wyjaśnienia niczym ślimak skały.

– Pójdę już i postaram się zasnąć – powiedział Vonvalt. – Będę w pokoju obok. Powinnaś również odpocząć, a nawet podwójnie, ze względu na swoją ranę. Zapewniam cię, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Będziesz przerażona, to naturalne... ale wiedz, że nie ma nic, co mogłoby cię skrzywdzić.

Wątpiłam, bym w ogóle była w stanie zasnąć, ale fakt, że noc już minęła, sprawił, że większość mojego strachu się rozwiązała.

– Spróbuję – powiedziałam z nieszczerym uśmiechem. Skinął głową, po czym patrzyłam, jak wychodzi.

Pomimo przerażenia położyłam się. Moja skóra była szorstka od gęsiej skórki, ale wino zaczynało działać i tłumilo większość strachu równie skutecznie, jak mijająca noc.

W końcu rzeczywiście zasnęłam. Na szczęście tym razem nie miałam żadnych snów.

* * *

W południe obudziła mnie jedna ze służących lorda Sautera. Słyszałam rozbrzmiewający w oddali świątynny dzwon. Zimny deszcz bębnił o szyby.

Zmęczona, obolała i wciąż przestraszona ubrałam się i zeszłam na dół, by zobaczyć się z Vonvaltem, który w jadalni jadł właśnie lunch. Nikogo innego nie było w pobliżu.

– Przepraszam, że kazałem cię obudzić – powiedział. – Niestety nie mamy czasu do stracenia. Mam nadzieję, że chociaż trochę odzyskałaś siły?

Usiadłam w ponurym nastroju i zaczęłam nakładać sobie na talerz tłuste mięso i świeży chleb.

– Co się dzieje? – zapytałam przestraszona, że to może być kolejny koszmar. – Bardzo tu cicho.

– Sir Radomir i Dubine biorą udział w egzekucjach – powiedział Vonvalt, po czym, widząc moje zdumienie, wyjaśnił: – Przesłuchałem każdego członka straży miejskiej. Wyłapaliśmy jeszcze dwóch, którzy byli lojalni klasztorowi... a przynajmniej płynącym z niego pieniądзом. Właśnie wróciłem z rozprawy. Ich egzekucje odbędą się tak cicho, jak to tylko możliwe. Nie chcemy, by miasto straciło wiarę w swoją straż.

– Wyjawili coś? – zapytałam.

Vonvalt pokręcił głową.

– Spiskowcy byli bardzo ostrożni, jeśli chodzi o dzielenie się informacjami. Ci mężczyźni kontaktowali się tylko z jedną osobą: Fenlandem Gravesem. Ci dwaj, z którymi dopiero co rozmawiałem, powiedzieli mi, że Graves płacił im, by donosili mu o postępach w śledztwie sir Radomira dotyczącego morderstwa Bauerów i – czego zapewne jesteś świadoma – by nas uśmiercili. W pewien perwersyjny sposób to dobry znak; to znaczy, że zbliżamy się do sedna sprawy. Zdesperowani ludzie sięgają po desperackie środki.

Pokręciłam głową.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Nie – odparł Vonvalt. – Mnie również. Jednak ze zwłokami Gravesa na stosie winnych i z jego kompanami w klasztorze, którzy z pewnością zostali już ostrzeżeni, są marne szanse, by udało nam się w to teraz zagłębić. Będzie jeszcze dość czasu, by to wszystko ujawnić na sam koniec tej przykrew sprawy. – Westchnął. – Po części nadal kusi mnie, by wziąć oddział uzbrojonych strażników, pojechać do klasztoru i po prostu wykurzyć zeń winowajców. Ale te stare fortece... Kto wie, jaki labirynt tajnych korytarzy i wyjść wie dzie w góry? Obawiam się, że takie pochopne działanie pozwoliłoby nam schwycić jedynie kilku pomniejszych spiskowców, podczas gdy reszta rozpierzchłaby się i ukryła w jakimś innym, podobnym miejscu. Bądź co bądź, nie rozbija się gniazda os młotkiem.

Już się domyśliłam, jaką miał alternatywę.

– Proponujesz mi, bym wstąpiła do klasztoru – powiedziałam. – Jako ranna owieczka.

Vonvalt skinął głową.

– Trafiaś w sedno – potwierdził. – Heleno, wiesz, że nigdy z własnej woli nie naraziłbym cię na niebezpieczeństwo. Ale jesteś przedstawicielką Korony i – jeśli wszystko pójdzie tak, jak bym chciał – kiedyś sama zostaniesz Sędzią. Czas, byś zaangażowała się w niebezpieczną część mojej pracy.

Po seansie czułam się poniekąd odrętwiała i nierozważna. I zbyt chętnie zgodziłam się na udział w tym zadaniu.

– Zrobię to – powiedziałam, chociaż tak naprawdę nie miałam wyboru. Jeśli chciałam kontynuować pracę u Vonvalta – przynajmniej do końca sprawy Bauerów i naszej umowy – będę musiała przywyknąć do tego rodzaju sekretnych prac.

– Bressinger pozostanie w Galen's Vale incognito – ciągnął Vonvalt. – Ja będę musiał wyjechać. Zastosujemy podstęp. Myślę o udawanej kłótni. – Głową wskazał moją wygoloną głowę. – Twoja rana zapewnia ci przekonujący pretekst. Seans również można potraktować jako kroplę, która przepęlniła czarę. Powiesz strażnikowi przy bramach klasztoru, że masz dość służby dla Korony i że żądasz udzielenia schronienia. Zgodnie z prawem kanonicznym mają obowiązek udzielić ci miesięcznej ochrony, a – mówiąc szczerze – będą zapewne bardzo chętni wetknąć nos w sprawy Zakonu.

– Jeśli w klasztorze jest człowiek, który spiskuje z Vogtem i Bauerem, to może coś podejrzewać.

Vonvalt skinął powoli głową, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Rzeczywiście. To ryzyko, które, obawiam się, będziemy musieli podjąć, jako że nie ma innej osoby, której bym zaufał w tej kwestii.

– Chcesz, żebym wyruszyła już dzisiaj?

– Tak – odparł Vonvalt. – Musimy kuć żelazo, póki gorące. Już zacząłem dawać aluzje odnośnie do mojego wcześniejszego wyjazdu. Lord Sauter stanie się ofiarą tego fortelu; sir Radomir jednak będzie o wszystkim wiedział, dla twojego bezpieczeństwa.

– Jaki jest konkretny cel tego zadania? Zlokalizować Sanję Bauer?

– W rzeczy samej – odparł Vonvalt. – To będzie podstawa całej strategii. Znajdź ją i dowiedz się, co się jej przydarzyło. Nakłoń ją do wyjawienia ci nazwisk tych, którzy ją uprowadzili... jeśli rzeczywiście się tak stało. Wtedy stamtąd znikniesz.

Rozważałam wszystko przez chwilę.

– To trochę potrwa – powiedziałam. – Dni, być może tygodnie. Nie mogę tam po prostu wejść, zachowując się jak ranna owieczka i od razu zacząć węszyć. Nawet zakładając, że nie będą mnie podejrzewać, nadal będą obowiązywać mnie tamtejsze reguły. Przydzielą mi jakieś nudne prace z zakazem wstępu do większej części klasztoru. To surowy tryb życia. Każdy musi na wszystko zapracować.

– Wiem – powiedział Vonvalt. – Podczas twojego pobytu w klasztorze ja będę szukał Vogta i Bauera. Najpierw ruszę do cesarskiego fortu w Gresch. Jeśli uda mi się znaleźć któregokolwiek z nich, użyję Głosu i zmuszę do mówienia. Mam więcej, niż potrzeba, by wydobyć z nich pełne zeznanie, czy będą się tego spodziewać, czy nie. Jeśli mi się uda, wyślę wiadomość do Dubine’a, a on zabierze cię stamtąd, nawet przy pomocy uzbrojonej straży, jeśli będzie to konieczne. Ale jeśli obaj przepadli na dobre, to twój pobyt tam może być naszą ostatnią szansą na dotarcie do sedna sprawy, nim będziemy musieli opuścić Vale. A musimy wyjechać już wkrótce, Heleno. Musimy wrócić do Sovy. Musisz bardzo się postarać. Nie bądź nieostrożna, ale działaj z pośpiechem. Liczę na ciebie.

Ponownie zapanowała cisza. Mimowolnie zaczęłam odczuwać pierwsze oznaki niepokoju.

– Przed wyjazdem chcę porozmawiać z Matasem – powiedziałam.

Vonvalt wyglądał na nieco tym rozczarowanego, lecz skinął głową.

– W takim razie lepiej już idź – powiedział. – Chcę, żebyś jeszcze dzisiaj zapukała do bram klasztoru.

* * *

Szybko dokończyłam śniadanie i wyszłam z domu lorda Sautera. Na zewnątrz zimne i mokre ulice wypełnione były południowym tłumem szukającym schronienia przed deszczem. Ruszyłam prosto do strażnicy

i znalazłam Matasa na piętrze, w pokoju wspólnym. Był tam sam; pozostali poszli napić się z sir Radomirem, bez wątpienia dochodząc do siebie po podwójnym ciosie, jakim były przesłuchania Vonvalta i wykrycie w ich szeregach zdrajców.

Gdybym miała więcej czasu na uspokojenie się, być może na zjedzenie czegoś jeszcze i dłuższy odpoczynek, może byłabym tamtego popołudnia lepszym towarzystwem dla Matasa. Ale ogarnął mnie dziwny, kiepski nastrój. Po coraz większej nieostrożności Vonvalta, szeptach o rebelii i rzeczywiście po tym, jak zajrzałam w zaświaty, zaczynałam się czuć tak, jak niegdyś w Muldau: zagubiona, niespokojna i pełna melancholii.

Matas narobił sporo szumu wokół mojej rany, wygolonych włosów i próby pozbawienia mnie życia. Znał i przyjaźnił się z ludźmi, którzy usiłowali zabić Vonvalta i mnie, co naturalnie podsyciło jego poczucie winy i frustrację. Krążył po pokoju niczym zwierzę w klatce, coraz bardziej wpadając we wściekłość i nie mogąc się zdecydować, czy skierować ją na niedoszłych morderców, czy na mnie samą, za to, że miałam czelność w ogóle być asystentką Sędziego... Jakby to w jakiś sposób mogła być moja wina.

Jego gniew ostro kontrastował z moim własnym poczuciem obojętności i nie potraktowałam go dobrze. Chociaż zakochaliśmy się w sobie, i to mocno, nie spędziliśmy zbyt dużo czasu w swoim towarzystwie. Nie miałam pojęcia, jak poradzić sobie z jego złością i – jeśli mam być szczerą – tak gwałtowny wyrzut emocji, który wynikał z miłości i potrzeby chronienia mnie, bardzo mnie zirytował. Powrót do Matasa po spędzeniu kilku poprzednich dni z Vonvaltem, Bressingerem i sir Radomirem sprawił, że wydawał mi się dziecinny i naiwny. Widziałam o wiele więcej świata od niego i byłam wystawiona na prawdziwe śmiertelne niebezpieczeństwo. Galen's Vale nie było atakowane od czasów Wojny Imperialnej i wchłonięcia Haunersheimu pięćdziesiąt lat temu. Z tego, co widziałam, całe dni spędzał, włócząc się po mieście w kosztownej zbroi i robiąc naprawdę niewiele. Jakim prawem pouczał mnie w kwestii bezpieczeństwa? Czulałam się traktowana protekcjonalnie, co tylko na nowo obudziło moje obawy co do naszego wspólnego życia.

W końcu, kiedy przyszedł czas na poinformowanie go o planie Vonvalta, zrobiłam to bez emocji, jakby był dla mnie zwyczajnym znajomym. Później powiedziałam mu, że pod żadnym pozorem ma się ze mną nie kontaktować. A jeszcze później patrzyłam, jak usiłuje znaleźć odpowiednie słowa, by wyrazić swoje uczucia.

– Mam wrażenie, że się zmieniaś – powiedział w końcu cicho. – Że nie chcesz już ze mną być.

– Co masz na myśli? – zapytałam.

Staralam się brzmieć wyrozumiale, lecz jego ton mnie rozdrażnił. Po wypowiedzianych dzień wcześniej w tawernie słowach pijanego Bressingera czułam się tak, jakbym zaczynała mieć do Matasa żal o coś, co się jeszcze nie wydarzyło. Bycie z nim teraz instynktownie wydawało mi się złym wyborem, pomimo miłości, jaką do niego czułam. Czy naprawdę mogłam zrezygnować ze ścieżki Sędziego po tym, czego byłam świadkiem przez ostatnie kilka miesięcy? Wiedząc to, co wiedziałam o Mlyanarach, Templariuszach i złożonej polityce cesarskiej, jaka działa się za kulisami? Gdybym chciała stałości w swoim życiu, to powinnam zbudować ją sama, korzystając z władzy, jaką miałam w ręku, a nie chować się w jakimś prowincjonalnym miasteczku, gdy cywilizowany świat wokół mnie właśnie walił się w gruzy.

W końcu słowa Bressingera, chociaż emocjonalne i powiedziane po pijanemu, zaczęły we mnie rozbrzmiewać. Trafiły w moje obawy niczym kowalski młot w rozżarzony do czerwoności miecz. Czy mogłam być pewna, że Matas nie będzie oczekiwał, że zostanę w domu i będę się relaksować, opiekując się dziećmi?

Nasze spotkanie okazało się ogromnym rozczarowaniem, i to z mojej winy. Byłam zdystansowana i nieznośna.

– To, jaka przy mnie jesteś... To tak, jakbyś już nie miała przyjemności przebywania w moim towarzystwie. Od tamtej nocy, którą spędziliśmy razem, wydajesz się zupełnie inną osobą.

Machnęłam ręką.

– To zbieg okoliczności. Mam dużo na głowie. Praca dla Sędziego zabiera cały mój czas.

– Mówiłaś, że odejdziesz ze służby u niego.

– Wiem, co powiedziałam.

– Nadal masz taki zamiar?

– Matas! – rzuciłam zirytowana. – Powiedziałam ci, że jeszcze dzisiejszego popołudnia wejdę do klasztoru jako szpieg. Dlaczego mnie tym teraz obciążasz?

Milczał przez chwilę i w końcu zapytał:

– Czego ode mnie chcesz? Sprawiasz, że czuję się jak służąca, którą nieco wykorzystano.

– Chcę, żebyś zrozumiał, że mam obowiązki. Obecnie. Są rzeczy, które muszę zrobić...

– Ale nie musisz ich robić!

– Niech będzie! Rzeczy, które chcę zrobić. Bo czuję, że muszę.

– Na savarański płomień, Heleno, prawie cię zamordowano! – krzyknął Matas, gwałtownie wskazując moje wygolone włosy i widoczną tam ranę.

– Taka jest natura tej pracy – powiedziałam, chociaż zabrzmiało to niedorzecznie.

– Znam strażników trzy razy starszych od ciebie, którzy nigdy nie byli tak blisko śmierci, jak ty!

Westchnęłam ze złością.

– Matas! Proszę mnie, bym zrezygnowała z wielu rzeczy. Potrzebuję czasu, żeby o tym pomyśleć.

– Nie proszę cię, żebyś zrezygnowała z czegokolwiek! – krzyknął. – Nie zmuszałbym cię do spędzenia ze mną choć jednej minuty, gdybym w zamian miał otrzymać jedynie niechęć!

Teraz to ja zamilkłam. Wiedziałam, oczywiście, że miał rację, ale byłam uparta, czułam się urażona i nie byłam w nastroju, by do czegokolwiek się przyznawać. Jak głupia i niemą wtedy byłam i jak bardzo się za to później nienawidziłam...

Żadne z nas nie zamierzało już mówić nic więcej, rozstaliśmy się więc, gdy dzień zaczynał blednąć. Objęliśmy się i pocałowałam go, lecz zdawkowo. Wiedziałam, że głęboko go zraniłam, być może nieodwracalnie.

Powinłam była bardziej cenić sobie te skradzione wtedy chwile. Powinłam wziąć jego ręce w dłonie i ścisnąć je mocno. Powinłam odmówić pójścia do klasztoru i w tamtej chwili porzucić służbę u Vonvalta.

Zamiast tego zostawiłam go, zranionego i zdezorientowanego, i wróciłam do rezydencji lorda Sautera.

XVIII

Mroczna straż

„Nie można stać na straży prawa, jeśli się go nie przestrzega. Ten, który staje przed sądem, musi mieć czyste ręce”.

Cytat z *Podstaw sovańskiego kodeksu prawa cywilnego* Caterhausera

Wyjechałam, gdy tylko nad Vale zapadła ciemność. Vonvalt i ja zgodziliśmy się, że fortel wyjdzie najlepiej, jeśli stawię się w klasztorze, wyglądając, jakbym uciekła w środku nocy. Zebrałam kilka przedmiotów, które wiedziałam, że będę musiała oddać po przyjeździe, a resztę rzeczy przekazałam Vonvaltowi, by zapakował je na wóz Księcia Brondsey.

By dotrzeć do klasztoru, musiałam wyjechać z miasta od północnej strony Galen's Vale, przez słabo strzeżoną bramę, wcale nieprzypominającą tej, która strzegła rzeki Gale i drogi Hauner. Gdy przez nią przejeżdżałam, nikt się do mnie nie odezwał. Jak w przypadku wielu miast, łatwiej było stąd wyjechać niż wjechać na teren Vale. Deszcz ustał i noc była jasna i rześka. Gwiazdy lśniły nad moją głową. Gdybym miała umysł medyka, mogłabym nazwać niektóre z nich, jednak teraz moją uwagę przyciągał tylko jeden większy obiekt: jasna kropka wyróżniająca się czerwona w poświata.

Ścieżka do klasztoru była porządnie wydeptana, zważywszy na pokaźny ruch pieszy, jaki panował między budowlą a położonym niżej miastem. W Imperium istniało wiele religijnych zakonów. Niektóre z nich, jak savarańscy Templariusze, miały tylko jeden cel – brutalnie przejmować miejsca kultu i ziemie oddalone o setki kilometrów, które Autun postanowił uczynić świętymi. Celem innych było po prostu wieść proste życie w kontemplacji, bez możliwości opuszczenia klasztoru lub nawet rozmawiania ze sobą.

Klasztor nad Galen's Vale był domem jednego z zakonów Świętego Jadranko. Jadranko był jednym z kanonizowanych apostołów Creusa

i popularnym obiektem czci w świątyniach, jako że był zwolennikiem zaledwie minimalnego posłuszeństwa. Był zaciekłym wyznawcą Głupca, jednego z półboskich dzieci Nemy i Savara, którego rolą było mówienie otwarcie do wszystkich, bez względu na ich funkcję i pozycję.

Jadrane nie byli surowym zakonem. Zezwalali na mieszane klasztory kobiet i mężczyzn, chociaż od wszystkich oczekiwano, że zachowają celibat. Pozwalano im również swobodnie opuszczać klasztorne mury, w większości, by kupić zaopatrzenie, rozdać jałmużnę i prowadzić miejską świątynię. Poza tymi wątpliwymi informacjami nie wiedziałam o nich zbyt wiele, ale już to pomogło mi pozbyć się odrobiny niepokoju, który czułam, zbliżając się do bramy strażniczej – fortyfikacji o wiele bardziej imponującej od jej odpowiednika po północnej stronie leżącego za mną miasta.

– Kto idzie?! – krzyknął nocny strażnik, patrząc przez szczelinę w bramie.

– Ten, co schronienia szuka – odpowiedziałam uświęconym tradycją zawołaniem.

Usłyszałam, jak strażnik przeklina pod nosem, jakby coś takiego zdarzało się często. W gruncie rzeczy mogło tak być; dla wielu pokusa, by spróbować szczęścia z darmowym łóżkiem i wyżywieniem przez cały miesiąc, była zbyt silna. Niewielka ilość rozmyślenia w milczeniu i boskiej nudy nie stanowiły wygórowanej ceny. Wyobrażałam sobie, że klasztor usiłuje zniechęcić do takiego oportunisty, starając się, by ten miesiąc stał się ciężkim do zniesienia.

– Przed czym szukasz schronienia? – zapytał cicho i ochryple głosem kogoś, kto przez dwadzieścia lat pozostawał zaklęty w znieawidzonej roli mima.

– Przed moim pracodawcą – odpowiedziałam drżącym głosem. – To Sędzia.

Strażnik natychmiast otworzył bramę.

– Jesteś asystentką Sędziego – powiedział. Był pomarszczonym starym człowiekiem ubranym w kilka warstw peleryn. Gdzieś pod spodem znajdował się samodiałowy habit. – Przybyłaś drogą Hauner?

– Tak – odparłam. Nie przyszło mi do głowy zapytać, skąd o tym wiedział. Wieści o obecności Sędziego szybko się roznosiły.

Mężczyzna spojrział na mnie, mrużąc stare, wodniste oczy.

– Jesteś ranna? – zapytał.

– Tak, odniosłam ranę podczas służby u niego.

– Wyglądasz na przerażoną, dziewczyno. Czy podniósł na ciebie rękę?

– Nie, on... Zmusił mnie do uczestnictwa w swoich czarach. Rozmawialiśmy ze zmarłym.

Starzec westchnął teatralnie. Natychmiast przesunął się na bok i wskazał, bym weszła.

– Wejdz, dziecko, wejdz. Magistraci to nikczemny zakon. Wscibiaja nos w moce, ktore niegdyś nalezaly do Kościoła. Zaden świecki człowiek nie ma prawa rozmawiac ze zmarlymi. Chodz, chodz, od razu zaprowadze cie do obenpatriona.

Wiedzialam, ze wzmianka o seansie zapewni mi szybki wstep. Wiedzialam tez, ze pomoze mi fakt, ze jestem ladna mloda kobieta. Nie mialam najmniejszych watpliwosci, ze stara, pomarszczona i smierdzaca zebrazka zostalaby z miejsca wyrzucona. Rzeczywiscie, po reakcji mezczyzny poznalam, ze moja obecność bedzie niejaką nagrodą dla zakonu.

Czujac wieksza smialosc niz wczesniej, przeslam przez próg i podazyłam za straznikiem. Pośpiesznie przeszliśmy przez zadaszony chodnik, który biegł dookoła ladnego trawnika, otoczonego na brzegach przebieśniami i innymi zimowymi kwiatami. W innych okolicznościach zatrzymalabym sie, zachwycila ich widokiem i cieszyła spokojem prostego ogrodu, lecz pośpiesznie wprowadzono mnie do glównego klasztoru – kompleksu budynków w róznych stylach architektonicznych, od podstawowego draedyjskiego do wspólczesnego nemańskiego gotyku.

– Tedy, wejdz – rzekł mezczyzna, wskazujac solidne drewniane drzwi.

Poprowadzil mnie szybko przez labirynt cieplych, slabo oswietlonych korytarzy, az dotarliśmy do komnat obenpatriona. Zatrzymaliśmy sie przed wejściem.

– Masz okazać szacunek – powiedzial do mnie.

– Oczywiscie – odparlam.

Straznik zapukal do drzwi. Chwile pózniej uslyszalam glóсны, stanowczy glós obenpatriona, nakazujacy nam wejść.

Mezczyzna otworzył drzwi i weszlam do środka. Komnata gošcinna byla surowa, umebLOWANA zaledwie jednym biurkiem i kilkoma zapełnionymi księgami regalami. Kominek, w którym plonal ogień, byl jedynym ustępstwem w strone wygody.

Obenpatrion przypominal mi lorda Bauera – zwyczajny, niczym niewyrózniajacy sie człowiek, o siwych włosach i brodzie, i z brzuchem, który wyraźnie poddal sie tuszczowi. Siedzial za biurkiem, przegladajac jakies dokumenty przy watlym świetle świecy. W tej chwili, będąc bardzo wyczuloną, mialam wrazenie, ze przyglada mi sie jak drapieznik wpatrujacy sie w swoja ofiare, lecz w rzeczywistości byla to zapewne zwyczajna ciekawość. Mial na sobie habit z tkaniny w kolorze glębokiej purpury, przewiazany w pasie bialą jedwabną szarfą.

– Kogóz do mnie sprowadziles, bracie Walterze? – zapytal łagodnie.

– To asystentka Sędziego, Wasza Ekscelencjo – powiedział strażnik, który najwyraźniej miał na imię Walter. – Opuściła go ze względu na jego diabelskie sztuczki i szuka u nas schronienia.

Obenpatrion przyjrzał mi się uważnie. Wydawało mi się, że nieznacznie zmrużył oczy, ale równie dobrze mogła to być moja wyobraźnia.

– Ach tak? – zapytał. – Jak masz na imię, dziewczyno?

– H-Helena – odparłam, udając jąkanie.

– Helena?

– Sedanka.

– Helena Sedanka – powtórzył obenpatrion. Odwrócił się do strażnika. – Dziękuję ci, bracie Walterze. Możesz zostawić ją ze mną.

Strażnik pokłonił się i wycofał z komnaty, z głuchym odgłosem zamykając za sobą ciężkie, drewniane drzwi. Serce waliło mi w piersi. Próbowałam sama siebie przekonać, że obenpatrion nie będzie mnie tak szybko podejrzewał, ale moje ciało nie dało się oszukać. Zaczęłam się pocić.

– Wyglądasz na przerażoną – powiedział obenpatrion. – Nie ma potrzeby się bać. To miejsce czci i modlitwy. W całym Imperium nie ma bezpieczniejszego miejsca. Chodź, usiądź. – Wskazał drewniane krzesło przed swoim biurkiem.

Rozpoznałam je – Vonvalt nazywał je „spieprzającymi krzesłami”, bo były tak niewygodne, że siedzący nie chcieli na nich długo zostawać. Podeszłam bliżej, niemal topiąc się w wełnianym płaszczu, i usiadłam.

– Szukasz u nas schronienia? – zapytał obenpatrion.

Skinęłam głową.

– Znasz prawo kanoniczne?

– Ja... nie wiem – odparłam.

Mężczyzna przyglądał mi się przez chwilę.

– Prawo kanoniczne głosi, że każdy, kto szuka schronienia w zakonie, otrzyma je na czas jednego miesiąca. Oczywiście zasada ta nie jest niepodważalna. Powiedz mi, Heleno, czy dopuściłaś się zdrady?

Pokręciłam głową.

– Morderstwa?

Ponownie zaprzeczyłam.

– Wyrzekłaś się wyznania Nemy?

Jeszcze raz pokręciłam głową. Wydawało się zdumiewające, że ktokolwiek w podobnych okolicznościach, kto dopuściłby się tych czynów, przyznałby się do nich, lecz dopiero później miałam się dowiedzieć, że według prawa kanonicznego karą za szukanie schronienia w klasztorze pod fałszywym pretekstem była śmierć.

Przez kilka kolejnych minut siedzieliśmy w milczeniu.

– Co cię sprowadza do Zakonu Świętego Jadranko? – Jego ton był teraz łagodny, bliższy tego, którym posługiwał się mnich, a nie władca. W murach klasztoru był drugim po cesarzu... i cesarskim Sędzi, chociaż nasze doświadczenie z Waldemarem Westenholtzem pokazało mi, że nawet ta bezgraniczna moc w rzeczywistości miała swoje granice.

Opowiedziałam mu wersję, na którą umówiliśmy się z Vonvaltem: że obrażenia, jakie odniosłam w ostatnich dniach służby u niego, zarówno fizyczne, jak i psychiczne, były kroplą, która po miesiącach pełnych wątpliwości ostatecznie przelała czarę. Wyjazd Vonvalta na południe umożliwił mi ucieczkę.

Skinął głową i skrzywił się ze współczuciem, gdy opowiadałam swoją historię, po czym uważnie przyjrzał się ranie na mojej głowie. Jednakże najbardziej interesował go seans. Kiedy o nim wspomniałam, nie zdołał ukryć chciwości, jaka pojawiła się w jego oczach.

– Opowiedz mi więcej o jego mocy – powiedział. – Oczywiście słyszałem o niej, ale tylko z ludowych opowieści i ksiąg; nigdy osobiście nie byłem jej świadkiem. Wiesz, że kiedyś była to moc święta, nie świecka?

Zadał pytanie niewinnym tonem, jakby z czysto naukowym zainteresowaniem. Jednak, jak wielu Neman, był jak najbardziej świadomy przekazania mocy, jakie miało miejsce między siłami religijnymi a siłami prawa... i chociaż od tamtej pory minęło już sześć pokoleń, wciąż był z tego powodu zgorzkniały.

– Nie wiem o tym zbyt dużo – odparłam.

To było połowiczne kłamstwo. Vonvalt dał mi wykład na temat historii Zakonu Magistratu, lecz ten temat nudził mnie równie mocno, jak wiele innych, które mi przekazywał, i w rezultacie ta wiedza uleciała mi z głowy. Fakt, że miałam ponownie ją usłyszeć, był niczym kosmiczna zemsta.

– Naturalnie wiesz lepiej od większości ludzi, jak bardzo Sovanie szczycą się swoim systemem prawnym.

Skinęłam głową.

– Czy wiedziałaś, że z dwóch głów Autuna jedna reprezentuje prawo kanoniczne, a druga powszechne?

– Tak – odparłam. Nawet trzyletnie dzieci to wiedziały.

– Kiedyś tylko księża w świątyniach potrafili rozmawiać ze zmarłymi. Był to rytuał zarezerwowany jedynie dla najświętszych i najbardziej wykształconych duchownych. Rytuały były skomplikowane i długie. Ci, którzy się ich podjęli, szukali zrozumienia tajemnic życia pozagrobowego, by lepiej prowadzić msze. To był... proces pełen ogromnego szacunku.

– A teraz taki nie jest?

Obenpatrion prychnął oburzony.

– Ci tak zwani Sędziowie... Podróżują sobie po prowincjach i przyzywają dusze zmarłych, jakby to była jakaś gra. Nie mają też umiejętności, by robić to poprawnie. Przez większość czasu dowiadują się samych nonsensów.

Na te słowa stężałam. Przypomniałam sobie niechęć, z jaką Vonvalt stosował moc nekromancji, udęczony i wyczerpany wyraz widniejący potem przez wiele dni na jego twarzy, zmęczenie i grozę następujące po każdym seansie. Sugerowanie, że podchodził do tego lekko, było bardzo dalekie od prawdy. Co do kwestii umiejętności, to prawdą jest, że słowa Gravesa w większości stanowiły bełkot. Ale czy naprawdę kobiety i mężczyźni Kościoła potrafili robić to lepiej?

– Ujrzyć ten rytuał to potworna rzecz – powiedziałam cicho.

Obenpatrion odwrócił się do mnie, jakby zapomniał, że tam jestem.

– Och, nie wątpię w to. Przesłuchiwanie zmarłych, jakby byli świadkami na procesie... Czy to dziwne, że się temu sprzeciwiają? Że duchy zaświatów kurczowo chwytają się szczeliny między światami i wyrażają swoje niezadowolenie? Powiedz mi, czy ten seans poszedł zgodnie z planem?

Pokręciłam głową.

– Nie? Zapewne został przejęty przez jakąś złośliwą istotę?

Zadrżałam. Skąd mógłby to wiedzieć?

– Tak... – powiedział, przyglądając mi się. – Nie musisz odpowiadać. Widzę wpływ, jaki na ciebie miał. Nekromancja nie powinna taka być. Nie powinna być przerażająca i niepokojąca. Przeprowadzona we właściwy sposób jest wspaniała. Nasi nemańscy starsi rozkoszowali się nią i mądrością, jaką z niej czerpali. Sędziowie są niczym hieny cmentarne, brutalnie wdzierające się do boskiego wymiaru i kradnące wszelkie możliwe informacje.

Zamilkł zgaszony przez własny gniew. W końcu zapytał:

– Rozumiem, że nie pochwalasz nadużycia mocy swojego byłego pracodawcy?

Energicznie pokiwałam głową.

– Hmm... – mruknął. – I słusznie. Cóż, moje dziecko, nie obawiaj się; są tu jeszcze bogobojni ludzie, wpływowi, którzy, mam nadzieję, że wkrótce zwrócą te moce Kościołowi.

– Ma pan na myśli patryona Clavera? – zapytałam.

Obenpatrion skinął głową.

– Tak. Ten człowiek to prawdziwy święty. Więcej niż raz zaszczycił nas swoją obecnością. On dopilnuje, by nemański Kościół odzyskał świetność.

Na te słowa udało mi się ukryć niepokój. Jeśli klasztor poddał się Claverowi, to sprawa Bauerów, już i tak skomplikowana i zawiła, stanie się jeszcze trudniejsza.

– Cóż – powiedział obenpatrion tonem, który jasno dawał do zrozumienia, że rozmowa zbliża się do końca. – Zrobimy, co tylko możemy, by zmyć z ciebie ten grzech. – Chwilę trwało, nim zdałam sobie sprawę, że ponownie mówił o seansie. – Trzyma się ciebie, nawet teraz, niczym czarna oponka. Wyczuwam go.

Zadrżałam.

– Pomóżcie mi – powiedziałam i tylko częściowo to była gra. Ostatnim, czego pragnęłam, było naznaczenie jakąś częścią zaświatów.

– Pomogę, moje dziecko, pomogę. Nazywam się obenpatrion Fischer. Będziesz zwracała się do mnie „Wasza Ekscelencjo”.

Wstał i z posępnym wyrazem twarzy przeszedł obok mnie do drzwi. Otworzył je i zawołał w głąb kamiennego korytarza. Usłyszałam stłumioną odpowiedź, a potem pośpieszne kroki. Fischer wrócił do komnaty, tym razem z dziewczyną ubraną w biały habit i czepiec.

– Emilio, to jest Helena – powiedział.

Emilia zerknęła na mnie, po czym wbiła wzrok w podłogę.

– Witaj – powiedziała krótko z haunerskim akcentem i zdawkowo skinęła głową.

– Witaj – odpowiedziałam.

– Emilia oprowadzi cię po budynku i nauczy naszych zasad. Nie tak dawno temu sama ukończyła nowicjat. – Fischer obserwował mnie przez chwilę, na tyle długo, by było to niekomfortowe. W końcu skinął głową. – W porządku. Niech Nema będzie z tobą – powiedział i tym samym zostałam odprawiona.

* * *

Emilia zaprowadziła mnie do pokoju, który przypominał mi celę – niewielkie kamienne pomieszczenie, w ciągu dnia oświetlone wpadającym przez małe okno światłem, w którym jedynymi meblami były prycza i biurko. Na blacie biurka leżało oprawione w skórę i bogato ilustrowane Wyznanie Nemy, i musiałam sobie przypomnieć, że pomimo surowości otoczenia klasztor nie był biedny.

– Już za późno, byś dziś cokolwiek robiła lub uczestniczyła we mszy – powiedziała Emilia. – Równie dobrze możesz zostać tutaj i zacząć od jutra.

– Jaka jest rutyna? – zapytałam.

Emilia westchnęła.

– Wiem, że nadużywam uprzejmości – rzuciłam, nagle dając się ponieść niepokojowi. – Nie musisz mi o tym przypominać takimi teatralnymi gestami.

Dziewczyna spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczami i zdałam sobie sprawę, że w jakimś stopniu jej posępność była spowodowana strachem. Łatwo

zapomniałam o swojej imponującej prezencji. Nie można spędzić dwóch lat z Sędzią i nie przejąć części jego oblicza. Dla kogoś takiego jak obenpatrion Fischer mogłam sprawiać wrażenie płotki, ale dla wielu ludzi w moim wieku i młodszych byłam równie władczą, jak Vonvalt był dla mnie.

– Kąpiel jest o wschodzie słońca – powiedziała bardziej swobodnym tonem.
– Przyjdę po ciebie.

– A potem?

– Modlitwy, a przed lunchem wykonywanie przydzielonych prac.

– Jakie będą moje zadania?

Emilia wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Powinnaś się spodziewać, że będą niewdzięczne.

Przemilczałam te słowa.

– Ty też szukałaś tutaj schronienia?

Przez chwilę wyglądała na zażenowaną, potem jednak w jej spojrzeniu pojawiło się wyzwanie.

– Nie ma znaczenia, jak się tu zjawiłam. Teraz po prostu tu jestem.

– W porządku – powiedziałam. – W każdym razie, nie myślałabym o tobie gorzej.

– Nie ma dla mnie znaczenia, co sobie myślisz.

Przez kilka chwil stałyśmy w niezręcznej ciszy, aż stało się jasne, że rozmowa dobiegła końca.

– Cóż, bardzo ci dziękuję za tak uprzejmą pomoc – powiedziałam. – Zdaję sobie sprawę, że zajęłam ci dużo czasu.

Złagodniała, słysząc moje słowa, ale tylko odrobinę.

– W takim razie dobranoc – powiedziała.

– Dobranoc – odparłam, a ona wyszła.

Położyłam się na pryczy i wbiłam wzrok w sufit.

– Na cycki Nemy, w co ja się wpakowałam? – szepnęłam.

* * *

Styl życia okazał się tak bardzo zdyscyplinowany, że przyzwyczajenie się do niego zajęło mi zaledwie kilka dni. Budziliśmy się o świcie, przystępowaliśmy do *kupaiyanne*, czyli rytualnej kąpieli, i szliśmy do świątyni na dwugodzinną mszę. Później wykonywaliśmy swoje obowiązki – które dla mnie, zważywszy na moją pozycję, były rzeczywiście niewdzięcznej natury: czyszczenie latryn, czyszczenie obory, opieka nad chorymi zwierzętami i szorowanie podłóg. Następnie przychodziła pora na obiad, kolejną rundę obowiązków, kolację, prywatną modlitwę i łóżko. Prywatna modlitwa okazała się niewłaściwym

określeniem, bo chociaż oczekiwano, że mieszkańcy klasztoru będą spędzać czas w głównej świątyni lub mniejszych kaplicach w kompleksie, w rzeczywistości okazało się to jedną lub dwiema godzinami czasu wolnego. Był to również jedyny czas, kiedy grupy się mieszały, kobiety z mężczyznami, i kiedy – co było nie do uniknięcia – najczęściej dochodziło do zakazanych zachowań.

Po tym, jak rozwiązał się mój początkowy niepokój, w czym pomogła mi monotonia każdego dnia, z nieco większą pewnością siebie zaczęłam odgrywać swoją rolę. Zakonnice i mnisi wielokrotnie wypytywali mnie o moją historię z Vonvaltem – głównie podczas *kupaiyanne*, ale również podczas posiłków lub wieczornych modlitw. Chociaż bolało mnie rozprowadanie kłamstw o tym, jak źle mnie traktował, nader łatwo było mi przesadzać z tymi opowieściami. Bądź co bądź, naprawdę zmęczył mnie czas z nim spędzony i rzeczywiście chciałam opuścić służbę u niego. Biorąc pod uwagę, że we wszystkich kłamstwach tkwił żdźbło prawdy, z wielką łatwością przekonałam innych, jak okropne wiodłam życie. Blizna na wygolonej stronie mojej głowy również wiele o tym mówiła.

Nieustannie pamiętałam o pilnym statusie mojej misji, przez co wydawałam się niespokojna i udręczona. Byłam również rozdarta między koniecznością przypochlebiania się w celu stłumienia wszelkich podejrzeń i potrzebą, by zacząć badać spisek. To napięcie przysporzyło mi sporo stresu, przez co jadłam i spałam bardzo niewiele.

Brat Walter, stary mnich, który pełnił służbę w noc mojego przybycia, bezustannie mnie obserwował. Ze wszystkich ludzi w klasztorze to on był do mnie najmniej przyjaźnie nastawiony. Bez końca przydzielał mi zadania, które według niego były żmudne, lub zmuszał mnie do powtarzania trywialnych czynności tylko z tego powodu, że utrudnianie mi pracy sprawiało mu przyjemność. Kiedy nie wpatrywał się we mnie niczym jastrzęb z drugiego końca sali jadalnej, potajemnie pojawiał się w drzwiach lub niszach pod pretekstem nadzorowania mnie i wbiiał we mnie pożądlivy wzrok. Od czasów Muldau nie czułam skupionej na sobie tak wielkiej i niechcianej uwagi, lecz, mimo że bardzo chciałam uznać takie zachowanie za typowe dla odrażającego i lubieżnego starca, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że kryło się w tym coś więcej – szczególnie że rozpoznał mnie pierwszej nocy, przy bramie. Trudno mi było otrząsnąć się z ciągłego poczucia paranoi, lecz miałam wrażenie, że moja intuicja właściwie ocenia brata Waltera, i postanowiłam go unikać.

W końcu zdałam sobie sprawę, że nie mogę marnować czasu na budowanie podstępów, gdyż pokusa, by kontynuować proste, rutynowe życie w klasztorze, stawała się coraz większa. Dlatego po tygodniu od przybycia, kilka dni przed końcem Ebby, podczas porannej tury obowiązków postanowiłam zacząć delikatnie wypytywać Emilię. Nieznacznie zbliżyłyśmy się do siebie, ale nadal

wyczuwałam, że jest wobec mnie nieufna i że w przeciwieństwie do większości mnichów i zakonnic, z którymi rozmawiałam, nie do końca wierzyła w powód mojego pobytu w klasztorze.

– Czy z okazji Ebby dzieje się tu coś szczególnego? – zapytałam. Byłyśmy obie w ogrodzie przed jednym z krużganków i pieliliśmy rabaty.

– Wieczorem w świątyni odbywa się specjalna msza, ale nie jest obowiązkowa – odpowiedziała, wyrzuwając dużą kępę zielska i wrzucając ją do wiklinowego kosza między nami.

– Być może się na nią wybiorę – powiedziałam.

– Jak chcesz.

Udawałam zainteresowanie kępą chwastów przede mną.

– Co sądzisz o bracie Walterze? – zapytałam. Pomimo jego absolutnie odrażającego zachowania próbowałam skierować rozmowę na coś w rodzaju siostrzanych żartów.

Emilia zerknęła na mnie.

– Co masz na myśli?

– Ja... no wiesz... – Zamilkłam zbita z tropu.

Wiedziałam, że zdawała sobie sprawę, o czym mówię. Musiała o tym wiedzieć. Nie była maszyną. Nikt nie mógł błędnie ocenić jego zachowania i chociaż nie miałam wątpliwości, że większość mężczyzn w klasztorze przymykała na to oko, ktoś taki jak brat Walter z pewnością cieszył się wśród kobiet pewną reputacją.

– Nie, Heleno, nie wiem.

– Obawiam się, że mnie nie lubi. Cały czas krytykuje moją pracę.

– Być może nie wykonujesz jej zbyt dobrze?

Byłam zaskoczona, jak bardzo mnie to uraziło. Z wielkim wysiłkiem powstrzymałam się, by nie odpowiedzieć jej ostro.

– Jakże ma obowiązki? – zapytałam. – Czy jest blisko z obenpatrionem Fischerem?

Kończąc to pytanie, zdałam sobie sprawę, że jest niewłaściwe. Nie powinnam się tym interesować, szczególnie że byłam nowa w klasztorze i starałam się związać z nim swoje życie.

Emilia ponownie na mnie spojrzała.

– Brat Walter jest jednym z najstarszych braci w klasztorze; oczywiście, że jest blisko z obenpatrionem Fischerem. Jestem zaskoczona, że do tej pory jeszcze nie wiesz, jakie są jego obowiązki.

Nastąpiła kolejna niezręczna cisza, jak to często bywało w naszych rozmowach. Tym razem jednak byłam zdeterminowana dotrzeć do źródła problemu.

– Emilio, czy ja cię czymś uraziłam?

Nie spodobało jej się to. Natychmiast dostrzegłam, że konfrontacja ją zażenowała. Jej policzki oblały się czerwienią.

– Nie uraziłaś. Nie mam z tobą żadnego problemu.

– Emilio, zostaw na chwilę to piekielne pielenie i spójrz na mnie – powiedziałam łagodnie, lecz stanowczo, jak matka, która chce dowiedzieć się czegoś od nadąsanego dziecka.

Emilia podniosła na mnie wzrok.

– Chcę, żebyśmy zostały przyjaciółkami – powiedziałam.

– Nie chcesz, żebym była twoją przyjaciółką – odparła cicho.

Pochyliłam się do niej.

– Owszem, chcę – powiedziałam. – Naprawdę chcę. Chciałabym też wiedzieć, dlaczego traktujesz mnie z taką rezerwą. To nie jest wymagane przez... naszą wiarę – powiedziałam, gryząc się w język. – Wolno nam nawiązywać znajomości. Widziałam tu też ludzi, którzy robią dużo więcej – dodałam, żartobliwie poruszając brwiami. Miałam nadzieję, że się uśmiechnie, lecz ku mojemu przerażeniu wybuchła płaczem.

– Niech to Nema – mruknęłam i szybko się rozejrzałam, sprawdzając, czy ktoś na nas patrzy. Na szczęście byliśmy same. Ranek był słoneczny, chociaż nieco mroźny, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszałyśmy, była krzątania w położonym niżej Vale. – Co się znów stało?

Nie odpowiedziała, tylko ze złością otarła łzy. Wyciągnęłam rękę, by dotknąć jej ramienia, ale ona wzdrygnęła się gwałtownie.

– Przepraszam! – powiedziałam, cofając dłoń.

Nie mogłam zrobić nic więcej, jak tylko dać się jej wypłakać. Przypominało to obserwowanie, jak gaśnie ogień. Nie mogła nigdzie pójść. Zadania były obowiązkowe, a gdyby ktokolwiek zobaczył, że jedna z nas opuszcza ogród, obie zostałybyśmy ukarane.

Kilka chwil później uspokoiła się i ku mojemu zdumieniu wróciła do pielenia, jakby nic się nie stało.

– Chyba żartujesz – powiedziałam, patrząc na nią z niedowierzaniem. – Nie powiesz mi, co to było?

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – odparła bez emocji.

– Emilio – powiedziałam cicho. – Co się dzieje? Co ci się przydarzyło? Czy ktoś...

– Na savarański płomień, przestań gadać! – rzuciła ostro.

Teraz to ja się wzdrygnęłam. Przyglądałam jej się przez chwilę, ale ignorowała mnie do tego stopnia, że nie miałam innego wyjścia, jak tylko wrócić do własnego kawałka ziemi. Zakończyłyśmy pracę w milczeniu, a kiedy dzwonił

wezwał wszystkich na obiad, zerwała się na nogi i pobiegła do sali jadalnej, bym tylko nie zdołała zadać jej kolejnego pytania.

XIX

Głębiej w króliczej norze

„Sovanie poświęcili stulecia, by poznać istoty kryjące się w świętych wymiarach, jednak – podobnie jak w głębokich morskich odmętach – jedynie te, które znajdują się najbliżej powierzchni, można w jakikolwiek sposób zbadać. Kto wie, jakie lewiatany kryją się w głębinach zaświatów”.

Prognostyk Gavro Jurić

Życie w klasztorze toczyło się dalej. Emilia wyraźnie mnie unikała. Chociaż byłam pewna, że mając wystarczająco dużo czasu, mogłabym ją złamać, nie miałam go wystarczająco dużo. Lina podstępnie została rozwinięta. Nie miałam wątpliwości, że zarówno Vonvalt, jak i Bressinger byli obserwowani, a moment, kiedy Vonvalt zawrócił i ponownie skierował się do Vale, był chwilą, kiedy klepsydra została odwrócona. Nic się nie wydarzy, jeśli będę tylko szorować podłogi, śpiewać psalmy i pić klasztorne wino. Nie miałam tygodni czy nawet miesięcy potrzebnych, by zdobyć zaufanie Emilii i ją do siebie ośmielić. Musiałam podjąć bardziej drastyczne działania.

Spędziłam kilka dni na planowaniu, ale tak naprawdę odsuwałam w czasie to, co było nieuniknione. Wiedziałam, co mam zrobić: podążyć za dokumentami. Już dawno temu Vonvalt nauczył mnie, że dokumenty są złotym dowodem. Ludzie brzdądzili i kłamali, szczególnie wtedy, gdy na szali leżało ich życie. Nawet świadkowie mający dobre chęci potrafili niepoprawnie zapamiętać różne wydarzenia. Nie miałam czasu wierzyć w ludzi; tak jak w przypadku rejestrów w miejskim skarbcu, tak teraz potrzebowałam dokumentów. Tyle że te konkretne dokumenty – czyli prywatna korespondencja obenpatriona Fischera – będą ukryte w jego komnatach.

A to oznaczało włamanie się do nich.

Dzień Głupca przypadał na czternasty dzień Ebby, a Głupiec był świętym patronem Jadran. Tak ważny dzień wymagał ogromnego ceremoniału i odpowiednich obchodów, a Fischer, jako obenpatron, cały wieczór będzie zajęty podczas czuwania, które miało się odbyć w głównej świątyni. Wziąwszy pod uwagę obecność wszystkich w klasztorze i kończący mi się czas, wiedziałam, że nie będę miała lepszej okazji. Mimo to mój plan nadal budził we mnie strach. W normalnych okolicznościach włamanie się do komnat Fischera i przeglądanie jego prywatnej korespondencji byłoby podstawą do surowej kary, ale jeśli Fischer rzeczywiście był częścią spisku, a ja zostałabym złapana, to nawet moje wysokie cesarskie uprawnienia by mnie nie ocaliły.

W noc przed Dniem Głupca siedziałam przy biurku w swoim pokoju i przeglądałam kopię Wyznania Nemy, bezskutecznie starając się uspokoić nerwy. Gdy przewracałam strony wspaniale ilustrowanej księgi, dostrzegłam, że całość rozmieszczono z niesławnym sovańskim pragmatyzmem. Pierwszą część księgi zadedykowano wszystkim ich bogom, półbogom i świętym, opisom, do kogo się modlić i dlaczego – niemal zestaw instrukcji – podczas gdy w drugiej, wyraźnie skierowanej do mniej praktykujących Sovan, przedstawiono różne parable i przypowieści.

Wiedziałam, że lwia część tekstów pochodziła z Księgi Świętego Creusa, który według sovańskiej mitologii był ziemskim łącznikiem między bogami i ludźmi. Z czasem dodano do niej kolejne tomy, w tym Księgę Lorna, którą bez sukcesu próbowano zastąpić stare draedyjskie praktyki północnego Haunersheimu, Tolsburga i Jägelandu. Jednakże w przeciwieństwie do pierwotnego kierunku sovańskiej wiary te kolejne księgi były ignorowane przez wszystkich bardziej niż wystrzał z łuku z samej Sovy. I nawet Vonvalt, który nie był religijny, określał je jako „błotniste piwo dla duszy”.

Na samym początku księgi i na szczycie piramidy znajdowała się Nema, Bogini Matka, która w większości ikonografii była przedstawiana jako biała łania. Jej boskim mężem był Savare, Bóg Ojciec. Między nimi znajdowały się ich półboskie dzieci, znane jako Deti, od Głupca, którego czcili Jadranie, po Oszusta, półboga nieszczęść i, jak się okazało, przerażającego demona zaświatów.

Deti, oczywiście, łączyły się z innymi astralnymi istotami (a czasami nawet ze sobą nawzajem), w wyniku czego spłodziły cały panteon dalszych półbóstw i świętych, i to do tego stopnia, że niemal każdy aspekt życia na ziemi posiadał swojego opiekuna – byli bogowie śmierci i zniszczenia, uzdrowienia i muzyki, miłości, szczęścia, wojny, mądrości, siły, ochrony, czasu, handlu, wiedzy, podróży, magii... Łatwo było dostrzec, jak Wyznanie Nemy pochłonęło inne religie i udawało, że od zawsze były tylko odgałęzieniami głównego nurtu.

Spędziłam więcej czasu na przeglądaniu kodeksu, niż zamierzałam. Zdecydowałam, że pomimo braku wiary modlitwa w tych okolicznościach nie zaszkodzi. Wtedy strony przewróciły się na wstę do Oszusta.

Do dziś doskonale pamiętam to uczucie... jak wzrok mi się zamglił, a każdy centymetr mojej skóry pokrył się gęsią skórką. Widok Aegraxesa, dwugłowego węża przedstawionego na czarno-białym szkicu, na zawsze wyrył mi się w pamięci. Przez chwilę sądziłam, że moja chorobliwa ciekawość nakłoni mnie do przeczytania tekstu, lecz poczułam tak ogromne przerażenie, że użyłam kilku kropel wosku z palącej się świecy do sklejenia kart.

Pozbawiona wszelkiego entuzjazmu otworzyłam księgę na modlitwie do Kultaara, półboga szczęścia – radosnej, podobnej do myszy istoty, do której odnotowanych interwencji wliczano ocalenie życia dziadkowi cesarza w bitwie pod Sanque, kiedy to bóg umieścił nieszczęsnego woźnicę pomiędzy nim a katapultą. Nie modliłam się regularnie, odkąd byłam dzieckiem, kiedy to zbyt często wysokość jałmużny była uzależniona od bitych darczyńcom pokłonów. Na szczęście Kultaar nie należał do bogów lubujących się w nakazach i raczej byłam pewna, że mi wybaczy urywane i chaotyczne błagania.

W końcu zamknęłam kodeks i położyłam się do łóżka. Ostatnie, czego pragnęłam, to zdmuchnąć świecę, bo czytanie Wyznania napełniło mnie strachem przed ciemnością. Cóż, wiedziałam, że knot i tak się wypali. Zdmuchnęłam płomień i pożałowałam, że obok mnie nie leży pijany i chrapiący Bressinger.

* * *

Nie mam pojęcia, która była godzina, gdy w końcu usnęłam, lecz kiedy obudzono mnie rano, czułam się tak, jakbym w ogóle nie spała. Postanowiłam udawać chorobę w ciągu dnia, by mieć pretekst do opuszczenia wieczornego czuwania, ale gdy ruszyłam na rytualną kąpiel, to wcale nie musiałam wkładać w tę rolę wielkiego wysiłku. Byłam zdenerwowana i wyczerpana niemal bezsenłą nocą. Kilka znajomych zakonnic skomentowało moją bladą, niemal woskową twarz, krople potu na moim czole, posępny nastrój, i nim przyszedł czas na poranną mszę, odesłano mnie do pokoju. Nie do końca było to podyktowane altruizmem; choroba zakaźna wybiłaby wszystkich w klasztorze.

Czekałam w pokoju tak długo, jak tylko mogłam, z nadzieją, że, tak jak tego wymagano, wszyscy zgłoszą się na czwanie. Potem, mimo szarpiącego mi nerwy niepokoju, bez przeszkód przeszłam korytarzami i dotarłam do kwatery obenpatriona, która mieściła się naprzeciwko komnaty, w której zobaczyłam go po raz pierwszy.

Przycisnęłam ucho do drzwi, lecz niczego nie usłyszałam przez stare dębowe deski. Wtedy ujęłam klamkę w spoconą dłoń, a dopiero w następnej chwili uświadomiłam sobie, że mogą być zamknięte. Po części miałam nawet nadzieję, że tak będzie. Odetchnęłam głęboko, po czym przekręciłam gałkę i poczułam zdumienie, gdy drzwi otworzyły się posłusznie na dobrze naoliwionych zawiasach. Być może dzięki interwencji Kulthaara Fischer po prostu zapomniał je zamknąć... Albo gorzej, nie dbał o to, by to zrobić, bo w środku nie było nic obciążającego. W każdym razie nie zamierzałam stać w progu i się nad tym zastanawiać. Wpadłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi.

Wewnątrz znajdowała się komnata tonąca w niewiarygodnym wprost luksusie. Przypominała bardziej pokój solarny starszego arystokraty. Pluszowe dywany w kolorze głębokiego królewskiego błękitu gwarantowały to, że stopy obenpatriona nigdy nie zmarzną od kamiennych płyt, chociaż porządnie rozpalony ogień w kominku, wiszące na ścianach gobeliny i zasłony sugerowały, że podłoga tutaj nigdy nie była szczególnie zimna. Za pierwszą komnatą, która pełniła funkcję czegoś w rodzaju pokoju gościnnego, widziałam sypialnię Fischera, gdzie duże łóżko z czterema kolumnami dominowało w dostępnej przestrzeni, wypełnioną również innymi ostentacyjnymi meblami. Na ścianach wisały obrazy w pozłacanych ramach, podczas gdy na cokołach spoczywały marmurowe popiersia poprzednich obenpatrionów. Była tam nawet prywatna łazienka, w której zobaczyłam pozłocaną armaturę i kosztowne lustro. W jednym z nich dostrzegłam swoje odbicie i z częściowo wygolonymi włosami oraz twarzą wychudłą ze stresu ledwie poznałam wpatrującą się we mnie młodą kobietę.

Szybko przystąpiłam do przetrząsania komnaty. Szukałam stert dokumentów i prywatnej korespondencji. W salonie niczego nie znalazłam, lecz w sypialni Fischera znajdowało się biurko. Przejrzałam szuflady, drżącymi rękami wyciągając pliki otwartych listów i przeglądając je, żeby jak najszybciej poznać ich treść. Bardzo dobrze się składało, że Vonvalt nauczył mnie wysokiego saxańskiego, jako że większość z nich była napisana właśnie w nim.

Żaden nie był interesujący. Pośpiesznie przeszukałam sypialnię, coraz bardziej rozgorączkowana i ogarnięta nieostrożnością hazardzisty... z tym że na szali stawiałam czas, nie pieniądze. Równie dobrze mogłam ryzykować własne życie. Jak długo będzie trwało czuwanie? Czy ludzie już zaczęli rozchodzić się do swoich komnat? Czy Fischer napije się później wina z jednym ze starszych członków klasztoru, czy może raczej wróci prosto do swojej komnaty i łóżka? I czy wtedy cokolwiek usłyszę? Czy dostanę jakiegokolwiek ostrzeżenia?

Jakakolwiek pewność siebie, jaką emanowałam na wejściu, teraz się ulotniła. Nagle poczułam się tak, jakbym podjęła jakieś niewiarygodne ryzyko.

Zdecydowałam, że zrobiłam już wystarczająco dużo. Będę w stanie spojrzeć Vonvaltowi w twarz, gdy poinformuję go o swojej porażce, wiedząc, że zrobiłam wszystko, co tylko mogłam. Z ulgą odwróciłam się do wyjścia, gdy dostrzegłam niewielki kawałek papieru wystający z jednej z szuflad komody w narożniku pokoju.

Zrobiłam dwa kroki w stronę drzwi wejściowych do komnaty, po czym się zatrzymałam. Z ogromnym poczuciem nienawiści do samej siebie odwróciłam się, doskoczyłam do szuflady i otworzyłam ją szarpnięciem.

Zdziwiona ściągnęłam brwi. Nie znalazłam w środku żadnej kartki, którą można by powiązać z wystającym papierem, tylko samą bieliznę. Kiedy sięgnęłam do środka, zdałam sobie sprawę, że pod dnem szuflady znajduje się tajna skrytka. Nie było to zbyt pomysłowe, lecz wystarczyło do zmylenia wszystkich, prócz zdeterminowanego szukającego. Odsunęłam cienką deskę i wstrzymałam oddech na widok cienkiej paczki listów.

Chwyciłam pierwszy z nich i otworzyłam, plamiąc pergamin zwilgotniałymi od potu palcami.

Wasza Ekscelencjo,

z zachwytem przyjąłem wieść o Waszej hojnej darowiznie na rzecz Zakonu Świątyni Savara; Jadranie zawsze byli bogobojnym i wspianiałym towarzyszem, i chociaż nie zaskoczyła mnie Wasza gotowość do wsparcia naszej sprawy, niezmiernie uszczęśliwił mnie ogrom Waszej szczodrości.

W drodze powrotnej dopilnuję, by przedstawić Was baronowi Naumovi. W minionym roku spędziłem z nim sporo czasu. Roundstone stał się dla mnie drugim domem podczas mojej podróży po południowych i wschodnich ziemiach Haunersheimu, i znalazłem w baronie bliskiego sojusznika. Podobnie jak wielu innych starych sovańskich Haunerów, jest to pobożny człowiek. Jest bardzo zainteresowany naszym planem.

Napiszę do Was znów, gdy pozwoli mi na to czas. W tej chwili zamierzam dogonić jednego z cesarskich Magistratów na drodze Hauner. Przypomina sobie Ekscelencja naszą dyskusję na temat Zakonu Magistratu i ich diaboliczny, duszący uścisk, w którym trzymają starą nemańską magię. Spodziewam się, że będzie to kształcące doświadczenie!

Stamtąd, dla celów jakiegokolwiek dalszej korespondencji, celem mojej podróży pozostaje Strażnica Morska; podobnie jak barona Naumova, dochodzą mnie dobre informacje na temat margrabiego. Później powrócę na południe, chociaż nie zaplanowałem jeszcze ostatecznej trasy. Poprowadzi mnie pewna ręka Boga Ojca.

Wasz wierny,

Bartholomew Claver

Serce waliło mi w piersi. List został wyraźnie wysłany w czasie, kiedy Claver dołączył do nas na granicy Jägelandu. Człowiek ten miał talent do oszukiwania, jako że nikt nie podejrzewał go o ukryte motywy. Staralam się sobie przypomnieć, czy któremukolwiek z nas coś się wymknęło, jako że jego pytania nie miały końca. Wtedy było to zaledwie irytujące, lecz teraz obudziło we mnie złe przeczucia. Jednak później przyjdzie czas, by nad tym pomyśleć. Na tę chwilę dwie rzeczy stały się jasne: pierwsza, że Claver miał plany co do samego Zakonu Magistratu. Drugą było to, że pokaźna część funduszy ze skarbca Galen's Vale ostatecznie trafiała do savazańskich Templariuszy. Jedynym pytaniem było to: czy śmierć lady Bauer miała z tym cokolwiek wspólnego?

Otworzyłam kolejny list. Po jego treści poznałam, że został wysłany wiele tygodni później i w odpowiedzi na wiadomość od obenpatriona Fischera.

Wasza Ekscelencjo,

dziękuję, że znalazł Pan czas, by ponownie do mnie napisać. Wasza gotowość, by nadal nas wspierać, przepełnia moje serce radością. Dopilnuję, by CP dowiedział się o Waszej pobożności; nemańscy patriarchowie w Sovie zawsze chętnie słuchają i poznają ludzi o wyjątkowych charakterach.

Zarówno mnie, jak i moich towarzyszy z Zakonu Świątyni ogromnie podniosła na duchu Wasza chęć dalszego wysyłania funduszy i łaskawa przychylność naszej sprawie. Nie ma potrzeby dalszej korespondencji; im więcej zachowamy w naszych umysłach i sercach, a mniej przelejemy na papier, tym lepiej.

Do zobaczenia wkrótce.

*Wasz wierny,
Bartholomew Claver*

CP musiało oznaczać College Prognostyków, jeden z organów zarządzających w nemańskim Kościele. Zastanawiałam się, czy Claver naprawdę miał posłuch w tak wysokiej i czcigodnej instytucji, czy może były to tylko puste słowa. Tak czy inaczej, „gotowość, by nadal nas wspierać” jasno wskazywała, że Fischer sam zaoferował dorzucanie funduszy do kufrów Templariuszy, bez wątplenia po to, by zyskać dokładnie taki rodzaj względów, jakie Claver obiecał w zamian. Jeśli środki wpływające do skarbca z tytułu kupieckich opłat akcyzowych były w jakikolwiek sposób zbliżone wysokością do tych wskazanych w rejestrach, to nawet niewielka część tych pieniędzy, skradziona i przekierowana do klasztoru, byłaby zbyt kusząca dla kogoś takiego jak Claver

i jego armia Templariuszy. Bądź co bądź, armia wymagała dużych nakładów pieniężnych. Żołnierze potrzebowali nie tylko mieczy, włóczni, strzał, tarcz i zbroi, ale również ogromnych ilości jedzenia – podobnie jak ich konie – i niekończącej się procesji utalentowanych rzemieślników i kobiet do budowy fortyfikacji, gotowania posiłków, podkuwania koni, naprawy machin oblężniczych, opieki nad chorymi i rannymi, zaspokajania ich żądz, prowadzenia mszy i tak dalej. Nic na świecie nie jest tak kosztowne, jak działania wojenne, ale na szczęście dla Clavera ten przyływ funduszy zapewni im pewną ulgę w tej materii.

Na powrót złożyłam list, odłożyłam go do skrytki, po czym położyłam deskę na miejsce i przykryłam bielizną. Nie odważyłam się zostawać dłużej w sypialni. Jasne było, że istniało powiązanie pomiędzy Fischerem i Claverem, a to wystarczy Vonvaltowi, by Głosem Cesarza wyciągnąć od obenpatriona prawdę, niczym boleć z zawiasu przy framudze.

Zamknęłam szufladę, zadowolona, że ta niebezpieczna wyprawa dobiegła końca, odwróciłam się do wyjścia...

...i zamarłam, gdy usłyszałam otwierające się drzwi na korytarz.

Rozejrzałam się gorączkowo. Mogłam się ukryć jedynie pod łóżkiem. Po kilku sekundach leżałam już na podłodze, niewidoczna, z zaciśniętymi pięściami i zębami, i z sercem bijącym tak mocno, że miałam wrażenie, iż wszędzie je słyszać.

Miałam ochotę się rozplakać. Byłam pewna, że usłyszę, kiedy czuwanie dobiegnie końca; nie sądziłam, że cała społeczność klasztoru opuści świątynię, nie robiąc przy tym hałasu. Być może go zrobili, ale byłam tak pochłonięta korespondencją, że tego nie zauważyłam... A może po prostu grube mury klasztoru stłumiły wszelkie dźwięki. Teraz nie miało to znaczenia.

Łóżko było wystarczająco wysokie, bym mogła cokolwiek zobaczyć, a na tyle niskie, by nikt nie dostrzegł mnie. Starłam się uspokoić, oddychając powoli i głęboko. Pod łóżkiem nie było niczego oprócz mnie, zatem nikt nie miał potrzeby tam zajrzeć. Jedyne, co musiałam zrobić, to zapanować nad nerwami; okazja, by wyjść, pojawi się sama.

Słyszałam, jak Fischer krząta się w pierwszej komnacie. Jakies pięć minut po jego wejściu rozległo się pukanie do zewnętrznych drzwi. Fischer westchnął, po czym dobiegł mnie odgłos przekręcanej klamki.

– Bracie Walterze – powiedział Fischer, a do sypialni doszedł dźwięk poruszających się po korytarzu ludzi: kroki na kamiennej podłodze, przyjazne rozmowy, czyjś spontaniczny śmiech.

Tak bardzo pragnęłam tam z nimi być, że sprawiało mi to wręcz agonálny ból. W jaki nędzny obraz się wpisałam. Mimowolnie obwiniłam o wszystko

Vonvalta.

– Czy coś cię trapi? – zapytał Fischer ze znużeniem.

– Ta Tolka. Ta, która szukała schronienia.

– Tak – odpowiedział niecierpliwie Fischer. – Bracie, jestem zmęczony. O co chodzi?

– Nie ma jej w komnacie.

Przygryzłam wargę, by powstrzymać się przed krzykiem. Czułam się jak złapany w pułapkę lis. Ogarnął mnie zwierzęcy strach, nagły i prymitywny. Po głowie zaczęły krążyć mi niewiarygodne myśli: by może rzucić się obok nich i uciec z komnaty, pobiec labiryntem korytarzy, wydostać się głównym wyjściem i pognać w stronę bramy... A potem co? Dalej napłynęły jeszcze mroczniejsze obrazy, wzbierając w mojej głowie niczym olej na piasku. Pomyślałam o zjeździe do miasta tą zimną, zdradziecką ścieżką, o tym, jakbym mogła zostać rozjechana i pozostawiona na śmierć na poboczu drogi albo jeszcze gorzej... O tym, że mogłabym skończyć z rozbitą głową, jak lady Bauer, a potem, nieprzytomna i ledwie zdolna oddychać, zostałabym wrzucona do lodowatej rzeki Gale.

– Czy nie jest chora? – zapytał Fischer. – Tak mi powiedziano.

– Rzekomo.

– Cóż, w takim razie być może poszła opróżnić żołądek.

– Nie ma po niej śladu w damskich toaletach.

– Co ci mówiłem na ten temat? – rzucił Fischer ze złością. – Chyba pamiętasz naszą dyskusję.

– To coś innego. – Walter był bliski wpadnięcia we wściekłość; jedynie dzieląca ich hierarchia powstrzymywała jego gniew. – Podejrzewam ją.

– O co mianowicie?

– O szukanie schronienia pod fałszywym pretekstem.

Fischer westchnął teatralnie.

– Już poruszaliśmy ten temat...

– Mówię ci, to coś innego. Siostra Klein kłamała. Sam wiesz, że Venlandczycy nie potrafią otworzyć ust, by nie kłamać. Ona...

W myślach wyobraziłam sobie Fischera, który który podnosi dłoń, by go uciszyć.

– Moja wyrozumiałość ginie pod ciężarem twojego grzechu, bracie – powiedział.

– Ja tylko robię to, co według mnie jest najlepsze dla klasztoru – wymamrotał Walter. – Dla zakonu. Nie sądzisz, że to dziwne, że tutaj jest? Asystentka Sędziego, w klasztorze? Bez wątplenia tylko węszy.

– I co takiego niby mogłaby znaleźć? – zapytał Fischer.

Ponownie zapadła cisza. Wyobrażałam sobie brata Waltera, który niemal wiał się pod spojrzeniem swojego mistrza. Co ten człowiek ukrywał? Ci dwaj nie rozmawiali ze sobą, jak konspiratorzy. Kiedy się nad tym zastanowiłam, czy w tych listach naprawdę było coś aż tak obciążającego? Czy było tam cokolwiek, czego nie można by wytłumaczyć? Czy Fischer przekazywał Templariuszom jedynie pieniądze, które uważał za pochodzące z legalnego źródła? Czy może w rzeczywistości to brat Walter współpracował z Vogtem i Bauerem? Miałam wrażenie, że jestem tak blisko rozwiązania sekretów klasztoru, a zarazem tak daleko, jak to tylko możliwe, by cokolwiek z tym zrobić.

– Wyrzuc ją – naciskał Walter, ignorując pytanie swojego mistrza. – Nawet nie musisz podawać powodu. Tak będzie najlepiej dla zakonu.

Usłyszałam, jak Fisher się prostuje.

– To ja decyduję, co jest najlepsze dla zakonu – powiedział. – Idź już, bracie, i zostaw tę dziewczynę w spokoju. Masz już więcej za nią nie chodzić.

Kolejny raz zapadła cisza i wyobraziłam sobie, jak Walter wbija w Fischera jadowny wzrok. Po chwili jednak rozległo się szuranie, gdy wycofywał się z komnaty, i zaraz potem usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi.

Usłyszałam jęk Fischera, po czym rozległ się odgłos dłoni przesuwanych po pokrytej zarostem twarzy. Potem zawołał:

– Możesz wyjść! Już poszedł.

Dary Kuldaara

„Niewielu ludzi podziękuje ci za to, że jesteś mądrzejszy od nich. Człowiek przedkłada bzdury od sąsiada ponad jedno słowo największego uczonego w Sowie”.

Sir William Szczery

Z moich ust wyrwał się cichy, mimowolny jęk. Była to bezradna, nieszczęśliwa skarga potępionych.

Jeśli kiedykolwiek Ty, Czytelniku, nie znalazłeś się w miejscu, w którym nie powinno Cię być – a na szali leży Twoje życie, a przynajmniej tak sądzisz – wtedy nie potrafię właściwie przekazać Ci grozy takiej sytuacji. Dla mnie było to gorsze od śmiertelnej walki na polu bitwy. Ta ostatnia sama w sobie jest makabrą, ale głównie fizyczną, a jeśli jesteś uzbrojony, to Twój los jest częściowo w Twoich rękach. Tutaj byłam bezradna. Nawet w najlepszym możliwym przypadku, jeśli to naprawdę brat Walter był tutaj przywódcą spisku, a Fischer zaledwie mającym dobre chęci, lecz wprowadzonym w błąd ofiarodawcą savazańskich Templariuszy, obenpatrion nie potraktuje mnie łagodnie za wtargnięcie do jego kwatery i przejrzanie prywatnej korespondencji.

– No dalej, nie mam całego wieczoru – powiedział z niecierpliwością Fischer.
– Wychodź, już go nie ma.

Spoconymi, drżącymi rękami zaczęłam się podpierać, by wysunąć się spod łóżka. Miałam wrażenie, że zbliżam się do szubienicy, chociaż gdyby sytuacja była tak zła, jak się wydawało, mogłoby spotkać mnie coś gorszego niż tylko powieszenie.

Byłam mniej więcej w połowie wyczołgiwania się, kiedy usłyszałam w pokoju drugi głos:

– Ekscelencjo, wybacz mi wahanie. Nie słyszałam odgłosu zamykanych drzwi.

Z zębami zaciśniętymi tak mocno, że myślałam, że mi zaraz pękną, i ledwie wając się oddychać, szybko się cofnęłam. Wyobraziłam sobie stojące wokół stołu Deti, grające w kości i manipulujące małymi figurkami. Moje wytchnienie było zaledwie łutem kosmicznego szczęścia. Być może moja modlitwa do Kultaara podziałała. W każdym razie nie byłam w stanie przyjąć więcej stresu. Miałam wrażenie, że zaraz stanie mi serce.

– Chodź do sypialni – powiedział Fischer. – Na Neme, ależ jestem zmęczony.

– Kto z tobą rozmawiał? – zapytała tajemnicza kobieta. Nie poznawałam jej głosu, ale brzmiała jak jedna ze starszych zakonnicek. – Nie słyszałam go z miejsca, w którym się ukrywałam.

– Brat Walter – odparł Fischer. Zbliżył się do komnaty sypialnej, a jego głos rozbrzmiał głośniejsze. – Ten człowiek od lat jest cierniem w moim boku. Prowadzi w klasztorze jakiś projekt, jakiś plan, który dopiero muszę odkryć. Szuka powodów, by podejrzewać ludzi, niczym dzik szukający trufli. Jestem pewien, że jest na wpół szalony.

– Nigdy go nie lubiłam. Niewiele kobiet go lubi. Jest jednym z tych raczej lubieżnych typów.

Teraz oboje już byli w sypialni. Zaciśnęłam powieki. Usłyszałam, że przynajmniej jedno z nich usiadło na łóżku.

– Zostaw ten temat. To mi psuje nastrój.

– Twój nastrój – powtórzyła kobieta z rozbawieniem w głosie. – Sam jesteś teraz lubieżny.

Zbyt późno zdałam sobie sprawę, co się zaraz stanie. Zakryłam uszy dłońmi, ale daremnie. Odgłosy całowania, jęczenia i rozbierania dotarły do mnie, tak jak nic przewleka się przez igielne ucho. Nie minęło dużo czasu, a łóżko zaczęło się trząść od charakterystycznego uderzania ciałem o ciało. Fischer miał wiele wad, ale na nieszczęście dla mnie brak wytrwałości nie był jedną z nich. W pewien sposób nawet chciałabym zostać przyłapana; znoszenie tej makabry i bycie mimowolnym i niechętnym podglądaczem było dla mnie jednym z najbardziej nieprzyjemnych doświadczeń w Galen's Vale.

W końcu mężczyzna zaczął szczytować w ciele swojej nieszczęsnej kochanki – nigdy nie poznałam jej tożsamości. Chociaż ich stosunek trwał całe wieki, musiałam pocieszyć się myślą, że jednak nie zostałam złapana. Czekałam, aż się ubierze i wyjdzie, a Fischer umyje się i przygotowuje do snu. Ten krótki czas był naznaczony moim czystym przerażeniem, gdy tylko czekałam, aż obenpatrion nieuchronnie upuści coś obok łóżka i pochyli się, by to podnieść. Jednak, tak jak

wcześniej, Kultaar najwyraźniej usłyszał moje modlitwy i moja kryjówka pozostała nieodkryta.

Mężczyzna zgasił stojące przy łóżku lampy i komnata pogrążyła się w ciemności. Absurdalnie, największym niebezpieczeństwem, jakie na mnie teraz czyhało, było to, że zasnę. Niewiarygodne napięcie psychiczne, jakie czułam przez ostatnią godzinę lub więcej, ogromnie mnie wyczerpało, zaś dywan pod łóżkiem był wygodny, a komnata ciemna i ciepła. Tak czy inaczej, zmusiłam się, by nie zasnąć, wbijając paznokcie w udo za każdym razem, kiedy miałam wrażenie, że zmęczenie bierze nade mną górę.

Fischer oczywiście w końcu zasnął, jednak dla pewności zaczęłam chyba kolejną godzinę, po czym ukradkiem wyszłam z komnaty. Miałam wrażenie, że moje kroki roznoszą się echem, niczym bicie kościelnego dzwonu, a każde skrzypnięcie i trzaśnięcie moich kości rezonuje jak grunt drżący od osuwającej się z wysoka ziemi. Wyobraziłam sobie Fischera, który leży przebudzony i wpatruje się w moją wycofującą się z pokoju postać, a jego wolny w udawanym śnie oddech jest tylko pozorem. Zaczęło ogarniać mnie coraz większe zdenerwowanie, gdy czekałam, aż jego głos niczym nóż przetnie ciemność, i całą siłą woli musiałam się powstrzymać, by nie skoczyć do drzwi, otworzyć ich szarpnięciem i uciec. Jednakże, sięgając po ostatnie rezerwy samokontroli, wyszłam na palcach, otworzyłam, a potem zamknęłam za sobą drzwi i po szybkim truchcie po krętych korytarzach klasztoru wróciłam do swojej celi.

Rzuciłam się na łóżko, twarzą do dołu i wybuchnęłam histerycznym śmiechem. Miałam wrażenie, że trwało to całe wieki, jakby ktoś wyjął ze mnie korek i nie mógł włożyć go z powrotem. Musiałam wcisnąć twarz w poduszkę, bo chociaż ściany były z grubego kamienia i nie przepuszczały żadnych dźwięków, nie odważyłam się zaryzykować, że ktoś mnie usłyszy.

W końcu uspokoiłam się na tyle, by móc zasnąć. Kiedy leżałam w ciemności, z nerwami jeszcze zbyt napiętymi, by zmorzył mnie sen, zastanawiałam się, co zrobić dalej. Najbardziej kusiło mnie, by po prostu odejść, jako że klasztor nie był więzieniem, a ja nie byłam więźniarką, i wolno mi było w każdej chwili wyjechać. Jednak coś zmuszało mnie do pozostania. Z perspektywy czasu wydaje się szalenie lekkomyślne, bym zrobiła cokolwiek innego niż prześlizgnięcie się przez główną bramę, ale wtedy, za każdym razem, kiedy osiągnęłam najmniejszy sukces, czułam niewytłumaczalne pragnienie, by podwoić wysiłki. Właśnie dlatego tak trudno mi było odejść ze służby u Vonvalta – za każdym razem, kiedy o tym myślałam, jakieś osiągnięcie lub pochwała z jego ust napełniłyby mnie dumą i przekonały o moim błędnym myśleniu.

Postanowiłam spróbować znaleźć coś więcej na temat brata Waltera. Nie wyglądało to na tak trudne zadanie, jakie właśnie wykonałam; brat Walter był mniej subtelny i miał w klasztorze niewielu przyjaciół. Dałam sobie czas do końca tygodnia, by się dowiedzieć, jakie ma zamiary. Jeśli do tego czasu nie znajdę niczego użytecznego, odejdę.

Przynajmniej taki był plan.

* * *

Następny dzień był zwyczajnie monotony. Zdałam sobie sprawę, że choroba trwająca jeden dzień tylko wzbudzi podejrzenia, szczególnie dla tych, którzy widzieli, że nie biorę udziału w wielu nudnych przygotowaniach do obchodów Dnia Głupca, dlatego dalej udawałam niedyspozycję. Jak poprzedniego dnia, pozostałe zakonnice z chęcią przystały, bym została w swojej celi, i w efekcie spędziłam nudny dzień, przeglądając Wyznanie Nemy, wpatrując się w okno i krążąc po pomieszczeniu niczym zwierzę zamknięte w klatce. Po części spodziewałam się, że brat Walter przyjdzie i wetknie swój nos w drzwi do mej celi, jednak wyglądało na to, że wziął sobie uwagę Fischera do serca. Najwyraźniej pozycja tego człowieka w klasztorze była bardziej niestała, niż komukolwiek się wydawało.

Mijały godziny. Słońce skryło się za horyzontem i nad Vale zapadła ciemność. Chciałam, żeby nadeszła już pora snu, bym mogła spędzić kilka godzin mojego odosobnienia w stanie nieświadomości. Jednak wtedy, jakąś godzinę od rozpoczęcia czasu prywatnej modlitwy po kolacji, ktoś zapukał do moich drzwi.

– Proszę wejść – powiedziałam z zaschniętymi ustami, uświadamiając sobie, że to pierwsze słowa, które wypowiedziałam tego dnia.

To była Emilia. Otworzyła drzwi, wślizgnęła się do pokoju i gestem wskazała, bym zachowała ciszę, po czym zaczęła nasłuchiwać kroków na korytarzu. Dziwnie było widzieć ją tylko w nocnej koszuli i bez czepca na głowie. Włosy miała jaśniejsze, niżbym zgadła po kolorze jej brwi.

– Na Kasivara, co się dzieje? – zapytałam z gwałtownie bijącym sercem i krwią mocno tętniącą w żyłach. – Przez ciebie obie zostaniemy wychłostane.

Zrobiła kilka kroków w stronę mojego łóżka i usiadła. Widziałam, że była zdenerwowana.

– Co do tamtego dnia... – zaczęła.

– Tak?

Otworzyła usta i ponownie je zamknęła. Czekałam cierpliwie. Z doświadczenia wiedziałam, że żadna forma delikatnego lub intensywnego

przepytywania nic nie da i niczego się nie dowiem.

– Klasztor... to mroczne miejsce. – Jej głos był pełen smutku. – Moja jest czarna przyszłość.

Z całych sił starałam się nie krzyknąć. Zawirowało mi w głowie, a ciało tak nagle pokryło się gęsią skórą, że było to niemal brutalne doświadczenie.

– Na mą wiarę, nic ci nie jest? – zapytała mnie Emilia, na widok mojej reakcji całkowicie zapominając o swoim przygnębieniu.

Nie odpowiedziałam. Poczułam, jak z przerażenia robi mi się niedobrze. Podczas seansu Graves wypowiedział dokładnie te same słowa. Dokładnie te same. Kiedy je wypowiadał, widziałam wpatrzone we mnie jego oczy... oczy Oszusta.

– Heleno? – zapytała Emilia.

– Gdzie to usłyszałaś? – zapytałam. Byłam na krawędzi łez, zlana potem i drżąca. Całe wydarzenie wróciło do mnie w ogromnej fali emocji – seans, koszmary, groza całego doświadczenia.

– Heleno, przerażasz mnie – powiedziała Emilia. – Co się stało? Co takiego powiedziałam?

Skupiłam się i zapanowałam nad oddechem, korzystając z technik uspokajających, jakich nauczył mnie Vonvalt. Wydawało się, że minęło mnóstwo czasu, nim byłam w stanie cokolwiek powiedzieć.

– Słyszałam już te słowa, dokładnie te same słowa, wypowiedziane przez... kogoś innego. To mnie przestraszyło.

– Nie rozumiem – powiedziała Emilia. – Nie słyszałam ich od nikogo. Nie zastanawiałam się nad nimi. Tylko powiedziałam, co czuję.

Serce nadal waliło mi jak młotem, lecz poczułam napływające powoli opanowanie. Rękawem otarłam pot z czoła. Zdałam sobie sprawę, że Emilia nie ma pojęcia, o czym mówiłam. Naciskanie na nią tylko jeszcze bardziej ją zdezorientuje, a dopiero co postanowiła się przede mną otworzyć.

– Przepraszam – powiedziałam, kręcąc głową, i uśmiechnęłam się przeproszająco. – To chwilowe szaleństwo. Proszę. – Gestem zachęciłam ją, by mówiła dalej. Spojrzała na mnie z rezerwą.

– Byłam służącą – powiedziała. – Mój pan był dobrym człowiekiem, ale zmarł nagle, pogrążony w długach, i w efekcie wyrzucono mnie na ulicę. Nie miałam dokąd pójść, a tutaj przez jakiś czas byli dla mnie dobrzy. Obenpatrion Fischer to dobry i pobożny człowiek. Nie wie jednak, co się dzieje w ciemnych zaułkach klasztoru.

Ściągnęłam brwi.

– Co masz na myśli? – zapytałam. Musiałam się powstrzymać, by nie zapytać o brata Waltera.

Emilia rozejrzała się dookoła. Cisza otuliła nas niczym koc. Nic się nie poruszyło.

– Są tutaj źli ludzie – wyszeptała. – Nie wiem dokładnie, czym się zajmują. Ale jest więcej niż jeden. Korzystają ze starych lochów. Są jak pszczoły w ulu.

– Kim oni są? – zapytałam równie cicho.

– Nie przychodzą na msze, jak pozostali z nas. To tak, jakby mieli specjalną dyspensę. Wiem tylko o jednym. Widuję go od czasu do czasu. Tak jak my noszą purpurowe habity; to sprawia, że trudniej ich zauważyć. A mój wzrok nie jest najlepszy.

– Jakie lochy? – zapytałam. – Wiem, że to bardzo stary budynek. W połowie przypomina zamek.

– Właśnie – potwierdziła Emilia. – To nie był zawsze klasztor. Budowla jest bardzo stara, a jej tunele sięgają głęboko w skałę.

– Skąd o tym wiesz? Z pewnością wstęp jest tam wzbroniony?

Zamilkła na chwilę.

– Jeden z nich próbował wziąć mnie siłą – powiedziała cicho.

Poczułam ucisk w piersi. Było wielu nikczemnych mężczyzn gotowych wykorzystać zdesperowane młode dziewczęta. W Muldau sama otrzymałam o wiele za dużo niechcianej uwagi. Ale byłam twarda, a przynajmniej byłam taka wtedy. Emilia nie wyglądała, jakby miała w sobie krzytę ulicznego rozumowania. Fakt, że mężczyzna usiłował ją zgwałcić, szczególnie w miejscu, które miało być dla niej bezpieczną przystanią, na zawsze musiał nadszarpnąć jej zaufanie w siły dobra.

– Co się stało? – zapytałam. – Nie musisz opowiadać mi szczegółów. W mojej pracy to dość powszechne.

– Nie udało mu się – powiedziała gwałtownie i z nagłą zaciętością. Jednak jej hart nagle zgasł, niczym rozżarzony węgielek w wiadrze wody. – Kopnęłam go... w to miejsce.

Słyszając to, uśmiechnęłam się.

– Dobra dziewczyna.

– Byliśmy w magazynach. Wiesz, że klasztor posiada zapasy żywności dla Vale, na wypadek gdyby przytrafiły się jej braki.

Skinęłam głową. Biorąc pod uwagę wielkość przepływającego przez miasto transportu i stabilność, jaką hegemonia Sovy wniosła na prowincję, praktyka gromadzenia zapasów wydawała mi się jednak przestarzała.

– Uciekłam od niego. Biegłam przed siebie tak bardzo przerażona. Musiałam raz czy dwa źle skręcić, bo znalazłam się przed jakimś tunelem czy innym tajnym przejściem. Nie rozpoznałam go, ale zanim zdołałam się połapać, co się

dzieje, natknęłam się na stare lochy. Nie wiem, czy obenpatrion Fischer w ogóle o nich wie. To wilgotne i nędzne miejsce.

Nie odpowiedziałam. Nauczyłam się od Vonvalta, że czasami jest lepiej pozwolić komuś mówić, wtrącając pojedyncze sugestie, zamiast bombardować pytaniami, co jest bardzo kuszące.

– Cóż, w tamtych celach są trzymani jacyś ludzie. Przynajmniej jedna osoba. Widziałam światło prześwitujące spod drzwi do jednej z nich. Byłam tak przerażona, że nie miałam pojęcia, co zrobić. Wtedy usłyszałam dochodzące zza innych drzwi głosy. Nie potrafiłam się powstrzymać. Podeszłam do nich i spojrzałam przez szczelinę.

– I co zobaczyłaś? – zapytałam.

– W środku byli mężczyźni ubrani jak mnisi, ale nigdy wcześniej ich nie widziałam. Liczyli pieniądze, ogromne ilości monet. Robili notatki w rejestrach i korzystali z wag, by je zważyć. Potem wrzucali je do worków na ziarno. Jeden z nich powiedział, że „Tannerowi” coś długo schodzi. Dopiero później sobie uświadomiłam, że mówili o człowieku, który mnie zaatakował. Nie śmiałam zostać dłużej w tym miejscu i uciekłam tą samą drogą, którą tam trafiłam. Nie widziałam jednak tego mężczyzny, Tannera. Miałam szczęście. Udało mi się trafić z powrotem do magazynu, a później do klasztoru.

– Kiedy to się stało? – zapytałam.

– Niecałe dwa tygodnie temu.

– Powiedziałaś o tym komuś?

– Nie. Nikomu. Byłam przerażona.

– Dlaczego więc mówisz o tym mnie?

– Bo pracujesz dla Sędziego – powiedziała.

– Już nie – odparłam.

– Nie wierzę ci – powiedziała. – Pozostali mówią o tobie, wiesz? Mówią, że człowiek twojego Sędziego nadal jest w mieście. Twierdzą, że dalej toczy się śledztwo w sprawie śmierci lady Bauer. Krążą plotki, że wzięłaś udział w seansie. Czy to prawda, że Sędziowie potrafią rozmawiać ze zmarłymi?

Zignorowałam jej ostatnie pytanie.

– Dlaczego uważasz, że nadal dla niego pracuję? – zapytałam i wskazałam bliźnię na mojej głowie. – Opuściłam służbę u niego. Wycierpiałam tak dużo...

– Nie wierzę ci – powtórzyła. – Twoje opowieści brzmią fałszywie. Przekonałaś innych, być może nawet samego obenpatriona Fischera, ale mnie nie. Ewidentnie jesteś niewierząca. Tylko twierdzisz, że wierzysz. Jesteś rozkojarzona, jakbyś szukała czegoś innego. I uważam, że tym, czego szukasz, jest to, o czym właśnie ci powiedziałam.

– Nie – powiedziałam. – Mylisz się.

– Musisz ich powstrzymać – powiedziała Emilia, nagle chwytając mnie za rękaw. – Nigdy nie zaznam spokoju, jeśli oni nadal tutaj będą. Pragnę cichego życia. Chcę tylko... w spokoju przeżyć tutaj moje dni. Nie mam innych opcji. W żadnym innym domu nie przyjmą mnie na służbę. Ale tutaj popadam w szaleństwo. Podskakuję na widok cieni. Boję się zostać sama. – Ponownie zaczęła płakać.

Przyglądałam się jej przez chwilę. Czas, w którym przyszła, wydawał się nieco za bardzo przypadkowy. Powiedziała, że Fischer nie wiedział o lochach, co było dla mnie bardzo dziwne. Byłam również świadoma, że to właśnie on kazał jej opiekować się mną podczas tego miesiąca w sanktuarium. Czy to wszystko mogło być podstępem? Jeśli tak, to była bardzo dobrą aktorką, a jej argumenty były logiczne. Jeśli pomyślała, że mogę jej pomóc, to sensownym było, że z tym problemem zgłosiła się właśnie do mnie, a nie do kogo innego.

Jeśli zaś był to swego rodzaju test, który miał sprawdzić, czy naprawdę jestem szpiegiem, to uświadomiłam sobie, że musiałam jej powiedzieć, że nie mogę jej pomóc... że naprawdę porzuciłam służbę u Vonvalta i że z chęcią zapomnę o tej części mojego życia; że powinna raczej porozmawiać z obenpatrionem Fischerem i opowiedzieć mu o swoich obawach. Udać ignorancję i przeprosić.

Zamiast tego spojrzałam na nią i zobaczyłam młodą dziewczynę, którą w innych okolicznościach mogłam być ja sama. Którą zaatakowano nie raz, a dwa, i która rozpaczliwie chciała się od tego wszystkiego uwolnić.

Dlatego powiedziałam:

– Mogę ci pomóc. Masz rację, właśnie dlatego tutaj jestem.

Ku mojej ogromnej uldze rozplakała się mocniej, po czym przysunęła, by mnie przytulić. Było to wspaniałe przedstawienie i je kupiłam.

Mężczyźni przyszli po mnie kilka godzin później, w samym środku nocy.

Więżniarki

„To, że wszyscy ludzie mają fundamentalne prawo do wolności, jest podwaliną cywilizowanego społeczeństwa”.

Lord Waldemar Constantin

Zostałam oszukana. Emilia była dokładnie tym, za kogo ją miałam: przynętą unoszącą się na powierzchni stawu. Dobrze odegrała swoją rolę. A fakt, że to ona nie chciała rozmawiać ze mną, był niezłym zagranieniem.

Mieli klucz. Byli milczący i szybcy, niczym zabójcy. Ledwie się obudziłam, kiedy brutalne ręce pochwyciły mnie i zakneblowały. Rzuciałam się i krzyczałam, ale nic to nie dało. Byli dobrze wyćwiczeni. Na głowę zarzucono mi worek z drapiącej tkaniny, bym nie widziała, dokąd mnie zabierają, chociaż po chwili wyczułam, że kierujemy się w dół. W końcu przestałam się miotać. To było bezcelowe i męczące.

Napastnicy znieśli mnie do najniższej części klasztoru. Pomimo śmierdzącego worka na głowie byłam w stanie wyczuć wilgoć w powietrzu i usłyszeć kapanie wody. Było też zimno. Ubrana tylko w koszulę nocną zaczęłam drzeć.

Po dłuższej chwili dotarły do mnie głosy, głucho trzaskanie i skrzypienie drzwi oraz – co najbardziej zaskakujące – kobiecy śmiech.

Wtedy zatrzymaliśmy się i usłyszałam dudnienie tłustej pięści o grube drewniane drzwi.

– Tak – rzucił ktoś i nam otworzył. – Ach – powiedziała ta sama osoba. Spodziewałam się, że to Walter lub Fischer, jednak to był inny głos, niższy i gładszy, wypełniający izbę niczym wylany z beczki olej. – Posadźcie ją na krzesło.

Posadzono mnie i ściągnięto worek z głowy. Byłam w wygodnie urządzonej, oświetlonej świecami gabinecie. Pomieszczenie wyraźnie było kiedyś celą, chociaż sporą. Teraz regały z książkami podpierały ściany, a podłogę pokrywały dywany i chodniki. Mężczyzna, który kazał nam wejść, usiadł za biurkiem obłożonym rejestrami i ozdobionym mnóstwem figurek i innych dekoracji.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał.

Był otyłym mężczyzną, odzianym w kosztowny kaftan i nogawice. Miał to, co Vonvalt nazywał „kupieckimi palcami” – grube palce gęsto ozdobione pierścieniami. Jego okrutną twarz okalały ciemne włosy i gęsta kasztanowa broda.

– Zoran Vogt – zgadłam.

– Bardzo dobrze! – odparł z udawanym zachwytem. – Widziałaś mnie wcześniej? Czy jesteś po prostu bystrą panną?

Nie odpowiedziałam. Nie widziałam go wcześniej, ale miałam wrażenie, że tak było, jako że od kilku miesięcy był częścią naszego życia. Poczułam ciężar w sercu, gdy pomyślałam, że Vonvalt, który w tej chwili ścigał Vogta i Bauera w drodze do cesarskiego fortu w Gresch i jeszcze dalej, podejmował daremny trud.

– Możecie odejść – powiedział Vogt do mężczyzn, którzy znieśli mnie na dół. – Myślę, że nic mi się nie stanie. Przeszukaliście ją?

– Nie ma na sobie nic, oprócz tej koszuli – odpowiedział jeden z napastników.

– Odejdźcie więc – powiedział Vogt, na co strażnicy wyszli. Patrzył na mnie przez długą chwilę. – Czyli to tak. Sędzia postanowił zinfiltrować klasztor. Powiedz mi, co wie.

Nie odezwałam się.

– Nie mam czasu na głupie gierki, dziewczyno. Powiedz mi, co wiesz. Natychmiast.

Pokręciłam głową. Miałam ochotę się rozpłakać, bardziej z frustracji niż czegokolwiek innego. Minęło dużo czasu, odkąd czułam się tak bezradna.

Vogt wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze z płuc. Chwycił kielich z winem, który stał na biurku, i pociągnął długi łyk.

– Twój człowiek przysporzył nam sporo kłopotów – powiedział, odstawiając kielich. – Wszyscy biegają wokół prerażeni. – Pomachał rękami i zawołał cicho: „Buuu!”, jakby udawał ducha. – Pomyślałby kto, że to sam cesarz zjechał do Vale i zaczął dumnie kroczyć po wszystkich rynsztokach i zamarzniętych żebrakach.

Siedziałam w milczeniu. Nie zamierzałam mu nic powiedzieć, ale potrzeba, by wszystko mu wyjawić, by popisać się inteligencją, była większa, niż byłam w stanie sobie wyobrazić.

Ponownie chwycił za kielich i opróżnił go do dna. Po jego zaczerwienionych policzkach poznałam, że był lekko pijany.

– Moi ludzie mówią mi, że Sędzia wziął oddział ludzi szeryfa i ruszył na południe, szukając mnie, ale jego pomocnik został i rozbija się po barach i burdelach – powiedział. – Ten Bressinger ma niezły popęd. Śmiem twierdzić, że w następnym roku po mieście zaczną biegać pokaźna grupa czarnowłosych Grozodan. – Uśmiechnął się kpiąco. – Co on tu robi? Ma na ciebie oko, tak?

– Kto ci o mnie powiedział? – zapytałam z jadem w głosie. – Walter? – Poczułam nagłą potrzebę, by pozbyć się obrzydliwego starego łajdaka.

Vogt wyglądał na lekko zdumionego.

– Kto, ten stary zboczeniec, który cały czas pełni wartę przy bramie? A co on ma z czymkolwiek wspólnego?

– Stanowi część twojego planu – powiedziałam. – Nie jesteś tak sprytny, żebym tego nie zauważyła. Jest tak subtelny, jak ogier przed kryciem.

Vogt roześmiał się chrapliwie.

– Chyba nie masz na myśli nielegalnego aparatu do destylacji, który trzyma u siebie? Facet robi brandy w jednej z krypt! To pieprzony idiota... dosłownie. – Vogt ponownie się roześmiał. – Myślałaś, że wysłaliśmy tego głupka, żeby ciebie szpiegował? W rzeczy samej, obawiam się o sprawę Sędziego, jeśli jesteś wszystkim, na co go stać.

Słyszając jego kpinę, poczułam, jak ogarnia mnie gniew.

– Jeśli mnie skrzywdzisz... – powiedziałam. Chciałam mu pogrozić, ale, mówiąc szczerze, słabo to zabrzmiało.

Vogt przewrócił oczami.

– Poczujemy siłę cesarskiego gniewu, który na nas spadnie, jak sądzę – prychnął. – Daj spokój, dziewczyno, powiedz mi, co wie. I nie popełnij tego błędu, myśląc, że twoja praca dla Sędziego chroni cię przed moim szczególnym traktowaniem.

Tym razem milczałam. W swoim czasie słyszałam wiele gróźb i obelg. Wiedziałam, że jestem silniejsza, niż mówił mi to mój strach. Obiecałam sobie, że cokolwiek się stanie, nie powiem nic, dopóki mnie do tego nie zmuszą. Nie byłabym w stanie ponownie spojrzeć w twarz Vonvaltowi lub Bressingerowi, gdybym przynajmniej nie próbowała zachować w tajemnicy szczegółów naszego śledztwa. Ironią było to, że Vonvalt powiedział mi w przeszłości, że gdybym kiedykolwiek miała być torturowana, mam powiedzieć porywaczom wszystko, co wiem, gdyż i tak wydobędą ze mnie informacje.

Vogt wyglądał na poirytowanego.

– Prowokujesz mnie, dziewczyno – powiedział, po czym wstał i podszedł do mnie.

Skuliłam się odruchowo i odchyliłam na krześle... cokolwiek by mi to dało. Nagle poczułam na twarzy potężny cios. W mojej głowie eksplodował ból. Jeden z jego pierścieni przeciął skórę na moim policzku, a krew natychmiast spłynęła mi po twarzy i zaczęła kapać na koszulę nocną.

Wiedziałam, że do tego dojdzie, i z góry postanowiłam nie reagować. Z ust wyrwał mi się cichy, mimowolny okrzyk, ale poza tym siedziałam bez ruchu, pustym wzrokiem wpatrując się w podłogę, podczas gdy krew płynęła dalej. Vogt ponownie ciężko westchnął i wrócił za biurko.

– Powiedz mi, co wie. Powiedz, dlaczego tutaj jesteś. Może przeżyjesz, jeśli odpowiesz na moje pytania.

Rozległo się pukanie do drzwi. Vogt zacisnął zęby.

– Co?!

Ktoś otworzył drzwi. Wyczułam wahanie tej osoby.

– Wyrzuc to z siebie! – warknął Vogt.

– Obenpatrion chce pana widzieć...

– Na bogów! – Vogt zerwał się z krzesła. – Zamknij pieprzoną gębę, idioto!

Cóż, to potwierdziło zaangażowanie Fischera.

– Zabierz ją do celi – nakazał Vogt.

– Chodź, dziewczyno – powiedział ostro mężczyzna.

Zauważyłam, że miał na sobie purpurowy habit, jak reszta mnichów. Wziął mnie za ramię i wyprowadził z pokoju, w głąb wilgotnego korytarza. Widziałam, że to miejsce było kiedyś – i nadal pozostało, przynajmniej po części – lochem. Jednak wiele cel, podobnie jak ta należąca do Vogta, zostało przerobionych. Tam, gdzie kiedyś znajdowały się solidne żelazne kraty, teraz były drewniane ściany i drzwi. Pomimo późnej pory w niektórych paliło się światło, a blask świec przebijał przez szczeliny we framugach. Słyszałam też różne dźwięki, w tym niskie pomruki i dramatyczne, fałszywe jęki kurtyzany.

Te pomieszczenia wyraźnie nie były dla mnie. Poprowadzono mnie do tej części lochu, która nadal nim była, wilgotnej i śmierdzącej. Była tam jedna większa cela, w której dostrzegłam dwa leżące pod słomą wybrzuszenia. Znajdowały się w osobnych, najdalszych od wejścia narożnikach. Zostałam wepchnięta do środka i z cichym okrzykiem upadłam, uderzając kolanami o zimną kamienną podłogę. Wtedy strażnik zatrasnął za mną kratę i odszedł bez słowa.

Nie było tu zbyt jasno, światło dochodziło jedynie z koksownika w rogu. Kiedy już się upewniłam, że strażnik znajduje się poza zasięgiem słuchu i że

żaden z przykrytych słomą kształtów się nie poruszy, podkrađłam się do narożnika, by przyjrzeć się jednemu ze współwięźniów.

– Przestań! – syknął ktoś, na co zamarłam.

Odwróciłam się gwałtownie. Druga osoba pod słomą okazała się młodą kobietą, prawdopodobnie w tym samym wieku, co ja. Była wychudzona i brudna, i dochodził od niej przeraźliwy smród.

– Słucham? – zapytałam osłupiała.

– Nie żyje – odpowiedziała, wskazując głową legowisko obok mnie.

Natychmiast cofnęłam się od zwłok.

– Kim jesteś? – zapytałam, chociaż już to wiedziałam. Pomimo dwóch lat złego traktowania jej rysy były bardzo wyraźne. – Jesteś Sanja Bauer.

– Skąd wiesz? – spytała.

– Szukaliśmy cię – powiedziałam.

– Cóż... – powiodła ręką po celi – ...no i mnie znalazłaś.

Jej opanowanie było niesamowite. Pomimo spędzenia wielu miesięcy jako zakładniczka nadal emanowała godnością.

– Jesteś asystentką Sędziego? – zapytała.

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

– Skąd...?

Kiwnęła głową w stronę drzwi.

– Strażnicy. Mówią mi o tym, co się dzieje. – Na widok mojego zdziwienia wzruszyła ramionami. – Przecież nie jest tak, że mogłabym cokolwiek zrobić z tą informacją.

Pokręciłam głową.

– Ja... nie oczekiwałam, że będziesz... taka spokojna.

Ponownie wzruszyła ramionami.

– Jestem tutaj od lat. Teraz to jest moje życie. Zaadaptowałam się. Nie jestem więziona w lochach przez cały czas; spędzam tydzień tutaj, dwa tygodnie gdzie indziej, w zależności od mojego „zachowania” i zachcianek tych, którzy mnie tu przetrzymują. W tej celi jestem od jakichś kilku tygodni. Przedtem byłam w jednym z ich pokojów, gdzie miałam książki do czytania. Traktują mnie w miarę dobrze, czasami, zważywszy na to, że jestem więźniem.

Przyjrzałam się brudnej i cuchnącej dziewczynie przede mną i zaczęłam podejrzewać, że kłamie. Być może uważała mnie za agentkę Vogta, który wysłał mnie, bym ją przetestowała.

– Nie wyglądasz na kogoś, kogo dobrze traktowano – zauważyłam.

Roześmiała się gorzko i wskazała swoje brudne ubranie.

– To... to dla mojej własnej ochrony. Mężczyźni przychodzą tutaj uprawiać hazard i seks z dziwkami. Piją na umór, a potem przychodzą szukać kogoś,

w kogo mogliby wepchnąć te ich nędzne kuśki. Ale nawet ktoś w sztok pijany nie podejdzie do mnie w tym stanie.

Podziwiałam jej pomysłowość. Jak na kogoś, kto wcześniej był przyzwyczajony do świetnego ubioru, perfum i życia pełnego przywilejów, takie upokorzenie samej siebie musiało zranić jej dumę. Jednak fakt, że to zrobiła, wiele mówił o jej nieustępliwym duchu.

– Co to za miejsce? – zapytałam szeptem.

– Właśnie stąd rządzą swoim małym imperium – powiedziała. – Fischer, Vogt, mój ojciec.

– Na Neme – wykrztusiłam. – Mieliśmy rację.

– Co do czego?

– Co do... wszystkiego. Prowadziliśmy dochodzenie w sprawie morderstwa twojej matki – dodałam.

Powiedziałam to bez zastanowienia. Zakładałam, że o tym wie. Wydawało się, że wie o wszystkim innym. Jednak nagle zbladła, a jej twarz ściągnęła się.

– Co? – zapytała drżącym głosem.

Przekląłam się po tysiąckroć, ale nie mogłam cofnąć tych słów.

– Na Kasivara, tak mi przykro – powiedziałam, ale zabrzmiało to żałośnie. – Ja... myślałam, że wiesz.

Ta wieść pozbawiła ją ducha z szybkością złodzieja kieszonkowego. Mnóstwo czasu trwało, nim ją pocieszyłam. W pewnej chwili jeden ze strażników przyszedł sprawdzić, co robimy, a ja zamarłam z przerażenia... Jednakże gdy zobaczył płaczącą Sanję, nie zareagował, jakby coś takiego zdarzało się często. Wtedy uderzyła mnie myśl, że być może nie radziła sobie ze swoim uwięzieniem tak dobrze, jak starała się to okazać.

Po jakiejś godzinie, może więcej, wyglądała, jakby była gotowa znów mówić. Większość czasu spędziła, leżąc twarzą do dołu na brudnej słomie i płacząc żałośnie, ale w końcu skończyły jej się łzy. Kiedy ponownie podniosła na mnie wzrok, wyraźnie się zmieniła. Nie miałam już przed sobą buntowniczej i zuchwałej więźniarki, która dawno pogodziła się ze swoim losem. Zobaczyłam przerażoną młodą dziewczynę, której duszę zmiażdżono na proch, a ostatki uporu wyczerpano.

– Tak mi przykro... – powiedziałam chyba już setny raz.

Uciszyła mnie ręką.

– Zastanawiałam się... – powiedziała. Mówiła teraz cicho, a jej głos był niewiele głośniejszy od szeptu. – Był pewien czas, jakiś miesiąc czy dwa temu. Wszyscy zachowywali się trochę... gorączkowo. Strażnicy zaczęli mnie inaczej traktować. Słyszałam mnóstwo przyciszonych rozmów i gniewnych słów. I... pomyślisz, że jestem szalona, ale miałam też to... przecucie. To okropne

przecucie, że jej już nie ma. Że zniknęła jakaś część mnie, jakby ktoś... – ścisnęła palce – ...zgasił świecę.

– Nie mogła wiedzieć, że tutaj jesteś – powiedziałam.

Sanja pokręciła głową.

– Wiedziała. Nie mam pojęcia, jakiej kombinacji kłamstw i manipulacji użył mój ojciec, by nic nie mówiła. Ale już dawno temu złamał jej ducha. A i tak nie była zbyt silną psychicznie osobą.

Wyobraziłam sobie Bauera, który wmówił żonie, że Fischer i Vogt zamordowali jej syna, a jeśli piśnie choć słowo, zamordują również jej córkę.

Ponownie zamilkłyśmy. Chociaż miałam wiele pytań, nie chciałam jej teraz naciskać. Właśnie przekazałam jej jedno z najgorszych wieści, jakie można otrzymać, i to w nieprzemyślany, bezceremonialny sposób.

– Powiedziałaś, że Sędzia prowadzi dochodzenie w tej sprawie? – zapytała nagle. – Jakkolwiek jest to dla mnie niezmiernie bolesne, nie można powiedzieć, że to sprawa wagi państwowej.

– Mamy do czynienia z różnymi zbrodniami – powiedziałam, zdając sobie sprawę, że brzmię jak Vonvalt. – Ze wszystkim, od kradzieży, po zdradę.

Sanja mruknęła pod nosem.

– Jego przyjazd z pewnością wystraszył tutaj wiele kur. Jak idzie wasze śledztwo?

Wskazałam ręką celę, a Sanja parsknęła śmiechem, który szybko ucichł, zduszony smutkiem i poczuciem winy. Widziałam już i miałam jeszcze zobaczyć wielu ludzi, którzy otrzymywali takie same wieści – że ukochana osoba została zabita – i każdy przyjmował je w inny sposób. Niektórzy się załamywali, a inni z nagłego szoku nie potrafili przestać się śmiać. Sanja jednak reagowała w sposób najbardziej powszechny: od początkowej rozpacz, która przechodziła w okres pewnej jasności umysłu, za kilka dni wejdzie w etap melancholii.

– Jak zginęła moja matka?

– Została uderzona w głowę – odpowiedziałam. – Nie wiemy przez kogo dokładnie – dodałam, uprzedzając jej pytanie. – Ale nie uważamy, że zrobił to twój ojciec.

Sanja prychnęła.

– Dlaczego?

Zacząłam bawić się skrajem koszuli nocnej.

– Tego też nie wiemy. Mamy tylko przypuszczenia.

– Nie wiesz zbyt dużo – powiedziała Sanja z nutą irytacji w głosie.

– Wiemy bardzo dużo – odparłam, sama nieco rozdrażniona. – Przecież tutaj jestem, prawda?

– Gdzie jest Sędzia?

– Dalej, niżbym sobie życzyła – mruknęłam. – Znasz człowieka o nazwisku Fenland Graves?

– Widziałam go tu wcześniej. Pracuje w skarbcu, to jeden z najbardziej zaufanych ludzi mojego ojca.

Skinęłam głową.

– Przepytowaliśmy różnych ludzi w Galen's Vale. Ślad doprowadził nas do niego.

– Co powiedział?

– Niewiele. Nie żyje.

– To dobrze – rzuciła Sanja. – Jak zginął?

– Nasz pomocnik go zabił.

– Grozodanin?

Zamilkłam.

– Rzeczywiście jesteś świetnie poinformowana – powiedziałam w końcu.

Mówiłam z rezerwą i wyraz jej twarzy natychmiast się zmienił. Uświadomiłam sobie, że dopiero co przechytrzyła mnie inna dziewczyna w klasztorze. Czy to mógł być kolejny wyszukany fortel? Dziewczyna na pewno była Sanją Bauer; w jej twarzy wyraźnie można było dostrzec rysy ojca. A być może w jakiś sposób przeciągnęli ją na swoją stronę? Vonvalt opowiadał mi historie o ofiarach porwań, które zakochiwały się w swoich porywaczach... do tego stopnia, że broniły ich podczas procesu.

– Podejrzewasz mnie – powiedziała z niepokojem, po czym chwyciła w dłonie swoje ohydne ubranie. – Spójrz na mnie. Na Neme, powąchaj mnie, jeśli jakimś cudem jeszcze tego nie zrobiłaś. Uważasz, że sama bym się na to zdecydowała, gdybym nie musiała?

– Hmm... – odparłam, ignorując jej udręczone spojrzenie. Nagle poczułam do niej wrogość.

– Proszę cię – zaczęła błagać. – Posłuchaj... myślisz, że gdyby chcieli wyciągnąć z ciebie informacje, traciliby czas na taki podstęp? Wystawiając mnie jako przynętę? Zakuliby cię w rozżarzone kajdany. Wiedzą, że pętla wokół nich się zaciska. Zbyt wiele uwagi skupia się na nich i na klasztorze. Nie mają ani czasu, ani cierpliwości na tak skomplikowane podchody.

– Nie – powiedziałam. – Nie sądzę. Nie torturowaliby mnie. Nie ośmieliliby się. Nie, dopóki w mieście jest Sędzia. On wie, że tu jestem, i wie, kim są jego kluczowi gracze. Jeśli mnie skrzywdzą lub zabiją, stracą jedyną przewagę, jaką nad nim mają.

Kiedy tylko wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie, że to prawda. Byłam uwięziona, ale to wszystko. Vogt może i uderzył mnie w twarz, ale wątpiłam, żeby odważył się na cokolwiek więcej. Dotknęłam twarzy. Rana na

policzku zapiekła mocno, a w tych warunkach szybko zacznie ropieć. Trzeba przemyć ją winem.

– Posłuchaj – powiedziała Sanja. – Już ci mówiłam: strażnicy przynoszą mi różne informacje. Przyjechałaś przed Festiwalem Zimowym, tak? Powiedzieli, że zjechał Sędzia z pomocnikami, grozodańskim fechmistrem i ładniutką asystentką. Nie powiedzieli mi nic więcej, tylko że Sędzia rozpytuje ludzi w mieście. Widziałam jednak, że to ich wystraszyło.

– A-ha – mruknęłam.

– Nie jestem szpiegiem! – powiedziała z nagłą zaciętością i wyrzuciła ręce w górę. – Nie obchodzi mnie, czy ze mną rozmawiasz. Z tego, co mówisz, to i tak nie wiesz nic użytecznego.

Odwróciła się de mnie plecami i położyła. Patrzyłam na nią przez długą chwilę.

– Powiedz mi, jak tutaj trafiłaś – powiedziałam w końcu.

– Och, pij wodę z solą, jeśli myślisz, że będę z tobą rozmawiać – rzuciła.

Wzięłam głęboki wdech i skinęłam głową.

– W porządku – powiedziałam.

Sama również się położyłam i zamknęłam oczy. Poczułam wyrzuty sumienia, ale musiałam działać rozważnie. Na własnej skórze poznałam subtelność Fischera i Vogta. Od tej chwili przepływ informacji między mną a Sanją mógł odbywać się tylko w jedną stronę – do mnie.

* * *

Pomimo wszystkiego, co się stało, zapadłam w sen, a potem obudził mnie strażnik przynoszący nam jedzenie. Nic się nie zmieniło. Nasza cela nadal była słabo oświetlona przez ten sam koksownik stojący w rogu. Nie docierało tu zewnętrzne światło.

Wzięliśmy jedzenie i zjadliśmy. Potrawa była o wiele lepsza, niżbym się spodziewała. Chleb był nieco czerstwy, ale nie było na nim pleśni, a do tego podano nam trochę kielbasy i sera.

Po jakichś dziesięciu wypełnionych niezręczną ciszą minutach Sanja odezwała się, jakby od naszej rozmowy nie minęła nawet chwila.

– To się stało kilka lat temu – powiedziała. – Mój brat zmarł nagle na ospę. – Na te słowa udało mi się ugryźć w język. – Byłam wyraźnie... poruszona. Może nawet wpadałam w histerię. Byliśmy z bratem bardzo blisko. – Zamilkła i przez chwilę myślałam, że ponownie się załamie, jednak zachowała spokój. – Mój ojciec zasugerował, żebym spędziła trochę czasu tutaj, modląc się w świątyni. Osobom świeckim wolno tak robić; to nie jest zamknięty klasztor, jak inne.

– Wiem.

– Naprawdę nie chciałam tego zrobić. Nie bardzo wyznaję wiarę w imperialnych bogów... ani w żadnych bogów, jeśli już o to chodzi. Ale i tak tu przyjechałam. Przyszli po mnie w noc mojego przybycia. Ludzie Vogta. Ludzie Fischera. Czyiś ludzie, nieważne. Mój ojciec pokłócił się z Vogtem, a ten zgłosił go do szeryfa. Myślałam, że to z zemsty. Długo trwało, nim zdałam sobie sprawę, że jestem zakładniczką. Nie sądzę, by w tamtym czasie mój ojciec pracował razem z Vogtem. Myślę, że to się zaczęło dopiero po tym, jak mnie uwięzili. A dopóki tutaj jestem, będzie robił wszystko, co mu każą, bym pozostała żywa.

– Wiesz, co takiego robił twój ojciec? Rejestry wykazały spór o transport zboża, ale Vogt wycofał skargę i sprawa nigdy nie była badana.

– Nie mam pojęcia – powiedziała Sanja ze smutkiem. – Nigdy nie przekazano mi żadnych szczegółów. Wiem tylko, że maczali palce w wielu różnych sprawach; większość z nich dotyczyła transportu. Tak bardzo mam już dość siedzenia tutaj. Boję się, że tracę rozum. Dostanę parchów od tych wszystkich łajdaków, których tu ze mną zostawiają. Kiedyś pozwalali ojcu mnie odwiedzać, żeby mógł zobaczyć, że nadal żyję. Teraz nie mam nawet tego, chociaż bogowie sami wiedzą, jak bardzo nienawidzę tego człowieka. Na Neme, nienawidzę go. Spójrz, do czego mnie sprowadził!

– Sędzia przybędzie i nas uratuje – powiedziałam.

Sanja próbowała wydobyć ze mnie informacje, a ja karmiłam ją mało znaczącymi szczegółami. Nadal byłam nieco nieufna, lecz nie widziałam szkody w tym, by przekazać jej kilka detali. Poza tym, jak sama powiedziała, gdyby moi porywacze chcieli wydobyć ze mnie informacje, nie popisywaliby się wyobraźnią, by je zdobyć.

Czas mijał. Sanja zaczęła wspominać swoje życie i matkę, popadając w melancholię. Próbowałam skierować rozmowę na tematy, które by ją zdenerwowały, jak kapitan nawigujący statkiem przez pole gór lodowych, ale generalnie ponosiłam porażkę. Przez większość czasu musiałam pocieszać dziewczynę, która straciła tak wiele.

Nie mam pojęcia, jak długo siedziałam w lochu. Strażnicy z nami nie rozmawiali, a jedynym sposobem na jakiegokolwiek mierzenie dni było odliczanie, jak często przynoszą nam posiłki. Dość szybko straciłam poczucie czasu, a mój rytm snu nabrał pewnej rutyny.

W pewnej chwili, przebudzona z kolejnego niespokojnego snu, zobaczyłam w wejściu strażnika. Policzek pulsował mi boleśnie.

– Chodź – powiedział mężczyzna.

Sanja spała – a bardziej udawała, że śpi – w rogu celi.

Chwycił mnie za ramię i wyciągnął z celi, po czym wyprowadził za róg korytarza. Tym razem nie zakrył mi głowy. Zamiast tego poprowadził mnie w dół słabo oświetlonych, spiralnych schodów. Zaczęłam się zastanawiać, jak głęboko sięgały fundamenty klasztoru.

– Mój policzek trzeba przemyć – powiedziałam. – Złapię jakieś choróbsko, jeśli się go nie oczyści.

– Zamknij się – rzucił strażnik.

Doszliśmy do podstawy schodów, gdzie korytarz przechodził w żebrowaną kryptę z nisko zawieszonym sufitem, oświetloną licznymi koksownikami. Podłoga była kamienna, pokryta pleśnią i wilgocią. W gruncie rzeczy, kiedy zbliżaliśmy się do krańca schodów, dzięki blaskowi ognia dostrzegłam, że pomieszczenie ciągnie się dziesiątki, a może i setki metrów w głąb.

Na otwartej przestrzeni znajdowało się czterech mężczyzn. Jednym z nich był Vogt. Dwóch innych, których nie rozpoznałam, było odzianych w lekkie zbroje.

Wtedy krzyknęłam.

Czwartym, zakrwawionym i posiniaczonym, był Matas.

XXII

Skradzione życie

„Wilk o dwóch głowach patrzy w dwóch kierunkach”.

Stare sovańskie powiedzenie

– Nie! – krzyknęłam.

Rozpaczliwie starałam się wyrwać ramię z uchwytu strażnika, ale nie byłam w stanie. Zamiast tego mężczyzna przycisnął mnie do siebie od tyłu i zmiażdżył w niedźwiedzim uścisku.

Matas nie miał na sobie swojej liberii strażnika. Zamiast tego był ubrany w zwyczajne, ciemne ubranie. Jedno jego oko było spuchnięte i szybko siniało. Sądząc po rozciętej wardze, otrzymał również cios w usta. Wyglądał na zamroczonego i na wpół przytomnego, ale widziałam, że mnie rozpoznał.

– Puście go! – zawołałam.

– Zamknij się! – rzucił Vogt. Wydawał się zdenerwowany, jakby nie do końca panował nad sytuacją.

– Heleno – wymamrotał Matas i uśmiechnął się do mnie.

Och, ten uśmiech. Moje serce z bólem go pamięta.

Jeden z mężczyzn uderzył go.

– Zamknij się, ty mały złamasie! – rzucił.

– Przestań! – krzyknęłam. – Proszę!

– Ty też się zamknij! – wrzasnął na mnie strażnik.

– Na Neme, wszyscy się zamknijcie! – nie wytrzymał Vogt. Odwrócił się do mnie. – Nakryliśmy go, gdy zakradał się do miejsca, w którym nie powinien być – powiedział. – To twój kochaś, prawda?

– On nie ma z tym nic wspólnego – powiedziałam, a łzy spływały mi po twarzy. – Proszę...

– Przestań – powiedział Vogt, podnosząc dłoń. – Przestań. Nigdzie stąd nie pójdzie, więc przestań błagać. A teraz słuchaj. To szczęśliwy przypadek. Mogę wydobyć z ciebie wszelkie informacje i nie będę musiał nawet cię dotykać... znów. – Ostatnie słowo dodał ze złośliwym uśmiechem. – Powiedz mi więc, co wie Sędzia. Opowiedz mi o dochodzeniu. Jeśli mi powiesz, twój chłopak przeżyje. Jeśli nie, umrze. To bardzo proste.

– Nic im nie mów! – wykrzyknął Matas z resztką energii, na co otrzymał kopniaka od jednego ze strażników.

– Na cholerną Neme, niech piekło pochłonie tych dwoje – powiedział Vogt do jednego ze strażników, na co ci roześmieli się służalczo. – Ostatnia szansa, dziewczyno.

– Nie wiemy! – zawołałam ze ściśniętym z rozpaczy gardłem. – Nie wiemy nic o tym, co tutaj robicie!

– Właśnie to powiedziała Emilia – podsunął jeden ze strażników.

– Na dupę pieprzonego Kasivara, Broderick, zamknij gębę, zanim wyrwę ci język! – wrzasnął Vogt, po czym na powrót się do mnie odwrócił. – Badacie sprawę śmierci lady Bauer.

– Tak – odparłam.

– I nic nie odkryliście?

– Wiemy, że do klasztoru płyną pieniądze z miejskiego skarbcza – powiedziałam. – Więcej, niż pozwala na to prawo.

– I?

Starałam się zebrać myśli. Próbowałam wymyślić sposób, by powiedzieć mu tyle, ile trzeba, nie zdradzając przy tym wszystkiego, co odkryliśmy.

– Myśleliśmy, że odpowiedzialność za to ponosił Fenland Graves – wykrztusiłam.

Vogt spojrzał na mnie i się roześmiał.

– Na Neme, wy, stróże prawa, jesteście do niczego, prawda? Byliście przekonani, że za wszystkim stoi ten bezmyślny głupek? – Roześmiał się znów, a obaj trzymający Matasa strażnicy – plus ten, który ścisnął mnie – przyłączyli się do niego.

– Cóż, teraz już nie żyje – rzuciłam.

Vogt natychmiast spoważniał.

– Tak – powiedział. – Zginął z ręki twojego mistrza, tak?

Przygryzłam język tak mocno, że poczułam smak krwi. Jaka głupia byłam, stawiając mu się!

– Czyli to tak... – prychnął Vogt. – Zamordowany przez Sędziego. Jest w tym pewna ironia, prawda? – Kiedy nie odpowiedziałam, krzyknął: – Mów, dziewczyno!

– Zaatakował naszego pomocnika – powiedziałam. Wtedy to wyjaśnienie wydawało się rozsądne. – Został zabity w akcji obrony koniecznej.

– Cóż, mamy na to tylko twoje słowo, czyż nie? – powiedział Vogt.

– Przysięgam, że właśnie tak się stało – odparłam.

– W akcji obrony koniecznej? – zapytał Vogt. Jego zachowanie się zmieniło. Wykrzywił kącik ust, jakby się nad tym zastanawiał. – Wyobrażam sobie, że to nawet możliwe. Graves zawsze był głupcem. Cóż, tutaj masz inny akt obrony koniecznej.

Nie uświadomiłam sobie, nie zauważyłam, co się dzieje, dopóki nie było po wszystkim. Vogt wyciągnął krótki miecz z pochwy przy pasie, zrobił kilka długich kroków w stronę Matasa i wbił ostrze w jego brzuch.

– Nie! – wrzasnęłam. Nogi ugięły się przede mną.

Trzymający mnie strażnik wypuścił mnie z rąk, kiedy stałam się bezwładna w jego uścisku.

– Matas! – zawołałam żałośnie i poczołgałam się do niego.

Usłyszałam, jak mężczyźni wybuchają śmiechem. To, że ludzie są zdolni do takiego okrucieństwa, nie przestaje mnie szokować, nawet dzisiaj.

Upuścili Matasa na podłogę, gdzie leżał w powiększającej się kałuży krwi, i z oddechem, który z krwawym bulgotem dobywał się z jego ust. Vogt coś do mnie krzyczał, ale nie zrozumiałabym jego słów, nawet gdybym chciała. Wszystko zlało się w jedną wielką udrękę. Równie dobrze sama mogłabym zostać dźgnięta.

Dotarłam do Matasa. Nikt mnie nie powstrzymywał. Wzięłam w dłonie jego głowę i przyciągnęłam do siebie, płacząc żałośnie. Wiele razy w swoim życiu wracałam myślą do tej chwili. Tak ogromna rozpacz na stałe wypala się w ludzkiej pamięci. Nawet tyle lat później ma taką siłę, że płaczę na to wspomnienie. Matas był takim wspaniałym mężczyzną, na wskroś szczerym i o dobrym sercu. Byłabym zaszczycona, mogąc być jego żoną. Jakże inaczej wszystko mogło się potoczyć.

Jego oddech nagle stał się okropnie chrapliwy i chwilę trwało, nim sobie uświadomiłam, że szepcze mi coś do ucha.

– Za tobą... jest tunel – powiedział. – Właśnie tamtędy... się tu dostałem. Prowadzi... do podstawy wzgórza. Musisz uciekać, Heleno. Zostaw mnie. Już po mnie... ale dla ciebie wciąż jest... nadzieja.

– Nie mów tak – odparłam. – Nie mów tak. Moje miejsce jest tutaj, przy tobie. Nie zmuszaj mnie, bym cię teraz opuściła... nigdy nie powinnam była ciebie zostawiać. – Zaczęłam go całować po twarzy i skroni, jakby to mogło wyleczyć jego ranę.

– Heleno, proszę... Dla mnie... Musisz uciec. Sprowadź Grozodanina... i sir Radomira. Zabierzcie lekarza. Jeśli szybko dotrzesz tu z pomocą, może uda się mnie uratować.

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że Matas starał się po prostu zmusić mnie do ucieczki i zdawał sobie sprawę, że perspektywą uratowania go najszybciej mógł mnie do tego nakłonić. Doskonale wiedział, że nie przeżyje z taką raną. To dziwne... przez wiele lat nienawidziłam go za to, że zmusił mnie do opuszczenia go, kiedy byłam pewna, że powinnam z nim zostać. Ale, oczywiście, miał rację. Vogt po prostu mnie również by zabił... i chociaż w tamtej chwili z radością powitałabym śmierć, byłoby to zupełnie pozbawione sensu.

– Kocham cię – szepnęłam mu do ucha. Chciałam, żeby to wiedział. Musiał wiedzieć, że to wszystko nie było na marne. – Kocham cię.

– Ja ciebie... też kocham, Heleno. A teraz, proszę, idź. Biegnij do końca krypty. Są tam – ach! – drzwi, które wiodą do spiralnych schodów. Biegnij dla mnie, Heleno.

Ponownie go pocałowałam. Mężczyźni zaczęli zbliżać się do nas, być może zdając sobie sprawę, że wymieniamy nie tylko słowa pożegnania.

– Wystarczy, dziewczyno – powiedział jeden z nich i wyciągnął rękę, by złapać mnie za ramię.

Zanim zdążył mnie dotknąć, zerwałam się z podłogi, odwróciłam i rzuciłam biegiem na drugi koniec krypty.

Za moimi plecami rozległy się pomruki i krzyki zaskoczenia. Zaraz też usłyszałam przekleństwa i tupot goniących mnie ludzi, ale nie odważyłam się obejrzeć. Wiele lat wcześniej nauczyłam się, by nigdy się nie oglądać. Jeśli ktoś miał mnie złapać, to mnie złapie. Skradziony rzut oka do tyłu rzadko kiedy pomagał.

Światło szybko zbladło, gdy znalazłam się w długiej, źle oświetlonej części krypty. W ścianie przed sobą zobaczyłam czarną czeluść, która musiała być drzwiami, o których mówił Matas. Zanim do nich dotarłam, otoczyła mnie ciemność.

Mężczyźni nadal mnie gonili, ale byli prawdopodobnie lekko pijani, w złej kondycji i robili to bez większych chęci – pomimo wściekłych okrzyków Vogta. Dzięki moim zwinnym nogom nie minęło dużo czasu, a ich sapanie ucichło gdzieś za mną. Kolejna lekcja, którą wyniosłam z Muldau, to przymus, by biec dalej, jeszcze długo po tym, jak uznało się, że niebezpieczeństwo minęło. Wbiegłam w czarny otwór – który wyglądał niczym otwarta paszcza ogromnego węża – i tak szybko, jak tylko mogłam, rzuciłam się w dół schodów.

Klatka schodowa kończyła się długim kamiennym tunelem, jednak odkryłam to dopiero po tym, jak przeszłam przez niego, chwiejąc się i potykając, jakbym

była ślepa. Nie słyszałam już za sobą żadnego ze ścigających mnie ludzi ani też nie widziałam migotania pochodni, dlatego też ruszyłam przed siebie powolnym, chwiejnym krokiem. Miałam wrażenie, że to powoduje niewybaczalne opóźnienie, i przez całą drogę płakałam, ale nie mogłam ryzykować skręcenia stopy lub złamania nogi. Gdyby tak się stało, równie dobrze mogłabym zostać z Matasem.

W końcu dotarłam do niskiego, kamiennego wejścia prowadzącego do kolejnych spiralnych schodów. Teraz czułam już zimne nocne powietrze, które niczym oddech wpadało do tunelu, a słaby blask księżyca podpowiadał mi, że zaraz uda mi się uciec.

Po, jak mi się wydawało, całej wieczności wyszłam z tunelu w absolutną ciemność. Zdezorientowana, dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że znalazłam się u podnóża skał, dokładnie jak powiedział mi Matas. Odwróciłam się gwałtownie i spojrzałam na wejście do kamiennego korytarza. Było zręcznie ukryte między skałami i mogło zostać dostrzeżone jedynie przez uważnego obserwatora.

Galen's Vale leżało niżej, nieco dalej w dół wzgórza, ale nie bardzo daleko. Pobiełam po zimnej, twardej ziemi w stronę północnej bramy. O tej porze była zamknięta i strzeżona, chociaż stan, w jakim się znajdowała, nie powstrzymałby zdeterminowanego dywersanta.

– Kto idzie?! – zawołał strażnik, gdy zabębniłam pięściami we wzmocnione drewno.

– Helena Sedanka! – krzyknęłam. – Jestem asystentką Sędziego! Muszę natychmiast porozmawiać z sir Radomirem! Miało miejsce morderstwo!

– Niech to piekło pochłonie – mruknął strażnik i mniej niż minutę później pędziliśmy konno ulicami miasta.

– Z drogi! Uwaga! – zawołał mój towarzysz kilka razy, gdy inni strażnicy odskakiwali na boki.

Niedługo potem dotarliśmy do strażnicy. Widok odbijającego się w oknach blasku ognia napełnił mnie ulgą. Był on jak blask prawa w pozbawionym tego prawa świecie.

Zeskoczyłam z końskiego grzbietu i wpadłam do budynku.

– Na zęby Nemy, co się stało? – zapytał dyżurujący strażnik.

– Muszę natychmiast zobaczyć się z sir Radomirem! – krzyknęłam.

– Będzie już spał – odparł sierżant, marszcząc czoło. – Powiedz mi, w czym problem. Ktoś ci się naprzykrzał?

– W klasztorze miało miejsce morderstwo, a będzie ich jeszcze więcej, jeśli w tej chwili nie sprowadzisz mi sir Radomira! – zagrzmiałam.

– Na Kasivara, co to za cholerny hałas? – zapytał kolejny strażnik, wchodząc do pomieszczenia. – Ach, panna Sedanka. Jorge, to asystentka Sędziego. Co się stało, panienko?

Miałam ochotę wyrwać sobie włosy z głowy.

– Heleno. – Ze szczytu schodów dobiegł mnie głos sir Radomira.

Szeryf zszedł na dół, tupiąc ciężkimi butami. Od stóp do pasa był odziany w strój strażnika, lecz wyżej miał na sobie prostą koszulę nocną.

– Na bogów, co cię trapi?

– Klasztor! – krzyknęłam. Frustracja tak bardzo pozbawiła mnie tchu, że ledwie byłam w stanie mówić. – Ugodzili mieczem Matasa. To był Vogt! I Fischer też tam jest! Musicie szybko przyjść!

– Na Neme! – mruknął sir Radomir i odwrócił się do sierżanta. – Podnieś alarm. Potrzebuję dziesięciu mężczyzn, w zbrojach i pod bronią, gotowych do wyjazdu za dziesięć minut. Na koniach, szybko. I z mieczami! Obudźcie też Maquerinka i pomocnika Sędziego. Już, ruszać się!

Stałam w milczeniu, kiedy wszyscy wokół mnie rozpierzchli się w zorganizowanym chaosie. Rozdzwonił się dzwon. Mężczyźni biegali obok mnie, pobierając broń, napierśniki i zbroje ze zbrojowni. Na zewnątrz rozległ się na bruku stukot końskich kopyt. Nie trwało długo, nim mały oddział strażników zebrał się przed strażnicą i dosiadł wierzchowców. Kilku z nich miało w rękach pochodnie, których pomarańczowe płomienie migotały i tańczyły na zimnym powietrzu. Sir Radomir dał mi znak, bym wsiadła z nim na konia, po czym pomógł mi się podciągnąć. Zacisnęłam ręce na jego zimnym pancerzu, a wtedy wbił pięty w boki rumaka. Ponownie zaczęłam gnać przez Galen's Vale, tym razem jednak w przeciwną stronę.

– Powiedz mi, co się stało! – zawołał przez ramię.

Wyjaśniłam tyle, ile potrafiłam. Byłam tak poruszona, że trudno mi było zebrać myśli, jednak sir Radomir szybko poskładał wszystko w całość.

– Na Neme. Gdyby tylko sir Konrad tu był. Bogowie jedni wiedzą, jak daleko jest teraz na południu. Przynajmniej Bressinger nam pomoże.

Popędziliśmy przez północną dzielnicę i przejechaliśmy przez bramę. Nasza droga w ciemności, kręta i wiodąca do położonego wyżej klasztoru, była wolniejsza, ale konie biegły pewnie i dobrze ją znały, dlatego pokonaliśmy cały dystans w zaledwie kilka minut.

– To tutaj – powiedziałam, wskazując ukryte wejście, którym wydostałam się z tunelu. Sam klasztor górował nad nami kilkaset metrów wyżej. – Szybko!

– Wy idziecie ze mną – powiedział sir Radomir, wskazując najbliższych trzech strażników, po czym zwrócił się do kolejnego. – Ty zaczekaj na lekarza i Bressingera, a kiedy przybędą, podążycie naszym śladem. – W końcu odwrócił

się do sierżanta. – Sierzancie, weź pozostałych i udajcie się do bramy głównej. Aresztujcie obenpatrona Fischera, kiedy tylko go zobaczycie. Nikomu nie wolno stamtąd wyjść. Zrozumiano?

– Tak, panie – odparł sierżant.

Zeszliśmy z koni i poprowadziłam sir Radomira do wejścia, tak szybko wspinając się po skałach, że poważnie rozciąłam rękę na chropawym podłożu.

– Na Neme, nie podoba mi się to – powiedział sir Radomir i wziął pochodnię od jednego z mężczyzn. – Chodźcie. Heleno, trzymaj się za mną. Mów, dokąd mam iść.

Ruszyliśmy naprzód: ja, sir Radomir i trzech strażników. Zbroje mężczyzn szczekały przy każdym ruchu, a z naszych ust dobywała się para, gdy wspinaliśmy się po schodach do klasztoru. Wkrótce znaleźliśmy się w niskiej, słabo oświetlonej krypcie.

Matas leżał w miejscu, w którym go zostawiłam. Jego twarz poszarzała, a oczy miał zamknięte. Obok niego, znieruchomiały z szoku na nasz widok, stał Vogt.

– Co, do kurwy? – zdołał wykrztusić.

– Związać go! – warknął sir Radomir.

Vogt zaczął uciekać szybko jak zając, lecz zaraz dopadli go ludzie szeryfa. Strażnicy rzucili go na podłogę, przydepnęli ciężkimi butami i brutalnie związali.

Podbiegłam do Matasa i opadłam obok niego na twardą podłogę. Był nieprzytomny, a jego skóra lśniła od potu. Chwyciłam go za rękę i ścisnęłam, płacząc. Patrzyłam, jak spływające mi po policzkach łzy kapią mu na twarz.

– Matas – wykrztusiłam cichym i zdławionym głosem. W tej chwili uniósł powieki i na moment skupił na mnie wzrok.

– Moja Helena – powiedział i uśmiechnął się. Potem ponownie zamknął oczy.

Przez jedną dziwną chwilę nie czułam zupełnie nic, jakby moja rozpacz była zbyt duża, by mnie przepełnić. Potem, kiedy czułam wzbierającą udrękę, gotowa wybuchnąć zwierzęcym wyciem, zobaczyłam wchodzących do krypty mężczyzn – tych samych, którzy mnie tu zaciągnęli. Musiały ich przyciągnąć krzyki ich pana, lecz pomimo popisywania się odwagą podczas mordowania bezbronnego chłopaka i uderzenia dziewczyny wzdrygnęli się na widok sir Radomira i jego miejskich straży.

– Proszę – powiedział jeden ze strażników, wciskając mi w rękę włócznie i dobywając krótkiego miecza, po czym skinął głową w stronę Vogta. – Lepiej niech paniątka go obserwuje.

Po tym, zanim się zorientowałam, co się dzieje, on, sir Radomir i reszta jego ludzi ruszyli na przybyłych, wdając się w krwawą, chaotyczną bitwę.

Spojrzałam na Vogta, który podniósł na mnie wzrok. Zacisnęłam dłoń na włóczni. Był to ciężki kawałek drewna, długi na dwa i pół metra. W ostrzu odbijał się blask najbliższego koksownika.

W jego oczach pojawił się błysk paniki.

– Nawet o tym nie myśl, dziewczyno – powiedział.

Zerknęłam w lewo. Kilku mężczyzn leżało na podłodze; dwóch pomagierów Vogta i jeden strażnik. Ich jęki i krzyki wypełniały kryptę, gdy z ich ran wypływała krew. Patrzyłam, jak sir Radomir pozbawił życia kolejnego giermka Vogta, wbijając miecz w twarz i szyję mężczyzny, jakby to był pień. Szeryf władał swoją bronią niczym toporem, brutalnym, acz skutecznym stylem, którego nauczył się podczas Wojny Imperialnej i na ulicach Perry Ford i Galen's Vale. Ten styl ten nie posiadał niczego z zabójczej gracji Bressingera, ale był skuteczny, tak samo jak sam szeryf.

Odwróciłam się do Vogta i wycelowałam w niego włócznię. Jednak nawet wtedy wątpiłam, bym mogła go zabić. Pomimo dobrego powodu, jaki miałam, oraz nienawiści i rozpaczki emanującej z każdej cząsteczki mnie, nadal nie mogłam się zmusić, by wbić ostry koniec włóczni w jego ciało. Bądź co bądź, akt zabójstwa jest tak sprzeczny z czyjąś naturą, szczególnie, kiedy ofiara jest bezradna jak kociak... nawet jeśli nie niewinna. Zaczęłam się zastanawiać, co Vonvalt by pomyślał, gdyby zobaczył mnie w tej chwili. Okazałby współczucie czy zaareztowałby mnie za morderstwo? To, że miałam wątpliwości w tej kwestii, wiele mówiło.

Jakiś ruch wyrwał mnie z rozmyślań. Nieznaczne drgnięcie w fałszywej ciemności po drugiej stronie koksownika. Instynktownie, choć z trudnością, podniosłam włócznię. Poczułam, jak moja żądza mordu mija, zastąpiona obezwładniającym poczuciem strachu. Włócznia była nieporęczna; zwinny człowiek z łatwością zrobiłby przed nią unik.

– Odłóż to, dziewczyno! – zawołał ktoś. – Jeszcze się tym zranisz.

Mężczyzna w jadrańskim habicie wkroczył w krąg światła. Miał w ręku szkocki sztylet, ale tyle by wystarczyło, żeby mnie pokonać.

Trzymałam włócznię między nami, ostrym końcem celując w jego serce.

– Cofnij się – powiedziałam, lecz mój głos był cichy i chrapliwy. Strach ścisnął moje gardło. Wiedziałam, że mam tylko jeden rzut – który powinien przynajmniej go obezwładnić – zanim mnie dopadnie i zabije.

– Nie ty mnie interesujesz – powiedział. – Tylko pan Vogt.

Uklęknął obok Vogta i zaczął przecinać pętające go więzy.

– Przestań! – próbowałam krzyknąć, lecz mój głos nie był głośniejszy od szeptu. Włócznia ciążyła mi w dłoniach. Przytłaczały mnie rozpacz i strach, jakby ktoś zarzucił mi na ramiona ciężki łańcuch.

Więzy na nadgarstkach Vogta pękły i obaj mężczyźni zaczęli gorączkowo przecinać te wokół jego kostek. Patrzyłam, jak morderca Matasa ucieka, i nie mogłam z tym nic zrobić. Co gorsza, słyszałam jeszcze większe poruszenie w miejscu, w którym kolejni ludzie Vogta wchodzili do krypty.

Vogt i jego człowiek wstali.

– Daj mi to – rzucił Vogt. Wyrwał pomocnikowi sztylet i wycelował go we mnie. – No dobra, teraz mnie posłuchaj, dziewczyno – powiedział sekundę przed tym, jak czaszka stojącego przy nim człowieka została rozplątana na pół po samą szyję.

Vogt krzyknął i drgnął gwałtownie, gdy krew zbryzgała mu twarz. Mężczyzna w habicie opadł na podłogę, a jego zabójca uwolnił ostrze z okropnym dźwiękiem stali trącej o kość.

To był Bressinger. Za nim stało czterech strażników. Po pośpiesznym wezwaniu musieli podążyć za nami tunelem. Czając się z tyłu, ściskając w rękach torbę medyczną i wyglądając na wielce niespokojnego, stał doktor Maquerink.

– Nie zabijaj go! – krzyknęłam, gdy Bressinger podniósł miecz, by uśmiercić Vogta. – To świadek!

Bressinger zatrzymał ramię w pół ruchu, a Vogt wrzasnął i upadł na podłogę. Strażnicy spojrzeli na niego ze wstrętem.

– Zwiążcie go – powiedział Bressinger do dwóch mężczyzn za nim, po czym zwrócił się do pozostałych dwóch: – Wy idźcie ze mną. – Potem patrzyłam, jak dołączają do walki i wyrównują szanse.

Ponownie opuściłam włócznię, z ulgą pozbywając się jej ciężaru. Bez współczucia patrzyłam, jak strażnicy brutalnie przyciskają Vogta do ziemi i związują mu ręce i nogi tak ciasno, że zaczął płakać jak mały chłopiec. Pan Maquerink wyszedł z cienia i uklęknął przy Matasie.

Wtedy nie pozostało mi już nic więcej, jak tylko czekać, aż noc dobiegnie końca.

* * *

Matas zmarł po trzech dniach. Vonvalt wrócił drugiego. Siedziałam w domu pana Maquerinka, kiedy usłyszałam, że przybył.

Matas nie drgnął, kiedy zimny podmuch z parteru dotarł na piętro, ani kiedy ciche rozmowy Vonvalta z Bressingerem odbijały się echem od ścian. Tak naprawdę to przez większość tygodnia Vonvalt był już w drodze powrotnej. Bauer został odnaleziony, ale nie przez niego, lecz przez Sędziego August. Niewątpliwie, by przyspieszyć nasze dochodzenie w Vale, sama postanowiła go

wytropić, wykorzystując swoją moc i dzięki niej angażując do tego zadania miejscową faunę. Znalazła go w Estre – jednym z księstw otaczających Sove, zarządzanego przez Lukę Kzosica, drugiego syna cesarza. August, wraz z niewielkim oddziałem cesarskich żołnierzy z fortu w Gresch, osobiście przetransportowała Bauera z powrotem do Galen's Vale. Niedługo spodziewano się ich przybycia.

Doktor Maquerink zrobił dla Matasa wszystko, co tylko mógł – oczyścił i zabandażował ranę, po czym położył go na jednym z łóżek na oddziale. Jednak Matas otrzymał pchnięcie w brzuch. Jedynie młodzieńcza siła i, być może, odpowiedni kąt, pod którym weszło ostrze, utrzymały go w tym zawieszonym półżyciu. Trzymałam go za rękę i wycierałam mu pot z czoła, jednak jego stan wahał się pomiędzy głębokim brakiem świadomości i okazjonalnymi atakami delirium, i w głębi serca wiedziałam, że nie uda mu się wyzdrowieć.

– Przykro mi, Heleno – usłyszałam głos Vonvalta.

Odwrociłam się i zobaczyłam go w drzwiach. Miał zaczerwienioną od mrozu twarz i był odziany w oficjalne szaty i ciężką pelerynę. Emanował chłodem i cały był zbryzgany błotem.

Ponownie odwróciłam się do Matasa. Przyznaję, że z trudem przychodziło mi nie winić za jego stan Vonvalta.

– Powiedziano mi, że chłopak poszedł cię szukać – powiedział cicho Sędzia.

– Bez wątpienia kierowany miłością i troską.

Jego słowa, wypowiedziane z łagodnym żalem, sprawiły, że łzy znów napłynęły mi do oczu.

– Odbędzie się proces – powiedział. – Dzisiaj dostanę przyznanie się do winy od Bauera i Vogta...

– Myślisz, że o cokolwiek z tego dbam? – przerwałam mu szorstko i nagle ogarnął mnie gniew. Poczulałam, jak moja skóra zaczyna się rumienić, a w głowie zaczyna wirować. – Myślisz, że cokolwiek z tego ma teraz dla mnie znaczenie?

Vonvalt stał bez ruchu. Patrzył na mnie przepraszaająco, ale było jasne, że nie odpowie. Albo czuł się zbyt niezręcznie, albo zdawał sobie sprawę, że Matas stanowił akceptowalną stratę uboczną... A może była to mieszanina tych dwóch uczuć. W każdym razie chciałam, żeby zniknął mi z oczu.

– Wynoś się – warknęłam. – Nie chcę cię widzieć.

Vonvalt skinął głową.

– Jak sobie życzysz – powiedział i wyszedł.

Wtedy zaczęłam płakać i nie przestawałam, dopóki nie zabrakło mi łez.

* * *

Ludzie przychodzili i odchodzili. Słyszałam skrawki wiadomości: że klasztor rozwiązano, że mnisi i zakonnice zostali wezwani na przesłuchanie, że lord Bauer został aresztowany, że Legiony mają niedługo przybyć, by zabezpieczyć miasto i skarbiec.

Albo się mylili, albo bardzo mocno przesadzali. Prawdą było, że kiedy nieustannie siedziałam przy Matasie, ludzie sir Radomira przesłuchiwali każdą osobę z klasztoru. Emilia została aresztowana i umieszczona w miejskim więzieniu. Nastąpiło również kilka innych aresztowań, jak i kilka dramatycznych potyczek, w których ludzie Vogta zostali zabici lub zatrzymani, a potem zbiorowo straceni, na co zezwalało prawo.

Klasztor nie został zamknięty, lecz wiele jego działań – oprócz tych, które były niezbędne do zapewnienia funkcjonowania miasta – zawieszono. Większość mnichów i zakonnice została zamknięta w swoich kwaterach i wolno im było wspólnie jedynie jeść. Sądzę, że władze miasta obawiały się zgromadzenia ich wszystkich w jednym miejscu, ale wiedziałam, że większość z nich jest całkowicie nieszkodliwa.

Bauer przyjechał we wzmocnionym wozie więziennym pod strażą żołnierzy z fortu Gresch. Plotki o jego współudziale w morderstwie żony rozprzestrzeniały się w mieście niczym pożar i słyszałam, że został wygwizdany i obrzucony różnymi rzeczami, kiedy prowadzono go do miejskiego więzienia. Bez względu na ostateczny wynik tej sprawy, jego status jako społecznego wyrzutka był przypieczętowany.

Sanję Bauer uwolniono z klasztornych lochów i ulokowano w domu rodzinnym. Sir Radomir postawił przy jej rezydencji strażników, zarówno dla jej własnego bezpieczeństwa, jak i po to, by mieć ją na oku.

* * *

Matas zmarł rankiem trzeciego dnia, nie odzyskując w pełni przytomności. Pisanie tych słów nadal mnie rani, gdyż wciąż czuję głęboki ból z powodu jego śmierci. Był moją pierwszą miłością i brutalnie mi go odebrano. Nie tylko po nim rozpaczalam; opłakiwałam też życie, które mogłam mieć. Które oboje mogliśmy mieć. Byłoby spokojniejsze i oczywiście nie tak bogate w wydarzenia, ale byłoby moje i bylibyśmy razem. A odebranie mi wyboru, czy mam zostać, czy odejść, sprawiło, że tym trudniej było mi to znieść. Potem życie było nieco bardziej ponure i już nie tak kolorowe.

Trzeba przyznać, że tego ranka Vonvalt na krótko przerwał swoją pracę. Straż miejska posiadała własną kwaterę na terenie miejskiego cmentarza i odbyła się krótka uroczystość, podczas której sporo ludzi, w tym sir Radomir i Vonvalt,

powiedziało kilka słów. Sędzia zorganizował również zasilek, który ojciec Matasa miał otrzymywać co miesiąc z cesarskich funduszy. Vartan brał udział w pogrzebie, ale śmierć syna obudziła w nim stare, pogrzebane wcześniej uprzedzenia i nie chciał ze mną rozmawiać. To również było trudne do zniesienia.

W tym temacie nie ma już zbyt wiele do powiedzenia. Choć jestem teraz starą kobietą, niektóre rany nigdy do końca się nie goją. Ból, jaki w związku z tym czuję, przez wiele lat starałam się zdusić, co czasami mi się udawało. Wiem, co do niego czułam – i co nadal czuję – w związku z jego śmiercią. Przelewanie tego na papier nie przynosi mi żadnego pocieszenia, jedynie więcej bólu. Dlatego nie będę dłużej zgłębiać tego tematu. W gruncie rzeczy nie miałam czasu, by w ogóle to rozpamiętywać. Koniec śledztwa był zaledwie początkiem większych wydarzeń i czekał nas jeszcze większy rozlew krwi i cierpienie, nim mogliśmy zakończyć ten smutny rozdział w Galen's Vale.

XXIII

Przygotowania do procesu

„Najważniejsze, by Sędzia się nie śpieszył, w pełni zapoznając się z faktami i szczegółami dotyczącymi sprawy, w szczególności mając do czynienia z niesławnym i powszechnie nielubianym oskarżonym. Szersza populacja łatwo popada w niepokój i ma zwyczaj wydawać osąd na podstawie najmniejszego dowodu”.

Cytat z *Sovańskiego kodeksu karnego: Porad dla praktykujących*
Caterhausera

To sir Radomir mnie odnalazł. Zaszyłam się w zajeździe. Miałam mnóstwo pieniędzy i niewielką potrzebę, by je wydawać. Zatrzymanie się tutaj na pewien czas nie stanowiło najmniejszego problemu. Chciałam pobyć sama, by móc pogрузić się w żalu i zastanowić, co tak naprawdę chcę robić w życiu.

Nie miałam wątpliwości, że Vonvalt wiedział, gdzie jestem. Nie robiłam z tego wielkiego sekretu, chociaż z pewnością zadbał, bym była bezpieczna. Czasem przynosiło mi to spokój, ale bywało też, że czułam się przytłoczona. Gdyby Vonvalt był innym człowiekiem, byłoby to przerażające, chociaż, dobrze go znając, wiedziałam, że kierowała nim troska, a nie chęć kontroli.

Problem w tym, że czasami nie chciałam, by się o mnie troszczył.

Spodziewałam się, że to raczej Bressinger, a nie sir Radomir przyjdzie się ze mną zobaczyć. W dniu śmierci Matasa szeryf zapukał do moich drzwi.

– Sir... Radomirze – powiedziałam, wahając się po ich otwarciu.

W jednej chwili ogarnęło mnie przerażenie. Ledwie się umyłam i miałam na sobie koszulę nocną. Moje włosy przypominały ptasie gniazdo. Nie dbałam o to, czy Bressinger mnie taką zobaczy, ale nie byłam blisko z sir Radomirem, który w dodatku był miejskim oficjelem.

– Panno Sedanka – powiedział sir Radomir, udając, że nie zauważa mojego wyglądu. – Sędzia August...

– Proszę dać mi chwilę – przerwałam mu.

– Oczy... – zaczął, ale już zamknęłam mu drzwi przed nosem.

Zaczęłam biegać po pokoju, pośpiesznie ubierając się w coś bardziej stosownego i czesząc włosy. W pokoju znajdowało się lustro, lecz tylko pobieżnie się w nim przejrzałam. Moja twarz była blada po wielu dniach udręki i kiepskiego odżywiania, a przez spędzenie ostatnich dwóch lat w drodze nie miałam zbyt dużo ciała, z którego mogłabym czerpać siłę. Rana, którą Vogt pozostawił na moim policzku, była szpetna, a moje włosy po jednej stronie nadal były krótkie, odsłaniając bliznę, jaka pozostała mi po ciosie ludzi Gravesa.

Kiedy wyglądałam już w miarę stosownie, ponownie otworzyłam drzwi. Sir Radomir stał w korytarzu, opierając się o ścianę. Gdy mnie zobaczył, wyprostował się ze szczękiem zbroi.

– Sędzia August chce z tobą rozmawiać – powiedział. – Jest teraz w budynku sądu, razem z sir Konradem. To sprawa wielkiej wagi i – jak mi powiedziano – bardzo pilna.

Zamarłam. Nie chciałam widzieć Vonvalta, ale nie mogłam odmówić cesarskiemu Magistratowi.

– Dobrze – powiedziałam i podążyłam za szeryfem.

Szybkim tempem ruszyliśmy po ulicach miasta. Poranek był słoneczny, a lekka bryza niosła zapach ścieków i odpadków.

– Pokłóciłaś się z sir Konradem – zauważył sir Radomir.

– To chyba nic dziwnego – rzuciłam.

Sir Radomir pokręcił głową.

– Nie, dla mnie nie. Zapominasz, że Matas był również jednym z moich ludzi.

Zapomniałam o tym i teraz poczułam ukłucie wyrzutów sumienia.

– Ma pan rację. Przepraszam.

Sir Radomir machnął ręką.

– Nie będę udawał, że dla mnie to gorsze niż dla ciebie. Ale... Heleno... jakkolwiek się czujesz, nie możesz winić sir Konrada za śmierć chłopaka. Głęboko cierpię z powodu jego utraty, uwierz mi, ale Matas podjął własną decyzję.

– Hmm – mruknęłam. Nie byłam w nastroju, by tego słuchać.

– Musisz to naprawić. Sędzia nie jest sobą. Nie znam go zbyt długo, ale to i tak wystarczy, bym zauważył pewne zmiany w jego zachowaniu. Jest rozkojarzony. Musi pracować dwa razy ciężiej, a ma połowę tej pomocy, co zwykle. Bressinger robi, co może, ale jest zaledwie narzędziem i nie nadaje się

do pracy umysłowej. Bardziej przywykł do obcinania głów innym niż korzystania z własnej. Dałem sir Konradowi tylu ludzi, ilu tylko mogłem, ale nie spełniają jego oczekiwań. Potrzebuje ciebie, Heleno. Potrzebuje cię przy swoim boku, byś z nim pracowała. Nie sądzę, byś wiedziała, jak bardzo na tobie polega.

Pokręciłam głową.

– Nie polega.

– Owszem, polega! – powiedział ze współczuciem sir Radomir. – Brakuje mu nie tylko wykonywanej przez ciebie pracy; tęskni też za twoim towarzystwem. Bardzo dużo dla niego znaczysz. Nigdy nie poprosi cię, byś do niego wróciła. Za bardzo szanuje ciebie i twoje decyzje, i przedkłada twoje szczęście nad swoje. Wiem jednak, że boi się, że wasze stosunki zepsuły się za bardzo, by można je było naprawić. A jeśli mogę dodać... uważam, że świat stróżów prawa wiele straci, jeśli zdecydujesz się go opuścić.

Nie chciałam słyszeć jego słów, ale też nie mogłam ich zignorować. I podobnie jak wcześniejsze słowa Bressingera, te również odbijały się echem w mojej głowie.

– Pomyślę o tym – powiedziałam w końcu.

– Tylko o to proszę – odparł sir Radomir, gdy dotarliśmy do budynku sądu. – Chodź. Są w piwnicach.

* * *

Vonvalt i August siedzieli w ciemnym rogu ogromnych sądowych piwnic. Oprócz nich nie było tam nikogo, tylko półki pełne rejestrów i kodeksów i ławy do czytania dla prawników szukających precedensów.

– Heleno – powiedziała August, gdy sir Radomir pozostawił mnie z nimi. – Słyszałam o twoich dokonaniach i stracie. Twoja odwaga i poświęcenie dla sprawiedliwości to powód do wielkiej pochwały.

– Dziękuję – odparłam, zaskoczona takim okazaniem mi serdeczności.

August uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Utrata kochanka to okrutny los. Wiem, jak wielki ból nosisz w sercu. Lecz możesz znaleźć pocieszenie w tym, że jego mordercy umrą.

– Dzisiaj rano dostaliśmy pełne zeznania wszystkich trzech – powiedział ponuro Vonvalt. – Fischera, Bauera i Vogta. Napisanie aktów oskarżenia nie zajmie zbyt dużo czasu. Proces będzie zaledwie formalnością.

– Heleno – powiedziała August z powagą, zwracając się do mnie, nim zaczęłabym zgłębiać tę kwestię. – Chciałabym przedyskutować z tobą seans, jaki odbyłście z Fenlandem Gravesem.

Zadrżałam. Wydawało mi się, że piwnica jeszcze bardziej pociemniała.

- Miałam nadzieję o tym zapomnieć – powiedziałam.
August skinęła głową.
- Rozumiem, ale... – Zamilkła na moment, szukając odpowiednich słów. – Wizje, które miałaś. Sny. Obawiam się, że mogą być ważne.
- Opowiedziałem Resi o sekwencji – przerwał jej Vonvalt. – O lady Karol Frost duszącej dwugłowe szczenię wilka. I o interwencji Aegraxesa.
- Widziałaś coś jeszcze? – zapytała August. Mówiła łagodnie, ale w jej oczach czaiło się napięcie, które zaczęło budzić we mnie strach.
- Nie. Tylko bagniska i tunele na niebie – odparłam i opowiedziałam jej szczegółowo o wszystkim, co widziałam. Kiedy skończyłam, na jej twarzy malowało się przygnębienie. Usiadła, rozmyślając przez chwilę.
- Wiele lat temu w Bibliotece Prawa w Sovie prowadziłam badania dotyczące zaświatów – powiedziała. – Szczególnie dużo czytałam o Kanie i Wielkiej Pladze Gvòrodu. Wiesz, o czym mówię?
- Słyszałam o Kanie – odparłam. – Ale nie o pladze.
- W takim razie nie uważałaś na moich lekcjach – powiedział srogo Vonvalt. Zarówno ja, jak i August zignorowałyśmy go.
- Wiedz zatem, że był on Sędzią i jednym z naszych najmądrzejszych i najbardziej wykształconych prawników – powiedziała August. – Zmarł jakieś sto lat temu, ale jego prace są pewnego rodzaju doktryną, która do dzisiaj stanowi podstawę praktyk Zakonu. Sędzia Kane był również jednym z najlepszych naszych nekromantów. Według legendy potrafił porozumiewać się ze zmarłymi z taką łatwością i swobodą, z jaką my teraz rozmawiamy.
- Nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego – powiedziałam.
- Vonvalt i August wymienili szybkie spojrzenia.
- To nie zawsze jest takie okropne – powiedziała August. – Graves należał do rzadkości.
- Wielka Plaga Gvòrodu była głodem, który nawiedził Gvòrodzkie Step – powiedział Vonvalt. – Chmara szarańczy tak gęsta, że przesłoniła niebo, pochłonęła wszelkie plony w promieniu ośmiuset kilometrów. Zmarły tysiące ludzi. To na zawsze zmieniło naturę i kurs Imperium Gvòrodzkiego, kończąc Dynastię Gevennah i pozostawiając zachodnie miasta, które zostały wchłonięte przez Konfederację Kovy.
- Ja nie... – zaczęłam, ale August mi przerwała.
- Jakiś rok wcześniej Sędzia Kane przeprowadził seans z księżniczką Bayarmą, na prośbę jej męża. Kobieta zmarła w połogu. Podczas seansu Aegraxes – Oszust, jeśli trzymać się imion nemańskich bogów – rozmawiał z Kane'em w ten sam sposób, w jaki kilka tygodni temu rozmawiał z sir Konradem. Ukazał Kane'owi fragment przyszłości... sekwencję wizji, jeśli tak

wolisz, z których każda była przepełniona symbolizmem. Znaczenie tych wizji stało się jasne dopiero kilka miesięcy później, po tym, jak plaga już minęła. Dlatego Kane spędził resztę życia, teoretyzując na temat wymiaru duchów i praktyki wróżenia.

– Wróżenia? – zapytałam.

August machnęła ręką.

– Przyglądanie się wizjom i analizowanie ich, by zrozumieć, co może przynieść przyszłość. Kane zdał sobie sprawę – zbyt późno – że pozwolono mu wejrzeć w przyszłość. Śmierć księżniczki Bayarny doprowadziła, w pewien znaczący, lecz nieprawdopodobnie dalece związany z tym sposób, do zniszczenia Imperium Gvòrodzkiego. Przeprowadzając z nią seans, poprzez przekroczenie mostu między rzeczywistością i zaświatami, Kane poznał wielkie, zmieniające świat wydarzenia. Nazwał swoją teorię *Powiązaniem* – środkiem, dzięki któremu nekromanci mogą wejrzeć w przyszłość ze względu na powiązanie z duchem znaczącej dla historii osoby.

– A Graves jest taką osobą? – zapytałam.

– Graves, Bauer, Fischer, lady Frost... każdy z tych ludzi może być historycznie ważny – powiedziała August. – Mówimy tutaj o łańcuchu przyczynowości, który ma swój początek u zarania czasu, a którego każde nowe ogniwo rzuca całą przyszłość w zupełnie innym kierunku.

– A lady Frost? Nie ma żadnego związku pomiędzy tym, co wydarzyło się w Rill, i kryminalnym spiskiem w Vale – powiedział Vonvalt do August.

– Jest, przynajmniej jeden – odparłam.

Vonvalt spojrział na mnie ostro.

– Jaki? – zapytał.

– Claver korespondował z Fischerem. Znalazłam listy ukryte w skrytce w szufladzie z bielizną Fischera. Wynika z nich, że Fischer przekazywał Claverowi i jego Templariuszom nielegalne fundusze wysyłane przez Bauera do klasztoru. – Wzruszyłam ramionami. – Już pierwszego wieczoru, kiedy tam trafiłam, Fischer sam mi powiedział, że Claver odwiedzał klasztor. A nasze spotkanie z nim na granicy Jägelandu wcale nie było przypadkowe. Szukał cię. Fischer o tym wiedział.

– Czyli Claver i Fischer korespondowali ze sobą. Claver zapewne pisał do wszystkich obenpatrionów w regionie Haunersheimu – powiedział Vonvalt.

– Ale jest mało prawdopodobne, by większość z obenpatrionów Haunersheimu brała udział w dużym kryminalnym przedsięwzięciu, w wyniku którego zabijani są szlachcice – zauważyła August. – Jeśli Fischer jest blisko z Claverem, a Claver jest blisko z twoimi wrogami, to raczej nie pozostawią go na pastwę losu.

– Uważam, że bardzo prawdopodobne jest, że jednak go zostawią. Chociaż muszę przyznać, że niepokoi mnie fakt, że Claver mnie szuka – powiedział Vonvalt. – Czy z listów jasno wynikało, że szukał konkretnie mnie, czy po prostu chciał spotkać na swojej drodze Sędziego?

– Nie wiem – odparłam. – Było tam napisane: jednego z cesarskich Magistratów. Ale wywnioskowałam, że jego celem było dowiedzenie się czegoś więcej o Zakonie.

– Nema wie, że zadawał mnóstwo pytań. A ja, jak jakiś głupiec, mu na nie odpowiadałem.

– Nie mogłeś wiedzieć, że powody leżące u ich podstaw były nikczemne – powiedziała August.

Vonvalt westchnął.

– Nie. To i tak nie ma teraz znaczenia; wygląda na to, że Kadlec już i tak wykonuje za nas robotę... chociaż mam wrażenie, że wyciągamy wnioski nie tam, gdzie powinniśmy.

– Tym związkiem jesteś ty – powiedziała nagle August. – Ty łączysz Rill z Galen's Vale.

– Łączę tysiące miejscowości w całym Imperium, jeśli to moja obecność ma być jedynym czynnikiem łączącym.

– Pomyśl o tym, Konradzie – rzuciła August. – Jakkolwiek na to spojrzeć, wszystko zaczęło się w Rill, nieprawdaż? Przerwanie rytuału draedów, gniew Clavera, że wieśniaków nie spalono... Wszystko ma swoje źródło właśnie tam. Gdybyś nie spotkał Clavera lub sir Otmara, albo gdybyś całkowicie ominął Rill, czy to przez przypadek, czy celowo, wioska mogłaby nie zostać zniszczona. To, czy istnieje związek ze sprawą Bauerów, jest w dużej mierze nieistotne.

– Było coś jeszcze... – powiedziałam – ...choć nie cierpię przywoływać tego wspomnienia.

– Co takiego? – zapytała August ze współczuciem.

– Emilia – powiedziałam. – Dziewczyna w klasztorze... szpieg obenpatrona Fishera. Wypowiedziała te same słowa, co Graves. – Zadrżałam na to wspomnienie. Miałam wrażenie, że mój umysł ze mną walczy, starając się usunąć je z mojej pamięci, niczym lis z cierniem w łapie. – Graves powiedział: „Klasztor to mroczne miejsce. Moja jest czarna przyszłość”.

Oczy Vonvalta rozszerzyły się lekko.

– Pamiętam – powiedział. – Pamiętam, jak Graves wypowiedział te słowa. Tak naprawdę, kiedy się nad tym zastanawiam, brzmiał wtedy jak młoda kobieta.

– Ta dziewczyna – powiedziała August. – Powiedziała dokładnie te same słowa czy tylko podobne?

– Dokładnie te same – odparłam. Miałam ochotę się rozplakać.

August odchyliła się na krześle.

– To współgra z tym, co właśnie powiedziałam. Jesteś w samym środku... czegoś – powiedziała cicho do Vonvalta.

– Niech to – mruknął Vonvalt, przesuając dłoń z czoła na brodę.

– Obraz lady Frost duszącej dwugłowe szczenię wilka – Autuna – to wyraźne ostrzeżenie, że jej śmierć doprowadzi do wielkich szkód w Imperium – powiedziała August, po czym odwróciła się do mnie. – Być może nawet jego zniszczenia. Kiedy porozumieliście się z Gravesem, ukazano wam przyszłość... a przynajmniej przyszłość, która jest możliwa. Jak teoretyzowałby Kane, ty i sir Konrad zostaliście powiązani.

Odchrząknęłam.

– Ale z pewnością to wszystko ma otwartą interpretację – powiedziałam, szukając wyjaśnienia, które byłoby chociaż minimalnie do przyjęcia. – Duszenie może oznaczać... nie wiem, ucisk *ekonomiczny*. Być może wzdłuż rzeki Gale czy Kovy, a może nawet do ujścia Jadeitowego Morza nastąpi jakaś blokada.

– Tak, to całkiem możliwe – zgodziła się August.

– Jedno jest pewne, Heleno – powiedział Vonvalt. – Cokolwiek się dzieje, nasze działania tutaj, w Vale, mogą okazać się w przyszłości znaczące.

– I właśnie dlatego nalegałam, żebyś jak najszybciej wrócił do Sovy – powiedziała August. – Musisz porozmawiać z Mistrzem Kadlekiem i cesarzem.

– Powiedziałem, że to zrobię, czyż nie? – odparł Vonvalt z irytacją. – Zostaniemy tutaj jeszcze dwa, najwyżej trzy dni. W tym klasztorze od lat prowadzono ogromne kryminalne przedsięwzięcie. To nie jakaś drobnostka, do której mogę odwrócić się plecami. – Wskazał na mnie. – Wiemy od Heleny, że Claver spędził jakiś czas z obenpatrionem Fischerem, zanim wyruszył w drogę, by nawracać innych, i że Fischer przekazywał pieniądze savazańskim Templariuszom. Postąpimy właściwie, nie próbując wątpić w każde z naszych działań. Ten związek pomiędzy Fischerem i Claverem może oznaczać, że niedopuszczenie dochodzenia tutaj na rzecz szybszego wyruszenia do stolicy może być równie „złym” postępowaniem, jak i „dobrym”. Jedyne, co możemy, to robić to, co zawsze: zapewnić nadrzędność powszechnego prawa. Wszystko inne – sprawiedliwość, porządek, cywilizowane społeczeństwo – wywodzi się z tej jednej prawdy.

– Po prostu jeszcze raz użyj na Fischerze Głosu i dowiedz się wszystkiego teraz – powiedziała August. – Jeśli istnieje głębszy związek między nim i Claverem, możesz dowiedzieć się tego już dzisiaj.

– Jeśli ponownie użyję Głosu na którymkolwiek z nich, ich serca nie wytrzymają – rzucił Vonvalt poirytowany. – Już i tak są ledwie żywi. Muszą wydobrzeć do procesu.

August westchnęła i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

– Zmieniłam plany. Pozostanę w Vale, dopóki nie zakończysz tu swojej sprawy; potem będę towarzyszyć ci w drodze na południe. Nasze połączone głosy wybrzmiały lepiej.

– Rób, jak uważasz – odparł Vonvalt.

August rzuciła mi pełen zachęty uśmiech i wstała.

– Nie mogę się doczekać, by spędzić z tobą więcej czasu, Heleno – powiedziała. – Masz dar do naszej pracy. Nic dziwnego, że sir Konrad zapewnił ci patronat.

– Dziękuję – powiedziałam zaskoczona jej pochwałą, lecz już ruszyła do wyjścia. Kilka chwil później w pomieszczeniu pozostaliśmy tylko Vonvalt i ja, a wokół nas zapadła niezręczna cisza.

– Dlaczego Sędzia August po prostu sama nie wróci do Sovy? – zapytałam w końcu. – Dlaczego w ogóle potrzebuje do tego ciebie?

Vonvalt przygryzł wargę.

– Lady August nie cieszy się takim statusem jak ja – powiedział. – Chociaż oboje posiadamy taki sam staż pracy, niektórzy postrzegają ją jako nieco... ekscentryczną.

– Rozumiem.

– Potrafi porozumiewać się ze zwierzętami – mówił dalej Vonvalt. – Ma do tego talent, większy niż którykolwiek inny Sędzia. Ale to miało wpływ na jej umysł. Nie zawsze reagowała tak emocjonalnie. Kiedyś miała dużo chłodniejszą głowę.

Myślałam, że powie na ten temat coś więcej, być może nawet zdradzi coś o uczuciach, które do siebie żywili – gdyż jasne było, że troska, jaką August darzyła sprawy Zakonu, nie była jedynym powodem jej działań – ale po kilku chwilach zrozumiałam, że skończył.

W piwnicy ponownie zaległa cisza. Było tyle rzeczy do powiedzenia... i tak mało czasu.

Vonvalt wziął głęboki wdech. Spięłam się w oczekiwaniu na jego słowa.

– Wiem, że winisz mnie za śmierć Matasa. To zrozu...

– Nie winię – przerwałam mu. Bolało mnie serce, gdy to mówiłam. Pokręciłam głową. – Nie winię cię.

– Jest tutaj cały łańcuch przyczyn – powiedział. – Gdybym nie poprosił cię, żebyś poszła do klasztoru, on nie wyruszyłby, żeby cię szukać.

– Wcale nie musiałam iść do klasztoru – odparłam. – Mogłam ci odmówić. Powiedziałam Matasowi, dokąd się wybieram, i żeby za mną nie szedł. Ja... – Zdusiłam łzy, czując, że zaraz przytłoczą mnie emocje. – Byłam dla niego taka surowa. Rozstaliśmy się w niezgodzie.

Vonvalt spojrział na mnie z grymasem współczucia.

– To musiało być trudne – powiedział. – Jestem pewien, że na koniec nie miał do ciebie żalu.

Skinęłam głową, nie ufając własnemu głosowi.

– Po prostu chcę go z powrotem – wykrztusiłam w końcu i wtedy się załamalam.

– Chodź, Heleno – powiedział Vonvalt, wstając.

Obszedł biurko i uklęknął przy moim krześle, po czym zrobił coś, czego się po nim nie spodziewałam: przytulił mnie.

Przez dwa lata, jakie ze sobą spędziliśmy, nigdy nie mieliśmy takiego kontaktu. Wydawało się to dziwne i niezręczne, ale z drugiej strony dawało mi pocieszenie. Pachniał dymem i winem. Płakałam mu na piersi, a on głaskał mnie z czułością, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała.

W końcu się odsunął. Mogłabym go trzymać przez kolejną godzinę. Nalał duży kielich wina i wcisnął mi go w ręce.

– Proszę – powiedział. – Wypij to. Wino pomaga. Sir Radomir sam ci to powie.

Roześmiałam się mimowolnie i pociągnęłam duży łyk. Potem wychyliłam cały kielich. Vonvalt miał mnie właśnie skarcić, ale dostrzegł w moich oczach świeże łzy.

– Przytulisz mnie jeszcze? – zapytałam. Mój głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

Vonvalt skinął głową i przyciągnął mnie do siebie. Tym razem już nie puścił.

Vonvalt zajął pustą izbę na najwyższym piętrze sądu i to właśnie tam znalazłam się pół godziny później, jedząc na lunch podaną na desce pieczoną kaczkę. Pokój był wyposażony w kosztowne meble, chociaż na stojącym na środku biurku leżały sterty książek i zwojów, które nadawały pomieszczeniu nieporządną wygląd. Dookoła porozstawiane były puste kielichy i czary, razem z pozostałościami po wczorajszym posiłku.

– Wielka szkoda, że Zakon oczekuje, że poprowadzę proces tych ludzi – powiedział Vonvalt. Ponownie miał w ręku fajkę, a przy każdym jego geście chmury szarego dymu roznosiły się po pokoju. Sądzę, że tytoń uspokajał jego nerwy. – Nie jest jak dziesięć lat temu, kiedy jedno moje słowo wystarczyło, by zostali powieszani. Czasy się zmieniają. Jednak mam ich podpisane przyznanie się do winy i dlatego jestem pewien, że sprawa zostanie zakończona w ciągu jednego lub dwóch dni. – Przez chwilę patrzył za okno, obserwując krzątających się po ulicy ludzi. – Może to i lepiej – dodał po chwili – że Sanja Bauer nie będzie zeznawała.

Podniosłam na niego wzrok.

– Słucham?

– Nie będzie zeznawała przeciwko ojcu – powiedział Vonvalt. – Nie jest zainteresowana procesem. Chce jedynie, żeby zostawić ją w spokoju.

– Jak może nie dać świadectwa? – zapytałam z niedowierzaniem. Myślą natychmiast wróciłam do celi, w której ją trzymano, brudu, lat spędzonych w ciemności i nędzy, z nieustającym zagrożeniem molestowania... – Ten człowiek jest odpowiedzialny za śmierć jej rodziny!

– To częstsze, niż ci się wydaje – odparł Vonvalt. – To młoda dziewczyna, bardzo dotknięta przez los. Teraz nie potrafi poradzić sobie z życiem poza celą. Sir Radomir powiedział mi, że całymi dniami siedzi w swoim pokoju i w nic się nie angażuje. Uważa, że spędziła zbyt dużo czasu, aklimatyzując się do niewoli, że ratunek uszkodził jej umysł. Myślę, że może mieć rację.

– Słodka wiaro – szepnęłam. – Biedna dziewczyna. – Wydawała się tak odporna, przynajmniej do czasu, kiedy przekazałam jej wiadomości o śmierci matki. Mimo to nadal nie mogę uwierzyć, że nie chce, by sprawiedliwość została wymierzona. Po tym, co zrobił jej ojciec.

Vonvalt wzruszył ramionami. Długa kariera, podczas której zajmował się podobnymi sprawami, sprawiła, że przyjmował to z rezerwą i bez emocji.

– Prawdopodobnie bardziej zaszkodziłaby naszej sprawie. Jej zeznanie byłoby chaotyczne, przerywane... być może nawet wrogie. Obrońcy rozebraliby je na części, jak lekarz zwłoki podczas sekcji. W każdym razie nie narażę jej na to. Dziewczyna wystarczająco dużo już zniosła.

Zamilkłam na chwilę.

– Obrońcy? – zapytałam. – To znaczy, że będą przez kogoś reprezentowani?

Vonvalt przytaknął.

– Dwóch czystej krwi srebrnoustych, jak mi powiedziano. Rozpytywałem trochę w sądach handlowych. To Pavlé Garb i Hendrik Beyers. Stare filary okręgów sądowych, mający imponującą listę zwycięstw na swoich kontach. Przyzwoici i uczciwi prawnicy, jak mi powiedziano, i do tego potężni adwokaci. Myślę, że za bardzo delektują się możliwością starcia z cesarskim Sędzią, by pozwolić na to, by w drogę weszły im osobiste uczucia do klienta.

– Ale skoro mamy przyznanie się do winy, to z pewnością nie ma żadnych przeszkód?

– Wiesz, że nie lubię kusić losu, jeśli chodzi o takie rzeczy – odparł Vonvalt. Rzeczywiście, wiedziałam. Jego jedynym powiązaniem z przesądami była potęga pecha. – Podpisane zeznania, uzyskane przeze mnie za pomocą Głosu i w obecności sir Radomira, powinny zakończyć sprawę. Gdybyśmy byli osiemdziesiąt kilometrów dalej na północ, do tej pory wszyscy by już zawiśli. Ale... – Wzruszył ramionami. – Teraz jesteśmy na łasce sądu. Koniec nastąpi

dopiero wtedy, gdy ława przysięgłych ich skaze, a przewodniczący zatwierdzi wyrok.

– Ale i tak...

– Tak, Heleno – przerwał mi Vonvalt zirytowany moim kuszeniem losu. – Spodziewam się, że wszyscy wkrótce umrą. Ale nie mają nic do zyskania, przyznając się do winy, poza stryczkiem. Równie dobrze mogą postawić wszystko na sądowe przesłuchanie, bez względu na to, jak bardzo desperacki jest krok. Procedura, jeśli nic innego, jest po ich stronie.

– W takim razie przyjmiesz rolę prawnika Korony? – zapytałam.

Nawet w sovańskim systemie wędrownych sędziów większość procesów kryminalnych odbywała się bez ich udziału. Zamiast tego prawnicy występujący w imieniu zarówno Korony, jak i oskarżonych prezentowali różne wersje sprawy grupie wyznaczonych radnych – ławie przysięgłych – i to właśnie oni mieli zdecydować o winie. Miejscowy lord lub profesjonalny przewodniczący miałby zająć miejsce arbitra i upewnić się, że sprawa zostanie rozpoznana zgodnie z sovańskimi procedurami, a także zatwierdzić wyrok, gdyby oskarżeni zostali uznani winnymi.

Obecność Sędziego, który pełnił funkcję prawnika, jurora i arbitra w jednym, dziwnie łączyła się z tą strukturą i – zważywszy na ich moc – była niejako niepotrzebna. Właśnie dlatego Sędziowie zazwyczaj trzymali się głębi ładu, gdzie infrastruktura legislacyjna była skąpa lub nie istniała i gdzie mogli zbiorczo rozstrzygać sprawy.

Mimo to, zgodnie z prawem pierwszeństwa, Vonvalt mógł podjąć się roli oskarżyciela i skorzystał z tego przywileju. Przynajmniej oznaczało to, że proces będzie bardzo krótki. Co mnie zdumiało, to to, że w świetle tak przytłaczających dowodów dwóch obrońców w ogóle trudziło się, by wziąć udział w postępowaniu.

Vonvalt skinął głową.

– Ława przysięgłych zdecyduje, czy ta trójka jest winna, czy nie, i dlatego muszę się upewnić, że dobrze to przygotuję. Wszystko wyraźnie przedstawię, nie pozostawiając żadnych luk w rozumowaniu. Nie martw się, Heleno; wkrótce wyruszymy w drogę do Sovy.

– Co powiedzieli? – zapytałam. Uświadomiłam sobie, że pomimo wiedzy w zasięgu ręki nie miałam pojęcia, do czego przyznali się mężczyźni. Nagle załała mnie fala ciekawości. – Co takiego planowali? Vogt, Bauer i Fischer?

Vonvalt uśmiechnął się do mnie.

– Wszystko to usłyszysz pojutrze, w mojej mowie otwierającej. – Podał mi kawałek pergaminu, na którym widniała lista precedensów. – Biblioteka prawnicza w piwnicach jest bardzo dobrze wyposażona. Są to głównie księgi

z prawa handlowego, ale znajdują się tam również w miarę niedawno wydane tomy na temat precedensów kryminalnych. Proszę, przynieś mi je i zacznij wypisywać odpowiednie części. Szybko, Heleno, mamy mnóstwo pracy do wykonania.

* * *

Pracowaliśmy całe popołudnie, aż do późnego wieczora. Nim zrobiliśmy przerwę na kolację w pobliskim zajeździe, bramy zamknięto już na noc, a w mieście zapanowały cisza i spokój.

Usiedliśmy w sali wspólnej zajazdu. Bressinger dołączył do nas podczas kolacji, a sir Radomir później, by się napić. Po kilku godzinach oburzony karczmarz poszedł spać, zmęczony i urażony, że trzymaliśmy go na nogach do tak późna. Teraz ogień dogasał w palenisku, a cała nasza czwórka trzymała w rękach kufle z piwem.

– Na Neme – powiedział Bressinger, gdy skończyłam pisać akty oskarżenia dla każdego z mężczyzn i wyjaśnienie, co oznaczały dla każdego z nich. – Jesteś ostra niczym sztylet. Te ostatnie kilka miesięcy były kamieniem milowym dla twojego umysłu.

Uśmiechnęłam się i wypiłam łyk ale, usiłując wyglądać na skromną, ale wiedziałam, że miał rację. To do mnie pasowało. Nigdy wcześniej nie brałam udziału w procesie, który dotyczył poważnych przestępstw, i nigdy nie przerabiałam tak ogromnej ilości dowodów. Był to również główny temat rozmów w mieście. Wielkie wydarzenie. Zgodnie z sovańskim prawem wszystkie procesy były jawne, chyba że dotyczyły tajemnic państwowych, ale prowadzone w barach rozmowy brzmiały, jakby szykował się festyn. Słyszałam również, że niektórzy kupcy opóźniali swój wyjazd, żeby móc zobaczyć Sędziego w akcji.

– Jak się czujesz w kwestii zeznawania? – zapytałam go.

Biorąc pod uwagę fakt, że wszyscy troje byliśmy świadkami, procedury sovańskie wymagały, żebyśmy opisali wersje wydarzeń przed ławą przysięgłych.

– Eee tam – odparł Bressinger, zbywając mnie machnięciem ręki. – Podczas służby u sir Konrada robiłem to wiele razy. To dla mnie tylko praca. Niech ci wyszukani faceci tylko spróbują znaleźć dziurę w mojej historii.

Zacisnęłam i rozluźniłam pięści.

– Ja się denerwuję – przyznałam. – Kusi mnie, żeby przedtem napić się trochę wina.

– Nie rób tego – powiedział ostro Vonvalt. – Nie rób. To amunicja dla obrońców. Musisz zachować jasny umysł. I nie śpiesz się z odpowiadaniem na

pytania. Zdziwiłabyś się, jak łatwo jest kogoś podpuścić. Jedną rzeczą jest obserwować, jak ktoś inny egzaminuje świadka, ale zupełnie inną stać po drugiej stronie.

Wszyscy odwróciliśmy głowy, gdy drzwi do zajazdu otworzyły się gwałtownie. Na progu stała Sędzia August. Chłodny powiew powietrza wtargnął do wnętrza. August zamknęła za sobą drzwi i zdjęła płaszcz. Miała zaczerwienione oczy, a jej twarz była ściągnięta i wyczerpana. Cała emanowała nieuchwytną, nadprzyrodzoną mocą.

– Karczmarz już poszedł – mruknął Bressinger. – Poczęstuj się piwem.

– Kiedy odbędzie się proces? – zapytała August.

– Pojutrze – odparł Vonvalt.

– Obserwowałam Wschodnie Ziemie Haunersheimu – powiedziała August.

W tych okolicznościach zrozumiałam, że rozkazywała zwierzętom jak kukielkom: ptakom, lisom czy wilkom. – Do Galen's Vale zmierza duży oddział ludzi. Większość nosi liberie margrabiego Westenholta.

Wszyscy nagle wyprostowali się na krzesłach.

– Jak wielu ludzi? – zapytał Vonvalt z niedowierzaniem.

– Łącznie z pół tysiąca.

– Niech to Nema! – warknął sir Radomir. – „Oddział ludzi”? To bardziej pieprzona armia!

– Ze wschodu? – zapytał Vonvalt, przerywając szeryfowi. – Od strony Roundstone?

– Tak – potwierdziła August. – Kwaterowali u barona Naumova. Przynajmniej część tych żołnierzy to jego ludzie.

– Wiedzieliśmy, że Claver kręcił się w okolicach Roundstone, kiedy wyruszyłeś w drogę Podmianą. Nie wiedzieliśmy natomiast, że zbierał armię – powiedział sir Radomir. – Naumov ma reputację pobożnego, ale nie sądziłem, że posunie się do zdrady.

– Z listów, które znalazłam w prywatnych pokojach Fishera, wynikało, że Claver spotkał się z baronem – powiedziałam. – Ale w ogóle się nad tym nie zastanawiałam.

Vonvalt odchylił się na krzesło, jakby nieco stracił pewność siebie.

– Czyli dołączył do Westenholta i Clavera.

– Na to wygląda – potwierdziła August.

Bressinger burknął z niesmakiem.

– I to jest problem z tymi sovańskimi Haunerami. Spędzili zbyt dużo czasu w szczękach Autuna, nasiąkając wyciekającą z nich religią.

Vonvalt potarł twarz.

– Jak daleko są?

– Nie dalej niż dzień lub dwa stąd. Rano sprawdzę jeszcze raz. Nie mam już siły, żeby teraz ich obserwować.

– Na cycki Nemy – warknął sir Radomir i westchnął powietrzem tak nasączonym alkoholem, że mógłby je podpalić pojedynczy płomień. – Ale chyba nie zamierza zaatakować miasta?

Nikt nie odpowiedział i przez kilka chwil siedzieliśmy w milczeniu.

– Ilu ludzi było w garnizonie w Gormogon? – zapytał Vonvalt Bressingera i sir Radomira. – Kiedy szukaliście Vogta?

– Mieli kwatery dla kilkuset żołnierzy – odpowiedział Bressinger i wzruszył ramionami. – Ale równie dobrze mogły być opuszczone. Nie zabawiliśmy tam zbyt długo.

– Zauważyliśmy tam nie więcej jak kilka tuzinów ludzi – dodał sir Radomir.

Vonvalt westchnął z frustracją.

– W Gresch było ich kilkuset, ale dotarcie do nas zajmie im przynajmniej trzy dni... i to zakładając, że udałoby nam się natychmiast przekazać im wiadomość.

– A może gdzieś dalej wzdłuż tolskiej granicy? – zapytała August.

– Na Zachodnich Ziemiach nie ma dobrych dróg – powiedział lekceważąco sir Radomir. – Są blisko, ale podróż trwa dłużej. Niewielka kompania lekkich oddziałów dotarłaby do nas w ciągu tygodnia, może, ale taka liczba żołnierzy? Samo przejście przez Rubieże zajęłoby im dobre dwa tygodnie.

Vonvalt skrzywił się i odwrócił do August.

– Masz dość siły, by przekazać wiadomości do fortów w Gresch i Gormogon? I barona Hangmara z Weisbaum?

– Tak – odparła August ze zmęczeniem w głosie. – Ale to wszystko. Jeśli wezmę na siebie zbyt wiele zadań, nikomu się później nie przydam.

Vonvalt skinął głową.

– Rozumiem. Dziękuję ci, Resi. – Zastanawiał się przez chwilę, po czym odwrócił się do sir Radomira. – Ilu ludzi masz pod swoimi rozkazami?

– Nie podoba mi się to, dokąd to zmierza – mruknął sir Radomir.

– Ilu? – zapytał ostro Vonvalt.

– Razem setkę – odparł sir Radomir. – Sir Konradzie, chyba nie sugerujesz...

– Masz rację – odparł Vonvalt. – Nie sugeruję. Nakazuję. Cokolwiek się stanie w ciągu następnych kilku dni, ci żołnierze nie mogą wejść do miasta.

* * *

Niedługo później rozeszliśmy się. Sir Radomir wrócił do domu, gdziekolwiek on był, a Bressinger ruszył w stronę rezydencji lorda Sautera. Ja przed powrotem zdecydowałam się odwiedzić toaletę i w drodze powrotnej przez zajazd

usłyszałam Vonvalta, który ściszym głosem rozmawiał z Sędzią August. Zamiast iść dalej, podkrađłam się do wejścia, dając się ponieść ciekawości.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała August.

– Co masz na myśli? – powiedział Vonvalt.

– Trzeba powiadomić cesarza. To wszystko zaczyna się wymykać z rąk.

– Cesarz zostanie powiadomiony – odparł Vonvalt. Jego głos był zupełnie inny, spokojny i łagodny. – Wyślę dziś wiadomość z moją osobistą pieczęcią.

– Zapomnij o swojej pieczęci. Staw się przed nim osobiście.

– Nie pozostawię Galen's Vale Westenholtzowi – powiedział Vonvalt. – Ja poruszyłem to gniazdo os. Nie mogę być jedynym, który ucieknie przed żądłami.

Ukradkiem wyrzałam zza rogu. Nie widziałam ich głów, gdyż widok zasłaniała mi belka.

– Nie zamierzasz chyba naciskać na proces? – zapytała August.

– Oczywiście, że tak. – Vonvalt wzruszył ramionami. – Jeśli nie przyniesie to niczego innego, to przynajmniej wypełni nam czas.

– Nie żartuj sobie ze mnie.

– Daj spokój, Resi – powiedział Vonvalt, po czym ujął jej dłonie.

Spodziewałam się, że August je odtrąci, ale tego nie zrobiła. ZaciekaWiło mnie, jak głębokie uczucia do siebie żywili. Z pewnością, jakakolwiek była ich siła, przetrwały kilkuletnią przerwę w ich kontaktach. A jednak, pomimo ostatnich sprzeczek, wydawali się swobodni w swoim towarzystwie. Miałam wrażenie, że patrzę na stare małżeństwo. Zaczęłam się zastanawiać, czy wcześniej Vonvalt krytykował ją tylko ze względu na mnie.

Zaczęli rozmawiać jeszcze ciszej i z większą czułością, i nic już nie usłyszałam. Może to i lepiej; w ogóle nie powinnam była ich szpiegować, a teraz stałam się jeszcze większym intruzem. Poza tym widok Vonvalta okazującego czułość, której osobiście doświadczyłam od niego tylko kilka razy, wzbudził we mnie zazdrość. Nagle poczułam potrzebę, by wyjść z zajazdu.

Mocno tupiąc nogami, wyszłam zza drzwi i ruszyłam do wyjścia, przy którym zdjęłam z wieszaka swój płaszcz. Kiedy tylko się pojawiłam, Vonvalt puścił dłonie August. Wtedy poczułam dziwne poczucie triumfu, lecz później miały mnie ogarnąć wyrzuty sumienia.

– Dobranoc – wymamrotałam.

– Dobranoc, Heleno – odparli.

Wyszłam na zimne powietrze i ruszyłam w stronę domu burmistrza.

XXIV

Lwy i bracia

„Ten, który rzuca twierdzenie, musi je udowodnić”.

Cytat z *Podstaw sowańskiego prawa cywilnego* Caterhausera

Wysłano pełne desperacji prośby o pomoc, lecz następny dzień minął bez żadnej odpowiedzi ze stron ewentualnych sojuszników. Vonvalt, Bressinger i sir Radomir, razem z garstką miejskich sierżantów i bardziej ukierunkowanych wojskowo członków rady miejskiej, obesli mury i zaczęli planować obronę miasta, podczas gdy ja w pełnej napięcia ciszy harowałam w piwnicach sądu... chociaż tylko udawałam, że pracuję. Zanim dzień dobiegł końca, rozpacz po utracie Matasa, strach przed zbliżającymi się oddziałami i niepewność co do losów Imperium mocno nadszarpnęły moje nerwy. Skubnęłam trochę jedzenia i spędziłam cały dzień, zamieniając zaledwie kilka słów z innymi.

Tej nocy nie spałam spokojnie. Miałam wrażenie, że w pewnej chwili w końcu jednak odpłynęłam w sen, by niemal natychmiast zostać obudzoną przez Vonvalta. Oczy miałam suche i wirowało mi w głowie. On również wyglądał, jakby wcale nie spał, chociaż nie miałam pojęcia, czy było to efektem spędzenia nocy z August, czy może tego, że uczestniczył w jednym pilnym spotkaniu po drugim.

Z ciężkim, złym przeczuciem włożyliśmy oficjalne procesowe stroje. Podano nam kolejne wystawne śniadanie, ale jedynym, czym się oboje poczęstowaliśmy, było piwo. Nieuchronne przybycie żołnierzy Westenholtza kładło się cieniem na nas wszystkich, odwracając nasze myśli od czekającego nas zadania i sprawiając, że staliśmy się napięci i poirytowani. Lord Sauter pojawił się na krótko, życzył nam powodzenia i szybko wyruszył do strażnicy, gdzie sir Radomir prowadził odprawę dla małego oddziału strażników. Bez wątpienia burmistrz żałował, że kiedykolwiek pojawiliśmy się w mieście.

Ruszyliśmy w stronę sądu. Była zaledwie godzina po wschodzie słońca, a przed gotyckim wejściem do budynku już zgromadził się spory tłum – i to pomimo plotek o zbliżającym się wrogu. Wyglądało to jak targ w dzień handlowy: ulice wypełniali ludzie różnych klas, starający się zająć sobie dobre miejsce na publicznej galerii. Po August nie było ani śladu.

– Gdzie jest Sędzia August? – zapytałam tak niewinnie, jak tylko potrafiłam.

– Na miejskich murach, obserwuje Wschodnie Ziemie – odparł Vonvalt.

– Za pomocą ptaków?

– Prawdopodobnie – mruknął Vonvalt i na tym nasza rozmowa się skończyła.

Przepchnęliśmy się przez tłum do drzwi wejściowych. Za progiem powitała nas taka cisza, jakbyśmy znajdowali się w innym mieście. Zajmowano się jedynie niezbędnymi pracami. Ze względu na panujący zamęt wielu przewodniczących przesunęło swoje zadania na wieczorne przesłuchania albo w ogóle na inny termin.

Przewodniczący Dietmar był sędzią, który miał rozpoznać naszą sprawę i zarezerwował dla nas największą izbę. Znajdowała się na tyłach budynku – długa, prostokątna sala, w której stały rzędy ławek na podeście. Na suficie widniał misternie wyrzeźbiony i pomalowany herb – gotowy do skoku Autun, który natychmiast przypomniał mi lady Karol Frost.

Zaraz przy ławie przewodniczącego znajdowało się miejsce dla świadka, a naprzeciwko stały dwa biurka, przy których mieli zasiąść prawnicy – jedno dla oskarżyciela i jedno dla obrońcy. Po tych ostatnich nie było śladu – zapewne przebywali w więzieniu, razem z oskarżonymi, udzielając ostatnich instrukcji.

Jedyną wartą uwagi rzeczą na sali były osobne miejsca dla powołanych osób świeckich lub ławy przysięgłych, jak ich określano we współczesnej mowie Sovan. Nie wiedziałam, ilu będzie pełniło tę rolę podczas procesu, ale biorąc pod uwagę powagę zarzutów, zakładałam, że będzie ich wielu, być może piętnastu lub dwudziestu. Do skazania ich wystarczyła zwyczajna większość głosów.

– Heleno – powiedział Vonvalt. W swoich oficjalnych szatach wyglądał imponująco. – Upewnij się, że wiernie notujesz to, co zostało powiedziane. Być może będę musiał się do tego odwoływać, i to nagle.

– Oczywiście – odparłam.

– Usiądź tam, na końcu – powiedział, wskazując najdalsze miejsce na ławie oskarżyciela.

Podążyłam wzrokiem za jego palcem. Powinnam być zachwycona: miejsce przy biurku oskarżyciela. Pierwszy raz spotkał mnie taki honor i w innych okolicznościach być może przyjąłabym go z podekscytowaniem, a może nawet próżną obojętnością. W tej chwili nie czułam żadnych emocji, prócz niepokoju.

Mój wyraz twarzy musiał mnie zdradzić, gdyż Vonvalt powiedział:

– Heleno, nie twoim zadaniem jest martwić się zbliżającym wrogiem. Teraz o tym nie myśl. Skoncentruj się tylko na sporządzaniu notatek i własnych zeznaniach. Rozumiesz?

Skinęłam głową.

– Tak – odparłam, chociaż równie dobrze mógł powiedzieć cokolwiek. Raczej nie przestanę myśleć o Westenholtzu i jego ludziach.

W tej chwili nie miałam zbyt wiele do zrobienia. Mogłam tylko czekać. Chwilę później dołączyli do nas sir Radomir i Bressinger, którzy zaczęli rozmawiać cicho z Vonvaltem, a sala została otwarta dla publiczności i nieuchronny tłum ludzi wdarł się do środka, pośpiesznie zajmując najlepsze miejsca. Robiłam, co mogłam, by nie odwrócić się i na nich nie spojrzeć, ale nadal słyszałam przyciszone rozmowy, westchnienia i szepty, a kątem oka dostrzegałam kiwnięcia głową w stronę Vonvalta.

Po chwili pojawił się przewodniczący Dietmar. Był to chudy mężczyzna, pomarszczony i siwy, z twarzą jak ze stopionego wosku. Wszyscy wstali i rozmowy wyraźnie przycichły, chociaż nie umilkły do końca. Dietmar machnął ręką, nakazując zebrany, by usiedli, po czym sam zajął miejsce sędziego i zaczął przeglądać jakieś dokumenty, podczas gdy my czekaliśmy na pojawienie się oskarżonych.

Nie potrwało to długo. Przewodniczący musiał kilka razy nakazać ciszę, zanim ta w końcu zapadła. Pojawili się Bauer, Vogt i Fischer – w najlepszym odzieniu – prowadzeni przez swoich adwokatów, Garba i Beyersa oraz jednego z miejskich strażników. Garb był otyłym mężczyzną o czerwonej twarzy i miał na nosie kosztowne okulary, wskazujące na jego dobrze prosperującą i dochodową praktykę handlową. Beyers również był przy tuszy, ale nie tak bardzo – raczej korpulentny niż otyły – i łysy. Pochylał się wyraźnie, jak sęp, i zaczęłam się zastanawiać, czy miał problem z kręgosłupem.

Ostatni weszli członkowie ławy przysięgłych. Zostali przywitani niewielkim wivatem i zajęli wyznaczone dla siebie miejsca. Było ich szesnastu, co oznaczało, że Vonvalt będzie musiał przekonać dziewięciu z nich... lub ośmiu i przewodniczącego, który w takim przypadku będzie musiał oddać głos, by uniknąć impasu. Ich wygląd już dawno temu zatarł się w mojej pamięci, jednak byli to przeciętni, dobrze sytuowani ludzie, zważywszy na to, że ich dochód powiększyła kwota za zasiadanie w ławie.

Sovańska procedura nakazywała, by oskarżyciel, jako reprezentant Korony, przemawiał jako pierwszy. Dlatego też to w stronę Vonvalta przewodniczący Dietmar skierował swoją uwagę.

– Sir Konradzie – powiedział z wyraźnym haunerskim akcentem. – Witam w naszym sądzie. To rzadki honor gościć w Vale Sędziego, który prowadziłby

rozprawę.

– Dziękuję, panie przewodniczący. Wiem, że miasto tak jak ja czeka na wymierzenie cesarskiej sprawiedliwości – odparł Vonvalt, przypominając wszystkim o jedynej władzy, którą reprezentował: samego cesarza Kzosica IV.

Dietmar uśmiechnął się i skinął głową.

– Pozwani powiadomili mnie, że sprzeciwiają się aktom oskarżenia i nie są winni przedstawianych im czynów. Zatem mają prawo do procesu i osądzenia przez ławę przysięgłych, składającą się z sowańskich obywateli. Mając to na względzie, może pan kontynuować, Sędzio, swoje przemówienie. – Następnie wyrecytował w wysokim saxańskim tradycyjną inwokację, którą wypowiadano przed każdym procesem, a którą można było przetłumaczyć jako „Bądźcie lwami na sali sądowej, lecz braćmi poza nią”, co w zasadzie oznaczało, że prawnicy mają okazywać sobie uprzejmość.

Vonvalt celowo na chwilę zamilkł, po czym odwrócił się w stronę ławy przysięgłych. Wydawało mi się, że usłyszałam za sobą zbiorowe westchnienie.

– Panie i panowie, jestem Sędzia sir Konrad Vonvalt. Jestem cesarskim Sędzią, członkiem cesarskiego Zakonu Magistratu i zostałem upoważniony do przeprowadzenia śledztwa, z wykorzystaniem wszelkich możliwych środków, w sprawie zbrodni mających miejsce na terenie Imperium. – Wskazał ławę oskarżonych. – Stoję tu dzisiaj przed wami z powodu tych trzech mężczyzn: lorda Leberechta Bauera, obenpatriona Ralfa Fischera i pana Zorana Vogta. Wszyscy oni, panie i panowie, są odpowiedzialni za zbrodnie tak ohydne, że nie zasługują na nic innego jak śmierć.

Po sali ponióśł się podekscytowany szmer. Obrońcy, Garb i Beyers, teatralnie pokręcili głowami. Oskarżeni siedzieli nieruchomo i w milczeniu.

Zastanawiałam się, jak muszą się czuć, wiedząc, że za kilka godzin mogą zawisnąć na stryczku.

– Opowieść, którą zaraz przedstawię, panie i panowie, nie jest wytworem wyobraźni ani domysłem jakiegoś prawnika. To twarde fakty, czysta prawda wyrwana z ust oskarżonych niczym uparty ząb. Na biurku przed sobą mam trzy podpisane i poświadczone przyznania się do winy, ukazujące pełen zakres nielegalnego imperium, którego prowadzenia winni są ci ludzie. Nie jest ważne, co powiedzą wam tu dzisiaj ani też jakie zmyślane historie będą starali się przekazać, żeby tylko pomniejszyć swoją winę. Fakt jest taki, że wszyscy trzej przyznali się do winy i w imieniu cesarza Lothara Kzosica IV powinni za nią umrzeć.

Moje ciało pokryła gęsia skórka. Czulałam emanującą z Vonvalta moc, gdy przemawiał, i tę samą nieuchwytną energię, która promieniowała od Sędzi August. Członkowie ławy przysięgłych wyglądali, jakby poraził ich piorun.

– Nasza opowieść, panie i panowie, rozpoczęła się dwa i pół roku temu, gdy pan Vogt wybrał się do banku. Rejestry finansowe pana Vogta powiedzą wam, że pojechał do Guelan, do Banku Handlowego Konig i Keller, który specjalizuje się w finansowaniu transportu, naprawdę jednak wybrał się do obenpatriona Fischera w klasztorze. Obenpatrion Fischer zebrał pokaźną fortunę z funduszy przesyłanych z miejskiego skarbcza i zdecydował się je zamienić, powiedzmy, w inwestycję. Pan Vogt powiedział obenpatrionowi Fischerowi, że potrzebuje pokaźnej pożyczki na pokrycie kosztów transportu stu ton ziarna. Wiedział, że Legiony stacjonujące wzdłuż rzeki Kovy były źle zaopatrzone i że kwatermistrzowie Autuna przepłacali za paszę. Pan Vogt zaproponował kupno taniego ziarna, po czym jego ponowną sprzedaż ze znaczną marżą. Z zysku mógłby z odsetkami spłacić obenpatriona Fischera, a w kieszeni nadal pozostałaby mu wielka suma. W gruncie rzeczy ziarno było tak tanie, gdyż nie nadawało się do konsumpcji, ale dla niego nie miało to znaczenia. Wszyscy trzej mężczyźni byli zainteresowani jedynie maksymalizacją swoich zysków. Obenpatrion Fischer chętnie zgodził się na ten plan. Wtedy pan Vogt zrobił to, co zrobiliby każdy przezorny oszust: zorganizował gwarancję transportu dla swojego ładunku. Tu pojawia się lord Bauer, dobrze znany i odnoszący sukcesy w nowo powstałym, lecz lukratywnym biznesie, jakim jest kupiecka gwarancja. Poświęcę chwilę, by wyjaśnić państwu, co to takiego. Wyobraźmy sobie, że mam transport, powiedzmy... stu ton zboża. – Wśród publiczności rozległy się chichoty. Bądź co bądź, właśnie o to chodziło w nowoczesnym sovańskim sądzie: o teatr, dramatyzm i świetną advokaturę... o pompę. Vonvalt z miążdzącym efektem odgrywał role kpiarza, tu i tam rzucając żartem, zbierając tłum po swojej stronie, by później wypatroszyć świadka równie skutecznie jak ostrze miecza. – Chcę wysłać moje zboże stąd, z nabrzeża w Galen's Vale, prosto do Kovy. To długa podróż, o kilku możliwych trasach, z których każda niesie pewne zagrożenie. Mogą mnie czekać grozodańscy piraci, najeźdźcy z północy lub Marynarka Wojenna Konfederacji Kovy. Podróż morską byłaby szybsza, ale niesie ryzyko sztormów. Podróż rzeką będzie wolniejsza... być może nawet zbyt wolna, przez co mogę stracić okno dostawy. Hazardzista po prostu wysłałby transport i modlił się do Nemy, by wszystko było w porządku. Ale na szczęście – lub nieszczęście – nie jestem hazardzistą. Nie, ja postąpiłbym tak, jak postąpiłby każdy rozsądny kupiec: poszukałbym kogoś, kto dałby mi gwarancję dostawy ładunku. W tym celu porozmawiałbym z gwarantem, takim jak lord Bauer. Godny zaufania i znany biznesmen, taki jak on, wyceniłby mój statek, załogę, ładunek, wziąłby też pod uwagę planowaną przeze mnie trasę i tuzin innych czynników, i swoim profesjonalnym okiem zaproponowałby gwarancję transportu. Innymi słowy, panie i panowie, zapłaciłbym lordowi Bauerowi pewną

sumę pieniędzy, uważnie wyliczoną na podstawie ryzyka związanego z podróżą, która by zagwarantowała, że w wypadku utraty ładunku lord Bauer sam zapłaci mi jego uzgodnioną wartość, tak jak stoi w umowie. Prosta i efektywna transakcja, w której nie ma przegranych, prawda? Tyle tylko że w naszym wypadku to nieprawda, ponieważ lord Bauer to przebiegły i kłamliwy łajdak! – Przy trzech ostatnich słowach uderzył pięścią w biurko, strasząc połowę zebranych na sali osób. Jeden z obrońców zaczął wstawać, lecz Vonvalt lekceważącym gestem nakazał mu znów usiąść. Potęgą jego mocy i autorytetu była tak wielka, że mężczyzna bez namysłu go posłuchał. – Lord Bauer oczywiście nie wiedział, że ziarno było zepsute, ale miał w zwyczaju płacić jednemu z członków załogi, by ten był jego szpiegiem. Może to i lepiej: ten sam człowiek przez sieć pasażerów powiadomił lorda Bauera, że pan Vogt ukrywał spleśniałe ziarno pod warstwą dobrego. Lord Bauer zdał sobie sprawę, że grozi mu ryzyko wypłaty pieniędzy zgodnie z umową gwarancji, w wyniku czego – w świetle zawyżonych cen, jakie płacili kwatermistrzowie – zostałby bez grosza. Zorganizował więc skonfiskowanie ziarna na granicy Księstwa Kzosica przez cesarskie służby celne pod fałszywym pretekstem, że pan Vogt nie posiadał ważnego zezwolenia na import. Swoimi poczynaniami lord Bauer popsuł plan Vogta i obywatela Fischera na kilku poziomach. Pierwszym było samo niedostarczenie zboża do Kovy, czego skutkiem było nie tylko to, że zyski spiskowców wyparowały, ale również fakt, że musieli przełknąć początkowy wydatek, jako że ziarno było całkowicie bezwartościowe i nie można go było sprzedać. Drugim było powstrzymanie Vogta przed złożeniem roszczenia o wypłacenie odszkodowania za zboże na warunkach gwarancji. Lord Bauer, sam nieuczciwy do cna, był w stanie to zrobić na podstawie twierdzenia, że niezłałatwienie odpowiedniej dokumentacji przewozowej przez Vogta unieważniło ich kontrakt. Oszuści zostali oszukani!

– To niedorzeczne – mruknął Vogt.

– Niedorzeczne! – ryknął Vonvalt, ponownie strasząc publiczność. – Niedorzeczne, jak twierdzi pan Vogt... tyle że nie musimy wierzyć mojemu słowu; możemy spojrzeć na skargę, jaką pan Vogt osobiście złożył w straży miejskiej tutaj, w Galen's Vale! – Wyciągnął rejestr skarg, który dostał ze strażnicy, ten sam, który przeglądałam kilka tygodni wcześniej, po czym przyłożył palec do odpowiedniego miejsca na stronie i zaczął czytać: – Piętnastego dnia miesiąca Golrich pan Zoran Vogt pojawił się w strażnicy, by złożyć skargę na lorda Bauera... transport wstrzymany w urzędzie celnym Księstwa Kzosic... niewłaściwe zezwolenie na import z cesarskiego urzędu celnego... Pan Vogt niezłomny w twierdzeniu, że zezwolenie posiadał... opóźnienie spowodowało wygaśnięcie kontraktu i pozostawiło pana Vogta

z długiem wobec banku w Guelan... Pan Vogt przeświadczony, że lord Bauer zaplanował to, co się wydarzyło, by uniknąć znaczącej zapłaty wynikającej z umowy gwarancji. – Zatrzasnął rejestr i odłożył go na ławę.

Sir Radomir przesunął księgę na drugą stronę biurka. Po sali przeszedł szmer konsternacji.

– Dwa dni później skarga została wycofana. Pan Vogt przeszedł od niezłomnego twierdzenia – *niezłomnego* – do wycofania skargi. Co sprawiło, że całkowicie zmienił zdanie i to tak szybko, w tak znaczącej sprawie? Wydaje się dziwne, czyż nie, panie i panowie, że człowiek tak głęboko uwikłany w kryminalną działalność uda się do miejskiego szeryfa, szukając satysfakcji. Faktem jednak jest, że ci dwaj mężczyźni byli wystarczająco głupi i aroganccy, by wierzyć, że ich przestępczy plan jest tak bardzo niewykrywalny, że mogą sobie pozwolić na zaangażowanie cesarskich stróżów prawa i dalej cieszyć się nietykalnością.

Dostrzegłam, jak oskarżeni zjeżyli się na te słowa. Jeden z obrońców uspokoił ich gestem.

– Oczywiście obaj szybko sobie uświadomili, że lord Bauer jest takim samym krętaczem jak oni dwaj i wyraźnie utalentowanym oszustem. Najlepszym sposobem na to, by odrobić straty, było nie sięgnięcie po sovański system sprawiedliwości, ale zrekrutowanie lorda Bauera do wspólnej sprawy. Jak tego dokonać? Lord Bauer nigdy nie dołączyłby do nich z własnej woli. Sam miał zbyt dobrze opracowany własny plan działania. Ale był człowiekiem rodzinnym. A tacy zawsze mają słabość, którą inni, drapieżni ludzie, są gotowi wykorzystać. – Vonvalt zamilkł na chwilę, umiejętnie udając dobrotliwe rozczarowanie. – Być może niektórzy z was słyszeli o śmierci syna lorda Bauera... być może nawet ją pamiętacie. Umarł na ospę, jak głosi wieść. Jednak po dokonaniu ekshumacji jego zwłok i przesłuchaniu tych mężczyzn wiemy, że chłopiec został tak naprawdę zamordowany.

Na sali rozległy się pełne szoku westchnienia, po których rozbrzmiał szmer rozmów. Bauer wyglądał na zrozpaczonego, a jego opanowanie całkowicie prysło. Pozostali dwaj mężczyźni pozostali niewzruszeni. W jednej chwili ogarnął mnie gniew tak wielki, że trudno mi było się skoncentrować. Bressinger również wyglądał na zdenerwowanego.

– Proszę o ciszę – powiedział przewodniczący Dietmar, po czym zawołał: – Cisza!

Szmer zgasł, niczym zdmuchnięty płomień świecy.

– Został zabity uderzeniem w głowę przez opryszka zatrudnionego przez Fischera, w wyrazie zemsty, a jednocześnie ostrzeżenia dla lorda Bauera – ciągnął Vonvalt. – A wiadomość była jasna: „Lordzie Bauer, oszukałeś

niebezpiecznych ludzi”. – Zamilkł, po czym westchnął teatralnie. – Wtedy, jakby tego było mało, porwano Sanję Bauer i przetrzymywano w klasztorze jako dalsze zabezpieczenie.

Nastąpił kolejny wybuch rozmów i kilka prób przewodniczącego Dietmara, by uciszyć zebranych. Vonvalt z zadowoleniem powitał okrzyki oburzenia. Nienawiść tłumu, jaką generowały, mogła jedynie pomóc jego sprawie.

– Sanja Bauer żyje, ale nie ma jej tu z nami – powiedział łagodnie. – Jest zbyt wyczerpana i skrajnie przerażona po dwuletnim przetrzymywaniu jej w klasztorze. Jednak niech nie martwi was jej nieobecność; nie wzmocni ona wersji oskarżonych. Nie tylko posiadam ich podpisane zeznania, w których przyznają się do porwania dziewczyny, ale mam również trzech świadków Korony, którzy zaświadczą, co widzieli. Moja obecna tu asystentka zinfiltrowała klasztor i odkryła, że Sanja Bauer żyje w tonącej w brudzie i odchodach więziennej celi, na wpół oszalała ze strachu. Przekaze wam, czego się dowiedziała od panny Bauer. Usłyszycie, jak Sanja została schwytana, by – z rzadka odwiedzana na chwilę przez ojca – gnść w niewoli. Był to inny sposób na to, by trzymać lorda w ryzach i upewnić się, że będzie się dzielił z nowymi współnikami owocami swojej oszukańczej działalności... nie mówiąc już o owocach innego nielegalnego przedsięwzięcia, które zaczęli prowadzić. Lord Bauer był wart podjęcia tak ekstremalnych środków, panie i panowie. Nie tylko wiedział, jak manipulować transportem, by odnieść korzyść, ale zarządzał również miejskim skarbcem. Otrzymaliśmy wiele tomów rejestrów ze skarbcza, które jasno dowodzą ogromnych sum pieniędzy z cesarskich funduszy przekazywanych do klasztoru. Zobaczycie również więcej złożonych pod przysięgą poświadczeń, w tym od samego burmistrza i innych członków rady miejskiej, w jak nieautoryzowany sposób te płatności były wydawane. Nie było właściwego nadzoru nad prowadzeniem ksiąg rachunkowych przez lorda Bauera i jasne jest, że przez lata był w stanie wyprowadzać z miasta cesarskie fundusze, umiejętnie i chętnie wspierany przez asystenta skarbowego, Fenlanda Gravesa. – Vonvalt ponownie zamilkł. Wiedziała, że następna część jego przemówienia będzie dotyczyła delikatnej sprawy. – Panie i panowie, osobiście rozmawiałem z panem Gravesem tuż po jego śmierci.

Na sali zapanowała konsternacja. Ludzie wymieniali między sobą niespokojne spojrzenia, a nawet takie, które były pełne strachu i odrazy. Widziałam, jak obrońcy coś notują. Nadal nie byłam pewna, czy to rozsądne podawać tę informację do publicznej wiadomości, zamiast opierać się wyłącznie na zeznaniach oskarżonych.

– Ja i podlegli mi ludzie usiłowaliśmy schwycić Gravesa. Niestety nie chciał ustąpić i w efekcie został raniony mieczem w pierś, czego nie przeżył. Być może

słyszeliście o mocach, jakie posiadam jako członek Zakonu Cesarskiego Magistratu. Na temat tych mocy krąży wiele legend i plotek, przez co są otoczone jeszcze większą tajemnicą i strachem. Panie i panowie, nie obawiajcie się sposobu ich wykorzystania; zajmijcie się jedynie informacją, którą niosą. Z natury informacja ta może wydawać się trudna do zrozumienia, lecz dla wprawionego ucha, takiego jak moje, jest ona wyraźna i jasna. Podczas przesłuchania Graves ostrzegł nas, że klasztor to „mroczne miejsce, w którym dzieją się mroczne czyny”. O Sanji Bauer mówił, że jest „gościem niebezpiecznego człowieka”, a zapytany o nazwisko tego człowieka odparł, że to „wodny myśliwy”. Cóż, nie trzeba tęgiego umysłu, by zgadnąć, że mówił o Fischermanie, czy raczej Fischerze... i oto siedzi tutaj obenpatrion Fischer, niebezpieczny człowiek, do którego odnosił się Graves.

Trudno było ocenić reakcję na jego skróconą wersję przesłuchania Gravesa. Vonvalt najwyraźniej wybrał najistotniejsze fragmenty i pominął milczeniem najbardziej przerażające chwile tej nocy, lecz, co dziwne, pozbawione kontekstu słowa Gravesa nie miały już takiego efektu. Niektórzy ze zgromadzonych wyraźnie uważali te fragmenty za rubiny w stercie gnoju, lecz większość i tak wydawała się zmieszana. Nie zwracając na to uwagi, Vonvalt mówił dalej:

– Jednak Fischer, Vogt i Bauer, chociaż związani przez los, nie byli dobrymi kolegami. Fischer był zły, że przez pana Vogta niemal stracił pokaźną sumę przy ich pierwszej próbie sprzeniewierzenia cesarskich funduszy. Słyszeliście również, że Sanja Bauer była więziona w klasztorze, by panowie mogli trzymać w ryzach lorda Bauera. Panie i panowie, podczas tych wszystkich lat, które spędziłem, stosując sovańskie prawo w wielu prowincjach oraz prowadząc dochodzenia i oskarżając w sprawach kryminalnych, wiele razy widziałem podobne przypadki: ludzi, którzy się nie lubią, a nawet nienawidzą, a zarazem muszą współpracować ze sobą, związani okolicznościami, które sami stworzyli. Ci trzej mężczyźni wcale nie są inni. Nie są przyjaciółmi. Ale to nie znaczy, że nie mogą razem spiskować. Pamiętajcie o tym, kiedy przyjdzie wam usłyszeć, co mają do powiedzenia. – Podniósł głos. – Gdyż przyjaciele nie mordują żon swoich przyjaciół; współspiskowcy – tak. Lady Nataliję Bauer, lubianą, piękną i dobrą kobietę, widziano po raz ostatni oglądającą grozodański aksamit na ulicy Krawieckiej. Zielony aksamit, na suknię uszytą zgodnie z najnowszą modą. – Wiedziałam już, co robił Vonvalt. Dodawał te drobne szczegóły, by przypomnieć wszystkim, że Natalija Bauer była żyjącą i oddychającą osobą, a nie tylko zwłokami, o których mówiono na sali sądowej. – Wielu z was znało ją z widzenia. Niektórzy znali ją towarzysko. Nie miałem przyjemności jej poznać – chociaż bez przyjemności dokonałem oględzin jej martwego ciała – i rozumiem, że była lubianą kobietą o łagodnej naturze.

To nie do końca była prawda. Z tego, co słyszałam, lady Bauer była przygnębiona i wycofana, odkąd jej syn został zamordowany, a Sanja porwana. Życie w nieustannym lęku o męża i rozpaczy po utraconych dzieciach złamało jej ducha i zmieniło ją w cichą, słabą kobietę.

– Została zabita, panie i panowie, na zlecenie obenpatrona Fischera i Zorana Vogta. – Mówiąc to, wskazał obu mężczyźn. Fischer skulił się, jakby Vonvalt wymierzył w niego naładowaną kuszę. Vogt pozostał niewzruszony. – Dlaczego? Bo przez dwa lata córka Bauera była ich więźniem. Dwa lata. Przez dwa lata lord Bauer czuł stres i napięcie w swoim pustym domu. Zamordowano mu syna, porwano córkę... i chciał coś z tym zrobić. Zaczął układać plan, jak wydostać ją z klasztoru, a tym samym zerwać kajdany, które trzymały go przy Fischerze i Vogcie. Jednak, głupio, zapomniał o pełni gniewu swoich współspiskowców. Po ponad dwóch latach zaczął mylić naturę ich powiązania. Zapomniał o dobrze znanym powiedzeniu, że wśród złodziei nie ma honoru. Nie miało znaczenia, jak dobrą robotę dla nich wykonywał ani jak dużo pieniędzy dla nich zarobił. Posunęliby się do wszystkiego, byle tylko go przy sobie zatrzymać. Bądź co bądź wystarczyło słowo szepnięte do właściwego ucha, a mógł ich całkowicie zniszczyć. Przez dwa lata od uprowadzenia i uwięzienia Sanji Bauer ci trzej mężczyźni zbudowali spore kryminalne imperium. Sekretne rachunki Fischera mówią o posiadanym przez niego ogromnym majątku, składającym się z nielegalnie nabytych ziem i innych dóbr, strzeżonym przez sieć bandytów. Dla chciwego i pozbawionego skrupułów człowieka to zbyt dużo do stracenia.

Vonvalt zamilkł. Dochodził już do końca swojej mowy. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie brzmiała niechęć.

– Lady Bauer została zamordowana z rozkazu Zorana Vogta i Ralfa Fischera, panie i panowie. Uderzono ją ciężkim przedmiotem – takim samym, jakiego użyto dwa lata wcześniej, mordując jej syna. Pomyślcie nad tym przez chwilę: powracająca z zakupów szlachcianka, porwana z ulicy i uderzona w głowę grubym kijem. Możemy mieć tylko nadzieję, że cios zabił ją na miejscu, a nie dokonały tego zimne wody rzeki, z której ją wyciągnięto.

Vonvalt poprawił szaty, pozwalając, by przerażająca prawda o śmierci lady Bauer do wszystkich dotarła.

– Lord Bauer, oszalały z gniewu, udał się do szeryfa Radomira i oskarżył Vogta o zabójstwo żony. Po raz pierwszy od dawna powiedział prawdę. Kiedy się uspokoił, wycofał skargę. Jaki bowiem miał wybór? Jego córka, teraz jego jedyna żyjąca rodzina, pozostawała uwięziona w klasztorze. Gdyby wszystko wyjawiał, niewątpliwie też zostałaby zabita... albo i gorzej. Poza tym w pewnym stopniu sam był po części odpowiedzialny za śmierć żony, razem z Fischerem i Vogtem. Wplątanie w to cesarskich stróżów prawa gwarantowałyby mu

egzekucję tak samo jak im... a lord Bauer jest tchórzem, panie i panowie. Sądzę, że to wyraźnie udowodniono. Dziwnie mi to mówić, ale człowiek, który zadał śmiertelny cios Nataliji Bauer, nie ma znaczenia w tym procesie. To zaledwie oprych udający mnicha. Kilka dni temu został zabity przez ludzi sir Radomira, którzy zajęli klasztor. Nie, nas interesują ci trzej mężczyźni, którzy – przez wspólne przedsięwzięcie – równie dobrze sami mogli wyprowadzić ten cios. W akcie oskarżenia o spisek wykazano, że wszyscy trzej pełnili w nim różne role, ale bez ich zaangażowania ostateczna zbrodnia by się nie udała. Dlatego ponoszą równą odpowiedzialność za jej wynik, a wy nie powinniście się wahać, skazując ich za bezsensowną i brutalną śmierć tej niewinnej kobiety.

Zakończył mowę w pełnej zdumienia ciszy. Nie miałam pojęcia, czy ktokolwiek na sali był świadkiem takiego pokazu adwokatury. Trudno mi opisać słowami moc, jaką niosła. Odtworzyłam mowę Vonvalta z notatek i pamięci, ale być przy jej wygłaszaniu... to tak, jakby jego słowa żyły własnym życiem, a każde z nich było duchem, który wypełniał powietrze tajemną mocą.

W końcu przewodniczący Dietmar poruszył się niespokojnie.

– Dziękuję panu, Sędzio. – Vonvalt mówił bardzo długo, ale przewodniczący dał się porwać jego słowom tak samo jak pozostali na sali. Teraz odwrócił się w stronę ławy, przy której siedzieli obrońcy. – Panowie, jesteśmy gotowi na wysłuchanie was.

To Garb, grubszy z obrońców, wstał, by przemówić. Kilka razy głośno odchrząknął, po czym pulchnymi dłońmi złapał za swoje szaty.

– Panie i panowie, panie przewodniczący, nie zamierzam zabrać państwu tak ogromnej ilości czasu, jak mój kolega, Sędzia sir Konrad. – Miał dudniący głos, który niósł się po sali niczym grzmot. Podczas gdy Vonvalt mówił z wyraźnym saxańskim akcentem, arystokratyczną naleciałością wskazującą, że był wysoko urodzony – chociaż czasami przechodził on w jägelandzki, kiedy Vonvalt był bardzo zmęczony – Garb wyraźnie zaciągał po haunersku i mówił basem. Chociaż z niechęcią to przyznawałam, miał władczy i szczery głos.

– Sir Konrad wykorzystał dużą część rzekomych zeznań oskarżonych – powiedział. – Oczywiście sami zdecydujecie, co jest prawdą w świetle dowodów, które zaprezentujemy – ciągnął. – Jednak zanim usłyszymy zeznania od różnych świadków, chciałbym sam dodać kilka uwag na początek. Pierwsze, co chciałbym powiedzieć, to to, że Sędzia sir Konrad jest członkiem Cesarskiego Zakonu Magistratu. Jest to stara i potężna organizacja z siedzibą w Sovie. Sposoby ich działania są owiane tajemnicą, a moce – mówiąc szczerze – przerażające. Zwróćcie uwagę na dowody, które przedstawia Sędzia: słowa zmarłego, zabitego przez jego własnego pomocnika. Słowa wydarte mu siłą z ust, podczas gdy jego dusza walczyła o spoczynek w zaświatach. Panie

i panowie, nie wiem jak wy, ale te moce i prorocze słowa z ust umarłego... dezorientują i przerażają mnie, i wymagają ogromnej interpretacji, by cokolwiek z nich zrozumieć. Opisanie klasztoru jako „mrocznego miejsca” równie dobrze może oznaczać, że jest to miejsce ze słabym oświetleniem, a nie siedziba zła!

To sprawiło, że publiczność wybuchnęła śmiechem. Vonvalt spodziewał się takiego ataku po przywołaniu słów Gravesa i niespecjalnie przejął się sarkazmem Garba. Ja bardziej przejmowałam się tym, że to wszystko kosztowało nas tak dużo psychicznego cierpienia, a na sali sądowej miało tak niewielkie znaczenie.

– To samo dotyczy przyznania się do winy – ciągnął Garb. – Te kawałki papieru, którymi sir Konrad macha wam przed nosem. Zostały pozyskane za sprawą mocy, która nazywa się „Głosem Cesarza”. Być może ta moc nie jest wam znana, lecz dowiedziałem się o niej co nieco. To moc, panie i panowie przysięgli, która zmusza człowieka do mówienia. Sir Konrad musi jedynie przywołać swoją nadprzyrodzoną moc i człowiek będzie zmuszony powiedzieć... Cóż, cokolwiek, co Sędzia będzie chciał, by ten powiedział, nieprawdaż?

Vonvalt nie zerwał się na nogi z brakiem oglądy kogoś oburzonego; zrobił to raczej z wyważoną celowością urażonego autorytetu.

– Panie przewodniczący – powiedział, nie spuszczać wzroku z Garba, a jego słowa rozbrzmiały niczym wyciosany z lodu miecz. – Mam nadzieję, że mój kolega nie miał zamiaru obrazić cesarskiej Korony tak dogłębnie, jak w rzeczywistości zrobił to swoją ostatnią uwagą. Niemniej jednak zachęcam go, by ją wycofał. Jeśli rzeczywiście dokonał rozeznania na temat tej mocy, jak twierdzi, to z pewnością wie, że Głos Cesarza zmusza człowieka do powiedzenia jedynie prawdy. Nie mogę zmanipulować nikogo, by powiedział „cokolwiek zechcę”, tak samo jak nie potrafię utoczyć krwi z kamienia.

Maska Garba nieco opadła i musiał dwa razy się zastanowić, zanim wy dobył z siebie jakiegokolwiek słowa.

– To był nierozsądny dobór języka – powiedział do równie zaalarmowanego przewodniczącego. – Wycofuję tę uwagę.

– Czy to pana satysfakcjonuje, Sędzio? – zapytał Dietmar.

Vonvalt się uśmiechnął.

– W rzeczy samej – odparł i usiadł.

Chwilę później posłaniec w liberii, który dyskretnie przesuwiał się po krawędzi sali, nachylił się do jego ucha. Vonvalt ściągnął brwi, gdy mężczyzna mówił coś szybko i cicho, by w końcu się cofnąć.

– Co się stało? – zapytał Bressinger, lecz Vonvalt zignorował go i wstał, ponownie przerywając Garbowi.

– Bardzo przepraszam, panie przewodniczący, wynikła sprawa, która wymaga mojej natychmiastowej uwagi. Czy mogę prosić o przerwę?

Przewodniczący ściągnął brwi.

– Sędzio, nie minęła jeszcze godzina od rozpoczęcia przesłuchania. Jak długiej przerwy pan potrzebuje?

– Obawiam się, że całego dnia.

Spojrzałam ostro na Vonvalta. Kolejny raz za naszymi plecami wybuchł szmer rozmów. obrońcy cmokali i przewracali oczami jak idioci. Twarze trzech oskarżonych były nieprzeniknione. Kto wiedział, co teraz czuli? Czy to dodatkowy dzień spokoju, czy tylko przeciąganie tego, co nieuniknione?

– To nader niespotykane, Sędzio – powiedział Dietmar, lecz bardziej na pokaz.

Mowy nie było, żeby był w stanie odmówić Vonvaltowi – a raczej, żeby w ogóle mu odmówił. Bez względu na to, czy sądy miały zastąpić Zakon Magistratu, niewielu przewodniczących odważyłoby się sprzeciwić Sędziemu. Wszyscy na sali – w tym obrońcy – tańczyli, jak Vonvalt im zagrał.

– Proszę mi uwierzyć, panie przewodniczący, nie prosiłbym o to, gdyby to nie było ważne – powiedział Vonvalt z nutą zniecierpliwienia w głosie.

Dietmar westchnął.

– Dobrze, Sędzio – powiedział i odwrócił się do obrońców. – Wznowimy posiedzenia jutrzejszego ranka.

– Co się stało? – zapytałam, gdy sala opustoszała.

– Nie tutaj – powiedział cicho. – Mamy przed sobą kilka godzin jazdy.

Wyrównanie szans

„Dopiero teraz, u schyłku życia, kwestionuję swoje działania z młodości. Tyle podjętych decyzji, tyle straconych żyć. Nie można nic poradzić na to, że człowiek zadrecza się każdą, nawet najmniejszą rzeczą. Ta moc jest przekleństwem i tylko absolutny głupiec by jej szukał”.

Sędzia lady Andrea Constance

Vonvalt, Bressinger i ja przez kilka godzin jechaliśmy na południe drogą Hauner, po czym zjechaliśmy w jedną z wielu źle utrzymanych bocznych dróg i skierowaliśmy się w stronę Guelan. Ziemia tutaj była zarośnięta i popękana, nie tak jak na zboczach Tolsburskich Rubieży. Nieuprawiane łąki i ciemne, wilgotne lasy wczepiały się w niskie, pofałdowane wzgórza, a wszędzie dookoła z ziemi wystawały szare skały, jakby ktoś zamachnął się i rozsypał nabite kolcami maczugi po powierzchni ziemi. Pomimo długiej podróży Vonvalt nie powiedział nam, dokąd jedziemy ani z kim mamy się spotkać.

Nasza podróż dobiegła końca na skarpie górującej nad długim polem uprawnym i zanurzonej w porannej mgłę małej wsi. Dalsza droga na południe zawiodłaby nas do Weisbaum, siedziby lorda Hangmara, barona Osterlenu i jednego z niewielu przyjaznych nam szlachciców w zasięgu Galen's Vale. Droga na północ zaś poprowadziłaby nas na Wschodnie Ziemie Haunersheimu i Roundstone, a podróż na wschód prosto do rzeki Kovy i dalej, do Kòvosku, czy raczej Cmentarzyska Imperium. Było niejako prorocze to, że dwie z tych trzech dróg zawiodłyby nas prosto do wroga.

Nieco z boku postawiono namiot, chociaż wcale nie przypominał schronienia, które stawiano zazwyczaj na poboczu. Był duży, wielkości komnaty, usyty z trwałej woskowanej tkaniny, wzniesiony tak doskonale, że mógłby być zwyczajną budowlą. Tuż przy nim stały trzy konie, a czwarty gryzł trawę jakies

czterdzieści metrów dalej. Za nim poganiacz pilnował niewielkiego stada osłów. Kobiety i mężczyźni krążyli po obozowisku, pilnując różnych zadań – kilkoro z nich przygotowywało posiłek. Gdy się zbliżyliśmy, podeszło do nas dwóch lekko uzbrojonych w krótkie sovańskie miecze strażników.

– Milordzie! – zawołał do nas jeden z nich. – Jak brzmi pańskie imię?

– Sędzia sir Konrad Vonvalt. Jestem oczekiwany.

Niemal natychmiast ktoś odchylił klapę wejściową do namiotu i naszym oczom ukazał się mężczyzna w średnim wieku, z rzednącymi ciemnobrązowymi włosami, o przenikliwym spojrzeniu i muskularnym ciele. Wewnątrz namiotu musiało być ciepło, jako że miał na sobie jedynie lekką białą koszulę i czarne bryczesy.

– Rzeczywiście, jesteście. Wejść, mój panie Sędzio.

Zeszliśmy z koni i ruszyliśmy za nim do środka. Zdumiał mnie widok wnętrza. Dziwne było, że tymczasowa kwatera wyglądała na stałą. Człowiek ten, kimkolwiek był, nie podróżował lekko i był bardzo bogaty. Dywany, drewniane skrzynie, łoże i nawet ołtarz dla Żołnierza stanowiły jedynie kilka ustępstw na rzecz wygody. W jednym z narożników namiotu dostrzegłam zbroję stojącą za pomalowaną na granatowy kolor tarczą, na której widniało heraldyczne stworzenie; wyglądało jak złoty, pokryty łuskami borsuk.

– To łuskowiec – powiedział, podążając za moim spojrzeniem i być może czytając mi w myślach. – Stworzenie na mojej tarczy. Są całkiem powszechne na ziemiach Kasaru. Służyłem tam jako giermek – dodał nie bez powodu, gdyż niewielu członków sovańskiej arystokracji miało szczęście spędzić trochę czasu wśród ludzi-wilków na południowych równinach.

– Robi wrażenie – powiedziałam uprzejmie.

– Cesarski heraldyk również tak uważał – odparł. – Moi rówieśnicy twierdzili, że jest zabawny.

– Przejdźmy do rzeczy, senatorze Jansen. Oderwał mnie pan od ważnych spraw – powiedział Vonvalt.

Spojrzałam na niego. Czasami prezentował swój autorytet w wyraźny i oczywisty sposób – jak na przykład przy skazywaniu i egzekucji przestępcy. Jednak skupienie się tylko na tym aspekcie jego władzy oznaczało zapomnienie o innych, bardziej subtelnych sposobach, które były równie skuteczne jak brutalna siła. Jednym z nich okazało się lekceważące zwracanie się do jednego z najpotężniejszych ludzi w Imperium, jako że Jansen nie był zwyczajnym urzędnikiem, tylko członkiem Drugiego Stanu Cesarskiego. A jednak, pomimo swojej pozycji, musiał znieść niezadowolenie Vonvalta, jakby był byle służącym. Jeśli istniały jakiegokolwiek wątpliwości co do hierarchii w tym namiocie, Vonvalt ustanowił ją jednym krótkim zdaniem.

– Uważam jednak, że to drugie jest prawdą – powiedział Jansen. Sprawiał wrażenie nieporuszonego tonem Vonvalta. W gruncie rzeczy odniosłam wrażenie, że zrobiłby naprawdę dużo, by go zdenerwować. – Tymoteusz Jansen – powiedział do mnie i Bressingera, po czym zwrócił się do nas wszystkich: – Napijcie się wina?

Rozbrojony dobrym humorem mężczyzny Vonvalt złagodniał.

– Tak, jak najbardziej – odparł.

Zdjęliśmy płaszcze i usiedliśmy przy stole w jednym z rogów namiotu, podczas gdy Jansen napełnił cztery kielichy.

– Wygląda pan na Grozodanina – powiedział w stronę Bressingera. – To dobry pjolskimis. Dziesięcioletni.

Bressinger uśmiechnął się bez entuzjazmu. Był w kwaśnym nastroju, jak często mu się zdarzało w obliczu władzy. Pomimo tego, kim był i czym się zajmował, nigdy nie otrząsnął się z pogardy do Autuna.

– Obawiam się, że nie mam do tego nosa.

– Szkoda – odparł Jansen. – Cóż, będzie pan musiał mi uwierzyć na słowo, że to bardzo dobre wino. Wasze zdrowie.

Wznieśliśmy toast i napiliśmy się wina, które było wyjątkowo smaczne.

– Przybywasz bezpośrednio z Sovy? – zapytał Vonvalt.

– Owszem – odparł Jansen. – Słyszałem, podobnie jak większość Senatu, że masz zatarg z nemańskim kapłanem, Bartholomew Claverem. Cała ta pantomima rozgrywa się pięknie w rękach twoich wrogów.

Vonvalt ścisnął palcami grzbiet nosa.

– Mam już dosyć ludzi, którzy przychodzą i dają mi rady na temat tego przeklętego człowieka. Prawdziwa zmora z niego.

Jansen kiwnął w jego stronę kielichem.

– Jest o wiele gorszy. Po sposobie, w jaki mówią o nim Nemanie, pomyślałby kto, że jest wcieleniem samego Boga Ojca. Gdziekolwiek się pokaże, tam zaczynają płynąć pieniądze i pojawiają się nawróceni. Nie sądzę, by kiedykolwiek był tak wielki nabór do Templariuszy.

– Doskonale wiem, co knuje Bartholomew Claver. Nie ty pierwszy mnie przed nim ostrzegasz. Mam zamiar zakończyć sprawę w Galen's Vale i udać się do Sovy, by naprawić szkody, jakie on i jemu podobni zdążyli tam poczynić.

– Bardzo się cieszę, że to słyszę – odparł szczerze Jansen. – Biorąc pod uwagę, że jesteś dobrze poinformowany, jesteś też pewnie świadom, że twój mistrz robi z siebie w stolicy głupca. Tajemnicą poliszynela jest, że pertraktuje z Mlyanarami.

– Jak to się stało, że Mlyanarowie zyskali taką władzę? – zapytał Vonvalt. Był niezwykle bliski wybuchu złości. – Przez tyle lat nie byli nikim jak tylko

marnymi podburzaczami.

– Wzloty i upadki cesarskiej polityki, Sędzio. Magistrat zawsze starał się uplasować ponad naszym niechlujnym światem. Obawiam się jednak, że Kadlec zrobił wyrwę w murze pomiędzy naszymi stanami. Jak się okazało, był to nader kruchy mur.

Vonvalt rozmyślał przez chwilę.

– Jedna z moich znajomych bardzo starała się wyjaśnić mi tę sytuację, chociaż obawiam się, że nadal nie do końca pojmuję jej powagę. Powiedz mi, jak to widzisz, ale w taki sposób, jakbyś tłumaczył dziecku.

Jansen westchnął.

– To jednocześnie zagmatwane niczym pajęcza sieć i proste, jak różnica między nocą i dniem. – Uniósł kciuk. – Haugenaci: zarówno rodzinna linia cesarza, jak i ci z Senatu, którzy są mu wierni lojalność. – Podniósł palec wskazujący. – Patrycjusze Mlyanar: bogaci, posiadający rozległe ziemie i „od lat marni podburzacze”. Najdłużej stanowiący istotną mniejszość w Senacie – teraz niebezpieczną większość – i zawodowi narzekacze. – Podniósł środkowy palec. – Kościół Nemański: bardzo podobny do twego Magistratu, powściągliwy i skoncentrowany jedynie na religijnym prowadzeniu coraz większej liczby poddanych Imperium. I oczywiście narzekający, że odebrano mu wszystkie magiczne moce. – Opuścił dłoń i wzruszył ramionami. – Niełatwa, acz funkcjonująca równowaga, do której zakłócenia najwyraźniej potrzeba więcej niż jednego człowieka. Mlyanarowie i Savarianie są, oczywiście, powiązani historycznie, ale z Claverem, który wysyła rzekę pieniędzy, jak i kobiet i mężczyzn, do skarbcza i szeregów Templariuszy, Mlyanarowie stali się drapieżni. Rozzuchwaleni. Nemanie dostrzegli sposób na odzyskanie tajemnych mocy i przyłączyli się do Clavera, wstecznie przyjmując go w swoje szeregi, co jest jednocześnie dziwne i zabawne, jako że przez bardzo długi czas dystansowali się od niego i jego radykalizmu. – Senator teraz chwycił palec wskazujący i kciuk. – Widzisz, Haugenaci są przytłoczeni. Magistrat, który powinien być sojusznikiem, jest kastrowany przez działania Kadleka, co doprowadza cesarza do furii. Jego Cesarska Wysokość pozostał sam.

Vonvalt upił łyk wina. Pomyślał przez chwilę.

– Widzę złożoność... lecz nie prostotę.

– Władza – powiedział krótko Jansen. – Tu chodzi tylko o władzę. Claver chce jej dla swoich Templariuszy i siebie samego. Nemanie chcą odzyskać od Zakonu tajemne moce. Mlyanarowie chcą usunąć cesarza z urzędu i kontrolować Senat. Są jak sala pełna filozofów, z których każdy uważa się za mądrzejszego od innych. Uważają, że zdołają przechytrzyć jeden drugiego, ale prawda jest taka, że wszyscy zmierzamy do katastrofalnego upadku. Staram się robić, co

tylko mogę, by złagodzić ten cios, ale jedna z naszych wielkich instytucji nie przetrwa tego roku, tego jestem pewien. To tak, jakby kopnięciem usunąć jedną z nóg w stołku; nie minie dużo czasu, a wszystko się przewróci.

Vonvalt przez kilka minut siedział w milczeniu. Nie był głupcem, chociaż bywał głupi. Jansen nie zdradził mu nic, czego już nie powiedziała August, i nie był ślepy na powagę dowodów, co do sytuacji w Sovie. Raczej niezwykle długo próbował kierować tym, co uważał za sprzeczne ze sobą priorytety. Myślę, że dopiero, kiedy siedział w tym namiocie z senatorem, w końcu do niego dotarło, że – podobnie jak wielu innych – źle wszystko ocenił.

– Dlaczego Kadlec pertraktuje z Nemanami? – zapytał. – Zawsze był rozsądnym, chociaż mało inspirującym mistrzem. Pełnił obowiązki religijne w stopniu, w jakim wymagało to jego stanowisko, ale nigdy nie odniosłem wrażenia, że jest jakoś szczególnie wierzący.

– W głębi serca Kadlec zawsze był Nemanem – powiedział Jansen z lekceważeniem. – Szczególnie gdy wszedł już w podeszły wiek. Ja i wielu moich kolegów nie jesteśmy zaskoczeni, że to właśnie do nich jest chętny przystąpić. Ale to nie tylko Kadlec. Mlyanarowie zatopili szpony w wielu Sędziach. Stronniczość jest widoczna w ich pracy – orzekają przeciwko Koronie, obniżają dziesięciny tym lordom Imperium, którzy służą Patrycjuszom, wyłączają się z rozstrzygania spraw wedle powszechnego prawa na rzecz zostania sędziami kanonicznymi... Moi ludzie niemal codziennie ujawniają sekretne sieci między Kościołem Nemańskim, Mlyanarami i Magistratem, z których wszystkie mają za zadanie podważyć rolę cesarza i przekazać władzę Senatowi, który chcą kontrolować.

Vonvalt zachował godne podziwu opanowanie, ale wiedziałam, że lekceważące odnośnienie się senatora do Sędziów jako skorumpowanych zarówno go zszokowało, jak i uraziło. W oczach Vonvalta bycie Sędzią wykraczało poza wszelkie skargi, służąc za przykład nieprzekupności i bezstronności. Pod tym względem był naiwny.

– Naprawdę jest tak źle? – zapytał w końcu. Był w ponurym i przekornym nastroju – być może dlatego, że Jansen był o wiele lepiej poinformowany – i zrobił to, co zawsze, kiedy był w gorszej sytuacji: wycofał się do akademicko-prawniczych argumentów, by przywrócić w sobie poczucie wyższości. – Grupa przedstawicieli rządzących Imperium zamiast zachcianek jednego człowieka? Zgromadzenie mężczyzn i kobiet, miarkujących wzajemne, skrajne upodobania i rządzących tym, co stało się gigantycznym, niewydolnym państwem?

Jansen odchylił się na krześle i uśmiechnął bez humoru.

– Czyli jesteś teraz Kasivarem? Przywołujesz chochliki z eteru, by odwrócić naszą uwagę od głównej dyskusji? Czy właściwie sugerujesz, że Mlyanarowie,

którzy napychają Senat lojalistami i sadzają na tronie marionetkę – albo gorzej, samego Clavera – to coś dobrego? Mlyanarowie może i są zgromadzeniem mężczyzn i kobiet, ale nie są niczymi przedstawicielami.

– Rozmawiałeś z Resi – mruknął Vonvalt. Nie lubił, kiedy pokazywano mu, gdzie jest jego miejsce, i zareagował z nietypową dla niego posępną.

– Niezbyt często – odparł Jansen. – A co, czyżby mówiła tobie to samo? Czy to właśnie znajoma, do której odnosiłeś się chwilę temu?

Vonvalt skinął głową.

– Jestem zaskoczony, że musiałem wesprzeć ją w błaganiach; jej reputacja budzi wielki szacunek.

– Tu nie chodzi o jej intelekt czy osąd – powiedział Vonvalt. – Powiedz mi, dlaczego mnie tu sprowadziłeś. Ta rozmowa, jakkolwiek pouczająca, mogła przybrać formę listu.

Mimowolnie zrobiło mi się żal Sędzi August. Jakakolwiek była natura związku jej i Vonvalta – a nie miałam wątpliwości, że była złożona – Bressinger miał rację: wyraźnie rzutowała na opinię Vonvalta o złych wieściach, które przywiozła z Guelich. Zgadywałam, że Vonvalt uważał, że jej ostrzeżenia miały źródło w trosce o niego samego – z miłości i sentymentu – podczas gdy uwagi Jansena pochodziły z zimnych, twardych i egoistycznych machinacji. Pierwsze łatwo było odrzucić – niesłusznie, jak się okazało – jako naznaczone sentymentem; drugie jednak już nie.

– To właściwy moment na dyskusję o tym, gdyż i tak o niej mówimy. Otrzymałem wczoraj wieści o twoim trudnym położeniu w Vale. Wiadomość przyniósł kruk, z pieczęcią Sędzi August. To szczęśliwy zbieg okoliczności, jako że nie rozpowiadałem szeroko o moich podróжных planach.

– Wiesz zatem, że Mlyanarowie są już w drodze? – zapytał Vonvalt.

– Teraz już tak. Nie byłbym jednak zaskoczony, gdyby Westenholtz i baron Roundstone zaczęli broić. Może i są potężnymi wrogami, ale wyjeżdżając z Sovy, nie odniosłem wrażenia, by Mlyanarowie byli w stanie podjąć się tak śmiałej akcji. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie poleje się krew.

– Czy mam rozumieć, że jesteś w stanie pomóc? – zapytał Vonvalt.

– Mam nadzieję, że już to zrobiłem – odparł Jansen. – Ale najpierw odrobina złych wieści: z Gormogonu nikt nie przybędzie. Garnizon wyruszył już do Denholtz.

– To rzeczywiście złe wieści.

– Ale nie straszne. Znacznie lepsze są takie, że lord Hangmar, baron Osterlen, zbiera kompanię z Dwudziestego Ósmego Legionu na zachód od Weisbaum, by ich zastąpić. Z tego, co wiem, planuje zabrać też garnizon z Gresch. Jeśli są tam, gdzie powinni być, i otrzymali moją wiadomość, to masz całkiem pokaźne siły...

A jeszcze większe, jeśli zdołasz je uzupełnić o strażników miejskich i być może kompanię ochotników.

Vonvalt gwałtownie się pochylił.

– Ilu ludzi? Gdzie są?

Jansen uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Zaledwie trzystu przeciwko pięciuset Westenholta. W dodatku to żołnierze z garnizonu, a nie najlepsi wojacy Imperium. Ale mają trochę kawalerii i tak się złożyło – a może to dzięki Nemie? – mają dobrą pozycję do pomocy.

– Dlaczego baron Hangmar w ogóle podróżuje na zachód?

– Stacjonują w Gormogon, na wypadek gdyby w Denholtz potrzebnych było więcej żołnierzy. – Lekceważąco machnął ręką. – Chodzi o jakichś pogańskich rebeliantów albo coś takiego... Kto wie? Ostatnio jest ich tak wielu. Ważne, że można ich wykorzystać. Wysłałem mojego najszybszego posłańca, by przekazał im wiadomość. Gdybym miał moc Sędzi August, wysłałbym ptaka. Tak czy inaczej, nie mam powodów sądzić, że mój człowiek nie wykona zadania – jeśli już się to nie stało. Z wiatrem w plecy i odrobiną szczęścia Hangmar dotrze do Vale w ciągu jednego, może dwóch dni.

– Równie dobrze mogą udać się na Stepy Gvòrodu, jeśli nie dotrą do mnie w tym czasie – odparł Vonvalt.

– Cóż, wiesz, co mówią o żebrakach. Planowałem sam się pojawić i zaatakować twoich buntowników, ale nie mogę z pełną szczerością powiedzieć, że oczarowałeś mnie na tyle, bym przyłączył się do twojej sprawy.

Vonvalt westchnął i upił łyk wina.

– Przepraszam, Tymoteuszu. Jestem... wyjątkowo niewdzięczny. Nie mam na to żadnego usprawiedliwienia.

Senator nie miał żadnego problemu z przyjęciem jego przeprosin.

– Gdybyś nie był moim starym przyjacielem, może i uraziłaby mnie twoja niechęć – powiedział cierpko. – W każdym razie mam nadzieję, że to wystarczy, by coś zmienić. Być może Westenholtz się wystraszy.

– Nie wiem – powiedział Vonvalt niepewnie. – Zachowuje się niezwykle pewnie w tej sytuacji.

– Ma w Sowie wielu sojuszników; możesz być tego pewny. Wiesz w ogóle, co ten człowiek zamierza?

– Zgaduję, że praca, której się podjąłem w Galen's Vale, przerwie strumień pieniędzy zasilający plan jego i Clavera. Nie planowałem tego, ale cieszę się, że to zrobiłem.

– Jaki to plan?

– Pieniądze wyprowadzane z miejskiego skarbcza, przekierowywane przez nikczemników w nemańskim klasztorze i ostatecznie trafiające w ręce

Templariuszy. To tak samo zagmatwane i złożone jak to, co się dzieje w Sovie; gdybym miał więcej czasu, szczegółowo bym ci o tym opowiedział.

Jansen machnął ręką.

– W takim razie cieszę się, że go nie masz.

Vonvalt roześmiał się mimowolnie.

– A co do ciebie... Dlaczego jesteś tak daleko od Sovy? Czyżby cesarz obdarzył cię jakimś gubernatorstwem na północy Haunersheimu?

– Chciałbym – odparł Jansen. – To niebezpieczne czasy dla senatora w Sovie. Byłem w drodze do Hasse w jakiejś trywialnej dyplomatycznej sprawie. Muszę przyznać, że perspektywa zbroczenia miecza krwią w Vale brzmi o wiele bardziej kusząco. Westenholtz zawsze był sukinsynem.

Vonvalt uśmiechnął się.

– Dziękuję ci za pomoc, Tymoteuszu. Ale, proszę, nie narażaj się w moim imieniu. Nie chcę być odpowiedzialny za śmierć senatora.

– Wystarczy, kwoko – zganił go Jansen. Po raz pierwszy zobaczyłam, jak jego opanowanie pęka. – Zrobię, co zechcę, w imię Dwugłowego Wilka.

Vonvalt wyglądał na posępnego.

– Nie wiem, co się wydarzy jutro albo w kolejne dni... ale jednego jestem pewien: nie będzie w tym nic chwalebного.

* * *

Pożegnaliśmy się z senatorem i odjechaliśmy późnym popołudniem. Zanim dotarliśmy do Vale, zapadła już ciemność i byłam wyczerpana po całym dniu jazdy.

– Burmistrz Sauter was szuka! – zawołał do nas sir Radomir, gdy przejeżdżaliśmy przez Bramę Veldelin. Stał na szczycie wartowni, po tym, jak przez większość dnia przygotowywał obronę miasta. W blasku koksowników wyglądał na posępnego i zmęczonego.

Vonvalt westchnął. Wiedziałałam, że unikał lorda Sautera. Burmistrz, co zrozumiałe, bardzo martwił się o to, co wydarzy się w jego mieście... ale to nie sprawiało, by jego nieustanne dopytywanie stało się mniej irytujące.

– Heleno, Dubine – powiedział do nas Vonvalt. – Ruszajcie do domu burmistrza. Powiedzcie mu wszystko, cokolwiek chce wiedzieć. Jeśli o mnie chodzi, nic, o czym rozmawialiśmy dzisiaj popołudnia, nie musi być trzymane przed nim w tajemnicy.

– Dobrze – odparł szorstko Bressinger.

– Dokąd jedziesz? – zapytałam Vonvalta, gdy przejeżdżaliśmy obok niego.

– Chcę znaleźć Sędziego August i sprawdzić, czy widziała dzisiaj coś jeszcze – odpowiedział.

– Nie zawracałbym sobie tym głowy – rzucił z góry sir Radomir. – Wyjechała na zwiad.

Vonvalt zacisnął usta.

– Niech będzie. W takim razie będę w izbach sądu.

– Chyba nie zamierzasz kontynuować jutro procesu? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Oczywiście, że zamierzam. Nie pozwolę, by Westenholtz przerwał wszystko, nad czym tak ciężko pracowaliśmy. Właśnie dlatego, że jest w drodze, musimy kontynuować. Prawo jest prawem; dzień, w którym porzucimy je na rzecz rozlewu krwi, będzie dniem, w którym porzucimy siebie samych.

Z tymi słowami ruszył w stronę budynku sądu, pozostawiając nas, byśmy spędzili długą i bezseną noc bez jego doradztwa.

Zapałka przy loncie

„Nikt nie stoi ponad prawem”.

Stare przysłowie Magistratu

Następnego ranka proces rzeczywiście był kontynuowany. Nie tylko ja byłam tym zaskoczona. Sir Radomir i jego strażnicy spędzili cały poprzedni dzień, gromadząc strzały i pociski, sprawdzając i testując bramy miasta (brama Segamunda została zamknięta po raz pierwszy od wielu lat) oraz zbierając kompanię ochotników wśród mieszkańców miasta. Te działania nie przeszły niezauważone.

Mimo to rada miejska nie wystosowała żadnego oficjalnego ogłoszenia. Bądź co bądź, aktualne intencje Westenholtza nie były znane. Zakładaliśmy najgorsze, ale nie wszyscy myśleli jak my. Dla większości był to dzień jak co dzień i nim wróciliśmy do budynku sądu, ulice na zewnątrz ponownie tętniły zwyczajnym gwarem.

Siedziałam na miejscu oskarżyciela przy otwartym rejestrze, zapisując wszystko piórem, chociaż nie było świadomego powiązania między moim umysłem a ręką. Podobnie jak poprzedniego dnia, jedynym, na czym byłam w stanie się skupić było nadchodzące zagrożenie.

Garb kontynuował od miejsca, w którym przerwaliśmy poprzedniego dnia, atakując Vonvalta i Zakon Magistratu. Była to jednoznacznie irytująca i wyjątkowo pozbawiona głębi mowa, jak i odbiegająca od tematu, i chyba właśnie dlatego miała tak ogromny wpływ na publiczność w sądzie.

– Pomyślcie o tym teraz – zagrzemiał Garb. – Jakim prawem ten człowiek, ten szlachcic, ze swoim kosztownym stanem Szczyt Doskonałości Sovy, osądza moich klientów? Nie zna zawłości życia w Galen’s Vale. Jego ludzie nie są naszymi ludźmi; jego metody nie są naszymi metodami. Będzie chciał oszołomić

was i wam zaimponować księgami napisanymi przez członków jego Zakonu i będzie chciał nastawić was przeciwko moim klientom za pomocą skomplikowanych zapisów prawa. Będzie chciał nakłonić was, byście powiesili tych trzech mężczyzn nie dlatego, że ma rację, ale dlatego, że uważa, że czas, jaki spędził na uczeniu się filozofii, teorii prawa i innych naukowych badań sprawia, że jest mądrzejszy od was. Panie i panowie, nie jesteście wobec niego zobowiązani tylko dlatego, że jest Sędzią. Pomimo tego, ilu z nich spotyka się z uznaniem, nie jest lepszym sędzią ludzkiego charakteru niż wy. Zaufajcie swoim instyktom. Nie dajcie się zwieść jego czarnoksiężskim metodom i imponującym prawniczym argumentom. Jest tylko człowiekiem, z krwi i kości, nie bardziej biegłym w tym, co dobre, a co złe, niż wy.

Te argumenty budziły wściekłość również ze względu na ogrom zawartej w nich hipokryzji. Garb sam był bogatym i wykształconym człowiekiem i cieszył się w życiu przywilejami, które dzięki temu uzyskał. Mimo to mówił, jakby należał do najniższej klasy pospółstwa i jakby orał pole pomiędzy wyprawami do sądu. Dostrzegałam to równie wyraźnie, jak Vonvalt, który niewzruszenie znosił jego obelgi. Martwiło mnie, że to odwoływanie się do uprzedzeń mieszkańców na sali działało. Gdyby proces trwał dłużej, poważnie obawiałabym się o nasz sukces... pomimo faktu posiadania trzech podpisanych zeznań i przyznania się do winy.

– ...I nie zapominajmy, panie i panowie, że praktyka Sędziego jako jedynego arbitra rozstrzygającego o czyjejs winie dobiega końca... i to z bardzo dobrego powodu. Wkrótce stanie się standardem, że wszyscy będą sądzeni przez ławę przysięgłych złożoną z im podobnych ludzi, a nie wedle zachcianki jednego mężczyzny lub kobie...

Nagle mu przerwano, co w innych okolicznościach wzbudziłoby mój zachwyt. Jednakże to był dzwon alarmowy ze strażnicy stojącej zaledwie jeden budynek od sądu. Jego donośny dźwięk rozbrzmiewał wyraźnie w zimnym powietrzu i przykuł uwagę wszystkich.

Vonvalt gwałtownie odwrócił się do sir Radomira.

– Wróg z Roundstone – powiedział szeryf z szeroko otwartymi oczami. – Już tu są.

Sala wypełniła się nagłymi, pełnymi niepokoju rozmowami. Bez pozwolenia ani większej ceremonii opuściliśmy miejsce dla oskarżyciela i pośpiesznie wybiegliśmy na zewnątrz. Natychmiast zobaczyliśmy, że brama Veldelin została zamknięta, a przez jej grube żelazne kraty widać tylko zdeterminowanych i dobrze wyposażonych najeźdźców. Na murach miasta gromadził się tłum odzianych w żółto-niebieskie barwy strażników, w których hełmach i końcach

włóczy odbijało się słabe, szarawe światło poranka. Wśród nich dostrzegłam postać, nieruchomą i ubraną w szarą, znoszoną pelerynę.

– Jest Resi – powiedział Vonvalt.

Za naszymi plecami tłum ludzi wylewał się z budynku sądu niczym wino z otwartej butelki.

– Wynoście się! – krzyknął sir Radomir. – Wracajcie do domów, natychmiast!

Ludzie zaczęli się rozchodzić, ale powoli, a każdy z nich starał się dostrzec, co jest za bramami miasta. Rozmawiali, pokazując palcami i komentując, jakby byli na rozgrywkach sportowych w Sovie. Pamiętam, jak bardzo zdumiało mnie, że są w zasadzie spokojni, jakby ogromny oddział wrogich żołnierzy codziennie stawał pod murami. Trzeba jednak pamiętać, że ci ludzie nie wiedzieli tego, co wiedzieliśmy my; nie mieli pojęcia o naszych obawach ani też o tym, jak wielkie siły działały teraz w Imperium.

– Dubine, sprawdź, czy oskarżeni trafili z powrotem do więzienia – powiedział Vonvalt. – Nie chcę, by w panującym chaosie gdzieś się wymknęli.

– Tak, panie – odpowiedział Bressinger.

– Wy dwoje, jedziecie ze mną.

Sir Radomir i ja podążyliśmy za Vonvaltem do wartowni.

– Przejście! – zawołał sir Radomir, gdy ruszyliśmy po stromych, wąskich schodach wiodących na szczyt murów. Niespokojni strażnicy rozstąpili się, by nas przepuścić.

– Na krew Nemy – powiedział Vonvalt, gdy dotarliśmy na górę.

Za murami, po porośniętej trawą równinie, zbliżało się pięciuset uzbrojonych żołnierzy w pełnych zbrojach, odzianych w granatowe barwy siedziby margrabiego Westenholtza. Około jedna czwarta z nich siedziała na koniach; reszta brnęła pieszo przez błotniste pole. Idąc, śpiewali starą haunerską marszową pieśń, która niosła się z porannym wiatrem.

Na czele wrogiego oddziału podążał sam margrabia Westenholtz, rozpoznawalny na swoim białym bojowym rumaku i ubrany w kosztowną czarną kolczugę. Na nią miał narzuconą granatową tunikę, ozdobioną jego herbem – mewą z rozpostartymi skrzydłami. Obok niego, na grzbiecie stępującego konia, jechał Claver, wyglądając niedorzecznie w swoich sfatygowanych purpurowych szatach.

Vonvalt przepchnął się do August. Za nami półświadomie słyszałam sir Radomira, wykrzykującego rozkazy do swoich ludzi.

– Resi – powiedział Vonvalt. – Przybędzie ich więcej czy to już wszyscy?

August się nie poruszyła. Stała nieruchomo, niczym posąg, z nieobecny wzrokiem. Nie trzeba było być Sędzią, żeby wyczuć, że coś jest nie tak.

– Resi – powtórzył Vonvalt, przysuwając się bliżej, po czym machnął dłonią przed jej oczami. Dostrzegłam, że kilku strażników nerwowo spoglądało w naszą stronę. – Jak długo jest w takim stanie? – zapytał Vonvalt najbliższego z nich.

– Odkąd tutaj jestem – odparł strażnik.

– Czyli jak długo?

– Od świtu, milordzie. Coś nie tak? Zakładałem, że ma to coś wspólnego z jej mocą.

Vonvalt machnięciem odesłał strażnika i wziął głęboki wdech.

– Co się stało? – zapytałam, gdy położył dłoń na jej ramieniu.

– Bogowie! – krzyknął Vonvalt, gwałtownie cofając dłoń, po czym zacisnął pięść, jakby właśnie dotknął rozżarzonego węgla.

– Co?! – zawołałam.

– Uwięzili mnie – powiedziała August.

Spojrzałam na nią. Nadal się nie ruszała.

– Widzicie lisa? – mruknęła. Po jej czole spłynęła kropla potu. Cokolwiek się teraz działo, kontrola nad tym wymagała od niej ogromnego wysiłku.

Vonvalt oparł się o blanki. Zbliżający się żołdacy byli jakieś czterysta metrów dalej. Patrzyłam, jak Vonvalt mruży oczy.

– Tam – powiedział, wskazując coś palcem. – Spójrz na człowieka za Westenholtzem.

Podniosłam dłoń, by osłonić oczy, i podążyłam wzrokiem za jego ręką.

– Tak – odparłam dezorientowana. – Widzę.

Jadący za margrabią rycerz miał przywiązaną do siodła klatkę z uwięzionym lisem.

– Runa... Usidlenia... – wyszeptała August.

– Co się dzieje? – zapytałam. Serce biło mi jak młotem. Z pewnością ten człowiek nie zamierzał najechać na Galen's Vale. Nawet po wszystkim, co się stało, było to nie do pomyślenia.

Vonvalt potarł twarz. Nie widziałam go tak zmartwionego od... w gruncie rzeczy to był chyba pierwszy raz, kiedy widziałam go tak prawdziwie i dogłębnie zmartwionego. Przeraziło mnie to bardziej niż zbliżający się żołnierze.

– Wykorzystywała lisa, by szpiegować ludzi margrabiego – wyjaśnił Vonvalt. W jego głosie zabrzmiał ton bezradności, który sprawił, że przeszył mnie dreszcz. – Złapali go i związali z nim jej umysł za pomocą Runy Usidlenia. – Machnął ręką. – To jedno z narzędzi w *Grimoire Necromantia* do związania duszy, zanim zbyt głęboko wniknie w zaświaty. Nigdy nie widziałem, by używano jej w ten sposób.

– Jak? – zapytałam. Zrobiło mi się niedobrze. – Skąd mogą wiedzieć, jak jej używać?

Vonvalt pokręcił głową.

– Nie wiem. Wiem o tym tylko dzięki swojej pozycji i mocom. To rzadko wykorzystywana metoda, nawet w samym Zakonie. Runy to stara draedyjska magia.

Zadrzałam. Nie mogłam oderwać wzroku od zbliżających się żołnierzy.

– Są tacy silni i szybcy – szepnęłam. – Jak mogło do tego dojść?

– Albo mistrz Kadlec sprzedał więcej sekretów, niż się przyznał... – powiedział Vonvalt – ...albo w Zakonie jest ktoś inny, kto działa przeciwko nam. – Zobaczyłam, że dłonie aż trzęsą mu się z wściekłości. Vonvalt uchwycił się jednej z blanek, by się uspokoić. – Teraz posunęli się za daleko – powiedział cicho. – Nie powinienem był tak długo zostawać w Vale. Położymy temu kres, tu i teraz.

Kompania była już blisko, w zasięgu wystrzelonych z muru strzał. Westenholtz podniósł dłoń i idący za nim żołnierze się zatrzymali. Ich pieśń ucichła. Teraz jedynym dźwiękiem był świst wiatru hulającego przez otwory strzelnicze i szumiącego na trawiastych polach.

Westenholtz podjechał bliżej i podniósł przyłbicę. Claver pozostał na swoim miejscu.

– Co to wszystko ma znaczyć?! – krzyknął do niego Vonvalt, a jego głos poniósł się po polu niczym letni grzmot.

– Jest pan człowiekiem czytany i stosującym się do procedur! – zawołał Westenholtz. – Dam więc panu wybór. Możemy zrobić to na pański sposób lub... – wskazał czekającą za jego plecami armię – ...lub na mój.

– Uwięziliście Sędziego August – rzucił Vonvalt. – To, czego się pan dopuszcza, to zdrada. Natychmiast ją uwolnijcie. Wtedy porozmawiamy.

Westenholtz go zignorował.

– Patrynie – powiedział, przywołując Clavera.

Zobaczyłam, że Claver trzymał w rękach opasy tom prawniczych procedur. Rozpoznałam go: *Konflikt między prawem kanonicznym i powszechnym: precedensy i procedury*, spisany przez jednego z najslawniejszych starych prawników Zakonu, Marcka Kandalla.

– Obenpatryon Fischer jest pod naszą jurysdykcją, Sędzio – zawołał Westenholtz. – Czy przyznał się do wszystkich czynów?

Vonvalt zacisnął pięści.

– Tak. I za nie umrze.

– Fischer jest obenpatryonem Zakonu Świętego Jadranko – zawołał Claver. Jego głos, w porównaniu do Westenholtza, był wysoki i piskliwy. – Jego

przyznanie się do popełnienia oszustwa i morderstwa sprawia, że należy od teraz do Kościoła Nemańskiego. W świetle sowańskiego prawa kanonicznego podlega on naszej jurysdykcji i zostanie osądzony przez grupę kanonicznych sędziów.

– Nie bądźcie absurdalni – rzucił Vonvalt. – Margrabio Westenholtz, pańska obecność tutaj jest obrazą dla cesarza i brutalnie traktuje wszelkie pojęcie sowańskiego prawa i jego procedur. Natychmiast zabierze pan stąd siebie i swoich ludzi!

– Obraza dla cesarza – odpowiedział Westenholtz z ponurym rozbawieniem.

Wyciągnął rękę, na co jeden z jego ludzi wręczył mu zwój – od razu rozpoznałam w nim akt oskarżenia i nakaz egzekucji, który sama spisałam. Westenholtz rozwinął go pełnym kpiny gestem.

– „Na mocy tych oskarżeń i w obliczu grożącej za nie kary margrabia Waldemar Westenholtz zostanie osądzony w później wyznaczonym terminie, a w przypadku uznania go winnym nie zostanie mu okazana łaska prócz tej, która leży w prerogatywie samego cesarza”. W takim razie to już druga, nieprawdaz?

– Na miłość Nemy, margrabio, proszę się natychmiast wytłumaczyć! – ryknął Vonvalt. Tracił kontrolę nad sytuacją i wiedziałam, że to bardzo mu nie pasowało.

– Pański proces, te procedury, jakiegokolwiek są i na jakim etapie, dobiegły końca – powiedział Westenholtz. – Obenpatrion Fischer przyznał się do winy. Podlega prawu kanonicznemu i zostanie przekazany pod moją opiekę. Obecny tu patrion Claver oraz grupa kanonicznych sędziów zdecydują o najbardziej odpowiednim dla niego wyroku. Natychmiast go wypuście.

– Mówisz pan o procedurach i prawie, a jednocześnie plujesz w twarz cesarzowi! – krzyknął Vonvalt. – Jeśli rzeczywiście ma pan wnioski prawne do zgłoszenia, proszę mi je przekazać odpowiednimi kanałami! A nie na czele uzbrojonej po zęby armii!

– O właściwym procesie nie będzie mnie pouczał człowiek, który ściął głowę jednemu z moich ludzi na haunerskiej drodze! – ryknął Westenholtz, nagle wściekły.

Skrzywiłam się, a mężczyźni obok mnie poruszyli się niespokojnie.

– Nie ma pan tu żadnego autorytetu – powiedział Vonvalt. – Proszę zabrać swoich ludzi i odejść.

– Sir Konradzie, to jest mój autorytet – odparł Westenholtz, wyciągając z pochwy miecz.

– Grozi pan ostrzem cesarskiemu Sędziemu? Wiedziałem, że jest pan głupcem, margrabio, ale to coś zupełnie innego. Wcześniej miałem już wiele powodów, ale za to jedno z pewnością pan zawiśnie.

Westenholtz protekcjonalnie pokręcił głową.

– Mój drogi Sędzio – powiedział Westenholtz, wymieniając nikczemny uśmiech z Claverem. – Naprawdę powinien pan czasami odwiedzić Sovę. Przypomni mi pan, kiedy zrobił pan to po raz ostatni?

Vonvalt nie odpowiedział. Widziałam, jak mięsień pulsuje mu na twarzy. Powinien poświęcić Sędzi August więcej uwagi. Powinien potraktować jej ostrzeżenie z większą powagą. I dobrze o tym wiedział.

Westenholtz westchnął.

– Trzymaj – powiedział i rzucił akt oskarżenia Claverowi. Kapłan zrobił przedstawienie, drąc dokument i rzucając strzępy na ziemię. – To jest właśnie różnica między kawałkiem papieru i stalą. Jeśli jeszcze pan tego nie pojął, to niedługo pojmie. – Odwrócił się do żołnierza, który trzymał przy siodle uwięzionego lisa. – Zabij go.

– Nie! – wrzasnęłam.

– *Na Nemy, Westenholtz, natychmiast przerwij to szaleństwo!* – zagrział Vonvalt Głosem Cesarza. Na margrabim i Claverze Głos nie zrobił wrażenia, ale mężczyzna za nimi zamarł rażony jego mocą.

– Och, na litość Nemy, daj go tu – rzucił Westenholtz do oszołomionego rycerza i wyrwał klatkę z lisem z rąk żołnierza.

Vonvalt gwałtownie odwrócił się do August.

– Resi, uwolnij się! Musisz się uwolnić! – powiedział gorączkowo.

August wytężyła siły. Pot zrosił jej brew.

– To beznadziejne – wykrztusiła przez zaciśnięte zęby. – Nie mam takiej siły.

– Proszę! – powiedział Vonvalt, chwytając ją za ramię. Jednak ta sama moc, która odrzuciła go wcześniej, zrobiła to samo teraz. To tak, jakby runa, która więziła August, była dla niego niczym ściana ognia.

– Jesteś... dobrym człowiekiem, Konradzie. Zawsze tak bardzo cię lubiłam. Ocal Zakon. Dopilnuj, by... wymierzono sprawiedliwość.

Odwróciłam się do Westenholtza, który przycisnął ostrze do szyi lisa.

– Poczekaj! – krzyknął Vonvalt nad blankami, zaciskając dłonie na kamiennych blokach. – Po prostu zaczekaj chwilę! Niech cię, człowieku, zaczekaj!

Westenholtz przeciągnął ostrzem po gardle zwierzęcia. Trwało to zaledwie sekundę. Zwierzę zapiszczało krótko, po czym zdechło, z głową niemal całkowicie odciętą od reszty ciała. Margrabia skrzywił się ze wstrętem, gdy krew zwierzęcia buchnęła z otwartej tętnicy, plamiąc czaprak jego wierzchowca, po czym rzucił truchło na ziemię i wytarł miecz.

Ponownie spojrzałam na August. Otworzyła szeroko oczy, zachłysnęła się, po czym osunęła bezwładnie w ramiona Vonvalta. Kilku strażników przyskoczyło

do niej, by nie uderzyła głową o kamienny mur. Przez chwilę myślałam, że umarła. W następnej sekundzie, z przepełnionym nadzieją sercem pomyślałam, że nie tylko przeżyła, ale jakimś cudem przeniosła umysł z powrotem do swojego ludzkiego ciała. Mimo to po kilku chwilach dostrzegłam nagą i okrutną prawdę. Jej świadomość zniknęła, zabita podobnie jak lis, w którym się kryła. Oczy August były szkliste, a rozjaśniająca je iskra życia zniknęła. W jednej chwili zmieniła się w śliniacą się prostaczkę.

Vonvalta przytłoczyły emocje. Opadł obok niej na kolana i głaskał ją po włosach, szepcząc przeprosiny. Nie chodziło tu tylko o śmierć przyjaciółki i dawnej kochanki... tylko o to, co reprezentowała. To był powrót do krwawych dni Wojny Imperialnej, kiedy prawo i porządek plasowały się na drugim miejscu, daleko za tym, kto miał największą armię. Powrót do ludzi przepełnionych złem i mrocznych czynów.

Vonvalt najwyraźniej nie spodziewał się, że sprawy posuną się tak daleko, i to w tak szybkim tempie. Myślę, że naprawdę uważał, że może kontrolować Clavera i Westenholtza, postawić ich w końcu przed sądem i wymierzyć sprawiedliwość. Być może małym rubinem w tej całej sytuacji było to, że to zdarzenie zabiło w nim naiwność... ale też – jak ja i wielu innych miało się przekonać – zabiło w nim kilka lepszych cech.

– Członkowie straży miejskiej – zawołał Westenholtz w stronę murów. – Jestem Waldemar Westenholtz, margrabia Strażnicy Morskiej i lord Haunersheimu. To jest patrion Bartholomew Claver. Przybyliśmy, by przejąć obenpatriona Fischera. Nie wiem, co powiedzieli wam wasi mistrzowie, ale tylko to nas interesuje. Nie musicie się bać ani mnie, ani moich ludzi. Proszę was tylko, żebyście otworzyli bramę, byśmy mogli odebrać aresztowanego i odejść.

– Nie waż mi się dotknąć tej pieprzonej dzwigni, Jakobie Beekmanie! – krzyknął sir Radomir do niespokojnego młodego strażnika, który operował bramą.

Westenholtz z rozbawieniem przekrzywił głowę.

– A kim pan jest, sir? – zapytał.

– Odpieprz się! – warknął sir Radomir.

Patrzyłam, jak Claver pochyla się do ucha margrabiego.

– Szeryf Radomir Dragic – powiedział Westenholtz. – Nie ma pan reputacji głupca... ale z drugiej strony sir Konrad również. Powiedziałem panu, kim jestem.

– Gównu mnie obchodzi, kim pan jesteś – odkrzyknął sir Radomir. Spojrzałam na szeryfa z podziwem. W tej chwili poczułam, że mogłabym podążyć za nim w ogień piekielny kasivarowego królestwa. – Lista przestępstw

Fischera jest długa jak moja ręka. Jedyne miejsce, do którego się uda ze swojej celi, to zaświaty.

Westenholtz westchnął, a rozbawienie na jego twarzy ustąpiło miejsca irytacji.

– Członkowie miejskiej straży! – zawołał. – Powiedziałem wam, kim jestem i kogo szukam. Jestem uczciwym człowiekiem. Jeśli teraz otworzycie mi bramę, darujemy wam życie. Nie poniesiecie kary za sprzeciwienie się rozkazom szeryfa. Zabiorę obywatela Fischera i odjadę, pozostawiając was waszym sprawom. Widzicie, że stoi za mną pięciuset żołnierzy pieszych i kawalerii. Każdy z nich to weteran Wojny Imperialnej. Jeśli mi się sprzeciwiacie, zniszczę tę bramę i dopilnuję, by każdy jeden z was został pojmany i poćwiartowany. Nie macie z nami szans. Podejmijcie decyzję: posłuchacie swojego lorda czy Sędziego? Pośpieszcie się jednak, mam sprawę do załatwienia gdzie indziej.

Powiodłam wzrokiem po strażnikach. Była to grupa młodych i starszych mieszkańców miasta, dobrze wyposażonych, lecz bardziej nawykłych do przerywania barowych bójek i pilnowania godziny policyjnej niż toczenia walki. Niektórzy wyglądali na zdenerwowanych, inni na przerażonych. Wtedy czułam gniew i bezradność, ale patrząc z perspektywy czasu, nie dziwię im się. Byli dzielnicowymi z włóczniami w rękach, a nie żołnierzami.

– Gwarantuje nam pan bezpieczeństwo?! – zawołał jeden z sierżantów.

Sir Radomir odwrócił się do niego gwałtownie.

– Zamknij pierdoloną gębę, Leon!

– Klnę się na swój honor! – odkrzyknął Westenholtz.

– Nie róbcie tego! – zawołałam. – To kłamca i prawdziwie zły człowiek! Nie mają jak rozbić bramy!

– Zamknij się, dziewczko! – rzucił do mnie jeden ze strażników.

– Właśnie – poparł go inny. – Nie zamierzam umrzeć za jakiegoś szemranego kapłana.

– Sir Konradzie! – krzyknęłam, lecz Vonvalt był cały czas nieświadomy moich rozpaczliwych błagań. – Sir Radomirze!

– Dawaj, Jakob. Otwórz bramę – zawołał sierżant w tym samym czasie, gdy dwóch innych chwyciło sir Radomira.

– Na Kasivara, zostawcie ją! – ryknął sir Radomir, wyrywając się trzymającym go ludziom. – Idioci, zgubicie nas wszystkich!

– Zamknij się!

– Otwieraj!

– Dalej, Jakob, pociągnij za dźwignię. Miejmy to za sobą. Jest przeraźliwie zimno.

Z przerażeniem patrzyłam, jak młodzieniec pociąga za dźwignię. Brama zaczęła się podnosić. Westenholtz skinął głową i dał znak swoim ludziom, by ruszyli za nim.

– Sir Konradzie – powiedziałam, potrząsając jego ramieniem. Zignorował mnie załamany i pogrążony w rozpacz. – Sir Konradzie, musimy iść!

– Heleno! – syknął do mnie sir Radomir. – Biegnij do Dubine’a!

Spojrzałam na Vonvalta, po czym wróciłam spojrzeniem do szeryfa.

– Do kurwy nędzy! – rzucił, przewracając oczami. – Biegnij!

– Na zad Nemy – zakląłam.

Pobiegłam wzdłuż muru, do wartowni, a potem w dół schodów. Za moimi plecami brama była już w pełni otwarta. Żołnierze Westenholtza zbliżali się szybko. Strażników może i oszukali, ale skoro margrabia naprawdę chciał przejąć Fischera i tylko jego, nie potrzebował do tego pięciuset żołnierzy. Był tylko jeden sposób, by to rozwiązać.

Pognałam po brukowanym chodniku. Pomimo rozkazów sir Radomira, na ulicach było jeszcze dziesiątki strażników, próbujących dostrzec, co się wydarzyło.

– Ruszać się! – krzyknęłam, rozpychając się w tłumie łokciami.

Za moimi plecami rozległy się przekleństwa, lecz dalej torowałam sobie drogę do miejskiego więzienia. Kiedy tam dotarłam, pchnęłam drzwi z taką siłą, że klamka wbiła się w ścianę.

– Dubine! – krzyknęłam.

Bressinger pojawił się w sąsiednim pokoju.

– Co? – Na jego twarzy malowało się zdumienie. – Gdzie jest sir Konrad?

W tym momencie obróciliśmy się gwałtownie, gdy w powietrzu poniosły się pierwsze krzyki i brzęk stali o stal.

– Co się dzieje? – zapytał Bressinger, sięgając po wiszący mu przy pasie miecz.

– Westenholtz zamordował lady August! – powiedziałam bez tchu. – Idą po Fischera!

Bressinger szeroko otwartymi oczami patrzył, jak ludzie margrabiego wlewają się do miasta. Za bramę przedostały się być może dwa tuziny, zanim strażnicy opamiętali się i ponownie ją zamknęli. Żołnierze natychmiast ruszyli po schodach na mury, torując sobie drogę mieczami. Patrzyłam, jak sir Radomir gorączkowo kieruje strażników do walki.

– Co robimy? – zapytałam, a przerażenie odebrało mi dech.

– Musimy strzec więźniów – odparł Bressinger. – Tego oczekiwaliśmy od nas sir Konrad.

Jęknęłam. Do oczu napływały mi łzy.

– Czy zawsze tak sztywno musimy trzymać się zasad?

Bressinger wyciągnął sztylet i podał mi. Na jego twarzy malowało się zdecydowanie.

– Byłem żołnierzem w czasie Wojny Imperialnej, Heleno – powiedział. – Widziałem już, jak wygląda świat ich pozbawiony.

Po tych słowach zatrzęsnął i zabarykadował drzwi.

XXVII

Smak bitwy

„Wdawaj się w bitwę tylko dla dobra sprawy; prowadzenie wojny nigdy nie powinno być końcem samym w sobie”.

Lord Aleksander Callan, 14. margrabia Konholt

Nie mam pojęcia, ile czekaliśmy w tym wilgotnym, zimnym więzieniu, lecz z pewnością nie dłużej niż kilka minut. Przyznaję, że większość tego czasu spędziłam, płacząc i modląc się do Nemy. Odgłosy walki, krzyków, uderzających o siebie mieczy i włóczy, tętentu kopyt na bruku... wszystkie razem tworzyły kakofonię dźwięków, która doprowadzała mnie do szaleństwa.

Fischer i Vogt przez cały czas krzyczeli do nas ze swoich cel. Kiedy zdali sobie sprawę, że Bressinger nie zamierza ich zabić, ośmieleni nadchodzącym ratunkiem zaczęli zarzucać nas najróżniejszymi groźbami. Nie będę marnowała kosztownego atramentu na powtarzanie ich tutaj, lecz wystarczy powiedzieć, że te słowa ujawniły ogrom nagromadzonego w nich zła i ich bezbożnych osobowości. Z ich trójki jedynie Bauer zachował milczenie. Był rozbitym człowiekiem, pełnym żalu i nienawiści.

Pierwsze uderzenie w drzwi sprawiło, że krzyknęłam. Potem łomotanie było głośne i nieustające. Zacisnęłam palce na sztylcie tak kurczowo, że miałam wrażenie, że zaraz pęknie mi skóra. Drzwi wygięły się na zawiasach, pękając od siły uderzeń. Bressinger stanął pomiędzy nimi i mną, wyciągając przed siebie swoje grozodańskie ostrze.

– Nie bój się, Heleno – powiedział przez ramię. – Nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało.

Drzwi w końcu wypadły z zawiasów. Uzbrojeni żołnierze wyszarpnęli je z framugi, wrywając również rygiel. Trzech ludzi Westenholtza wpadło przez

drzwi z tunikami już poplamionymi krwią. Za nimi widziałam pędzącą ulicami kawalerię, która triumfalnie zabijała napotkanych mieszkańców.

Bressinger nie marnował czasu. Zabił pierwszego z mężczyzn, wbijając miecz prosto w oczodół. Żołnierz w jednej chwili upadł na podłogę, niczym worek z nawozem. Pozostali dwaj zakłęli wulgarnie. Jeden zamachnął się mieczem i miał na tyle szczęścia, że trafił Grozodańczyka w ramię, niemal w całości je odcinając. Bressinger ryknął, po czym szybkim ruchem odwrócił swoje ostrze i rozplątał mu gardło. W następnej chwili cofnął się od trzeciego żołnierza, dysząc ciężko i przeklinając po grozodańsku, podczas gdy jego ręka zwisała bezwładnie na wąskim kawałku ciała. Krew spływała z ziejącej rany niczym szkarłatna rzeka. Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że jeśli nie mielibyśmy szans na przeżycie, celowo stanęłabym na drodze miecza, jakkolwiek sprzeczne by to było z moimi instynktami. W nagłym przypiływie wściekłej energii rzuciłam się z krzykiem na trzeciego z mężczyzn, odwracając jego uwagę wystarczająco, by Bressinger klasycznym ruchem wbił miecz pod jego pachę i sięgnął serca. Żołnierz otworzył oczy, a jego cuchnący oddech uderzył mnie w twarz, gdy osunął się na podłogę.

– *Nyiza!* – zaklął Bressinger, po czym zaczął mówić po grozodańsku coś, czego nie zrozumiałam. – *Pieprzyć wszystko!* – rzucił na koniec i zaczął to powtarzać, z przerażeniem wpatrując się w swoje niemal odcięte ramię.

– *Dubine!* – krzyknęłam. Miałam wrażenie, że trafiła mnie błyskawica. Cała drżałam i targały mną mdłości, a jednocześnie ogarnęło mnie dziwne uczucie euforii.

– *Odetnij ją* – powiedział, kiwnięciem wskazując rękę. – *Szybko, zanim poczuję ból!*

Cofnęłam się ogarnięta wstrętem na tę myśl.

– *Nie mogę* – wymamrotałam.

– *Musisz!* – rzucił Bressinger. Z rany buchała krew i tworzyła kałużę na podłodze. – *Szybko, inaczej umrę!*

– *Ożeż... cholera* – jęknęłam.

Rzuciłam się do niego, po czym szybko i nieudolnie zaczęłam przecinać pas ciała, niczym rzeźnik odcinający filet. Ramię upadło na podłogę, jak martwy pstrąg. Krew zbryzgała moją suknię i poczułam, jak zawartość żołądka podchodzi mi do gardła. Jednak nie miałam czasu, by o tym myśleć.

– *Za tobą!* – rzuciłam.

W drzwiach pojawił się kolejny żołnierz. Bressinger sparował jego ciosy włócznią raz, potem drugi, po czym chwycił za ostrze na końcu. Mężczyzna puścił włócznię i sięgnął po miecz, lecz wtedy Bressinger ściął czubek jego

głowy w taki sposób, że jego mózg parował na zimnym powietrzu niczym rozcięte ugotowane jajko.

– Zawiąż ranę, szybko! – powiedział Bressinger, ponownie pokazując mi tryskający krwią kikut.

Niezgrabnymi, trzęsącymi się rękami oderwałam materiał z sukni i zawiązałam wokół szczątków jego ręki.

– Ciaśniej! – krzyknął. Żyły na jego szyi nabrzmiały. Nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić, jak wielki czuł ból. – Ciaśniej! – wrzasnął.

Zacisnęłam węzeł tak ciasno, jak tylko potrafiłam. Krew przestała kapać. Twarz Bressingera była biała, a jego usta zsiniały. Odwrócił się i przysiadł na biurku.

– Nie, nie. Dla mnie to chyba koniec. – W jego głosie brzmiało zmęczenie.

– Nie – odparłam rozgorączkowana ze strachu i zmartwienia. – Nie, Dubine, musisz być silny. Pamiętasz, co powiedziałaś? Że nie pozwolisz nikomu mnie skrzywdzić? Cóż, jak możesz tego dopilnować, jeśli będziesz martwy?

Uśmiechnął się.

– Tak, powiedziałem to. – Wtedy odepchnął mnie z drogi, gdy w drzwiach pojawił się kolejny człowiek.

– Stój! – krzyknął.

Obróciłam się gwałtownie. To był Vonvalt. W rękę ścisnął miecz jakiegoś strażnika i pozbył się swoich oficjalnych szat. Jego białą koszulę i bryczesy plamiła krew.

– Sir Konradzie! – zawołałam, czując ogarniającą mnie euforię.

– Dubine! – powiedział Vonvalt, patrząc na ranę Bressingera i ciała martwych żołnierzy. Był wyraźnie oszołomiony. – Nic ci nie jest?

Bressinger parsknął śmiechem.

– Nie powinieneś przypadkiem być nieco mądrzejszy?

– Straciłeś rękę – powiedział Vonvalt.

– Tak, na to wygląda. Ale więźniowie żyją.

Vonvalt zacisnął dłoń na zdrowym barku przyjaciela. Na jego twarzy pojawił się morderczy wyraz.

– Dobrze się spisałeś. Musimy działać szybko. Ludzie sir Radomira walczą dzielnie, ale nie wiem, na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa. Nie zostali pokonani tylko dzięki kosztownym zbrojom, w jakie wyposażył ich Sauter. – Wyminął mnie i ruszył w stronę celu. Usłyszałam otwierający się zamek. – Wychodź! – krzyknął.

W drzwiach celi pojawił się Fischer. Na jego twarzy malowały się przerażenie i dezorientacja. Z wielką przyjemnością patrzyłam, jak Bressinger chwyta go zdrową ręką i rzuca nim przez całe pomieszczenie. Mężczyzna

potknął się o leżące na podłodze zwłoki i upadł niezgrabnie, a z jego gardła wyrwał się żalostny krzyk.

Wtedy zamarłam. Naszych uszu doszły ścinające krew w żyłach krzyki. Przez chwilę myślałam, że to wrzaski kolejnych szturmujących więzienie żołnierzy, ale szybko uświadomiłam sobie, że to Bauer i Vogt.

– Co? – mruknęłam przestraszona i oszołomiona.

Krzyki ucichły, zastąpione przez charczenie, krztuszenie i groteskowy odgłos tarcia stali o mięso.

Ruszyłam w stronę sąsiedniego pomieszczenia. Pierwszym, co poczułam, był smród odchodów i krwi. Dopiero potem dotarł do mnie obraz, jaki miałam przed oczami. Do dziś pamiętam go z doskonałą wyrazistością. Vonvalt stał nad zwłokami Bauera i Vogta. Mężczyzn poćwiartowano, a ich ręce zostały poszatkwane, kiedy bezradnie starali się nimi zasłonić. Na ścianach widniały ogromne łuki krwi. To nie była egzekucja, nawet wyjątkowo brutalna; to była rzeźnia.

– To jest właśnie sprawiedliwość cesarza – powiedział Vonvalt, kiedy dostrzegł moje przerażenie. – Nie obawiaj się, Heleno. Miałem do tego prawo. Nie mamy ani czasu, ani siły, by zabrać ich ze sobą.

W tej chwili w końcu poddałam się mdłościom. Ubogie śniadanie, które zjadłam, i pół kufła piwa wylądowały na posadzce, dodatkowo mieszając się z ohydny smrodem. Vonvalt nie zwrócił na mnie uwagi. Wytarł ostrze miecza o nogawkę i wrócił do głównego pomieszczenia.

– Sir Konradzie... – usłyszałam głos Bressingera, który nagle urwał.

Odwróciłam się i chwiejnie weszłam do sali, gdzie Vonvalt zbliżał się do kulącego się obenpatrona.

– Nie! – zawołałam ochryple.

To dziwne. Myślałam, że będę z przyjemnością patrzeć na śmierć tych mężczyzn. Ale to przez ich nikczemne działania. Utrata August sprawiła, że Vonvalt odrzucił wszystko, w co wierzył. Nie chciałam mieć z tym nic wspólnego. W jednej chwili sama uwolniłabym Vogta i Bauera, gdyby to oznaczało, że odzyskam dawnego Vonvalta.

Vonvalt splunął, zbliżając się do nędznie wyglądającego kapłana.

– *Co cię łączy z Claverem?* – Głos Cesarza uderzył w Fischera niczym taran. Krew buchnęła z jego nosa. Gwałtownie nabrał powietrza.

– Płaciłem mu – wyrzeźił.

– *Ile?*

– Zbyt... zbyt dużo, by powiedzieć dokładnie! *Nngg... tysiące marek!*

– *Dlaczego?*

– Żeby sfinansować armię Templariuszy! – zaskrzeczał Fischer.

– *Jaki jest cel tej armii?!* – ryknął Vonvalt, ale posunął się za daleko.

Fischer chwycił się za pierś, a jego oczy się wywróciły.

– Zabiłeś go – wyszeptalam. Po twarzy spływały mi łzy.

– Nie dramatyzuj, Heleno, nic takiego nie zrobiłem – odparł Vonvalt. Końcem miecza wskazał pierś Fischera. – Spójrz, nadal oddycha.

Odwrócił się gwałtownie, gdy dotarły do nas dźwięki zbliżającej się bitwy.

– Na Nemeę – zaklął. Odwrócił się do Fischera, a potem ponownie do drzwi. – Wyciągnąłbym więcej z tego śmiecia.

– Proszę – powiedziałam, nie mogąc się doczekać, by opuścić więzienie. – Musimy już iść. – Nie chciałam patrzeć, jak Vonvalt zabija Fischera, gdy ten leżał wygięty na podłodze.

Vonvalt westchnął i schował miecz do naprędcy zapiętej w pasie pochwy.

– Miejmy nadzieję, że nadal tu będzie, kiedy wrócimy. – Zrobił krok w moją stronę. – Czas iść.

Chciał chwycić mnie za rękę, ale ją odsunęłam.

– A co z Dubinem? – zapytałam łamiącym się głosem.

Vonvalt spojrział na Bressingera, który przewrócił się i leżał dziwnie wykręcony na biurku. Jego koszula była przesiąknięta szkarłatną krwią, a skórę miał białą jak papier.

– Nie żyje – powiedział Vonvalt, niemal zdumiony moim pytaniem. Miałam wrażenie, że mówił o kimś kompletnie obcym.

– Nie możemy go tu zostawić. – Łzy ponownie zaczęły płynąć mi po policzkach. Przynajmniej jednym z powodów, przez które płakałam, było poczucie winy. Kochałam Bressingera, ale wiedziałam, że nie uda nam się uciec, dźwigając jego zwłoki.

Vonvalt spojrział na mnie z ukosa i szorstkim gestem wskazał przyjaciela.

– On nie żyje, Heleno. I jeśli nie chcesz dołączyć do niego w zaświatach, musimy natychmiast stąd iść.

Nie można było zaprzeczyć jego żelaznej logice, ale i tak byłam zszokowana. Niechętnie wyciągnęłam do niego rękę. Vonvalt bez jednego słowa więcej chwycił mnie mocno za nadgarstek i podniósł z drewnianej podłogi.

Na zewnątrz panował dokładnie taki chaos, jak sobie wyobrażałam. Ludzie Westenholta przedarli się przez słabą wartownię i teraz nacierali ulicami, podpalając zabudowania niczym pogańscy buntownicy z Ziem Północnych. Mieszkańców Galen's Vale, z których każdy był sovańskim obywatelem, zabijano na miejscu. Po ochotniczym oddziale sir Radomira nie było śladu. Patrzyłam, jak kobieta w średnim wieku szła przed siebie w oszołomieniu, pozornie bez szwanku, lecz kiedy się odwróciła, zobaczyłam, że bok jej głowy został niemal odcięty kawaleryjskim ostrzem. Za budynkiem sądu dostrzegłam

niewielką grupę zbrojnych. Kpili z płonącego człowieka, który wrzeszczał z bólu i wierzgał, starając się ugasić spowijające go płomienie. Jeszcze dalej, w pobliżu Bramy Veldelin, zobaczyłam jednego z miejskich strażników, który w przypływie lekkomyślnej odwagi stanął do walki z rycerzem Westenholta dzierżącym dwuręczny miecz. Rycerz jednym ruchem odciął strażnikowi nogi, tak szybko, że te od kolan w dół stały dalej pionowo, podczas gdy reszta ciała runęła na ziemię. Mężczyzna zmarł, zanim uderzył o bruk.

Słuchając niegdyś krótkich i pozbawionych szczegółów opowieści Vonvalta i Bressingera z czasów Wojny Imperialnej, zawsze się zastanawiałam, jak bym zareagowała w takiej sytuacji. Byłam zaradną osobą, niepozbawioną odwagi, i zawsze sobie wyobrażałam, że zaczynam odważnie walczyć. Poza tym wdawałam się w walkę – tak jak w biurze Gravesa albo kilka minut temu, z Bressingerem. Może nie prezentowałam rewelacyjnych umiejętności, ale też nie uciekałam.

Jednak, jak się okazało, bitwa – a raczej masakra, jaka teraz się rozgrywała – miała w sobie coś, co całkowicie opanowywało ludzki rozum. Widząc ten horror na własne oczy, czułam się przytłoczona. Bez mrugnięcia okiem mogłam patrzeć na zwłoki na stole sekcyjnym w gabinecie lekarza, czy do końca przyglądać się egzekucji. Jednakże te rzeczy, z których każda na swój sposób była przerażająca, były krótkimi momentami, na które umysł miał czas się przygotować. Widok ludzi Westenholta, brutalnie mordujących strażników i mieszkańców Galen's Vale, sparaliżował mnie. Nie sądzę, bym kiedykolwiek wcześniej czuła się tak bezbronna i była ogarnięta tak ogromnym zwierzęcym strachem, jak wtedy. Ktoś by pomyślał, że potrzeba ucieczki weźmie górę, ale prawda była inna. Czułam się tak, jakby ktoś przymocował mi do nóg ołowiane ciężary, moje ręce wydawały się słabe, a pierś unosiła się z trudem, jakby każdy oddech wymagał ciężkiej pracy. Wtedy zdałam sobie sprawę, że byłam dla Vonvalta równie wielkim ciężarem, jak martwy Bressinger w budynku więzienia.

– Helena, na dół! – ryknął Vonvalt. Sądząc po tonie jego głosu, nie po raz pierwszy.

W następnej chwili powalił mnie, a w miejscu, w którym sekundę wcześniej była moja szyja, świsnęła szabla. Zatopiona w myślach nie słyszałam nawet dudnienia końskich kopyt.

Siła, z jaką uderzyłam łokciami o bruk, była tak duża, że wyrwała mnie z oszołomienia. Dzikim wzrokiem rozejrzałam się dookoła, słysząc własny chrapliwy oddech. Vonvalt leżał obok mnie na chodniku, pocierając tył głowy, i przez jedną straszną chwilę myślałam, że oberwał szablą. Wtedy jednak przyjrzał się swojej dłoni i ku jego i mojej uldze, nie było na niej krwi.

– Chodź – powiedział.

Jego twarz była ponura, jakby miał zająć się nieprzyjemnym zadaniem, ale nie był ani zdenerwowany, ani przestraszony. Jego niewzruszony spokój podkreślał tylko mój własny strach i nagle zrozumiałam, jak słynni dowódcy wojskowi byli w stanie poprowadzić swoich żołnierzy do wielkich wyczynów. To jedno słowo, wypowiedziane z czymś zbliżonym do obojętności, zmobilizowało mnie. Z każdym nerwem w moim ciele, napiętym niczym struna, i krwią tętniącą w żyłach uchwyciłam się go z niemal granicznym z czcią zaufaniem. Od tamtych wydarzeń minęło tyle lat, a ja wciąż pamiętam tamten napływ emocji, jeszcze większy niż w chwili, gdy stojący na otaczających miasto murach sir Radomir kazał Westenholtzowi i jego pięciuset żołnierzom spierdalać.

Podniosłam się i ruszyłam za Vonvaltem. Chociaż początkowo wyglądało na to, że żołnierze Westenholtza zabili wszystkich, teraz dostrzegłam, że wszędzie wokół nas toczyły się walki. Tych kilku strażników, którym udało się przeżyć, podobnie jak zróżnicowana resztką ochotników, rozpaczliwie starało się powstrzymać napływ żołnierzy Westenholtza do miasta, mimo że sami płacili za to ogromną cenę. Przy każdym zwłokach w liberii margrabiego leżały dwa lub trzy ciała mieszkańców Vale.

Dotarliśmy do końca ulicy, gdzie ku niebu wznosiła się nemańska świątynia. Jakiś zbrojny zamachnął się włócznią na Vonvalta, którą ten przeciął na pół swoim krótkim mieczem. Kluczem w takim ataku, jak mi kiedyś wyjaśnił, było dostać się w pobliże przeciwnika tak szybko, jak to możliwe, by zneutralizować przewagę zasięgu. Teraz patrzyłam, jak Vonvalt stosuje tę technikę, niewprawnie, lecz skutecznie wpadając na mężczyznę i zwalając go z nóg. Wtedy została już tylko stosunkowo prosta sprawa zadawania mu ciosów w pierś i szyję, dopóki nie zmarł. Było to dalekie od doskonałej sztuki fechtunku, jaką u niego widziałam podczas sparringów z Bressingerem. W odniesieniu do walki sir Radomira w klasztorze prawdziwa bitwa wydawała się chaotyczna i niemal amatorska, z mnóstwem nieporęcznych ciosów i bez eleganckich ruchów, w które obfitowały treningi.

Inny rycerz w pobliżu odwrócił się od świeżych zwłok i ruszył na Vonvalta. Krzyknęłam i bez namysłu rzuciłam w niego sztyletem. Z głośnym brzękiem broń uderzyła ręką w jego hełm, dając Vonvaltowi kilka cennych sekund, podczas których zdołał się wyprostować i wbić ostrze tuż przy kroczu mężczyzny, po wewnętrznej stronie uda. Był to bezwzględny cios, po którym rycerz osunął się na kolana. Sekundę później Vonvalt odciął mu głowę.

Vonvalt z mieczem w dłoni zrobił kilka chwiejnych kroków, a jego pierś unosiła się w ciężkim oddechu. Podążyłam za jego wzrokiem i zobaczyłam, że zbrojni Westenholtza zaczęli się przegrupowywać. Brama Veldelin ponownie

była otwarta, a mury obronne pełne zwłok w niebiesko-żółtych barwach Galen's Vale. Sytuacja była beznadziejna.

– To koniec, prawda? – zapytałam, wpatrując się w sięgające szarego nieba płomienie.

Panowała dziwna cisza. Ci mieszkańcy, którzy nie mieli szczęścia i przebywali na ulicy, zostali wyrznięci, podczas gdy pozostali uciekli lub się ukryli. Teraz jedynymi dźwiękami niosącymi się w powietrzu tego wczesnego popołudnia były tętent kopyt, stukot trzewików na bruku i trzask płonących drewnianych domów.

– Tak, tak sędzę – odparł Vonvalt.

Odwróciłam się do niego. Niekoniecznie spodziewałam się przemowy, ale to mnie uderzyło. Powinnam być mądrzejsza. Vonvalt był do cna pozbawionym sentymentu i pragmatycznym człowiekiem.

Naszą jedyną drogę ucieczki, przez miasto, w stronę wschodniej dzielnicy, blokowała teraz pokaźna grupa zbrojnych. Zaspokoiwszy już pierwszą falę żądzy krwi i rozpoznając Vonvalta, nie zrobili żadnego ruchu przeciwko niemu. Zamiast tego zaczęli nas otaczać, czekając na przybycie wyższego rangą oficera.

– Heleno – mruknął Vonvalt. Pochylił się gotowy do walki, zaciskając dłoń na rękojeści miecza. Jego niegdyś biała oficjalna koszula była przesiąknięta krwią. Po czole spływał mu pot, a brwi i broda były wilgotne i zmierzwiłone. – Chyba nie muszę ci mówić, że to nie będzie przyjemne. Zrobią wszystko, by nasza śmierć była tak bolesna i nędzna, jak tylko się da. A jak znam żołnierzy, z przykrością muszę stwierdzić, że zabicie ciebie nie będzie pierwszym, co przyjdzie im do głowy. – Wyprostował się i nieco opuścił miecz. Pustym wzrokiem spojrzał mi w oczy. – Mogę zakończyć to już teraz, jeśli tego chcesz.

Nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Kiedy się odezwałam, miałam wrażenie, że się dławię.

– Chcesz mnie zabić? – zapytałam łamiącym się głosem, jakbym była na skraju szaleństwa.

– To byłaby łaska – odparł Vonvalt spokojnie i z cierpliwością, jakby wyjaśniał mi skomplikowany przepis prawa. – Nic nie poczujesz. Heleno, proszę zrozum, że nic nie złamię mi bardziej serca, ale wolę już zrobić to sam, jednym ciosem. Bo oni zrobią ci niewyobrażalne rzeczy.

Rozejrzałam się, szukając jakiejś możliwości ucieczki, ale oczywiście żadnej nie było.

– Może jeszcze nam się udać – powiedziałam z nadzieją... a nawet rozpaczą. Chodziło o to, że nie chciałam zostać zabita ani przez Vonvalta, ani przez nikogo innego, pomimo oczywistej kryjącej się w jego słowach prawdy.

Naszą uwagę przyciągnęła kolumna uzbrojonych żołnierzy, która ruszyła w naszą stronę. Otaczali drobną osobę, mogącą być jedynie Claverem, chociaż tylko Nema wiedziała, przed kim go chronili.

– Sir Konradzie! – zawołał Claver, gdy rycerze rozstąpili się, by go odsłonić, po czym rozłożył szeroko ręce i zatoczył nimi dookoła. – Spójrz, co twoja nieustępliwość sprowadziła na to miasto. Twoja herezja.

Vonvalt się skrzywił. Ponownie ugiął kolana, przygotowany do ataku, i zacisnął dłoń na rękojeści miecza.

– Nie mam zamiaru wymieniać z tobą bezsensownych żartów, kapłanie – rzucił Vonvalt. – Jeśli zamordowanie mnie jest ostatnim, czego musisz dokonać, by zakończyć tutaj swoje bezbożne sprawy, to do dzieła.

Claver uśmiechnął się kpiąco.

– Mój drogi... eee... Sędzio. Jak kiedyś mi powiedziałeś, ty i tylko ty zdecydujesz o tym, co jest kpiną z praw Sovy, dlatego ja i tylko ja zdecyduję, co jest bezbożne. A to... – wskazał płonące budynki i okaleczone zwłoki – ...to jest dzieło Bogini.

Vonvalt prychnął ze wstrętem.

– Nie wiem, jaką truciznę wlałeś w uszy tych ludzi, by za tobą podążyli, ale nawet ślepiec dostrzegłby w tym rękę Księcia Piekieł. – Końcem miecza wskazał ludzi otaczających Clavera. – No, dalej. Każ swoim ludziom mnie zabić. Nie mogę już dłużej słuchać, jak piszczysz jak jakiś szczur.

Claver się wyprostował. Powoli tracił nad sobą panowanie i to najwyraźniej doprowadziło go do wściekłości. Nawet mając za sobą pół tysiąca żołnierzy, nie potrafił przewyższyć naturalnego autorytetu Vonvalta.

– Dlaczego uważasz, że chcę cię zabić? – zapytał z udawanym rozbawieniem. – Potowarzyszysz nam do Sovy. Trzeba zrobić z ciebie przykład. – Udawał, że myśli przez chwilę. – Być może cię powiesimy, na przykład na Wilczej Bramie.

Vonvalt poruszył się nieznacznie i natychmiast wiedziałam, co się zaraz wydarzy. Zanim zdołałam cokolwiek powiedzieć lub zrobić, Vonvalt rzucił się bezpośrednio na Clavera. Był to beznadziejny ruch, który nie mógł mu przynieść nic, oprócz własnej śmierci. Ale oczywiście o to mu chodziło.

Długo powstrzymywany krzyk miał właśnie wyrwać się z mojego gardła, gdy Vonvalt nagle zamarł w bezruchu. Nie zrobił tego, jakby celowo przerwał swój atak, powoli zwalnając i dopiero stając w miejscu, ani też nie zatrzymał się ze względu na to, że go zabito, jak kogoś, kogo przebito włócznią. Po prostu... zatrzymał się w pół kroku, jakby unieruchomiła go jakaś gigantyczna niewidzialna dłoń.

Zgromadzeni żołnierze westchnęli. Zamrugałam i przetałam oczy. Miałam wrażenie, jakby cały świat i czas się zatrzymały, ale w sposób, który koncentrował się tylko wokół Vonvalta. Rozejrzałam się gorączkowo, usiłując zrozumieć, co się stało, aż w końcu dostrzegłam malujący się na twarzy Clavera wyraz intensywnej koncentracji. Żyły na jego czole nabrzmiały a jego całe ciało drżało, jakby dźwigał jakiś ogromny ciężar.

Vonvalt został unieruchomiony, podobnie jak August na miejskich murach. On również lekko drżał i widziałam, że całe ciało miał naprężone, jakby każdy jego mięsień napinał się do granic możliwości. Jedyne oczy wydawały się wolne od zakłęcia. Wywróciły się w jego czaszce niczym kulki z marmuru i po raz pierwszy od dawna zobaczyłam w nich panikę.

– Sir Konradzie – wykrztusiłam, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Wtedy stało się coś niemożliwego: Vonvalt zaczął unosić się w powietrzu. Dookoła rozległo się kolejne westchnienie, a zbroje, miecze i tarcze zabręczały, gdy żołnierze się cofnęli. Ich twarze zastygły w wyrazie niedowierzania i alarmu. W powietrzu rozniósł się odgłos dziwnego pulsowania, jakby gdzieś daleko zatrzęsała się ziemia. Poczułam w ustach krew. Claver emanował nadprzyrodzoną energią, która wypływała z niego niczym macki niewidzialnej ciemności. Szepty rozbrzmiały w moich uszach, podobne do bzyczenia owadów.

– Nawet nie jesteś... w stanie sobie... wyobrazić... grozy, która cię czeka – wydyszał Claver.

Jego oczy stały się białe i trząsł się, jakby miał udar. Każda żyła w jego ciele nabrzmiała, jakby układ krwionośny chciał uwolnić się spod skóry. Co takiego ludzie Westenholtza uwolnili? Jakie mroczne moce oswobodzili?

Wokół zapadła całkowita cisza. Wiedziałam, że Zakon Magistratu posiadał liczne księgi z magią zakłątą między kartami, które trzymano pod kluczem w Bibliotece Prawa w Sovie, ale zdolność kontrolowania kogoś jedynie siłą umysłu... to czyniło z Clavera najniebezpieczniejszego człowieka na świecie. Jeśli istniały jakiegokolwiek wątpliwości, czy trzeba go powstrzymać, teraz zniknęły. Na zawsze.

Nagle wszyscy drgnęli na dźwięk wojennego rogu, który przebił się przez nasz szok niczym sztylet przez płuca.

Baron Hangmar w końcu przybył.

XXVIII

W ślad za lady Bauer

„Mądrość jest podobna do wartości ziem na północy Haunersheimu: nigdy nie jest doceniana”.

Hrabia Bren van Der Larr

Wiadomość poniosła się w późnopołudniowym powietrzu, jak ryk ogromnej bestii. Żołnierze i rycerze odwrócili się gwałtownie. Claver, już i tak przeciążony, wyglądał, jakby z ulgą rozluźnił swój morderczy uścisk, i Vonvalt upadł na bruk niczym przeciwwaga katapulty.

Pełną przerażenia ciszę zastąpił charakterystyczny odgłos końskich kopyt uderzających w ziemię, który zaraz zmienił się w tętent niosący się po bruku. Wtedy w powietrzu rozległo się więcej dźwięków – dzikie rżenie rannych koni, krzyki ranionych żołnierzy, dzwonienie stali o stal. Z naszego miejsca nie widzieliśmy, co się działo, lecz po dźwiękach byliśmy w stanie się tego domyślić.

Otoczający mnie żołnierze ruszyli w głąb ulicy. Pomimo faktu, że Claver był po ich stronie, wyraźnie woleli rzucić się w wir walki niż spędzić jeszcze choć chwilę w jego obecności. W zaledwie kilka sekund kapłan został porzucony, wyczerpany i zdumiony. Jego sytuacja nie mogła się bardziej zmienić.

Podbiegłam do Vonvalta i kucnęłam przy jego boku. Ku mojej natychmiastowej uldze zobaczyłam, że nic mu nie jest. Był wyraźnie wyczerpany, jednak nie miałam pojęcia, czy był to wynik wcześniejszej walki, czy unieruchomienia. Odsunęłam mu wilgotne włosy z brwi i przytuliłam do siebie jego głowę, gdy powoli powracał do świadomości. Moje serce wypełniła dziwna mieszanina emocji. Dopiero co byłam wstrząśnięta jego czynami i porzuceniem etyki osobistej. Teraz, widząc rzeczywistą groźbę jego śmierci, poczułam zimny, instynktowny strach. Nie był to tylko strach, że ponownie

zostanę sama, jak w Muldau... moje uczucia do tego mężczyzny były głębsze, chociaż nie był to czas, ani miejsce, by badać ich pełną naturę.

– Sir Konradzie? – zapytałam, gdy otworzył oczy. – Nic panu nie jest?

– Kadlec – powiedział Vonvalt. Przez chwilę myślałam, że gdzieś go zobaczyłam; nawet rozejrzałam się, jakby Mistrz Zakonu Magistratu pojawił się w oparach gęstniejącego na ulicach dymu.

Zdezorientowana ściągnęłam brwi.

– Co?

– Kadlec – powtórzył Vonvalt. Usiadł z wysiłkiem i sięgnął po miecz, który upuścił. – Kadlec przekazał im dawną wiedzę. Kodeksy z Krypty Mistrza. – Miecz zazgrzytał o bruk, kiedy Vonvalt się podniósł. – Od stuleci nikt nie dotykał tych ksiąg... i to z jasnego powodu.

Cofnęłam się o krok, gdy Vonvalt ruszył w kierunku Clavera, lecz robił to powoli, jak ktoś, kto dopiero odzyskał władzę w nogach. Claver pisnął i próbował się odsunąć, jednak sprawiał wrażenie, jakby wzrok Vonvalta go unieruchomił. Tym razem jednak nie działała tutaj żadna magia... tylko moc furii Sędziego.

– Bartholomew Claverze – warknął Vonvalt. – Zaatakowałeś cesarskiego Sędziego. Dopuściłeś się aktu zdrady.

Moją uwagę przyciągnęło nagle zamieszanie w głębi ulicy. Grupa pieszych rycerzy musiała oderwać się od wrogich oddziałów przy Bramie Veldelin i teraz śpieszyła w naszą stronę. Od razu rozpoznałam mężczyznę na ich czele: była to charakterystyczna postać Waldemara Westenholtza w jego czarnej zbroi. Nie wyglądał już tak imponująco, jak na wierzchowcu przed miejskimi murami. Teraz jego granatowa oponcza była zbryzgana krwią i błotem, a na zbroi widniały wgniecenia i głębokie rysy.

Nie wiem, czy Vonvalt widział Westenholtza i jego ludzi, czy ich po prostu ignorował, czy może był tak bardzo pochłonięty własną wściekłością, że ich nie zauważył, gdyż wciąż zbliżał się do Clavera.

– W imieniu Jego Najwspanialszej Wysokości cesarza Kzosica IV, ja, jego Sędzia sir Konrad Vonvalt, uznaję cię za winnego...

– Sir Konradzie! – zawołał Westenholtz, podnosząc przyłbicę hełmu. Odwrócił się do swoich ludzi i coś powiedział, na co wszyscy rzucili się w naszą stronę.

Vonvalt był już niemal przy Claverze, jednak niemożliwe było ocenić, kto dotrze do kapłana pierwszy. Kusilo mnie, by wyrwać krótki miecz z rąk Vonvalta i samej dokończyć dzieła, ale, jak zdążyłam się już nauczyć, narażanie się na niebezpieczeństwo wymagało ogromnej odwagi.

Vonvalt dotarł do Clavera i uniósł miecz.

– ...i skazuję cię na śmierć.

Claver wrzasnął, gdy ostrze opadło ku jego twarzy. Ja również krzyknęłam, gdyż w tej chwili dotarli do nich żołnierze Westenholtza. Przez chwilę wyglądało na to, że Vonvalt zamierza zabić Clavera, i w ten sposób samemu również stracić głowę... Wtedy jednak poczułam podmuch na plecach i galopem minęła mnie ciężka kawaleria, zasłaniając mi widok na nich dwóch.

Oszołomiona cofnęłam się chwiejnie. Natychmiast rozpoznałam herb łuskowca na szerokiej, granatowej tarczy senatora Jansena. Jeden z jadących obok niego rycerzy miał zarzucone niczym pelerynę futro z dwugłowego wilka, w którym każdą z głów, po usunięciu dolnej szczęki, przymocowano do jego hełmu. Zamiast lancy trzymał w ręku standardową tarczę z głową czerwonego byka na białym tle, niemal dwukrotnie większą od godła barona Hangmara.

Z pełną mocą wjechali w Westenholtza i jego ludzi. Nie była to żadna tajemna magia pochodząca ze starych ksiąg czy gwiazdnych tabel, lecz czysta siła – surowa, potężna i brutalna. Jej pokaz był zniewalający. Miałam wrażenie, że znalazłam się w samym środku burzy, jakby eksplodował we mnie grzmot, napełniając moją krew energią tak, jak żaden napar medyków. Przepelniona podekscytowaniem poczułam nagłą ochotę, by wybuchnąć śmiechem.

Patrzyłam, jak czyjaś włócznia wbiła się w głowę jednego z rycerzy Westenholtza, niczym strzała w jabłko, gładko odrywając ją od tułowia. Inny został trafiony lancą w pierś, a ostrze wystrzeliło z jego pleców, wyrывая, jak się zdawało, kilka kilogramów trzewi. Trzeci został rozcięty od ramienia aż po pępek kawaleryjską szablą, a krew trysnęła na bruk za jego plecami, jak woda z wywróconego wiadra. Mężczyzna zrobił trzy chwiejne kroki, po czym zwałił się ciężko na ziemię.

Sam Westenholtz został powalony na bruk przez jednego z gigantycznych wierzchowców. Rycerzy wokół niego zrzucano w podobny sposób. Powietrze przepełniały odgłosy gnącej się stali, łamanych kości i okropny chlupot rozerwanych wnętrzości. Wyciągnęłam szyję, rozpaczliwie starając się dostrzec, czy Vonvalt przeżył ten szturm, i czując przerażenie na myśl, że rycerze na koniach pomylili go z wrogiem i poćwiartowali. I rzeczywiście, kiedy kawaleria ruszyła dalej, niepowstrzymana niczym fala przyływu, i zaatakowała tylną straż wroga, zobaczyłam Vonvalta. Leżał twarzą w dół, cały pokryty krwią, a obok niego stał Claver, oszołomiony, lecz cały i zdrow.

– Nie! – krzyknęłam i ruszyłam do przodu.

Nagle zatrzymałam się tak gwałtownie, że niemal się przewróciłam. Z bocznej uliczki wyszła niewielka grupa żołnierzy, którzy – nie zaspokoiwszy żądzy krwi, jak i innych żądz – natychmiast ruszyli w moim kierunku.

– Hej, dziewczyno! – rzucił do mnie jeden z nich.

Po części ucieszyłam się, że to zrobił, gdyż jego głos wyrwał mnie z pełnego przerażenia bezruchu.

Teraz przyszedł czas na ucieczkę. Ostatni raz obrzuciłam spojrzeniem leżącego na ziemi Vonvalta, po czym, przepelniona głębokim poczuciem winy, odwróciłam się i uciekłam. Zatrzymałam się tylko po to, by podnieść leżący na ulicy przed świątynią krótki miecz, chociaż nie miałam pojęcia, co mogłabym dzięki niemu osiągnąć.

Pognałam ulicami miasta, kierując się ku wschodniej dzielnicy. W oknach domów widziałam ludzi krzyczących na żołnierzy, by się zatrzymali, a nawet posuwających się do obrzucania ich jakimiś przedmiotami – jedzeniem, garnkami, czy kawałkami drewna przeznaczonymi do palenia w kominku. Te improwizowane pociski rozbijały się na ulicy, lecz jedynym efektem, jaki wywołały, była lekka irytacja. Pamiętam, że ogarnął mnie gniew, dlaczego ci ludzie nie zrobią czegoś więcej, by mi pomóc, ale tak naprawdę, co niby mogli zrobić? Zawsze łatwo jest potępić ludzką bierność w takich sytuacjach, nie zdając sobie sprawy, że nic by nie działali przeciwko uzbrojonej armii.

Biorąc pod uwagę, że żołnierze mieli na sobie zbroje, byli ode mnie zdecydowanie wolniejsi, a pogoń za mną była dla nich znacznie bardziej męcząca, oczywiście powinnam uskoczyć w jakąś boczną uliczkę i się ukryć, lub wykorzystać swoją znajomość miasta, by gonili własny ogon. Jednakże, podobnie jak w przypadku naszego niedoszłego zabójcy sprzed wielu tygodni, uświadomiłam sobie, że moja paniczna ucieczka była pozbawiona sensu. Patrząc na mapę Galen's Vale, można by wyznaczyć jej trasę w mniej więcej prostej linii, a biegnąc przed siebie, zmarnowałam wszelką przewagę szybkości, jaką miałam. Z perspektywy czasu było to naprawdę głupie, ale nie myślałam wtedy jasno.

Nie minęło dużo czasu, a zaczęłam biec po grubej warstwie mułu w pobliżu rzeki Gale, na północnym krańcu dzielnicy. Podczas gdy wcześniej był on zamarznięty i tylko miejscami miękki, teraz, gdy zbliżała się wiosna, błoto było niczym ciasto, przez co nogi zapadały mi się aż po łydki. Tej części wschodniej dzielnicy nie dosięgnęła walka i gdyby kościelne dzwony, bijące w tonie absolutnej paniki, nie wyгнаły wszystkich do domów, można by pomyśleć, że to kolejny zwyczajny dzień.

Dotarłam do brzegu Gale i się odwróciłam. Oddech rzeźił mi w gardle, a miecz bezwładnie zwisał w ręku. Żołnierze nadal się do mnie zbliżali. Było ich teraz tylko dwóch, chociaż nawet jeden miałby nade mną ogromną przewagę. Bressinger i Vonvalt nauczyli mnie podstaw walki mieczem, a sparringi stanowiły często lekceważoną część mojego sylabusu, lecz równie dobrze

mogłam być dzieckiem z zabawką w ręku, stojącym naprzeciwko weterana Wojny Imperialnej.

Wyczerpana, przerażona i bez żadnej nadziei na ucieczkę przez śmierdzące i kleiste błoto, drżącymi dłońmi uniosłam swój krótki miecz. Nagle pożałowałam, że nie skorzystałam z oferty Vonvalta, jaką była szybka śmierć. Nie miałam wątpliwości, co mnie czeka. Ci mężczyźni nie ścigali mnie tylko po to, by mnie zabić.

Powoli, niczym lód nad płomieniem świecy, mój strach ustąpił wściekłości. Przez dziewiętnaście lat życia przeżyłam naprawdę wiele, tylko po to, by haniebnie umrzeć z rąk morderców i gwałcicieli. Co więcej, to nie wydawało się właściwe. Nie w sensie tego, że coś jest dobre lub złe – ci mężczyźni wyraźnie zamierzali popełnić serię potwornych zbrodni. Jednakże Sędzia August powiedziała, że zostałam wpłątana w wielkie, zmieniające świat wydarzenia. Mój duch, jakkolwiek formę przybrał, został porwany przez wielki nurt historii. Poćwiartowanie w błocie nie do końca pasowało do tej teorii.

Ta myśl mnie wzmocniła. Nie miałam pojęcia jak, ale wiedziałam, że przeżyję... czułam to. A jeśli nawet nie, z pewnością pokażę, na co mnie stać. Odłożyłam na bok Helenę cesarską asystentkę i przywołałam inną Helenę – pozbawioną skrupułów sierotę z Muldau. Ci mężczyźni pożałują, że mnie ścigali. Postanowiłam zaatakować ich z taką zaciekłością, na jaką tylko było mnie stać.

– Chodź, dziewczyno – powiedział jeden, stojący bliżej mnie. Miał akcent i rysy mieszkańca Wschodnich Ziem Haunersheimu, na granicy rzeki Kovy. W skrócie: był brzydki i głupi, i nagle z ogromnym wstrętem dotarło do mnie, że ktoś taki mógłby mnie zabić. – Rzuć miecz.

– Pierdol się – odparłam bez tchu.

Za plecami słyszałam bulgoczącą rzekę, której wody miarowo uderzały w błotnisty brzeg. Obejrzałam się, zastanawiając, czy nie miałabym większych szans w wodzie niż człowiek, który próbował zabić nas, podrzucając żmije.

– Zamarzniesz – odezwał się drugi żołnierz.

– Wolę zamarznąć niż pozwolić, by któryś z was mnie tknął – rzuciłam.

– Ugh – powiedział pierwszy z nich. – Niech mnie szlag, nienawidzę Toli. Twój głos brzmi jak odgłos paznokci przesuwanych po szkle. Myślę, że wytnę ci język, żeby nie musieć cię słuchać przez kolejne kilka godzin.

Przynajmniej chcieli pojmać mnie żywcem, co dawało mi niewielką przewagę. Będą chcieli mnie rozbroić, co oznaczało, że rzucą się najpierw na mój miecz, nie na moje ciało.

– A ja myślę, że odetnę ci fiuta... jeśli gdzieś go znajdę – rzuciłam.

Opuściłam miecz tak, by końcem ostrza wskazać jego krocze, chociaż uważałam, by trzymać broń niewprawnie, jakby ciążyła mi w rękę. Jeśli stwierdzi, że może bez problem mnie rozbroić, jego atak będzie powolny, co mogłabym wykorzystać. Prawdopodobnie będzie to jedyna okazja, bym cokolwiek zrobiła.

– Pyskata z ciebie dziwka – powiedział. – To sprawi mi ogromną przyjemność.

Pierwszy z mężczyzn rzucił się na mnie. Tak jak przewidziałam, najpierw chciał wytrącić mi miecz potężnym ciosem z prawej. Zamiast pozwolić zderzyć się naszym ostrzom, opuściłam nieco swoje, przez co jego miecz przeciął powietrze. Była to drobna sztuczka, lecz napastnik mruknął z zaskoczeniem i poślizgnął się na błocie.

Nie oczekiwałam tego, ale nie zamierzałam przegapić takiej okazji. Mężczyzna miał na sobie zbroję, lecz odsłonił szyję i teraz z całej siły wbiłam w nią miecz. Zaskoczyło mnie i napełniło odrazą, jak głęboko weszło ostrze. Musiało dosięgnąć kręgow, gdyż poczułam, że zatrzymało się na czymś twardym. Mężczyzna wytrzeszczył oczy i nagle mocno poczerwieniał na twarzy. Gdy wyszarpnęłam miecz, kurczowo przycisnął dłonie do rany i zaczął wydawać okropne charczące dźwięki, gdy krew bulgotała mu w tchawicy.

Drugi z mężczyzn wrzasnął. Oczywiście łatwo było zakładać, że obaj byli pozbawionymi dusz automatami i zasługiwali jedynie na śmierć i nienawiść, lecz tak samo jak ja odczuwali emocje i zapewne byli bliskimi przyjaciółmi. To sprawiło, że stał się zuchwały. Rzucił się na mnie, tym razem z łatwością wytrącając mi z ręki miecz, po czym powalił mnie na ziemię tuż przy brzegu Gale.

Moja głowa znalazła się tak nisko, że włosy miałam zanurzone w wodzie, zaś reszta ciała leżała na brzegu. Czułam, jak zimna woda przenika przez moje ubranie. Żołnierz przygniótł mnie swoim odzianym w zbroję ciałem, boleśnie wbijając nogi w moje uda, i uniósł pięści.

– Kurwa, złaż ze mnie! – wrzasnęłam, wierzgając pod nim.

Błoto w tym miejscu, już i tak wyjątkowo zdradzieckie, pokrywała warstwa brudów z rzeki, przez co było jeszcze bardziej tłuste i dzięki moim gwałtownym ruchom byłam w stanie częściowo się spod niego wysunąć. Niestety znaczyło to, że ześlizgnęłam się głębiej do wody i musiałam unieść głowę, by fale nie zalewały mi twarzy.

Żołnierz chwycił mnie za suknię i przyciągnął szarpnięciem, po czym uderzył mnie pięścią w nos. W mojej twarzy i karku eksplodował ból, gdy od siły uderzenia głowa odskoczyła mi do tyłu. Tym razem wpadłam do Gale, rozpaczliwie chwytając się błota na wysokości mojej talii.

Nic to nie dało. W jednej chwili zrozumiałam, o czym Bressinger mówił wiele tygodni temu. Chociaż zbliżała się już wiosna, wody rzeki były nadal przeraźliwie zimne. Chłód natychmiast wycisnął powietrze z moich płuc. Potrafiłam pływać, ale byłam wyczerpana i wątpiałam, bym w ciężkiej sukni zdołała utrzymać się na powierzchni wody dłużej niż pół minuty. To dziwne zrządzenie losu, że śmierć, która sprowadziła nas do Galen's Vale – śmierć lady Bauer – była taka sama jak ta, której zaraz miałam doświadczyć. Było to niemal poetyckie, niczym para podpórek przeklętej powieści.

Mój uchwyt zaczynał słabnąć. Palce były niczym sople, gdy wbijałam je w błoto, rozpaczliwie szukając jakiegoś oparcia, lecz jedynym, co robiłam, było wrzucanie do wody garści mulistej ziemi. Już czułam porywające mnie, zdradzieckie prądy. Efekt był przerażający – tak przerażający, że porzuciłam zdrowy rozsądek i próbowałam przekonać mojego zabójcę, by mi pomógł.

– Proszę! – zawołałam chrapliwie.

– Zamknij się – warknął mężczyzna i kopnięciem zepchnął mnie głębiej do wody.

Ponownie próbowałam wydostać się z rzeki, lecz siły opuszczały mnie mniej więcej tak samo szybko, jak Gale wypływała z miasta. Żołnierz sprawiał wrażenie zadowolonego, po prostu patrząc, jak powoli osuwam się w głębinę, na co ogarnęła mnie ogromna nienawiść. Wtedy przypomniałam sobie, co Vonvalt powiedział o ludziach umierających w przypiływie negatywnych emocji i przyciąganiu drapieżnych istot w zaświatach, i przepełnił mnie strach tak potężny, że zaczęłam błagać żołnierza, by mnie ocalił. W tej chwili zrozumiałam, że każde życie było lepsze od śmierci, która mnie właśnie czekała.

– Błagam – powiedziałam. – Zrobię, co zechcesz. Tylko, proszę, nie pozwól mi umrzeć w ten sposób.

– Dziewczyno, niczego na świecie nie pragnę bardziej, jak patrzeć na ciebie, gdy toniesz – odparł.

To były jego ostatnie słowa. Długi, wąski miecz wbił się nagle głęboko w bok jego szyi i żołnierz bezwładnie osunął się na ziemię. Powoli, niemal spokojnie jego ciało ześlizgnęło się do wody i zatoneło niczym kamień.

– Tam toczy się bitwa, a ty tu sobie pływasz – powiedział Bressinger. Ktoś opatrzył jego rany – a przynajmniej o nie zadbał – ale i tak wyglądał jak ożywione zwłoki. Podał mi rękę i bezceremonialnie wyciągnął mnie na brzeg. Potem usiadł ciężko i przez kilka chwil łąpał oddech. – Powiedziałem, że nie pozwolę, by cokolwiek ci się stało.

– Pozwoliłeś, żeby kilka rzeczy mi się stało.

Zrobił bardzo grozodańską minę, jednocześnie opuszczając kąciki ust i unosząc brwi, jakby po części był obojętny, a po części przyznawał się do winy.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu, gdy dźwięki bitwy milkły w oddali. Wkrótce potem bicie dzwonów również ucichło. Nie po raz pierwszy w mieście zaległa dziwna cisza. Woń spalonych budynków i chorobliwy, słodkawy smród palonych zwłok unosiły się na lekkim wietrze.

– Czyli jednak nie jesteś martwy – powiedziałam, nie odrywając wzroku od rzeki.

– Jeszcze nie – odparł.

Zaczęłam drżeć, gdy cały horror i emocje dnia zbladły, i uświadomiłam sobie, że przeżyłam. Ogarnęła mnie mieszanina smutku i uniesienia, i nagle poczułam ochotę, by wybuchnąć płaczem i śmiechem jednocześnie.

– Zamarzniesz – zauważył Bressinger, patrząc na moją przemoczoną, pokrytą błotem postać. – Lepiej zaprowadźmy cię do ognia. Nema wie, że go tu nie brakuje.

Wstaliśmy z trudem i ruszyliśmy po śliskim zboczu. Wspinając się, używaliśmy rąk i nóg, jak małpy. Gdy weszliśmy na górę, zaczęłam wymiotować, a Bressinger robił, co mógł, by trzymać moje włosy – te, które przetrwały zabiegi doktora Maquerinka – z dala od moich ust. Chociaż jego ruchy były szorstkie, to była jego próba okazania czułości.

– Nie czuję się dobrze – powiedziałam, jakby to nie było oczywiste. – Nie mogę przestać się trząść.

Bressinger mruknął.

– To minie – powiedział. – Pierwszy raz poczułaś smak bitwy. – Kiwnął głową w stronę żołnierza, który zaatakował mnie jako pierwszy. – Sądząc po jego wyglądzie, wyjątkowo dobrze się spisałaś. Sir Konrad będzie dumny.

– On żyje? – zapytałam, z niemałymi wyrzutami sumienia uświadamiając sobie, że kompletnie o nim zapomniałam.

– Z tego, co widziałem – powiedział Bressinger. – Chodź. Nie mam już w ciele krwi, która by mnie ogrzała.

– Ale za to masz mniej ciała do ogrzania – rzuciłam.

Bressinger parsknął śmiechem i szturchnął mnie.

– Niezła jesteś. Cieszę się, że przeżyłaś.

Po tych słowach ruszyliśmy z mozołem przez błoto, gdy popołudnie przeszło w wieczór, a dzień zaczął nikać.

XXIX

Rachunek rzeźnika

„Władza robi dziwne rzeczy z umysłem człowieka. Uwalnia jego najniższe instynkty, które proces cywilizacji niegdyś zdusił. Ludziom u władzy bliżej do dzikiej bestii niż rzekomych ludzkich podwładnych”.

Sir William Szczery

– Powiedz mi, jak to zrobił.

Westenholtz podniósł wzrok. Pozbawiony swojej kosztownej zbroi, wynędzniały po kilku dniach bez jedzenia i z ponurym wyrazem kogoś, kogo powoli dobijał ciężar wyroku śmierci, ani trochę nie przypominał człowieka, który przyjął nas w Strażnicy Morskiej.

Przelotnie spojrział na Vonvalta i na mnie. Miałam wrażenie, że aptekarz zdołał wyciągnąć czystą esencję pogardy, którą następnie napełnił siedzącego przed nami człowieka. Zamrugął powoli, po czym odwrócił do wysoko umieszczonego w ścianie okna. Jedyne, co widział, to czyste błękitne niebo, lecz wpatrywał się w nie, jakby był to najbardziej fascynujący widok w całym Imperium.

– Powiedz mi, jak to zrobił – powtórzył Vonvalt.

Nie było śladu po gromkim pogłosie Głosu Cesarza ani nieustannego potoku gniewnych pytań, jakie mogliby zadawać śledczy sir Radomira. Po prostu zadawał w kółko jedno i to samo pytanie.

Westenholtz cały czas nas ignorował. Na początku roześmiał się z niedowierzaniem; potem prychnął. Następnie, kiedy opuściła go energia, po prostu się odwrócił. Nietrudno było się domyślić, co czuł. Takie położenie ukorzyłoby każdego szlachcica, a co dopiero takiego, który rościł sobie prawa do cesarskiego tronu. Żeby jeszcze posypać sól na rany, ojciec Vonvalta przejął Pogórze. Westenholtz był czystej krwi Sovaninem. Pogarda, jaką margrabia czuł

do Vonvalta, miała korzenie w uprzedzeniach, a taka zmiana pomyślności przepełniła go tak ogromną niechęcią, że zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek fizycznie zmusi się do mówienia.

Te bezowocne sesje przesłuchań były jedynym czasem, kiedy widywałam Vonvalta w dniach bezpośrednio po bitwie. Kiedy rytuał dobiegał końca, Vonvalt wracał do krypt w podziemiach sądu i spędzał tam cały dzień, pochylając się nad każdą starą księgą, jaką tylko udało mu się znaleźć, i starając się zrozumieć nowo odkryte moce Clavera. Umiejętność zatrzymania i uniesienia w powietrze człowieka za pomocą wyłącznie słów lub myśli nie należała do typowych darów Zakonu – ale, oczywiście, skądś pochodziła. Jednakże, jakkolwiek dobrze wyposażone były sądowe krypty, jasne było, że odpowiedzi może mu dać tylko Biblioteka Prawa w Sovie.

Nie mam wątpliwości, że Vonvalt był pochłonięty swoim dążeniem do wiedzy, jednak również odnosił korzyść, schodząc z oczu ludziom w Galen's Vale. Być może – co zrozumiałe, chociaż nieco mylnie pojęte – odwrócili się od niego, widząc w nim jednego z autorów swojej obecnej niedoli. Myślę też, że potrzebował jakiegoś miejsca na osobności, w którym mógłby opłakiwać Sędziego August. Przy tych rzadkich okazjach, kiedy się pojawiał, jego zaczerwienione oczy i blada cera wskazywały, że przynajmniej część spędzonego w odosobnieniu czasu poświęcał żałobie.

Okrutną ironią było oczywiście to, że Resi August nie była martwa... przynajmniej nie w fizycznym sensie. Przewieźliśmy ją do hospicjum w klasztorze Galen's Vale – cichego, spokojnego i dobrze wyposażonego ośrodka – pod opiekę zakonnic. Myślę, że powodem, dla którego pozostaliśmy w Vale tak długo, była chęć upewnienia się Vonvalta, że nie przegapi on jej cudownego ozdrowienia. Niestety, pomimo wysiłków najlepszych lekarzy Haunersheimu, nigdy nie odzyskała nawet cienia świadomości. Później dowiedziałam się, że jej ciało umarło jakieś dziesięć lat później, równie puste i bez życia jak w dniu, w którym Westenholz ukradł jej umysł. Trudno jest przecenić, jaki to miało wpływ na Vonvalta. Po tym nigdy już nie był tym samym człowiekiem.

Bressinger również przeżył – chociaż ledwie – dzięki dobrej opiece doktora Maquerinka i najlepszych chirurgów wśród golibrodów. Jego „odramiennienie”, jak lubił to później nazywać, w jakiś sposób wpłynęło na jego charakter; w rezultacie był bardziej posępny i porywczy, chociaż na szczęście jego grozodański styl walki wymagał tylko prawej ręki. Chirurdzy poinformowali nas, że czas rekonwalescencji będzie zależał od uzupełnienia krwi, którą stracił, co potrwało kilka tygodni. Większość tego czasu spędził na pijaństwie.

Strażnicy, którzy zginęli – dwie trzecie miejskich sił w bitwie i kolejni, którzy poddali się ranom i zakażeniom – zostali pochowani w masowym grobie. Lord Sauter i sir Radomir poprowadzili rytuał pogrzebowy. Było to wydarzenie pełne pasji i emocji, co nie dziwi, biorąc pod uwagę ogrom gniewu, jakim pałali mieszkańcy miasta. Pamiętam, jak stałam tam na zimnym wietrze, starając się bez skutku pojąć, co się stało i dlaczego sprawy tak szybko stanęły na ostrzu noża. Normalnie w takim przypadku polegałabym na niezłomności Vonvalta, lecz ta zniknęła, a jego umysł był zupełnie gdzie indziej. Ten brak przywództwa przeraził mnie do cna i sprawił, że proces godzenia się ze „śmiercią” August i napaść na Vale stały się trudne.

Oczywiście konsekwencje napaści Westenholta na Galen's Vale nie zostały powierzone garstce członków wędrownego sądu Vonvalta i sześćdziesięciu strażnikom miejskim. Po obnażeniu czynów margrabiego, tryby w cesarskiej machinie zaczęły się kręcić i miały nie przestawać przez wiele lat, całkowicie zmieniając znany nam świat. Wieści o ataku na Vale szybko rozniosły się po Haunersheimie i sąsiadujących prowincjach, a te, które wracały z domokrążcami i kupcami, zwodniczo niejasne i pełne strachu, mówiły, że coś większego dzieje się w Sovie: w Senacie toczy się dyskusja o władzy, problemach w Konfederacji Kovy na wschodzie i o poganach na Granicy, o potężnych lordach rozmieszczających swoje wojska i o odłamach, które już zaczynają być widoczne w powstającym Imperium Wilka.

Jednakże o tym wspomnę w swoim czasie.

* * *

Wyszliśmy z celi Westenholta i wróciliśmy na ulicę. Tak jak się spodziewałam, Vonvalt odwrócił się, by ruszyć w stronę sądu, lecz tym razem ktoś nas zatrzymał.

– Milordzie Sędzio.

Oboje podnieśliśmy wzrok. Przed nami stał senator Tymoteusz Jansen. Podobnie jak Vonvalt, prezentował się bardzo okazale w swoim cesarskim stroju... chociaż to akurat nie było trudne, biorąc pod uwagę, że ogromna część budynków za jego plecami była spalona. Nie widziałam go od bitwy, chociaż wyglądał na całego i zdrowego. Ucieszyło mnie to, bo pomimo jego nieco kpiącego sposobu bycia wyczułam w nim przyzwoitego i odważnego człowieka. Łatwo było szanować polityka, który potrafił narażać się na niebezpieczeństwo.

– Senatorze – odpowiedział Vonvalt, najwyraźniej potrafiąc zdobyć się na uprzejmość pomimo złego humoru.

Jansen ruszył w naszą stronę, wskazując więzienie.

– Powiedział cokolwiek?

– Jeszcze nie.

Jansen skinął głową. Podszedł do nas i położył rękę na ramieniu Vonvalta. W jego oczach dostrzegłam współczucie.

– Niedługo mamy spotkanie... cóż, kolejne. Ja, lord Hangmar i burmistrz. Wiem, że byłeś zajęty, zgłębiając tę... okultystyczną sprawę, ale czy rozważyłbyś dołączenie do nas? Nie zabierzemy ci zbyt dużo czasu.

Vonvalt skinął głową. Widziałam, że nie podobał mu się dotyk ręki senatora.

– Dobrze.

– W południe, w rezydencji burmistrza. Rozumiem, że tam się zatrzymaliście, chociaż trudno w to uwierzyć, zważywszy na ilość czasu, jaką spędzasz w sądowych kryptach.

– Ktoś musi się dowiedzieć, jak dokładnie Claver uzyskał taką moc – odparł Vonvalt. – Mam do tego najlepsze predyspozycje.

Jansen spojrział na niego z wyrzutem.

– Daj spokój, Sędzio. W tej grze chodzi o coś więcej niż magiczne intrygi jednego nemańskiego kapłana. Myślisz, że reszta z nas tylko beczynnienie siedzi?

– Nie, tego nie powiedziałem – odparł Vonvalt. Wyprostował się nieco, gdyż do tej pory lekko się garbił... choć nie do końca z powodu ponurego nastroju. Łatwo było zapomnieć, że podczas bitwy został mocno poturbowany. Westchnął.

– Wybacz mi, nie jestem teraz sobą.

Jansen zbył go machnięciem.

– Nie ma czego wybaczać. Wcale bym cię nie kłopotał, gdyby to nie było ważne.

– Zmierzasz tam teraz? – zapytał Vonvalt. – Zdaje się, że niedługo będzie południe.

– Tak. Pójdziemy razem?

Ruszyliśmy w stronę domu burmistrza.

– Słyszałem, że twoja asystentka zabiła jednego z łajdaków Westenholta – powiedział Jansen, zagajając rozmowę. – Co to było, panienko? Miecz wbity w szyję?

Poczułam dziwną mieszaninę emocji. Zabicie mężczyzny na brzegu Gale, chociaż całkowicie usprawiedliwione, wzbudziło we mnie wstręt i przerażenie. Nadal miałam przed oczami jego zszokowaną i pełną desperacji twarz, i czułam tarcie ostrza o kość, gdy miecz drgał w mojej dłoni niczym trącony widelec. Z drugiej strony czułam się twardsza i bardziej wytrzymała, bliższa dziewczynie, którą byłam w Muldau, niż młodej kobiecie, którą się stałam podczas służby u Vonvalta. Wiedza o tym, że jestem w stanie zabić kogoś w obronie własnej,

szczególnie po wahaniu w podziemiach klasztoru, gdy celowałam w Vogta włócznią strażnika, była dziwnie pocieszająca.

– Tak – powiedziałam w końcu, nie mogąc znaleźć lepszej odpowiedzi.

Rozkoszowanie się pochwałą senatora było wulgarne; zignorowanie komplementu – niegrzeczne.

– Musisz być dumny ze swojej uczennicy – zwrócił się Jansen do Vonvalta. – Wyobrażam sobie, że nie każdy ma na tyle mocny żołądek, by znieść brutalną stronę tej profesji.

– Rzeczywiście – odparł krótko Vonvalt.

Spojrzałam na niego, lecz unikał mojego wzroku. Nie wiem, jakiej odpowiedzi się po nim spodziewałam. Biorąc pod uwagę, że władanie mieczem wchodziło w zakres mojej nauki, a on i Bressinger często prowadzili ze mną treningi – chociaż bardziej chodziło im pewnie o utrzymanie własnej biegłości niż o mnie – pomyślałabym, że chętnie przyjmie pochwałę za swój wkład. Pomijając wszystko inne, powinien być dumny, że zdołałam się obronić. Nema wie, jak bardzo mu ulżyło, gdy zobaczył, że żyję.

Patrząc z perspektywy czasu, wydaje mi się, że był rozczarowany, że musiałam posunąć się aż do tego, by w ogóle przeżyć, i było mu wstyd, że zaproponował mi, że mnie zabije... choć szybko i z litości. Jednak wtedy bardzo rozczarował mnie brak jego uznania.

Jansen również był zaskoczony.

– Z doświadczenia wiem, że takie rzeczy najlepiej zacząć wcześniej w życiu – ciągnął z udawaną beztrąską. – Jak to kiedyś robiono w Loży? Zabierano nowicjuszy Zakonu do pałacowego więzienia i kazano im ścinać głowy skazanym?

Vonvalt pociągnął nosem.

– Najpierw wykorzystywano żywy inwentarz.

To było za dużo nawet jak na konwersacyjne talenty Jansena. Zamilkliśmy i nagle pożałowałam, że senator zaproponował nam towarzystwo, gdyż od tej chwili był to niezręczny marsz, naznaczony ciężkim milczeniem.

Baron Hangmar i burmistrz byli już na miejscu, czekając na nas w głównym hallu. Nastrój był wyraźnie ponury i chociaż wyłożono najlepsze jedzenie dla wysokich rangą lordów, równie dobrze mogła to być stypa.

– Sędzio, senatorze – powiedział nerwowo Sauter i wskazał stojące przy stole krzesła. – Proszę, poczęstujcie się jedzeniem i pić.

Całą trójką ruszyliśmy w stronę stołu. Sięgnęłam po talerz i nałożyłam na niego porcję placka z dziczyzną, po czym nalałam do kielicha wina z jednego ze stojących na blacie dzbanów. Patrzyłam, jak Jansen robi to samo, jednak Vonvalt nie dotknął jedzenia.

– Otrzymałem wiadomość od miejskiego lekarza w sprawie ostatecznej liczby zmarłych – powiedział baron Hangmar. Był to postawny mężczyzna o beczkowatej piersi, gęstych blond włosach i krótko przyszyzzonej blond brodzie. Podczas bitwy widziałam go przelotnie na ulicy, w, podobnej do tej Westenholtza, czarnej zbroi, lecz białej tunice ozdobionej szkarłatną głową byka.

– Tak? – odparł Jansen.

– Poległo sześćdziesięciu ludzi ze straży miejskiej. Stu moich też zginęło, kolejnych stu jest rannych.

– A z ludzi margrabiego?

– Dwustu pięćdziesięciu zabitych. Z jeńców, których pojaliśmy, trzydziestu trafiło na szubienicę. W jeden, może dwa dni wyrównamy rachunek.

– Jeśli mogę spytać, skąd taka różnica w liczbach? – zapytał Sauter. – Westenholtz miał większe siły. Nie żebym był rozczarowany rezultatem, oczywiście.

– Zgranie – mruknął Hangmar. – Moi ludzie byli zorganizowani. Oni nie. Byli zbyt zajęci plądrowaniem miasta, jak jacyś przekłeci draedzi.

– Ale czy margrabia nie powiedział, że to weterani Wojny Imperialnej? – drażył Sauter.

Hangmar wzruszył ramionami.

– A kto nimi nie jest?

– To byli jego poddani – powiedział Jansen. – Nie mieli szans z legionistami.

Ściągnęłam brwi. Ze względu na moją niską rangę nie do końca wolno mi było się odezwać, ale wyczułam w senatorze sojusznika, a moja ciekawość była zbyt duża, bym mogła odsunąć ją na bok.

– Jaka to różnica?

Wszyscy na mnie spojrzeli. Vonvalt wyglądał na lekko zirytowanego, że złamałam protokół, ale mógł się pocałować w nos. Nadal piekła mnie jego zniewaga, jaką okazał mi podczas drogi do rezydencji.

Tak jak tego oczekiwałam, Jansen z chęcią zaspokoił moją niewiedzę.

– Ludzie Westenholtza należeli tylko do Westenholtza... i może w sporej części również do barona Naumova. Legiony należą do cesarza. Lord może zatrzymać pewną liczbę żołnierzy w swojej świcie, chociaż, by to zrobić, musi posiadać królewską licencję. Jednak tacy ludzie nie mogą się mierzyć z cesarską armią. Są dobrzy w terroryzowaniu wsi, jak bandyci, ale nic poza tym.

– Nie słyszałam o takiej praktyce – powiedziałam. – Wydaje się nieco przestarzała, nieprawdaż?

– Teraz już zanika, jak wiele innych rzeczy – odparł Hangmar. Mówiąc to, zerknął na Vonvalta. – Jest w większości typowa dla terenów wiejskich. Po tym

godnym pożałowania epizodzie spodziewam się, że zostanie całkowicie zakazana.

– W rzeczy samej – przytaknął Jansen. – Ale z ważniejszych rzeczy... czy jest jakiś ślad po naszym kapłanie? Poprosiłem tu sir Konrada szczególnie po to, by usłyszał wieści.

Hangmar upił łyk wina.

– Moje oddziały zwiadowcze doniosły, że pozostali przy życiu ludzie Westenholta ruszyli w stronę Roundstone. Claver był wśród nich, podobnie jak ten drugi... – Pstryknął palcami. – Jak on miał?

– Fischer – powiedział Vonvalt. – Oberpatrion Ralf Fischer.

– Właśnie on – potwierdził Hangmar.

– I jak konkretnie zamierzacie się nim zająć? – zapytał Vonvalt. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie. – Gwarantuję wam, że nie pozostaną w Roundstone zbyt długo.

Jansen i Hangmar wymienili spojrzenia. Podobnie jak senator, baron podlegał Vonvaltowi i był związany protokołem, by znosić jego zły nastrój.

– Wysłano wieści do hrabiego Maiera z Oldenburga i Jego Wysokości księcia Gordana – powiedział Hangmar.

Gordan Kzotic był trzecim synem cesarza i księciem Guelich. Wiedziała, że wysłano wiadomość również do samego cesarza, lecz biorąc pod uwagę, że Guelich graniczyło z Haunersheimem, książę niemal na pewno otrzymał informację pierwszy.

– Jestem pewny, że jego wysokość z pełną siłą uderzy na północ. Widzieliście już, co potrafi kilkuset żołnierzy piechoty; poczekajcie, aż zobaczycie, do czego jest zdolny cesarski Legion. Roundstone i Strażnica Morska wykrwawią się do sucha.

Hangmar wydawał się usatysfakcjonowany swoją odpowiedzią, lecz Vonvalt nie odezwał się i przy stole zapadło długie milczenie.

– Sir Konradzie? – zapytał w końcu Jansen.

– Myślę – odparł Vonvalt.

Ponownie zapadła cisza, aż w końcu Sauter odchrząknął.

– Co pan teraz robi, sir Konradzie? – zapytał. – Nie wyobrażam sobie, by cokolwiek jeszcze zatrzymywało pana w Vale.

– Kiedy skończę już sprawę z Westenholtzem, ruszę do stolicy – odparł Vonvalt. – Najwyraźniej sprawy w moim Zakonie stanęły na ostrzu noża... i to do tego stopnia, że wymaga to mojej natychmiastowej uwagi.

– W rzeczy samej – powiedział Jansen. – Podam ci nazwiska kilku senatorów, do których możesz się zwrócić. Sytuacja jest niebezpieczna, ale nie brakuje ci sojuszników. Nadal mamy czas. Czyny Westenholta, których

dopuścił się tutaj, katastrofalnie odbiją się na Mlyanarach... nie wspominając o Claverze i Nemanach. Ośmielę się twierdzić, że będziesz miał wiatr w plecy.

– Tak – zgodził się Hangmar. – Kiedy w Sovie usłyszą, że Mlyanarowie zaatakowali jedno z największych i najważniejszych miast w Haunersheimie, to będzie to trucizna dla ich sprawy. W stolicy wybuchnie wściekłość.

Jednak Vonvalt był odporny na taki optymizm.

– Wkrótce senatorska polityka nie będzie się liczyć. Cesarz postąpiłby lepiej, wysyłając Legiony na południe i niszcząc Templariuszy, zanim Claver zdąży do nich dołączyć. I wykurzając Clavera z Roundstone oraz niszcząc całe domostwo Naumova, kiedy tam będzie.

– Zajmiemy się Roundstone – powiedział Hangmar. – A cesarz nie jest głupcem, Sędzio. Nie pozwoli Savaranom zbliżyć się na sto pięćdziesiąt kilometrów od Sovy.

Vonvalt spojrzął na barona, jakby dopiero dostrzegł go przy stole. Przez długą chwilę przyglądał się mężczyźnie, lecz teraz jego celowe milczenie było ciężkie i sprawiało, że nikt nie ważył się go o nic pytać.

Wtedy, powoli, Vonvalt zaczął się uśmiechać.

Hangmar, rozbrojony, również zaczął się uśmiechać. Nawet Jansen, który jako jedyny posiadał podobną inteligencję co Vonvalt, również mimowolnie się uśmiechnął, jakby przygotowywał się na puentę dowcipu, który nie do końca rozumiał. Sauter posunął się dalej i zaśmiał się krótko.

Vonvalt nadal się uśmiechał, ale ja jako jedyna widziałam, co się za tym kryje. Był to zimny, bezsilny uśmiech człowieka, który właśnie przegrał grę o wysoką stawkę, którą jeszcze niedawno miał możliwość wygrać, gdyby tylko poświęcił jej więcej uwagi. Po raz pierwszy Vonvalt zobaczył odbicie swojej własnej naiwności. Równie dobrze mógłby patrzeć w lustro. W Hangmarze i Jansenie zobaczył dokładnie to samo, co August zobaczyła w nim: niezachwianą, choć błędną pewność w trwałość państwa. Pomimo dowodów świadczących o czymś przeciwnym nadal chcieli w to wierzyć, ponieważ Imperium było geograficznie ogromne. Posiadało armię, skomplikowaną biurokrację, religię i inne wielkie instytucje, które się z nią wiązały. Wierzyli, że Imperium po prostu... przetrwa. Że było całością większą od składających się na nie części, a nie wielką iluzją wymagającą ciągłego utrzymywania kosztem ogromnych pieniędzy i krwi. Moc Imperium wypływała w całości z postrzegania go przez poddanych. Dopiero co byliśmy świadkami, jak kilku zbuntowanych lordów i obłąkany kapłan w jedno popołudnie niemal zniszczyli całe miasto. Nie trzeba było wielkiej wyobraźni, by pojąć, jak Claver, mając kilka tygodni i stając na czele pięciu do dziesięciu tysięcy żołnierzy, mógłby zmienić cały znany nam świat.

To zmieniło Vonvalta. Nie pozbawiło go zgorzknienia ani nie przywróciło jego kodeksu etycznego, jak miało się okazać kilka tygodni później. Jednak dało mu to pewien cel, który – przynajmniej na obecną chwilę – dał ich dobrą imitację.

Vonvalt wstał, a my za nim, chociaż nasz ukłon był nieco spóźniony, zważywszy na to, że nas zaskoczył.

– Westenholtz umrze o świcie. Zdecydowałem się przyśpieszyć jego egzekucję. – Odwrócił się do Sautera. – Proszę dzisiaj wznieść na rynku szubienicę.

– Uhm... natychmiast, mój panie – wykrztusił Sauter, lecz Vonvalt już ruszył do wyjścia.

– Chodź, Heleno! – zawołał przez ramię. – Zacznij przygotowywać nas do wyjazdu.

XXX

Wyjazd z Vale

„Spotkanie Sędziego często przypomina spotkanie z automatem, tak pozbawionym ludzkiej natury, że wygląda na wymianę zdań z chodzącym podręcznikiem. Mimo to każdy kwestionuje mądrość powierzenia nieograniczonej władzy jakiegokolwiek klasie ludzi. Czy Zakon naprawdę może z sukcesem stłumić wszelką stronnictwość, każde uprzedzenie i kaprys ludzkiej duszy?”

Z traktatu naukowego Chuna Parsifala, cesarskiego pokutnika

– Powiedz mi, jak to zrobił.

Był świt, a Vale nawiedził ciężki deszcz. Vonvalt i ja staliśmy w celi margrabiego, tym razem w towarzystwie sir Radomira. Nasze peleryny ociekały wodą. Liczne krople spływały również po kamiennych ścianach, na których przez noc pojawiła się pleśń. Biorąc pod uwagę, że zgodnie z obowiązującym prawem człowiek był niewinny do chwili ogłoszenia wyroku przez ławę przysięgłych lub Sędziego, sovańskie rozporządzenia nakazywały, by więzienia budowano solidnie i w taki sposób, by zapewnić aresztantom pewien stopień wygody. Bądź co bądź, nie każdy, kto trafiał do celi, wychodził z niej winny. Jednakże, co nie było zaskoczeniem, ten przepis był w Imperium najbardziej lekceważony. Vonvalt powiedział mi kiedyś, że skuteczność biurokracji prawa karnego w całości odpowiada współczuciu obywateli, a Sovanie to mściwy lud. Jedną z największych ironii życia było to, że im lepiej traktowano bandytów, tym mniej popełniano przestępstw. To jednak słabe wytłumaczenie dla rodziców zamordowanego dziecka czy brutalnie obrabowanego na drodze domokrażcy.

Westenholtz był ofiarą swojego smętnego zaślepienia. Zmarznięty do szpiku kości, wygłodzony i w nędznych ubraniach skrywających wszelkiego rodzaju sińce, był wrakiem człowieka. Zaskoczyło mnie, jak wiele współczucia do niego

poczułam. Nienawidziłam go, oczywiście, i to od chwili, kiedy go poznałam. Był odrażającym osobnikiem i nie zasługiwał na nic innego jak śmierć. Jednak patrząc na jego bladą i wychudzoną postać, poczułam ogromną falę smutku. Jak mogliśmy twierdzić, że moralnie jesteśmy lepsi od niego, skoro pozwoliliśmy, by strażnicy więzienni bili go lub głodzili?

– Nie pozostało ci nic więcej – powiedział Vonvalt. – To koniec. Twoje posiadłości i tytuły zostały ci odebrane. Twoje oddziały rozwiązane. Cesarski heraldyk usunął twój herb. Wszelka reputacja, jaką zdobyłeś jako strażnik północnych ziem Imperium, została zniszczona. – Vonvalt zrobił krok do przodu i kucnął. Kiedy ponownie się odezwał, jego głos nieznacznie złagodniał. – Zrób teraz coś dobrego. Ocal cokolwiek. Nie zabieraj tego ze sobą. Powiedz mi, jak to zrobił. Powiedz, skąd wziął tę wiedzę. Powiedz, kto wam pomógł.

Westenholtz otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz wydobył się z nich tylko ochryply jęk. Vonvalt odwrócił się do strażnika.

– Przynieś trochę piwa – powiedział i po chwili Westenholtz zwilżył gardło na tyle, by być w stanie mówić.

– Jesteś w błędzie. To nie koniec – powiedział. Mówił cicho, ale z absolutnym przekonaniem. Zamiast go złamać, ostatnie dni najwyraźniej umocniły go w postanowieniu. Szczerość w jego głosie napełniła mnie przerażeniem. – To dopiero początek.

– Och, do kurwy nędzy! – mruknął sir Radomir i splunął na podłogę. Szorstkim gestem wskazał margrabiego. – Sir Konradzie, marnuje pan czas. Nie ma dla nas nic, prócz banalnych przepowiedni.

Vonvalt nie odrywał wzroku od Westenholtza.

– Czy sir Radomir ma rację? Czy twoje ostatnie słowa naprawdę będą tak mało imponujące?

– Nie nakłonisz mnie do wyjawienia czegokolwiek – odparł Westenholtz z irytacją, jakby Vonvalt był żebrakiem nękającym go na ulicy. Ponownie odwrócił się w stronę okna. – Mój los jest w rękach Nemy.

Sir Radomir westchnął ze złością.

– Gdybym chciał posłuchać tych pierdół, to na zewnątrz jest dobry tuzin szaleńców, którzy potrafią tak gadać, ale o niebo lepiej. Zobaczymy się na szubienicy. – Po tych słowach wyszedł.

Vonvalt przez dłuższą chwilę przyglądał się Westenholtzowi. Na zewnątrz deszcz jeszcze się wzmógł. Jedno było pewne: to będzie dramatyczna egzekucja.

– Nie jesteś wyjątkowy – powiedział Vonvalt, jakby po prostu stwierdzał fakt. – Nie staniesz się męczennikiem. Umrzesz haniebną śmiercią jako znieawidzony człowiek, a twoją jedyną spuścizną będzie reputacja rzeźnika.

Westenholtz przewrócił oczami.

– Jeśli masz mnie zabić, to po prostu zrób to.

Teraz Vonvalt westchnął i uśmiechnął się ze smutkiem. Przez kilka chwil wyglądał na zamyślonego, po czym pokręcił głową, jakby prowadził ze sobą wewnętrzną dyskusję. Kiedy się odezwał, jego głos był bardzo cichy.

– Byłem tam. Widziałem, co jest po drugiej stronie. – Przybliżył twarz do twarzy margrabiego, a jego głos przepełnił autorytet. – Gdybyś wiedział, co cię czeka, nie byłoby ci tak śpieszno do śmierci.

Po raz pierwszy spokój Westenholta się zachwiał i margrabia nie zdołał ukryć strachu. Na Neme, nawet ja dostałam gęsiej skórki, słysząc zimne słowa Vonvalta. Ale, oczywiście, ja również tam byłam. Na własne oczy widziałam, jaka jest prawda.

– O czym ty mówisz? Co tam jest? – wyszeptał mimo woli Westenholtz z szeroko otwartymi oczami.

Claver musiał napchać mu do głowy nonsensów, które dopiero teraz zaczął rozpoznawać jako to, czym naprawdę były – pustym namawianiem. Przypominał mi mnie samą, gdy mówiłam do żołnierza na brzegu Gale. Nawet takie upokorzenie było lepsze od alternatywy. W obliczu ogromu śmierci z zaświatami tak mrocznymi, ogromnymi i pełnymi drapieżnych istot, jak całe oceany świata, nic dziwnego, że mężczyzna zaczął się łamać. Zaskakujące było jedynie to, jak długo to trwało. Jednak z doświadczenia wiedziałam, że nawet w obliczu przytłaczających dowodów ludzie potrafili zaprzeczać swojej rzeczywistej sytuacji.

Vonvalt wstał i odwrócił się do wyjścia.

– Dałem ci wystarczająco dużo czasu, byś mi pomógł. Naprawdę niedługo sam się tego dowiesz.

– Co tam jest, Sędzio?! – zawołał Westenholtz. Jego głos był teraz donośniejszy i bardziej nagły, lecz mówił do naszych pleców. – Sędzio? Co tam jest? Sędzio!

Jednak nie otrzymał odpowiedzi... przynajmniej nie od Vonvalta.

* * *

Wyszliśmy na ulicę i skierowaliśmy się na rynek. Deszcz padał wokół nas, przepełniając rynsztoki po obu stronach drogi, z których teraz wylewały się ścieki. Bez zimy i zimnego powietrza Vale ożywało nieprzyjemnymi zapachami i wiedziałam, że miasto w lecie będzie miejscem nie do zniesienia.

Po dziesięciu minutach szybkiego marszu dotarliśmy na miejsce. Na środku placu, wedle instrukcji Vonvalta, wzniesiono szubienicę. Nad rusztowaniem niebo było szare i pełne kłębiących się czarnych chmur, a w powietrzu rozległ

się grzmot. Pomimo tego na rynku zebrał się spory tłum i wokół wyczuwało się napięcie.

Przecisnęliśmy się przez zebranych. Nikt nie miał śmiałości na nas krzyknąć, chociaż za plecami słyszeliśmy mnóstwo gniewnych pomruków. W dużej mierze nie zwracałam na nie uwagi. W głowie kłębiły mi się myśli o wróżbach i zaświatach. Mimowolnie przyszło mi do głowy, że dzisiejsza pogoda była boskim okazaniem niezadowolenia... ale jak bogowie mogli nie cieszyć się z tego, co miało się niedługo stać? Vonvalt wielce wierzył w prawo natury, w myśl, że moralność i etyka były niezachwianymi wartościami niezważającymi na stworzone przez ludzi prawo, a jeśli to była prawda, to Westenholtz pod każdym względem zasługiwał na śmierć. Być może odpowiedź leżała w teorii powiązania Sędziego Kane'a. Być może działaliśmy za szybko, być może egzekucja Westenholtza była obiektywnie błędem, czynem, który zepchnie nas na inną doczesną ścieżkę, a Autuna ku zagładzie. Być może nie było to okazanie niezadowolenia, a ostrzeżenie?

A może była to po prostu brzydka pogoda.

Vonvalt nie wskazał mi konkretnego miejsca, dlatego stanęłam obok niego na szafocie. Niedługo potem dołączyli do nas sir Radomir i lord Sauter. Pierwszy miał na twarzy wyraz ponurego wyczekiwania, drugi żalosego nieszczęścia. Kilka miesięcy temu może zaskoczyłaby mnie reakcja Sautera, lecz z czasem zmieniłam o nim zdanie. Jego honor płamiło tchórzostwo, a łagodne podejście nie było podyktowane chęcią zrobienia tego, co właściwe, tylko konsekwencją jego słabych podstaw moralnych. Tak samo chętnie zobaczy, jak wyjeżdżamy, jak ja będę się cieszyć, widząc, jak on znika nam z oczu. Kiedy wyjedziemy z Vale, nasze drogi nigdy więcej się nie skrzyżują.

Nie minęło dużo czasu, gdy w tłumie rozległy się gwizdy. Odwróciłam się gwałtownie w stronę ulicy i zobaczyłam Westenholtza, prowadzonego przez kapłana i dwóch krzepkich pomocników kata. Szedł, jak się wydawało, ulegle – bo jaki miał inny wybór? – lecz kiedy dostrzegł szubienicę, wzdrygnął się. Zobaczyłam, że cały zeszywniał. Zaczął coś krzyczeć, ale nie były to wrzaski człowieka oszalałego ze strachu. Sprawiał wrażenie wściekłego.

Pochyliłam się do Vonvalta i zapytałam cicho:

– Co się z nim dzieje?

Vonvalt nie spojrzał na mnie, ale na jego twarzy pokazała się srogość.

– Był lordem. Powie, że przysługuje mu śmierć godna lorda.

– Zgodnie z prawem?

Vonvalt skinął głową.

– Tak.

– A do jakiej śmierci ma prawo?

- Do ścięcia mieczem.
- Ale go powieszisz?
- Powieszę.

Miałam wrażenie, że znów znaleźliśmy się na drodze Hauner, a Vonvalt szedł w stronę templariusza, gotów ściąć mu głowę za pogwałcenie prawa. To było mniejsze przestępstwo, ale wciąż było naruszeniem prawa... i do tego nieistotnym. Wszystko aż pachniało zemstą. Być może byłam naiwna, oczekując czegoś innego.

- Ale skoro prawo mówi...
- Cisza, Heleno.

Zamilkłam. Cóż innego mogłam powiedzieć? Co mogłam zrobić? Nawet gdybym miała środki, by zainterweniować, nie zamierzałam wyskoczyć przed wszystkich i odrąbać margrabiemu głowy. Wątpiłam, czy w ogóle miałabym tyle siły. I jak niedorzeczna byłaby to scena – asystentka Sędziego chwytająca za miecz i ścinająca głowę skazanemu.

Nie. Musiałam to znieść, podobnie jak wiele innych rzeczy. Przyjdzie czas na wyjawienie moich obaw, ale z pewnością nie teraz. Żaden obywatel Vale nie sprzeciwi się powieszeniu Westenholta. W gruncie rzeczy wielu z nich ucieszyłoby się z o wiele dłuższej śmierci. Miałam tylko nadzieję, że Vonvalt wieszał margrabię dla jakiejś zasady, być może jako oznakę braku szacunku za pogwałcenie służbowej przysięgi, a nie tylko po to, by zadowolić tłum. Pierwsze mogłam zrozumieć, nawet jeśli mi się to nie podobało, jednak drugie wciągnęłoby Vonvalta w wymiar populizmu, który stanowił czyste zaprzeczenie sowańskiej doktryny prawnej.

Westenholtz, wchodząc na szafot, wyrwał mnie z zamyślenia. Z całej siły wyrzywał się z żelaznego uścisku prowadzących go strażników.

– Przysługuje mi prawo do honorowej śmierci – rzucił. Strach, jaki Vonvalt obudził w nim w więzieniu, ponownie ustąpił miejsca złości.

– Waldemarze Westenholtz – powiedział Vonvalt, ignorując go, a jego głos poniósł się gromko niczym wcześniejszy grzmot. – Dwudziestego ósmego dnia miesiąca Ebby poprowadziłeś duży oddział swoich podwładnych do miasta Galen's Vale i zabiłeś lub doprowadziłeś do śmierci, bez prawnego usprawiedliwienia i w czasie pokoju, wielu poddanych cesarza. Dopuszczając się tego czynu, popełniłeś zbrodnię morderstwa i zdrady, i dlatego stawiam cię w stan oskarżenia. Ponadto oskarżam cię o morderstwo, podżeganie do morderstwa lub wydanie nakazu jego popełnienia, sir Otmara Frosta, lady Karol Frost i pozostałych mieszkańców wioski Rill, położonej w prowincji Tolsburg, dnia nieznanego, lecz wypadającego w miesiącu Gossa. W obliczu tych zarzutów Jego Najwspanialsza Wysokość Cesarz Lothar Kzosic IV, przeze mnie, swojego

Sędziogo, sir Konrada Vonvalta, uznaje cię winnym i z tego powodu siódmego dnia miesiąca Wirter skazuje cię na śmierć przez powieszenie. Czy chcesz cokolwiek powiedzieć?

– Przysługuje mi prawo do honorowej śmierci – powtórzył Westenholtz. Pomimo swojego wyniszczonego i zszarganego wyglądu, nadal zdołał przywołać każdą uncję jadu, jaka jeszcze w nim pozostała, i skierować ją na Vonvalta.

– Masz prawo do śmierci – powiedział Vonvalt. – Jeśli chciałeś, żeby była ona honorowa, powinieneś być nosić się z honorem.

– Nie tak stanowi prawo! – krzyknął Westenholtz, ponownie bez powodzenia wyrywając się dwóm trzymającym go mężczyznom. – Nie wolno ci mnie powiesić!

Vonvalt pochylił się do niego. Mówił cicho, tak by tylko on go usłyszał, ale byłam na tyle blisko, że wychwyciłam jego słowa.

– To jest właśnie różnica między kawałkiem papieru i stalą. Jeśli jeszcze pan tego nie pojął, to niedługo pojmie.

Kiedy Vonvalt się cofnął, wyraz twarzy Westenholtza uległ zmianie. Nagle dotarło do niego, że nic, co by powiedział lub zrobił, nie zmieni jego losu. Patrzyłam, jak jego duch pęka, niczym zbyt mocno naciągnięta struna. Zawisł bezwładnie i trzeba było fizycznie go podtrzymać.

Vonvalt skinął na dwóch katów.

Błyskawica dramatycznie przecięła niebo, gdy ci zaciągnęli margrabiego pod szubienicę. Odwróciłam się do sir Radomira, ale jego twarz była zacięta i w jednej chwili zrozumiałam, że nie znajdę w nim sojusznika. Nie był skomplikowanym człowiekiem, na korzyść nieskomplikowanej sprawiedliwości, i nie zadreślał się zawilościami powszechnego prawa.

Tłum ponownie zaczął gwizdać. Niektórzy, prawdopodobnie ci, którzy stracili członków swoich rodzin lub przyjaciół, wykrzykiwali krwawe hasła, dopóki nie ochrypli. Jako pokaz zbiorczego gniewu miało to potężny wydźwięk... Ale kto by ich winił? Nie byłam tak wspaniałomyślna, bym nie czuła satysfakcji z patrzenia, jak Westenholtz umiera. Nienawidziłam go i nie zaprzeczałam, że świat będzie lepszy bez niego. Chodziło o to, że jakkolwiek moją chęć interwencji w jego egzekucję dusił wpływ, jaki miała ona na Vonvalta. Dziwnie jest się o to spierać – w końcu śmierć to śmierć, a egzekucja to egzekucja. Jakie miało znaczenie, czy Westenholtz zostanie powieszony, czy ścięty?

Cóż, odpowiedź jest taka, że nie mogło mieć większego. Wojna Imperialna pochłonęła życia dziesiątek tysięcy ludzi, a jednak filozofowie i prawnicy uznawali je za usprawiedliwione, gdyż ogromne siły cywilizacji, jakie za nią nadeszły, polepszyły życie milionów innych. Pod uważnym okiem

powszechnego prawa każda osoba, od najbiedniejszego chłopca do najwyżej urodzonego szlachcica, uznawana była za równą. Tak wielu poświęciło tak wiele, tyle żyć zostało poświęconych na jego ołtarzu, że porzucenie tych zasad sprawiłoby, że to wszystko straciłoby sens. Gdyby zabrać Senat, Zakon Magistratu i zbiór praw wspólny dla wszystkich ludzi, Wojna Imperialna byłaby niczym więcej, jak końcem samym w sobie, zaledwie konsekwencją krwawych podbojów.

Jednym z ulubionych cytatów Vonvalta było: „Wszyscy mogą być osądzeni przez prawo, więc wszyscy mogą go przestrzegać”. Kiedyś sama powiedziałam to do Matasa, kiedy starałam się zgrywać mądrą. Ale to nie był pełen cytat. Pełen brzmi: „Wszyscy mogą być osądzeni przez prawo, więc wszyscy mogą go przestrzegać; jednak nie wszyscy, którzy przestrzegają prawa, mogą osądzać”. Vonvalt miał stosować prawo takie, jakie było zapisane, nawet wbrew sobie, a nie kierować się własną zemstą.

Pętla zacisnęła się na szyi Westenholtza, a kat, którego Vonvalt wyznaczył, pociągnął za dźwignię. Westenholtz uniósł się w powietrze nie więcej niż na trzydzieści centymetrów. Zaczął wierzgać nogami, a całym jego ciałem targały konwulsje. Jego twarz nabrała okropnej purpurowej barwy. Od czasu do czasu wydawał charczący, skrzeczący dźwięk, gdy jego gardło otwierało się i kurczyło gwałtownie. Rozejrzałam się po tłumie, czekając, aż ktoś – może Claver – nagle ruszy mu na ratunek. Ale oczywiście nikt taki się nie zjawił.

Po kilku minutach Vonvalt stracił zainteresowanie egzekucją i zszedł z szafotu. Sauter, zadowolony, że ma taką możliwość, podążył za nim i ruszył do domu. Tylko sir Radomir pozostał na miejscu, bez współczucia wpatrując się w Westenholtza.

Ja sama do końca patrzyłam na ten makabryczny spektakl. Czułam, że to w jakiś sposób ważne, jakbym była świadkiem tworzenia się historii... i oczywiście tak było.

Po jakimś czasie wszystko się skończyło. Po biciu dzwonów poznałam, że jakieś dziesięć minut trwało, nim margrabia umarł. Jego śmierć nie mogła być bardziej upokarzająca. Uryna ściekała z jego martwych nóg, a oczy miał niemal czarne od popękanych naczyń krwionośnych. Na wargach pieniała mu się gęsta ślina, a nabrzmiały język makabrycznie wystawał z ust.

Kiedy było już jasne, że nie żyje, zeszłam z szafotu. Za plecami usłyszałam, jak sir Radomir odciął ciało.

Kiedy zwłoki uderzyły głucho o deski, tłum wybuchł dzikimi wiwatami.

* * *

Minął kolejny dzień, nim ponownie zobaczyłam Vonvalta. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wyglądał świeżo. Miał obcięte włosy, schludnie przystrzyżoną brodę, a jego twarz wyglądała na pełniejszą, jakby spożył porządny posiłek. Muszę przyznać, że po wszystkim, co się ostatnio stało, ta prosta transformacja miała na mnie ogromny wpływ i przysłoniła wiele moich obaw.

– Czas wyjechać do Sovy – powiedział.

Przebywaliśmy w jego komnatach, na najwyższym piętrze rezydencji. Vonvalt pił z kielicha czerwone wino i patrzył przez okno na panoramę miasta. Już teraz wiele domów spalonych podczas najazdów było w trakcie odbudowy i nie miałam wątpliwości, że Galen's Vale w zaledwie kilka dni wróci do czegoś przypominającego normalność. Vonvalt przez chwilę siedział w milczeniu, po czym wychylił wino do końca.

– W tym miejscu nie osiągnę satysfakcji za Resi. – Spojrzał na miasto, jakby było pogańską relikwią wzniesioną na bezbożnej ziemi. – Podjęłaś już decyzję? – zapytał po kolejnej chwili ciszy.

– Jaką?

– Co chcesz dalej zrobić. Wiem, że śmierć Matasa w pewien sposób zmienia okoliczności, ale... – Wzruszył ramionami. – Może i tak chcesz pozostać w Vale. Albo rozstać się ze mną i Dubinem.

Wstyd to przyznać, ale od jakiegoś czasu nie myślałam o Matasie, tak bardzo pochłonęły mnie ostatnie wydarzenia. Zaskoczyło mnie, że Vonvalt tak mylnie ocenił źródło mojego nieszczęścia... a to zmiany, jakie zaszły w nim samym, budziły mój smutek. Nie miałam jednak odwagi, by z nim o tym porozmawiać, i naprawdę nie miałam innej opcji, jak tylko mu towarzyszyć.

– Zostanę z tobą – powiedziałam. Czułam się rozbita i miałam ochotę się rozpłakać, przez co dłuższą chwilę trwało, nim się uspokoiłam. Vonvalt nie podniósł wzroku. – Zostało tyle rzeczy do zrobienia, tyle problemów do naprawienia. A to mogę zrobić, tylko jadąc z tobą do Sovy.

– Chcesz mi towarzyszyć dla zemsty czy po to, by kiedyś zostać Sędzią? – zapytał.

Wzięłam głęboki wdech. Nie było sensu go okłamywać.

– Nie wiem – odparłam. – To pierwsze. Może też drugie. Nie mogę powiedzieć na pewno, że chcę zostać Sędzią.

– Może tak będzie lepiej – powiedział, zaskakując mnie tym stwierdzeniem. – Wygląda na to, że okazywanie powiązań z Zakonem może być teraz niebezpieczne.

Spojrzałam na swoje dłonie.

– Jestem lojalna wobec ciebie, nie wobec Zakonu – powiedziałam cicho.

– Moja droga Heleno – zwrócił się do mnie Vonvalt. Podniosłam wzrok. Uśmiechał się, chociaż smutno. – Nie jesteś mi nic winna.

– Zawdzięczam ci wszystko – odparłam.

– Ja... niewłaściwie cię wykorzystałem. Naraziłem na niebezpieczeństwo. Prosiłem o zrobienie rzeczy, o które nie powinienem był prosić.

– Jestem dorosła. Mogłam odmówić.

– Gdyby nie ja, Matas nadal by żył.

– To Vogt go zamordował – odpowiedziałam krótko.

– Moje działania doprowadziły do okoli...

– Nie chcę rozmawiać o tych szczegółach.

– Nie – powiedział Vonvalt. – Nie, to uczciwe.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Przed wyjazdem chciałbym porozmawiać z sir Radomirem – powiedział w końcu. – Mam wrażenie, że stracił poczucie, że tu jest jego miejsce. To dobry człowiek z dużym poczuciem sprawiedliwości. I do tego dobry wojownik. Może uda mi się go przekonać, żeby do nas dołączył. Bogowie sami wiedzą, jak bardzo przyda nam się jeszcze jedna ręka dzierżąca miecz. – Otworzył szeroko oczy, kiedy dotarło do niego, co właśnie powiedział. – Wiesz, co mam na myśli – dodał.

– Tak – odparłam.

– W takim razie idź. Spakuj nasze rzeczy i każ przygotować konie i osła. Potem poinformuj Dubine'a, że dzisiaj wyjeżdżamy, i zapytaj, czy czuje się na siłach, by do nas dołączyć.

* * *

– Chce pan, żebym wam towarzyszył? – zapytał sir Radomir później tego ranka.

Byliśmy w biurze szeryfa, w którym chociaż raz nie paliło się w kominku ze względu na nietypową na tę porę roku ciepłą pogodę. Sir Radomir wyglądał na wychudłego, a jego znamię wydawało się bardziej czerwone i zaognione. Zaproponował nam napitek, którego odmówiliśmy ze względu na zbliżający się wyjazd.

Szeryf był pijany, ale myślał przytomnie. Od czasu ataku na Vale jego skłonność do picia wzrosła zarówno w kwestii częstotliwości, jak i intensywności.

– Z całym szacunkiem, sir Konradzie, ale to poniekąd degradacja. Jestem szeryfem całego miasta. Z racji tego zarządzam setką ludzi.

– Setką? – zapytał Vonvalt.

– Tak – odparł sir Radomir.
– A przed iloma pan odpowiada?
– Odpowiadam przed burmistrzem.
– I kilkoma innymi lordami?
– Nie bezpośrednio.
– A lord Sauter odpowiada przed kim?
Sir Radomir wzruszył ramionami.
– Przed lordem Hangmarem – rzekł Vonvalt. – W końcu.
– Lordem Haunersheimu?
– Baronem Osterlenu – poprawił go Vonvalt. – A przed kim odpowiada baron Hangmar?
– Nie wiem.
– Przed hrabią Maierem z Oldenburga, lordem Południowych Ziem. Który z kolei odpowiada przed kim?
– Przed jakimś wysoko postawionym lordem, jak sobie wyobrażam – powiedział ponuro sir Radomir.
– Przed księciem Hofmannem, głównym lordem Haunersheimu. A księżę Hofmann odpowiada przed Jego Wysokością Gordanem Kzosicem, Księciem Guelich, który odpowiada przed swoim ojcem, Jego Cesarską Wysokością.
– Rozumiem, co ma pan na myśli – mruknął sir Radomir.
– A przed kim ja odpowiadam? – zapytał Vonvalt.
– Przed Nemą?
– Przed cesarzem. Bezpośrednio. I nie jest to pusty przywilej; jest tak zasadniczy dla Imperium, jak ta belka dla konstrukcji całej strażnicy. Proponuję panu podobny honor, sir Radomirze – powiedział Vonvalt. – Jako mój podwładny będzie pan odpowiadał tylko przede mną. A powiedziałem panu, komu ja podlegam.
– Tak – przyznał sir Radomir. – Rzeczywiście.
– Pańska setka ludzi zmieni się wtedy w sto milionów. W całym Imperium.
– Bogowie – mruknął sir Radomir. – Żaden człowiek nie powinien mieć takiej władzy.
– Przychodzi mi na myśl kilku ludzi, którzy by się z tym zgodzili – zauważył Vonvalt.
Twarz sir Radomira była posępna.
– Jakie będą moje obowiązki?
– Prowadzenie śledztw. Aresztowania. Ochrona. Wykonywanie wyroków. Wszystko, co się wiąże ze wsparciem rzeczy dla mnie najważniejszej: sprawiedliwości.

– Czy zemsta zalicza się do tej listy? – warknął sir Radomir, pochylając się lekko.

Zapadła niebezpieczna cisza. Spojrzałam na Vonvalta, spodziewając się – i mając nadzieję – że pokręci głową, jak rodzic łagodnie besztający dziecko. Jednak, ku mojemu wielkiemu smutkowi, skinął głową.

– Tak – powiedział. – To też zalicza się do sprawiedliwości.

– To jaka jest procedura? Gdybym miał się zgodzić? – zapytał sir Radomir.

– Sprowadza się po prostu do podpisu na papierze i to tylko po to, by zapewnić panu wypłatę.

Ponownie zapadła cisza, kiedy szeryf się namyślał.

– Muszę mieć czas na przygotowanie. Żeby wszystko poukładać. To prawda, że nie mam tutaj rodziny, ale mam... znajomych, jeśli mnie pan rozumie. Nie powinienem wyjechać bez uprzedzenia.

– Ma pan na to cały poranek. Wyjeżdżamy w południe. Proszę spotkać się z nami przy bramie Veldelin, gdy dzwony wybiją dwunastą, nie później.

– Dokąd jedziemy?

– Do Sovy, sir Radomirze. Do siedziby Imperium i serca całego cywilizowanego świata.

Epilog

Cesarska sprawiedliwość

„Sprawiedliwość to nie zemsta, a zemsta to nie sprawiedliwość. Jednak te dwie rzeczy często się przenikają. Państwo jest zdolne do zemsty tak samo jak pojedynczy człowiek, gdyż czym jest państwo bez ludzi, którzy je tworzą?”

Sir Randall Kormondolt

Tydzień później wlekliśmy się błotnistą drogą przez pagórkowate pola Guelan. Ciepły deszcz miarowo uderzał w mój kaptur i czułam, że niedługo mój woskowany płaszcz podda się i całkowicie przesiąknie wodą.

Spędzaliśmy czas, podróżując głównie na południe, unikając drogi Hauner, kiedy tylko było to możliwe, i zatrzymując się tylko po to, by Vonvalt lub sir Radomir zasięgnęli informacji w różnych zajazdach i stacjach. Bressinger leżał na wózku Księcia Brondseya, przykryty woskowanymi pelerynami, na przemian pijąc i śpiąc. Chociaż jego rekonwalescencja była z gruntu udana, minie sporo czasu, nim będzie gotów ponownie wdać się w bójkę i hałaśliwie zachowywać, do czego byłam przyzwyczajona. Myślę, że również z niechęcią przyjął dołączenie sir Radomira do orszaku Vonvalta.

Nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, co się działo, dopóki nagle nie dotarło to do mnie tego popołudnia. Powiązałam ze sobą różne wątki: naszą trasę, która tak bardzo odbiegała od drogi Hauner i Cesarskiej Podmiany, i częste postoje po informacje, w których mnie nie uwzględniano.

Popędziłam konia, aż zrównałam się z Vincentem.

– Gdzie on jest? – zapytałam Vonvalta.

– W Ossice – odparł. Wyglądał ponuro i nietypowo nieporządnie: jego broda była splątana, a włosy opadały w strąkach mokre od deszczu.

Starałam się dobrze dobrać słowa.

– Nie może być... – zaczęłam.

– Wiem, Heleno – odparł.

Jechaliśmy dalej. Ponownie popędziłam konia, by zrównać się z Vonvaltem.

– Ława przysięgłych nie...

– Wiem, Heleno.

Jego twarz była nieprzenikniona.

– Dlaczego więc...

– Wystarczy. Rozgryzłaś to pomimo moich wysiłków. Powinienem był się domyślić, że tak będzie. Nie będziesz tego częścią. To minimalne zboczenie z trasy, potem znów ruszymy na południe. Potrzebujemy informacji.

– Tylko informacji? – zapytałam z naciskiem.

Vonvalt nie odpowiedział.

– Mówisz o...

– Powiedziałem: wystarczy – rzucił ostro. – Nie chcę z tobą o tym rozmawiać.

Zamilkłam, zarówno zraniona, jak i zaniepokojona, po czym wróciłam na swoje miejsce.

Jechaliśmy tak niemal cały dzień, dopóki słońce nie zaczęło chylić się ku zachodowi. Zapadał zmierzch i ogień w strażnicy w Ossice, kolejnym dużym, kupieckim mieście, połączonym z Galen's Vale tą samą szeroką i głęboką rzeką, lśnił na horyzoncie niczym latarnia.

Dotarliśmy do miasta długo po zapadnięciu nocy i tylko dzięki autorytetowi Vonvalta wpuszczono nas przez główną bramę. Czułam na sobie spojrzenia strażników, którzy odprowadzali nas wzrokiem, gdy jechaliśmy brukowanymi ulicami. Miałam wrażenie, że wyczuwali, z jakiego powodu się tu zjawiliśmy.

Znaleźliśmy nierzucający się w oczy zajazd i zostawiliśmy konie w stajni. Zobaczyłam, jak Vonvalt płaci właścicielowi przesadnie dużą sumę, sądząc po błysku srebra. Duża sala pełna była podejrzanych typów, nikt jednak nie spojrzął na nas dwa razy.

Vonvalt przez kilka minut mówił coś cicho do właściciela, po czym ruszyliśmy do wyjścia.

– Heleno, zostań tutaj z Dubinem – powiedział Vonvalt, gdy dotarliśmy do drzwi. – Zarezerwowałem dla was pokój na górze.

– Mhm – mruknęłam.

Bressinger osunął się obok mnie, zaledwie półprzytomny od bólu w kikucie i upojenia.

– Zarygluj drzwi i nigdzie nie wychodź. Za kilka godzin po was przyjdę.

Zaczęłam słabo protestować, ale wiedziałam, że jeśli miałam jakąkolwiek nadzieję za nimi podążyć, musiałam się na to zgodzić. Marudziłam jeszcze przez

chwilę, po czym ruszyłam na piętro do pokoju. Pomogłam Bressingerowi się położyć i natychmiast zasunęłam rygiel.

Z okna patrzyłam na Vonvalta i sir Radomira. W chwili gdy zniknęli za rogiem, wypadłam z pokoju, zbiegłam na dół i ruszyłam do wyjścia. Na zewnątrz podążyłam śladem Vonvalta, dopóki jakąś minutę czy dwie później nie zauważyłam ich przed sobą. Trzymając się cienia, szłam za nimi przez kwadrans. Weszliśmy w boczne zaułki, z dala od oświetlonych latarniami, brukowanych ulic. Czekające tam na klientów dziwki zaczęły do nich nawoływać, a mężczyźni zaczęli im się przyglądać, dochodząc później do wniosku, że obrabowanie ich byłoby nierozsądne. W końcu zatrzymali się przed wejściem do burdelu i przez jedną okropną chwilę zastanawiałam się, czy może wszystko opacznie zrozumiałam, a oni przyszli tu, by osiągnąć zupełnie innego rodzaju satysfakcję. Wtedy zobaczyłam mężczyznę w drzwiach i rozpoznałam w nim jednego z ludzi sir Radomira z Galen's Vale. Zamienili kilka słów, po czym mężczyzna zniknął, a Vonvalt i sir Radomir weszli do środka, zamykając za sobą drzwi.

Rozejrzałam się. Nie było możliwości, bym mogła dostać się do środka, lecz sąsiednie budynki były zrujnowane i łatwo mogłabym się po nich wdrapać. Czas, jaki spędziłam na ulicach Muldau, sprawił, że byłam świetna we wspinaczce i miałam do tego dryg, przez co w okamgnieniu znalazłam się na sąsiednim, krytym strzechą dachu. Spojrzałam przez kilka okien i szybko znalazłam to, czego szukałam: obenpatriona Fischera, którego dosiadała udająca entuzjazm znudzona prostytutka.

Kilka sekund po tym, jak znalazłam sobie miejsce w cieniu, ktoś kopnięciem wyważył drzwi do pokoju kapłana. Sir Radomir i Vonvalt weszli do środka, trzymając w dłoniach miecze, a dziewczyna wyciągnęła skądś nóż i przycisnęła go do szyi Fischera. Patrzyłam na tę panującą chwilowo patową sytuację, nim Vonvalt przystąpił do działania. Wtedy dziewczyna wzięła ubranie – i sakiewkę z pieniędzmi od sir Radomira – i wyszła.

Serce waliło mi w piersi. Przysunęłam się bliżej, aż od okna dzielił mnie niecały metr. Szkło było marnej jakości i źle dopasowane, przez co tocząca się w środku rozmowa z łatwością docierała na zewnątrz.

– Co, w imię Kasivara, się tu dzieje, Sędzio? To już koniec. Dajcie mi pójść moją drogą i zapomnijmy o wszystkim – powiedział Fischer. Jego głos był drżący i słaby.

– Włóż ubranie – polecił kapłanowi Vonvalt. Mężczyzna szybko go posłuchał i naciągnął bieliznę oraz purpurowy habit. – Siadaj. To nie potrwa długo.

– Sir Konradzie, proszę... już ma pan moje zeznanie...

– Zamknij, kurwa, pysk – rzucił sir Radomir.

Zapadła cisza. Vonvalt wziął głęboki wdech.

– *Jak dostałeś się tutaj z Roundstone?*

Głos Cesarza. Uderzył we mnie niczym grzmot. Drgnęłam gwałtownie. Nie potrafiłam przywyknąć do jego początkowej mocy.

– *Łodzią... wzdłuż rzeki Kovy.*

– *Podróżowałeś z Claverem?*

– T-tak!

– *Gdzie on jest?*

– Dalej na południe! – wykrztusił ochryplym głosem Fischer. – Przy Granicy!

– *Gdzie? W Südenbergu? Keraq? Zetlandii?*

– Tak... *gnn...* jednym z tych miejsc!

– *W którym?*

– Nie wiem!

– *Jak się nazywała ta łódź?*

– Nie wiem! – Fischer dyszał, jakby leżał na łożu tortur.

– *Skąd Claver pozyskał swoje moce?*

– Gaaah! Proszę! Przestań!

– *Skąd? Czy współpracuje z nim jakiś członek Zakonu?*

– T-tak! Nie znam jego nazwiska! Proszę!

– *Kto?*

– Nie wiem! – wydyszał Fischer. Krew popłynęła mu z nosa. Oczy miał wielkie niczym spodki.

Zapadła cisza. Fischer zaczął cicho płakać. Vonvalt i sir Radomir stali nieruchomo. Vonvalt opuścił miecz i usiadł w rogu pokoju. Sir Radomir nadal celował ostrzem w kapłana, ale ten nie był w stanie czegokolwiek próbować.

Vonvalt oparł koniec miecza o podłogę między swoimi stopami. Położył dłonie na końcu rękojeści i wsparł na nich brodę. Kiedy się odezwał, mówił cicho. Użycie Głosu kosztowało go ogromną ilość energii, ale chodziło nie tylko o to. Był zmęczony, ale też, jak sędzę, ogarnięty wielką melancholią. Musiałam wyteżać słuch, by go usłyszeć.

– Kiedy byłem chłopcem w Jägelandzie, przed wybuchem Wojny Imperialnej, mieliśmy stare określenie: „Sprawiedliwość Królów”. Tak jak wiele bardzo starych powiedzeń, to również przez lata nabierało różnych znaczeń, lecz mój ojciec sam był prawnikiem i powiedział mi, że to miało jedno konkretne. Widzisz, tak jak Sovanie, my, Jägelandczycy mieliśmy system prawny, w którym o winie decydowała ława przysięgłych złożona z mieszkańców miasta oskarżonego. Jednak, kiedy ktoś został uznany za niewinnego przez tych przysięgłych, nadal można było zwrócić się do króla o interwencję. Nawet jeśli współmieszkańcy, zwyczajni ludzie, oczyścili oskarżonego z wszelkich win, król wciąż mógł nakazać jego egzekucję, jeśli tylko doszedł do wniosku, że decyzja

o uniewinnieniu była błędna. – Zamilkł na chwilę zatopiony w myślach, po czym pokręcił głową. – Sprawiedliwość królów.

Nagle wstał i podszedł do Fischera.

– Oczywiście teraz to Cesarska Sprawiedliwość.

Kapłan ledwie zdołał krzyknąć. Po potraktowaniu Głosem był na wpół ogłupiony. Próbował zerwać się z miejsca i zablokować cios miecza dłońmi, przez co stracił je obie. Z szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w tryskające krwią nadgarstki, a z jego gardła wyrwał się ochrypły okrzyk zaskoczenia, gdy Vonvalt wbił swój krótki miecz w jego szyję, gładko przecinając kręgosłup. Wtedy osunął się i bezceremonialnie odbił od łóżka, po czym w kałuży krwi zwałił się na podłogę.

To, że tego się spodziewałam, nie sprawiło, że łatwiej mi było na to patrzeć. Mimo że mocno przyciskałam dłoń do ust, z gardła wyrwał mi się stłumiony okrzyk.

Vonvalt zawołał do mnie, nie odrywając wzroku od zwłok Fischera:

– Heleno, wracaj do pokoju. Wyjeżdżamy wcześniej rano.

* * *

Ze sporej perspektywy czasu można łatwo powiedzieć, że morderstwo oberpatrona Fischera, po dwóch tygodniach, jakie Vonvalt miał na ochłonięcie, było tym punktem, w którym się zmienił. Nie stał się złym człowiekiem ani nie zmienił się całkowicie w ciągu jednej nocy. Jednak pomiędzy Vale i Ossicą miał czas, by cofnąć się znad krawędzi i ponownie zjednoczyć z siłami absolutnego dobra. Zamiast tego pozasądowe zabójstwo Fischera ugruntowało rozluźnienie jego osobistego i zawodowego kodeksu, które do końca życia zmieniło jego podejście do kwestii sprawiedliwości... i samego bycia Sędzią.

W każdym razie śmierć Fischera oznacza koniec tej części mojej historii. Wszystkich nas ona zmieniła i stanowiła zwieńczenie naszego pobytu w Galen's Vale. Ja również się zmieniłam, gdyż nie odezwałam się. Nie zganiłam też Vonvalta za wcześniejsze zabicie Vogta i Bauera, bo chociaż obaj zasługiwali na śmierć, bez werdyktu ławy przysięgłych popełnił on zbrodnię morderstwa. A przed nim był jeszcze templariusz na drodze Hauner. Żałuję, że nie dostrzegłam wcześniej oznak jego moralnego upadku.

Następnego ranka obudziłam się o świcie. Nie rozmawialiśmy o tym, co wydarzyło się w nocy. Bez słowa pozwoliłam zaprowadzić się do stajni. Tam Vonvalt i sir Radomir już byli spakowani i na końskich grzbietach, a Bressinger leżał na wózku, wciąż na wpół ogłupiały z bólu i od wina.

– Naszym celem nadal pozostaje Sova – powiedział do mnie Vonvalt bez wstępów. – Pojedziesz z nami? Decyduj szybko.

Skinęłam głową. Nie było nic więcej do powiedzenia... a raczej było zbyt wiele. Dosiadłam konia i wkrótce ruszyliśmy w drogę. Za dwa tygodnie zaczynał się miesiąc Sorpen i pierwszy dzień wiosny, i rzeczywiście był to nowy początek, na dobre i na złe.

Od tamtej pory spotkało nas wiele przygód. Niektóre zakończyły się szczęśliwie, inne zaś były okropne, a ich konsekwencje są odczuwane do dziś. Postaram się przelać ich na papier tak dużo, na ile pozwoli mi czas. Opowieść o sir Konradzie Vonvalcie, bądź co bądź, jest historią o powstaniu i upadku Imperium Sovańskiego.

Jednakże jestem już starą kobietą. Moje oczy są słabe, a dłonie potrzebują odpoczynku.

Podziękowania

To druga powieść, jaką powierzyłem wydawnictwu Orbit do publikacji. Pierwsza, *Celestial Fire*, była epicką operą kosmiczną, której byłem współtwórcą wraz z kolegą ze szkoły, Georgem Diggorym. Bez agenta, bez pojęcia o czymkolwiek i bez talentu, przekazaliśmy wydruk książki (dziwnie jest, kiedy się pomyśli, że zaledwie siedemnaście lat temu internet był nadal w dużej mierze zbędny) do wydawnictwa, gdzie bez wątpienia wylądowała na stercie cklowych romansideł, nim została odrzucona przez redaktora jako zbyt niebezpieczna, zbyt prowokująca i zbyt wyprzedzająca swoją epokę, by ją opublikować.

Siedemnaście lat później (i prawdopodobnie siedemnaście powieści później) wróciłem do Orbit, z agentem, średnio obeznany i z jako takim talentem, ze *Sprawiedliwością królów*. To, że tak się stało, jest tylko moją zasługą (tak jakby), dziwactwem losu i interwencją ludzi, których muszę tu wymienić.

Po pierwsze, chciałbym podziękować George'owi Lockettowi, Willowi Smithowi i Timowi Johnsonowi, moim zaufanym beta-readerom, za ich uwagi, sugestie i czasami niepotrzebnie zjadliwe opinie. Wszyscy wniesliście coś do tej powieści i jestem Wam za to wdzięczny.

Druga tura podziękowań należy się mojemu agentowi, Harry'emu Illingworthowi, z za jego osobiste redakcyjne wysiłki (tempo!), cierpliwą pomoc i cięte rady. Dziękuję Ci, Harry, za uchylenie wrót i wpuszczenie mnie do świata tradycyjnej publikacji – to miejsce, w którym już od dawna chciałem się znaleźć.

Dziękuję także zespołowi Orbit, a w szczególności mojemu redaktorowi, Jamesowi Longowi, za... cóż... redakcję tej książki i wszystko, co się z tym wiąże. Nie będzie kontrowersją stwierdzenie, że bez Ciebie *Sprawiedliwość królów* byłaby o wiele gorsza, o wiele krótsza i rozeszłaby się w o wiele mniejszym nakładzie.

Na koniec dziękuję mojej żonie, Sophie, za dopilnowanie, bym miał czas – często na koszt swojego własnego – na pisanie. Nie napisałbym tej powieści bez Twojego wsparcia.

Sprawiedliwość królów zadedykowany jest mojemu przyjacielowi i umyślowemu klonowi, Willowi, który był na samym początku mojej pisarskiej podróży i – co niepokojące – może być też na jej końcu.

Richard
Londyn, kwiecień 2020

O autorze

Richard Swan urodził się w północnym Yorkshire i większość młodych lat spędził w bazach Królewskich Sił Powietrznych w Yorkshire i Lincolnshire. Po studiach prawniczych na Uniwersytecie Manchester, w 2011 powołano go do palestry. Następnie przekwalifikował się i został radcą prawnym ze specjalizacją w sporach handlowych.

Kiedy nie pracuje, można go spotkać na przedmieściach Londynu, wraz z cudowną żoną Sophie, gdzie starają się wychować – z różnym rezultatem – dwóch bardzo hałaśliwych synów.

Dowiedz się więcej o Richardzie Swanie i innych autorach wydawnictwa Orbit, zapisując się na darmowy newsletter na orbitbooks.net.

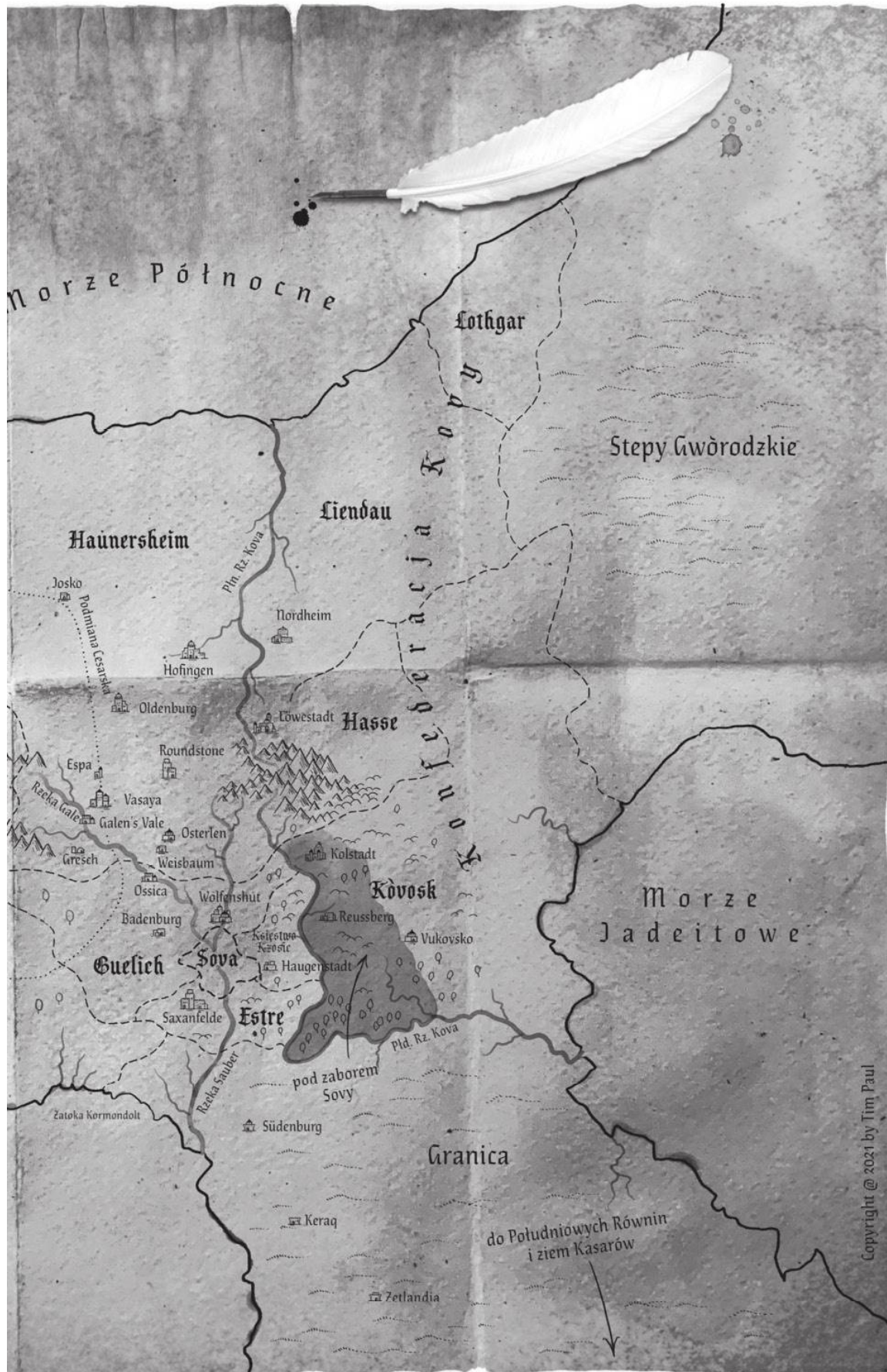


Imperium Sovaniskie

w jego największym zasięgu



Morze Gralla



Copyright © 2021 by Tim Paul